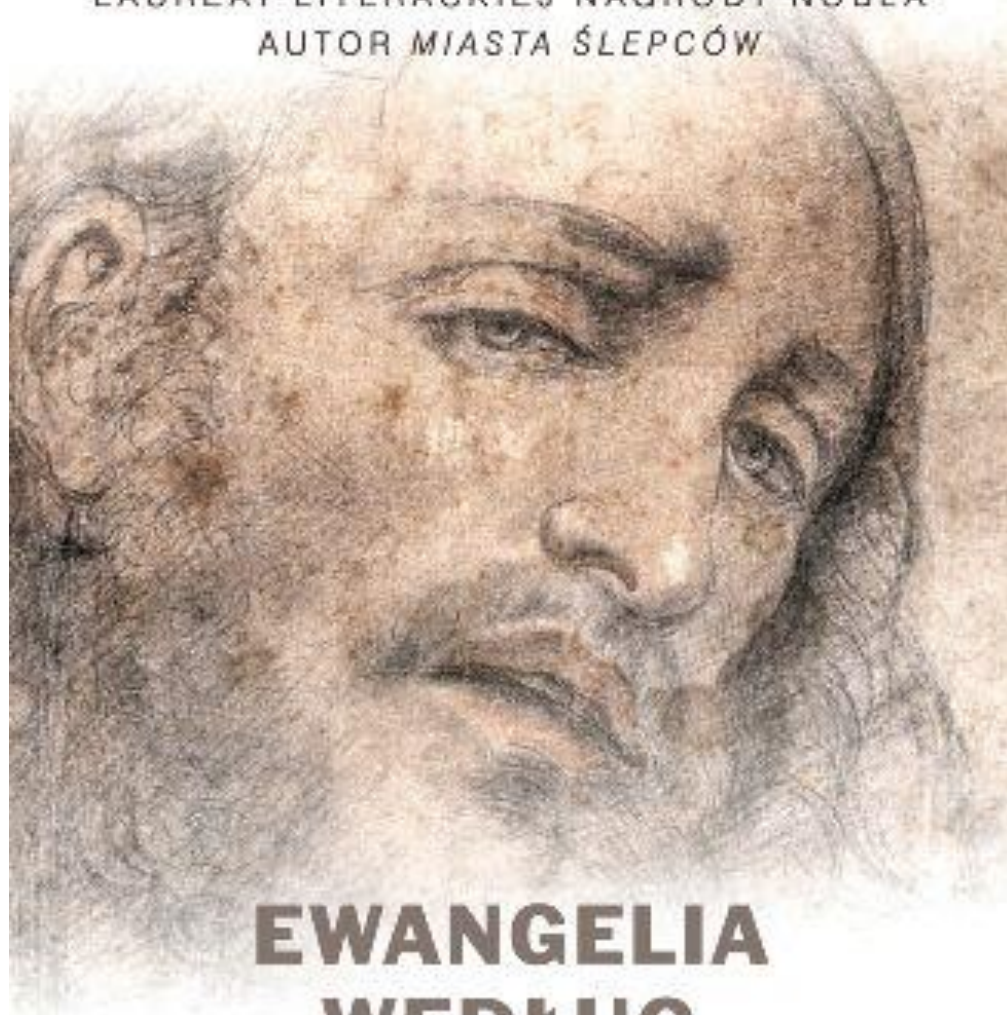


JOSÉ SARAMAGO

LAUREAT LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA
AUTOR *MIASTA ŚLEPCÓW*



**EWANGELIA
WEDŁUG
JEZUSA CHRYSYSTUSA**



WYDAWCA

José Saramago

**Ewangelia według Jezusa
Chrystusa**

Słońce ukazuje się w górnym rogu prostokąta, znajdującym się na lewo od kogoś, kto w tamtą stronę popatrzy. Gwiazda dzienna wyobraża ludzką głowę, z której wytryskują promienie ostrego światła i węzowate języki ognia. To taka róża wiatrów, niezdecydowana, jaki kierunek chce oznaczyć. Płaczące lico skrzywione bezlitosnym bólem, ciska przez otwarte usta okrzyk, którego nie usłyszymy, albowiem żadna z tych rzeczy nie jest prawdziwa. Mamy przed sobą tylko papier i farbę, nic więcej. Poniżej widzimy nagiego człowieka przywiązanego do pnia drzewa, opasanego płótnem zakrywającym części ciała zwane wstydliwymi, albo krępującymi. Jego stopy spoczywają na tym, co pozostało z obciętej gałęzi, jednakże dla większej pewności, po to by nie ześlizgnęły się z tej naturalnej podpórki, umocowane są dwoma głęboko wbitymi gwoździami. Wyraz twarzy natchnionej cierpieniem i wzniesione do góry spojrzenie mówią, że jest to na pewno Dobry Łotr. Poskręcane w loki włosy są innym nieomylnym znakiem, gdyż wiadomo, że aniołowie i archaniołowie takie właśnie mają, a skruszony złoczyńca w widoczny sposób wspina się już po drodze prowadzącej do świata niebieskich stworzeń. Nie da się sprawdzić, czy ten pień jest jeszcze drzewem, przerobionym tylko na narzędzie męki za pomocą odpowiednich przycięć i wciąż poprzez swoje korzenie czerpiącym życie z ziemi, gdyż całą jego dolną część zasłania człowiek o długiej brodzie, odziany w bogate, luźne i wygodne szaty, który trzymając wysoko uniesioną głowę, nie patrzy jednak w niebo. Ta dostojna sylwetka, to smutne oblicze mogą należeć tylko do Józefa z Arymatei, bowiem Szymon z Cyreny, bez wątpienia inna dopuszczalna wersja, po pracy, do której go przymuszono, czyli po udzieleniu skazańcowi pomocy w niesieniu krzyża, jak mówią protokoły tych egzekucji, powrócił do swego normalnego życia, o wiele bardziej zatroskany z powodu opóźnienia w robocie, którą miał wykonać na czas, aniżeli z powodu śmiertelnych udręk nieszczęśnika idącego na ukrzyżowanie. Wszakże ów Józef z Arymatei jest tym dobrodusznym i zamożnym człowiekiem, który ofiarował swój grób po to, by w nim zostało złożone najważniejsze ciało. Jednakże ta szlachetność nie na wiele mu się zda w godzinie uświęcenia, lub chociażby beatyfikacji, gdyż jego głowę owija tylko turban, w którym codziennie wychodzi na ulicę, w przeciwieństwie do kobiety, widocznej na pobliskim planie, mającej włosy rozpuszczone nad krzywym i zgiętym grzbietem, a otoczonej najwspanialszym blaskiem aureoli, w jej wypadku postrzępionej jak domowe hafty. Z całą pewnością klęcząca kobieta nosi imię Maria, gdyż z góry wiedzieliśmy, że wszystkie, które tutaj się zgromadziły, używają tego imienia, a tylko jedna z nich, będąc ponadto Magdaleną, odróżnia się onomastycznie od pozostałych, lecz pierwszy z brzegu obserwator, jeśli dostatecznie orientuje się w elementarnych życiowych sytuacjach, gotów będzie od razu przysiąc, że wspomniana Magdalena jest tą właśnie,

ponieważ tylko osoba mająca tak rozwiązłą przeszłość jak ona, ośmieliłaby się pokazać w tragicznej chwili z takim dużym dekoltem i z tak bardzo obcisłym stanikiem podkreślającym i podnoszącym okrągłość piersi, co niechybnie przyciąga i zatrzymuje pożądlive spojrzenia mężczyzn tędy przechodzących, z wielką szkodą dla dusz, tym sposobem wiedzionych do zguby przez grzeszne ciało. Ale przecież na jej twarzy maluje się skruszony smutek, a bezradność ciała wyraża jedynie ból duszy, na pewno schowanej wewnątrz cielesnych pokus. Wszelako mamy obowiązek pamiętać, mówimy bądź co bądź o duszy, że ta kobieta mogłaby być nawet całkiem naga, gdyby w taki sposób zdecydowano się ją przedstawić, i również wtedy winniibyśmy byli okazać jej cześć i szacunek. Maria Magdalena, jeśli to ona, podtrzymuje i wydaje się, że za chwilę ucałuje w geście współczucia nieprzetłumaczalnym na słowa, rękę innej kobiety, leżącej na ziemi niczym ktoś opuszczony przez siły albo śmiertelnie ranny. Nosi ona również imię Maria, jest druga w kolejności prezentacji, ale bez żadnej wątpliwości, najpierwsza pod względem doniosłości, jeśli główne miejsce w dolnych okolicach kompozycji ma jakieś znaczenie. Wyjawszy zalane łzami oblicze oraz bezwładne ręce, nie można dostrzec niczego więcej, gdyż całe ciało spowite jest w niezliczone fałdy płaszcza oraz tuniki, przewiązanej w pasie sznurem, którego szorstkości można się domyślać. Jest starsza od tamtej Marii i prawdopodobnie jest to przyczyna, nie jedyna bynajmniej, tego, że jej aureola ma bardziej złożony rysunek, tak w każdym bądź razie pozwoliłby sobie pomyśleć ktoś, kto nie posiadając dokładnych wiadomości na temat starszeństw, szarż i hierarchii obowiązujących na tym świecie, miałby wygłosić swoją opinię. Jednakże biorąc pod uwagę stopień rozpowszechnienia tych ikonografii, tylko mieszkaniec innej planety, zakładając że ten dramat nie powtórzył się na niej, tylko ta w rzeczywistości niewyobrazalna istota nie zdawałaby sobie sprawy, że udręczona niewiasta jest wdową po cieśli zwanym Józefem i matką licznych synów i córek, z których tylko jeden, z nakazu przeznaczenia albo tego, kto nim kieruje, dostąpił szczęścia, znikomego za życia, lecz wielkiego po śmierci. Przechylona w lewą stronę Maria matka Jezusa, tego samego, który dopiero co został wspomniany, opiera się przedramieniem na udzie innej kobiety, również klęczącej, również noszącej imię Maria, i chociaż nie możemy zobaczyć ani nawet wyobrazić sobie jej dekoltu, będącej zapewne prawdziwą Magdaleną. Tak samo jak pierwsza z tej kobiecej trójcy, ma długie, rozpuszczone włosy, opadające na plecy, i wygląda na to, że są one jasne, o ile nie jest dziełem zbiegu okoliczności różnica pomiędzy poszczególnymi kreskami, delikatniejszymi w tym wypadku i oddzielonymi nie zamalowanymi pasmami, co z pewnością posłużyło artyście do ogólnego rozjaśnienia przedstawionej fryzury. Dysponując takimi dowodami, nie będziemy twierdzić, iż Maria Magdalena była faktycznie blondynką, zaledwie godzimy się z

tym prądem szerokiej opinii, który każe dostrzegać najskuteczniejsze narzędzia grzechu i zatracenia już to w blondynkach naturalnych, już to w tych farbowanych. Będąc, jak powszechnie wiadomo, kobietą grzeszną, zatraconą na równi z najbardziej zatraconymi, Maria Magdalena także musiała być blondynką, aby nie zburzyć przeświadczeń nabytych przez połowę rodzaju ludzkiego. To jednak, że trzecia Maria, w porównaniu z pierwszą wydaje się mieć jaśniejszą cerę i jaśniejszy odcień włosów, nie wystarczy byśmy sugerowali wbrew niezbitemu świadectwu w postaci głębokiego dekoltu oraz odsłoniętej piersi, że to ona jest Magdaleną. Inny dowód, najbardziej dobitny, wzmacnia i potwierdza nasze ustalenia. Otóż rzeczona kobieta, jakkolwiek trochę podtrzymuje wycieńczoną matkę Jezusa, wznosi spojrzenie pełne autentycznej i gorącej miłości, a ma ono w sobie taką siłę, że zdaje się ciągnąć za sobą całe ciało, całą cielesną istotę, jak gdyby było promieniującą aureolą zdolną zgasić świetlisty krąg, który już otacza jej głowę i zawęża myśli oraz uczucia. Tylko kobieta kochająca tak, jak sobie wyobrażamy, że kochała Maria Magdalena, mogłaby patrzeć w ten sposób, a co za tym idzie, mamy w końcu dowód na to, że jest nią ona, tylko ona i żadna inna. Dlatego zostaje wyłączona stojąca obok czwarta Maria, która wznosi ręce w pobożnej demonstracji, choć wzrok ma pusty. Towarzyszy z tej strony ryciny młodemu człowiekowi, prawie mężczyźnie. Onże, w wyszukany styl zgina w kolanie lewą nogę, podczas gdy otwartą prawą dłonią, na przesadnie teatralną modłę, wskazuje grupę niewiast, którym przypadło w udziale odegrać na ziemi dramatyczną scenę. Postać owa, tak - młodziutka, z włosami układającymi się w pukle i drżącą wargą, to Jan. Podobnie jak Józef z Arymatei, on również zasłania swoim ciałem pień tego drugiego drzewa, które wysoko, w miejscu gdzie zwykle są gniazda, wnosi do góry innego nagiego człowieka, powiązanego i przybitego tak jak pierwszy, tyle że ten ma gładkie włosy i zwiesza głowę aby, jeśli jeszcze to możliwe, popatrzeć na ziemię. Jego twarz, szczupła i zabrudzona, budzi żal, w przeciwieństwie do łotra z drugiej strony, który nawet w ostatecznej chwili przedśmiertnych drgawek ma czelność pokazać nam swoje czerwone oblicze, łatwo sobie to wyobrażamy pomimo braku kolorów w tym miejscu. Lekkie miał życie, kiedy kradł. Chudy, o prostych włosach, z głową opuszczoną do ziemi czekającej na to, by go pochłonię, dwukrotnie skazany, na śmierć i na piekło, ten marny strzęp może być tylko Złym Łotrem, ale też prostolinijnym człowiekiem, któremu pozostało dość sumienia, żeby nie udawać, że wierzy pod osłoną praw boskich i ludzkich w to, że minuta żalu wystarczy do odkupienia zła wyrządzonego w ciągu całego życia czy też zwykłej godziny słabości. Ponad nim widzimy księżyc płaczący i krzyczący tak samo jak słońce, co naprzeciwko się znajduje. Księżyc ma postać kobiety z niestosownym kółkiem ozdabiającym jej ucho. Na to nie pozwoliłby sobie wcześniej żaden artysta lub poeta i

wątpliwe jest, czy pozwoli sobie później, nawet jeśli będzie znał ten przykład. To słońce i ten księżyc jednakowo oświetlają ziemię, lecz światło otoczenia jest koliste, nie ma w nim cieni, dlatego tak wyraźnie widać to, co znajduje się w głębi, na horyzoncie, wieże i mury, zwodzony most ponad fosą, w której mieni się woda, gotyckie ściany, a daleko z tyłu, na szczycie wzgórza, nieruchome skrzydła wiatraka. Nieco bliżej, a to z powodu złudzenia stworzonego przez perspektywę, czterej rycerze w hełmach, zbrojach i z dzidami ćwiczą wolty na swoich wierzchowcach, pyszniąc się wysokimi umiejętnościami, wszelako ich gesty sugerują, że pokaz dobiegł już końca, a oni pozdrawiają, jeśli tak można powiedzieć, niewidoczną publiczność. Podobne wrażenie wywołuje pieszy żołnierz, który po skończonej uroczystości robi krok w tył, trzymając w prawej ręce coś, co z tej odległości wydaje się kawałkiem materiału, ale może być też płaszczem lub tuniką podczas gdy dwaj inni wykazują oznaki podenerwowania i gniewu, jeśli oczywiście można z tak daleka odczytać na malutkich twarzach uczucia pokrewne tym, którym poddają się przegrani gracze. Ponad tymi pospolitostkami, żołnierzami na tle miasta otoczonego murami, unoszą się cztery anioły, z których dwa są ukazane w całej postaci, płacząc, zawodząc i protestując, chociaż jeden z nich nie aż tak bardzo. Owże, o poważnym profilu, pochłonięty jest łapaniem do kielicha każdej kropli krwi wypływającej z prawego boku Ukrzyżowanego. Na tym miejscu zwanym Golgotą wielu doświadczyło tego zgubnego losu i wielu innych go doświadczy, lecz ten nagi człowiek z nogami i dłońmi przybitymi do krzyża, syn Józefa i Marii, Jezusem zwany, jest jedynym, którego przyszłość wyróżni wielką literą. Pozostali zawsze będą ukrzyżowanymi mniejszymi. On zatem jest tym, na którego patrzą tylko Józef z Arymatei i Maria Magdalena, przez którego płaczą słońce i księżyc. On jest tym, który Dobrego Łotra pochwalił i Złym wzgardził nie rozumiejąc, że nie ma żadnej różnicy pomiędzy nimi, a jeśli jest, to nie na tym polega, bowiem Dobro i Zło same w sobie nie istnieją. Każde z nich jest wtedy, gdy drugiego nie ma. Głowa Ukrzyżowanego jaśnieje tysiącem promieni, mocniej niż słońce i księżyc razem wzięte, jest nad nią napis wykonany literami rzymskimi głoszący, że obwołano go żydowskim Królem i otacza ją bolesny wieniec z cierni noszony przez ludzi nie mogących być królami w swoich własnych postaciach, którzy nie dostrzegają go nawet wtedy, gdy krew nie wypływa jeszcze z ich ciał. Stopy Jezusa nie zażywają odpoczynku, który łotrom był dany, całym ciężarem ciała zwisałby już na dłoniach przybitych do belki, gdyby nie było w nim jeszcze resztki życia, wystarczającej do tego, by utrzymał się napięty na wyprostowanych kolanach. Lecz niebawem dokona życia, a krew wciąż tryska z rany na piersi, tak jak to było powiedziane. Pomiędzy dwoma klinami utrzymującymi krzyż w pionie, jednako tkwiącymi w ciemnej szczelinie gruntu - ziemnej ranie tak samo jak grób człowieka nieuleczalnej, znajduje

się czaszka, a także piszczel i łopatka, chociaż najbardziej obchodzi nas czaszka, bo to właśnie znaczy Golgota, czaszka, jedno słowo nie wydaje się być tym samym co drugie, choć pewnie zauważylibyśmy pewną różnicę między nimi, gdybyśmy napisali golgota i Czaszka zamiast czaszka i Golgota. Nie wiadomo, kto umieścił tutaj te szczątki i w jakim celu to zrobił, chyba że jest to ironiczne i makabryczne powiadomienie nieszczęsnych męczenników o ich przyszłym położeniu, zanim jeszcze obrócą się w proch, pył i nicość. Niektórzy twierdzą jednak, że jest to czaszka samego Adama, wynurzona z głębokich mroków spowijających geologiczne warstwy archaiku, która nie mogąc już do nich wrócić, skazana została na wieczne oglądanie ziemi, swego jedynego możliwego raj, na zawsze jednak straconego. Daleko z tyłu, na polu, gdzie rycerze wykonują ostatnią woltę, jakiś człowiek oddala się, odwracając jeszcze głowę w tę stronę. Niesie w lewej ręce wiadro, a w prawej trzcinę. Na jednym końcu trzciny powinna być gąbka, trudno to stąd dostrzec, natomiast wiadro, gotowi jesteśmy się założyć, zawiera wodę z octem. Ów człowiek pewnego dnia stanie się ofiarą oszczerstwa, a ono pozostanie z nim na zawsze za to, że złośliwie lub też szyderczo, podał Jezusowi ocet, kiedy ten poprosił go o wodę, podczas gdy na pewno podał mu ocet zmieszany z wodą, a więc wyborny płyn do ugazzenia pragnienia, tak jak to się ówczasie praktykowało. Odchodzi, nie zostaje do końca, zrobił już co mógł, aby złagodzić śmiertelną suchość trzech skazańców. Nie uczynił różnicy pomiędzy Jezusem i Łotrami z tej prostej przyczyny, że wszystko to są rzeczy ziemskie, które w ziemi zostaną, a z nich powstanie jedyna możliwa historia.

Noc potrwa jeszcze długo. Oliwna lampka zawieszona na gwoździu obok drzwi jest zapalona, lecz płomień, niczym mały świetlisty migdał wiszący w powietrzu, drżący i niepewny, z trudem powstrzymuje ciemną substancję, która go otacza i wypełnia cały dom od góry do dołu, aż do najdalszych zakamarków, gdzie mrok jest tak gęsty, że wydaje się, że jest ciałem stałym. Józef przebudził się zaniepokojony, jak gdyby ktoś nagle potrząsnął go za ramię, lecz było to złudzenie wywołane przez sen, który wnet się rozwiął, bo przecież w tym domu on tylko mieszka ze swoją żoną, a ona śpi i nawet się nie poruszyła. Nie leży w jego zwyczaju budzić się tak w środku nocy, zwykle budzi się wtedy, gdy szeroka szpara w drzwiach wynurzy się z ciemności szara i zimna. Wielekroć myślał już o tym, że powinien ją zatkać, nic prostszego dla cieśli dopasować i przybić zwykłą drewnianą listewkę, pozostałą po jakiejś robocie, lecz do tego stopnia oswoił się z widokiem pionowej smugi światła zwiastującej dzień, gdy tylko otworzy oczy, że w końcu zaczął sobie wyobrażać, nie zważając na absurdalność takiego pomysłu, że jeśliby jej zabrakło, on mógłby nie wyrwać z mroków snu i swego ciała, i wreszcie świata. Szpara w drzwiach była częścią domu, tak samo jak

ściany i dach, jak piec i podłoga z ubitej ziemi. Po cichu, tak aby nie zbudzić wciąż śpiącej żony, odmówił to pierwsze dziękczynienie, które zawsze powinno być odmawiane po powrocie z tajemniczej krainy snu. Dzięki Ci składam Panie Boże nasz, królu wszechświata, za to, że przez potęgę swego miłosierdzia przywracasz mi moją żywą i trwałą duszę. Najprawdopodobniej nie wszystkim pięciu zmysłom Józefa dane było rozbudzić się tak samo, o ile oczywiście w czasach, o których mówimy, ludzie się dopiero o nich nie uczyli, lub wręcz przeciwnie, już tracili te, które dziś by nam się przydały, i dlatego spoglądał on na samego siebie jak gdyby z oddali, obserwując powolne zajmowanie własnego ciała przez powracającą duszę, podobną do strumyków wody, które wijąc się poprzez bruzdy, wsiąkają w ziemię aż do najgłębszych korzeni, by potem nieść łodygom i liściom życiodajne soki. Widział, jak uciążliwy był to powrót, a patrząc na kobietę śpiącą u jego boku z niepokojem pomyślał, że ona tak naprawdę była ciałem bez duszy, ponieważ dusza nie jest obecna w ciele, które śpi, a zatem nie ma sensu codziennie dziękowanie Bogu za to, że nam ją codziennie przywraca wtedy, gdy się budzimy. I w tej samej chwili jakiś głos wewnątrz niego zapytał, Cóż takiego w nas śni to, o czym śnimy. Czy przypadkiem sny nie są wspomnianiem ciała przez dusze, pomyślał wnet i była to odpowiedź. Maria zadrżała, być może jej dusza przebywała gdzieś w pobliżu, może już w domu, lecz w końcu nie obudziła się, mozolnie śniąc dalej. Wydawszy głębokie westchnienie, urwane niby czkawka, przysunęła się wężowym ruchem do małżonka, aczkolwiek nieświadomie, gdyż na jawie nigdy by się na to nie zdobyła. Józef podciągnął grube i szorstkie prześcieradło na wysokość ramion i dokładnie okrył kobietę na macie. Nie odsunąwszy się poczuł, że ciepło żony, nasączone zapachami na podobieństwo zamkniętej skrzyni, w której kiedyś suszyły się zioła, przenika materiał jego tuniki, łącząc się z ciepłem jego własnego ciała. Później, pozwalając z wolna opadać powiekom, wyzuty z myśli i oderwany od duszy, pogrążył się we śnie, który powracał.

Ponownie obudził się, gdy zapał kogut. Szpara w drzwiach przepuszczała niewyraźnie siwy kolor brudnej wody. Czas cierpliwie odczekał, aż osłabną siły nocy i przygotował pole dla nadejścia poranka, tak jak wczoraj i zawsze, choć doprawdy nie przeżywamy tych bajecznych dni, kiedy słońce, któremu i tak tyle zawdzięczamy, przez swą życzliwość przerwało podróż nad Gibeonem, dając w ten sposób Jozuemu czas na niespieszne pokonanie pięciu królów, oblegających jego miasto. Józef usiadł na macie, odgarnął prześcieradło i w tym momencie kogut zapał po raz drugi, przypominając mu, że winien był jeszcze jedno dziękczynienie, to należne właśnie kogutowi z powodu zalet otrzymanych przezeń podczas rozdzielania ich przez Pana pomiędzy wszystkie stworzenia. Pochwalony bądź Panie Boże nasz, królu wszechświata za to, że dałeś kogutowi zdolność rozróżniania

dnia i nocy, rzekł Józef, a kogut zapiał po raz trzeci. Było rzeczą normalną, że na pierwszy poranny sygnał odpowiadały sobie koguty z sąsiedztwa, lecz dziś milczały, jak gdyby dla nich noc się jeszcze nie skończyła lub dopiero co rozpoczęła. Józef z zakłopotaniem popatrzył na postać kobiety dziwiąc się, że tak twardo śpi, gdyż normalnie wystarczył najlżejszy szmer, aby ją, niby ptaka, zbudzić. Wyglądało to tak, jakby jakaś zewnętrzna siła, opadając lub unosząc się ponad Marią, przyciskała jej ciało do ziemi, chociaż nie całkowicie, bowiem można było dostrzec, nawet mimo panującego półmroku, że przebiegały przez nią nagle dreszcze, tak jak wiatr po stojącej wodzie. Jest chora, pomyślał, ale niespodziewany sygnał oderwał go od tej raptownej troski, a mianowicie narastająca potrzeba oddania moczu, również bardzo niepowszednia, jako że tego typu potrzeby ujawniały się u niego zwykle później i nigdy tak żywiołowo. Podniósł się ostrożnie,- aby żona nie zorientowała się, co chce zrobić, albowiem zapisane jest, że wszystkimi sposobami należy zachowywać poszanowanie wobec człowieka, chyba że w żadnym razie nie będzie to możliwe, i powoli otworzywszy skrzypiące drzwi wyszedł na podwórko. Była to godzina, w której poranny brzask pokrywa szarością kolory świata. Skierował się ku niskiemu daszkowi służącemu za szopę dla osła i tam sobie ulżył, przysłuchując się z na poły świadomym zadowoleniem donośnemu szumowi strumienia moczu spadającego na słomę, która pokrywała ziemię. Osioł odwrócił głowę i błysnął w ciemności wyłupiastymi oczami, po czym mocno potrząsnął kudłatymi uszami, wsadził z powrotem pysk do żłobu i macał grubymi, czułymi wargami resztki zarcia. Józef podszedł do dzbana z wodą do mycia, przechylił go, polał ręce i kiedy już wycierał je w swoją tunikę, chwalił Boga za to, że w swej nieskończonej mądrości ukształtował i stworzył w człowieku otwory i naczynia, które mu są potrzebne do życia, a gdyby jedno z nich się zamknęło lub otworzyło w nieodpowiednim momencie, wtedy śmierć byłaby pewna. Popatrzył Józef w niebo i serce w nim zamarło. Słońce wciąż nie wschodzi, na całym niebieskim przestworzu nadal nie ma najbardziej wyrazistego sygnału szkarłatnych tonów świtu, ani nawet lekkich odcieni różu i niedojrzałej czereśni, a tylko od horyzontu do horyzontu, o tyle o ile pozwalają mury podwórka, na całej rozległości bezmiernej powały niskich chmur, wyglądających jak małe jednakowo rozplaszczone kłębki, widać jedynie fiolet, który rozbłyskując i wirując po tej stronie, skąd ma się przebić słońce, ciemnieje stopniowo aż do pomieszania się po drugiej stronie z pozostałościami nocy. Nigdy w życiu Józef nie widział takiego nieba, chociaż nierzadko starzy ludzie opowiadali o cudownych zjawiskach atmosferycznych będących pokazami potęgi Boga, o tęczach, które wypełniały połowę niebieskiego sklepienia, o zawrotnych schodach, które pewnego dnia połączyły firmament z ziemią, o zbawiennych deszczach niebiańskiego pożywienia, jednakże nigdy o

takim kolorze, co równie dobrze mógłby być pierwotny, jak i ostateczny, leniwie wiszącym ponad światem, nigdy o powale z tysięcy małych chmur prawie się ze sobą stykających, rozproszonych we wszystkich kierunkach jak kamienie na pustyni. Wezbrało się strachem serce jego, wyobraził sobie, że świat się kończy, a on tam postawiony jest jedynym świadkiem ostatecznego wyroku Boga, zaiste, jedynym. Na ziemi i w niebie panuje absolutna cisza, nie słycać żadnych odgłosów w sąsiednich domach, chociażby płaczu dziecka, modlitwy, przekleństwa, podmuchu wiatru, beczenia kozy, szczekania psa. Dlaczego nie pieją koguty, wyszeptał i z niepokojem powtórzył pytanie, tak jakby pianie kogutów miało przynieść ostatnią nadzieję na uratowanie. Wówczas niebo zaczęło się zmieniać. Bardzo powoli, prawie niedostrzegalnie, fiolet zabarwiał się i poddawał działaniu bladego różu na wewnętrznej powierzchni powały z chmur, czerwieniejąc następnie aż do zniknięcia. Był tam i przestał być. Wtem znienacka przestrzeń wybuchła świetlistym wiatrem, rozmożyła się złotymi lancami, z całej siły raniąc i przebijając chmury, które nie wiedzieć kiedy i dlaczego fantastycznie urosły, aby stać się gigantycznymi łodziami, wciągającymi oszalałe żagle i płynącymi po wyzwolonym wreszcie niebie. Lekko się zrobiło Józefowi na duszy, już było po strachu. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia i z zachwyty, bo ten przypadek na to zasługiwał, a przecież widz był tylko jeden. Jego usta głośno wypowiedziały pochwały należne twórcy dzieł natury, skoro wieczysty majestat niebios niewysłowionym będąc, może spodziewać się po człowieku tylko najprostszymi wyrazów. Pochwalony bądź Panie za to, za tamto i za wszystko inne. Ledwie to wyrzekł, gwar życia, jak gdyby przywołany jego głosem, wchodząc nagle otwartymi przez kogoś beztrosko na oścież drzwiami, wypełnił przestrzeń, która wcześniej należała do ciszy, zostawiając jej zaledwie małe, przypadkowe obszary, miniaturowe powierzchnie podobne do niedużych bagien otaczanych i skrywanych przez szeleszczące lasy. Ranek wstawał, rozszerzał się i doprawdy był to widok piękna prawie nie do zniesienia. Dwie olbrzymie dłonie wypuszczały w powietrze wielkiego, połyskliwego, rajskiego ptaka rozwijającego w promienisty wachlarz tysiąc pawich oczek, każąc po prostu śpiewać drugiemu bezimiennemu ptakowi. Podmuch wiatru, tam właśnie narodzony, uderzył Józefa w twarz, zwichrzył jego brodę, zatrzepotał tuniką i okręcił się wokół niego jak mała gąbka tocząca się po pustyni, choć mogło mu się tylko tak wydawać, jeśli w rzeczywistości było to oszołomienie wywołane nieoczekiwanym wzburzeniem krwi, falisty dreszcz przebiegający po plecach niczym jakiś ognik, oznaka innej, bardziej natarczywej potrzeby.

Jakby poruszając się wewnątrz wirującej kolumny powietrza, Józef wszedł do domu, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, pozostając tak przez blisko minutę po to, by oczy mogły się przyzwyczaić do półmroku. Obok niego lampka migotała blado, prawie nie

wydzielając światła, niepotrzebnego zresztą. Maria leżała na plecach wpatrzona w jakiś punkt przed sobą i wydawało się, że czeka. Nie mówiąc ani słowa, Józef zbliżył się i powoli zdjął prześcieradło, którym była przykryta. Ona odwróciła wzrok, podciągnęła nieco dolną część tuniki, lecz tylko do wysokości brzucha, wtedy gdy on już się pochylał, czyniąc tak samo ze swoją własną tuniką. Wtenczas Maria rozchyliła nogi, lub też rozchyliła je jeszcze podczas snu i tak już została, powodowana przedziwną poranną ospałością albo przecuciem zamężnej kobiety, znającej swoje powinności. Bóg, który jest wszędzie, był i tam, lecz będąc tym, czym jest, a więc czystym duchem, nie mógł zobaczyć jak skóra jednego dotykała skóry drugiego, jak ciało jego wniknęło w ciało jej, obydwie do tego są stworzone, i prawdopodobnie nawet już go tam nie było, kiedy uświęcone nasienie Józefa rozlało się po uświęconym wnętrzu Marii. Oboje zaś uświęciło to, że byli źródłem i pucharem życia. Są doprawdy rzeczy, których sam Bóg nie rozumie, chociaż je stworzył. Wyszedłszy zatem na podwórko, nie mógł Bóg usłyszeć agonalnego głosu, czegoś na podobieństwo rżenia, które wydobyło się z ust mężczyzny w chwili przełomowej, ani tym bardziej cichutkiego jęku, którego kobieta nie była w stanie powstrzymać. Zaledwie minutę, a może nawet mniej, spoczął Józef przytulony do ciała Marii. Podczas gdy ona obciągała swoją tunikę i przykrywała się prześcieradłem, zasłaniając następnie twarz przedramieniem, on na środku domu, z uniesionymi dłońmi, patrząc na sufit, wypowiedział to najstraszniejsze ze wszystkich dziękczynienie, tylko dla mężczyzn zastrzeżone. Pochwalony bądź Panie Boże nasz, królu wszechświata za to, że nie uczyniłeś mnie kobietą. O tej porze Boga bynajmniej nie było już nawet na podwórku, bowiem nie zadrżały ściany domu, ani się nie zawaliły, ani ziemia się nie rozwarła. Jedynie, pierwszy raz zresztą, dało się słyszeć pokorny głos Marii, który brzmiał tak, jak tego należy oczekiwać od kobiet, Pochwalony bądź Panie za to, że mnie stworzyłeś według Twojej woli. Należy zauważyć, że pomiędzy tymi a innymi słowami, znanymi i uznanymi, nie ma żadnej różnicy, Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego. Wyraźnie widać, że ktoś, kto to powiedział, mógł również powiedzieć tamto. Później nieco żona cieśli Józefa podniosła się ze swojej maty, zwinęła ją razem z matą męża i złożyła wspólne prześcieradło.

Żyli Józef z Marią w wiosce zwanej Nazaret, w Galilei, gdzie niewielu mieszkańców niewiele posiadało, w domu takim jak inni, podobnym do pokracznej kostki z cegieł i gliny, biednym pomiędzy biednymi. Żadne tam wymyślności architektoniczne, zaledwie jednolita szablonowość tego samego modelu powtarzanego aż do znudzenia. Z zamiarem zaoszczędzenia pewnej ilości materiałów zbudowano go na zboczu wzgórza, opierając na pochyłości i drążąc do środka, dzięki czemu stworzono całą tylną ścianę. Dało to dodatkową korzyść w postaci ułatwionego dostępu do tarasu, który był jednocześnie dachem. Wiemy już,

że Józef był z zawodu cieślą, dość sprawnym w swym rzemiośle, jednak pozbawionym zmysłu doskonałości wtedy, gdy zamawiano u niego rzeczy bardziej wyszukane. Te niedostatki nie powinny jednak gorszyć niecierpliwych, albowiem zarówno czas, jak i doświadczenie, każde z nich z właściwą sobie powolnością, nie dają jeszcze człowiekowi, który ledwie ukończył dwadzieścia lat i żyje na ziemi o tak kiepskich zasobach i jeszcze mniejszych potrzebach, podstaw do skojarzenia umiejętności warsztatowych z wrażliwością estetyczną do tego stopnia, by można to było dostrzec w codziennej pracy. W każdym bądź razie, nie przykładając do ludzkich zasług jedynie miary zawodowych kompetencji, wypada powiedzieć, że pomimo swego młodego wieku jest ów Józef najpobożniejszym i najsprawiedliwszym spośród tych, których w Nazarecie można spotkać, skwapliwy w synagodze, punktualny w wypełnianiu powinności, a chociaż nie obdarzony przez Boga wymownością mogącą odróżnić go od zwykłych śmiertelników, potrafi celnie rozprawiać i trafnie komentować, przede wszystkim wtenczas, gdy jest do rzeczy wpleść w przemowę jakiś obraz lub metaforę, co z jego rzemiosłem mają związek, na przykład ciesielska obróbka wszechświata. Atoli z racji tego, że na samym początku nie porwały go skrzydła wyobraźni naprawdę twórczej, nigdy w swoim krótkim życiu nie będzie zdolny do skomponowania przypowieści, którą by się pamiętało, to znaczy, która by zasługiwała na pozostanie w pamięci ludzi z Nazaretu i na przekazanie w spadku przyszłym pokoleniom, ani tym bardziej jednego z tych udatnych zakończeń, w których przykładność lekcji w lot się wyczytuje z przejrzystości słów tak świetlanych, że w przyszłości odrzucają wszelkie wtrącone glosy, lub wręcz przeciwnie, wystarczająco mrocznych albo dwuznacznych, aby w dniach jutrzejszych stać się ulubioną pożywką dla uczonych i innych specjalistów.

Jeśli chodzi o przymioty Marii, to na razie nawet gdybyśmy długo szukali, nie odnajdziemy ich więcej, niż należy się spodziewać po kimś, kto jeszcze szesnastu lat nie skończył, i chociaż jest zamężną kobietą, wydaje się, że to tylko kruche dziewczę, innymi słowy, za dziesięć groszy, bo również w tamtym czasie, gdy pieniądze różniły się od dzisiejszych, takich monet nie brakowało. Mimo wątłej figury Maria pracuje jak inne kobiety, gręplując, przedąc i tkając domowe ubiory, piekąc w kuchennym piecu we wszystkie święte dni chleb dla rodziny, schodząc do studni po wodę, a potem wspinając się na zbocze po stromych ścieżkach z opasłym dzbanem na głowie i bańką opartą o biodro, czy wreszcie chodząc pod wieczór po tych drogach i bezdrożach Pańskich po to, by zebrać szczapy drew, zgarnąć chrust, dźwigając na dodatek kosz, do którego nazbiera suchego bydłęcego nawozu i tych ostów, i ciemnistych gałęzi, w które obfitują spadziste wzniesienia Nazaretu, najlepszych, jakie Bóg potrafił wymyślić, do rozpalania ognia i splatania wieńców. Cały ten arsenał

zebrany do kupy stanowiłby ładunek odpowiedniejszy do przewożenia na grzbiecie osła, gdyby nie to, że bydlę pozostawało w służbie Józefa, potrzebne do transportu drewna. Boso idzie Maria do studni, boso idzie na pole, odziana w ubogie szaty, które przy pracy bardziej się jeszcze brudzą i zużywają, które stale trzeba prać i naprawiać, a dla męża są tkaniny nowe i troskliwość większa, bo takie kobiety byle czym się zadowalają. Maria idzie do synagogi, wchodzi bocznymi drzwiami, albowiem tak prawo nakazuje kobietom, i jeżeli, przypuścimy, znajdzie się tam ona oraz trzydzieści towarzyszek, a nawet wszystkie niewiasty z Nazaretu, lub choćby cała żeńska populacja Galilei, tak czy owak będą musiały poczekać, aż przyjdzie przynajmniej dziesięciu mężczyzn, po to, by móc dopełnić kultowego obrzędu, w którym one zaledwie w roli biernych obserwatorek wystąpią. W przeciwieństwie do Józefa, swego męża, Maria nie jest ani pobożna, ani sprawiedliwa, jednak nie ona ponosi winę za te moralne skazy, winien jest język, którym mówi, a raczej ludzie, którzy go wymyślili, jako że w nim słowa sprawiedliwy i pobożny, tak po prostu, nie mają rodzaju żeńskiego.

Pewnego pięknego dnia, mniej więcej po upływie czterech tygodni od tamtego niezapomnianego poranka, kiedy chmury na niebie w nadzwyczajny sposób pojawiły się zabarwione fioletem, Józef przebywał w domu, spożywając kolację, a było to w porze zachodu słońca. Siedział na podłodze i sięgał dłonią do talerza, jak to ówczesnie było w powszechnym zwyczaju, a Maria stojąc czekała, aż on skończy, żeby sama mogła zjeść. Obydwoje milczeli. Jedno dlatego, że nie miało nic do powiedzenia, drugie dlatego, że nie wiedziało jak wyrazić to, co mu chodziło po głowie. Otóż zdarzyło się, że zastukał w podwórkową furtkę jeden z tych zebrzących biedaków, nie taka to znowu rzadkość, jednak u nich epizod dość osobliwy, zważywszy ubóstwo miejsca oraz mieszkańców, nie wspominając już o przebiegłości i doświadczeniu ludzi chodzących po prośbie, biegłych w rachunku prawdopodobieństw, w tym wypadku zupełnie znikomych. Maria jednakże ujęła sporą część z soczewicy z posiekaną cebulą i z cieciorki przyrządzonej jako papka, które miały być jej kolacją, włożyła to do miski i zaniósła żebrakowi, który usadowił się do jedzenia na ziemi na zewnątrz i nie ruszał się stamtąd. Nie potrzebowała Maria głośno prosić męża o zgodę, on sam bowiem dał przyzwolenie, czy też nakazał skinieniem głowy, a wiadomo, że słowa są zbędne w tych czasach, kiedy jeden zwykły gest wystarczy do tego, by zabić lub darować życie, tak jak w cyrkowych igrzyskach przesuwają się kciuk cesarów, wskazując górę albo dół. Ten zmierzch, jakkolwiek inaczej, również był piękny ze swoimi tysiącami niteczek chmur rozrzuconych po przestrzeni. Róża, perła, łosoś, czereśnia, w taki sposób mówimy na ziemi dla lepszego zrozumienia, bowiem te kolory, i wszystkie inne jak wiadomo, nie mają nazw niebiańskich. Bez wątplenia głód żebraka był trzydniowy, a taki jest w istocie głodem

prawdziwym, gdyż w ciągu paru minut wskrobał i wylizał jedzenie i oto już stuka do drzwi, aby oddać miskę i podziękować za miłosierdzie. Maria poszła otworzyć, żebrak stał tam, lecz był nadspodziewanie wysoki, o wiele większy niż wcześniej się wydawał. Zaiste prawdą jest, że istnieje ogromna różnica pomiędzy sytością i głodem, bowiem temu człowiekowi jakby rozblęła twarz i roziskrzyły się oczy, a jednocześnie ubranie, które miał na sobie, stare i postrzępione, wydymało się od wiatru, co nie wiadomo skąd wiał, aż przez to ciągle ożywienie gubił się nasz wzrok do tego stopnia, że w pewnym momencie łachmany wydały się delikatnymi i zbyt drobnymi materiałami, w co można uwierzyć, tylko jeśli się to widzi. Wyciągnęła Maria ręce, żeby odebrać glinianą miskę, która w wyniku doprawdy przedziwnego złudzenia optycznego, przypadkiem zrodzonego przez mieniące się na niebie światła wyglądała tak, jak gdyby przemieniono ją w naczynie z najczystszej złota, a w tej samej chwili, gdy przechodziła ona z jednych rąk do drugich, przemówił żebrak potężnym głosem, bo nawet pod tym względem się biedaczysko zmienił, Niech cię Pan błogosławi, kobieto, i niech ci da wszystkie dzieci, których mąż twój zapagnie, lecz niech nie pozwala ówże Pan, abyś ujrzała je takimi, jakim mnie teraz możesz oglądać, kiedy nie mam gdzie głowy złożyć, o moje po tysiackroć złamane życie. Maria trzymała miskę we wklęsłości swych obu dłoni, puchar ponad pucharem, tak jakby czekała, że żebrak włoży coś do środka, a on bez wyjaśnienia tak zrobił, bowiem pochylił się nisko i podniósł garść ziemi, a następnie unosząc dłoń, przesywał ziemię powoli pomiędzy palcami. Mówił przy tym głucho brzmiącym głosem, Gлина do gliny, proch do prochu, ziemia do ziemi, nic się nie zaczyna, co się nie ma skończyć, wszystko, co się zaczyna, z tego, co się skończyło, się rodzi. Zafrasowała się Maria i spytała, Co to ma znaczyć, a żebrak tylko tyle odpowiedział, Kobieto, masz syna w twoim brzuchu, i to jest jedyne przeznaczenie ludzi, zaczynać się i kończyć, kończyć się i zaczynać, Skąd się dowiedziałaś, że jestem brzemienna, Jeszcze brzuch nie urósł, a już dzieci błyszczą w oczach matek, Jeśli tak jest, mój mąż powinien był dostrzec w moich oczach syna, którego spłodził, Być może nie patrzy on na ciebie, kiedy ty patrzysz na niego, A ty kim jesteś, że nie potrzebujesz słyszeć tego z moich ust, Jestem aniołem, ale nie mów o tym nikomu.

W tej samej chwili błyszczące ubranie na powrót stało się łachmanem, to, co było postacią tytanicznego olbrzyma skurczyło się i wyschło jak polizane gwałtownym językiem ognia. Cudowna przemiana dokonała się, Bogu dzięki, we właściwym czasie, zaraz po niej nastąpił przezorny odwrót, bo już do drzwi zbliżał się Józef, zwabiony szmerem głosów, bardziej przytłumionych niż w czasie normalnej przyzwoitej rozmowy, ale przede wszystkim zaniepokojony przesadnym opóźnieniem żony. Czegóż więcej chciał od ciebie ten biedak,

zapytał, a Maria, nie wiedząc, jakie słowa wyrzec, potrafiła tylko tak odpowiedzieć, Z gliny do gliny, z prochu do prochu, z ziemi do ziemi, nic się nie zaczyna, co się nie kończy, nic się nie kończy, co się nie zaczyna, Tak powiedział, Tak, i powiedział jeszcze, że dzieci mężczyźn błyszczą w oczach kobiet, Popatrz na mnie, Patrzę, Wydaje mi się, że widzę błysk w twoich oczach, były to słowa Józefa, a Maria odpowiedziała, To będzie twój syn. Zmierzch stał się niebieskawy i przybierał już pierwszy kolor nocy, widać było teraz, że ze środka miski rozchodziło się coś na kształt czarnego światła, które zakreślało na obliczu Marii rysy, jakich nigdy nie miała, wydawało się, że oczy należą do kogoś o wiele starszego. Jesteś brzemienna, zapytał w końcu Józef, Tak, jestem, odpowiedziała Maria, Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej, Miałam ci to powiedzieć dzisiaj, czekałam aż skończysz jeść, I wtedy przyszedł ten żebrak, Tak, O czym jeszcze mówił, bo czasu bez wątpienia było dość, Żeby Pan obdarzył mnie wszystkimi dziećmi, których ty zechcesz, Co tam masz w tej misce, że tak błyszczy, Ziemię mam, Próchnica jest czarna, glina zielona, piasek biały, z tej trójki tylko piasek błyszczy, jeśli słońce mu pozwala, a teraz jest noc, Jestem kobietą, nie potrafię wytłumaczyć, on podniósł trochę ziemi i wrzucił ją do środka, wypowiadając jednocześnie te słowa, Ziemia do ziemi, Tak.

Józef poszedł otworzyć furtkę, rozejrzał się na wszystkie strony. Już go nie widzę, zniknął, powiedział, ale Maria oddalała się spokojnie w kierunku domu, wiedziała, iż żebrak, jeśli rzeczywiście był tym, za kogo się podał, pozwoliłby, żeby go zobaczono, tylko gdyby tego chciał. Postawiła miskę na przypiecku, wyciągnęła z paleniska rozżarzony węgiel i zapaliła od niego lampkę, dmuchając w nią aż do wzniecenia małego płomyka. Józef wszedł, na jego twarzy widać było frasunek, usiłował maskować zakłopotanie i nieufność, poruszając się z uroczystą powolnością patriarchy, która wcale do niego nie pasowała z uwagi na tak młody wiek. Dyskretnie, tak aby się to nie rzucało w oczy, poszedł popatrzeć na miskę, na świetlistą ziemię, przybierając minę ironicznego sceptyka, jednakże jeśli miała to być demonstracja męskości, pozbawiona była większego sensu, Maria miała oczy spuszczone, była jakby nieobecna. Józef przemieszał ziemię patykami zaintrygowany tym, że ciemniała, kiedy w niej grzebał, po czym odzyskiwała blask, ponad nieustannym światłem, prawie umierającym, wiły się krótkotrwałe błyski. Nie rozumiem, na pewno jest w tym jakaś tajemnica, chyba że on przyniósł ziemię ze sobą, a tobie się zdawało, że zgarnął ją z podłogi, to czarodziejskie sztuczki, nikt nigdy nie widział, żeby ziemia nazarejska błyszczała. Maria nie odpowiedziała, jadła to, co pozostało z soczewicy z cebulą i z papki z ciecioriki, przegryzając kawałkiem chleba umoczonego w oliwie. Łamiąc go, rzekła, według tego co zapisano w prawie, ale z pokorą należną kobiecie, Pochwalony bądź, Adonai, Boże nasz,

królu wszechświata, przez którego chleb wychodzi z ziemi. Jadła w milczeniu, podczas gdy Józef, pozwalając rozlewać się myślom, tak jakby komentował w synagodze jakiś werset z Tory albo słowo proroków, rozważał zdanie dopiero co usłyszane od żony, które on sam wypowiedział podczas identycznego aktu łamania chleba i starał się wyobrazić sobie, jaki jęczmień by wyrósł i rozwijał się w błyszczącej ziemi, jakiego chleba by przysporzył, jakie światło nosilibyśmy w nas, gdybyśmy z niego uczynili pożywienie. Jesteś pewna, że żebrak zgarnął ziemię z podłogi, spytał ponownie i Maria odpowiedziała Tak, jestem pewna, I wcześniej nie błyszczała, Na podłodze nie błyszczała. Taka stanowczość winna przełamać postawę systematycznej nieufności, której hołduje każdy chyba mężczyzna stający wobec słów i czynów kobiety, zwłaszcza swojej własnej, lecz dla Józefa, tak jak dla każdego męża w tamtych czasach i miejscach, najdosadniejszą nauką była ta, która za najmądrzejszego człowieka uważała kogoś, kto najlepiej potrafi obronić się przed niewiściami fortelami i pułapkami. Mówić do nich mało i słuchać ich jeszcze mniej to dewiza każdego roztropnego mężczyzny pomnego przestróg rabina Józefata ben Johanna, słów najmądrzejszych pomiędzy najmądrzejszymi. W godzinie śmierci rozliczy się mężczyznę z każdej niepotrzebnej rozmowy odbytej z żoną. Zapytał Józef sam siebie, czy ta rozmowa z Marią mogłaby być policzona jako potrzebna i dochodząc do wniosku, że tak, wzięwszy pod uwagę osobliwość wydarzenia, poprzysiągł sobie, że nigdy nie zapomni świętych słów rabiego, swego imiennika. Należy powiedzieć, że Józefat to to samo co Józef, aby nie mieć spóźnionych wyrzutów sumienia w godzinie śmierci, oby Bóg dał, że będzie ona pogodna. I na koniec, zapytawszy sam siebie, czy powinien zawiadomić starszych z synagogi o podejrzanym przypadku nieznanego żebraka i świetlistej ziemi, postanowił, że uczyni tak dla świętego spokoju i bezpieczeństwa domowego ogniska.

Maria skończyła jeść. Wyniosła miski do umycia, z wyjątkiem tej jednak, w której podano żebrakowi. W domu były teraz dwa światła, to od lampki, zmagające się z nocą, która na dobre zapadła, oraz tamten świecący wietrzyk, drżący acz wytrzymały, jakby wysłany przez słońce, które postanowiło nie wschodzić. Siedząca na podłodze Maria jeszcze czekała, że mąż ponownie się do niej zwróci, lecz Józef nie ma jej już nic do powiedzenia, zajęty jest teraz układaniem w myśli zdań do przemowy, którą jutro wygłosi wobec rady starszych. Gniewa go to, że nie wie dokładnie, co zaszło pomiędzy żoną i żebrakiem, co sobie powiedzieli, lecz nie chce pytać jej jeszcze raz, bowiem po pierwsze nie należy się spodziewać, że dorzuci ona coś nowego do tego, co już powiedziała, a po drugie on musiałby przyjąć za prawdziwy opis przedstawiony po dwakroć, jeśli ona natomiast kłamie, on się o tym nie dowie, a ona będzie wiedzieć, że skłamała i kłamie, i śmiać się będzie z niego, kryjąc twarz pod płaszczem, a

przecież istnieją poważne podstawy do tego, by wierzyć, że już Ewa śmiała się z Adama, oczywiście w bardziej zamaskowany sposób, gdyż w tamtych czasach nie miała jeszcze płaszcza, który by ją skrył. Osiągnąwszy to stadium, Józef pokonał kolejną granicę myśli, otóż teraz tajemniczy żebrak jawi mu się jako wysłannik Kusiciela, który wziął pod uwagę to, że czasy tak bardzo się zmieniły, a ludzie są dziś przezorniejsi idlatego nie powtórzył naiwnej propozycji obdarowania zwykłym owocem, raczej wydaje się, że przyniósł obietnicę innej ziemi, świetlistej, wysługując się w tym celu, jak to zwykle bywa, łatwowiernością i przewrotnością kobiet. Głowa Józefowi płonie, lecz zadowolony jest z siebie i z wniosków, do których doszedł. Ze swej strony Maria, nie mając pojęcia ani o meandrach demonologicznej analizy, w jaką zaplątał się mężowski umysł, ani o przypisywanej jej osobie odpowiedzialności, usiłuje zrozumieć dziwne uczucie niedostatku, którego doświadcza od momentu oznajmienia mężowi o swoim stanie. Nie idzie tu o jakiś wewnętrzny brak, na pewno, bowiem zbyt dobrze wie, że od tego momentu, w najpełniejszym znaczeniu tego słowa, jest ona zajęta, raczej ma do czynienia z brakiem zewnętrznym, jak gdyby w jednej chwili świat się zapadł albo odszedł w dal. Przypomina sobie, ale tak jak się przypomina inne życie, że po tym ostatnim posiłku i przed rozwinięciem mat do spania miała coś do zrobienia, a teraz myśli, że nie powinna się ruszać ze swojego miejsca, wpatrzona w światło, które na nią spogląda z krawędzi miski, usadowiona na podłodze, w oczekiwaniu na narodzenie dziecka. Gwoli prawdy, powiedzmy teraz, że tok jej myślenia nie był aż tak bardzo jasny, myślenie końcem końców, już to zostało przez niniejszego albo przez innych powiedziane, jest jak duży kłębek nici, w pewnych miejscach luźny, w innych ściśnięty aż do zdławienia i duszności, co sobie siedzi w głowie, lecz niepodobna poznać całej jego rozległości, trzeba by było ten kłębek rozwinąć, rozciągnąć i na koniec zmierzyć, lecz choćby nie wiadomo ile się próbowało, albo udawało, że się próbuje, raczej nie można tego zrobić bez pomocy, ktoś musi pewnego dnia powiedzieć, gdzie należy uciąć sznur, który łączy człowieka z jego pępkiem i związać myśl z jej przyczyną.

Następnego ranka, po źle przespanej nocy, zakłócanej co i rusz przez koszmarny sen, w którym wpadał do olbrzymiej miski podobnej do rozgwieźdzonego nieba, poszedł Józef do synagogi, by poprosić starszych o radę i lekarstwo. Jego osobliwy przypadek był aż tak bardzo niezwykły, mimo że nie potrafił on sobie wyobrazić do jakiego stopnia, albowiem brakowało mu, jak wiemy, najlepszej części historii, to znaczy znajomości esencji, że gdyby nie doskonała opinia, jaką mieli o nim nazarejscy weterani, być może musiałby wracać tą samą drogą, przepędzony, z płonącymi od wstydu uszami, wysłuchując pobrzmiwającej metalicznym odgłosem sentencji z Księgi Kapłańskiej, którą by go porazili, Kto lekkomyślnie

wierzy, ma lekkomyślne serce, a jemu, biedakowi, nie stało przytomności umysłu, aby z pomocą Tej samej Księgi Kapłańskiej odnieść się do snu, który go prześladował całą noc, Lustro i sny to rzeczy podobne, są jak obraz człowieka widziany przez niego samego. Gdy relacja dobiegła końca, spojrzeli starsi najpierw po sobie, a następnie zwrócili się ku Józefowi, po czym najstarszy z nich, przekładając na bezpośrednie pytanie dyskretną podejrzliwość rady, powiedział, Jest prawdą, całą prawdą i tylko prawdą, to co nam opowiedziałeś, a cieśla odparł, Prawdą, całą prawdą i tylko prawdą, Pan mi świadkiem. Długo rozprawiali starsi między sobą, podczas gdy Józef czekał na boku, aż wreszcie go wezwali, aby mu oznajmić, że z powodu utrzymujących się rozbieżności co do wyboru najodpowiedniejszej drogi postępowania, zdecydowali się wysłać trzech emisariuszy po to, by bezpośrednio wy pytali Marię o dziwne zdarzenie, sprawdzili kim naprawdę był żebrak, którego nikt więcej nie widział, jak wyglądał, jakie dokładnie wypowiedział słowa, czy regularnie pojawiał się w Nazarecie, chodząc po prośbie, ustalając przy okazji, czy sąsiedzi mogą udzielić innych informacji na temat tajemniczej postaci. Radość napełniła serce Józefa, bowiem, chociaż nie chciał tego wyznać, lękał się w pojedynkę stawić czoło żonie ze względu na jej szczególnie obecnie sposób bycia, już to spuszczone oczy, pewnie, tak nakazuje dyskrecja, już to nieodparcie prowokujący wyraz twarzy kogoś, kto wie więcej niż zamierza powiedzieć, ale chce, żeby to zauważono. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że nie zna granic przewrotność kobiet, zwłaszcza tych najbardziej niewinnych.

Wyszli zatem emisariusze, poprzedzani przez Józefa, który pokazywał drogę, a byli to Abiatar, Dotaim i Zacheusz, imiona odnotowano tutaj po to, by oddalić jakiegokolwiek podejrzenia o fałsz historyczny mogące się przypadkiem zrodzić w umysłach tych wszystkich osób, które poznały te fakty za pośrednictwem innych źródeł, godniejszych zaufania z uwagi na tradycje, co nie znaczy, że bardziej autentycznych. Imiona zostały wymienione, faktyczne istnienie postaci, które się nimi posługiwały zostało udowodnione, dalsze wątpliwości tracą wiele ze swej siły, chociaż nie tracą sensu. Było rzeczą niecodzienną to, że na ulicy pokazali się trzej sędziwi emisariusze z targanymi wiatrem brodami i takimiż tunikami, których rozpoznawało się po szczególnym dostojeństwie stawianych kroków. Zgromadziło się wokół nich kilku wyrostków dopuszczających się wybryków właściwych swojemu wiekowi, rozkrzyczanych, roześmianych i rozbieganych, którzy towarzyszyli delegatom przez całą drogę od synagogi aż do domu Józefa, tyle że jego bardzo denerwował ten hałaśliwy i denuncjatorski orszak. Zwabione tym zgiewkiem kobiety z sąsiednich domów wyległy przed drzwiami i przeczuwając nowiny, powiedziały swym dzieciom, by poszły zobaczyć cóż to za zbiegowisko powstało koło domu ich sąsiadki Marii. Na darmo jednak, bowiem tylko

mężczyźni weszli do środka. Drzwi z całą powagą zostały zamknięte, żadnej ciekawskiej kobiecie z Nazaretu aż po dziś dzień nie udało się dowiedzieć o tym, co zaszło w domu cieśli Józefa. Niemniej jednak musiały cokolwiek wymyślić dla zaspokojenia pożerającej je ciekawości, zrobiły więc z żebraka, którego zresztą nigdy nie widziały, złodzieja okradającego domy, co było wielką niesprawiedliwością, bowiem anioł, ale nie mówcie nikomu, że nim był, nie ukradł tego co zjadł, a jeszcze zostawił nadprzyrodzony fant. Podczas gdy dwaj poważniejsi wiekiem starsi przesłuchiwali Marię, najmłodszy spośród nich, Zacheusz, poszedł zorientować się, czy ktoś po sąsiedzku nie widział czasem takiego to a takiego żebraka, odpowiadającego opisowi podanemu przez żonę cieśli, ale żadna z sąsiadek nie potrafiła niczego mu powiedzieć, Nie panie, wczoraj nikt tutaj po prośbie nie chodził, a jak chodził to do moich drzwi nie stukał, musiał to być jakiś złodziej, co po drodze akurat trafił na dom, w którym byli ludzie, udał, że jest żebrakiem, a potem poszedł w inne strony, to taki znany chwyt, stary jak świat.

Wrócił Zacheusz do domu Józefa bez żadnych wieści o żebraku, właśnie wtedy, gdy Maria po raz trzeci albo czwarty powtarzała to, co już wiemy. Wszyscy przebywali w środku, ona na stojąco, niczym oskarżona o jakąś zbrodnię, na podłodze była miska, a w niej, uporczywa jak bijące serce, zagadkowa ziemia, z jednej strony Józef, a z przodu usadowili się na podobieństwo sędziów starsi i przemówił Dotaim, średni pod względem wieku, Nie chodzi o to, że nie chcemy uwierzyć w twoje opowiadanie, ale zwróć uwagę, że ty jesteś jedyną osobą, która widziała tamtego człowieka, o ile był człowiekiem, twój mąż nic o nim nie wie, tylko słyszał jego głos, a teraz przychodzi Zacheusz i mówi nam, że żadna z twoich sąsiadek go nie widziała. Złożę świadectwo wobec Pana, On wie, że prawda płynie z moich ust, Prawda, zgoda, lecz kto wie, czy cała prawda, Wypiję wodę próby Pańskiej i On objawi, czy jestem winna, Próba gorzkich, wód jest dla kobiet podejrzanych o niewierność, nie mogłaś zdradzić twego męża, nie miałaś czasu, Powiadają, że kłamstwo jest tym samym co niewierność, Inne, nie to, Moje usta są tak wierne jak ja sama. Wówczas zabrał głos Abiatar, najstarszy ze starszych, i rzekł, Nie będziemy cię więcej pytać, Pan ci zapłaci siedem razy za prawdę, którą powiedziałaś, albo siedem razy po siedem sobie policzy za kłamstwo, którym nas zwiodłaś. Umilkł i dalej milczał, a potem powiedział, zwracając się do Zacheusza i Dotaima, Co uczynimy z tą ziemią, która świeci, jeśli tu, jak nakazuje roztropność, nie powinna pozostać, albowiem może tak być, że są to szatańskie sztuczki. Rzekł Dotaim, Niech wróci tam, skąd przyszła, do ziemi, niech znowu będzie ciemna, tak jak była przedtem. Powiedział Zacheusz, Nie wiemy, kim był żebrak, ani dlaczego chciał, by tylko Maria go widziała, ani co oznacza blask garstki ziemi na dnie miski. Powiedział Dotaim, Zabierzmy ją

na pustynię i tam rozsypmy, z dala od ludzkiego wzroku, ażeby wiatr ją rozsiał po bezkresie, a deszcz rozmył. Rzekł Zacheusz, Jeśli ta ziemia jest dobrem, nie powinna być zabrana z miejsca, w którym się znajduje, a jeśli przeciwnie, jest złem, niech mu się poddadzą tylko ci, którzy zostali wybrani, aby ją przyjąć. Zapytał Abiatar, Cóż zatem proponujesz, i Zacheusz odpowiedział, żeby wygrzebać tutaj dziurę i złożyć w niej miskę, przykrytą, aby się nie pomieszała z ziemią naturalną, dobro, nawet gdy zakopane, nie ginie, natomiast zło mniejszą będzie miało władzę schowane przed wzrokiem. Rzekł Abiatar, Co ty myślisz, Dotaimie, a ten odpowiedział, To co proponuje Zacheusz jest słuszne, uczynmy tak, jak on mówi. Wtedy Abiatar powiedział do Marii, Wyjdź i pozwól nam działać, Dokąd pójde, spytała ona, a Józef nagle zaniepokojony, Jeśli mamy zakopać miskę, niech to będzie poza domem, nie chcę spać ze światłem pochowanym pode mną. Powiedział Abiatar, Zrobi się tak, jak mówisz, i do Marii, Zostaniesz tutaj. Wyszli mężczyźni na podwórko, a Zacheusz niósł miskę. Niedługo potem słychać było uderzenia motyki, twarde i natarczywe, to Józef kopał, a po kilku minutach głos Abiatar, który mówił, Wystarczy, już jest dość głęboka. Maria podglądała przez szparę w drzwiach, widziała jak mąż skorupą dzbana zakrywa miskę, później opuszcza ją na całą długość ramienia w głąb dziury, po czym wreszcie podnosi się, jeszcze raz chwytając za motykę, spycha ziemię do środka i na koniec ubija ją stopami.

Mężczyźni pozostali jeszcze przez jakiś czas na podwórku, rozmawiając i spoglądając na plamę świeżej ziemi, tak jakby dopiero co ukryli jakiś skarb i chcieli utrwalić w pamięci miejsce. Lecz z pewnością nie o tym mówili, gdyż nagle dało się słyszeć mocniejszy głos Zacheusza, o zabarwieniu żartobliwej przygany, A więc, Józefie, cóż z ciebie za cieśla, kiedy zwykłego łóżka nie umiesz zrobić, a tu teraz żonę masz brzemienną. Zaśmiali się inni, a Józef razem z nimi, po trosze, aby się przypodobać, jak ktoś przyłapany na przewinieniu i udający, że tak nie jest. Maria widziała ich, jak kierują się w stronę furtki i wychodzą, a teraz siedziała na przypiecku i przebiegała oczami po domu, szukając miejsca, w którym ustawi łóżko, jeśli mąż postanowi, że je zrobi. Nie chciała myśleć ani o glinianej misce, ani oświetlistej ziemi, ani też o tym, czy żebrak naprawdę był aniołem, czy tylko błaznem, który przyszedł zabawić się jej kosztem. Kobieta, jeśli obiecują jej do domu łóżko, musi pomyśleć, gdzie będzie dla niego najlepsze miejsce.

Na przełomie miesięcy Tammuz i Av, kiedy w winnicach zbierano winne grona, a pierwsze dojrzałe figi już się zaczynały barwić pomiędzy zielonymi cieniami szorstkich liści, miały miejsce te zdarzenia, jedne pospolite i błahe, jak na przykład cielesne obcowanie męża z żoną i późniejsza rozmowa między nimi, podczas której ona powiedziała jemu, Jestem brzemienna, inne naprawdę niezwykle, jak przypisywanie zapowiedzi tego stanu rzeczy

pewnemu wędrownemu żebrakowi, który z całą słusnością nie powinien był mieć nic wspólnego z ową sprawą, będąc zaledwie autorem nie wyjaśnionego do tej pory cudu związanego ze świetlistą ziemią, umieszczoną zresztą w niedostępnym dla wszelkich badaczy miejscu, a to dzięki nieufności Józefa i roztropności starszych. Nadejdą tam ogromne upały, tam gdzie na gołych ścierniskach pól tylko susza. Nazaret jest szarą wioską otoczoną przez ciszę i samotność, w czasie dusznych dziennych godzin oczekującą na przyjście gwiazdnej nocy po to, by można było usłyszeć oddychanie krajobrazu okrytego ciemnością i muzykę ślizgających się po sobie sfer niebieskich. Po wieczerzy Józef siadywał na podwórku, z prawej strony drzwi, aby odetchnąć świeżym powietrzem, lubił gdy pierwszy rzeński powiew zmierzchu delikatnie dmuchał w jego twarz i brodę. Gdy już na dobre się ściemniło, przychodziła również Maria i tak jak mąż siadała na ziemi, tyle że po drugiej stronie, i tak sobie oboje siedzieli, w milczeniu przysłuchując się odgłosom dobiegającym z domu sąsiadów, życiu rodziny, którą oni jeszcze nie byli, gdyż brakowało dzieci, Oby Pan sprawił, że będzie to chłopiec, myślał Józef niekiedy w ciągu dnia i Maria myślała, Oby Pan sprawił, że będzie to chłopiec, lecz działo się tak z odmiennych powodów. Brzuch Marii rósł niespiesznie, musiały minąć tygodnie i miesiące, żeby można było wyraźnie dostrzec, w jakim stanie się znajdowała, a z racji tego, że niezbyt blisko żyła z sąsiadkami, tak skromną i dyskretną będąc, powszechne było zaskoczenie w okolicy, tak jakby jej brzemiennosc z dnia na dzień się objawiła. Prawdopodobnie milczenie Marii miało inną, bardziej sekretną przyczynę, mianowicie tę, żeby nigdy, dlatego że nigdy tak nie było, nie można było dopatrzeć się związku pomiędzy jej brzemiennoscą i pobytem tajemniczego żebraka, ten środek ostrożności powinien nam się wydać niedorzeczny, a wiemy jak sprawy się miały, gdyby nie zdarzało się, że w chwilach rozluźnienia ciała i nieskrępowanych wędrówek ducha Maria zapytywała siebie samą, Ale dlaczego, święty Boże, jednocześnie przerażona bezsenssem tej wątpliwości i poruszona jakimś wewnętrznym dreszczem płynącym z niepewności co do tego, kto był prawdziwym i rzeczywistym ojcem dziecka, które w niej się kształtowało. Wiadomo, że kobiety znajdujące się w stanie błogosławionym, skłonne są do mdłości i do fantazjowania, czasem znacznie gorszych niż te, które jednak zachowamy w tajemnicy po to, by żadna plama nie padła na dobre imię przyszłej matki.

Czas upływał, powoli następowały po sobie kolejne miesiące Elul, rozgrzany niczym palenisko niósł od południa znad pustyni wiatr, który palił i omiatał powietrze wtedy, gdy daktyle i figi zamieniają się w krople miodu, Tiszri, ze swymi pierwszymi jesiennymi deszczami zmiękczającymi ziemię i wzywającymi pługi do orki pod siew, a gdy nadszedł Heszwan, okres zbioru oliwek, i dni stały się chłodniejsze, Józef postanowił zbić prostą

pryczę, gdyż wiemy, iż do zrobienia łożka zasługującego na taką nazwę brakowało mu umiejętności, na której Maria po tak długim oczekiwaniu mogła wreszcie dać wypocząć swemu ciężkiemu i uciążliwemu brzuchowi. Przez ostatnie dni miesiąca Kisslev i przez cały prawie miesiąc Tebeth padały ulewne deszcze i dlatego Józef musiał przerwać pracę na podwórku, wykorzystując jedynie krótkie przejaśnienia na to, by zająć się większymi robotami, zwykle jednak pracował w środku, tyle ile pozwoliła mu padająca od drzwi jasność, skrobał i wygładzał nie obrobione jarzma, pokrywając podłogę wokół siebie trocinami i zrzynkami, które Maria zamiatała, a następnie wyrzucała na podwórko.

W miesiącu Szvat zakwitły migdałowce, a na samym początku miesiąca Adar, zaraz po świętach Purim, pojawili się w Nazarecie rzymscy żołnierze, którzy ówczesnie przemierzali galilejskie osady i miasta oraz inne części Herodowego królestwa, obwieszczając mieszkańcom, że z rozkazu Cezara Augusta wszystkie rodziny zamieszkujące prowincje zarządzane przez konsula Publiusza Sulpicjusza Kwiryniusza zostały zobowiązane do wzięcia udziału w spisie ludności, który, tak jak inne spisy, miał na celu wyrównanie zaległości w rejestrach rzymskich podatników i musiał być przeprowadzony bez żadnych wyjątków w miejscach, z których dane rodziny pochodziły. Większość ludzi zgromadzonych na placu i słuchających obwieszczenia nie za bardzo się przejęła cesarskim nakazem, bowiem ci urodzeni w Nazarecie i od pokoleń tam zasiedzieli właśnie w Nazarecie mieli stanąć do spisu. Jednakże inni, przybyli z najprzeróżniejszych krain królestwa, z Gaulanitis albo Samarii, z Judei, Perei albo Idumei, z tej i z tamtej strony, z bliska i z daleka, poczęli rozmyślać nad swym położeniem i nad podróżą, jedni i drudzy sarkając nad kapryсами i chciwością Rzymu, jak również nad kłopotami mającymi wynikać z braku rąk do pracy właśnie teraz, gdy zbliżał się czas żęcia lnu i jęczmienia. A ci, co mieli liczne rodziny, malutkie dzieci i sędziwych rodziców albo dziadów, jeśli nie starczało im własnych środków transportu, już się zastanawiali, od kogo by tu można pożyczyć bądź też wynająć za rozsądną cenę jakiegoś osła lub osły, zwłaszcza gdy podróż miała być długa i uciążliwa, z odpowiednim pożywieniem na drogę, bukłakami na wodę, jeżeli trzeba było iść przez pustynię, matami i kocami do spania, naczyniami na jedzenie, czy jakąś dodatkową osłoną, bo przecież deszcze i chłody nie całkiem jeszcze ustąpiły, a czasem trzeba się będzie przespać pod gołym niebem.

Józef dowiedział się o rozporządzeniu z opóźnieniem, kiedy żołnierze wyruszyli już w inne strony, niosąc dalej dobrą nowinę, a mieszkający obok sąsiad, zwany Ananiaszem, przybiegł» aby mu przekazać wiadomość. Był on jednym z tych, którzy nie musieli opuszczać Nazaretu w związku ze spisem. Wywinął się od tego, ponieważ już wcześniej postanowił, że z powodu zbiorów nie pójdzie w tym roku do Jerozolimy na obchody Paschy i dlatego uznał, iż

uniknięcie jednej podróży zwalnia go od odbywania drugiej. Bieży zatem Ananiasz powiadomić swego sąsiada, tak jak przystało, zadowolony, to widać, chociaż wydaje się, że jego twarz w nieco przesadny sposób wyraża to uczucie, da Bóg, iż nie złe wieści, które niesie, do tego się przyczyniają, albowiem nawet najlepsi ludzie są narażeni na najgorsze sprzeczności, a przecież nie za dobrze znamy owego Ananiasza i nie wiemy, czy w tym wypadku chodzi o powtarzający się element normalnego zachowania, czy o złośliwe kuszenie przez szatańskiego anioła, który akurat nie miał nic ważniejszego do roboty. Tak więc zastukał wreszcie Ananiasz do furtki i zawołał Józefa, który zrazu niczego nie usłyszał, gdyż głośno posługiwał się młotkiem i gwoździami. Maria owszem, miała bardziej wyostrzony słuch, lecz to męża przyzywano, jakżeby ona mogła ciągnąć go za rękaw tuniki i mówić, Głuchy jesteś, nie słyszysz, że cię wołają. Głośniejszy krzyknął Ananiasz i ucichł stukot, a Józef wyszedł dowiedzieć się, czego chciał sąsiad. Ananiasz wszedł do środka i po przywitaniu się, spytał tonem kogoś, kto chce uzyskać potwierdzenie, Skąd jesteś, Józefie, a Józef, nie wiedząc dlaczego go o to pytano odrzekł, Z Betlejem w Judei, Niedaleko Jerozolimy, Tak, dość blisko, I wybierasz się do Jerozolimy świętować Paschę, prawda, zapytał Ananiasz, a Józef mu odpowiedział, Nie, w tym roku postanowiłem nie iść, bowiem moja żona bliska jest rozwiązania, Aha, Po co ci o tym wiedzieć. Wtedy Ananiasz wznosił ramiona ku niebu, nadając jednocześnie swej twarzy wyraz nieutulonego żalu, Biedaku, jakże wielka praca cię czeka, jaki znój i trud niezaskuszone, przecież jesteś tak oddany swemu rzemiosłu i będziesz teraz musiał rzucić to wszystko i ruszyć w drogę, tak daleka, pochwalony niech będzie Pan, który za wszystko wynagrodzi i we wszystkim wspomógł. Nie chciał Józef pozostać w tyle z okazywaniem swej pobożności i nie pytając jeszcze sąsiada o powody tej zgrzyoty, powiedział, Pan, jeśli zechce, mnie też wspomógł, a Ananiasz nie zniżając głosu dodał, Tak, dla Pana nic nie jest niemożliwe, owszystkim wie i wszystkiego dosięga, tako na ziemi, jak i w niebie, pochwalony niech będzie przez wieczność całą, ale w tym wypadku, niechże mi wybaczy, nie wiem, czy będzie mógł cię wesprzeć, albowiem pod władzą Cezara jesteś, O co ci chodzi, O to, że byli tutaj żołnierze rzymscy i ogłosili, że do ostatniego dnia miesiąca Nissan wszystkie rodziny Izraela będą musiały wziąć udział w spisie ludności w miejscowościach, z których pochodzą, a ty, biedaku, jesteś z tak daleka.

Zanim jeszcze Józef zdążył odpowiedzieć, na podwórko weszła żona Ananiasza, Szua, i zmierzając wprost do wyczekującej na progu Marii, poczęła biadolić tak jak jej mąż, Ach, biedna, biedna, ach, taka wątła, co z tobą będzie, już niewiele ci brakuje do wydania dziecka na świat, a ty musisz iść nie wiadomo dokąd, Do Betlejem w Judei, wyjaśnił mąż, Och, jakże to daleko, wykrzyknęła Szua, i nie było to próżne gadanie, gdyż pewnego razu, gdy była ona

z pielgrzymką w Jerozolimie, podążyła do pobliskiego Betlejem, aby pomodlić się przed grobem Racheli. Maria nic nie odpowiedziała, oczekiwała, że wpierv przemówi mąż, lecz Józef był podenerwowany, taka ważna wiadomość powinna była być przekazana żonie przez niego, z pierwszej ręki, przy użyciu właściwych słów i przede wszystkim słusznego tonu, a nie w ten prostacki sposób, którym posłużyli się wchodząc do domu rozkrzyczani sąsiedzi. Aby zatuszować swą niechęć, przybrał minę odznaczającą się powściągliwością i powagą i rzekł, Pewne jest, że Bóg nie zawsze chce móc to samo, co może Cezar, lecz Cezar niczego nie może tam, gdzie tylko Bóg może. Zrobił małą przerwę, jak gdyby potrzebował przeniknąć do sedna słów, które wypowiedział i dodał, Będę świętować Paschę w domu, tak jak już zdecydowałem, i pójdę do Betlejem, jeśli tak musi być, a jeśli Pan pozwoli, powrócimy na czas, aby Maria mogła urodzić w domu, ale jeśli stanie się inaczej i Pan nie zechce, wtedy mój syn urodzi się na ziemi swych przodków, Oile nie będzie musiał urodzić się po drodze, szepnęła Szua, jednak nie na tyle cicho, by nie usłyszał jej Józef, który odparł, Wielu było synów Izraela, którzy narodzili się po drodze, więc mój syn będzie kolejnym. Zdanie to miało swoją wagę, było nie do odparcia i jako takie przyjęli je Ananiasz oraz jego żona, którzy nagle zaniemówili. Poszli tam, aby pocieszyć sąsiadów przed czekającą ich przymusową podróżą i okazać im swoją dobroć, a teraz odnieśli wrażenie, że bezceremonialnie wypędza się ich na ulicę, było to wtedy, gdy Maria podeszła tam, gdzie stała Szua i powiedziała jej, żeby weszła do środka, gdyż chciała prosić ją o radę odnośnie wełny, którą miała do zgręplowania, natomiast Józef, pragnąc złagodzić oschłość swej poprzedniej wypowiedzi, odezwał się do Ananiasza, Proszę cię jak dobrego sąsiada, byś podczas mej nieobecności miał pieczę nad moim domem, bowiem nawet gdyby wszystko poszło jak najlepiej, w żadnym razie nie zdołam powrócić przed upływem miesiąca, licząc czas potrzebny na podróż, siedem dni odosobnienia kobiety i to wszystko, co może się wydarzyć, jeśli urodzi się córka, niech Pan nie pozwoli, by do tego doszło. Odpowiedział Ananiasz, że oczywiście, może być spokojny, bo domem się zajmie jak swoim własnym, i zapytał ni stąd, ni zowąd, gdyż wcześniej nie myślał o tym, Czy zechcesz, Józefie, zaszczycić mnie swą obecnością w czasie świętowania Paschy, przyłączając się do moich krewnych i przyjaciół, bo przecież nie masz rodziny w Nazarecie i twoja żona też nie ma od czasu, gdy zmarli jej rodzice, tak bardzo posunięci w latach już w roku jej narodzin, że ludzie nawet dziś pytają, jak to było możliwe, że Joachim spłodził Annie córkę. Odrzekł na to Józef z nutą wesołego napomnienia, Ananiaszu, pamiętaj o gderającym Abrahamie, który nie dowierzał, gdy Pan zapowiedział, że da mu potomstwo, jeżeli dziecko mogło narodzić się ze stuletniego mężczyzny i dziewięćdziesięcioletniej kobiety, a przecież w owych dniach zarówno Joachimowi, jak i

Annie daleko było do zaawansowanego wieku Abrahama i Sary, to o ileż łatwiej było Panu, dla którego nic nie jest niemożliwe, sprawić by moi teściowie doczekali się potomka. Rzekł sąsiad, Inne to były czasy i Pan codziennie objawiał się pod swoją postacią, a nie zaledwie poprzez swoje dzieła, Józef, niezachwiany jeśli chodzi o racje nauki, odpowiedział, Bóg jest czasem, sąsiedzie Ananiaszu, dla Boga cały czas jest jednością, Ananiasz zaś nie był w stanie udzielić żadnej odpowiedzi, nie był to właściwy moment do włączania do rozmowy kontrowersyjnej i nigdy nie rozstrzygniętej polemiki na temat władzy, czy to samoistnej, boskiej, czy to przekazanej, cesarskiej. Wbrew temu, co zdawałoby się sugerować owa błyskotliwość praktycznej teologii, Józef nie zapomniał

Onieoczekiwanym zaproszeniu do wspólnego świętowania Paschy z Ananiaszem i jego bliskimi, nie chciał tylko okazywać zbytniego pośpiechu w przyjmowaniu tegoż zaproszenia, tak od razu postanowił, dobrze wiadomo, iż jest przejawem uprzejmości i dobrego urodzenia wyrażanie wdzięczności za czynione nam przysługi, jednakże bez przesadnego zadowolenia, aby nie doszło do tego, że ktoś pomyśli sobie, iż spodziewamy się czegoś więcej. Wreszcie teraz mu dziękował, wychwalając jego poczucie szlachetności i dobrego sąsiedztwa, akurat wtedy, gdy Szua w towarzystwie Marii wychodziła z domu, tak się do niej zwracając, Masz dobrą rękę do gręplowania, kobieto, Maria zaś poczerwieniała jak panienka, albowiem wobec męża ją chwalono.

Dobre wspomnienie zachowała Maria z tej niosącej obietnice Paschy, gdyż nie musiała uczestniczyć w przygotowywaniu jedzenia

Izwolniono ją z usługiwania mężczyznom. Kobieca solidarność sprawiła, że oszczędzono jej tych prac, Nie męcz się, bo i tak ledwie sobie dajesz radę, w ten sposób powiedziały jej inne kobiety i z pewnością dobrze wiedziały dlaczego, ponieważ prawie wszystkie były matkami. Ograniczyła się zatem do obsługiwania swego męża, który tam był i siedział jak inni mężczyźni na ziemi, pochylała się napełniając jego kubek albo dokładając na talerz nową porcję wiejskich przysmaków, praśnego chleba, chudego mięsa jagnięcia, gorzkich ziół albo placków zrobionych z mąki ze zmielonej szarańczy, którą to przekąskę wysoko sobie cenił Ananiasz, bo taka była tradycja w jego rodzinie, a niektórzy z gości kręcili na nią nosem, zawstydzeni trochę z racji źle skrywanego wstrętu, albowiem w głębi duszy uważali się za nie-

‘ladowania budującego przykładu licznych proroków, styni czynili z potrzeby cnotę, a z szarańczy mannę. Pod koniec uczty biedna Maria siedziała już na uboczu ze swym wielkim brzuchem złożonym na udach, złana potem, nie zwracając uwagi na śmiechy, plotki, opowieści i nieustanne recytacje pism, czując się gotową do ostatecznego opuszczenia tego

świata w każdej chwili, jak gdyby wisiała na jakiejś cienkiej nitce będącej jej ostatnią myślą, czystym aktem myślenia, pozbawionym słów i przedmiotu, wiedząc jedynie o tym, że myśli i nie wiedząc o czym i po co. Ocknęła się nagle, gdyż w jej śnie raptownie wynurzyło się z gęstego mroku oblicze żebraka i jego wielka postać okryta łachmanami, anioł, jeżeli to był anioł, wszedł do snu bez zapowiedzi, nawet nie przywołało go przypadkowe wspomnienie, i przypatrywał się jej pogrążony w myślach, może nawet z leciutkim wyrazem pytającej ciekawości, albo i nie, bo sposobność do zauważenia tego minęła, a serce Marii drżało jak przestraszony ptak i nie wiedziała, czy z powodu strachu, czy też z powodu niespodziewanego i kłopotliwego słowa, które ktoś powiedział jej do ucha. Mężczyźni i chłopcy wciąż siedzieli na ziemi, a zgrane kobiety biegały tam i z powrotem, podając ostatnie potrawy, choć już dawało się zauważyć oznaki sytości i tylko hałas ożywionych winem rozmów się wzmagał.

Maria podniosła się i nikt tego nie zauważył. Noc całkowicie się już zamknęła, światło gwiazd zdawało się wytwarzać na czystym i bezksiężycowym niebie rodzaj pogłosu albo brzęczenia, które wyznaczało graniczne linie tego, co niesłyszalne, jednak żona Józefa wyczuwała je na skórze i w kościach w sposób, którego nie potrafiła wyjaśnić, tak jakby to była delikatna i rozkoszna konwulsja wciąż jeszcze trwająca. Maria przeszła przez podwórko i wyrzała na zewnątrz. Nikogo nie zobaczyła. Furtka jej domu, zaraz obok, była zamknięta tak, jak ją pozostawiła, lecz powietrze poruszało się, jak gdyby ktoś dopiero co tamtędy przebiegł albo przefrunął tak, by zostawić po sobie jedynie ulotny sygnał, którego inni nie potrafiliby zrozumieć.

Po upływie trzech dni wyruszył z Nazaretu cieśla Józef wraz ze swą małżonką i udał się do Betlejem, aby wziąć tam udział w spisie ludności stosownie do rzymskich dekretów, osiągnąwszy wcześniej porozumienie ze swymi klientami, którzy mieli zamówione różne rzeczy, a teraz musieli poczekać aż do jego powrotu, pożegnawszy się ze wszystkimi w synagodze, jak również powierzywszy trosce sąsiada Ananiasza dom i znajdujące się w nim doczesne dobra. Jeśli z powodu opóźnienia w łączności, bądź też zakłóceń w tłumaczeniu symultanicznym, nie dotarła jeszcze do nieba wiadomość o takich rozkazach, zdziwi się bardzo Pan Bóg, widząc radykalnie odmieniony krajobraz Izraela, z gromadami ludzi zdążających we wszystkich kierunkach, podczas gdy rzeczą słuszną i naturalną w tych dniach następujących zaraz po zakończeniu Paschy byłoby przemieszczanie się różnych osób, z wyjątkiem uzasadnionych przypadków, w sposób, rzec by można, odśrodkowy, w stronę domu, a podróż rozpoczynałaby się w jednym punkcie centralnym, ziemskim słońcu albo świetlistym pępku, oczywiście mowa o Jerozolimie. Niewątpliwie siła przyzwyczajenia, choć

zawodna, i boska przenikliwość, absolutna, ułatwia rozpoznanie i identyfikację, nawet z tak wysoka, powolnego ruchu pielgrzymów powracających do swych miast i wiosek. Jednak mimo wszystko, wciąż może mylić wzrok krzyżowanie się owych znanych szlaków z innymi, które, jak się wydaje, zostały wyznaczone dziwnym trafem, i które są, ni mniej ni więcej, niezależnie od tego, czy świętowały Pańską Paschę w Jerozolimie, czy też nie, traktami podlegającymi bezbożnym rozkazom Cezara, chociaż nie kosztowałoby zbyt wiele wysiłku podtrzymanie odmiennej tezy, głoszącej, iż Cezar August bezwiednie wykonuje wolę Pana, jeżeli Bóg naprawdę postanowił, z sobie tylko znanych powodów, że przeznaczenie skieruje Józefa i jego żonę do Betlejem w tym właśnie okresie ich życia. Te rozważania, na pierwszy rzut oka nie na czasie i nie na miejscu, winny być przyjęte jako najstosowniejsze zważywszy, że dzięki nim będziemy mogli obiektywnie podważyć to, co niektóre umysły z przyjemnością by tutaj odnalazły, na przykład fakt samotnego przemierzania przez naszych wędrowców niegościnnych okolic i złowrogich pustkowi bez żywej duszy, bratniej i bliskiej, zdanych jedynie na Boskie miłosierdzie i na wsparcie aniołów. Od razu po wyjściu z Nazaretu widać, że tak nie będzie, bowiem Józef i Maria podróżować będą wraz z dwoma innymi rodzinami, bardzo licznymi, ze starcami, dorosłymi i dziećmi, wszystkiego około dwudziestu osób, a więc prawie jak jakieś plemię. Pewnie, że nie idą oni do Betlejem, jedna z rodzin pozostanie w połowie drogi, w osadzie niedaleko Ramali, a druga pociągnie dalej na południe, aż do BeerSzewy, jednak nawet mimo tego, że wcześniej będą musieli się rozdzielić z powodu nierównego tempa marszu, taka hipoteza jest zawsze prawdopodobna, to wciąż będzie przybywać na drodze nowych podróżnych, nie licząc tych, co zdążać będą w przeciwnym kierunku, być może, któż to wie, aby stawić się na spis w Nazarecie, miejscowości, z której ci teraz wyruszają. Mężczyźni kroczą na czele w zwartej grupie, a razem z nimi chłopcy, którzy ukończyli już trzynaście lat, podczas gdy kobiety, dziewczyny i starszki, bez względu na wiek, tworzą drugą, bezładną grupę i są z nimi mali chłopcy. W chwili poprzedzającej pierwszy krok postawiony na drodze mężczyźni uroczyście wzniesli chóralne dziękczynienie odpowiednie do okoliczności, a kobiety powtórzyły je dyskretnie, niemal bezgłośnie, nauczone, że niczego nie wygra krzykiem ten, co niewielką ma nadzieję, że go wysłuchają, nawet wtedy, gdy nie poprosił ani nie poprosi i wszystko chwalić będzie.

Pomiędzy kobietami Maria jest jedyną brzemienną w tak zaawansowanym stanie i z takimi trudnościami się zмага, że gdyby Opatrzność nie wyposażyła stworzonych przez siebie osłów w nieskończoną wręcz cierpliwość i nie mniejszą siłę, to ta biedna istota całkiem upadłaby na duchu prosząc, żeby ją zostawiono na skraju drogi w oczekiwaniu na swoją godzinę, która, jak wiemy, niebawem miała nadejść i wnet by się okazało gdzie i kiedy,

choć nie są to ludzie z lubością stawiający zakłady, a więc gdzie i kiedy urodzi się syn Józefa, tyle że to właśnie rozumna religia zakazała hazardu. Dopóty dopóki nie nadejdzie owa chwila, czyli przez czas, w którym będzie trwać w oczekiwaniu, Maria może liczyć na mniej niż rzadkie i przelotne objawy troski ze strony męża zabawiającego się rozmowami z innymi mężczyznami, może liczyć, powiedzielibyśmy, na sprawdzoną łagodność i uległy grzbiet zwierzęcia, które samo dziwi się, o ile zmienność życia i ładunków może trafić do oślego rozumu, że nie okłada się go różgą, pozwalając postępować swoim normalnym, wolnym krokiem, swoim i swoich pobratymców, którzy podobnie jak on są w drodze. Z powodu tej różnicy od czasu do czasu grupa kobiet opóźnia się i gdy tak się dzieje, tam na przodzie mężczyźni robią postój, czekając aż one się przybliżą, jednak nie tyle, by mogli się wszyscy ze sobą połączyć, posuwają się nawet do tego, że udają, iż przystanęli tylko, żeby odpocząć, bez wątplenia droga jest dla wszystkich, lecz wiadomo, że tam się źle dzieje, gdzie kura pieje, ona ma gdać przy składaniu jaj, bo tak nakazuje i stanowi naturalny porządek świata, na którym przyszło nam żyć. Jedzie więc Maria na swoim rumaku, kołysana jego łagodnym chodem, królowa między kobietami, bo tylko ona dosiada osła, zaś na pozostałych jadą zwyczajne ładunki. Żeby jednak ulżyć innym, zawsze trzyma na rękach jedno z trojga dzieci wędrujących z gromadą, dzięki czemu odpoczywają ich matki, a ona sama zaczyna przyzwyczajając się do czekających ją obowiązków.

Tego pierwszego dnia podróży, kiedy nogi nie przywykły jeszcze do marszu, przebyty odcinek drogi nie był nadzwyczajnie długi, należy pamiętać, że w tej samej grupie idą starcy i małe dzieci, jedni przeżyli już wiele i postradali wszystkie swe siły, nie mogą więc dłużej udawać, iż je mają, drudzy natomiast nie potrafią gospodarować tymi, które zaczynają mieć, więc trwonią je w przeciągu dwóch godzin obłędnej bieganiny, jak gdyby świat się kończył i warto było wykorzystać jego ostatnie chwile. Zatrzymali się w dużej wiosce zwanej Jizreel, gdzie był karawanseraj, a że w dniach tych, jak już powiedzieliśmy, panował wzmożony ruch, to i napotkali tam zgiełk i zamieszanie nieomal wariackie, choć prawdę powiedziawszy, zgiełk był większy od zamieszania, albowiem po jakimś czasie, kiedy oczy i uszy przystosowały się do warunków, można było pośród tego zgromadzenia ludzi i zwierząt znajdujących się w ciągłym ruchu wewnątrz czterech ścian, najprzód wyczuć, a zaraz potem rozpoznać, jakąś nie zorganizowaną i nieświadomą wolę porządku, było to takie wystraszone mrowisko usiłujące rozeznaczyć się i zebrać do kupy w samym środku swego rozproszenia. Mimo to trzy rodziny szczęśliwie znalazły schronienie w podcieniu, mężczyźni ulokowali się po jednej stronie, a kobiety po drugiej, ale to było później, kiedy noc na dobre zapadła i cały karawanseraj, ludzie i zwierzęta, pogrążył się we śnie. Wcześniej kobiety musiały

przygotować posiłek i napełnić bukłaki w studni, podczas gdy mężczyźni zdejmowali ładunek z osłów i prowadzili je do wodopoju, ale tylko wówczas, kiedy nie było tam wielbłądów, ponieważ te dwoma prostackimi łykami osuszały koryto z wodą i trzeba było je napełniać niezliczoną ilość razy, zanim wielbłądy się nasyciły. Wreszcie, zostawiwszy osły przy żłobie, zasiedli podróżni do jedzenia, poczynając od mężczyzn, gdyż wiemy już, że kobiety we wszystkim drugorzędne miejsce zajmowały, wystarczy przypomnieć po raz kolejny, acz nie ostatni, iż Ewa została stworzona po Adamie i to z jego żebra. Zatem zrozumiemy pewne rzeczy, pod warunkiem, że cofniemy się do źródeł. Gdy zaś mężczyźni już zjedli, a kobiety pożywiały się w swoim rogu tym, co zostało, jeden ze starców mieszkający w Betlejem i zdążający na spis do Ramali, zwany Symeonem, wykorzystując autorytet należny jego wiekowi oraz mądrość, która jak można przypuszczać, była tego bezpośrednim efektem, zwrócił się do Józefa z zapytaniem dotyczącym tego, w jaki sposób wyobraża on sobie swoje postępowanie w wypadku, gdyby zaistniała oczywista sytuacja, w której Maria, jakkolwiek nie wypowiedział jej imienia, nie wydałaby dziecka na świat przed upływem ostatecznego terminu stawienia się do spisu. Chodziło rzecz jasna o kwestię akademicką, jeśli takie słowo odpowiednie jest do czasu i miejsca, bowiem wyłącznie do komisarzy spisowych, najlepiej orientujących się w zawiłościach proceduralnych prawa rzymskiego, należało rozstrzygnięcie spraw tak wysoce wątpliwych, jak owa dotycząca kobiety w zaawansowanej ciąży i stającej do spisu, Idziemy się zapisać i nie można na miejscu stwierdzić, czy ma ona w sobie dziecko płci męskiej, czy żeńskiej, nie mówiąc już o mile widzianym potomstwie bliźniąt tej samej, bądź odmiennych płci. Jako całkowity Żyd, a za takiego się uważał zarówno w teorii, jak i w praktyce, cieśla nigdy by nie pomyślał, żeby odpowiedzieć przy wykorzystaniu prostej logiki zachodniej, że usuwanie usterek znajdujących się w prawie nie jest zadaniem osób, które go mają przestrzegać oraz że, jeśli Rzym nie potrafił przewidzieć tej i innych sytuacji, oznacza to, iż źle mu służą jego prawodawcy i badacze pism. A zatem postawiony wobec trudnego pytania, Józef długo myślał, poszukując w swojej głowie najogłędniejszego sposobu udzielenia odpowiedzi, odpowiedzi, która ukazałaby zebranemu wokół ognia zgromadzeniu jego biegłość argumentowania, a jednocześnie byłaby znakomita w swej formie. Gdy dobiegła końca długotrwała refleksja, cieśla wzniosł oczy, które przez cały czas były utkwione w falujących płomieniach ogniska, i tak powiedział, Jeśli mój syn nie narodzi się przed ostatnim dniem spisu, będzie tak dlatego, że Pan nie chce, by Rzymianie dowiedzieli się o nim i wciągnęli go na swoje listy. Rzekł Symeon, Wielka jest próżność twoja, jeśli przypisujesz sobie wiedzę o tym, czego Pan chce i czego nie chce. Odparł Józef, Bóg zna wszystkie moje drogi i liczy wszystkie moje kroki, możemy odnaleźć te słowa cieśli w

Księżdzie Hioba. W kontekście dyskusji oznaczały one, że tam, w przytomności obecnych i bez wyłączenia nieobecnych Józef uznawał i ślubował swoje posłuszeństwo i pokorę wobec Pana, a każde z tych uczuć sprzeciwiało się szatańskim pretensjom Symeona, który zarzucał mu dążenie do wniknięcia w zagadkowe życzenia Boga. Zapewne tak zrozumiał to starzec, bowiem wyczekująco milczał, co Józef skwapliwie wykorzystał do ponownego zabrania głosu, Dzień narodzin i dzień śmierci każdego człowieka są zapieczętowane i znajdują się pod strażą aniołów od początku świata i jeśli tak spodoba się Panu, łamie pierwszą pieczęć, a później drugą, wielokrotnie robi to jednocześnie, Swą prawą dłonią i Swą lewą dłonią, są też wypadki, gdy tak długo zwleka ze złamaniem pieczęci śmierci, że wydaje się, iż zapomniał o danej istocie. Zrobił przerwę, nieco się zawahał, lecz zaraz zakończył, uśmiechając się chytrze, Oby ta rozmowa nie przypomniała Panu o tobie. Zaśmiali się obecni, lecz półgębkiem, bowiem znać było, że cieśla nie potrafił do końca zachować szacunku należącego weteranowi nawet wtedy, gdy z racji wieku jego sądom nie staje już mądrości i rozważli. Stary Symeon wzdrygnął się nerwowo, ogarnął na sobie tunikę i odpowiedział, Czy aby Bóg nie złamał pieczęci twych narodzin przedwcześnie i nie powinno cię jeszcze być na świecie, jeżeli tak niegrzecznie i zarozumiale zachowujesz się wobec starców, którzy więcej przeżyli i o wszystkim wiedzą lepiej od ciebie. Rzekł Józef, Zapytałeś mnie, Symeonie, w jaki sposób postąpiłbym, gdyby mój syn nie narodził się przed ostatnim dniem spisu, a ja nie mogłem dać ci odpowiedzi na to pytanie, gdyż nie znam prawa Rzymian i jak sądzę, ty również go nie znasz, Nie znam, Zatem powiedziałem ci, Wiem, co mi powiedziałaś, nie zadawaj sobie trudu, by to powtarzać, To ty pierwszy zwróciłeś się do mnie w nieodpowiednich słowach, kiedy zapytałeś mnie, za kogo się uważałem, dążąc do poznania woli Bożej, zanim jeszcze ona się objawi, jeśli cię potem obraziłem, proszę byś mi wybaczył, lecz pierwsza obraza wyszła od ciebie, pamiętaj, że będąc starcem, a co za tym idzie, moim mistrzem, nie możesz dawać obraźliwych przykładów. Wokół ogniska uniósł się dyskretny pomruk aprobaty, cieśla Józef wyraźnie brał górę w tej debacie, ciekawe jak poradzi sobie Symeon, jaką da odpowiedź. I oto ona, pozbawiona polotu i wyobraźni, Jako że winien byłeś szacunek, nie musiałeś więcej odpowiadać na moje pytanie, a Józef odrzekł, Gdybym odpowiedział ci tak, jak tego chciałeś, od razu wyszłaby na jaw pustka całej kwestii, dlatego też będziesz musiał przyznać, choćby wiele cię to kosztowało, że to, co zrobiłem, było oznaką wielkiego szacunku, bowiem dostarczyłem ci, a ty nie zechciałeś tego zrozumieć, sposobności do omówienia tematu, który wszystkich by zainteresował, mianowicie, czy Pan chciałby albo mógłby pewnego razu ukryć Swój naród przed wzrokiem nieprzyjaciela, Teraz mówisz o narodzie Boga, jakby to był twój nie narodzony syn, Nie wkładaj do moich ust, Symeonie,

słów, których nie powiedziałem i nie powiem, słuchaj tego, co należy rozumieć tak albo rozumieć owak. Na tę tyradę Symeon już nie odpowiedział, opuścił krąg i usadowił się w najciemniejszym kącie w towarzystwie innych mężczyzn z rodziny, zobowiązanych solidarnością krwi, lecz w głębi ducha rozgniewanych pośmiewiskiem, które z siebie zrobił patriarcha w słownej potyczce. Tam, w grupie, nakładając się na ciszę, która zapanowała po wygaśnięciu gwaru związanego ze sposobieniem się do snu, ponownie dało się słyszeć głuche falowanie rozmów prowadzonych w karawanseraju przecinanych przez jakiś dźwięczniejszy okrzyk, przez sapanie i parskanie zwierząt, a czasem, przez szorstkie i groteskowe ryczenie pobudzonego rują wielbłąda. Wtedy właśnie, ustalając wspólny rytm recytacji i nie zważając na ostatnie rozdźwięki, wszyscy podróżni z Nazaretu cicho zaintonowali ostatnie i najdłuższe ze skierowanych do Pana dziękczynień odmawianych w przeciągu dnia, choć z uwagi na ich liczebność zabrzmiało ono dość głośno, Pochwalony bądź Boże nasz, królu wszechświata, Który nakazujesz jarzmu snu spadać na moje oczy, a odrętwieniu na moje powieki i Który moim źrenicom nie odbierasz światła. Niech się spełni Twa wola, Panie mój Boże, abym teraz w spokoju zasnął i mógł rano się zbudzić do szczęśliwego i spokojnego życia, pozwól mi stosować się do Twoich zasad i nie dopuść, abym nabył jakichkolwiek występnych skłonności. Nie daj, bym dostał się w okowy grzechu, pokuszenia i wstydu. Spraw, żeby zwyciężyły we mnie dobre skłonności, nie pozwól, by te złe mnie opanowały. Uwolnij mnie od nikczemnych pociągów i śmiertelnych chorób i niech mnie nie nękają złe sny i złe myśli, obym nigdy nie śnił o śmierci. Niewiele minut minęło i najsprawiedliwsi, jeśli nie najbardziej zmęczeni, już spali, niektórzy z nich chrapiąc bez żadnego uduchowienia, a inni nie musieli długo na to czekać, nic poza własnymi tunikami

-

X

- ich nie okrywało, jedynie najstarsi i najmłodsi, tak samo wątli, cieszyli się udogodnieniami wynikającymi ze spania pod grubym prześcieradłem lub skąpym kocem. Ogień, którego nikt nie podtrzymywał, powoli wygasał, nieliczne omdlałe płomienie tańczyły jeszcze na ostatniej głowni zabranej po drodze z myślą o tym właśnie celu. W podcieniu, który udzielił schronienia ludziom z Nazaretu, wszyscy spali. Wszyscy, z wyjątkiem Marii. Nie mogąc się położyć z powodu nienormalnych rozmiarów brzucha, który zdawał się mieścić w sobie olbrzyma, opierała się o juki z ekwipunkiem, poszukując oparcia dla udręczonych nerek. Tak samo jak inni, przysłuchiwała się debacie, w której wzięli udział Józef i stary Symeon, i uradowało ją zwycięstwo męża, bowiem jest to obowiązkiem wszystkich żon, nawet gdy w grę wchodzi takie jak ta, bezkrwawe walki. Jednak już

wyleciało z jej pamięci to, o czym dyskutowali, albo wspomnienie debaty zanurzyło się w doznaniach, które przebiegały wewnątrz jej ciała na podobieństwo przyływów i odpływów oceanu, którego nigdy nie widziała, lecz o którym kiedyś słyszała, nadpływając i odpływając, pomiędzy niespokojnym uderzaniem fal będących dzieckiem wykonującym ruchy, lecz w jakiś szczególny sposób, tak jakby chciało unieść cały jej ciężar na swoich ramionach. Jedynie oczy Marii były otwarte, błyszcząc w półmroku, i błyszczały nawet po całkowitym wygaśnięciu ognia, lecz nie jest to żaden dziw, dzieje się tak ze wszystkimi matkami od samego początku świata, dowiedzieliśmy się przecież o tym wtedy, gdy żonie cieśli Józefa objawił się anioł, który był nim, zgodnie z jego własnym oświadczeniem, pomimo tego, że przybył pod postacią wędrownego żebraka.

Również w karawanseraju koguty piałły o pierwszym świcie, lecz podróżni, kupcy, mulnicy i poganiacze wielbłądów nagłeni przez obowiązki, czekali za ledwie na pierwsze pianie i bardzo wcześnie rozpoczynali przygotowania do kolejnego dnia drogi, obarczając zwierzęta swymi dobrami albo towarami na sprzedaż, podnosząc przy tym wrzawę, która pozwalała oczom, albo używając właściwego słowa, uszom, zapomnieć o wczorajszym zgiełku. Gdy oni wszyscy już sobie pójdą, karawanseraj spędzi kilka dość spokojnych godzin niczym szara jaszczurka wyciągnięta na słońcu, bowiem zostaną tam tylko goście, którzy postanowili wypoczywać przez cały dzień, dopiero wczesnym wieczorem zaczną nadciągać nowa zmiana wędrowców, mniej lub bardziej zakurzonych, lecz jednakowo strudzonych, posiadających wszakże nie naruszone i mocne struny głosowe, przez co zaraz po wejściu zaczną krzyczeć jak opętani przez tysiąc diabłów. To, że grupa z Nazaretu wychodzi stąd powiększona, nie powinno nikogo dziwić, ponieważ dołączyło do niej około dziesięciu osób i myliłby się ten, kto by sobie wyobrażał, że ta ziemia jest pustynią, zwłaszcza w tak świątecznym okresie spisu i Paschy, zgodnie z tym, co już wyjaśniono.

Józef sam rozumiał, że było jego obowiązkiem pogodzić się ze starym Symeonem, nie dlatego, że w ciągu nocy jego argumenty straciły siłę i rację, lecz dlatego, że pouczono go o tym, jak traktować starszych od siebie, a w szczególności sędziwych starców, którzy mają już za sobą kawał życia, a ono domaga się zapłaty za to, odbierając im duszę i rozum, rzadko zresztą młodzież nie okazuje im szacunku. Zbliżył się więc do niego i przemówił powściągliwym tonem, Przychodzę prosić cię o wybaczenie, jeśli wczoraj wydałem ci się zuchwały i pyszałkowaty, nie było wcale moim zamiarem okazanie braku szacunku, lecz wiesz przecież jak to jest, za dobrym słowem idzie złe i w końcu zawsze mówimy więcej, niż byśmy chcieli. Symeon wysłuchał, wysłuchał ze spuszczoną głową, aż wreszcie odpowiedział, Wybaczam ci. Było rzeczą naturalną, iż Józef oczekiwał po upartym starcu

bardziej życzliwej odpowiedzi w zamian za swe szlachetne posunięcie, i wciąż mając nadzieję na usłyszenie słów, na które, jak sądził, zasługiwał, kroczył u jego boku przez dłuższy czas. Lecz Symeon, z oczami skierowanymi na kurz na drodze, udawał, że nie dostrzega jego obecności aż do momentu, gdy cieśla, słusznie znudzony, wykonał gest oznaczający wolę odejścia. Wtedy właśnie starzec, jak gdyby nagle opuszczony przez uporczywą myśl, postawił szybszy krok i złapał go za tunikę, Zaczekaj, powiedział. Zaskoczony Józef obrócił się w jego stronę. Symeon zatrzymał się i powtórzył, Zaczekaj. Przechodzili tamtędy inni ludzie, a ci dwaj stali na środku drogi jak na ziemi niczyjej, pomiędzy oddalającą się grupą mężczyzn i gromadą kobiet z tyłu, coraz bliższą. Ponad głowami można było zobaczyć sylwetkę Marii, kołyszącej się w rytm stąpania osła.

Zostawili za sobą dolinę Jizreela. Droga mozolnie wspiniała się pod pierwsze zbocze, omijając skały, po czym, od zachodniej strony, zapuszczała się w góry Samarii wzdłuż suchych łańcuchów górskich, za którymi, opadając ku rzece Jordan i rozpościerając w kierunku południowym swą piekącą płaskość, pustynia Judejska wypalała pradawną bliznę w ziemi, która została kiedyś pewnym ludziom obiecana, lecz nigdy nie będzie wiedzieć w czyje ręce ma się oddać. Zaczekaj, powiedział Symeon, a cieśla był posłuszny, choć niespokojny i nie wiadomo czym przestraszony. Kobiety były już blisko. Wtedy starzec ruszył ponownie, chwytając się tuniki Józefa, tak jakby siły go opuszczały i rzekł, Wczoraj w nocy, zanim poszedłem spać, miałem wizję, Wizję, Tak, lecz nie była to wizja rzeczy, jak czasem się zdarza, ale raczej wizja tego, co można zobaczyć za parawanem słów, tych, które wypowiedziałeś mówiąc, że gdyby twój syn nie narodził się przed upływem ostatniego dnia spisu, byłoby tak dlatego, że Pan nie chce, aby Rzymianie się o nim dowiedzieli i umieścili na swoich listach, Tak, powiedziałem to, lecz ty widziałeś, Nie widziałem rzeczy, było tak, jakbym nagle zyskał pewność, że byłoby lepiej, gdyby Rzymianie nie dowiedzieli się o istnieniu twego syna, gdyby nikt się o nim nie dowiedział, i że, jeśli on już musi przyjść na ten świat, niech przynajmniej na nim żyje bez krzywdy i bez chwały, tak jak ci mężczyźni tam w przodzie i te kobiety tu w tyle, tak jak ktokolwiek z nas, nieznanymi aż do godziny swej śmierci i po niej, Jeśli ja, ojciec, nie jestem nikim, tylko cieślą z Nazaretu, to żywot, jakiego życzysz mojemu synowi, z pewnością będzie jego udziałem, Nie jesteś jedynym, który decyduje o życiu twego syna, Tak, cała władza jest w Panu Bogu, On wie o wszystkim, Tak było zawsze i my tak wierzymy, Ale powiedz mi o moim synu, czego dowiedziałeś się o moim synu, Niczego, twoje własne słowa mignęły błyskawicą i wydawało mi się, że zawierają inne znaczenie, jak gdybym patrząc pierwszy raz na jajko, widział w nim pisklę, Bóg chciał tego, co zrobił i zrobił to, co chciał, mój syn znajduje się w Jego rękach, ja nic nie

mogę, Zaprawdę tak jest, aczkolwiek w tych dniach Bóg dzieli z kobietą władzę nad dzieckiem, Która później, jeśli urodzi się chłopiec, będzie moja i Boga, Lub tylko Boga, Wszyscy należymy do Niego, Nie wszyscy, niektórzy są podzieleni między Boga i Demona, Jak to poznać, Gdyby prawo na zawsze nie nakazało kobietom milczenia, być może one, z uwagi na to, że wymyśliły tamten pierwszy grzech, z którego wszyscy pozostali się narodzili, potrafiłyby nam powiedzieć to, czego jeszcze nie wiemy, Co, To, z jakiej części boskiej i szatańskiej się składają, jaki gatunek ludzki w sobie noszą, Nie rozumiem cię, wydawało mi się, że mówiłeś

O moim synu, Nie mówiłem o twoim synu, mówiłem o kobietach

Io tym, w jaki sposób dają życie istotom, którymi jesteśmy, o tym, czy dzieje się tak z ich woli i czy wiedzą, że każdy z nas jest tą małością i tą wielkością, tym dobrem i tym złem, tym pokojem i tą wojną, tym buntem i tą pokorą.

Józef spojrzał do tyłu, Maria nadjeżdżała na swym osle, mając przed sobą rozkraczanego chłopczyka, który dosiadał go po męsku, przez chwilę pomyślał, że był to już jego syn i widział Marię jadącą na czele kobiecego wojska powiększonego wcześniej, tak jakby to był pierwszy raz. Dźwięczały wciąż w jego uszach dziwne słowa Symeona, jednakże z trudnością przystawał na to, iż kobieta może być tak ważna, w każdym bądź razie jego własna żona nigdy mu nie dała po sobie poznać, że jest kimś bardziej wartościowym od ogółu innych kobiet. I właśnie wtedy, choć już spoglądał do przodu, stanął mu w pamięci wypadek z żebrakiem i świetlistą ziemią. Zadrżał od stóp do głów, zjeżyły mu się włosy i dreszcz przeniknął ciało, a na dodatek, kiedy ponownie obrócił się w stronę Marii, wyraźnie zobaczył na własne oczy idącego obok niej wysokiego mężczyznę, tak wysokiego, że jego barki górowały nad głowami kobiet i był to, przez te właśnie znaki, żebrak, którego nigdy nie mógł zobaczyć. Spojrzał po raz drugi i on tam był, niewiarygodnie i zupełnie niestosownie obecny, bez żadnej ludzkiej przyczyny, mężczyzna pośród kobiet. Miał Józef poprosić Symeona, by ten również spojrzał do tyłu i potwierdził te niepodobieństwa, lecz starzec podążył w przód powiedziawszy to, co miał do powiedzenia i teraz dołączał już do mężczyzn ze swojej rodziny, ażeby znów objąć zwykłą funkcję najstarszego, a to nigdy nie zajmuje dużo czasu. Wówczas cieśla, nie mając innego świadka, jeszcze raz obrócił się w kierunku żony. Mężczyzny już tam nie było.

Zdążając na południe, przemierzali forsownym marszem całą krainę Samarii, jednym okiem pilnując drogi, a drugim, niespokojnym, lustrując okolice w obawie przed wrogimi uczuciami, jakkolwiek właściwiej byłoby powiedzieć, że przed wstrętem mieszkańców tamtych ziem, spadkobierców niegodziwości i dziedziców herezji dawnych asyryjskich

osadników, którzy przybyli w te strony w czasach Salmanasara, króla Niniwy, po wygnaniu i rozproszeniu Dwunastu Plemion, i którzy mając coś z Żydów, lecz o wiele więcej z pogan, uznają za święte prawo jedynie Pięcioksiąg Mojżesza i twierdzą, że miejscem wybranym przez Boga na swą świątynię nie była Jerozolima, lecz, wyobraźcie sobie, znajdująca się na ich terytorium góra Garizim. Szybko posuwali się Galilejczycy, chociaż i tak musieli spędzić dwie noce na obszarze wroga, pod gołym niebem, wystawiając czujki i warty, aby nie zaatakowali ich zniecała zdolni do najgorszych rzeczy złooczyńcy potrafiący nawet odmówić wody prawdziwemu Hebrajczykowi, umierającemu z pragnienia i nie warto przytaczać tutaj jakichś znanych wyjątków tylko dlatego, że są wyjątkami. Niepokój wędrowców był tak wielki, że odstępując od zwyczaju, mężczyźni podzielili się po drodze na dwie grupy idące przed i za kobietami i dziećmi po to, by je uchronić od zniewag lub czegoś gorszego. Okazało się jednak, że ludzie z Samarii byli w tych dniach usposobieni pokojowo i na pewno, poza spotkanymi w drodze podróżnymi, którzy zaspokajali swą nienawiść, rzucając w stronę Galilejczyków szydercze spojrzenia i nieprzyzwoite słowa, żadna formalna i zorganizowana banda nie zaatakowała ze zboczy ani z ukrycia, nie raziła kamieniami wystraszonego i bezbronnego oddziału.

Na krótko przed przybyciem do Ramali, gdzie najzarliwsi wierni albo też posiadający najbardziej wyostrzone powonienie przysięgali, że wyczuwają już najświętszy zapach Jerozolimy, opuścił grupę Symeon wraz ze swoimi, gdyż jak powiedziano wcześniej, wezmą oni udział w spisie w jednej z okolicznych wiosek. Na samym środku drogi, przy wtórce rozlicznych błogosławieństw, pożegnali się podróżni, matki rodzin zasypały Marię tysiącem zaleceń Wziętych ze swego doświadczenia i tak się wszyscy rozeszli, jedni schodząc w dolinę, w której niebawem będą mogli wypocząć po trudach czterodniowego marszu, a drudzy do Ramali, gdzie w tamtejszym karawanseraju zdołają jeszcze spędzić nadchodzącą noc. Wreszcie w Jerozolimie odłączą się pozostali członkowie grupy, która wyszła z Nazaretu, większa część uda się do BeerSzewy, mając przed sobą jeszcze dwa dni drogi, natomiast cieśla i jego żona zostaną niedaleko, w Betlejem. Pośród zamieszania, uścisków i pożegnań, Józef odwołał na bok Symeona i w bardzo taktowny sposób chciał się dowiedzieć, czy nawiedziło go jakieś nowe wspomnienie tamtej wizji. To nie była wizja, już ci przecież mówiłem, Nieważne co to było, chcę jedynie wiedzieć, jaki los czeka mojego syna, Jeśli nawet swego własnego losu nie możesz poznać, a jesteś tutaj, żywy i rozmawiasz ze mną, w jaki sposób zamierzasz się dowiedzieć o czymś, co jeszcze nie istnieje, Oczy duszy sięgają dalej, dlatego sądziłem, że twoje, otwarte przez Pana na oczywistości dostępne tylko wybranym, zdołały przeniknąć to, co dla mnie jest zwyczajnym mrokiem, Być może nigdy

nie dowiesz się, jakiego losu zazna twój syn, być może twój własny los wkrótce się dopełni, nie pytaj, człowieku, nie pragnij tego wiedzieć, żyj tylko twoim dniem. Wypowiedziawszy te słowa, Symeon położył prawą dłoń na głowie Józefa, zamruczał jakieś błogosławieństwo, którego nikt nie mógł usłyszeć i przyłączył się do oczekujących go krewnych. Krętą ścieżką, jeden za drugim, poczęli schodzić w dolinę, gdzie u podnóża drugiego zbocza, niemal zlewając się z kamieniami wyłożonymi z ziemi jak strudzone kości, leżała wioska Symeona. Józef nie będzie miał więcej żadnych wiadomości od niego, dopiero o wiele później dowie się, że zmarł jeszcze przed przystąpieniem do spisu.

Po dwóch nocach spędzonych na zimnym pustkowiu przy świetle gwiazd, gdyż w obawie przed niespodziewanym atakiem nie rozpalano ognisk, dobrze zrobiło ludziom z Nazaretu zatrzymanie się po raz wtóry w karawanseraju, którego ściany i uskoki zapewniały schronienie. Litościwe kobiety pomogły Marii zsiąść z osła, mówiąc do niej, Już niedługo, a ona biedna szeptała, że tak, z pewnością, bowiem sygnałem tego, dla wszystkich oczywistym, było nagłe, albo tak się tylko zdawało, powiększenie brzucha. Ulokowały ją najlepiej jak tylko mogły, w osobnym kącie, i poszły zająć się wieczerzą, na którą czas już był najwyższy, a wszyscy zgromadzili się do jedzenia. Tej nocy nie było rozmów ani recytacji, ani historii opowiadanych przy ognisku, tak jakby bliskość Jerozolimy zmuszała każdego do milczenia i spoglądania w swoje wnętrze i pytania, Kim jesteś ty, który do mnie jesteś podobny, lecz nie potrafię cię rozpoznać. I nie chodzi o to, że rzeczywiście tak mówiono, ludzie przecież sami ze sobą nie rozmawiają bez powodu, lub też, że świadomie tak myślano, jednakże z pewnością cisza taka jak ta, gdy wpatrzeni jesteśmy w płomień ogniska i milczymy, jeżeli byśmy chcieli przełożyć ją na słowa, będzie się wyrażała właśnie tymi i żadnymi innymi, bowiem te mówią wszystko. Z miejsca, na którym siedział, Józef widział profil Marii na tle blasku rzucanego przez ogień, odbita, czerwona łuna z tej strony oświetlała jej twarz pograżoną w półcieniu, zarysowywując za pośrednictwem gry światła jej profil, i uznał, sam zaskoczony taką myślą, że Maria jest piękną kobietą, jeśli oczywiście już można było ją tak nazywać, widząc jej dziewczęcą twarz, bez wątpienia ciało ma teraz zniekształcone, lecz pamięć przynosi mu odmienny obraz, zwiewny i powabny, a po narodzeniu dziecka wszystko wróci do poprzedniego stanu. Tak sobie Józef rozmyślał, kiedy nieoczekiwany poryw sprawił, że wszystkie minione miesiące wymuszonej wstrzemięźliwości jakby się zbuntowały, natarczywie wzbudzając żądzę, która ogarniała całą jego krew w kolejno napływających falach promieniujących niewyraźnym cielesnym łaknieniem, które zaczynało go odurzać, po czym odpłynęły do punktu wyjścia, rozkołysane przez wyobraźnię i jeszcze potężniejsze. Usłyszał, że Maria wydała westchnienie, ale nie zbliżył się do niej. Przypomnił sobie, a

wspomnienie podziałało na niego jak chluśnięcie zimną wodą i od razu ostudziło lubieżne uczucia, których doświadczał, przypomniał sobie mężczyznę widzianego przelotnie dwa dni wcześniej jak siedł obok jego żony, tego żebraka, który ich prześladował od momentu zapowiedzi brzemienności Marii, bowiem teraz Józef już nie wątpił, że nawet nie pojawiając się ponownie aż do dnia, w którym on sam go mógł zobaczyć, tajemniczy osobnik zawsze był obecny w myślach Marii przez całe dziewięć miesięcy. Nie odważył się zapytać żony, kim był tamten człowiek ani dokąd poszedł, tak szybko zniknąwszy, nie chciał usłyszeć odpowiedzi na bojaźliwe pytanie, bo bardzo się jej obawiał, Mężczyzna, jaki mężczyzna, a gdyby się upierał, Maria z pewnością wezwałaby inne kobiety, żeby zaświadczyły, Widziałyście jakiegoś mężczyznę, siedł jakiś mężczyzna w grupie kobiet, i one powiedziałyby, że nie i potrząsnęłyby głowami ze zgorzzeniem, a być może jedna z nich, ta mająca najostrzejszy język, powiedziałyby, Jeszcze się nie narodził taki mężczyzna, który by się zbliżył do kobiet i z nimi pozostał, chyba żeby mu chodziło o potrzeby ciała. Józef nie mógłby zgadnąć, że zaskoczenie Marii nie było podyktowane żadną złośliwością, bo przecież ona naprawdę nie widziała żebraka, czy to jako człowieka z krwi i kości, czy to jako zjawy. Ale jak to może być prawdą, skoro on tam był, obok ciebie, skoro widziałem go na własne oczy, zapytałby Józef, a Maria, pewna swej racji, odpowiedziałaby, We wszystkim, powiedziano mi, że tak jest zapisane w prawie, kobieta winna jest mężowi szacunek i posłuszeństwo, dlatego nie będę znów powtarzać, że ten człowiek nie siedł u mojego boku, podczas gdy ty podtrzymujesz przeciwną wersję, zaledwie stwierdzam, że go nie widziałam, To był żebrak, Skąd wiesz, jeśli nie widziałeś go w dniu, w którym się pojawił, Musiał być, Raczej byłby to ktoś, kto siedł w swoją stronę, ale że posuwał się wolniej od nas, wyprzedziliśmy go, najpierw mężczyźni, a później kobiety, przypadkiem znalazł się obok mnie, wtedy, gdy akurat spojrzełaś, było tak i nie inaczej, A zatem potwierdzasz, Nie, szukam tylko jakiegoś wyjaśnienia, które by cię zadowoliło, gdyż taki jest również obowiązek dobrych żon. Pomędzy na wpół zamkniętymi powiekami, prawie uśpiony Józef próbuje jeszcze wyczytać prawdę z oblicza Marii, ale jej twarz pociemniała niczym druga strona księżyca, profil stał się zaledwie jedną linią odcinającą się od gasnącej już jasności ostatnich głowni. Józef zwiesił głowę, jak gdyby ostatecznie zrezygnował ze zrozumienia tego wszystkiego, zabierając ze sobą w okowy snu całkiem nedorzeczną myśl, że tamten człowiek mógłby być obrazem jego syna, kiedy ten będzie już dorosły, przybyłym z przyszłości po to, by mu powiedzieć, Pewnego dnia ja będę taki, lecz ty już nie zdołasz mnie takim ujrzeć. Józef spał z uśmiechem rezygnacji na ustach, jednakże przykro by mu było, gdyby usłyszał tak do niego mówiącą Marię, Oby Pan był łaskawszy, gdyż z całą pewnością wiem, że temu

człowiekowi coś się pomieszało. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że wiele rzeczy tego świata można by było poznać, zanim wydarzą się inne, będące ich owocami, gdyby mąż i żona mieli w zwyczaju rozmawiać jak mąż i żona.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, wyruszyła do Jerozolimy większość podróżnych, którzy spędzili noc w karawanseraju, i przez przypadek grupy wędrowców uformowały się w ten sposób, że Józef, chociaż w zasięgu jego wzroku pozostawali ziomkowie zdążający do BeerSzewy, towarzyszył tym razem żonie idąc u jej boku, przy strzemieniu, rzec by można, dokładnie tak samo jak żebrak, lub ktokolwiek by to nie był, w dniu poprzednim. Lecz Józef nie chce w tej chwili myśleć o tajemniczej postaci. Ma wewnętrzną i niezłomną pewność, że Bóg zechciał wyświadczyć mu szczególną przysługę, dzięki której mógł ujrzeć swego własnego syna jeszcze przed narodzeniem, i nie była to mała, nieskończona i hałaśliwa istota owinięta w śmierdzące pieluchy dziecięcej słabości, lecz dorosły mężczyzna, o dobrą piędź wyższy od ojca i od ogółu osobników tej rasy. Józef jest szczęśliwy, zajmując miejsce swego syna, jest jednocześnie ojcem i synem, a to odczucie osiąga takie stadium, że nagle traci znaczenie ten, który jest jego prawdziwym synem, dziecko znajdujące się jeszcze w brzuchu matki zdążającej do Jerozolimy.

Jerozolima, Jerozolima, krzyczą pobożni wędrowcy, widząc miasto pojawiające się jak zjawia na szczycie góry z drugiej strony doliny, miasto doprawdy niebiańskie, centrum świata, rozsyłające teraz we wszystkich kierunkach tysiące iskier południowego słońca, podobne do kryształowej korony, która, jak wiemy, zamieni się w czyste złoto, kiedy dotknie jej światło zachodu i stanie się mlecznobiała w księżycowej poświacie, Jerozolima, o Jerozolima. Świątynia objawia się, jak gdyby Bóg w tym samym momencie ją tam osadził a raptowny powiew, który przebiega powietrze muskając twarz, włosy i ubrania podróżnych oraz pielgrzymów, może być ruchem wywołanym boskim gestem. Jeśli zaś popatrzymy uważnie na chmury na niebie, dostrzeżemy chowającą się olbrzymią dłoń, długie palce ubrudzone gliną i wyrysowane wszystkie linie życia i śmierci ludzi, a także wszystkich innych istot wszechświata, lecz również, już czas się o tym dowiedzieć, linie życia i śmierci samego Boga. Podróżni unoszą do góry drżące od emocji ramiona, wybuchają niepoahamowane dziękczynienia, już nie ma chóru, każdy uniesiony jest swym własnym zachwytem, a niektórzy, z natury powściągliwsi w tych mistycznych przeżyciach, prawie się nie poruszają, patrzą w niebo i wypowiadają słowa z jakąś szorstkością, tak jakby w tej właśnie chwili pozwolono im rozmawiać ze swym Panem jak z równym. Droga stromo opada i w miarę jak podróżni schodzą coraz niżej ku dolinie, aby niebawem rozpocząć wspinaczkę wiodącą do bram miasta, świątynia zdaje się wznosić wyżej i wyżej, zakrywając w rezultacie

zmiany perspektywy przekłętą twierdzą Antonię, gdzie nawet z tej odległości można dostrzec sylwetki rzymskich żołnierzy trzymających straż na tarasie oraz połyskiwanie broni. Tutaj już rozstają się Nazarejczycy, gdyż Maria nie zniosłaby niewrażliwego kłusu swego wierzchowca, chcąc dotrzymać kroku już prawie ogarniętym gonitwą ludziom mającym w polu widzenia mury miasta.

Zostali więc Józef z Marią sami na drodze, ona usiłująca odzyskać utracone siły, on cokolwiek zniecierpliwiony opóźnieniem wynikłym akurat teraz, gdy tak blisko już do miejsca przeznaczenia. Słońce opada pionowo na ciszę, która otacza wędrowców. Nagle głuche, niepowstrzymane westchnienie wydobywa się z ust Marii. Józef niepokoi się, pyta, Czy to zaczynają się bóle, a ona odpowiada, Tak, lecz w tej samej chwili wyraz niedowierzania rozlał się po jej obliczu, jak gdyby dopiero co zetknęła się z czymś, czego nie była w stanie pojąć, chodzi bowiem o to, iż w rzeczywistości poczuła ból nie w swoim własnym ciele, odczuła go jako ból faktycznie dolegający komuś innemu, komu, dziecku, które w sobie nosi, jak to możliwe, że jakieś ciało może czuć nie swój ból, na dodatek wiedząc o tym, atoli po raz kolejny odczuwając go jak swój własny, powiedzmy może inaczej, nie dokładnie w ten sposób i nie za pomocą tych słów, jak echo, które z powodu dziwnych wynaturzeń zjawisk akustycznych, słyszać było lepiej niż głos, który je wywołał. Ostrożnie, trochę jakby od niechcienia, Józef zapytał, Wciąż cię boli, a ona nie wie, jak mu odpowiedzieć, skłamię jeśli powie, że nie, skłamię, jeśli powie że tak, dlatego milczy, ale ból tam jest i ona go czuje, jednak dzieje się tak, jak gdyby ona tylko patrzyła, niezdolna do udzielenia pomocy, a we wnętrzu jej brzucha boli ją ból syna, a ona nic nie może na to poradzić, gdyż jest tak daleko. Nikt nie wykrzykiwał rozkazów, Józef nie posłużył się batem, a jednak coraz przemyślniejszy osioł znów zaczął iść do przodu, sam z siebie wspina się po stromym podejściu wiodącym do Jerozolimy i idzie mu się lekko, jak komuś, kto usłyszał, że oczekuje go pełny żłób i wreszcie będzie mógł solidnie odpocząć, tyle że nie wie, że zanim dotrze do Betlejem, przemierzy spory kawałek drogi i już na miejscu zorientuje się, iż sprawy nie są tak proste, jak się wcześniej wydawało, najlepiej byłoby to, rzecz jasna, zapowiedzieć, Veni, vidi, vici, tak właśnie ogłosił Juliusz Cezar w czasach swojej chwały, a później stało się to, o czym wiadomo, śmierć przyszła do niego z rąk własnego syna, nieważne że zaledwie adoptowanego. Dalekie ma początki i nic nie wskazuje, że znajdzie koniec wojna między rodzicami i dziećmi, dziedzictwo win, wyrzeczenie się rodu, ofiara z niewinności.

Kiedy już wchodzili do miasta, Maria nie mogła powstrzymać okrzyku bólu przeszywającego jak włócznia. Usłyszał ją tylko Józef, gdyż tak wielki był hałas powodowany przez ludzi, znacznie mniej przez zwierzęta, jednak wszystko razem łączyło się

w jarmarczny zgiełk, przez który ledwie można było usłyszeć to, co mówił ktoś stojący obok. Józef chciał być rozsądny, Nie jesteś w stanie podróżować dalej, lepiej będzie, jak poszukamy noclegu tutaj, a jutro ja udam się do Betlejem na spis i powiem, że ty masz rodzić, jeśli będzie trzeba, pójdziesz tam później, bo nie wiem, jak stanowią prawa Rzymian, być może wystarczy, aby stawiała się tylko głowa rodziny, zwłaszcza w takim przypadku, jak ten, a Maria odpowiedziała na to, Już nie odczuwam bólów, i tak było, tamten cios włócznią, który przyprawił ją okrzyk, stał się kluciem kolca, stałym, ale znośnym, czymś, co wciąż przypominało o swej obecności, jak Włosienica. Poczul Józef ulgę tak wielką, jak sobie tylko można wyobrazić, bowiem dręczyła go myśl

Okonieczności poszukiwania schronienia w labiryncie ulic Jerozolimy i to w bardzo przykrych okolicznościach, gdy żona cierpiała na związane z bliskim porodem bóle, a on, jak każdy inny mężczyzna, zatrzwożony był odpowiedzialnością, nie chcąc jednak się do tego przyznać. Sądził, że po dotarciu do Betlejem, które rozmiarami i znaczeniem niewiele będzie odbiegać od Nazaretu, sprawy przybiorą pomyślniejszy obrót, bo przecież wiadomo, że w małych miejscowościach, gdzie wszyscy się znają, solidarność jest zazwyczaj słowem mniej jałowym. Skoro Maria już się nie skarży albo skoro przeszły jej bóle, albo jest w stanie je znieść, tak czy owak, zmierza do Betlejem. Osioł dostaje klapsa w tylną część grzbietu, co, jeśli się dobrze przyjrzymy, nie jest aż takim bodźcem do raźniejszego marszu, dostatecznie utrudnionego przez nieopisane zamieszanie, w którym się znaleźli, jak wyraz serdecznej ulgi malujący się na twarzy Józefa. Kramy rozłożyły się w wąskich uliczkach, ludzie tysiąca ras i języków szturchają się łokciami, a przejście, niby cudem, otwiera się tylko wtedy, gdy u wylotu ulicy pojawia się patrol rzymskich żołnierzy lub grupa wielbłądów i dzieje się tak, jakby rozstały się wody Morza Czerwonego. Stopniowo i cierpliwie, a przy tym zrećnie, dwoje ludzi z Nazaretu wraz ze swym osłem zostawiało za sobą rozgestykulowany

Irozdygotany bazar, ograniczony i zajęty sobą tłum, któremu na nic by się zdała informacja, że oto ten, którego tam widzicie, to Józef, a kobieta dźwigająca brzuch pod brodą ma na imię Maria, oboje zdążają do Betlejem, aby stanąć tam do spisu, i prawdą jest, że to nasze życzliwe ustalenie tożsamości niewiele jest warte, bowiem żyjemy w krainie obfitującej w predestynowane imiona i z łatwością można tu znaleźć Józefów i Marie wśród starych i młodych, wśród biednych i bogatych, rzecz by można, za rogiem. Nie zapominajmy też, że nasi znajomi nie są jedynymi noszącymi te imiona, którzy oczekują na narodziny dziecka, oraz, niech już wszystko zostanie powiedziane, że nie byłoby niczym nadzwyczajnym, gdyby w tym czasie i w tych okolicach, urodziło się jednocześnie, po dwóch stronach ulicy albo pola, dwoje dzieci tej samej płci, męskiej, gdy Bóg da, które z pewnością doświadczą różnego

losu, nawet jeśli byśmy w ostatecznej próbie uznania ówczesnych prymitywnych astrologii nadali im to samo imię, Jezua czyli Jezus. I niech nikt nie mówi, że wyprzedzamy bieg wypadków dając imię dziecku, które dopiero ma się urodzić, wina leży po stronie cieśli, on bowiem już dawno wbił sobie do głowy, że takie imię nada swemu pierworodnemu.

Wyszli wędrowcy z miasta przez południową bramę, obierając drogę wiodącą do Betlejem, lżej im było na duszy, bo tak niewiele brakowało do celu, będą mogli sobie odpocząć po długich i ciężkich marszach, choć kolejny i wcale nie mniejszy trud czeka jeszcze biedną Marię, ponieważ tylko ona i nikt inny wykona pracę związaną z urodzeniem dziecka. Bóg jeden wie gdzie i jak. Sęk w tym, że jakkolwiek według zapisów właśnie z Betlejem wywodzi się ród Dawida, a Józef potwierdza swą przynależność do niego, z upływem czasu wymarli tamtejsi krewni albo też cieśla nie miał od nich żadnych wieści, co stanowi niekorzystną okoliczność pozwalającą domyślać się już teraz, gdy wciąż jesteśmy w drodze, że wiele trudności z zakwaterowaniem napotka to małżeństwo, a po prawdzie Józef nie może tam na miejscu zapukać do którychkolwiek drzwi i powiedzieć, Przychodzę tu z moim synem, który się chce urodzić, na co gospodyni, cała roześmiana i radosna, Proszę, proszę, panie Józefie, woda już zagrzana, mata rozciągnięta na podłodze, lniane płótno przygotowane, proszę się czuć jak u siebie w domu. Działoby się tak w wieku złotym, kiedy wilk po to, by nie zabijać baranka, żywił się dzikimi ziołami, lecz ten wiek jest twardy i żelazny, czas cudów albo już minął, albo dopiero nadejdzie, poza tym cud, cud sam w sobie, choćby nie wiadomo co nam opowiadano, nie jest czymś dobrym, skoro trzeba wypaczać logikę i porządek rzeczy, aby uczynić je lepszymi. Józef ma ochotę zwolnić kroku, ażeby z opóźnieniem zająć się kłopotami, które nań czekają, lecz pamięta o tym, iż o wiele większe kłopoty będzie miał wtedy, gdy syn urodzi się w drodze, i dlatego pogania osła, a zrezygnowane ze zmęczenia zwierzę jest jedyną istotą wiedzącą, dlaczego jeszcze idzie do przodu, bowiem Bóg, jeśli o czymś wie, to raczej o ludziach i też nie o wszystkich, gdyż nie można zliczyć tych, którzy tak jak osły żyją, albo jeszcze gorzej, a Bóg nie stara się, by to sprawdzić i naprawić. Powiedział był Józefowi jeden towarzysz podróży, że jest w Betlejem karawanseraj, opatrnościowy przybytek, który na pierwszy rzut oka rozwiąże problem zakwaterowania tak drobiazgowo przez nas analizowany, jednakowoż nawet wiejski cieśla ma prawo do swoich wstydów, wyobraźmy sobie więc zażenowanie, z jakim ten człowiek widziałby swoją własną żonę wystawioną na niezdrową ciekawość całego karawanseraju szepczącego grubiaństwa, a zwłaszcza tych wszystkich mulników i poganiaczy wielbłądów, dzikich jak bydłeta, z którymi przebywają, albo nawet i gorszych, bo w porównaniu z nimi posiadają boski dar mowy. Postanawia zatem Józef poprosić oradę i wsparcie starszych z

synagogi, dziwiąc się samemu sobie, że wcześniej o tym nie pomyślał. Skoro już mniej trosk leży mu teraz na sercu, uznał, iż dobrze by było zapytać Marię, jak tam jej bóle, jednak nie wyrzekł ani słowa, pamiętajmy, że wszystko to jest brudne i nieczyste, od zapłodnienia aż do porodu, ten straszny organ żeńskiej płci, czeluść i przepaść, siedlisko całego zła świata, labiryntowe wnętrze, krew i wilgoć, upławy, wody płodowe, odrażające łożyska, mój Boże, dlaczego chciałeś, by Twoje umiłowane dzieci, ludzie, rodziły się z nieczystości, podczas gdy o wiele lepiej dla Ciebie i dla nas byłoby, gdyby rodziły się ze światła i z przezroczystości, wczoraj, dziś i jutro, pierwsze, średnie i ostatnie, wszystkie jednakowo, bez żadnej różnicy między szlachcicami i pospólstwem, między królami i cieślami, umieszczałbyś tylko ostrzegawczy znak na tych, którzy dorastając, z nakazu przeznaczenia mieliby się nieodwracalnie stać nieczystymi. Owładnięty tyłoma rozterkami Józef zadał w końcu pytanie tonem na poły obojętnym, tak jakby zajmując się kwestiami wyższego rzędu, łaskawie zechciał dowiedzieć się o pomniejsze przypadłości, Jak się czujesz, zapytał, i była to właściwa sposobność do usłyszenia nowej odpowiedzi, jako że Maria kilka chwil wcześniej zaczęła dostrzegać różnice w natężeniu bólu, którego doświadczała, znakomite słowo, chociaż postawione nie w tym, co trzeba miejscu, bowiem z należytą dokładnością powiedziałyby się, że to bóle doświadczały jej.

Mieli już za sobą ponad godzinę drogi, Betlejem nie mogło być daleko. Wszakże bez wyraźnego powodu, rzeczy nie zawsze przecież występują wspólnie ze swym własnym objaśnieniem, trakt, od momentu opuszczenia przez nich Jerozolimy, był opustoszały, rzecz zasługująca na zdziwienie, ponieważ skoro Betlejem znajduje się tak blisko miasta, powinny się wtedy stale przemieszczać rzesze ludzi i zwierząt. Od miejsca, w którym trakt rozgałęział się o kilka staj za Jerozolimą i jedna odnoga prowadziła do BeerSzewy, a druga do Betlejem, było tak, jakby świat udał się na spoczynek nakryty samym sobą, o ile oczywiście można przedstawić świat jako osobę, powiedzielibyśmy, że nakrył oczy kocem, przysłuchując się zaledwie krokom podróźnych, podobnie jak przysłuchujemy się śpiewowi ptaków, których nie możemy zobaczyć, bo chowają się w koronach drzew, my zresztą też, ponieważ tak nas sobie wyobraża kryjące się pośród listowia ptactwo. Józef, Maria i osioł poczęli przemierzać pustynię, albowiem pustynia nie jest tym, za co powszechnie się ją uważa, pustynia jest wszędzie tam, gdzie nie ma człowieka, choć nie powinniśmy zapominać, iż dość często można napotkać pustynię i śmiertelną suchość w samym środku wielkich tłumów. Po prawej widać grób Racheli, małżonki, na którą Jakub musiał czekać przez czternaście lat, po siedmiu latach służby dali mu Leę i dopiero gdy wypełniło się drugie tyle, ukochaną kobietę, której w Betlejem przyszło umrzeć przy porodzie, a narodzonemu dziecku Jakub dał na imię

Beniamin, co znaczy syn mojej prawicy, ale które ona przed śmiercią nazwała, nie bez racji, Benoni, czyli syn mojej boleści, Bóg da, żeby nie była to zła wróżba. Teraz można już rozróżnić pierwsze betlejemskie domy w kolorze ziemi, tak samo jak i w Nazarecie, lecz te wydają się zagniecione z żółci iszarości i zsiniały pod wpływem słońca. Maria niemal omdlewa, jej ciało przechyla się co i rusz ponad jukami, Józef musi ją podtrzymywać, a ona, aby czuć się pewniej, obejmuje go za szyję ramieniem i szkoda, że jesteśmy na pustyni i nie ma tutaj nikogo, kto mógłby ujrzyć taki piękny widok, tak niezwykajny. W ten sposób wkraczają do Betlejem.

Mimo wszystko Józef zapytał, gdzie znajduje się karawanseraj, gdyż pomyślał, że mogliby tam wypocząć przez resztę dnia i przez noc, zważywszy, że jakkolwiek Maria wciąż skarżyła się na bóle, nie wydawało się, by dziecko miało się narodzić lada chwila. Jednak stojący po drugiej stronie wioski karawanseraj, brudny i gwarny, tak jak wszystkie łączący w sobie bazar i stajnię, choć było jeszcze wcześniej inie był przepelniony, nie posiadał wolnego zacisznego miejsca, a pod koniec dnia miało się jeszcze pogorszyć, wraz z przybyciem mulników i poganiaczy wielbłądów. Wycofali się zatem podróżni, Józef zostawił Marię w cieniu figowca, na małym placu pomiędzy murami domów, a sam poszedł szukać starszych, tak jak to sobie wcześniej obmyślił. W synagodze był tylko zwykły dozorca, który mógł jedynie zawołać jakiegoś bawiącego się w pobliżu chłopaka i kazać mu zaprowadzić przybysza do jednego ze starszych, który, jak można było oczekiwać, coś poradzi. Chciał los, opiekun niewinnych, gdy o nich pamięta, że w tych nowych opałach Józef musiał przechodzić przez plac, na którym zostawił żonę, co wybawiło Marię, bowiem złowrogi cień figowca prawie ją zabijał, cóż za niewybaczalny brak ostrożności ze strony obojga, na ziemi, na której jest tak wielka obfitość tych drzew i gdzie należy wiedzieć, czego złego i dobrego można się po nich spodziewać. Odeszli stamtąd wszyscy jak skazańcy na poszukiwanie starszego, który i tak był na polu i nie miał rychło powrócić, taką odpowiedź dano Józefowi. Cieśla zebrał się więc na odwagę i głośno zapytał, czy w tym domu, czy może w innym, Czy mnie słyszycie, ktoś zechciałby w imię Boga, który wszystko widzi, dać schronienie jego żonie mającej rodzić, z pewnością są tu jakieś ustronne zakątki, maty on sam by przyniósł, I gdzie będę mógł znaleźć w tej wiosce jakąś akuszerkę, która by pomogła przy porodzie, biedny Józef z zażenowaniem mówił o tych poważnych i poufnych rzeczach, a jeszcze bardziej żenował go rumieniec na twarzy towarzyszący tym słowom. Niewolnica, która przyjęła Józefa przy bramie, zaniósła wiadomość do środka, odpowiedź na prośbę przeciągnęła się, iwróciła, oznajmiając, że nie będą mogli tam zostać, niech szukają innego domu, ale niech się wiele nie spodziewają, i że jej pani kazała powiedzieć, że najlepiej byłoby im się schronić w jednej z

licznych jaskiń znajdujących się na tamtych zboczach. A akuszerka, zapytał Józef, na co niewolnica odparła, że za pozwoleniem swoich państwa i jego zgodą ona sama mogłaby pomóc, ponieważ w ciągu długich lat nie brakowało jej w domu okazji do przyglądania się i do nauki. Zaprawdę, bardzo ciężkie są te czasy, potwierdziło się to teraz, gdy pukającej do naszych drzwi brzemiennie kobiecie odmówiliśmy dachu nad głową i kazaliśmy jej rodzic w jakiejś jamie, na podobieństwo wilczyc i niedźwiedzic. Tknęło nas jednakże sumienie i unieśliśmy się z naszego miejsca i skierowaliśmy się do bramy, by zobaczyć kim są ci, co szukają przytułku powodowani tak pilną i niezwykłą potrzebą i kiedy ujrzeliśmy bolesny wyraz twarzy nieszczęsnego stworzenia, ulitowało się nasze kobiece serce i odmierzając słowa uzasadniliśmy odmowę brakiem miejsca w domu, Jest tutaj tyle synów i córek, wnuków i wnuczek, zięciów i synowych, że wy się nie zmieścicie, ale niewolnica zaprowadzi was do groty, która do nas należy i za stajnię nam służy, tam wam będzie wygodnie, bo na razie nie ma zwierząt, a powiedziawszy to i wysłuchawszy podziękowań biednych ludzi powróciliśmy w zacisze naszego domowego ogniska, doświadczając w głębinach duszy niewypowiedzianej ulgi, którą daje spokój sumienia.

Temu przechodzeniu z miejsca na miejsce, ruszaniu i zatrzymywaniu się, proszeniu i pytaniu, towarzyszyło omdlewanie intensywnego błękitu nieba, a słońce niebawem schowa się za tamtą górą. Niewolnica Zelomi, bo tak ma na imię, idzie przodem, wskazując drogę, iniesie garnek z rozżarzonymi węglami do rozpalenia ognia, gliniany dzbanek do podgrzania wody, sól do natarcia noworodka po to, by się nie nabawił żadnego zakażenia. Maria ma ze sobą płótna, a nożem, który Józef trzyma w jukach, odetnie się pępownię, o ile Zelomi nie będzie woląla odgryźć jej zębami, a więc dziecko może się już rodzić, w końcu stajnia nadaje się do tego tak samo jak dom, a tylko ten, kto nigdy nie miał szczęścia spania w żłobie, nie wie, że nic na świecie nie jest tak podobne do kołyski. W każdym bądź razie osłu nie będzie to robiło różnicy, słoma jest taka sama w niebie i na ziemi. Dotarli do jamy około godziny trzeciej, gdy wiszący zmierzch jeszcze złocił wzgórze, a opóźnienie nie tyle wynikało z odległości, ile z tego, że Maria mając już zagwarantowany nocleg, mogła wreszcie oddać się swym cierpieniom i prosiła na wszystkie świętości, by prowadzono ją ostrożnie, bowiem każde potknięcie oślich kopyt na kamieniach przyprawiało ją o śmiertelną trwogę. Wewnątrz jaskini było ciemno, osłabione zewnętrzne światło zatrzymywało się zaraz przy wejściu, ale w krótkim czasie, przytykając garść słomy do rozżarzonych węgli imocno dmuchając, niewolnica rozpałała ognisko, które było jak zorza. Zaraz też zapaliła przytwierdzoną do ściany lampkę i udzieliwszy pomocy kładącej się Marii, poszła po wodę do znajdujących się w pobliżu studni Salomona. Kiedy wróciła, zobaczyła że Józef zupełnie stracił głowę, nie

wiedząc co czynić, lecz nie powinniśmy go ganić, albowiem mężczyźni nie uczą, w jaki sposób należy się zachowywać w takich sytuacjach, oni sami zresztą nie chcą tego wiedzieć, a największą rzeczą, na jaką ich stać, jest ujęcie cierpiącej kobiety za rękę i oczekiwanie, że wszystko dobrze się zakończy. Maria jest jednak sama, świat by się zawalił ze zgrozy, gdyby jakiś Żyd zdobył się w owym czasie na ten mały wyczyn. Weszła niewolnica i powiedziała podnosząc na duchu słowo, Odwagi, po czym uklękła pomiędzy rozwartymi nogami Marii, gdyż tak powinny być rozwarte nogi kobiet przed tym, co wchodzi i przed tym, co wychodzi, Zelomi straciła już rachubę i nie pamięta, ile rodzących się dzieci widziała, a ta biedna kobieta cierpi podobnie do wszystkich innych kobiet, tak jak zostało postanowione przez Pana wówczas, gdy Ewa zbłądziła z powodu swego nieposłuszeństwa, Powiększę cierpienia w czasie twej brzemienności, a twe dzieci narodzą się w bólach, i dziś, po upływie tylu wieków, przy takim nagromadzeniu bólu, Bogu wciąż jest mało iudręka trwa nadal. Józefa już tam nie ma, ani nawet przy wejściu. Uciekł, żeby nie słyszeć krzyków, ale krzyki biegną za nim, jest tak jakby sama ziemia krzyczała, do tego stopnia, że trzej pasterze przebywający w pobliżu ze swymi stadami owiec podeszli do Józefa i zapytali go, Co to jest, zdaje nam się, że ziemia krzyczy, a on odpowiedział, To moja żona rodzi w tamtej jaskini, i oni rzekli, Nie jesteś z tych stron, nie znamy cię, Przybyliśmy z Nazaretu, z Galilei, na spis, w godzinie, w której tu doszliśmy, nasiliły się bóle i teraz się rodzi. Z uwagi na zmierzch ledwie było widać twarze czterech mężczyzn, za jakiś czas ich rysy w ogóle zanikną, lecz głosy wciąż pobrzmiwały, Masz jedzenie, zapytał jeden z pasterzy, Niewiele, odparł Józef, i ten sam głos, Gdy wszystko się zakończy, przyjdź mi powiedzieć, przyniosę ci mleka od moich owiec, i za chwilę dało się słyszeć drugi głos, Ja dam ci sera. Zapadła długa i nie wyjaśniona cisza, aż trzeci pasterz przemówił głosem, który również zdawał się wychodzić spod ziemi, A ja zaniósę mu chleba.

Syn Józefa i Marii urodził się tak, jak wszystkie ludzkie dzieci, zabrudzony krwią matki, lepki od jej śluzu i cierpiący w ciszy. Zapłakał, gdyż kazali mu płakać, i płakać będzie z tego jedyne powodu. Owinięty w płótna spoczywa w żłobie, niezbyt daleko od osła, jednak nie ma niebezpieczeństwa, że ten go ugryzie, ponieważ zwierzę zostało krótko przywiązane. Zelomi wyszła na zewnątrz, żeby zakopać łożysko akurat wtedy, gdy nadchodził Józef. Czekając aż on wejdzie, a sama zostaje oddychając chłodnym, wieczornym powietrzem, zmęczona jakby to jej przyszło rodzić, lecz to tylko wyobraźnia, bowiem swoich dzieci nigdy nie miała.

Schodząc w dół zbocza, zbliżają się trzej mężczyźni. Są to pasterze. Razem wchodzi do jaskini. Maria leży i oczy ma zamknięte. Józef siedzi na kamieniu, wspierając ramię na krawędzi żłobu i wydaje się, że pilnuje syna. Pierwszy pasterz podszedł bliżej i powiedział,

Tymi rękami wydoilem moje owce i zebrałem ich mleko. Maria uśmiechnęła się, otwierając oczy. Wystąpił drugi pasterz i rzekł ze swej strony, Tymimi rękami zrobiłem z mleka ser. Maria skinęła głową i ponownie się uśmiechnęła. Wówczas, trzeci pasterz wysunął się do przodu, przez chwilę zdawało się, że swą ogromną postacią wypełnia całą jaskinię, i przemówił, nie patrząc jednak, ani na ojca ani na matkę narodzonego dziecka, Tymimi rękami zagniotłem chleb, który ci przynoszę, i w ogniu, co tylko w ziemi jest, upiekłem. Maria wiedziała już kim on jest.

Odkąd tylko świat jest światem, na każdego, który się rodzi, przypada jeden, który dogorywa. Tym ostatnim jest teraz król Herod, cierpiący, ponad wszystko najgorsze, co się powie, na straszliwe swędzenie, które doprowadza go do wrót szaleństwa, i które jest jak sto tysięcy niestrudzonych mrówek zaciekle gryzących jego ciało swymi malutkimi szczękami. Po wypróbowaniu, bez żadnych rezultatów, wszystkich balsamów istniejących w znanej części świata, nie wyłączając Egiptu i Indii, tracący głowy królewscy medycy, lub gwoźdźcisi, obawiający się o ich utratę, zabrali się naprędce do przygotowywania kąpieli i maści, mieszając z wodą lub z olejem byle jakie zioła oraz pudry, o których ktoś kiedyś dobrze się wyrażał, choć niekoniecznie musiało to pozostawać w zgodzie ze wskazówkami farmacji. Owładnięty bólem i gniewem król, z pianą występującą na usta niczym od pogryzienia przez wściekłego psa, grozi, że każe ich wszystkich ukrzyżować, jeśli natychmiast nie wynajdą lekarstwa na jego dolegliwości, które, jak już zapowiedziano, nie sprowadzają się li tylko do nieznośnego pieczenia skóry, ale również objawiają się jako drgawki, które nierzadko powalają go na ziemię, czyniąc z niego poskręcany i dogorywający kłębek z oczami wyskakującymi z orbit, z rękami drącymi szaty, pod którymi rozmnażające się mrówki kontynuują dzieło zniszczenia. Rzeczą najgorszą, doprawdy najgorszą, jest gangrena, która wystąpiła w ostatnich dniach, i ta nie wyjaśniona i nie nazwana ohyda, o której się skrycie opowiada w pałacu, a mianowicie robaki grasujące po narządach płciowych królewskiej osoby i pożerające ją żywcem. Krzyki Heroda przetaczają się po pałacowych salach i galeriach, bezpośrednio go obsługujący eunuchowie ani nie śpią, ani nie odpoczywają, pośledniejsi niewolnicy uciekają, by nie stanąć na jego drodze. Włócząc ciało cuchnące od gnicia pomimo perfum, którymi nasycone jest ubranie i wysmarowane są włosy, Herod pozostaje przy życiu tylko dzięki wściekłości. Przenoszony w lektyce, otoczony przez lekarzy i uzbrojonych strażników, przemierza pałac z jednego krańca na drugi w poszukiwaniu zdrajców, których od dawna wszędzie widzi albo się domyśla, a jego palec nagle wskazuje, już to na nadzorcę eunuchów, który zdobywał nadmierne wpływy, już to na opornego faryzeusza, który występował przeciwko naruszającym prawo, podczas gdy sam

wpierw powinien go przestrzegać, w tym wypadku nie trzeba nawet przytaczać imienia, aby się dowiedzieć, o kogo chodzi, już to wreszcie na swych własnych synów, Aleksandra i Arystobula, uwięzionych i wnet skazanych na śmierć przez szlachecki sąd, pospiesznie zwołany celem ogłoszenia tego jedyne go wyroku. Wszelako cóż innego mógł uczynić ten biedny król, skoro w szaleńczych snach widział owych synów zmierzających w jego stronę z obnażonymi mieczami i skoro w najbardziej odrażającym koszmarze oglądał, jak w jakimś lustrze, swoją odciętą głowę. Wreszcie zdołał uwolnić się od strasznego końca, teraz może w spokoju przypatrywać się zwłokom tych, co minutę wcześniej byli jeszcze następcami tronu, swoim własnym synom, winnym spisku, oszustwa i zuchwalstwa, straconym przez powieszenie.

Lecz oto teraz inny koszmar zrodzony w najgłębszych mrokach mózgu, wrywa go przy wtórze okrzyków z krótkiego i niespokojnego snu, w który zapada ze zwykłego wyczerpania, wtedy gdy w jego zmałym umyśle objawia się prorok Micheasz, ten który żył za czasów Izajasza, świadek tamtych strasznych wojen przywleczonych do Samarii i Judei przez Asyryjczyków, i wykrzykuje przeciwko możnym i potężnym, jak przystoi prorokowi i licuje z sytuacją. Pokryty bitewnym pyłem, z tuniką zbrukaną żywą krwią Micheasz zniecka wdiera się do snu pośród grzmotów nie mogących być z tego świata, jak gdyby wypchnął błyskającymi dłońmi olbrzymie drzwi z brązu i oznajmia stentorowym głosem, Pan wyjdzie ze swego mieszkania, zstąpi na ziemię i będzie po niej chodził, po czym grozi, Biada tym, którzy planują nieprawość i obmyślają zło na swych łożach, gdy świta poranek, wykonują je, bo jest ono w mocy ich rąk, aż wreszcie oskarża, Pożądamy pól i zagarniamy je, gdy domów, to je zabierają, biorą w niewolę męża wraz z jego domem, człowieka z jego dziedzictwem. Później, co noc, po każdorazowym wypowiedzeniu tych słów znika jak rozwiany dym, pozostawiając sygnał czytelny tylko dla jednej osoby. Jednakowoż tym, co budzi zlanego potem i ogarniętego lękiem Heroda, jest nie tyle groza wywołana proroczymi okrzykami, ile niepokojące wrażenie, że nocny gość wycofuje się akurat wtedy, gdy się wydaje, iż ma coś więcej do powiedzenia, bo wykonuje jakiś gest, otwiera usta, jednak w końcu zachowuje to na następny raz. Wszyscy wszakże wiedzą, iż ów król Herod nie jest człowiekiem, który by się przestraszył pogroźek, skoro nawet nie trapią go wyrzuty sumienia z powodu tylu istnień zabranych przez śmierć za jego przyczyną. Przypomnijmy, że kazał utopić brata swej żony Mariam, którą kochał ponad życie, że kazał udusić jej dziadka, a na koniec, oskarżywszy ozdradę, ją samą. To prawda, że popadł później w rodzaj delirium, wzywając do siebie Mariam, tak jakby nadal żyła, lecz wyleczył się z obłądzenia wtenczas, gdy odkrył, że jego teściowa, dusza wcześniejszych intryg, knuła spisek mający na celu

odsunięcie go od władzy. W czasie krótszym niż jedno wyznanie wiary niebezpieczna intrygantka dołączyła do panteonu rodziny, której członkiem w złą dla wszystkich godzinie stał się Herod. Pozostali zatem Herodowi jako następcy tronu jego trzech synowie, Aleksander i Arystobul, o których nieszczęsnym końcu już słyszeliśmy, oraz Antypater mający niebawem dostąpić podobnego losu. Jednakże już teraz, bowiem życie nie sprowadza się tylko do tragedii i okropieństw, przypomnijmy dla pociechy i odprężenia ciała, że Herod miał dziesięć małżonek obdarzonych wspaniałą urodą, choć z pewnością w tym czasie na niewiele mu się już przydadzą, podobnie jak i on im. Rozgniewany duch proroka straszący po nocach potężnego króla Judei i Samarii, Perei i Idumei, Galilei i Gaulanitis, Trachonitis, Auranitis i Batanei, znakomitego monarchę, który jest panem tego wszystkiego i sam to stworzył, byłby niczym, gdyby nie nieokreślona groźba, na której każdorazowo zawieszał się sen w momencie, gdy zapowiedziana rzecz nie nadchodziła, a przez to zapowiedź nowej groźby wciąż pozostawała aktualna, jakiej, dlaczego, kiedy.

W tym samym czasie w Betlejem, rzec by można w sąsiedztwie Herodowego pałacu, Józef wraz z rodziną nadal mieszkał w grocie, ponieważ przewidywany okres pobytu nie był długi i nie opłacało się szukać jakiegoś domu, zwłaszcza że już w tamtej epoce problemy mieszkaniowe przyprawiały o ból głowy, a na dodatek nie wymyślono jeszcze socjalnego i lichwiarskiego dobrodziejstwa, jakim jest wynajmowanie pokojów. W ósmym dniu po narodzinach zabrał Józef swego pierworodnego do obrzezania do synagogi, gdzie kapłan przy pomocy kamiennego noża i ze zręcznością praktyka naciął płacziwemu dziecku napletek, którego losy, o napletku mówimy, a nie o chłopcu, ogłyby stanowić kanwę powieści, poczynając od tej chwili, w której jest on tylko bladym kółkiem zakrwawionej skóry, aż do chwalebego święcenia w ósmym wieku naszej ery, gdy papieżem był Paschalis. Gdyby ktoś chciał to zobaczyć, wystarczy, że uda się do parafii alcata znajdującej się w pobliżu włoskiego miasta Viterbo, bo tam właśnie pokazywana jest relikwia mająca służyć podnoszeniu zatwardziały grzeszników i zaspokajaniu ciekawskich niewiernych. Józef powiedział, że jego syn będzie nosił imię Jezus i tak też zostało zapisane w boskich kartotekach, a wcześniej w rejestrach cesarskich. Chłopiec nie mógł się pogodzić z pomniejszeniem, któremu dopiero co uległo jego ciało, zwłaszcza że w zamian nie doszło do żadnego odczuwalnego pomnożenia ducha, i płakał przez całą świętą drogę wiodącą do groty, w której oczekiwała go niespokojna matka, co nie jest rzeczą dziwną, bo przecież pierwsze dziecko to było, Biedaczek, biedaczek, powiedziała, po czym, rozchylając tunikę, podała mu pierś, najpierw lewą, przypuszczalnie dlatego, że jest bliżej serca. Jezus, chociaż nie wie jeszcze, że takie imię nosi, jest na razie małą istotką, taką jak pisklą kur, szczeniak suk, baranek owcy, Jezus

westchnął z rozkosznym zadowoleniem, czując na twarzy delikatny ucisk piersi i wilgotność skóry stykającej się z inną skórą. Usta wypełniły mu się słodkawym smakiem matczyne mleka, a uraz pomiędzy nogami, wcześniej nieznośny, stał się czymś odległym, rozpląwał się w jakiejś przyjemności, która nie przestawała się rodzić, jak gdyby powstrzymywał ją próg, zamknięte drzwi albo jakiś zakaz. Dorastając, zapomni otych pierwotnych doznaniach do tego stopnia, że nie będzie mógł sobie wyobrazić, iż ich doświadczył, tak się dzieje z nami wszystkimi niezależnie od tego, gdzie się urodziliśmy, zawsze z kobiety, i niezależnie od tego, jaki los nas czeka. Gdybyśmy ośmielili się zadać takie pytanie Józefowi, Bóg wybaczy nam tę niedyskrecję, odpowiedziałby że są inne, poważniejsze zmartwienia głowy rodziny stojącej od tej pory wobec problemu wyżywienia dwóch osób, a widok syna ssającego bezpośrednio pierś matki wcale nie odbiera temu stwierdzeniu siły i słuszności. Prawdą jest wszelako, iż Józef ma poważne powody do zmartwienia, a polegają one na tym, że nie wiadomo, jak rodzina ma sobie radzić do czasu powrotu do Nazaretu, ponieważ Maria jest osłabiona po porodzie i nie czuje się na siłach, by odbyć długą podróż, a nie wolno też zapominać, że będzie musiała odczekać, aż skończy się okres nieczystości, trzydzieści i trzy dni są potrzebne do oczyszczenia krwi, licząc od tego, w którym się znajdujemy, a więc od dnia obrzezania. Zabrane z Nazaretu pieniądze, których i tak było mało, już się powoli kończą, a Józef nie może wykonywać tutaj swego zawodu cieśli, skoro brakuje mu narzędzi i nie posiada oszczędności, za które mógłby zakupić drewno. Życie biednych ludzi już wtedy było trudne, a Bóg nie mógł przecież zatroszczyć się o wszystkich. Ze środka groty dobiegła krótka i niewyraźna skarga, natychmiast urwana, znak tego, że Maria zabrała dziecku lewą pierś, podtykając prawą, natomiast zawiedziony chłopiec przez chwilę poczuł ból odzywający się w zranionym miejscu. Niezadługo usnie syty na rękach matki i nie przebudzi się wtedy, gdy z wielką ostrożnością zostanie przez nią ułożony w żłobie, gdzie mu będzie jak pod strażą czulej i wiernej niańki. Siedząc u wejścia do groty, Józef wciąż rozmyśla i dokonuje obrachunków, wie już, że w Betlejem nie może się niczego spodziewać, ani nawet jako najemny robotnik, bo już się o to bezowocnie starał i usłyszał normalne w takich razach słowa, Kiedy będę potrzebował pomocnika, poślę po ciebie, od takich obietnic nie można napelnić żołądka, chociaż ten naród żyje nimi już od chwili swych narodzin.

Doświadczenie po tysiącokroć pokazuje, nawet w wypadku osób niekoniecznie skłonnych do refleksji, że najlepiej można wpaść na dobry pomysł wtedy, gdy pozwoli się myślom na swobodną wędrówkę, śledząc je wszelako z uwagą, która powinna stwarzać wrażenie rozproszonej, jak gdyby myślało się o czymś innym po to, by móc z nagłą na ów pomysł skoczyć niczym tygrys na swą ofiarę. Tak to fałszywe obietnice betlejemskich cieśli

przywiodły Józefa do rozważań o Bogu i o Jego prawdziwych obietnicach, a stąd do jerozolimskiej świątyni i do robót, które przy niej wciąż trwały, przecież to jasne jak słońce, wiadomo, że tam, gdzie się buduje, potrzebni są robotnicy, najpierw murarze i kamieniarze, ale również cieśle do ociosywania belek i wyrównywania desek, a takie podstawowe operacje leżą w zasięgu możliwości Józefa. Jediną wadą tego rozwiązania, przy założeniu, że zostanie tam zatrudniony, jest odległość od miejsca pracy, dobre półtorej godziny żwawego marszu, a w tamtą stronę trzeba cały czas iść pod górę i nie ma żadnego świętego alpinisty, który by pomógł, chyba żeby zabrać osła, ale wówczas Józef będzie musiał rozwiązać problem dotyczący pozostawienia zwierzęcia w bezpiecznym miejscu, bowiem to, że ziemia ta jest wybrana przez Boga, nie oznacza, iż nie ma na niej złodziei, nie trzeba chyba przypominać o tym, co mówi każdej nocy prorok Micheasz. Józef gubił się już pośród tych złożonych zagadnień, kiedy z grotty wyszła Maria, która właśnie skończyła karmić

Isyna i utuliła go w żłobie. Jak się czuje Jezus, zapytał ojciec, zdając Isobie sprawę z pewnej śmieszności tak zadanego pytania, nie potrafiąc [jednak ukryć dumy z tego, że ma syna i może obdarzyć go imieniem. Dziecię czuje się dobrze, odparła Maria, dla której imię było rzeczą [najmniej ważną, mogłaby go nazywać dziecięciem nawet przez całe życie, gdyby nie istniała pewność, że nieuchronnie przyjdą na świat jeszcze inne dzieci i nazywanie wszystkich tak samo spowodowałoby zamieszanie jak w wieży Babel. Pozwalając wychodzić słowom tak, by się zdawało, że głośno myśli i zbytnio się nie spoufala, Józef powiedział, Muszę zatroszczyć się o środki do życia na czas naszego pobytu, w Betlejem nie ma dobrej pracy. Maria nie odpowiedziała, ani nawet nie musiała odpowiadać, była tam tylko po to, by słuchać, mąż i tak był wobec niej uprzejmy. Popatrzył Józef na słońce, obliczając czas, który miał na pokonanie drogi tam i z powrotem, zabrał z jaskini pelerynę i worek, a wychodząc oznajmił, Z Bogiem idę i Bogu się polecam, by dał mi pracę w Swoim domu, jeśli w Swej wielkiej łasce uzna, że na to zasługuje ten, co w Nim pokłada całą nadzieję i jest uczciwym rzemieślnikiem. Założył prawą połę peleryny na lewy bark, zarzucił na nią worek i bez słowa ruszył w drogę.

Zaprawdę są szczęśliwe godziny. Chociaż prace przy świątyni były już bardzo zaawansowane, istniały możliwości zatrudnienia nowych pracowników, zwłaszcza gdy nie mieli nadmiernych wymagań przy ustalaniu dniówki. Józef bez trudności przeszedł przez próby, którym go poddał młodszy majster sprawujący nadzór nad cieślami, co może być wynikiem nieoczekiwanym i zmuszającym nas do zastanowienia się nad tym, czy aby nie byliśmy zbyt niesprawiedliwi w negatywnych komentarzach czynionych od samego początku tej ewangelii w odniesieniu do fachowych umiejętności ojca Jezusa. Ruszył więc z powrotem

świeżo zatrudniony przy świątyni robotnik i składał Bogu liczne dziękczynienia, a po drodze kilkakrotnie zatrzymywał innych wędrowców, aby prosić ich, by razem z nim wychwalali Pana, a oni życzliwie i z uśmiechem spełniali te prośby, gdyż w tym narodzie radość jednego prawie zawsze była radością wszystkich, mówimy rzecz jasna o ludziach prostych. Gdy Józef był już na wysokości grobu Racheli, nasza go myśl, która zrodziła się raczej we wnętrzościach aniżeli w mózgu, że tę kobietę, tak bardzo pragnącą drugiego dziecka, spotkała śmierć właśnie z powodu owego dziecka, niechże to wyrażenie będzie wybaczone, i nawet nie miała czasu na poznanie go, nie było słów ani spojrzeń, jedno ciało odłączyło się od drugiego tak obojętnie, jak owoc spadający z drzewa. Później przyszła myśl jeszcze smutniejsza, myśl, że dzieci zawsze umierają za przyczyną ojców, którzy je spłodzili i matek, które je wydały na świat, i żal mu się zrobiło swego własnego syna niewinnie skazanego na śmierć. Zatrwożony, zmieszany, stojący naprzeciw grobu najukochańszej małżonki Jakuba cieśla Józef opuścił ramiona i zwiesił głowę, całe jego ciało oblało się zimnym potem, a drogą nie przechodził nikt, kogo by mógł poprosić o pomoc. Zrozumiał, że po raz pierwszy w swoim życiu wątpił w sens świata i tak jak ktoś, kto wyrzeka się ostatniej nadziei, głośno powiedział, Umrę tutaj. Być może w innych przypadkach słowa te, jeśli byśmy potrafili je wypowiedzieć z całą mocą i przekonaniem, które przypuszczalnie właściwe są samobójcom, otóż słowa te mogłyby, bez bólu i łez, otworzyć nam, same z siebie, drzwi, którymi wychodzi się ze świata żywych, jakkolwiek ogół ludzi cierpi na nieźrównoważenie emocjonalne, rozprasza ich chmura na wysokości, pająk przedający swoją sieć, pies goniący za motylem, kura grzebiąca w ziemi i gdacząca na swoje dzieci albo coś jeszcze prostszego, coś tak cielesnego jak swędzenie na twarzy, którą się drapie, a później zadaje się pytanie, O czymże to ja myślałem. Z tego właśnie powodu grób Racheli momentalnie stał się tym, czym był, małą budowlą bieloną wapnem i pozbawioną okien, podobną do zgubionej kostki do gry, o której zapomniano, gdyż nie była potrzebna, a kamień zasłaniający wejście poplamiony był potem i brudem z dłoni pielgrzymów, od niepamiętnych czasów tu przybywających, zaś rosnące dookoła oliwki były stare już chyba wówczas, gdy Jakub znalazł tu miejsce ostatniego spoczynku dla biednej matki, poświęcając te z nich, które należało usunąć celem uporządkowania terenu, zatem można stwierdzić, iż przeznaczenie istnieje, przeznaczenie każdego znajduje się w rękach innych. Józef nareszcie stamtąd odszedł, lecz wcześniej pozostawił takie błogosławieństwo, jakie wydawało mu się najstosowniejsze do miejsca i do okazji, oto jak powiedział, Błogosławiony bądź Panie Boże nasz i Boże naszych rodziców, Boże Abrahama, Boże Izaaka i Boże Jakuba, wielki, potężny i cudowny Boże, bądź błogosławiony. Po wejściu do jaskini, nie powiadamiając żony o tym, że załatwił sobie pracę,

Józef podszedł do żłobu i spojrział na śpiącego syna. Rzekł sam do siebie, Umrze, będzie musiał umrzeć, i zabolalo go serce, ale potem pomyślał, że zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy, najpierw on sam umrze, i że jego śmierć, zabierając go spomiędzy żywych i czyniąc nieobecnym, obdarzy syna rodzajem, jak to powiedziec, ograniczonej wieczności, sprzeczność, trudno, wieczności polegającej na trwaniu w czasie, gdy ci, których znaleźmy i kochaliśmy, już nie istnieją.

Nie uprzedził Józef majstra swojej grupy, że zostanie tam tylko przez kilka tygodni, z pewnością nie więcej niż przez pięć, tak by się zdążyło zanieść syna do Świątyni, by matka się oczyściła i by potem można się było już spakować. Milczał w obawie przed tym, że go nie przyjmą, co dowodzi, iż nazarejski cieśla niezbyt dobrze orientował się w stosunkach pracy panujących w jego kraju, prawdopodobnie dlatego, że uważał się za pracownika prowadzącego własną działalność i faktycznie nim był, a zatem pozostawał w oderwaniu od rzeczywistości świata robotniczego, który w tamtych skomplikowanych czasach składał się niemal wyłącznie z robotników najemnych. Uważnie odliczał brakujące dni, dwadzieścia cztery, dwadzieścia trzy, dwadzieścia dwa, a żeby się nie pomylić wykonał naprędce kalendarz na jednej ze ścian grotu, dziewiętnaście, z kreskami, które kolejno zaznaczał, szesnaście, wobec pełnego szacunku zdumienia Marii, czternaście, trzynaście, dziękującej Panu za to, że jej dał, dziewięć, osiem, siedem, sześć, tak wszechstronnie uzdolnionego męża. Pewnego razu Józef powiedział do niej, Najpierw pójdziemy do świątyni i zaraz potem wyruszymy, bowiem już czas wracać do Nazaretu i do klientów, którzy tam zostali, a ona, delikatnie, aby się nie zdawało, że go poprawia, Lecz nie możemy stąd odejść, nie podziękowawszy właścicielce grotu i niewolnicy, która odebrała poród i prawie codziennie tu przychodzi, aby się dowiedzieć, jak się czuje dziecko. Józef nic nie powiedział, nigdy by się nie przyznał do tego, że zapomniał o tak elementarnym geście, a dowodem na to był jego pierwszy zamiar sprowadzający się do zabrania objuczonego osła, zostawienia go w bezpiecznym miejscu na czas obrzędów i rychłego ruszenia w drogę do Nazaretu, by nie uронić ani chwili na podziękowania i pożegnania. Maria miała rację, odejście stamtąd bez słowa byłoby grubiaństwem, lecz jeśliby przy wszystkich okazjach brała górę, zmusiłoby go to do przyznania się do sporych niedostatków w wychowaniu. Przez całą godzinę złościł się na żonę z powodu swojego własnego błędu, takie odczucia zwykle mu pomagały w głuszeniu skrupułów sumienia. Mieli więc zostać dwa albo trzy dni dłużej, pożegnać się tak jak należy, ze wszystkimi ceremoniami, aby nie zostawiać za sobą długów i wątpliwości i wtedy dopiero wyruszyć, pozwalając mieszkańcom Betlejem na zachowanie dobrego wspomnienia o rodzinie pobożnych Galilejczyków, dobrze wychowanych i wywiązujących się ze

zobowiązań, co jest godnym uwagi wyjątkiem zważywszy, że mieszkańcy Jerozolimy i okolic mają raczej kiepskie zdanie na temat ludzi z Galilei.

Nadszedł wreszcie pamiętny dzień, w którym dziecię Jezus zostało zawiezione do Świątyni na rękach matki dosiadającej cierpliwego osła, który od początku towarzyszy i pomaga tej rodzinie. Józef trzyma zwierzę za uzdę, spieszy mu się, gdyż nie chce stracić całej dniówki pomimo tego, że są w przededniu wyruszenia w drogę. Z tego też powodu wyszli z domu tak wcześnie, gdy świeży poranek wypychał jeszcze ostatnie nocne mroki swymi jutrzenkowymi dłońmi. Grobowiec Racheli pozostał z tyłu, a kiedy go mijali, frontowa ściana stykała się z gorącym kolorem granatu i matowa noc już jej nie przydawała trupiej bladeści, a księżyc ani nie oświetlał z wysoka groźną kościaną bielą, ani, wschodząc, nie oblewał krwią. W pewnej chwili dziecię Jezus przebudziło się, lecz tym razem już naprawdę, bowiem wcześniej zaledwie otworzyło oczy, gdy matka opatulą je przed drogą, a teraz domagało się pożywienia swym płaczącym głosem, jedynym, jaki na razie posiada. Któregoś dnia, tak jak każdy z nas, innych głosów się nauczy, a dzięki nim będzie w stanie wyrazić inne głody i innych łez doświadczy.

Już niedaleko do Jerozolimy, na stromym stoku rodzina zmieszała się z tłumem podróżnych i kupców napływających do miasta, zdawało się, że wszyscy chcą tam dotrzeć pierwsi, jednak dla ostrożności, miarkowali pośpiech i tłumili podniecenie, widząc pary rzymskich żołnierzy pilnujące zbiegowisk oraz grupki najemnych żołdaków Heroda, wśród których można było znaleźć wszystko, żydowskich rekrutów, jak najbardziej, lecz również Idumejczyków, Galatów i Traków, Germanów i Galów, a nawet Babilończyków mających sławę najzręczniejszych łuczników. Józef, cieśla i człek spokojny, bojownik używający pokojowych broni zwanych strugami i ośnikami, młotkami i tłuczkami, gwoździami i bolcami, ma wobec tych śmiałków mieszane uczucia, wiele strachu, trochę pogardy, co sprawia, że czuje się nieswojo, jest to widoczne nawet w sposobie patrzenia. Dlatego idzie ze spuszczonej oczami, a Maria, ta która zawsze siedzi w domu, a przez ostatnie tygodnie na dodatek chowa się w jaskini, odwiedzana tylko przez pewną niewolnicę, właśnie Maria rozgląda się ciekawie dookoła, ze zrozumiałą dumą unosząc brodę, gdyż ma ze sobą swego pierworodnego, ona, słaba kobieta, lecz, jak widać, zdolna do dania dzieci Bogu i swemu mężowi. Do tego stopnia promieniuje szczęściem, że niektórzy nieokrzesani i prostacy najemnicy galijscy oblond włosach i zwisających wąsach, z bronią w rękach, lecz przypuszczalnie o sercach złagodniałych na widok młodej matki i jej pierwszego syna, ci zahartowani wojownicy, w czasie mijania rodziny uśmiechają się, pokazując, z pewnością zgniłe zęby, lecz liczą się przecież intencje. A oto świątynia. Widziana z tak bliska, z

niższego planu, na którym się znajdujemy, jest budowlą przyprawiającą o zawrót głowy, górą kamieni umieszczonych na kamieniach, a niejednego z nich żadna siła na świecie by chyba nie obrobiła, uniosła, osadziła i dopasowała, a jednak tam są, tak jakby cały świat był konstrukcją dającą się zmontować, spojone za pomocą własnego ciężaru bez żadnej zaprawy aż po najwyższe gzymsy, które widziane z dołu zdają się muskać niebo niczym wieża Babel, której boska opieka nie zdołała ochronić przed zgubą, gdyż jej przeznaczeniem była ruina, zamęt, przelana krew i głosy po tysiakkroć pytające, Dlaczego, licząc na to, że istnieje odpowiedź, choć wcześniej czy później umilkną, bowiem tylko cisza jest pewna. Józef zostawił osła w karawanseraju dla bydła, gdzie w okresie Paschy i innych świąt wielbłądy nie miały miejsca nawet na oganianie się od much, ale w tych dniach, po upływie terminu spisu i powrocie wędrowców do swych domów, panował tu normalny ruch, a w tej chwili jeszcze mniejszy z uwagi na wczesną porę. Niemniej jednak na Dziedzińcu Pogan, znajdującym się pomiędzy właściwym budynkiem Świątyni i wielkim czworobokiem arkad, gromadził się już tłum różnych ludzi, tych co zmieniali pieniądze, sprzedawców ptaków, koziołków i jagniąt, pielgrzymów zawsze przybywających z wielu powodów, jak również obcokrajowców, których tu przywiodła ciekawość, bowiem chcieli zobaczyć świątynię budowaną z rozkazu króla Heroda, a opowiadano o niej na całym świecie. Ogrom dziedzińca sprawiał, że ktoś stojący na przeciwnym jego krańcu nie wydawał się większy od malutkiego owada, tak jakby Herodowi architekci, przyjmując boskie spojrzenie, chcieli podkreślić znikomość człowieka wobec Wszechmogącego, zwłaszcza jeśli chodzi o pogan. Albowiem Żydzi, o ile nie przychodzą tu na leniwą przechadzkę, mają na środku dziedzińca swój cel, pępek pępków, świętość świętości. Tam zmierza cieśla i jego żona, tam jest niesiony Jezus po kupieniu przez ojca pary synogarlic od funkcjonariusza świątyni, przy założeniu, że jest to stosowne określenie osoby dzierżącej monopol w tym religijnym handlu. Biedne ptaszki nie wiedzą, co je czeka, choć zapach mięsa i spalonego pierza unoszący się w powietrzu nie powinien nikogo zmylić, nie mówiąc już o tych znacznie mocniejszych, jak zapach krwi albo zapach odchodów zostawionych przez wleczone na ofiarę nieszczęsne woły, które zanieczyszczają się zdjęte strachem. Józef niesie skulone synogarlice we wklęsłości swych dużych dłoni robotnika, a omamione ptaki z czystym zadowoleniem delikatnie dziobią go w palce zgięte na kształt klatki, tak jakby chciały powiedzieć nowemu właścicielowi, Bardzo dobrze, że nas kupiłeś, chcemy z tobą zostać. Maria na nic nie zważa, jej oczy zwrócone są tylko na syna, a skóra Józefa jest zbyt twarda, żeby wyczuć i rozszyfrować miłosny alfabet pary synogarlic.

Wejdą przez Bramę Drewnianą, będącą jednym z trzynastu przejść wiodących do Świątyni, przed którymi widnieją wryte w kamieniu napisy po grecku i po łacinie, tak

głoszące, żadnemu poganinowi nie wolno przekraczać tego progu i ogrodzenia otaczającego Świątynię, kto się na to poważy, zapłaci życiem. Wchodzą do środka Józef z Marią i wchodzi niesiony przez nich Jezus, wszyscy oni w swoim czasie wyjdą stamtąd bezpiecznie, ale synogarlice, już o tym wiemy, zginą, bo tego prawo wymaga, ażeby uznać i potwierdzić oczyszczenie Marii. Wolteriańskiemu umysłowi, ironicznemu i zuchwałemu, choć to nic oryginalnego, nie umknęłaby sposobność do zauważenia w tym stanie rzeczy, że warunkiem utrzymania czystości na świecie zdaje się być istnienie niewinnych zwierząt, już to synogarlic, już to baranków. Pokonują Józef z Marią czternaście stopni prowadzących do podwyższenia, na którym wznosi się Świątynia. Oto Dziedziniec Kobiet, po lewej stronie znajduje się magazyn oliwy i wina używanych do liturgii, a po prawej izba nazirejczyków, którzy są kapłanami nie należącymi do plemienia Lewiego i nie mogą obcinać włosów, pić wina i zbliżać się do zwłok. Na wprost, po drugiej stronie, obok drzwi będących naprzeciw tych, odpowiednio z lewa i z prawa, jest izba, w której trędowaci uważający się za wyleczonych oczekują na mających ich obejrzyć kapłanów oraz magazyn, w którym przechowuje się drewno podlegające codziennej kontroli, bowiem do ognia na ołtarzu nie wolno dorzucać drewna przegniłych i robaczywych. Przed Marią pozostało już niewiele drogi. Pokona jeszcze piętnaście półokrągłych stopni prowadzących do Bramy Nikanora zwanej też Drogocenną, i tam się zatrzyma, gdyż zabrania się kobietom wchodzenia na Dziedziniec Izraela, do którego wiedzie brama. Przy wejściu lewicy oczekują na tych, którzy będą składać ofiary, jednakże panująca w tym miejscu atmosfera kojarzy się ze wszystkim oprócz pobożności, chyba że wówczas rozumiano pobożność inaczej, nie tylko czuć tam zapach dymu ze skwierczącego tłuszczu, świeżej krwi, kadzidła, ale słyszeć również wrzawę ludzkich głosów, ryki i beczenie zwierząt czekających w rzeźni na swoją kolej, ostatnie i chrapliwe skrzeczenie ptaka, który kiedyś umiał śpiewać. Maria mówi do przyjmującego ich lewity, że przychodzi się oczyścić, a Józef wręcza synogarlice. Przez chwilę

Maria opiera dłonie na ptaszkach, będzie to jej ostatni gest, wnet bowiem lewita wraz z mężem oddalają się i znikają za drzwiami. Maria nie ruszy się stamtąd aż do czasu, gdy powróci Józef, odchodzi tylko na bok, by nie zastawiać przejścia i razem z trzymanym na rękach synem czeka.

W środku jest kuźnia, jatka i rzeźnia. Na dwóch dużych, kamiennych stołach przygotowywane są ofiary większych rozmiarów, przede wszystkim woły i cielęta, ale także barany i owce, kozy i kozły. W pobliżu stołów znajduje się kilka wysokich słupów z kamienia z wbitymi weń hakami, na których wieszka się tusze ubitych zwierząt, widać tu w szaleńczym działaniu cały rzeźniczy arsenał, noże, tasaki, topory, piłki, atmosfera przesiąknięta jest

dymami z płonącego drewna i ze spalonej skóry, oparami krwi i potu, jakakolwiek dusza, niekoniecznie święta, może być zwykła, będzie miała trudności ze zrozumieniem, jak Bóg może się czuć szczęśliwy pośród takiej rzezi, skoro według tego, co sam mówi, jest wspólnym ojcem ludzi i zwierząt. Józef musi pozostać po zewnętrznej stronie balustrady oddzielającej Dziedziniec Izraela od Dziedzińca Kapłanów, lecz z miejsca, w którym stoi, swobodnie może oglądać Wielki Ołtarz, więcej niż czterokrotnie przewyższający wzrost człowieka, a dalej w głębi, Świątynię, wreszcie mówimy o tej autentycznej, bo tutaj wszystko jest jak te wchodzące jedno w drugie pudełka, już w tej epoce wyrabiane w Chinach, patrzymy z daleka i mówimy, Świątynia, gdy wchodzimy na Dziedziniec Pogan, znowuż mówimy, Świątynia, a teraz cieśla Józef, wsparty o balustradę, spogląda i mówi, Świątynia, i on właśnie ma rację, jest tam szeroka fasada ze swymi czterema kolumnami wtopionymi w ścianę, ze swymi kapitelami na grecką modłę zdobnymi w akanty i z wysoką wnęką drzwiową bez materialnych drzwi, jednakże aby dotrzeć tam do środka, do miejsca, w którym mieszka Bóg, do Świątyni Świątyń, należałoby sprzeciwić się wszystkim zakazom, przejść przez Miejsce Święte zwane Hekal i na koniec wejść do Debir, które jest ostatnim pudełkiem, Świętym Świętych, tą straszną kamienną izbą, pustą jak wszechświat, bez okien, do której światło dzienne nigdy nie weszło i nie wejdzie, chyba że wybije godzina zniszczenia i ruiny i wszystkie kamienie staną się podobne do innych. Bóg tym bardziej jest Bogiem, im bardziej jest niedostępny, Józef zaś jest zaledwie ojcem żydowskiego chłopca takiego jak inni żydowscy chłopcy, który zobaczy śmierć dwóch niewinnych synogarlic, ojciec, a nie syn, bowiem ten, również niewinny, został w objęciach matki, wyobrażając sobie, jeśli już potrafi, że świat zawsze będzie taki.

Przy samym ołtarzu wykonanym z wielkich surowych kamieni, których nie tknęło żadne metalowe narzędzie od chwili, gdy je wyciągnięto z kamieniołomu, aż po dzień zajęcia przez nie miejsca w gigantycznej budowli, bosi, odziany w lnianą tunikę kapłan czeka, aż lewita poda mu synogarlicę. Dostaje pierwszą, zabiera w kąt ołtarza i tam, jednym cięciem, odrąbuje głowę od reszty ciała. Krew tryska. Kapłan skrapia nią dolną część ołtarza, po czym umieszcza pozbawionego głowy ptaka w ścieku, w którym do końca się wykrwawi i skąd zabierze go pod koniec swej zmiany, gdyż stał się już jego własnością. Druga synogarlica dostąpi zaszczytu ofiary całkowitej, co oznacza, że zostanie spalona. Kapłan wchodzi po pomoście na górną część ołtarza, tam gdzie płonie święty ogień, i na gzymsie przy drugim narożniku po tej samej stronie, południowoschodnim, bo pierwszy jest południowozachodni, odcina ptakowi głowę, krwią zlewa podłogę podwyższenia, w którego kątach widnieją ornamenty podobnejjiiO baranich rogów, i wrywa mu trzewia. Nikt nie

zwraca uwagi na to, co się dzieje, jest to zaledwie taka mała śmierć. Józef zadzierając głowę, chciałby się zorientować, czy pośród ogólnego dymu i ogólnych zapachów da się zidentyfikować dym i zapach jego ofiary wtedy, gdy po posoleniu głowy i tułowia ptaka kapłan wrzuci je do ognia. Trudno o jakąkolwiek pewność. Płonąc pomiędzy wzburzonymi językami ognia podsycanymi przez tłuszcz, rozprute i zwiotczałe ciało synogarlicy nie jest dla Boga żadnym posiłkiem. Na dole, tam gdzie zaczyna się pomost, czeka już trzech kapłanów. Cielak pada rażony toporem, mój Boże, mój Boże, jakże kruchymi nas uczyniłeś i jakże łatwo jest umrzeć. Józef nie ma tam już nic do roboty, musi iść z powrotem, żeby zabrać żonę i dziecko. Maria ponownie jest czysta, a o prawdziwej czystości się nie mówi, to jasne, bowiem ludzkie istoty w ogólności, a kobiety w szczególności, nie mogą się o coś takiego ubiegać. Czas spędzony przez Marię w odosobnieniu sprawił, że jej wnętrze było znowu takie jak dawniej i wszystko wróciło do poprzedniego stanu, jedyna różnica polega na tym, że na świecie jest o dwie synogarlice mniej i o jednego chłopca, przez którego straciły życie, więcej. Wyszli ze Świątyni tymi samymi drzwiami, przez które weszli, Józef przyprowadził osła i podczas gdy Maria, opierając się o kamień, sadowiła się na grzbiecie zwierzęcia, ojciec trzymał syna, zdarzyło się to już kilkakrotnie, ale teraz, być może z powodu tej synogarlicy, którą widział, gdy jej wyrywano trzewia, zwlekał z oddaniem go matce, jak gdyby sądząc, że żadne ramiona nie potrafiłyby obronić go lepiej od ojcowskich. Towarzyszył swej rodzinie do bram miasta, po czym wrócił do Świątyni do pracy. Przyjdzie jeszcze jutro po to, by wypracować cały tydzień, lecz później, niech cała wieczność sławi boską potęgę, nie tracąc ani chwili, powrócą do Nazaretu.

Tej samej nocy prorok Micheasz powiedział to, co aż do tej pory przemilczał. Kiedy król Herod w swych agonalnych, ale już zrezygnowanych snach oczekiwał, że zjawa sobie pójdzie po wysłuchaniu zwyczajowych okrzyków, które przez wielokrotne powtarzanie stały się nieszkodliwe, kolejny raz pozostawiając na końcu języka wiszącą groźbę, zniemacka wyrosła przed nim ogromna postać i dały się słyszeć nowe słowa, A ty, Betlejem, najmniejsze jesteś wśród plemion judzkich, z ciebie mi wyszedł już ten, który będzie władał Izraelem. W tejże chwili zbudził się król. Jak dźwięk najdłuższej struny harfy słowa proroka wciąż pobrzmiwały w pokoju. Herod nie zamykał oczu, starając się odkryć ostateczny sens objawienia, o ile takowy istniał, i do tego stopnia był pochłonięty tą myślą, że prawie wcale nie czuł gryzących go pod skórą mrówek i robaków zaśliniających i rozkładających jego ostatnie najintymniejsze włókna. Proroctwo nie było żadną nowością, znał je tak samo jak każdy Żyd, lecz nigdy nie tracił czasu na zamartwianie się zapowiedziami proroków, dość miał domowych spisków. Teraz natomiast dokuczał mu jakiś nieokreślony niepokój, uczucie

łękliwego zdziwienia, tak jakby usłyszane słowa były jednocześnie samymi sobą i innymi słowami, ukrywając w krótkiej sylabie, w prostej partykule, w krótkotrwałej głosce, nadciągającą straszną groźbę. Próbował odsunąć od siebie tę obsesję i ponownie zasnąć, lecz ciało wzbraniało się i otwierało dla bólów, porozdzierane aż do wnętrzości, a myślenie było jak osłona. Z oczami utkwionymi w belki sufitu, którego zdobienia zdawały się być poruszane przez przytłumiony blask dwóch aromatycznych pochodni, król Herod poszukiwał odpowiedzi i nie mógł jej znaleźć. Zawołał więc nadzorcę eunuchów strzegących jego snu i kazał do siebie doprowadzić, Niezwłocznie, powiedział, jednego z kapłanów Świątyni, który miał ze sobą zabrać Księgę Micheasza.

Przejście z pałacu do Świątyni i ze Świątyni do pałacu zajęło prawie całą godzinę. Świt zaczynał się już bielić, gdy kapłan wszedł do komnaty; Czytaj, rzekł król, a on tak rozpoczął, Słowo Pańskie skierowane do Micheasza z Moreszet za czasów Jotama, Achaza i Ezechiasza, królów judzkich. Czytał dalej, aż Herod powiedział, Do przodu, i zmieszany kapłan nie rozumiejąc, po co go wezwano, przeskoczył na inny fragment, Biada tym, którzy planują nieprawość i obmyślają zło na swych łożach, lecz w tym momencie urwał przerażony mimowolną nieostrożnością i połykając słowa kontynuował, Stanie się na końcu czasów, będzie ustanowiona góra domu Pańskiego, utwierdzona na wierzchu gór, a wystrzeli ponad pagórki, Do przodu, burknął Herod, zniecierpliwiony opóźnieniem w dochodzeniu do interesującego go fragmentu, i wreszcie, kapłan, przeczytał, A ty, Betlejem, najmniejsze jesteś wśród plemion judzkich, z ciebie mi wyjdzie ten, który będzie władał w Izraelu. Herod uniósł dłoń, Powtórz, rozkazał, i kapłan posłuchał, Jeszcze raz, i kapłan przeczytał ponownie. Wystarczy, stwierdził król po długim milczeniu, odejdz. Wszystko było teraz jasne, księga zapowiadała przyszłe narodziny, tylko to, podczas gdy zjawia Micheasza powiedziała mu, że narodziny już miały miejsce, Z ciebie mi wyszedł, słowa bardzo oczywiste, jak wszystkie zresztą słowa proroków, są takimi nawet wówczas, gdy źle je interpretujemy. Herod myślał, myślał i myślał, a jego oblicze stawało się coraz bardziej zasepione, aż stało się przerażające, kazał przywołać komendanta straży i wydał mu rozkaz do natychmiastowego wykonania. Kiedy komendant powrócił, Misja wypełniona, wydał mu drugi rozkaz, lecz na następny dzień, zaczynający się za kilka godzin. Nie będziemy zatem musieli długo czekać, żeby się dowiedzieć o co chodzi, pewne jest wszelako, iż kapłan nie przeżył nawet i tego, albowiem jacyś żołdacy zabili go, zanim doszedł do Świątyni. Jest bardzo wiele powodów ku temu, by sądzić, iż tak właśnie stanowił pierwszy z dwóch rozkazów, zbyt blisko są bowiem od siebie prawdopodobna przyczyna i konieczny efekt. Jeśli chodzi o Księgę Micheasza, zniknęła,

można sobie wyobrazić, jak wielka byłaby to strata, gdyby mowa była o jedynym egzemplarzu.

4

Cieśla pomiędzy cieślami, Józef, zjadł właśnie swój prowiant, mieli jeszcze trochę czasu on i jego towarzysze przed daniem przez kierownika sygnału do ponownego podjęcia pracy, mógł więc nadal siedzieć, albo nawet się położyć, zamknąć oczy i oddać się błogim rozmyślaniom, wyobrażając sobie, że wędruje po bezdrożach i zagłębia się w góry Samarii, albo jeszcze lepiej, że spogląda z góry na swą wioskę Nazaret, za którą tak tęsknił. Radowała się jego dusza i sam do siebie mówił, że wreszcie nadszedł ostatni dzień długiego rozstania, albowiem już jutro, zaraz o pierwszej godzinie, kiedy przestaną migotać ostatnie gwiazdy, a na niebie błyszczeć będzie tylko Poranna, uda się w drogę, śpiewem wychwalając Pana, który strzeże naszego domu i wskazuje kierunek. Wystraszony otworzył z nagła oczy sądząc, iż przysnął i nie usłyszał sygnału, lecz była to zaledwie krótkotrwała senność, wszyscy towarzysze wciąż tam byli, jedni rozmawiali, drudzy drzemali, a kierownik siedział spokojnie, jak gdyby postanowił dać swym robotnikom wolne i ani myślał żałować własnej wspaniałomyślności. Słońce stoi w zenicie, krótkie porywy silnego wiatru przepychają na drugą stronę dymy ze składanych ofiar, a do tego miejsca, obniżenia sąsiadującego z robotami przy hipodromie, nie dochodzi nawet trajkotanie kupców ze Świątyni, machina czasu chyba się zatrzymała i również ona trwa w oczekiwaniu na rozkaz wielkiego kierownika uniwersalnych wieków i przestrzeni. Ni stąd, ni zowąd Józef zaczął odczuwać niepokój, on który chwilę temu był taki szczęśliwy. Rzucił wzrokiem dokoła i był to ten sam znany widok budowy, do którego przywyknął w ciągu ostatnich tygodni, kamienie i drewno, biała i szorstka kamienna mączka, trociny, które nawet w słońcu nie schły do końca, i pogrążony w zamięcie nagłego i dławiącego zaniepokojenia, chcąc znaleźć wytłumaczenie tak podupadłego stanu ducha, pomyślał, iż chodziło tutaj o naturalne uczucie człowieka zmuszonego do zostawienia nie dokończonych roboty, nieważne, że nie swojej i nieważne, że z tak słusznych powodów. Podniósł się, obliczając czas, którym mógł dysponować, kierownik nawet nie obrócił głowy w jego stronę, i postanowił błyskawicznie obejść tę część budowy, na której pracował, i pożegnać się, jeśli tak można powiedzieć, z deskami, które wyglądał, z belkami, które wyrównywał, o ile oczywiście taka identyfikacja była możliwa, jakaż pszczoła może stwierdzić, Ja zrobiłam ten miód.

Pod koniec krótkiego spaceru, gdy powracał już do swych obowiązków, zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć na miasto Wznoszące się na przeciwnym stoku, całe zbudowane na stopniach, mające kolor przypalonego kamienia, który był jak kolor chleba, kierownik na

pewno już wołał, lecz Józef teraz się nie spieszył, patrzył na miasto i czekał nie wiadomo na co. Czas mijał i nic się nie działo, Józef zamruczał tonem człowieka, który z czegoś rezygnuje, Trudno, muszę iść, i w tej samej chwili posłyszał głosy dochodzące z drogi przebiegającej poniżej miejsca, w którym stał, przechylił się ponad kamiennym murem, który go od niej oddzielał, i zobaczył, że byli to trzej żołnierze. Z pewnością przyszedli tą drogą, lecz teraz przystanęli, dwaj z nich mieli włócznie wbite w ziemię i słuchali trzeciego, starszego i prawdopodobnie przełożonego, chociaż komuś, kto nie znał się na kształcie, liczbie i rozkładzie dystynkcji normalnie występujących w formie gwiazdek, belek i rzymskich piątek, trudno było się zorientować w różnicach. Słowa, których mętny odgłos docierał do uszu Józefa, musiały zawierać jakieś pytanie, na przykład, O której godzinie to będzie, zwłaszcza że podwładny mówił bardzo jasno tonem kogoś, kto odpowiada, Na początku trzeciej godziny, kiedy wszyscy ludzie są już w domach, a jeden z dwóch zapytał, Kiedy ruszamy, Jeszcze nie wiem, ale będzie nas dość, aby otoczyć wioskę, A więc rozkaz mówi, żeby zabić je wszystkie, Wszystkie nie, tylko te, które będą mieć poniżej trzech lat, Pomiędzy drugim i czwartym rokiem trudno się będzie zorientować, jaki jest faktyczny wiek, Ile tego będzie, chciał się dowiedzieć drugi żołnierz, Dowódca powiedział, że według spisu powinno być około dwudziestu pięciu. Józef wytrzeszczał oczy tak, jakby całkowite zrozumienie zasłyszanych rzeczy mogło być tego wynikiem, dreszcze przechodziły całe jego ciało, przecież było jasne i oczywiste, że żołnierze ci mówili o zabijaniu ludzi, Ludzi, jakich ludzi, zapytywał samego siebie zdezorientowany i wystraszony, nie, nie chodziło tu o ludzi, ale o dzieci, Te, które będą miały poniżej trzech lat, tak powiedział kapral, a może to był sierżant albo plutonowy, gdzie, gdzie to będzie, Józef nie mógł wychylić się za mur i zapytać, Hej, chłopcy, gdzie jest wojna, cały był zlany potem, trzęsły mu się nogi i właśnie wówczas dał się ponownie słyszeć głos podwładnego, poważny lecz jednocześnie tchnący ulgą, Mamy szczęście my i nasze dzieci, że nie mieszkamy w Betlejem, Czy już wiadomo, dlaczego nam każą zabijać dzieci z Betlejem, zapytał jeden z żołnierzy, Dowódca mi nie mówił, sądzę, że on sam nie wie, taki jest rozkaz króla i wystarczy. Drugi żołnierz, stawiając włócznią kreski podobne do znaków przeznaczenia, które dzieli i rozdziela, rzekł, Wielka jest nasza niedola, bowiem nie dość, że czynimy zło, które z natury rzeczy jest naszym udziałem, to jeszcze musimy być narzędziem zła innych ludzi oraz ich władzy. Tych słów Józef już nie usłyszał, ponieważ oddalił się był od swej opatrnościowej trybuny, najpierw stopniowo, krok za krokiem i zaraz potem w szaleńczym biegu, przeskakując kamienie jak kozica, pełen niepokojów, zważywszy że przy braku jego świadectwa można by było wątpić w prawdziwość tamtej filozoficznej refleksji, tak pod względem treści, jak i formy, mając na

uwadze bardziej niż oczywistą sprzeczność pomiędzy godną zainteresowania właściwością pojęć i marną pozycją społeczną tego, który je stworzył.

Straciwszy rozum, potracając każdego, kto mu stanął na drodze, obalając stragany i klatki z ptakami, a nawet stół zmieniających pieniądze, niemal nie słysząc wściekłych okrzyków handlarzy ze Świątyni, Józef myśli tylko o tym, że mają zabić jego syna i zupełnie nie wie dlaczego. Dramatyczna sytuacja, ten człowiek dał dziecku życie, a inny chce mu je odebrać, jedna wola znaczy tyle samo co druga, budowanie i niszczenie, wiązanie i rozwiązywanie, tworzenie i unicestwianie. Nagle zatrzymuje się, zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego mu w razie kontynuowania tej obłąkanej gonitwy, mogą się pojawić strażnicy Świątyni i uwięzić go, cud, że jeszcze nie zauważyli tego tumultu. Zatem, maskując się najlepiej, jak tylko mógł, niczym pchła kryjąca się w zakamarkach szwu, wcisnął się w sam środek tłumu i natychmiast stał się bezimienny, jedyna różnica polegała na tym, że poruszał się nieco szybciej, jednakże w tym ludzkim labiryncie było to ledwie dostrzegalne. Wie, że nie powinien biec dopóty, dopóki nie znajdzie się przy miejskich rogatkach, lecz dręczy go myśl, iż żołnierze już mogą być w drodze, uzbrojeni w straszne włócznie, sztylety i nieuzasadnioną nienawiść, a jeśli na nieszczęście dosiadają koni, jadąc sobie truchtem jak na spacerze, nie ma nikogo, kto mógłby ich prześcignąć. Gdy dotrę na miejsce, mój syn będzie już martwy, biedny chłopiec, Jezus mojej duszy, i akurat w tym momencie najprzykrzejszej udręki jakaś głupia myśl wdziera się jak obraza do głowy Józefa, zapłata, zapłata za cały tydzień, którą będzie musiał utracić, moc tych niegodziwych rzeczy materialnych jest tak wielka, że przyspieszone kroki, wszelako nie aż tak, by miał się zatrzymać, stają się wolniejsze, chyba po to, by dać umysłowi czas na rozważenie prawdopodobieństwa połączenia dwóch zysków, czyli innymi słowy, sakiewki i życia. Małostkowy pomysł był tak ulotny, że mógł przypominać pędzące światło, które pojawiło się i znikło, nie pozostawiając żadnego władczego wspomnienia określonego obrazu, a Józef nawet nie odczuł wstydu, tego uczucia, które wielokrotnie, aczkolwiek w niedostatecznym stopniu, jest naszym najskuteczniejszym aniołem stróżem.

W końcu Józef wydostaje się z miasta, jak tylko wzrok sięga droga wolna jest od żołnierzy i nie dostrzega się oznak powszechnego poruszenia, które z pewnością miałyby miejsce w wypadku przemarszu wojska, chociaż najpewniejsze sygnały otrzymuje on od bawiących się niewinnie dzieci, które nie przejawiają wojennego podniecenia ogarniającego je zawsze wtedy, gdy defilują chorągwie, dobosze i trębacze, i nie idą za wojskiem zgodnie z prastarym zwyczajem, gdyby przechodzili żołnierze, nie byłoby tutaj widać żadnych dzieciaków, eskortowałyby oddział przynajmniej do pierwszego zakrętu, chyba że któryś z

nich, ten odczuwający najsilniejsze powołanie militarne, postanowiłby towarzyszyć mu aż do celu misji i w ten sposób dowiedziałby się, co go czeka w przyszłości, zabijanie i umieranie. Teraz już Józef może biec i biegnie, biegnie wykorzystując spadek gruntu na miarę tego, na co mu pozwala krępująca ruchy tunika i chociaż zadarł ją aż do kolan, jak przez sen odczuwa obawę, że nogi nie są w stanie nadążyć za bodźcami z górnej części ciała, z serca, głowy i oczu, z dłoni, które chcą bronić, podczas gdy czas ucieka. Niektórzy zatrzymują się i patrzą ze zgorzaniem na szalony bieg, doprawdy oburzający, bo przecież naród ten na ogół zachowuje godność w wyrażaniu się i przyzwoitość w zachowaniu. Józef ma na swoje jedyne usprawiedliwienie nie to, że śpieszy synowi na ratunek, lecz to, że jest Galilejczykiem, prostackim i niewychowanym, co było zresztą nie raz już powiedziane. Już przebiega przed grobowcem Racheli, ta kobieta nigdy nie myślała, że będzie tyle powodów do oplakiwania dzieci, okrywania krzykami i lamentami szarych wzgórz dookoła, rozdrapywania twarzy, wrywania włosów i kaleczenia nagiej czaszki. Oto

Józef zbiega z gościńca przed pierwszymi betlejemskimi domami i puszcza się na przełaj przez pole, Pobiegnę krótszą drogą, odpowiedziałby zapytany o przyczyny takiej zmiany, i chyba naprawdę tak jest w istocie, co nie oznacza, że najwygodniej. Unikając spotkań z ludźmi pracującymi w polu, przywierając do głązów tak, by nie spostrzegli go pasterze, Józef musiał zrobić duże koło, żeby dotrzeć do jaskini, w której żona nie spodziewa się go o tej porze, a syn ani o tej, ani o innej, ponieważ śpi. Na środku zbocza ostatniego wzgórza, mając już przed sobą ciemną szparę groty, Józef zostaje porażony straszliwą myślą, mianowicie taką, że żona wraz z synem przebywa w wiosce, rzecz jak najbardziej normalna, jeśli wziąć pod uwagę, jakie są kobiety, wykorzystana po prostu to, że jest sama i poszła bez pośpiechu pożegnać się z niewolnicą Zelomi i z tymi matkami rodzin, z którymi najbardziej się zżyła podczas ostatnich tygodni, do Józefa należało zaś formalne podziękowanie właścicielom jaskini. Przez chwilę widział siebie biegającego po uliczkach wioski i pukającego do drzwi, Czy jest tu moja żona, byłoby to przecież śmieszne, i widząc jego przerażenie, ktoś mógłby zapytać, na przykład jakaś kobieta z dzieckiem na ręku, Czy coś się stało, a on na to, Nie, nic się nie stało, po prostu rano ruszamy w drogę i musimy się spakować. Widziana z tego miejsca wioska, jej jednakowe domy i płaskie tarasy, to wszystko przypomina budowę Świątyni, porozrzucane kamienie oczekujące na robotników, którzy je poukładają jedne na drugich i wzniosą wieżę strażniczą, tryumfalny obelisk albo ścianę placu. Gdzieś daleko zaszczekał pies, inne mu odpowiedziały, ale rozgrzana cisza ostatniej popołudniowej godziny wciąż jeszcze unosi się nad wioską jak zapomniane błogosławieństwo nieomal tracące swe przymioty na podobieństwo strzępka chmury, która się rozwiewa.

Przystanek trwał nie dłużej niż przekazanie o nim wiadomości. Cieśla dobiegł w końcu do wejścia do groty i zawołał, Mario, jesteś tam, a ona mu odpowiedziała ze środka, wtedy właśnie Józef zdał sobie sprawę, jak bardzo drżały mu nogi, niewątpliwie nie tylko ze zmęczenia, ale również z emocji związanych z tym, że synowi nic nie grozi. W środku Maria kroila zieleninę do wieczery, a chłopiec spał w żłobie. Józef padł bez sił na ziemię, lecz rychło się podniósł, mówiąc, Idziemy stąd, idziemy stąd, a Maria spojrzała na niego niczego nie rozumiejąc, Kiedy idziemy, zapytała, a on na to, Idziemy, właśnie teraz, Ale ty mówiłeś, Zamilcz i zwijaj rzeczy, a ja założę uprzęż osła, Jeszcze nie zjedliśmy wieczery, Zjemy w drodze, Niebawem zapadnie noc, zgubimy się, wówczas Józef krzyknął, Zamilcz, już ci mówiłem, rób to, co ci każe. Zalała się Maria łzami, pierwszy raz mąż podnosił na nią głos, i bez słów poczęła zbierać i pakować niewielki dobytek, Szybciej, szybciej, powtarzał i jednocześnie siodłał osła i ścisnął go poprzęgiem, po czym na oczach przerażonej Marii jął napełniać juki tym, co mu wpadło w ręce, a ona nie poznawała swego męża. Już byli prawie gotowi do drogi, należało jedynie zasypać ziemią ognisko i wyjść, gdy Józef dając żonie znak, by z nim nie wychodziła, zbliżył się do wejścia do groty i wyjrzał na zewnątrz. Szary zmierzch sprawiał, że niebo zlewało się z ziemią. Słońce jeszcze nie zaszło, ale gęsta mgła, która stała wystarczająco wysoko, by nie zasłaniać widoku okolicznych pól, uniemożliwiała rozchodzenie się światła. Józef natężył słuch, postąpił nieco do przodu i nagle włosy stanęły mu na głowie z przerażenia, w wiosce ktoś krzyczał, był to przejmujący krzyk, który zdawał się nie być ludzkim głosem, a zaraz potem, gdy echa odbijały się jeszcze od wzgórze do wzgórze, wrzawa nowych okrzyków i lamentów wypełniła atmosferę, nie były to anioły płaczące nad ludzkim nieszczęściem, byli to ludzie odchodzący od zmysłów pod pustym niebem. Powolutku, jak gdyby obawiając się, że ktoś może go usłyszeć, Józef wycofał się do wejścia do groty i zderzył się tam z Marią, która nie usłuchała rozkazu. Cała się trzęsła, Co to za krzyki, spytała, ale mąż nie odpowiedział, wepchnął ją do środka i szybkimi ruchami zaczął zasypywać ognisko ziemią. Co to były za krzyki, ponownie spytała niewidoczna w ciemności Maria, a Józef po chwili ciszy odpowiedział, Zabijają ludzi. Zrobił przerwę i dodał jakby w tajemnicy, Dzieci, z rozkazu Heroda, a jego głos załamał się w suchej czkawce, Dlatego chciałem, byśmy stąd ruszali. Wtem dał się słyszeć szelest płótna i poruszonej słomy, Maria podniosła dziecko ze żłobie i przycisnęła je do piersi, Jezusie, chcą cię zabić, to ostatnie słowo utonęło we łzach, Zamilcz, rzekł Józef, nie rób hałasu, być może żołnierze nie przyjdą tutaj, rozkaz mówi, żeby zabić dzieci z Betlejem mające poniżej trzech lat, Skąd wiesz, Słyszałem w Świątyni i dlatego tu przybiegłem, Co teraz zrobimy, Jesteśmy poza wioską, żołnierze raczej nie będą przeszukiwać tych wszystkich jaskiń, rozkaz musi dotyczyć jedynie

domów, o ile nikt nas nie wyda, uratujemy się. Wyszedł zobaczyć jeszcze raz, wyrżał tylko na zewnątrz, krzyki już ustały, słychać było zaledwie chóralne zawodzenie coraz bardziej słabnące, rzeź niewiniątek zakończyła się. Niebo wciąż było zasłonięte, nadchodząca noc i wysoka mgła sprawiły, że Betlejem znikło z horyzontu niebieskich mieszkańców. Józef obrócił się do środka, Nie wychodź stąd, pójdę na drogę i zobaczę, czy żołnierze już odeszli, Uważaj na siebie, rzekła Maria, nie pamiętaj, że mężowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo, śmierć była dla dzieci w wieku poniżej trzech lat, chyba żeby się zdarzyło, że ktoś wyszedł na drogę w tym samym celu i go wydał, mówiąc, To jest cieśla Józef, ojciec chłopca, który jeszcze nie ma dwóch miesięcy i nazywa się Jezus, może to do niego odnosi się proroctwo, bo my nigdy nie czytaliśmy ani nie słyszeliśmy, żeby przeznaczeniem naszych dzieci były królewskości, tym bardziej teraz, gdy są martwe.

Wewnątrz jaskini mrok można było namacać. Maria bała się ciemności, od dzieciństwa przyzwyczała się do stałej obecności jakiegoś światła w domu, ogniska, czy lampki, albo obydwu naraz, natomiast wrażenie, teraz jeszcze groźniejsze, bo związane z przebywaniem we wnętrzu ziemi, że jej ust dosięgają palce czerni, przerażało ją. Nie chciała być nieposłuszna wobec męża i nie chciała narażać dziecka na ewentualną śmierć, wychodząc z jaskini, lecz z każdą sekundą narastał w niej strach i niewiele brakowało, by złamał wątłe rezerwy zdrowego rozsądku, myślenie do niczego się nie przydawało, Jeśli w powietrzu nie było niczego przed zgaszeniem ogniska, to i teraz nie ma, w końcu niepotrzebnie o tym pomyślała, po omacku ułożyła syna w żłobie i następnie, pelzając z niezwykłą ostrożnością, odnalazła palenisko, rozgarnęła polanem pokrywającą je ziemię i pokazały się węgle, które nie zdążyły jeszcze całkowicie zgasnąć, wtenczas cały strach zniknął z jej duszy, a w pamięci stanęła świetlista ziemia, to samo drżące i pulsujące światło, przez które raptownie przebiegały błyskawice, tak jak pochodnia biegnąca po grzbiecie góry. Obraz żebraka pojawił się i od razu zniknął, odegnany pilniejszą koniecznością dostatecznego rozświetlenia straszliwej jaskini. Maria na wyczucie podeszła do żłobu po garść słomy, wróciła, kierując się bladym światełkiem z ziemi i po chwili lampka ukryta w zakamarku chroniącym przed wzrokiem intruza oświetlała najbliższe ściany jaskini omdłym płomykiem, chybotliwym, ale uspokajającym. Maria zbliżyła się do syna, który wciąż spał obojętny na strachy, burze i nagłą śmierć, wzięła go na ręce i razem z nim usiadła w pobliżu lampki i czekała. Po jakimś czasie syn zbudził się, jednakże nie otworzył na dobre oczu i zniechęcony zrobił płaczącą minę, a Maria, będąca już doświadczoną matką, po prostu rozchyliła tunikę i wetknęła pierś w łączywe usta dziecka. Tak sobie razem siedzieli, kiedy na zewnątrz dały się słyszeć kroki. W pierwszej chwili Maria miała wrażenie, że jej serce stanęło, Czyżby żołnierze, ale to były

przecież kroki jednej osoby, żołnierze przyszliby razem, przynajmniej we dwóch, w zgodzie z taktyką i zwyczajem, a w wypadku poszukiwań mieliby ku temu jeszcze większe powody, jeden musiałby ubezpieczać drugiego w obawie przed nieoczekiwanymi sytuacjami, To Józef, pomyślała i przestraszyła się, że ją zbeszta za zapalenie lampki. Powolne kroki rozbrzmiewały coraz bliżej, Józef już wchodził, lecz nagle dreszcz przebiegł ciało Marii, on nie stąpał tak ciężko i twardo, może jakiś włóczęga szuka noclegu, wcześniej dwukrotnie się tak zdarzyło, i o ile przy tamtych okazjach Maria nie czuła strachu, bowiem trudno sobie było wyobrazić, żeby jakiś człowiek, choćby nawet najbardziej nikczemny i bezwzględny, mógł się zdobyć na wyrządzenie krzywdy kobiecie z dzieckiem w ramionach, tym razem zapomniała, iż dopiero co zabito dzieci w Betlejem, niektóre z nich, kto wie, na matczynych rękach takich jak te, na których leży teraz Jezus, jeszcze niewiniątka ssały mleko życia, a już ostrze sztyletu kaleczyło ich delikatną skórę i wbijało się w miękkie ciało, tyle że tymi mordercami byli żołnierze, a nie jakieś włóczykije, chyba jest różnica, wcale zresztą nie mała. Nie był to Józef, nie był to żołnierz pragnący dokonać wojennego wyczynu, nie był to włóczęga nigdzie nie zagrzewający miejsca, ale ponownie pod postacią pasterza, ten, który raz i drugi pojawił się pod postacią żebraka, ten, który mówiąc osobie samym, oznajmił, że jest aniołem, jednakże nie wyjaśniając z którego nieba albo piekła. Na początku Maria nie pomyślała, że mógł to być on, teraz zaś zrozumiała, że on i nikt inny.

Rzekł anioł, Pokój z tobą, żono Józefa, i z twoim synem, którzy szczęśliwie macie dom w tej jaskini, bo gdybyście nie mieli, jedno z was byłoby teraz martwe i posiekane na kawałki, a drugie, chociaż żywe, także posiekane. Rzekła Maria, Słyszałam krzyki. Anioł rzekł, Tak, zaledwie je słyszałaś, ale pewnego dnia, krzyki, których nie wydałaś, będą krzyczeć za ciebie, ale jeszcze przed tym dniem usłyszysz tysiące krzyków u twego boku. Rzekła Maria, Mój mąż poszedł na drogę zobaczyć, czy żołnierze już odeszli, nie byłoby dobrze, gdyby cię tutaj spotkał. Rzekł anioł, O to się nie martw, odejdę zanim on powróci, przyszedłem tylko, żeby ci powiedzieć, że nieprędko ujrzysz mnie ponownie, to co się miało stać, stało się, brakowało tej śmierci, a przed nią brakowało zbrodni Józefa. Rzekła Maria, Zbrodni Józefa, mój mąż nie popełnił żadnej zbrodni, jest dobrym człowiekiem. Rzekł anioł, Dobrym człowiekiem, który popełnił zbrodnię, nie wyobrażasz sobie, ilu przed nim również popełniło, dlatego że niezliczone są zbrodnie dobrych ludzi, i wbrew temu, co się sądzi, one jako jedyne nie mogą zostać przebaczone. Rzekła Maria, Jaką zbrodnię popełnił mój mąż. Rzekł anioł, Wiesz jaką, nie chciej być taką zbrodniarką jak on. Rzekła Maria, Przysięgam. Rzekł anioł, Nie przysięgaj, albo przysięgaj jeśli chcesz, bo przysięga złożona przede mną jest jak podmuch wiatru, który nie wiadomo dokąd zmierza. Rzekła Maria, Cóż uczyniliśmy.

Rzekł anioł, To przez okrucieństwo Heroda dobyto z pochw sztyletów, lecz wasz egoizm i wasze tchórzostwo były sznurami, które spętały nogi i ręce ofiar. Rzekła Maria, Cóż ja mogłam zrobić. Rzekł anioł, Ty nic, bo za późno się dowiedziałas, ale cieśla mógł zrobić wszystko, ostrzec wioskę, że zbliżają się żołnierze i będą zabijać dzieci, był jeszcze czas, żeby rodzice je zabrali i uciekli, mogli, na przykład, ukryć się na pustyni, uciec do Egiptu i poczekać, aż Herod umrze, a jemu niewiele już brakuje. Rzekła Maria, Nie pomyślał. Rzekł anioł, Nie, nie pomyślał, ale to go nie usprawiedliwia. Rzekła Maria, płacząc, Ty, który jesteś aniołem, przebacz mu. Rzekł anioł, Nie jestem aniołem od przebaczenia. Rzekła Maria, Przebacz mu. Rzekł anioł, Już ci mówiłem, że dla tej zbrodni nie ma przebaczenia, prędzej będzie odpuszczone Herodowi niżli twojemu mężowi, prędzej będzie odpuszczone zdrajcy niżli odszczepieńcowi. Rzekła Maria, Cóż mamy uczynić. Rzekł anioł, Będziecie żyć i cierpieć tak jak wszyscy ludzie. Rzekła Maria, A mój syn. Rzekł anioł, Na głowy dzieci zawsze spadnie wina rodziców, cień winy Józefa już się kładzie na czole twojego syna. Rzekła Maria, My nieszczęśni. Rzekł anioł, Zaiste i nie znajdziecie na to lekarstwa. Maria pochyliła głowę, przyciągnęła syna bardziej do siebie, jak gdyby chroniąc go przed zapowiedzianą niedolą, a gdy podniosła wzrok, anioła już tam nie było. Lecz tym razem, w przeciwieństwie do tego, co stało się wcześniej, wtedy gdy się przybliżał, nie było słychać kroków, Odleciał, pomyślała Maria. Później uniosła się i podeszła do wejścia do groty zobaczyć, czy był jeszcze powietrzny ślad anioła albo czy może nadchodził już Józef. Mgła rozwiała się, błyszczały metalicznie pierwsze gwiazdy, z wioski wciąż dobiegały lamenty. Wtedy właśnie poczucie niezmiętej pychy, lub być może grzesznej dumy, nakładając się na ponure przestrogi anioła, zakręciło Marii w głowie, jeśli uratowanie jej syna nie było gestem Boga, to siłą rzeczy musi mieć jakieś znaczenie czyjaś ucieczka od ciężkiej śmierci gdy obok ci, którzy musieli umrzeć, mogą już tylko czekać na sposobność zapytania samego Boga, Dlaczego nas zabiłeś, i zadowolenia się jakąkolwiek odpowiedzią. Niedługo trwało majaczenie Marii, w następnej chwili już sobie wyobrażała, że mogłaby kołysać martwe dziecko, tak samo jak na pewno teraz matki z Betlejem, a dla dobra umysłu i zbawienia duszy łzy napłynęły do jej oczu i ciekły jak z fontanny. Tak ją zastał Józef, kiedy powrócił, słyszała, że nadchodzi, ale nie ruszyła się, nie dbała o to, że może się na nią złościć, Maria teraz płakała razem z innymi kobietami siedzącymi kręgiem z dziećmi na kolanach w oczekiwaniu na zmartwychwstanie. Józef spostrzegł, że płacze, zrozumiał to i nic nie mówił.

Wewnątrz jaskini Józef nie zauważył zapalanej lampki. Węgle z podłogi pokryły się cienką warstwą popiołu, choć pomiędzy nimi jarzył się jeszcze zawiązek płomienia szukający siły. Rozkulbacząc osła, Józef powiedział, Już nam nic nie grozi, żołnierze odeszli, a

najlepiej dla nas będzie, gdy spędzimy noc tutaj, jutro wyruszymy przed wschodem słońca i pójdziemy na skróty, a tam gdzie skrótu nie będzie, któredy się da. Maria wyszeptwała, Tyle dzieci zabitych, a Józef, szorstko, Skąd wiesz, poszłaś je policzyć, zapytał, a ona, Pamiętam niektóre, Najprzód podziękuj Bogu, że twój syn żyje, Podziękuję, I nie patrz na mnie tak, jakbym zrobił coś złego, Nie patrzyłam na ciebie, Ani nie mów do mnie takim tonem sędziego, Będę milczeć, jeśli chcesz, Tak, lepiej nic nie mów. Józef przywiązał osła do żłobu, była w nim jeszcze jakaś słoma, zwierzę nie jest chyba zbyt głodne, temu osłu faktycznie dobrze się powodzi, pełna miska i słoneczne kąpiele, choć trzeba, żeby się przygotował, gdyż niebawem będzie musiał powrócić do ciężkich ładunków i do pracy. Maria położyła dziecko i powiedziała, Podsycę ogień, A po co, Do wieczery, Nie chcę, żeby jakiś ogień mi tu kogoś zwabił, może przechodzić ktoś z wioski, zjemy to, co jest i tak, jak jest. Tak też uczynili. Oliwna lampka jak widmo oświetlała czworo mieszkańców jaskini, nieruchomego jak posąg osła z wargami pochylonymi nad słomą, ale bez dotykania, śpiącego chłopca oraz kobietę i mężczyznę oszukujących głód kilkoma suchymi figami. Maria rozesłała maty na piaszczystej podłodze, zarzuciła nań prześcieradło i, tak jak codziennie, czekała aż mąż się położy. Wcześniej Józef jeszcze raz wyszedł podejrzeć noc, spokój panował na ziemi i w niebie, a z wioski nie dochodziły żadne krzyki i lamenty, nadszarpnięte siły Racheli nie pozwalały już na dalsze jęki i wzdychania, w domach zamknęły się drzwi i dusze. Józef wyciągnął się na macie, nagle wyczerpany jak nigdy w swym życiu, tą bieganiną, tym strachem, nawet nie mógł powiedzieć, że to dzięki jego wysiłkom zostało uratowane życie syna, żołnierze ściśle wypełnili otrzymane rozkazy, Zabili betlejemskie dzieci, jednakże nie wyszła od nich dodatkowa inicjatywa związana z przeprowadzoną akcją militarną, a mogła ona polegać na przeszukaniu okolicznych jaskiń, w których mogli się ukryć jacyś uciekinierzy, albo też było to poważne niedopatrzenie i błąd taktyczny w wypadku, gdyby normalnie zamieszkiwały tam całe rodziny. Józef zwykle nie przejmował się tym, że Maria miała w zwyczaju kłaść się dopiero wtedy, gdy on już zaśnie, jednak dziś nie mógł pogodzić się z myślą, że czuwająca żona będzie bez żadnej litości patrzeć na jego odsłoniętą, pogrążoną we śnie twarz. Powiedział, Nie chcę, żebyś tam siedziała, kładź się. Maria posłuchała, ale najpierw, tak jak zawsze, poszła sprawdzić, czy osioł jest dobrze przywiązany, po czym, wzdychając położyła się na macie, zacisnęła oczy i niech sen przychodzi, kiedy będzie mógł, bo ona już nic nie widzi. W środku nocy Józefowi przyśniło się, że jechał konno drogą opadającą w kierunku jakiejś wioski, której pierwsze domy już można było dostrzec, odziany w uniform miał ze sobą cały wojskowy ekwipunek, miecz, włócznię i sztylet, żołnierz nad żołnierzami, a dowódca spytał go, Dokądże jedziesz, cieślo, na co on odpowiedział, dumny, że tak dobrze

wie, na czym polega zlecona mu misja, Jadę do Betlejem zabić mojego syna, i kiedy to wypowiedział, obudził się ze wstrętnym charczeniem i poskręcany z przerażenia ciałem, Maria zapytała, Co ci jest, co się stało, a on, cały w drgawkach, tylko tak potrafił odpowiedzieć, Nie, nie, nie, i nagle trwoga przerodziła się w konwulsyjny szloch, w rżenie, które rozsadało mu pierś. Maria wstała i poszła po lampkę, po czym oświetliła mu twarz, Jesteś chory, zapytała, ale on zakrywał twarz dłońmi, Zabierz mi to stąd, kobieto, i w tej samej chwili, wciąż łkając, podniósł się z maty i podbiegł do żłobu, żeby zobaczyć co z synem, Wszystko w porządku, panie Józefie, proszę się nie martwić, po prawdzie jest to dziecko, które nie przysparza trosk, dobra dziecina, cichutka, pokorniotka, tutaj sobie leży, tak spokojnie, nieświadoma grożące jej tak niedawno okropnej śmierci, wyobraźmy sobie, zginąć z rąk własnego ojca, który dał istnienie, choć wiemy już, że takiemu przeznaczeniu nikt się nie wymknie, tyle że są sposoby i sposoby. W obawie, że sen mógłby się powtórzyć, Józef nie powrócił na matę, owinął się kocem i usiadł przy wejściu do jaskini pod skalnym występem służącym za naturalny daszek, a księżyc rzucał z wysoka na szczelinę czarny cień, którego blade światło lampki nawet nie dotykało. Sam król Herod, gdyby wtedy przejeżdżał na grzbietach niewolników, otoczony swymi legionami barbarzyńców spragnionych krwi, rzekłby spokojnie, Nie zadawajcie sobie trudu i nie szukajcie, idźcie dalej, to jest kamień i cień kamienia, a my szukamy świeżego dała i życia zaledwie rozpoczętego. Józef zadrżał na myśl o śnie, zadał sobie pytanie, jaki sens mógł mieć, bowiem jest prawdą, oczywistą wobec wszystkowidzących niebios, że biegł drogą jak szalony, drogą boleści tylko jemu znanej, przeskakując później przez kamienie i mury, jak dobry ojciec spieszył bronić syna, lecz oto sen pokazał jego postać i zapędy oprawcy, słuszne jest przysłowie, które ostrzega, że w snach nie ma pewności, To była diabelska sprawa, pomyślał i wykonał gest egzorcysty. Jakby zrodzony w gardle niewidzialnego ptaka jakiś gwizd przebiegł powietrze, mógłby to być również sygnał dany przez pasterza, gdyby nie to, że o tej porze było już śpi i tylko psy czuwają. Jednakże noc, cicha i odległa, wyzuta z istot i rzeczy, ze swą najwyższą obojętnością, która, jak sobie wyobrażamy, jest cechą wszechświata, albo z inną, absolutną, należącą do pustki pozostałej wtedy, o ile pustka może czymś być, gdy nastanie ostateczny koniec wszystkiego, noc niedbała o sens i słuszny porządek, które zdają się rządzić tym światem wówczas, kiedy wierzymy jeszcze, że został on stworzony po to, aby przyjąć nas i nasze obłąkanie. We wspomnieniu Józefa straszny sen powoli stawał się nierzeczywisty, nedorzeczny, zaprzeczały mu ta noc i ta poświata, zaprzeczało mu dziecko śpiące w żłobie, a przede wszystkim zaprzeczał mu rozbudzony człowiek, którym był on, pan samego siebie i, na miarę możliwości, swoich myśli, teraz miłosiernych i pokojowych, jednakże zdolnych

również do splodzenia potwora, jak i do złożenia podziękowania Bogu za to, że żołnierze pozostawili przy życiu jego ukochanego syna, przez niewiedzę i zaniedbanie, to pewne, oni, którzy tak wielu zabili. Ta sama noc okrywa cieślę Józefa i matki betlejemskich dzieci, o ojcach nie mówimy i o Marii też nie, nie czas na to, wszelako nie wnikiemy w motywy takiego wyłączenia. Godziny mijały spokojnie i kiedy świt dał swój pierwszy sygnał, Józef wstał, objuczył osła i w krótkim czasie, wykorzystując gasnącą przed nastaniem dnia księżycową poświatę, cała rodzina, Jezus, Maria i Józef, ruszyła w powrotną drogę do Galilei. Wychodząc na godzinę z domu swoich państwa, w którym zabito dwoje dzieci, niewolnica Zelomi udała się z rana do jaskini, pewna, że to samo spotkało dziecko, którego poród odbierała. Zastała ją opuszczoną, jedynie z odciskami stóp i oslich kopyt, z węglami prawie wygasłymi pod warstwą popiołu i bez żadnych śladów krwi. Już go tu nie ma, powiedziała, uratował się od tej pierwszej śmierci.

Osiem miesięcy upłynęło już od powrotu do Nazaretu Józefa i jego rodziny, całych i zdrowych pomimo wielu niebezpieczeństw, nieco gorzej czuł się tylko osioł utykający na prawą nogę, wtedy to przyszły wieści, że król Herod umarł w Jerychu w jednym ze swoich pałaców, w którym zamknął się dogorywający wtedy, gdy spadły pierwsze deszcze, pragnął bowiem uciec przed okrucieństwami zimy, która w Jerozolimie nie oszczędzała ludzi chorych i delikatnych. Obwieszczenia głosiły także, iż królestwo osierocone przez tak wielkiego pana zostało podzielone między trzech synów, którzy mu zostali po rodzinnych obławach, a mianowicie, Heroda Filipa, mającego rządzić terytoriami na wschód od Galilei, Heroda Antypasa, który dzierżyć będzie berło w Galilei i Perei, i Archelaosa, któremu przypadła Judea, Samaria i Idumea. Pewnego dnia znajdujący się w drodze mulnik, jeden z tych co to mają dar opowiadania różnych historii zarówno prawdziwych, jak i zmyślonych, zda ludziom z Nazaretu relację z pogrzebu Heroda, którego, jak się zaklinał, był naocznym świadkiem, Umieszczono go w złotym sarkofagu całym błyszczącym od drogocennych kamieni, wóz ciągnięty przez dwa białe woły także był złożony i okryty purpurowymi tkaninami, Heroda owinięto również w purpurę i można było dostrzec tylko zarys sylwetki oraz koronę przy głowie, idący z tyłu muzykanci grali na piszczałkach, a za nimi szły płaczki, które musiały wdychać wstrętny zapach bijący w nosy, ja zaś stałem na skraju drogi i żołądek mi prawie wychodził przez usta, później jechali konno królewscy strażnicy, poprzedzając wojska uzbrojone we włócznie, miecze i sztylety, tak jakby wyruszały na wojnę, przemarsz ten ciągnął się i ciągnął, przypominając węża, u którego nie widać ani głowy, ani ogona, gdy się porusza, i który zdaje się nie mieć końca, strach zakradał się nam do serca, bo takie były te wojska maszerujące za zmarłym, ale również w kierunku swej własnej śmierci, tej

pojedynczej, która nawet wtedy, gdy nam się wydaje, że zwleka i tak w końcu zapuka do naszych drzwi, Już czas, powie, punktualna, nie robiąc różnicy między królami i niewolnikami, jeden z tych pierwszych jechał na przodzie, martwe i zgniłe ciało na czele konduktu, drudzy szli w ogonie procesji, zjadając kurczaki po wszystkich żołnierzach, na razie żywych, lecz już szukających, każdy z osobna, miejsca, gdzie pozostaną na zawsze. Z tego co widać, ów mulnik lepiej by się czuł, spacerując jak perypatetyk pod korynckimi kapitelami jakiejś akademii, niżli poganiając osły po drogach Izraela, śpiąc w śmierdzących karawanserajach albo opowiadając historie prostaczkom takim jak ci z Nazaretu.

Pomiędzy słuchaczami zgromadzonymi na placu przed synagogą był też i Józef, akurat tamtędy przechodził i został, żeby posłuchać. Tak naprawdę niezbyt wielką uwagę zwracał na początku na szczegóły opisu konduktu żałobnego, o tyle o ile, jednak szybko mu uleciały z pamięci wtedy, gdy mówca otwarcie przeszedł do stylu elegijnego, w samej rzeczy cieśla miał uzasadnione i przyziemne powody ku temu, by być bardziej wyczulonym na te struny harfy niż na jakiegokolwiek inne. Wystarczyło na niego spojrzeć, ta twarz nie myli, jedna rzecz to jego dawna powściągliwość, powaga i rozsądek, za pomocą których starał się dodawać sobie lat, druga, bardzo odmienna i gorsza, to ten wyraz goryczy przedwcześnie orzący obydwie strony ust zmarszczkami głębokimi jak nie zabliznione cięcia. Jednak tym, co naprawdę niepokoi w twarzy Józefa jest wyraz jego spojrzenia, albo dokładniej, brak wyrazu, bowiem oczy zdają się być martwe i pokryte popiołem, spod którego jak niegasnący żar jaśnieje blask bezsenności. To prawda, Józef prawie nie śpi. Sen jest jego conocnym nieprzyjacielem, musi z nim walczyć tak, jakby walczył o życie, ale jest to wojna, którą zawsze przegrywa mimo zwycięstw w nielicznych bitwach, bo przecież nieuchronnie przychodzi moment, gdy wyczerpane ciało poddaje się i zasypia po to, by w następnej kolejności ujrzeć pojawiający się na drodze oddział żołnierzy, pośród których jedzie na koniu Józef, od czasu do czasu wywijając mieczem ponad głowę, wówczas właśnie trwoga zaczyna przetaczać się przez świadomość nieszczęśnika, a dowódca wyprawy rzuca pytanie, Dokądże to jedziesz, cieślo, biedak nie chce odpowiedzieć, opiera się resztką sił, tych umysłowych, bo ciało już uległo, jednakże senna wizja jest silniejsza, żelaznymi dłońmi otwiera mu zamknięte usta, a on, łkając i prawie się budząc, musi udzielić tej samej straszliwej odpowiedzi, Jadę do Betlejem zabić mojego syna. Nie pytajmy Józefa, czy pamięta, ile wołów ciągnęło wóz z martwym Herodem i czy były białe, czy może łaciate, wracając do domu myśli wyłącznie o ostatnich słowach opowiadania mulnika, który powiedział, że to ludzkie morze idące w pogrzebie, niewolnicy, żołnierze, królewscy strażnicy, płaczki, grajkowie, gubernatorzy, księżęta, przyszli królowie i my wszyscy, gdziekolwiek byśmy się znajdowali i kimkolwiek

byśmy byli, nie robimy w życiu nic ponadto, że szukamy miejsca, w którym pozostaniemy na zawsze. Nie zawsze tak jest, rozmyślał Józef z goryczą nie dającą się osłodzić nawet za pomocą zdolnej do ukojenia największych bólów rezygnacji i mogącą się jedynie przyoblec w coś, co nazywamy niewiarą w skuteczność lekarstwa, nie zawsze tak jest, powtarzał, wielu w ogóle nie opuszczało miejsca swego urodzenia, a śmierć i tak tam po nich poszła, dowodzi to, iż jedyną rzeczą faktycznie pewną, dokładną i zagwarantowaną jest przeznaczenie, jakież to proste, święty Boże, wystarczy zaczekać, aż całe życie się wypełni i już będziemy mogli powiedzieć, Takie było przeznaczenie, przeznaczeniem Heroda była śmierć w Jerychu i podróż wozem do pałacu i fortecy w Herodium, ale betlejemskim dzieciom śmierć oszczędziła wszelkich podróży. Albo ta historia Józefa, która na samym początku, jeśli spojrzeć na zdarzenia od optymistycznej strony, zdawała się mieć związek z transcendentnym zamysłem uratowania niewinnych istot, a w końcu nic z niej nie wynikło, dlatego że nasz cieśla wiedział, ale nie powiedział, pobiegł uratować syna i zostawił innych na łasce zgubnego przeznaczenia, nigdy to słowo nie pojawiło się w tak odpowiednim momencie. Stąd też Józef nie śpi albo raczej śpi i budzi się ze strachem wrzucony do rzeczywistości nie pozwalającej mu zapomnieć o sennej wizji, przez co można powiedzieć, że na jawie śni ten sam sen, który śnił gdy spał, a śpiąc, desperacko stara się od niego uciec, chociaż wie, że i tak go znowu napotka zawsze, i wszędzie, ów sen jest czymś, co siedzi na progu drzwi oddzielających spanie od czuwania, wchodząc i wychodząc, Józef musi temu stawić czoło. Wiadomo już, że pojęciem dokładnie określającym ten splot jest wyrzut sumienia, jednakże doświadczenia i praktyka łączności na przestrzeni wieków wykazują, iż synteza jest zaledwie złudzeniem, tak jak, za przeproszeniem, kalectwo mowy, nie chodzi o to, że chce się powiedzieć Kocham, ale brakuje słów, tylko o to, że są słowa, ale brakuje miłości.

Maria znów jest brzemienna. Żaden anioł pod postacią obszarpanego żebraka nie zastukał do drzwi, aby zapowiedzieć przyjście tego dziecka, żaden gwałtowny wiatr nie omiótł okolic Nazaretu, żadna świetlista ziemia nie została zakopana obok tamtej starej, Maria zaledwie poinformowała Józefa w najprostszych słowach, Jestem brzemienna, a nie powiedziała mu na przykład, Spójrz oto w moje oczy i zobacz, jak w nich błyszczy nasz drugi syn, on jej też nie odpowiedział, Nie sądź, iż nie zauważyłem, czekałem tylko, aż ty sama mi to powiesz, wysłuchał, nic nie mówiąc i tak jedynie się odezwał, Aha, i dalej strugał deskę z wystarczającą siłą acz obojętnie, bo wiemy przecież, gdzie były jego myśli. Maria także wie od czasu” gdy pewnej nocy udręczony mąż pozwolił, by dobrze do tej pory strzeżony sekret wy dostał się na zewnątrz, a jej to wcale nie zaskoczyło, coś takiego było nieuniknione, pamiętajmy o tym, co anioł powiedział w jaskini, Usłyszysz tysiące krzyków u twego boku.

Dobra żona powiedziała by do swego męża, Uspokój się, to co zrobiłeś, już się nie odstanie, a ponadto twoim najpierwszym obowiązkiem było uratowanie twojego syna, inne powinności cię nie wiązały, jednakowoż prawdą jest, iż w tym ogólnym rozumieniu Maria przestała być dobrą żoną, może dlatego że usłyszała od anioła inne srogie słowa, których ton odnosił się chyba do wszystkich, Nie jestem aniołem od przebaczenia. Gdyby Marii wolno było rozmawiać z Józefem o tych najtajniejszych sprawach, być może on, tak biegły w pismach, mógłby się zastanowić nad naturą anioła, który przybywając nie wiadomo skąd, mówi nam, że nie jest od przebaczenia, w sumie oświadczenie to niezbyt istotne, albowiem wiadomo, że stworzenia anielskie nie są obdarzone mocą przebaczenia, Bogu tylko przynależną. Fakt, że anioł mówi, że nie jest aniołem od przebaczenia, albo nie znaczy nic, albo znaczy zbyt wiele, przypuśćmy, że jest aniołem od potępiania i krzyczy, Przebaczać, ja, cóż za głupi pomysł, ja nie przebaczam, ja karzę. Jednak anioły, z definicji, wyjąwszy owe cherubiny z mieczem ognistym, które Pan postawił na straży drzewa życia, ażeby nie wrócili po jego owoce nasi pierwsi rodzice albo ich potomkowie, czyli my, otóż anioły, powiedzielibyśmy, nie są policjantami, nie zleca im się brudnych, lecz ze społecznego punktu widzenia koniecznych zadań represyjnych, anioły istnieją po to, by ułatwiać nasze życie, podtrzymują nas, gdy już mamy wpaść do studni, przeprowadzają nas po niebezpiecznym moście nad przepaścią, ciągną nas za ramię, aby ustrzec przed potrąceniem przez kwadrygę albo inny pojazd bez hamulców. Anioł naprawdę zasługujący na to miano mógłby nawet zaoszczędzić biednemu Józefowi tych wszystkich męczarni, gdyby tylko pojawił się we śnie ojcom betlejemskich dzieci i powiedział każdemu z nich, Wstań, zabierz dziecko i jego matkę, uciekaj do Egiptu i zostań tam do czasu, gdy dostaniesz ode mnie wiadomość, bowiem Herod będzie szukał dziecka, żeby je zabić, w ten sposób wszystkie dzieci uratowałyby się, Jezus byłby ukryty w jaskini wraz ze swymi rodzicami, a inni zmierzaliby do Egiptu, skąd powróciliby dopiero wtedy, gdy ten sam anioł, pojawiając się ponownie, powiedziałby, Wstań, zabierz dziecko i jego matkę i idź do ziemi Izraela, bo umarli ci, którzy czyhali na życie twojego dziecka. Jest rzeczą oczywistą, że za pośrednictwem tego powiadomienia, na pozór życzliwego i troskliwego, anioł zwróciłby dzieci miejscom, gdziekolwiek by to było, w których w odpowiednim czasie znalazłyby ostateczną śmierć, jednakże anioły, choć, jak widać, wiele mogą, od urodzenia noszą w sobie swoje ograniczenia i pod tym względem są jak Bóg, nie mogą zapobiec śmierci. Myśląc i myśląc Józef mógłby zapewne dojść do wniosku, że anioł z jaskini był jakimś wysłannikiem mocy piekielnych, demonem pod postacią pasterza i po raz kolejny została by ukazana naturalna kobieca słabość oraz zdrożna i nabyta łatwowierność wobec ataku jakiegokolwiek upadłego anioła. Gdyby Maria przemówiła, gdyby Maria nie

była tą zamkniętą arką, gdyby Maria nie zatajała swych najbardziej niezwykłych przeżyć dotyczących zwiastowania, inne czasy nastąpiłyby dla Józefa, inne argumenty wzmocniłyby jego tezę, a bez wątpienia najważniejsze byłoby to, że domniemany anioł nie obwieścił, Jestem aniołem Pana, albo, Przybywam w imieniu Pana, on jedynie oznajmił, Jestem aniołem, od razu zastrzegając, Ale nie mów o tym nikomu, jak gdyby się obawiał, że to się wyda. Zapewne nie zabraknie takich, którzy tu zaprotestują, twierdząc, iż podobne drobiazgi egzegetyczne w niczym nie przyczyniają się do zrozumienia arcyznanej historii, jednakże narratorowi tej ewangelii nie wydaje się, by oznajmienie, iż jest się aniołem niebios bądź też aniołem piekieł, było tą samą rzeczą, zarówno tam, gdzie chodzi o przeszłość, jak i tam, gdzie będzie chodzić o przyszłość, różnice nie tkwią jedynie w formie, tkwią w istocie, materii i treści, prawdą jest, że ten kto stworzył jedne anioły, stworzył też drugie.

Maria, podobnie do męża, lecz wiadomo już, że nie z tych samych powodów, bywa czasami pogrążona w myślach i jakby nieobecna, jej ręce ustają w połowie jakiejś pracy, towarzyszą temu przerywane gesty i dalekie spojrzenia, w zasadzie nic zaskakującego u kobiety w jej stanie, gdyby nie chodziło o myśli, które ją zajmują, wszystkie ściśle, ale mające nieskończoną liczbę odmian w tym pytaniu, Dlaczego anioł objawił mi się, aby zwiastować narodziny Jezusa, a tego dziecka już nie. Maria patrzy na swego pierworodnego, który raczkuje tak, jak to robią wszystkie ludzkie niemowlęta w tym wieku, patrzy na niego i doszukuje się w nim jakiejś znamiennej cechy, znaku, gwiazdki na czole, szóstego palca u dłoni, lecz widzi tylko dziecko takie samo jak inne dzieci, śliniące się, brudzące i płaczące podobnie do nich, jedyna różnica polega na tym, że to jej syn, włosy są ciemne jak u ojca i u matki, tęczówki tracą już ten białawy odcień, który nazywamy mlecznym, choć nim nie jest, w następstwie bezpośredniego genetycznego dziedziczenia przyjmują swój naturalny kolor bardzo ciemnego brązu, który stopniowo, w miarę oddalania się od źrenicy, nabiera tonu jakby cienistej zieleni, o ile w ten sposób można określić jakąś właściwość chromatyczną, jednakże te cechy nie są jedynymi, mają rzeczywiste znaczenie tylko wtedy, gdy dziecko jest nasze lub, ponieważ o niej mówimy, Marii. Za kilka tygodni chłopiec ten poczyni pierwsze próby związane z utrzymywaniem się na nogach i z chodzeniem, bez końca będzie upadać na ręce i patrzeć do przodu z głową podźwigniętą do góry wtedy, gdy usłyszy głos matki, Chodź tutaj, chodź tutaj, mój synku, a niezadługo odczuje pierwszą potrzebę mówienia, kiedy nowe dźwięki zaczną kształtować się w jego gardle i na początku nie będzie wiedzieć, co z nimi począć, pomiesza je z tymi, które już poznał i stosował, z tymi od krzyku i z tymi od płaczu, jakkolwiek szybko zda sobie sprawę, iż powinien artykułować je w bardzo odmienny sposób, z większym przekonaniem naśladować i wzorować się na ruchach warg ojca i matki, aż zdoła

wymówić pierwsze słowo, jakie zaś ono było, nie wiemy, może papa, może tata, może mama, wiemy natomiast, że od tej pory dziecię Jezus nigdy więcej nie będzie musiało kierować palca wskazującego prawej ręki do wnętrza lewej dłoni, jeśli matka albo sąsiadki znów zapytają, A gdzie kurka składa jajko, jest to poniżenie godności istoty ludzkiej, traktowanie jej jak pieska nauczzonego reagować na bodziec dźwiękowy, głos, gwizdnięcie albo trzaśnięcie z bata. Teraz Jezus jest zdolny do odpowiedzi, że kurka może znieść jajko tam, gdzie jej się spodoba, byle tylko nie na jego dłoni. Maria patrzy na syna i wzdycha, żałuje że anioł nie powróci, Nieprędko ujrzysz mnie ponownie, powiedział, gdyby teraz tutaj był, nie dałaby się zastraszyć tak jak przy poprzednich okazjach, przycisnęłaby go pytaniami, aż by się poddał, kobieta już mająca jedno dziecko i spodziewająca się drugiego nie ma w sobie nic z potulnego baranka, nauczyła się na własnej skórze, czym są bóle, niebezpieczeństwa i zmartwienia, i mając takie ciężary umieszczone na swej szali, może sprawić, iż jęczyczek każdej wagi przechyli się w jej stronę. Nie wystarczyło, żeby anioł powiedział, Oby Pan dozwolił, byś nie oglądała twego syna takim, jakim mnie teraz oglądasz, kiedy nie mam gdzie złożyć głowy, najpierw musiałby wyjaśnić, kim był Pan, w imieniu którego zdawał się przemawiać, po drugie, czy naprawdę nie miał gdzie złożyć głowy, rzecz trudna do zrozumienia, gdy w grę wchodzi anioł, albo czy to mówił tylko dlatego, że występował w roli żebraka, po czwarte, jaką przyszłość zapowiadały jej synowi mroczne i groźne słowa, które wypowiedział, na koniec wreszcie, jaką tajemnicę kryła w sobie świetlista ziemia zakopana przy drzwiach, w miejscu, w którym po ich powrocie z Betlejem wyrosła dziwna roślina, tylko łodyga i liście, zresztą już sobie dali spokój z wycinaniem jej po bezskutecznych próbach wyrwania z korzeniami, ponieważ za każdym razem odrastała i to z większą siłą. Dwaj starsi z synagogi, Zacheusz i Dotaim, przyszli przyjrzeć się temu przypadkowi i chociaż niewielka była ich wiedza w zakresie nauk botanicznych, zgodnie stwierdzili, że musiało to pochodzić z nasiona przyniesionego w świetlistej ziemi, które w swoim czasie zaczęło kiełkować, Bo takie jest prawo Pana życia, zawyrokował Zacheusz. Maria przywykła do widoku upartej rośliny, sądziła nawet, że jej daje radość, podczas gdy Józef, nie pogodzony z nowymi, namacalnymi przyczynami rozbudzenia dawnych podejrzeń, przeniósł swój ciesielski warsztat na drugą stronę podwórka i udawał, że nie zauważa znieawidzonego intruza. Po użyciu siekiery i piłki wypróbował działanie wrzątku, a następnie ułożył nawet wokół łodygi kołnierz z płonących węgli, nie ośmielił się tylko, z uwagi na rodzaj przesądne szacunku, wziąć motyki i kopać aż do miejsca, w którym powinien się znajdować początek zła, miska ze świetlistą ziemią. Wtedy to urodził się drugi syn, któremu dali imię Jakub.

W przeciągu kilku lat nie zaszły w rodzinie żadne zmiany poza przyjściem na świat nowych synów i dwóch córek, rodzice zaś utracili resztę młodzieńczego wigoru. W wypadku Marii nie było się czemu dziwić, bo przecież wiadomo, że okresy brzemienności, a zwłaszcza tak częste, niszczą w końcu kobietę, stopniowo zanika ich uroda i świeżość, o ile je miały, smutno więdnie twarz i ciało, wystarczy stwierdzić, że po Jakubie urodziła się Lizja, po Lizji urodził się Józef, po Józefie urodził się Judasz, po Judaszu urodził się Szymon, później Lidia, później Just, później Samuel i jeśli przyszedł na świat jeszcze ktoś, od razu umarł, nie dając czasu na odnotowanie. Dzieci są radością rodziców, tak się mówi, więc Maria robiła wszystko, by wyglądać na zadowoloną, lecz dźwigając przez długie miesiące w swym zmęczonym ciele tyle owoców złaknionych jej sił, niekiedy odczuwała w głębi ducha jakieś zniecierpliwienie i oburzenie poszukujące swej przyczyny, jednakże czasy były takie a nie inne, zatem nie myślała obciążać winą Józefa i w jeszcze mniejszym stopniu tamtego najwyższego Boga, który decyduje o życiu i śmierci swych stworzeń, czego dowodem jest to, że nawet jeden włos nie spada z naszej głowy bez Jego woli. Józef niewielkie miał pojęcie o tym, skąd się biorą dzieci, to znaczy miał podstawowe empiryczne wiadomości praktyka, jeśli tak można powiedzieć, ale to właśnie społeczna lekcja izemskie widowisko sprowadzały wszystkie zagadki do jednej oczywistości, znanej samcowi i samicy, że z ich związku wynikało dość wysokie prawdopodobieństwo spłodzenia przez mężczyznę dziecka w kobiecie, które po upływie dziewięciu miesięcy, rzadziej siedmiu, rodziło się. Nasienie mężczyzny wpuszczone do brzucha kobiety niosło ze sobą miniaturową i niewidoczną nową istotę wybraną przez Boga do kontynuowania zaludniania stworzonego przezeń świata, jednak nie zawsze się tak działo, gdyby ktoś potrzebował przykładu na to, że zamysły Boga są niezbadane, mógłby go odnaleźć w fakcie, iż nie jest wystarczającym warunkiem spłodzenia dziecka, jakkolwiek absolutnie koniecznym, rozlanie się nasienia mężczyzny po przyrodzonym wnętrzu kobiety. Pozwalając, by nasienie spadało na ziemię, tak jak czynił nieszczęśliwy Onan ukarany śmiercią przez Pana za to, że nie chciał spłodzić dzieci wdowie po swoim bracie, można było mieć całkowitą pewność, że kobieta nie stanie się brzemienna, jednak w iluż to sytuacjach studnia idzie do dzbana, jak się zwykło mówić. Dowiedzione zostało, że to właśnie Bóg umieścił Izaaka w rzadkim soku, który Abraham był jeszcze w stanie wytworzyć i wepchnął go do brzucha Sary, a ona przecież nawet nie miewała miesięcznego krwawienia. Cała ta kwestia widziana pod tym właśnie kątem, teogenetycznym powiedzmy, bez nadużywania logiki, która wszystkim powinna rządzić na tym świecie i na innych, może zostać podsumowana w ten sposób, że sam Bóg z wielką gorliwością zachęcał i pobudzał Józefa do obcowania z Marią, tym samym czyniąc z niego swoje narzędzie do

zagłuszania, za pośrednictwem ilościowej rekompensaty, wyrzutów sumienia, które odczuwał od czasu, gdy pozwolił albo zechciał, bez podjęcia trudu zastanowienia się nad konsekwencjami, żeby zginęły niewinne dzieci z Betlejem. Najdziwniejsze zaś, ukazując jednocześnie, jak bardzo zamiary Pana są nieprzeniknione i zbijające z tropu, jest to, że Józef, jakkolwiek w nie do końca zorganizowany sposób, przez co ledwie to docierało do jego świadomości, przypuszczał, że działa na własną rękę i niech wierzy kto może, z tą samą co Bóg intencją, to znaczy, pragnął przywrócić światu na drodze uporczywego wysiłku prokreacyjnego, w pełnym tego słowa znaczeniu, zabite dzieci, takie jakimi były, a przynajmniej w takiej samej liczbie, ażeby podczas przyszłego spisu nie było żadnych różnic. Wyrzuty sumienia Boga i wyrzuty sumienia Józefa były tymi samymi wyrzutami sumienia, a jeśli w tamtych dawnych czasach już mówiono, Bóg nie śpi, dziś mamy dobre warunki ku temu, by się dowiedzieć dlaczego, Nie śpi, ponieważ popełnił przewinienie, które nawet człowiekowi nie może zostać wybaczone. Za każdym razem, gdy Józef płodził nowe dziecko, Bóg nieco wyżej unosił głowę, choć nigdy nie podniesie jej całkowicie, bowiem w Betlejem zginęło dwadzieścioro pięcioro dzieci, zaś Józef nie będzie żył dostatecznie długo, by obdarzyć tak liczny potomstwem jedną kobietę, ani też Maria, bardzo już zmęczona, ze zbolałą duszą i ciałem, nie mogłaby tyle znieść. Choć podwórko i dom cieśli pełne były dzieci, wydawało się, że są puste.

Po ukończeniu pięciu lat syn Józefa zaczął chodzić do szkoły. Każdego ranka, gdy tylko wstał dzień, matka prowadziła go do zwierzchnika synagogi, który był osobą wystarczającą do nauczania na poziomie podstawowym, tam właśnie, w samej synagodze będącej salą lekcyjną, on i inni chłopcy z Nazaretu liczący sobie mniej niż dziesięć lat urzeczywistniali sentencję mędrca, Dziecko powinno wychowywać się na Torze tak, jak wół wychowuje się w zagrodzie. Lekcja kończyła się o szóstej godzinie, która była naszym dzisiejszym południem, Maria już czekała na syna, biedaczka nie mogła go nawet zapytać, jak sobie radzi, nie miała tego zwyczajnego prawa, bo maksyma mędrca kategorycznie stwierdza, Lepiej by było, gdyby Prawo zostało strawione przez płomienie, niż by miało się dostać w ręce kobiet, nie powinno się także zapominać o takiej możliwości, że syn, wystarczająco dobrze już wiedząc, jakie jest rzeczywiste miejsce kobiet na świecie, z matkami włącznie, dałby jej pokrętną odpowiedź, jedną z tych, które są w stanie pokazać komuś jego znikomość, bo każdy ma swoją własną, weźmy przypadek Heroda, taka potęga, taka potęga, a gdybyśmy poszli teraz go zobaczyć, nawet nie moglibyśmy wyrecytować, Spoczywa martwy i gnije, wszystko jest już stęchlizną, prochem, kośćmi i brudnymi szmatami. Kiedy Jezus wchodził do domu, ojciec pytał go, Czego się dzisiaj nauczyłeś, a chłopiec, który miał szczęście urodzić

się z doskonałą pamięcią, bezbłędnie powtarzał punkt po punkcie lekcję mistrza, najpierw były to nazwy liter alfabetu, potem główne słowa, a później całe zdania z Tory i pełne fragmenty, przy których Józef rytmicznie uderzał prawą dłoń oraz jednocześnie powoli kiwał głową. Stojąca na uboczu Maria tak właśnie zaznajamiała się z tym, oco nie mogła pytać, chodzi tu o starą kobiecą metodę, udoskonaloną w ciągu wieków i tysiącleci praktyki, gdy się im nie pozwala sprawdzić czegoś na własną rękę, zaczynają słuchać i niebawem wiedzą wszystko, potrafiąc nawet, a jest to szczytem mądrości, oddzielać prawdę od fałszu. Niemniej jednak Maria nie wiedziała, albo nie wiedziała zbyt dobrze, o dziwnych więzach łączących męża z tym synem, mimo tego, że nawet uwadze obcej osoby nie umknąłby będący pomieszaniem tkliwości i strapienia wyraz, który przybierała twarz Józefa wtedy, gdy rozmawiał on ze swym pierworodnym, jak gdyby myśląc, Ten syn ukochany jest moją boleścią. Maria wiedziała tylko, że Józefowe koszmary, będące jak świerzbienie duszy, nie opuszczały go, choć z drugiej strony, owe powtarzające się nocne udręki stały się już przyzwyczajeniem takim samym jak spanie na prawym boku lub wstawanie w środku nocy wywołane pragnieniem. I o ile Maria, jak przystało na dobrą i godną żonę, nie przestała martwić się o swego męża, to najważniejszą dla niej rzeczą był fakt, iż syn jest zdrow i cały, znak tego, że wina nie była aż tak wielka albo, że Pan zesłał już karę, nie rzucając kamieniem ani nie obijając kijem, jak ma w zwyczaju, zresztą widać to na przykładzie Hioba, zrujnowanego, trędowatego, a przecież zawsze był mężem prawym i sprawiedliwym oraz bogobożnym, wszelako na swoje nieszczęście stał się mimowolnym obiektem sporu pomiędzy Szatanem i samym Bogiem, z których każdy kurczowo trzymał się swych idei i prerogatyw. Potem wszyscy się dziwią, że człowiek rozpacza i krzyczy, Niech przepadnie dzień mego urodzenia i noc mego poczęcia, niech się zamieni w ciemność, niech nie będzie wymieniany między dniami roku i niech do miesiący nie wchodzi, niech ta noc bezpłodną się stanie i niechaj nie zazna wesela, prawdą jest, iż Bóg wynagrodził Hioba, przywracając mu w dwójnasób to, co mu odebrał, jednak innym ludziom, tym, o których z imienia nie wspominało się w żadnej księdze, wszystko się odbiera i niczego nie daje, obiecuje się i nie spełnia. W domu cieśli życie mimo wszystko było spokojne, a na stole, choć bez zbytków dobrobytu, nigdy nie brakowało chleba powszedniego i czegoś do chleba, co pomagało duszy utrzymywać związek z ciałem. Jedynym podobieństwem pomiędzy dobrami Józefa i dobrami Hioba, którego można by się doszukać, była liczba dzieci, siedmiu synów i trzy córki miał Hiob, siedmiu synów i dwie córki miał Józef, przy czym przewaga cieśli wynikała z umieszczenia przez niego na świecie o jedną kobietę mniej. Jednakże Hiob, zanim jeszcze Bóg podwoił jego dobra, już był właścicielem siedmiu tysięcy owiec, trzech tysięcy

wielbłądów, pięciuset jarzm wołów i pięciuset oślic, nie wspominając już o licznej służbie, Józef zaś ma znanego nam osła i nic poza tym. Doprawdy czym innym jest praca na utrzymanie dwóch osób, a później trzeciej, lecz tej, w pierwszym roku w sposób pośredni, a czym innym pętająca się pod nogami czereda dzieci, rosnące wraz z nimi potrzeby i domaganie się treściwego pożywienia we właściwym czasie. Zatem skoro dochody Józefa nie pozwalały na przyjęcie pracowników, zasoby siły roboczej spoczywały w dzieciach, pod ręką, można rzec, zresztą wiązało się to ze zwykłymi obowiązkami ojca, bowiem Talmud mówi, Tak samo jak obowiązkiem jest żywienie synów, obowiązkiem jest nauczenie ich jakiegoś zawodu, nie dopełniając tego, ojciec robi z syna bandytę. Jeżeli przypomnimy sobie to, czego nauczali rabini, Rzemieślnik w swojej pracy nie powinien wynosić się ponad największego mistrza, będziemy mogli sobie wyobrazić, z jaką zawodową dumą Józef zaczynał kształcić swych najstarszych synów, jednego po drugim w miarę jak dorastali, najpierw Jezusa, potem Jakuba, potem Józefa, potem Judasza, przekazując im sekrety oraz tradycje sztuki ciesielskiej i uwzględniając to, co głosiło stare, ludowe porzekadło, Niewiele pożytku jest z pracy dziecięcej, lecz kto nią pogardza, jest szaleńcem, dopiero później nazwano to zatrudnianiem nieletnich. Kiedy ojciec Józef wracał do swych zajęć po popołudniowym posiłku, pomagały mu jego własne dzieci, prawdziwy przykład rodzinnej gospodarki, która mogłaby dawać wspaniałe owoce aż po dzień dzisiejszy, być może nawet całą dynastię cieśli, gdyby Bóg, który wie, czego chce, nie miał innych planów.

7 Tcisk, którym bezbożne i wyniosłe Cesarstwo gnębiło od ponad Ul siedemdziesięciu lat naród hebrajski, wydawał mu się chyba nazbyt łagodny, bowiem w Rzymie zapadła decyzja o przeprowadzeniu ostatniego spisu, a za pretekst posłużył podział dawnego królestwa Heroda, tym razem jednak mężczyźni nie musieli zgłaszać się w swych rodzinnych miejscowościach, co przyczyniało się do uniknięcia zarówno znanych zakłóceń w handlu i rolnictwie, jak i ubocznych skutków, na przykład takich, jakie dotknęły cieślę Józefa i jego rodzinę. Według nowej metody komisarzy spisowi chodzą od osady do osady, od wioski do wioski, od miasta do miasta, zwołują na największy plac albo na otwarte pole miejscowych mężczyzn, szefów rodzin i innych, i pod osłoną straży, z piórem w garści odnotowują w finansowych rejestrach nazwiska, funkcje i dobra podlegające opodatkowaniu. Wypada tutaj powiedzieć, że procedury tego typu nie są dobrze widziane w tej części świata, nie tylko zresztą teraz, gdyż wystarczy przypomnieć to, co się mówi w Piśmie na temat nieszczęśliwego pomysłu króla Dawida, który kazał dowódcy swego wojska, Joabowi, przeprowadzić spis w Izraelu i Judei, tak do niego mówiąc, Przebiegnij wszystkie pokolenia Izraela od Dan do BeerSzeby i policz ludzi, abym się dowiedział, jaka jest liczba narodu, a

skoro słowo króla jest królewskim, zmilczał Joab swe wątpliwości, skrzyknął wojsko, po czym ruszyli w drogę i zabrali się do roboty. Po dziewięciu miesiącach i dwudziestu dniach powrócili do Jerozolimy, a Joab miał ze sobą wyniki spisu zsumowane i sprawdzone, było w Izraelu osiemset tysięcy wojowników dobywających miecza, zaś w Judzie, pięćset tysięcy. Wiadomo jednak, że Bóg nie lubi, gdy ktoś liczy za niego, szczególnie wtedy, kiedy w grę wchodzi

-96 - naród przez niego samego wybrany, nad którym nikt inny nigdy nie będzie panował, a zwłaszcza Rzym, rządzony, jak wiemy, przez fałszywych bogów i fałszywych ludzi, po pierwsze dlatego, że tacy bogowie faktycznie nie istnieją, po drugie zaś dlatego, że, chociaż mają jakąś rację bytu opartą na związanym z nimi kulcie pozbawionym rzeczywistego obiektu, sama nicość tego kultu przyczyni się do obnażenia fałszu ludzi. Zostawmy jednak na razie Rzym i powróćmy do króla Dawida, którego serce mocniej zabiło dokładnie wtedy, gdy dowódca wojska skończył składać raport, za późno jednak, gdyż na nie się zdały wyrzuty sumienia i te słowa, Bardzo zgrzeszyłem tym, czego dokonałem, lecz teraz, o Panie, daruj łaskawie winę twego sługi, bo postąpiłem bardzo nierozsądnie, a gdy następnego ranka Dawid wstawał z łóżka, przyszedł do niego prorok noszący imię Gad, który był królewskim wróżbitą i rzec by można, jego pośrednikiem w dotarciu do Najwyższego, i tak powiedział, Pan każe zapytać, co wolisz, trzy lata głodu na ziemi, trzy miesiące klęsk zadawanych przez ścigającego cię wroga, czy trzy dni zarazy na całej ziemi. Dawid nie zapytał, ilu ludzi miałyby umrzeć w każdym z tych przypadków, obliczył zaś, że w ciągu trzech dni zarazy zawsze umrze mniej osób niż przez trzy miesiące wojny albo trzy lata głodu, Niech się wypełni twoja wola, Panie, niech przyjdzie zaraza, powiedział. A Bóg zesłał zarazę i umarło siedemdziesiąt tysięcy ludzi z narodu, nie licząc kobiet i dzieci, bo one, jak zawsze, nie zostały odnotowane. W końcu Pan zgodził się wycofać zarazę w zamian za ołtarz, ale umarli pozostali umarłymi lub też Bóg o nich nie pomyślał albo ich zmartwychwstanie nie było najstosowniejsze, skoro, jak się można spodziewać, o wielu spadkach już dyskutowano i nad wieloma udziałami roztrząsano, a przecież naród przekonany o tym, że jest bezpośrednią własnością Boga, wcale nie musi się wyrzekać dóbr doczesnych, na dodatek dóbr prawowitych, zdobytych w pocie czoła pracą lub walką, wszystko jedno, w końcu liczy się efekt.

Tym, co również powinno wchodzić w rachubę przy wydawaniu osądów o działaniach ludzkich i boskich zawsze podlegających naszej ocenie, jest fakt, iż Bóg, który sprawnie, szybko i żelazną ręką powetował sobie błąd Dawida, teraz wydaje się biernie przypatrywać uciskowi szerzonemu przez Rzym na ziemi swych najulubieńszych synów i, o najwyższa

bezradności, okazuje swą obojętność wobec lekceważenia Jego potęgi i czci. Gdy tak się dzieje, to znaczy, gdy staje się oczywiste, że Bóg nie przychodzi ani nawet nie daje znaku, że przybędzie tak szybko, człowiek znajduje na to tylko jedną radę, wychodzi mianowicie ze swego domu, aby zaprowadzić porządek na obrażonym świecie, dom jest jego, a świat należy do Boga. Przemierzali więc tamte strony komisarze spisowi, jak już powiedziano, panosząc się z zuchwałością ludzi, którym wszystko wolno, zwłaszcza że żołnierze pilnowali, by włos im z głowy nie spadł, metafora to wyrazista choć i dwuznaczna, bowiem oznacza tylko, że żołnierze chronili ich przed zniewagami i okrucieństwem, wówczas to zaczął narastać protest w Galilei oraz Judei, początkowo nieśmiały, jak gdyby ludzie na razie chcieli tylko rozbudzić swą własną siłę, oszacować ją, zważyć, później stopniowo przybierając postać indywidualnych wystąpień, oto jakiś rzemieślnik podchodzi do stołu komisarza spisowego i głośno mówi, że z niego nawet imienia nie wyciągną, oto kupiec zamyka się w swym namiocie wraz z rodziną i grozi, że potłucze wszystkie wazy i podrze wszystkie tkaniny, oto rolnik podkłada ogień pod zbiory i przynosi kosz z popiołami, mówiąc, Taką monetą Izrael płaci temu, kto go znieważa. Wszystkich następnie pojmano, zamknięto w więzieniach, wychłostano i poniżono, a ponieważ ludzka wytrzymałość ma ciasne granice, tak wątlymi nas uczyniono, po pewnym czasie męstwo rozpadało się w gruzy, rzemieślnik bezwstydnie opowiadał o swoich najintymniejszych sekretach, kupiec proponował córkę albo dwie jako dodatek do podatku, rolnik posypywał się popiołem i zostawał niewolnikiem. Niewielu było takich, którzy nie ustępowali, lecz za to umierali, inni nauczywszy się, że dobry okupant to martwy okupant, chwyтали za broń i szli w góry. Mówi się broń, a były to kamienie, proce, drągi, pałki i maczugi, nieliczne łuki ze strzałami, wystarczające do wszczęcia powstania, a później także jakieś pozbierane w szybkich potyczkach miecze i dzidy, które jednak w godzinie próby nie na wiele się przydawały, gdyż od czasów Dawida ci dobroduszni pasterze zdążyli przywyknąć do wiejskiego życia i nie mieli przekonania do wojaczki. Wszakże człowiek, Żyd i nie Żyd, przyzwyczajają się do wojny tak, jak trudno by mu było przyzwyczaić się do pokoju, przede wszystkim wtedy, gdy znajdzie przywódcę, i ważniejsza od wiary w niego jest wiara w to, w co on wierzy. Taki przywódca, przywódca buntu przeciwko Rzymianom podniesionego, kiedy pierworodny syn Józefa miał jedenaście lat, nosił imię Judasz i urodził się w Galilei, stąd, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, nazywano go Judaszem Galilejczykiem albo Judaszem z Galilei. Nie powinniśmy, doprawdy, dziwić się tak prymitywnym identyfikacjom, wszelako bardzo rozpowszechnionym, łatwo jest odnaleźć na przykład Józefa z Arymatei, Szymona z Cyreny albo Cyrenejczyka, Marię Magdalenę albo z Magdali, a jeśli syn Józefa będzie żył i dobrze mu się będzie

I powodziło, nie miejmy żadnych wątpliwości, że go nazwą po prostu Jezusem z Nazaretu albo Jezusem Nazarejskim, albo nawet jeszcze prościej, Nazarejczykiem, bowiem nigdy nie wiadomo, do czego może dojść przy identyfikacji osoby za pośrednictwem nazwy miejsca, w którym się urodziła, a w tym wypadku, w którym została poczęta. Jednakże wszystko to są gdybania, przeznaczenie, ileż razy trzeba to powtarzać, jest skarbcem niepodobnym do żadnego innego, jednocześnie otwartym i zamkniętym, zaglądamy do środka i możemy zobaczyć to, co już się stało, całe przeszłe życie zamienione w przeznaczenie wypełnione, ale z tym, co ma się wydarzyć, wiążą nas jedynie jakieś przeczucia, domysły, tak jak w wypadku tej ewangelii, której nie pisano by, gdyby nie miały miejsca te nadzwyczajne przestrogi będące prawdopodobnie przesłankami przeznaczenia potężniejszego niż zwykłe życie. Powróćmy wszakże do głównego wątku. Jak już mówiliśmy, w rodzinie Judasza Galilejczyka wszyscy mieli bunt we krwi, już jego ojciec, stary Ezechiasz, wraz ze swym oddziałem stawał do boju podczas ludowych rozruchów, które po śmierci Heroda wybuchały przeciwko jego domniemanym następcom, zanim jeszcze Rzym potwierdził prawowitość podziału królestwa i władzę nowych tetrarchów. Są rzeczy, które trudno jest wyjaśnić, bo skoro wszyscy składają się z tych samych jak najbardziej ludzkich tworzyw, tego ciała, tych kości, tej krwi, tej skóry i tego śmiechu, tego potu i tej łzy, skąd biorą się tchórze i nieustraszeni, usposobieni wojowniczo i pokojowo, na przykład, to samo, z czego stworzony jest Józef posłużyło do stworzenia Judasza, i podczas gdy ten, syn swego ojca i ojciec swych dzieci, - idąc za jego przykładem i dając przykład im, porzucił spokój po to, by bronić w walce praw Boga, cieśla Józef pozostał w domu z dziewięciorgiem dzieci i z ich matką, kurczowo trzymając się swego warsztatu i konieczności zarabiania na chleb dzisiejszy, bowiem nie wiadomo do kogo należy jutro, mówi się, że do Boga, przypuszczenie tak samo dobre jak to, które mówi, że nie należy do nikogo, a wczoraj, dziś i jutro są różnymi imionami złudzenia.

Niemniej jednak niektórzy mężczyźni z wioski Nazaret, przede wszystkim ci najmłodszy, przyłączyli się do partyzantki Judasza Galilejczyka, zwykle znikali bez uprzedzenia, rozpływali się, można powiedzieć, w jednej chwili, a wszystko pozostawało najskrytszą tajemnicą ich rodzin, niepisana zasada tajności miała taką władzę, że nikomu nie przychodziło do głowy, aby zadawać pytania, A gdzież to jest Natanael, już od dawna go nie widuję, jeśli Natanael przestał przychodzić do synagogi albo rząd żniwiarzy na polu skrócił się o jednego człowieka, pozostali zachowywali się tak, jakby Natanael nigdy nie istniał, a przecież nie całkiem tak było, wiedziano, że czasami Natanael przychodzi samotnie do wioski ciemną nocą i opuszcza ją wraz z pierwszym świtem, poza uśmiechem żony Natanaela nie było innych śladów tego wejścia i wyjścia, lecz zaprawdę są uśmiechy, które mówią

wszystko, nieruchoma kobieta z oczami błędzącymi po pustce horyzontu albo zaledwie po przeciwnej ścianie z nagłą zaczyna się uśmiechać, uśmiech jest lekki, zamyślony, tak jak jakiś obraz wynurzający się z wody i kołyszący się na niespokojnej powierzchni, tylko ślepiec, ponieważ nie może zobaczyć, pomyślałby, że żona Natanaela spała ostatniej nocy bez męża. Ludzkie serce tak bardzo jest dziwne, że pewne kobiety, które stale cieszyły się obecnością swoich mężczyzn, aż wzdychały wyobrażając sobie te spotkania i, całe poruszone, oblegały żonę Natanaela tak, jak pszczoły robią z kwiatem kapiącym od pyłku. Nie dotyczyło to Marii obciążonej dziewięciorgiem dzieci i mężem, który prawie każdej nocy jęczał i krzyczał z trwogi i przerażenia, do tego stopnia, że dzieci budziły się i wybuchały płaczem. Z upływem czasu, lepiej lub gorzej, przyzwyczajały się, jednakże najstarszy, z uwagi na coś, co go napawało strachem pośród jego własnego snu, a nie był to jeszcze żaden koszmar, budził się zawsze i początkowo pytał matkę, Co się dzieje ojcu, a ona odpowiadała obojętnym tonem, To złe sny, nie mogła przecież powiedzieć synowi, Twojemu ojcu śniło się, że jedzie betlejemską drogą z żołnierzami Heroda, Jakiego Heroda, Ojca tego, który nami rządzi, I dlatego jęczał i krzyczał, Dlatego, Nie rozumiem, czemu bycie żołnierzem nie żyjącego już króla może być przyczyną niedobrych snów, Twój ojciec nigdy nie był żołnierzem Heroda, zawsze zajmował się ciesielstwem, No to skąd się wzięły te sny, Ludzie nie wybierają sobie snów, To sny wybierają sobie ludzi, Nigdy nie słyszałam, żeby o tym komuś mówił, ale tak musi być, Skąd te krzyki, moja matko, skąd te jęki, Stąd, że twojemu ojcu śni się co noc, że cię zabije. Jasne, że Marii nie wolno było dojść do takiej skrajności i wyjaśniać przyczyn męzowskiego kosmaru właśnie temu, kto odgrywał w tym koszmarze rolę ofiary nigdy nie złożonej, lecz bezlitośnie skazanej, tak jak Izaak syn Abrahama. Pewnego dnia, pomagając ojcu w łączeniu elementów jakichś drzwi, Jezus zebrał się na odwagę i zadał mu pytanie, a on, po długim milczeniu, nie podnosząc wzroku, zaledwie to wyrzekł, Mój synu, znasz już twoje obowiązki i powinności, wypełniaj je wszystkie, a znajdziesz łaskę u Boga, lecz pamiętaj także i o tym, by w twojej duszy poszukiwać takich obowiązków i powinności, których cię nie nauczono, To jest twój sen, ojcze, Nie, to tylko jego przyczyna, niepamiętanie o pewnym obowiązku, albo i gorzej, Jak to gorzej, Nie pomyślałem, A sen, Sen jest myślą nie powziętą wtedy, gdy należało, teraz jest ze mną co noc, nie mogę o niej zapomnieć, O czym powinienes być pomyśleć, Ani ty nie możesz zadawać mi takich pytań, ani ja nie mogę ci udzielić na nie odpowiedzi. Pracowali na podwórku, w cieniu, bowiem letni był czas i słońce paliło. W pobliżu bawili się bracia Jezusa, z wyjątkiem najmłodszego, który był w domu i matka karmiła go piersią. Jakub również pomagał ojcu, ale zmęczył się albo znudził, nic dziwnego zresztą, w tym wieku jeden rok różnicy to dużo, Jezusowi niewiele już brakuje do osiągnięcia

dojrzałości religijnej, zakończył naukę na poziomie podstawowym, a teraz, oprócz dalszych studiów nad Torą czyli prawem spisanim, zaczyna wgłębiać się w prawo ustne, o wiele trudniejsze i bardziej zawile. Dzięki temu łatwiej zrozumieć dlaczego, mimo młodego wieku, mógł podtrzymywać tak poważną rozmowę z ojcem, używając właściwych słów oraz rozprawiając z logiką i rozwagą. Jezus ma już prawie dwanaście lat, niedługo będzie mężczyzną i zapewne wtedy będzie mógł powrócić do kwestii pozostawionej obecnie w zawieszeniu, o ile Józefowi nic nie stanie na przeszkodzie do wyznania synowi własnej winy, a nie uczynił tak Abraham ze swoim synem, Izaakiem, w dniu, w którym wszystko uznało i wychwalało potęgę Boga. Lecz naprawdę proste linie Boga niewiele mają wspólnych punktów z krzywymi liniami ludzi, spójrzmy tylko na wspomniany przykład Abrahama, któremu objawił się anioł i w ostatniej chwili tak powiedział, Nie podnoś ręki na chłopca, i spójrzmy na przykład Józefa, gdzie Bóg, w miejsce anioła postawił na jego drodze jednego dowódcę i trzech gadatliwych żołnierzy, a Józef nie wykorzystał czasu, który miał na uratowanie betlejemskich dzieci od śmierci. Jeżeli dobre początki Jezusa nie zatracą się z upływem lat, być może zechce się on dowiedzieć, dlaczego Bóg uratował Izaaka i nie zrobił nic, by uratować żalosne dzieci, tak jak syn Abrahama wolne od grzechu, lecz nie mogące liczyć na zmiłowanie płynące z Pańskiego tronu. Będzie zatem mógł Jezus powiedzieć do Józefa, Ojcze, nie musisz dźwigać ze sobą całej winy, a w skrytości serca ewentualnie ośmieli się zapytać, Kiedy, o Panie, nadejdzie dzień, w którym przyjdiesz do nas, żeby wobec ludzi uznać swoje błędy.

Kiedy za drzwiami domu i duszy cieśla Józef oraz jego syn Jezus, na głos i w milczeniu snuli rozważania nad tymi pierwszorzędnymi kwestiami, wojna toczyła się nadal. Trwała już od ponad dwóch lat iczasami docierały do Nazaretu żałobne wieści, zginął Efraim, zginął Abiezer, zginął Neftali, zginął Eleazar, ale nie wiadano z całą pewnością, gdzie znajdowały się ich ciała, między dwoma górskimi skałami, w głębi wąwozu, niesione z prądem rzeki, w bezużytecznym cieniu jakiegoś drzewa. Równie dobrze mogą ci, co pozostali w Nazarecie, obmyć ręce, i powiedzieć, nawet nie mogąc odprawić pogrzebu, Nasze ręce nie przelały tej krwi i nasze oczy jej nie widziały. Jednakże docierały również wieści o wielkich zwycięstwach, Rzymianie wypędzeni z miasta Seforis, całkiem niedaleko, tylko dwie godziny od Nazaretu, piechota, nieprzyjacielskie wojsko nie ośmielało się zapuszczać w głąb rozległych obszarów Galilei i Judei, a w samej wiosce Józefa już od ponad roku nie widziano rzymskiego żołnierza. Kto wie, czy nie dla tej przyczyny sąsiad cieśli, ciekawski i uczynny Ananiasz,

Októrym wcześniej nie było potrzeby ponownie wspominać, wszedł pewnego dnia na podwórko i z tajemniczą miną powiedział, Wyjdź ze mną na zewnątrz, dobre motywy nim kierują, ponieważ w domach tego ludu, tak małych, nie można zachować prywatności, w nocy, podczas snu, tam gdzie jest jeden, są wszyscy, w ciągu dnia, niezależnie od okoliczności i warunków, Pan Bóg ma tę korzyść, że łatwiej może rozpoznać tych, którzy z nadejściem Sądu Ostatecznego, do niego należeć będą. Nie zdziwiła Józefa ta prośba, nawet wówczas, gdy Ananiasz dodał poufnie, Chodźmy na pustynię, a my wiemy już przecież, że pustynia nie jest tylko tym, co nasz umysł przyzwyczaił się nam pokazywać wtedy, kiedy czytamy lub słyszymy to słowo, olbrzymią połacią piasku, morzem płonących wydm, pustynie, według tutejszego rozumienia, rozciągają się także w zielonej Galilei i są nie uprawianymi polami, miejscami, gdzie nie mieszkają ludzie i nie widać trwałych śladów ich pracy, powiedziec pustynia to powiedziec, Przestanie nią być, gdy my się na niej znajdziemy. Wszelako w tym wypadku Nazaret pozostaje wciąż w zasięgu wzroku, a tylko dwaj mężczyźni przemierzają szczerze pole zdążając w kierunku trzech wielkich kamieni wznoszących się na szczycie pagórka, więc nie można oczywiście mówić o zaludnianiu, pustynia ponownie będzie pustynią, kiedy ci dwaj sobie pójda. Usiadł Ananiasz na ziemi, a Józef obok niego, zawsze była między nimi różnica wieku, jasne, że czas upływa dla wszystkich jednakowo, choć nie dzieje się tak z tego upływu efektami, dlatego też Ananiasz, który wówczas, gdy go poznaliśmy, nie wyglądał źle jak na swój wiek, dziś wydaje się starcem, mimo że Józefa czas też nie oszczędzał. Ananiasz chyba się waha, zdecydowana mina, z którą wkroczył do domu cieśli, po drodze stopniowo wygasła

Iteraż Józef będzie go musiał podnieść na duchu jakimś krótkim zdaniem, ale tak, by nie oznaczało ono pytania, Uszliśmy daleko, jest to

\

»

> dobra zachęta dla Ananiasza pozwalająca mu się odezwać, O tej sprawie nie mogliśmy rozmawiać ani w twoim domu, ani w moim. Od tego momentu rozmowa już będzie mogła przebiegać normalnym torem, niezależnie od tego, jak bardzo delikatne są motywy, które przywiodły ich w to odludne miejsce, przekonamy się zresztą o tym niebawem. Rzekł Ananiasz, Pewnego dnia poprosiłeś mnie, abym doglądał twojego domu podczas twojej nieobecności i tak też uczyniłem, Zawsze byłem ci wdzięczny za tę przysługę, odparł Józef, a Ananiasz ciągnął dalej, Teraz nadarza się okazja, bym ja prosił ciebie o doglądanie mojego domu w czasie mojej nieobecności, Idziesz z twoją żoną, Nie, idę sam, Ale, czy ona zostaje, Szua uda się do krewnych, którzy są rybakami, Chcesz mi powiedziec, że wręczyłeś twojej

żonie list rozwodowy, Nie rozwiodłem się z nią, jeśli tego nie uczyniłem wtedy, gdy dowiedziałem się, że nie może dać mi dzieci, również teraz bym tego nie uczynił, chodzi natomiast o to, że przez jakiś czas muszę pozostać poza domem i najlepiej, żeby Szua była wtedy ze swoimi, Długo cię nie będzie, Zależy, ile potrwa wojna, Co wojna ma do twojej nieobecności, powiedział Józef zaskoczony, Idę szukać Judasza Galilejczyka, Czego chcesz od niego, Chcę go zapytać, czy mnie przyjmie do swojego wojska, Ale ty, Ananiaszu, zawsze byłeś człowiekiem usposobionym pokojowo, a teraz chcesz się mieszać do wojen z Rzymianami, pamiętaj o tym, co stało się z Efraimem i Abiezerem, I z Neftalim i z Eleazarem, Posłuchaj zatem głosu zdrowego rozsądku, Posłuchaj mnie ty, Józefie, niezależnie od tego, jakim głosem przemówią moje usta, jestem dziś w wieku, w jakim zmarł mój ojciec, a on zrobił znacznie więcej w swoim życiu niż ten jego syn, który nawet dzieci mieć nie mógł, nie jestem mądry tak jak ty i nie zostanę starszym z synagogi, za jakiś czas nie będę miał już nic do roboty poza codziennym oczekiwaniem na śmierć u boku kobiety, której już nie kocham, Więc się rozwiedź, Problem nie polega na rozwiedzeniu się z nią, problem raczej polegałby na rozwiedzeniu się z samym sobą, a czegoś takiego nie jestem w stanie zrobić, I cóż ty zdziałasz na wojnie z twoimi wątłymi siłami, Idę na wojnę tak, jakbym myślał o splodzeniu syna, Nigdy o czymś takim nie słyszałem, Ja też nie, ale taka myśl przyszła mi teraz do głowy, Zatrószczę się o twój dom do czasu, gdy powrócisz, Jeżeli nie wrócę, jeżeli ci powiedzą, że zginąłem, obiecuję, że każesz zawiadomić Szua, żeby objęła to, co do niej należy, Obiecuję, No to chodźmy, teraz jestem spokojny, Spokojny, kiedy postanawiasz iść na wojnę, doprawdy, nie rozumiem, Ech, Józefie, Józefie, przez ile wieków będziemy jeszcze musieli pomnażać naukę Talmudu, aby zrozumieć rzeczy najprostsze, Dlaczego przyszliśmy tutaj, nie trzeba było oddalać się aż tak, Chciałem rozmawiać z tobą wobec świadków, Wystarczyłby świadek absolutny, jakim jest Bóg i to niebo, co nas okrywa wszędzie, dokądkolwiek pójdziemy, Te kamienie, Kamienie są głuche i nieme, nie mogą zaświadczyć, Są, rzeczywiście, ale jutro, gdybyśmy postanowili wyprzeć się tego, o czym tu było mówione, oskarżono by nas i wciąż by nas oskarżano, aż one zamieniłyby się w proch, a my w nicłość, Chodźmy stąd, Chodźmy. W drodze Ananiasz obrócił się kilkakrotnie do tyłu, żeby popatrzeć na kamienie, później zniknęły one za jakimś pagórkem i wtedy właśnie Józef zapytał, Szua już wie, Tak, powiedziałem jej o tym, A ona, Milczała, a potem powiedziała mi, że lepiej by było, gdybym się jej wyrzekł, teraz chodzi i płacze po kątach, Biedaczka, Kiedy będzie z rodziną, zapomni o mnie, kiedy umrę, też o mnie zapomni, takie jest prawo życia, zapomnienie. Weszli do wioski i gdy dochodzili do domu cieśli, pierwszego od tej strony, bawiący się na ulicy z Jakubem i Judaszem Jezus powiedział, że matka jest w domu sąsiada.

Oddalając się, obaj mężczyźni usłyszeli głos Judasza, który autorytatywnie stwierdzał, Ja jestem Judaszem Galilejczykiem, Ananiasz odwrócił się, spojrział na niego i uśmiechnął się, Popatrz na mojego kapitana, a cieśla nawet nie miał czasu, żeby odpowiedzieć, bowiem zabrzmiał głos Jezusa tak mówiącego, A więc nie tu jest twoje miejsce, Józef poczuł coś na podobieństwo ukłucia w sercu, jak gdyby te słowa do niego były skierowane, a dziecinna zabawa była narzędziem innej prawdy, przypomniał sobie wtenczas otrzech kamieniach i spróbował, nie wiedząc dlaczego, wyobrazić sobie całe swoje przyszłe życie, w którym musiałby wobec nich wymawiać wszystkie słowa i spełniać wszystkie uczynki, jednak w następnej chwili wdarło się do jego serca uczucie czystego przerażenia, ponieważ zrozumiał, że zapomniał o Bogu. W domu Ananiasza spotkali Marię usiłującą pocieszać zalaną łzami Szue, jakkolwiek płacz ustał, gdy tylko weszli, nie dlatego, że Szua przestała płakać, rzecz w tym, że nauczone ciężkim doświadczeniem kobiety potrafiły połykać łzy i dlatego się mówi, Tyle samo płaczą co się śmieją, ale nie jest to prawda, zwykle płaczą do środka. Nie do środka, lecz wszystkimi niepokojami duszy i wszystkimi łzami oczu płakała żona Ananiasza w dniu, w którym ruszył w drogę. Tydzień później przyszli po nią owi krewni mieszkający nad brzegiem morza. Maria towarzyszyła jej aż do skraju wioski i tam się pożegnały. Szua już nie płakała, lecz jej oczy nigdy więcej już nie wyschną, bo na ten płacz nie ma lekarstwa, albowiem jest to nieustający ogień, który spala łzy, zanim zdążą się one pojawić i stoczyć po policzkach.

Mijały miesiące i wciąż docierały wieści z wojny, raz dobre, raz złe, lecz podczas gdy wieści dobre nigdy nie wykraczały poza nieokreślone napomknienia o zwycięstwach, które zawsze okazywały się mało istotne, wieści złe coraz częściej mówiły o ciężkich i krwawych klęskach partyzanckiego wojska Judasza Galilejczyka. Pewnego dnia przyniesiono wiadomość, że Rzymianie zlikwidowali zasadzkę zastawioną na nich przez partyzantów i że zginął Baldad, czary obróciły się przeciwko czarownikowi, zabitych było wielu, lecz z Nazaretu tylko ten. Kiedy indziej znowuż ktoś powiedział, że słyszał od kogoś, kto z kolei słyszał od kogoś innego, że Varo, rzymski gubernator Syrii, zbliża się z dwoma legionami wojsk, aby skończyć raz na zawsze z tym nieznośnym powstaniem trwającym już trzy lata. Sam ten niejasny sposób informowania, poprzez swą nieścisłość zasiewał między ludźmi przewrotne uczucie strachu, tak jakby za chwilę wojsko miało się wyłonić zza zakrętu, niosąc na czele karnej kolumny groźne wojenne insygnia oraz monogram, którym się tutaj zatwierdza i pieczętuje wszystkie poczynania, SPQR, senat i lud rzymski, w imię takich rzeczy, liter, ksiąg i sztandarów jedni ludzie zabijają drugich, podobnie będzie też w wypadku innego znanego monogramu, INRI, Jezus z Nazaretu Król Żydowski, i wynikających z niego

konsekwencji, jednakże nie uprzedzamy niczego, pozwólmy na razie, by czas płynął, choć to, że wiemy o nim i możemy o tym mówić powoduje dziwne doznania, tak jakbyśmy mówili o innym świecie, tymczasem jednak nikt jeszcze z tego powodu nie umarł. Wszędzie zapowiada się wielkie bitwy, a ludzie najbardziej niezłomnej wiary obiecują, że w tym roku Rzymianie na pewno zostaną wypędzeni ze świętej ziemi Izraela, lecz nie brakuje także i innych, tych, którzy słysząc owe przechwałki smutno kręcą głową i przewidują nadciągającą katastrofę. Tak też było. Przez kilka tygodni następujących po rozpowszechnieniu się wiadomości o postępie legionów, którymi dowodził Varo, nic się nie wydarzyło, a partyzanci wykorzystali to do nasilenia działań nękających rozproszone nieprzyjacielskie wojska, jednak strategiczny powód tej pozornej bezczynności niebawem stał się znany, wtedy gdy zwiadowcy Galilejczyka donieśli, że jeden legion podążył na południe wzdłuż rzeki Jordan w manewrze oskrzydającym, skręcając później w prawo na wysokości Jerycha, po to, by na podobieństwo sieci zarzuconej do wody i ciągnionej wprawną ręką podjąć marsz w kierunku północnym, zahaczając tu i ówdzie niczym czółenko tkackie, a tymczasem drugi legion według tej samej metody posuwał się na południe. Moglibyśmy to nazwać taktyką obcęgów, gdyby nie chodziło tu raczej o uzgodniony ruch dwóch ścian zbliżających się do siebie i przewracających tych, którzy nie zdołają uciec, lecz zachowujących na sam koniec największy efekt, zmiżdżenie. Na drogach, wzniesieniach i w dolinach Judei i Galilei postęp legionów znaczony był krzyżami, na których umierali z przybitymi dłońmi i stopami Judaszowi bojownicy, by szybciej ich wykończyć, za pomocą maczug łamano im golenie. Żołnierze wchodzili do wiosek, przetrząsali każdy dom w poszukiwaniu podejrzanych, a dla powiedzenia ich na krzyż nie były potrzebne żadne dowody, zamiast nich wystarczało zwykłe podejrzenie. Owi biedacy, niech będzie wybaczona smutna ironia, i tak mieli szczęście, ponieważ krzyżowano ich niemal przed domem, a zaraz po tym, jak wyzionęli ducha, rodziny zabierały się do zdejmowania ich ciał i rozpoczynało się żalosne widowisko, płacze matek, żon i narzeczonych, krzyki nieszczęsnych dzieci, które pozostały bez ojców towarzyszyły po tysiącokroć ostrożnemu opuszczaniu z krzyża zamęczonego człowieka, jako że nie ma nic dotkliwszego nad nagły upadek martwego ciała, kiedy zdaje się, że nawet żywych boli uderzenie. Później zanoszono ukrzyżowanego do grobu, gdzie oczekiwał na dzień swego zmartwychwstania. Ale byli też i tacy, którzy pojmani w walce stoczonej w górach albo innych nie zamieszkanym miejscach, byli pozostawiani przez żołnierzy jeszcze żywi i wtedy, na zupełnej pustyni, pustyni samotnej śmierci, piekli się powoli na słońcu wystawieni na żer drapieżnych ptaków, a po jakimś czasie ciało odrywało się od kości i stawali się nędznymi szczątkami bez kształtu, którymi własna dusza się brzydzi. Osoby ciekawe, jeżeli nie

sceptyczne, już przy innych okazjach zachęcane do przeciwstawienia się poczuciu rezygnacji, z jaką zwykle są przyjmowane wiadomości zawarte w takich ewangeliach, chciałyby wiedzieć, w jaki sposób Rzymianie zdołali ukrzyżować tak wielkie rzesze Żydów głównie na olbrzymich terenach pustynnych i pozbawionych drzew, a takie tutaj przeważają, gdzie znaleźć można jedynie skąpą i rachityczną roślinność, która stanowczo nie wytrzymałaby nawet ukrzyżowania jednego ducha. Te osoby zapominają wszakże, iż wojsko rzymskie jest wojskiem nowoczesnym, a logistyka i intendentura nie są dla niego pustymi słowami, w przeciągu tej kampanii zaopatrzenie w krzyże zostało odpowiednio zorganizowane, spójrzmy tylko na rozległe tabory złożone z osłów i mułów kroczących na tyłach legionu, transportujących poszczególne elementy krzyża, pionowe pale i poprzeczne belki, po dotarciu na miejsce wystarczy tylko przybić otwarte ramiona skazańca do belki i podnieść do góry, mocując na wbitym w ziemię palu, a następnie, podkurczywszy mu nogi w jedną stronę, przybić długim na piędź gwoździem nałożone jedna na drugą pięty. Którykolwiek kat z legionu powie, że te operacje, tylko na pozór skomplikowane, w sumie trudniej jest wyjaśnić niż wykonać.

Nadszedł czas katastrofy, pesymiści mieli rację. Z północy na południe i z południa na północ ludzie w panice uciekają przed legionami, na jednych mogą spaść podejrzenia o udzielanie pomocy partyzantom, innych gna zwykły strach, a wiemy przecież, że wina nie jest koniecznym warunkiem uznania za winnego. Jeden z takich uciekinierów, zatrzymując na krótko swój odwrót, zastukał pewnego razu do drzwi cieśli Józefa, aby mu oznajmić, że jego sąsiad Ananiasz znajduje się w Seforis, z maltretowany od ciosów miecza, i przesyła taką wiadomość, Wojna jest przegrana, a ja się już nie wymknę, możesz zawiadomić moją żonę, żeby przyszła objąć to, co do niej należy, I nic ponadto, zapytał Józef, Nic innego nie powiedział, odrzekł posłaniec, A ty, dlaczego nie przywiodłeś go ze sobą, skoro i tak miałeś tędy przechodzić, Z uwagi na stan, w jakim jest, opóźniałby mój marsz, ja też mam moją rodzinę, którą w pierwszym rzędzie muszę osłaniać, W pierwszym rzędzie, tak, lecz nie tylko, O co ci chodzi, widzę, że otaczają cię dzieci, jeżeli z nimi nie uciekasz, znakiem tego nic ci nie grozi, Idź już, nie zwlekaj i niech Pan będzie z tobą, niebezpieczeństwo jest tam, gdzie nie ma Pana, Człowieku bez wiary, Pan jest wszędzie, Tak, lecz czasami nie patrzy na nas, a ty mi nie mów o wierze, bo ją zdeptałeś, opuszczając mego sąsiada, Dlaczego zatem ty po niego nie pójdziesz, Pójdę. Działo się to po południu, dzień był piękny, słoneczny, rozproszone białe chmurki żeglowały po niebie jak łodzie obywające się bez steru. Józef poszedł odwiązać osła, zawołał żonę i oświadczył jej bez zbędnych wyjaśnień, Idę do Seforis po sąsiada Ananiasza, który nie może chodzić o własnych siłach. Maria jedynie wykonała głową gest

oznaczający zgodę, ale Jezus podszedł do ojca, Czy mogę iść z tobą, zapytał. Józef spojrział na syna, położył prawą dłoń na jego głowie i odparł, Zostań w domu, idę, ale nie zabawię tam długo, jeżeli się pospieszę w tamtą stronę, być może wrócę do domu jeszcze za dnia, i mogło tak być, gdyż, jak wiemy, odległość z Nazaretu do Seforis nie przekracza ośmiu kilometrów, jest taka sama jak z Jerozolimy do Betlejem, zaprawdę, powtórzmy to raz jeszcze, na świecie pełno jest zbiegów okoliczności. Józef nie dosiadł osła, bo chciał, żeby zwierzę zachowało świeżość na powrót, żeby miało mocne golenie i twarde kopyta oraz miękki grzbiet, zważywszy że będzie na nim niosło chorego, albo mówiąc dokładniej, rannego w wojnie, bo to przecież odmienna patologia. Mijając podnóże pagórka, gdzie prawie rok temu Ananiasz zakomunikował mu o swojej decyzji przyłączenia się do powstańców Judasza Galilejczyka, cieśla podniósł oczy na trzy wielkie kamienie, które tam na górze, złączone jak pączki jakiegoś owocu, zdawały się czekać, aż z nieba i z ziemi nadejdzie odpowiedź na pytania zadawane przez wszystkie istoty i rzeczy, umotywowane tylko ich istnieniem i niekoniecznie wypowiedane, Dlaczego tutaj jestem, Jaka przyczyna, znana lub nie, jest moim wyjaśnieniem, Jaki będzie świat, na którym mnie nie będzie, jeżeli ten jest jaki jest. Ananiaszowi, gdyby to on pytał, moglibyśmy odpowiedzieć, że przynajmniej kamienie są takie jak dawniej, skoro wiatr, deszcz iupał je gryzły, ale nie zniszczyły, a po upływie dwudziestu wieków prawdopodobnie wciąż tam będą i przez następnych dwadzieścia wieków po tych dwudziestu, a świat zmieniać się będzie wokoło, jednakże na dwa pierwsze pytania nadal nie można znaleźć odpowiedzi. Na drodze spotykało się grupy uciekinierów, tak samo jak Ananiaszowy posłaniec wystraszonych, patrzyli na Józefa ze zdziwieniem, a jeden z mężczyzn złapał go za ramię i zapytał, Dokąd idziesz, na co cieśla odrzekł, Do Seforis, po przyjaciela, Jeśli jesteś przyjacielem samego siebie, nie idź, Dlaczego, Rzymianie zbliżają się dla miasta nie ma ratunku, Muszę iść, mój sąsiad jest moim bratem, nikt inny po niego nie pójdzie, Dobrze się zastanów, i przezorny doradca podążył w swoją stronę, zostawiając Józefa na środku drogi, rozmyślającego nad tym, czy rzeczywiście był przyjacielem samego siebie, czy też może, mając ku temu nadmiar powodów, nienawidził się i pogardzał sobą, pomyślawszy nieco doszedł do wniosku, że ani jedna, ani druga rzecz nie wchodziły w rachubę, spojrział na siebie z uczuciem obojętności, tak jak się patrzy na pustkę, a w pustce ani blisko, ani daleko nie ma na czym zatrzymać wzroku, zaprawdę nie można wpatrywać się w nieobecność. Potem zaś pomyślał, że jego obowiązkiem ojca było zawrócić, przecież miał swe własne dzieci, których musiał bronić, po co więc szukać kogoś, kto tylko jest zwykłym sąsiadem, a nawet kimś dalszym, skoro opuścił dom, a żonę wysłał do innej miejscowości. Niemniej jednak dzieci były bezpieczne, Rzymianie nic im nie zrobią, bo przecież poszukiwali powstańców. Kiedy

nitka jego myśli przywiodła go do takiego wniosku, Józef uznał, że należy powiedzieć na głos, jak gdyby odpędzając ukrytą troskę, Ja też nie jestem powstańcem. Następnie klepnął zwierzę w pośladek i zawołał, Wio, ośle, ruszając w dalszą drogę.

Kiedy wkroczył do Seforis, popołudnie miało się ku końcowi. Długie cienie domów i drzew, początkowo rozciągnięte na ziemi i jeszcze rozpoznawalne, stopniowo ginęły, jak gdyby dotarły do horyzontu i tam się rozproszyły, podobne do ciemnej wody spadającej kaskady. Na ulicach miasta było niewielu ludzi, żadnej kobiety, żadnego dziecka, tylko zmęczeni mężczyźni składali kruchy oręż i sami kładli się zdyszani, nie wiadomo czy od walki, czy też od ucieczki. Jednego z tych mężczyzn Józef zapytał, Rzymianie są blisko. Mężczyzna zamknął oczy, potem powoli je otworzył i powiedział, Będą tu jutro, a uciekając z wzrokiem dodał, Idź stąd, zabierz osła i idź stąd, Szukam przyjaciela, który został ranny, Jeśli twoimi przyjaciółmi są wszyscy ranni, jesteś najbogatszym człowiekiem na świecie, Gdzie oni się znajdują, Tu, tam, wszędzie, Ale jest w mieście jakieś miejsce, Jest, za tymi domami, w magazynie, pełno tam rannych, może odzujesz twojego przyjaciela, ale pospiesz się, bo więcej jest już tych, których się wynosi martwych, niż tych, których się wnosi żywych. Józef znał miasto, był tutaj nie raz, zarówno z przyczyn zawodowych, gdy zatrudnił się przy poważnych robotach, a takich nie brakowało w zamożnym i kwitnącym Seforis, jak i z okazji pewnych świąt religijnych o mniejszym znaczeniu, ponieważ doprawdy nie miało sensu nieustanne podróżowanie do Jerozolimy związane z pokonywaniem długiego i uciążliwego szlaku. Odnalezienie magazynu było zatem łatwe, wystarczyło wszak iść za zapachem krwi i cierpiących ciał unoszącym się w powietrzu, można sobie nawet było wyobrazić zabawę taką jak Ciepło, ciepło, zimno, zimno, w zależności od tego, czy poszukiwacz się zbliżał lub oddalał, Boli, Nie boli, a teraz bóle były już nie do zniesienia. Józef przywiązał osła do długiej belki i wszedł do ciemnej izby chorych, w którą zamieniono magazyn. Na podłodze pomiędzy matami znajdowały się zapalone lampki dające skąpe światło, były jak małe gwiazdy na czarnym niebie świecące tylko tyle, ile trzeba do zaznaczenia swojej obecności, skoro z tak daleka je widzimy. Józef powoli przeszedł wzdłuż rzędów leżących ludzi w poszukiwaniu Ananiasza, w powietrzu były jeszcze inne mocne zapachy, oliwy i wina używanych do leczenia ran, potu, odchodów, bo przecież niektórzy nieszczęśnicy nawet się nie mogli poruszyć i dokładnie tam, gdzie leżeli, pozwalali wychodzić temu, czego silniejsze od woli ciało nie chciało już trzymać. Nie ma go tutaj, powiedział Józef sam do siebie, dotarłszy do końca szeregu. Począł jeszcze wolniej iść w przeciwnym kierunku, przyglądając się badawczo i poszukując śladów podobieństwa, choć doprawdy wszyscy wyglądali prawie tak samo, brody, zapadnięte twarze, podkrążone oczy, matowy i lepki odblask potu. Niektórzy

ranni wodzili za nim niespokojnym wzrokiem, chcieli wierzyć, że ten zdrowy człowiek przyszedł tutaj po nich, jednakże zaraz gasła przelotna łuna ożywiająca ich spojrzenia, a oczekiwanie na coś i na kogoś trwało nadal. Józef zatrzymał się przed starszym mężczyzną

Obrodzie i włosach całkiem siwych, To on, rzekł, i chociaż nie wyglądał tak wtedy, gdy widział go po raz ostatni, miał siwe włosy i to wiele, ale nie takie jak te, przypominające brudny śnieg, pośrodku którego brwi na podobieństwo węgli zachowywały dawną czerń. Mężczyzna miał zamknięte oczy i ciężko oddychał. Józef po cichu zawołał, Ananiaszu, a później głośniejszym głosem z mniejszej odległości, Ananiaszu, i stopniowo, jak gdyby unosząc się z ziemskich otchłani, mężczyzna podnosił powieki, a kiedy otworzył je już na dobre, widać było, że to na pewno Ananiasz, sąsiad, który zostawił dom i żonę, aby stanąć do walki przeciwko Rzymianom, a oto leży tutaj z otwartymi ranami brzucha wśród zapachu gnijącego już ciała. Ananiasz początkowo nie rozpoznał Józefa, nie pomaga w tym światło otoczenia,

W jeszcze mniejszym stopniu światło jego oczu, lecz przekonuje się, że to on, gdy cieśla powtarza innym tonem, być może umiłowania, Ananiaszu, oczy starego zalewają się łzami, mówi raz, mówi dwa razy, To ty, to ty, co tu robisz, chce unieść się na łokciu, wyciągnąć rękę, ale brak mu sił, ciało opada, cała twarz wykręca się od bólu. Przyszedłem po ciebie, rzekł cieśla, tam na zewnątrz mam osła, w okamgnieniu będziemy w Nazarecie, Nie powinienesz być przychodzić, Rzymianie są niedaleko, ja nie mogę stąd wyjść, to jest moje ostatnie łóżko za życia, i drżącymi rękami rozchylił podartą tunikę. Pod jakimiś gałganami nasyconymi winem i oliwą dostrzegano się dwie okrutne, długie i głębokie rany, w tej samej chwili słodkawy i mdlący odór zgnilizny podrażnił nozdrza Józefa, który odwrócił wzrok. Stary przykrył się i opuścił ramiona wzdłuż ciała, jak gdyby ten wysiłek go wycieńczył, Widzisz więc, że nie możesz mnie zabrać, wnętrzności by mi wypadły z brzucha, gdybyś mnie stąd podniósł, Ale z opatrunkiem zaciśniętym wokół ciała, idąc powoli, nalegał Józef, choć już bez żadnego przekonania, było oczywiste, że stary, zakładając, że byłby w stanie dosiąść osła, skonałby w drodze. Ananiasz ponownie zamknął oczy i nie otwierając ich rzekł, Idź stąd, Józefie, wracaj do domu, bo Rzymianie będą tu niebawem, Rzymianie nie zaatakują w nocy, bądź spokojny, Idź do domu, idź do domu, wystękał Ananiasz, a Józef powiedział, Śpij.

Józef czuwał całą noc. Czasami, gdy umysł zaczynał unosić się we mgle pierwszego snu, którego się obawiał i któremu z tego powodu się opierał, Józef zapytywał się, po co przybył do tego miejsca, skoro naprawdę nie było prawdziwej przyjaźni między nim i sąsiadem, po pierwsze z powodu różnicy wieku, lecz także z uwagi na swoiście małostkowy tryb życia Ananiasza i jego żony, ciekawskich, wścibskich, z jednej strony uczynnych, ale z

drugiej stwarzających wrażenie, że czekają na odwzajemnienie, którego wartość tylko oni sami będą mogli ustalić. Jest moim sąsiadem, pomyślał Józef, nie znajdując lepszej odpowiedzi na swoje wątpliwości, jest moim bliźnim, umierającym człowiekiem, zamknął oczy nie dlatego, że mnie nie chce oglądać, ale dlatego, że nie chce przegapić żadnego ruchu nadchodzącej śmierci, nie mogę zostawić go samego. Usadowił się na wolnej przestrzeni pomiędzy matą, na której spoczywał Ananiasz, i drugą, z leżącym na niej młodym chłopakiem, niewiele starszym od jego syna Jezusa, biedny młodzieniec jęczał cichutko, mamrotał niezrozumiałe słowa, gorączka rozpaliała mu wargi. Józef ujął jego dłoń, aby go uspokoić w tym samym czasie, gdy dłoń Ananiasza zdawała się czegoś szukać, oręża, aby się bronić, drugiej dłoni, aby ją uścisnąć, i tak właśnie trwali we trzech, jeden żywy pomiędzy dwoma konającymi, jedno życie pomiędzy śmiercią, podczas gdy spokojne nocne niebo obracało gwiazdami i planetami, przynosząc z drugiego krańca świata biały, jaśniejący księżyc, który pływał w kosmosie i okrywał niewinnością całą galilejską ziemię. Bardzo późno, Józef otrząsnął się z odrętwienia, w które mimowolnie popadł, przebudził się z poczuciem ulgi, ponieważ tym razem nie śnił o betlejemskiej drodze, otworzył oczy i zobaczył, Ananiasz był martwy, też miał otwarte oczy, w ostatnim momencie nie zniósł wizji śmierci, jego dłoń ścisnęła dłoń cieśli z taką siłą, że prawie gniotła kości, zatem aby uwolnić się od trwożącego uczucia, puścił trzymaną w drugiej dłoni dłoń chłopca i, wciąż jeszcze na wpół przytomny, zorientował się, że spadła mu gorączka. Józef wyjrzał na zewnątrz przez otwarte drzwi, księżyc już zaszedł, a szarzące i nieokreślone światło należało do brzasku. W magazynie poruszały się niewyraźne sylwetki, byli to ranni mogący się podnieść, chcieli zobaczyć pierwszą zapowiedź dnia, mogli zapytać albo jedni drugich albo bezpośrednio niebo, Co ujrzy to słońce, które wszędzie, kiedyś nauczymy się nie stawiać niepotrzebnych pytań, ale póki to nie nastąpi, pytajmy, Co ujrzy to słońce, które wszędzie. Józef pomyślał, Idę stąd, nic tu po mnie, był również w jego słowach ton pytający, dlatego ciągnął dalej, Mogę zabrać go do Nazaretu, pamięć o tym wydała mu się tak oczywista, że uwierzył, iż przybył tutaj właśnie po to, by zastać Ananiasza żywego i zabrać go martwego. Chłopiec poprosił o wodę. Józef podetknął mu do ust gliniany kubek, Jak się czujesz, zapytał, Już nie tak źle, Przynajmniej wygląda na to, że spadła ci gorączka, Zobaczę, czy mi się uda podnieść, powiedział chłopiec, Uważaj, Józef podtrzymał go, nagle naszła go myśl, że jedyną rzeczą, którą mógł zrobić dla Ananiasza, było pochowanie go w Nazarecie, ale chłopcu, niezależnie od tego skąd był, mógł jeszcze uratować życie, wyciągając go z ponurego składu, zatem sąsiad zajmował miejsce innego sąsiada. Nie żałował już Ananiasza, zaledwie pustego ciała, bo dusza była coraz odleglejsza za każdym rzuconym na niego spojrzeniem. Chłopiec chyba

się domyślał, że coś dobrego może go spotkać, bowiem rozbłysły mu oczy, jednak nie zdążył o nic zapytać, gdyż Józef już wyszedł, poszedł przyprowadzić tutaj osła, błogosławiony niech będzie Pan, który potrafi umieszczać w ludzkich głowach tak świetne pomysły. Ale osła nie było. O jego wcześniejszej obecności świadczył jedynie sznurek zawiązany wokół belki, złodziej nie tracił czasu na rozplątywanie prostego wężła, ostry nóż wykonał tę pracę o wiele szybciej.

Wobec takiej katastrofy siły natychmiast opuściły Józefa. Jak porażony cielak, jeden z tych, które widział składane w ofierze w Świątyni, padł na kolana i ukrył twarz w dłoniach, zaraz też pociekły mu łzy, wszystkie nagromadzone w ciągu trzynastu lat łzy oczekujące na dzień, w którym będzie mógł przebaczyć samemu sobie albo dostąpi ostatecznego potępienia. Bóg nie wybacza grzechów, które kazał popełnić. Józef nie powrócił do magazynu, zrozumiał, że sens jego działań zatracił się na zawsze, nawet świata, samego świata już nie czuł, a słońce właśnie wschodziło, i dlatego, o Panie, na niebie były tysiące małych chmur porozrzucanych we wszystkich kierunkach jak kamienie na pustyni. Widząc go, jak wyciera łzy w rękaw tuniki, ktoś mógłby sobie pomyśleć, że umarł mu jakiś krewny spośród rannych zebranych w magazynie, podczas gdy rzeczą pewną było, iż Józef wypłakał właśnie swe ostatnie naturalne łzy, te wywołane bólem życia. Później, przez ponad godzinę błakał się po mieście, wciąż mając nadzieję na odnalezienie skradzionego zwierzęcia i gdy wreszcie postanowił wracać do Nazaretu, pojмали go żołnierze rzymscy, którzy okrążyli Seforis. Zapytali go kim jest, Jestem Józef, syn Helego, skąd przybywa, Z Nazaretu, dokąd zmierza, Do Nazaretu, co robi tego dnia w Seforis, Powiedziano mi, że jest tutaj mój sąsiad, jaki sąsiad, Ananiasz, czy go odnalazł, Tak, Gdzie go odnalazł, W magazynie, razem z innymi, jakimi innymi, Rannymi, W której części miasta, Tam. Zabrali go na plac, gdzie było już kilkunastu mężczyzn, dwunastu, piętnastu, siedzących na ziemi, niektórzy z widocznymi ranami, i powiedzieli mu, Siadaj koło tamtych, Józef domyślając się, że mężczyźni, którzy tam siedzieli, byli powstańcami, zaprotestował, Jestem cieślą ispokojnym człowiekiem, a jeden z tych siedzących powiedział, Nie znamy tego człowieka, ale sierżanta, który dowodził strażnikami pilnującymi więźniów, to nie obchodziło i wepchnął Józefa pomiędzy pozostałych, Stąd wyjdiesz tylko na śmierć. W pierwszej chwili podwójny wstrząs wywołany upadkiem i wyrokiem odebrał Józefowi rozum. Później, kiedy już się pozbierał, zdał sobie sprawę, że w jego wnętrzu panuje wielki spokój, tak jakby to był jakiś zły sen, z którego na pewno się przebudzi i dlatego nie warto było przejmować się groźbami, bowiem rozwieją się one, gdy tylko otworzy oczy. Wówczas przypomniał sobie, że kiedy śniła mu się betlejemska droga, również miał pewność, że się obudzi i nagle zaczął drzeć, brutalna

oczywistość jego losu stała się dlań w końcu zrozumiała, Umrę, i umrę niewinnie. Poczul, że jakaś dłoń spoczęła na jego barku, był to sąsiad, Kiedy przyjdzie dowódca kohorty, powiemy mu, że nie masz z nami nic wspólnego, a on puści cię wolno, A wy, Rzymianie, gdy nas złapią, krzyżują wszystkich, tym razem z pewnością nie będzie inaczej, Bóg was wybawi, Bóg wybawia dusze, nie wybawia ciał. Przeprowadzili więcej mężczyzn, dwóch, trzech, a następnie liczną grupę, ze dwudziestu. Wokół placu gromadzili się mieszkańcy Seforis, kobiety idzieci wymieszane z mężczyznami, słycać było ich niespokojne szepty, lecz nie mogli opuszczać swoich miejsc dopóty, dopóki Rzymianie im nie zezwolą, i tak mieli już dużo szczęścia, że nie padło na nich podejrzenie o współpracę z powstańcami. Po jakimś czasie przyprowadzono jeszcze jednego człowieka, a wiodący go żołnierze powiedzieli, Na razie nie ma nikogo więcej, wtedy sierżant krzyknął, Wszyscy powstać. Więźniowie sądzili, że zbliża się dowódca kohorty, sąsiad Józefa rzekł, Przygotuj się na to, że cię wypuszczą, tak jakby do wolności

V trzeba się było przygotowywać, ale jeśli ktoś nadchodził, nie był dowódcą kohorty, nie zdołano się nawet dowiedzieć, kto to był, ponieważ sierżant nie zwlekając wydał żołnierzom rozkaz po łacinie, należałoby wyjaśnić, że wszystko, co do tej pory powiedzieli Rzymianie, było po łacinie, gdyż synowie Wilczycy nie zniżają się do mówienia barbarzyńskimi językami, od tego mają tłumaczy, jednak w tym wypadku rozmowa toczyła się pomiędzy żołnierzami i tłumaczenie nie było potrzebne, błyskawicznie okrążyli oni więźniów, Marsz, i orszak ze skazańcami na przodzie i z miejscową ludnością na końcu, skierował się poza granice miasta. Znajdując się w takim położeniu i nie mając kogo prosić o zmiłowanie, Józef wznosił ramiona i wykrzyknął, Wybaw mnie, bo ja nie jestem z nimi, wybaw mnie, bo jestem niewinny, ale podszedł do niego żołnierz i drzewcem włóczni uderzył go w plecy, nieomal rzucając na ziemię. Był zgubiony. Utraciwszy nadzieję, znenawidził Ananiasza, z którego winy miał umrzeć, lecz uczucie to wypaliło się w jego wnętrzu i znikło tak samo, jak się pojawiło, czyniąc z jego istoty coś na podobieństwo pustyni, tak jakby pomyślał, Nie ma już dokąd iść, pomyłka, bowiem niebawem dotrą na miejsce. Choć trudno w to uwierzyć, pewność śmierci uspokoiła go. Obejrzał się dookoła na towarzyszy męki, szli spokojnie, niektórzy załamani, lecz inni z podniesioną głową. W większości byli faryzeuszami. Wtedy po raz pierwszy Józef przypomniał sobie o dzieciach, przemknęła mu również myśl o żonie, jednakże mając pustkę w głowie, bez snu i bez jedzenia, nie mógł spamiętać tylu twarzy tudzież tylu imion i gubił je po drodze jedno za drugim, aż wreszcie pozostał mu tylko Jezus, jego pierwszy syn i ostatnia kara. Przypomniał sobie o tym, jak rozmawiali na temat snu i co mu powiedział, Ani ty nie możesz zadać mi wszystkich pytań,

ani ja nie mogę ci udzielić wszystkich odpowiedzi, teraz zaś dobiegał końca czas odpowiedzi i pytań.

Poza miastem, na niewielkim wzniesieniu terenu, które nad nim górowało, wbito pionowo w ziemię czterdzieści grubych pali w rzędach po osiem, wystarczająco mocnych, aby utrzymać ciężar jednego człowieka. Obok nich leżały długie belki, które z powodzeniem mogły przyjąć człowieka z otwartymi ramionami. Na widok narzędzi tortur niektórzy skazańcy usiłowali zbiec, jednak żołnierze znali się na swojej robocie i z mieczami w garści odcięli im drogę ucieczki, jeden z powstańców próbował nadziać się na broń, ale bez efektu, od razu go zawleczono do pierwszego krzyża. Rozpoczęła się zatem żmudna praca polegająca na przybijaniu każdego skazańca do swojej belki i wciąganiu na dużą pionową żerdź. Na całym polu słychać było jęki i krzyki, ludzie z Seforis opłakiwali smutne widowisko, w którym dla przestrogi kazano im uczestniczyć. Stopniowo formowały się krzyże, na każdym z nich zawieszony był człowiek z podkurczonymi, jak już wspomniano, nogami, zapyta ktoś dlaczego, otóż możliwe, że z rozkazu Rzymu mającego na uwadze usprawnienie pracy i oszczędność materiału, każdy może zauważyć, niekoniecznie mając doświadczenie w krzyżowaniu, że krzyż dla normalnego człowieka, a nie skróconego, musiałby być wysoki, tyle że wiązałoby się to z większym zużyciem drewna, większym ciężarem do przenoszenia, większymi trudnościami w montażu, do których dodać by można jeszcze pewną okoliczność korzystną dla skazańców, a mianowicie tę, że gdyby mieli stopy zaraz przy ziemi, nie byłoby trudności ze zdejmowaniem ich, niepotrzebna by była drabina i, jakby to powiedzieć, bezpośrednio z ramion krzyża dostawaliby się w ramiona rodziny, o ile ją mieli, lub urzędowych grabarzy, którzy nie zostawiliby ich na pastwę losu. Józef miał być ukrzyżowany ostatni, tak wypadło, dlatego musiał przyglądać się po kolei męce swych trzydziestu dziewięciu nieznanych towarzyszy, a gdy przyszedł czas na niego, stracił już całą nadzieję i nie miał siły by powtarzać zapewnienia o swej niewinności, chyba też nie została wykorzystana okazja do uratowania się wówczas, kiedy żołnierz z młotkiem powiedział do sierżanta, To ten, który mówił, że jest niewinny, sierżant nieco się zawahał i dokładnie w tej chwili Józef powinien był zawołać, Jestem niewinny, ale nie, milcząco zrezygnował, a sierżant spojrzał, pomyślał że symetryczna dokładność ucierpiałaby, gdyby nie użyto ostatniego krzyża, bo przecież czterdzieści to liczba okrągła i skończona, wykonał gest, gwoździe zostały wbite, Józef krzyknął i krzyczał przez cały czas, później unieśli go do góry zawieszono na przegubach przekłutych żelazem, krzyczał mocniej, gdy długi gwoździe przeszywał mu pięty, och, mój Boże, tego człowieka Ty stworzyłeś, bądź pochwalony, skoro nie wolno cię przeklinać. Nagle, jak gdyby ktoś dał sygnał, mieszkańcy Seforis podnieśli

wrzawę, lecz nie było to uzalanie się nad skazańcami, w całym mieście wybuchały pożary, ryczące płomienie pożerały domy, budynki publiczne i drzewa na podwórkach. Obojętni na ogień wzniecany przez innych żołnierzy, czterej żołnierze z plutonu egzekucyjnego przebiegali pomiędzy szeregami męczenników, metodycznie łamiąc im golenie za pomocą żelaznych drągów. Całe Seforis płonęło, a w tym samym czasie ukrzyżowani umierali jeden po drugim. Cieśla zwany Józefem, syn Helego, był młodym mężczyzną w kwiecie wieku, przed kilkoma dniami skończył trzydzieści trzy lata.

Tyżedy ta wojna dobiegnie końca, a stanie się to niebawem, jako że już jesteśmy świadkami jej ostatnich i śmiertelnych podrygów, zliczy się ostatecznie tych, którzy stracili w niej życie, jedni tu, drudzy tam, jedni bliżej, inni dalej, i o ile liczba zabitych w zasadzkach tudzież w otwartych bitwach nie ma już większego znaczenia albo wręcz została zapomniana, o tyle ukrzyżowani, w liczbie około dwóch tysięcy, jak podają najbardziej wiarygodne statystyki, pozostaną w pamięci ludzi z Judei i Galilei tak długo, że będzie się jeszcze o nich mówić sporo lat później, kiedy nowa krew zostanie przelana w nowej wojnie. Dwa tysiące ukrzyżowanych to mnóstwo zabitych ludzi, bardziej by nam przemówili do wyobraźni, gdybyśmy ich ujrzeli rozmieszczonych w kilometrowych odstępach wzdłuż jakiejś drogi lub na przykład wokół granic państwa, które nazywać się będzie Portugalia, gdyż jego rozmiary mniej więcej by do tego pasowały. Od rzeki Jordan po morski brzeg płaczą wdowy i sieroty, jak im nakazuje stary zwyczaj, przecież po to są wdowami i sierotami, żeby płakać, później trzeba tylko odczekać, aż dzieci podrosną i pójdą na nową wojnę a nowe wdowy oraz nowe sieroty zajmą ich miejsca, choć tymczasem zmieniła się moda, choć kolorem żałoby nie jest już biel ale czerni, lub na odwrót, choć na głowę, z której wcześniej wrywano włosy, zakłada się teraz haftowaną mantylę, łzy, gdy się je czuje, są te same.

Maria jeszcze nie płacze, lecz nosi już w duszy przecucie śmierci, albowiem mąż nie powrócił do domu, a w Nazarecie mówi się, że Seforis zostało spalone i że krzyżowano ludzi. W towarzystwie pierworodnego syna Maria ponownie pokonuje tę samą co Józef wczoraj drogę, podług wszelkiego prawdopodobieństwa stawiając tu i ówdzie stopy na odciskach męzowskich sandałów, pora nie jest deszczowa, wiatr, a raczej łagodna bryza, ledwie muska ziemię, wszelako ślady Józefa są jak trop starego zwierzęcia, które zamieszkiwało te okolice w zamierzchłej epoce, mówimy, To było wczoraj, ale równie dobrze możemy powiedzieć, To było tysiąc lat temu, czas nie jest sznurem mierzonym od węzła do węzła, czas jest pochyłą i pofalowaną płaszczyzną, którą tylko pamięć jest w stanie przesuwać i przybliżać. Razem z Marią i Jezusem idą mieszkańcy Nazaretu, jedynymi powoduje miłosierdzie, innymi ciekawość, są też dalecy krewni Ananiasza, ale ci powrócą do swych domów z

wątpliwościami dlatego, że nie odnaleźli jego ciała, a nuż żyje, nie pamiętali wszakże, aby przeszukać ruiny magazynu, chociaż nawet gdyby pamiętali, to któż wie, czy rozpoznaliby swego zmarłego wśród innych zmarłych, wszyscy taki sam węgiel. Gdy w połowie drogi ci Nazarejczycy minęli się z kompanią żołnierzy wysłanych do ich wioski na poszukiwania, niektórzy tam zawrócili w trosce o los swego dobytku, jako że nigdy nie można być pewnym tego, co zrobią żołnierze, którym nikt nie odpowiedział na pukanie do drzwi. Dowódca tych sił chciał wiedzieć, po co taka rzesza wieśniaków idzie do Seforis, więc odpowiedziano mu, Zobaczycie ogień, wyjaśnienie to zadowoliło wojskowego, bowiem od zarania świata pożary zawsze przyciągały ludzi, mówi się nawet, że jest coś takiego jak wewnętrzny przymus, nieświadoma reminiscencja pierwotnego ognia, tak jakby popioły pamiętały o tym, z czego powstały, a zgodnie z tą tezą można uzasadnić oczarowanie, z jakim przyglądamy się nawet prostemu ognisku, przy którym się grzejemy, albo płomykowi świecy w ciemnym pomieszczeniu. Gdybyśmy byli tak nierozsądni, lub też tak odważni, jak motyle dzienne i nocne tudzież inne ćmy, i rzucilibyśmy się wszyscy w ogień, cały rodzaj ludzki, być może taka olbrzymia pożoga, taka łuna, przeniknęłaby przez zamknięte powieki Boga, budząc go z letargicznego snu za późno, żeby nas mógł poznać, jednak z pewnością dając mu czas na zobaczenie początku nicości powstałej po naszym zniknięciu. Maria, choć w domu pozostała gromadka dzieci bez żadnej opieki, nie zawróciła, idzie dalej w miarę spokojna, bo przecież nie każdego dnia żołnierze wkraczają do jakiejś wioski, aby zabijać dzieci, zwłaszcza że na ogół ci nasi Rzymianie nie tylko im pozwalają, żeby rosły jak najwięcej, ale wręcz je do tego zachęcają, a potem się zobaczy, czy będą mieć pokorne serca i opłacą na czas podatki. Już matka z synem sami idą drogą, bo tych kilka osób z rodziny Ananiasza pozostało z tyłu, tak bardzo zajmując się rozmową, a skoro Maria i Jezus mają sobie do powiedzenia tylko słowa wyrażające niepokój, każde z nich idzie w milczeniu nie chcąc dręczyć drugiego, zaś panująca dziwna cisza wydaje się okrywać wszystko, wiatr zupełnie ustał, nie słychać śpiewu ptaków lecz jedynie odgłos kroków, chociaż i ten cichnie onieśmielony tak jak intruz wchodzący do pustego domu. Seforis wyłoniło się nagle zza zakrętu drogi, niektóre domy jeszcze płonęły, tu i ówdzie unosiły się cienkie słupy dymu, ściany były poczerńiałe, a drzewa od góry do dołu okopcone, zachowały jednakże listowie, teraz w kolorze rdzy. Z tej strony, po naszej prawej stronie, stały krzyże.

Maria popędziła biegiem, jednakże odległość jest zbyt duża, aby mogła pokonać ją bez chwili wytchnienia, niebawem zwolni, po tylu kolejnych porodach serce tej kobiety z łatwością słabnie. Jezus jako szanujący syn chciałby towarzyszyć matce, być u jej boku teraz i później, żeby dzielić z nią tę samą radość albo doświadczyć tej samej przykrości, ale ona

posuwa się tak powoli, wiele wysiłku kosztuje ją stawianie kroków, w ten sposób nigdy nie dojdziemy, moja matko, a ona czyni gest, który oznacza, Jeśli chcesz, to biegnij sam, on zaś puszcza się szalonym pędem przez pole, żeby skrócić drogę, Ojcze, ojcze, mówi to z nadzieją, że go tam nie ma, mówi to z bólem, jakby go już odnalazł. Dobięł do pierwszych szeregów, niektórzy ukrzyżowani jeszcze wiszą, inni są już zdejmowani, leżą na ziemi czekając, niewielu otaczają rodziny, gdyż owi powstańcy w większości pochodzą z daleka, należą do różnych oddziałów, które akurat tu stoczyły swą ostatnią wspólną bitwę, lecz teraz poszli już w ostateczną rozsypkę i każdemu z nich pozostała tylko niewyraźna samotność śmierci. Jezus nie widzi ojca, serce chce napełnić się radością, ale rozum mówi, Zaczekaj, jeszcze nie doszliśmy do końca, i rzeczywiście, to już koniec, na ziemi leży ojciec, którego szukałem, prawie wcale nie krwawił, ma tylko wielkie otwory ran na przegubach i na stopach, wydaje się że śpisz, mój ojcze, ale nie, nie śpisz, nie mógłbyś z tak powykręcانymi nogami, już i tak miłosiernie zdjęto cię z krzyża, a przecież zmarłych jest tylu, że dobrym duszom, które się tobą zajęły, nie starczyło czasu, żeby ci wyprostować połamane kości. Chłopczyk zwany Jezusem klęczy przy zwłokach płacząc, chciałby ich dotknąć, lecz nie śmie, jednakże przychodzi moment, gdy ból jest silniejszy od strachu przed śmiercią i obejmuje on bezwładne ciało, Mój ojcze, mój ojcze, zaraz też drugi krzyk rozlega się, O, Józefie, mój mężu, to Maria, która wreszcie dotarła wyczerpana i zapłakana, ponieważ już z oddali Widząc zatrzymującego się syna, wiedziała co ją czeka. Płacz Marii wzmagą się, kiedy zauważyła okrutne skręcenie nóg małżonka, doprawdy nie wiadomo, co się dzieje po śmierci z bólami odczuwanymi za życia, zwłaszcza z tymi ostatnimi, możliwe, że wraz ze śmiercią rzeczywiście kończy się wszystko, choć z drugiej strony nie mamy żadnych gwarancji, że przynajmniej w ciągu paru godzin wspomnienie cierpienia nie zachowuje się w ciele, o którym mówimy martwe, nie można też wykluczyć, iż gnicie jest jedynym wyjściem pozwalającym materii na uwolnienie się od bólu. Z tkliwością i delikatnością, na jakie nigdy by sobie nie pozwoliła za życia męża, Maria starała się zlikwidować żalosne sploty Józefowych nóg, które po zadarciu się tuniki w czasie zdejmowania z krzyża, nadawały mu groteskowy wygląd połamanej marionetki. Jezus nie dotknął ojca, pomógł tylko matce przy obciążaniu tuniki, mimo to i tak zostały na widoku chude golenie, chyba te części ludzkiego ciała, które sprawiają najboleśniejsze wrażenie kruchości. Z powodu skrzywionych pieszczeli stopy opadały na boki, ukazując poranione pięty, skąd trzeba było stale odganiać muchy zwabione zapachem krwi. Sandały Józefa spadły obok grubego pnia, którego ostatecznym owocem się stał. Zdarte, pokryte kurzem, zostałyby tam na pastwę losu, gdyby Jezus ich nie zabrał, uczynił to bez zastanowienia, jak gdyby otrzymując rozkaz, wyciągnął rękę, Maria

wcale tego nie zauważyła, i przymocował je do pasa, może takie powinno być najdoskonalsze symboliczne dziedzictwo pierworodnych, są rzeczy zaczynające się tak prosto jak ta, dlatego też mówi się jeszcze dzisiaj, W butach mojego ojca ja też jestem mężczyzną, albo według bardziej radykalnej wersji, Właśnie w butach mojego ojca jestem mężczyzną.

W pewnym oddaleniu znajdowali się trzymający straż rzymscy żołnierze, gotowi do interwencji w razie buntowniczych wystąpień lub okrzyków ze strony tych, co płacząc i lamentując, zajmowali się ciałami ofiar. Jednakże ludzie ci nie byli ogarnięci wojenną gorączką, albo też nie okazywali jej teraz, odmawiali zaś swe żałobne modlitwy, przechodząc od ukrzyżowanego do ukrzyżowanego, a zajęło im to ponad dwie nasze godziny, żaden ze zmarłych nie pozostał bez poświęconego wiatyku modłów tudzież darcia szat, po lewej stronie stali krewni, a po prawej inni, w popołudniowej ciszy rozlegały się głosy intonujące wersety, Panie, czym jest człowiek, że się nim interesujesz, czym jest syn człowieka, że się nim przejmujesz, człowiek jest podobny do podmuchu, jego dni mijają tak jak cień, jaki człowiek żyje i nie widzi śmierci albo oszczędza swą duszę, uciekając przed pogrzebaniem, człowiek zrodzony z kobiety cierpi na niedostatek dni, za to na nadmiar niepokoju, pojawia się jak kwiat i na jego podobieństwo jest ścinany, mija tak jak cień i nie zostaje, czym jest człowiek, że o nim pamiętasz i syn człowieka, że go nawiedzasz. Mimo wszystko, po tym uznaniu niepodważalnej małości człowieka wobec swego Boga, wygłoszonym tonem tak przejmującym, że wydawał się pochodzić z samego sumienia, a nie z głosu, który służy słowom, chóralna deklamacja stawała się coraz głośniejsza i przybierała rozmiary jakiegoś uniesienia, aż wreszcie temu samemu Bogu obwieszczono, Pamiętaj jednak, że niewiele mniejszym od aniołów uczyniłeś człowieka i ukoronowałeś go chwałą i godnością. Kiedy doszli do nie znanego im Józefa, który na dodatek był ostatnim z całej czterdziestki, nie zatrzymywali się przy nim zbyt długo, zresztą cieśla i tak zabrał ze sobą na tamten świat wszystko, czego potrzebował, pośpiech uzasadniony był tym, że prawo nie pozwala, aby ukrzyżowani pozostali do następnego dnia bez pogrzebu, a przecież słońce już skłania się ku zachodowi i niebawem nastanie zmierzch. Będąc jeszcze tak młodym, Jezus nie musi rozdzierać tuniki, jest zwolniony z takiego okazywania żałoby, jakkolwiek dało się słyszeć jego cienki i drżący głos, kiedy zaintonował, Błogosławiony bądź Panie Boże nasz, królu wszechświata, który sprawiedliwie Cię stworzył, który sprawiedliwie Cię utrzymał przy życiu, który sprawiedliwie Cię żywił, który sprawiedliwie pozwolił Ci poznać ziemię, który sprawiedliwie rządzi, że pojawisz się na nowo, błogosławiony bądź, Panie, który wskrzeszasz zmarłych. Leżący pod krzyżem Józef, jeśli jeszcze czuje ból po gwoździach, może również usłyszy te słowa, już on będzie wiedział, jakie miejsce Boska sprawiedliwość zajmowała w

jego życiu, zwłaszcza teraz, gdy po żadnej niczego się nie może spodziewać. Po odprawieniu modłów należało zmarłych pogrzebać, lecz skoro jest ich aż tylu a i noc coraz bliżej, nie ma możliwości wyszukania osobnego miejsca dla każdego, czyli normalnego grobu, który by można przykryć okrągłym kamieniem, nie ma też co marzyć o owinięciu zwłok w pogrzebowe wstęgi lub choćby w zwykły całun. Uchwalono więc, że wykopany zostanie długi dół, w którym zmieści się wszystkich, nie pierwszy to raz ani nie ostatni, ciała pójną do ziemi odziane tak, jak są w chwili obecnej, Jezusowi również dano motykę, a on dzielnie przerzucał ziemię u boku dorosłych mężczyzn, los, który we wszystkim jest mądrzejszy, chciał, że w miejscu przez niego wykopanym został pochowany ojciec i tak wypełniło się proroctwo, Syn człowieka pogrzebie człowieka, lecz on sam pozostanie nie pogrzebany. Niech te słowa, na pierwszy rzut oka enigmatyczne, nie powiodą was do jakichś górnolotnych myśli, to, co zawierają, należy do skali oczywistości, oznacza jedynie, że ostatniego człowieka, dlatego że będzie ostatni, nie będzie miał kto pochować. Wszelako nie dotyczy to chłopca, który właśnie pogrzebał swego ojca, razem z nim nie skończy się świat, pozostaniemy tu przez długie tysiąclecia, stale się rodząc i umierając, i skoro człowiek z jednakową wytrwałością jest drugiemu człowiekowi wilkiem i oprawcą, tym więcej ma powodów ku temu, by być jego grabarzem.

Słońce przeszło już na tamtą stronę góry. Wielkie ciemne chmury unoszą się nad doliną Jordanu, przesuając się powoli w kierunku zachodnim, jak gdyby wabiło je odchodzące światło, które barwi na czerwono ich wyraziste górne krawędzie. Powietrze nagle się ochłodziło, bardzo możliwe, że w nocy będzie padać, choć nie jest to normalne o tej porze roku. Żołnierze już poszli, wykorzystują ostatnie dzienne światło, aby dotrzeć do znajdującego się gdzieś niedaleko obozowiska, dokąd prawdopodobnie już dotarli ich towarzysze broni, którzy przeszukiwali Nazaret, tak właśnie prowadzi się nowoczesną wojnę, wszystko jest skoordynowane, a nie tak, jak to robi Galilejczyk, widać zresztą od razu efekty, trzydziestu dziewięciu ukrzyżowanych partyzantów oraz czterdziesty, niewinny biedak, dobre zamiary go tu przywiodły i źle skończył. Ludzie z Seforis pójną jeszcze do spalonego miasta rozejrzeć się za miejscem, gdzie by mogli przenocować, zaś wcześniej rano wszystkie rodziny przetrząsną to, co pozostało z ich domów, a nuż jakieś dobra oparły się płomieniom, zaś potem udadzą się na poszukiwanie nowego życia, bo Seforis nie zostało spalone ot tak sobie, Rzym nieprędko wyda zezwolenie na odbudowę miasta. Maria i Jezus są dwoma cieniami pośród lasu pni, matka przyciąga syna do siebie, dwa strachy chcą odnaleźć odwagę, a ciemne niebo w tym nie pomaga, na dodatek wydaje się, że zakopani umarli chcą złapać żywych za nogi. Jezus powiedział do matki, Śpimy w mieście, a Maria odrzekła, Nie możemy, twoi

bracia i siostry zostali sami i są głodni. Ledwie widzieli ziemię, po której stąpali. Wreszcie, potykając się i raz nawet przewracając, osiągnęli drogę przypominającą suche koryto rzeki, bladą smugę przecinającą noc. Gdy pozostawili już za sobą Seforis, zaczęło padać, pierwsze ciężkie krople wpadały w kurz z miękkim hałasem, jeśli oczywiście te dwa słowa zestawione razem mają sens. Później deszcz stale i uparcie przybierał na sile, aż kurz stał się błotem, Maria i syn musieli zdjąć sandały, żeby ich nie zgubić po drodze. Idą w milczeniu, matka osłania głowę syna swoim płaszczem, jedno nie ma nic do powiedzenia drugiemu, może nawet błąka im się po głowie myśl, że Józef jednak żyje i że po dotarciu do domu zastaną go przy dzieciach, a on zapyta żonę, Z jakiej racji poszliście do miasta, nie pytając mnie o pozwolenie, ale już łzy powróciły do

* oczu Marii i nie wywołało ich tylko zmartwienie oraz żałoba, lecz również ta nie kończąca się mordęga, ta bezlitosna deszczowa pokuta, ta beznadziejna noc, to wszystko zbyt ciemne i zbyt smutne, aby Józef mógł być żywy. Pewnego dnia ktoś doniesie wdowie, że cud stał się u bram Seforis, bo służące wcześniej za narzędzia tortur pnie wypuściły liście oraz nowe korzenie, powiedzenie cud nie jest nadużyciem tego słowa, po pierwsze dlatego, że wbrew zwyczajowi Rzymianie nie zabrali ich ze sobą, po drugie jest niemożliwością, by tak obcięte pnie, to znaczy od dołu i od góry, miały jeszcze w sobie soki oraz pędy zdolne do przywrócenia życia grubym i przesiąkniętym krwią słupom. To od krwi, mówili łatwowierni, to od deszczu, replikowali sceptycy, chociaż ani od przelanej krwi, ani od spadającej z nieba wody nie mogło się zazielenić tyle krzyży pozostawionych na górskich wzniesieniach i pustynnych płaskowyżach. Nikt natomiast nie ośmielił się stwierdzić, że stało się tak z woli Boga, nie tylko dlatego, iż jakakolwiek by była, zawsze będzie niezgłębiona, ale także z uwagi na nieznamość osobistych zasług ukrzyżowanych z Seforis, dzięki którym mogliby dostąpić łaski boskiej w tak szczególnym wydaniu, owiele bardziej właściwym pogańskim bóstwom. Drzewa te będą tutaj bardzo długo, lecz nadejdzie taki dzień, kiedy zaginie pamięć

Otamtych zdarzeniach, wówczas wymyśli się parę historii bądź też legend, pozostając na początku w pewnej zgodzie z faktami i z czasem przerobi się wszystko na czystą bajkę, albowiem ludziom zawsze jest potrzebne wytłumaczenie, fałszywe lub prawdziwe, nie ma znaczenia. Nadejdzie także inny dzień, gdy drzewa umrą ze starości i zostaną ścięte, a później jeszcze inny, w którym z powodu jakiejś autostrady, albo szkoły, albo domu mieszkalnego, albo centrum handlowego, albo bunkra koparki rozgrzebią teren i wyciągną na światło dzienne ponownie narodzone szkielety, spoczywające tam od dwóch tysięcy lat. Przyjadą więc antropologowie, a jakiś profesor anatomii zbada te szczątki po to, by później obwieścić

zgorzszonemu Ńwiatu, Ńe w tamtych czasach ludzie byli krzyŃzowani z podkurczonymi nogami. I skoro Ńwiat nie mógł tego podwaŃyć w imię nauki, zrobił to w imię estetyki.

Kiedy Maria z Jezusem dotarli do domu przemoknięci do suchej nitki oraz upačkani błotem, trzęśli się od zimna, zaś dzieci były spokojniejsze, niżli to sobie można było wyobrazić, a to dzięki obrotności

Inicjatywie dwojga najstarszych, Jakuba i Lizji, którzy domyślając się, Ńe noc będzie chłodna, pamiętali o napaleniu w piecu, tak więc wszyscy zbili się w gromadkę, usiłując zrekompensować doskwierający głód za pośrednictwem zewnętrznego ciepła. Usłyszawszy stuka-

- *

‘e do furtki, Jakub poszedł ją otworzyć, deszcz zdążył zamienić się ‘uŃ w potop, przed którym uciekali matka z bratem tak, Ńe kiedy weszli do Ńrodka, wydawało się, iż dom został nagle zalany. Dzieci popatrzyły i zorientowały się, Ńe ojciec nie przyjdzie, gdy drzwi ponownie się zamknęły, lecz milczały, a tylko Jakub zadał pytanie, A ojciec. Gliniana podłoga wchłaniała powoli kapiącą z przemoczonych tunik wodę, ciszę przerywały trzaski wilgotnego drewna płonącego w piecu, dzieci spoglądały na matkę. Jakub zapytał jeszcze raz, A ojciec. Maria otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale nieodwracalne słowo Ńcisnęło jej gardło jak szubieniczna pętla, zatem Jezus musiał powiedzieć, Ojciec umarł, i nie wiedząc dobrze dlaczego, chyba dlatego, Ńe był to niepodważalny dowód ostatecznej nieobecności, odjął mokre sandały od pasa i pokazał je rodzeństwu, Oto są. Pierwsze łzy nabiegły juŃ do oczu najstarszych, ale widok sandałów sprawił, Ńe zaczęli płakać wszyscy, wdowa i jej dziewięcioro dzieci, a ona nie wiedziała kogo ukoić, aż wreszcie uklękała na podłodze opuszczona przez siły, a dzieci podeszły, otaczając ją ze wszystkich stron, żywe grono, którego nie trzeba było deptać, aby z niego wycisnąć tę białą krew, jaką jest łza. Tylko Jezus stał, przyciskając sandały do piersi i myśląc niewyraźnie, Ńe pewnego dnia on sam je założy, zresztą założyłby juŃ teraz, gdyby starczyło mu odwagi. Stopniowo dzieci odchodziły od matki, starsze powodowane wstydem kaŃącym im cierpieć w samotności, młodsze dlatego, Ńe bracia juŃ odeszli i dlatego, Ńe nie mogły doznać rzeczywistego uczucia zmartwienia, jedynie płakały, a pod tym względem dzieci są jak dorośli, którzy płaczą o nic, nawet wtedy, gdy przestali czuć, albo dlatego, Ńe przestali czuć. Przez jakiś czas Maria klęczała sama na Ńrodku domu, jak gdyby w oczekiwaniu na jakąś decyzję albo wyrok, w końcu przejmujący dreszcz i mokre ubranie dały jej znak do wstania z miejsca, podeszła do skrzyni i wyjęła z niej starą, połataną męŃowską tunikę, wręczyła ją Jezusowi i tak rzekła, Zdejmij ubranie, które masz na sobie, załóż to i usiądź przy ogniu. Potem zawołała obie córki, Lizję i Lidię, kazała im

podnieść i przytrzymać matę tak, aby stanowiła parawan, zmieniała za nim ubranie, po czym zabrała się do przygotowywania wieczerzy, wykorzystując resztę żywności znajdującej się w domu. Jezus grzał się przy piecu w ojcowskiej tunice, która była na niego za duża w rękawach i na długość, wiadomo już, że przy innej okazji bracia by się z niego śmiali, bo wyglądał jak straszdyło, lecz dziś nie zdobyliby się na to, nie tylko z uwagi na wielkie zmartwienie, lecz także przez wzgląd na bijący od tego chłopca majestat dorosłości, jakby z godziny na godzinę osiągnął on swój maksymalny wzrost, wrażenie to stało się jeszcze mocniejsze, gdy Jezus powolnymi i odmierzonymi ruchami umieścił wilgotne sandały ojca tak, aby oddziaływało na nie ciepło paleniska, zaś gest ten nie służył żadnemu praktycznemu celowi, skoro ich właściciela nie było już na tym świecie. Postępujący za starszym bratem Jakub usiadł obok niego i zapytał cichym głosem, Co się stało z naszym ojcem, Ukrzyżowali go razem z partyzantami, odparł Jezus, również szeptem, Dlaczego, Nie wiem, było ich czterdziestu a ojciec pomiędzy nimi, Może był partyzantem, Kto, Ojciec, Nie, przecież zawsze był tutaj, oddany swej pracy, A osioł, odnaleziono go, Ani żywego ani martwego. Matka skończyła przygotowywać wieczerzę, wszyscy usiedli wokół wspólnej miski i zjedli to, co było. Pod koniec, najmłodszym już opadały sennie głowy, to jasne, że umysł był jeszcze wzburzony, ale zmęczone ciało domagało się snu. Maty chłopców zostały rozesłane pod najdalszą ścianą, Maria powiedziała do córek, Połóżcie się tutaj ze mną, a one ulokowały się po bokach, żeby jedna drugiej nie zazdrościła. Przez szparę w drzwiach wdzierało się zimno, lecz dom był nagrany ciepłem dawanym przez piec i tym wydzielanym przez przylegające do siebie ciała, mimo smutku i westchnień cała rodzina powoli zapadała w sen, Maria dawała przykład, powstrzymywała łzy, bo chciała, żeby dzieci szybko zasnęły, ale również dlatego, żeby mogła pozostać sama ze swoim zmartwieniem, szeroko otwierając oczy na przyszłe życie bez męża i z dziewięciorgiem potomstwa.

W środku nocy jakiś jęk obudził Marię. Pomyślała, że może jej samej przytrafiło się to we śnie, ale przecież o niczym nie śniła, a jęk dobiegł do niej ponownie, mocniejszy tym razem. Uniosła się do góry tak, aby nie zbudzić córek, i rozejrzała się dokoła, jednakże światło lampki nie docierało w głąb domu, Które z nich, pomyślała, choć w głębi serca wiedziała, że to Jezus jęczał. Bezszelestnie wstała, poszła po lampkę zawieszoną na gwoździu przy drzwiach i podniosła ją ponad głowę, aby lepiej wszystko oświetlić, obejrzała śpiące dzieci, Jezus, to on wierci się i coś szepcze, jak gdyby zmagając się z koszmarem, na pewno śni mu się ojciec, taki młody chłopak a widział już śmierć, krew i tortury. Maria pomyślała sobie, że powinna go zbudzić, przerwać ten inny rodzaj agonii, ale nie uczyniła tego, nie chciała, by syn opowiadał jej o swoich snach, chociaż zapomniała o tej przyczynie, kiedy

zauważyła, że syn ma na nogach ojcowskie sandały. Osobliwość zdarzenia zbiła ją z tropu, cóż za głupi pomysł, bez żadnego uzasadnienia, jaki brak szacunku, zakładać sandały własnego ojca w dniu jego śmierci. Wróciła na matę, nie wiedząc co ma o tym wszystkim myśleć, może synowi śnił się ten sam sen, a przecież za przyczyną sandałów i tuniki oraz śmiertelnej przygody ojca przeszedł do świata mężczyzn, do którego co prawda należał z mocy Bożego prawa, ale w którym dopiero teraz na dobre mógł się ulokować dzięki prawu dziedziczenia po ojcu jego dóbr, choćby nimi były zaledwie stara tunika i koślawe sandały, oraz jego snów, niechby i po to, żeby odżyły jego ostatnie kroki na ziemi. Maria nie pomyślała, że sen mógłby być o czymś innym.

Dzień wstał pogodny, bezchmurny, słońce było gorące i jaskrawe, nie musiano się obawiać powrotu deszczu. Maria wcześniej wyszła z domu ze wszystkimi potomkami płci męskiej w wieku szkolnym tudzież z Jezusem, który, jak wcześniej powiedziano, już zakończył naukę. Szła do synagogi, żeby donieść o śmierci Józefa oraz

odmniemanych okolicznościach, które się do niej przyczyniły, dodając wszelako, że zarówno za duszę jego, jak i za dusze pozostałych nieszczęśników, odprawiono żałobne obrzędy, stosownie do tego, na co pozwolił czas i miejsce, w każdym bądź razie można stwierdzić, że rytuał został zachowany pod względem treściowym i liczbowym. W drodze powrotnej do domu, nareszcie sam na sam z najstarszym synem, Maria pomyślała sobie, że jest to dobra okazja do zapytania go, dlaczego założył ojcowe sandały, jednakże w ostatniej chwili powstrzymały ją jakieś skrupuły, najprawdopodobniej związane z tym, że Jezus raczej nie wiedziałby, jakiego wyjaśnienia ma udzielić i przez to czułby się poniżony w oczach matki, tak jakby jego czyn, bez wątpienia zbyt śmiały, został porównany do powszedniego postępu dziecka wstającego w nocy i skradającego się po to, żeby zjeść ciastko,

1w razie wpadki zawsze mogącego się tłumaczyć głodem, czego nie można powiedzieć o epizodzie z sandałami, chyba że chodzi w nim o inny rodzaj głodu, którego my nie potrafimy wyjaśnić. W głowie Marii zrodziła się następnie myśl, że syn jest teraz głową domu i rodziny, a zatem ona, jego matka i poddana, powinna gorliwie okazywać należyty mu szacunek i uprzejmość, interesując się na przykład tą zakłócającą jego sen chorobą duszy, Śnił ci się ojciec, zapytała, a Jezus udał, że nie słyszy, odwrócił twarz w drugą stronę, jednakże matka nalegała z mocnym postanowieniem, Śnił ci się, nie spodziewała się, że syn pierwszy jej odpowie, Tak, zaraz po tym, Nie, i że sponsejnie tak, jakby znowu miał przed oczami obraz zmarłego ojca. Dalej szli już w milczeniu, a gdy dotarli do domu, Maria wzięła się za gręplowanie wełny, dochodząc jednocześnie do wniosku, że z uwagi na konieczność utrzymania rodziny powinna z tego uczynić źródło dochodu, gdyż wciąż ma dobrą rękę do

takich zajęć. Jezus ze swej strony spojrział w niebo, aby upewnić się czy pogoda się nie popsuje, po czym podszedł do ojcowego warsztatu ciesielskiego mieszczącego się pod daszkiem i począł sprawdzać stan przerwanych robót oraz poszczególnych narzędzi, co bardzo uradowało serce Marii, która widziała, że syn od pierwszego dnia na serio traktuje swe nowe obowiązki. Kiedy młodzi powrócili z synagogi i wszyscy zasiedli do jedzenia, tylko bardzo uważny obserwator zauważyłby, że kilkanaście godzin wcześniej rodzina ta straciła swego naturalnego przywódcę, męża i ojca, a poza Jezusem, którego czarne, zmarszczone brwi podążają za jakąś ukrytą myślą, cała reszta, włącznie z Marią wydaje się być spokojna, choć jest to spokój złożony, bowiem zapisano, Płacz gorzko i z przejęciem, uderzaj się w piersi, zarządź żałobę odpowiednio do jego godności, dzień jeden lub dwa, dla uniknięcia potwarzy, potem już daj się pocieszyć w smutku, i zapisano również, Nie oddawaj smutkowi swego serca, odsuń go, pomnąc na swój koniec, nie zapominaj, że nie ma on powrotu, zmarłemu nie pomożesz, a sobie zaszkodzisz. Jeszcze za wcześnie na śmiech, który w swoim czasie przyjdzie, skoro dni po dniach, a pory roku po porach roku następują, najlepszą jednak lekcję daje Eklezjastes, Sławiłem więc radość, bo nic dla człowieka lepszego pod słońcem, niż żeby jadł, pił i doznawał radości, i by to go cieszyło przy jego trudzie za dni jego życia, które pod słońcem daje mu Bóg. Pod wieczór Jezus z Jakubem weszli na taras, aby słomą wynurzaną w glinie pozatykać szpary w dachu, przez które woda kapła całą noc, nikogo nie powinno zdziwić, że do tej pory nie mówiono o tak drobnych szczegółach naszego codziennego życia, wszak śmierć człowieka, winnego albo nie, zawsze musi wziąć górę nad innymi sprawami.

Następna noc nadeszła, inny dzień się zaczynał, zjadła rodzina byle jaką wieszczę i ułożyła się na matach. Bliżej świtu Maria obudziła się przestraszona, to nie jej coś się śniło, ale synowi i to wśród szlochów i jęków ściskających serce, przebudziło się również starsze rodzeństwo, a temu młodszemu potrzeba było o wiele więcej, aby go wyrwać z głębokiego snu, pełnego jeszcze dziecięcej niewinności. Maria pospieszyła z pomocą synowi, który przewracał się z boku na bok z uniesionymi ramionami, jak gdyby próbował zasłonić się przed ciosami miecza albo włóczni, wreszcie osłabł dlatego, że napastnicy wycofali się albo dlatego, że gasło w nim życie. Jezus otworzył oczy i z całej siły przywarł do matki, tak jakby nie był małym mężczyzną tudzież głową rodziny, zresztą nawet dorośli mężczyźni, jeśli płaczą, zamieniają się w dziecko, biedni głupcy, nie chcą się jednak przyznać do tego, że łyżki pocieszają obolałe serce. Co ci jest, moje dziecko, co ci jest, zapytała zaniepokojona Maria, a Jezus nie mógł odpowiedzieć, albo też nie chciał, jakiś grymas, w którym nie było już nic dziecięcego, zamykał mu usta, Powiedz mi, co ci się śniło, nalegała Maria, próbując

jednocześnie otworzyć mu jakąś ścieżkę, Widziałeś ojca, a chłopiec raptownie wykonał przeczący gest, po czym wysunął się z jej ramion i opadł na matę, Idź spać, rzekł, i zwrócił się do rodzeństwa, To nic takiego, śpijcie, czuję się dobrze. Maria powróciła do córek, jednakże niemal do samego rana nie zmrużyła oka, spodziewając się, że Jezusowy sen w każdej chwili może się powtórzyć, jakież to sen był przyczyną tak wielkiej udręki, ale nic się nie wydarzyło. Maria nie pomyślała, iż syn mógł już nie zasypiać dlatego, żeby z powrotem nie zacząć śnić, pomyślała natomiast o doprawdy osobliwym zbiegu okoliczności, tym mianowicie, że cieszącego się zawsze spokojnym snem Jezusa, po śmierci ojca zaczęły nawiedzać koszmary, Panie mój, Boże, oby to nie był ten sam sen, błagała, zdrowy rozsądek podpowiadał jej dla uspokojenia, że snów się przecież nie dostaje w spadku ani nie dziedziczy, jak bardzo się myli, i że ludzie nie potrzebowali przekazywać sobie swoich snów z ojca na syna po to, żeby były śnione o tej samej porze. Wreszcie nastał świt, zajaśniała szpara w drzwiach. Kiedy Maria się przebudziła, zobaczyła, że miejsce najstarszego syna jest puste, Dokąd poszedł, pomyślała, szybko wstała, otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz, Jezus siedział nieruchomo pod daszkiem na leżącej na ziemi słomie z głową wspartą na ramionach i z ramionami wspartymi na kolanach. Matką wstrząsnął dreszcz wywołany porannym chłodem, ale również, mimo że nie za bardzo sobie z tego zdawała sprawę, widokiem osamotnionego syna, podeszła do niego, Jesteś chory, zapytała, chłopiec uniósł głowę, Nie, nie jestem chory, Zatem, co się z tobą dzieje, To te moje sny, Sny, powiadasz, Jeden tylko sen, ten sam dziś i poprzedniej nocy, Śnił ci się ojciec na krzyżu, Już ci mówiłem, że nie, śni mi się ojciec, ale go nie widzę, Przecież mówiłeś mi, że on ci się nie śni, Bo go nie widzę, ale mam pewność, że jest we śnie, Jaki jest ten sen, który cię dręczy. Jezus nie odpowiedział od razu, spojrzał na matkę bezradnie i Maria poczuła się tak, jakby jakiś palec dotykał jej serca, oto jej syn o twarzy dziecka i przygasłym spojrzeniu spowodowanym niewyspaniem, z pierwszym meszkiem pod nosem, rozczulająco śmiesznym, oto jej syn pierworodny, to jemu zawierzała i pod jego opiekę się oddawała na resztę swoich dni, Opowiedz mi wszystko, poprosiła, i Jezus w końcu rzekł, Śni mi się, że jestem w jakiejś wiosce, która nie jest Nazaretem i że ty jesteś ze mną, ale to nie jesteś ty, bo kobieta, która we śnie jest moją matką, wygląda inaczej, i są też inni chłopcy w moim wieku, nie wiem ilu, i kobiety, które są matkami, nie wiem czy prawdziwymi, ktoś nas zwołał na plac i czekamy na żołnierzy mających nas zabić, słyszymy ich na drodze, zbliżają się, ale ich nie widać, niczego się wtedy jeszcze nie boję, wiem tylko, że to zły sen i nic poza tym, ale nagle zyskuję pewność, że ojciec jest razem z żołnierzami, obracam się do ciebie, żebyś mnie obroniła, chociaż nie mam gwarancji, że to ty, ale ciebie już nie ma i innych matek też już nie ma,

zostaliśmy tylko my, którzy nie jesteśmy już chłopcami lecz malutkimi dziećmi, ja Jeżę na ziemi i zaczynam płakać, reszta też płacze, ale tylko mój ojciec idzie z żołnierzami, spoglądamy na wejście na plac, wiemy, że tamtędy wejdą, ale nie wchodzą, czekamy aż wejdą, ale nie wchodzą, na domiar złego kroki słychać coraz bliżej, teraz, nie, jeszcze nie, wówczas widzę siebie samego takiego, jak teraz, wewnątrz malutkiego dziecka, którym też jestem, podejmuję wielki wysiłek, żeby się z niego wydostać, ale czuję, jakbym miał związane ręce i nogi, wołam cię, bo odeszłaś, wołam ojca, który przychodzi mnie zabić, tak właśnie się obudziłem, tej nocy i poprzedniej. Marię przenikał dreszcz przerażenia od pierwszych słów, gdy tylko zrozumiała wymowę snu, spuściła strapione oczy, zatem zdarzyło się to, czego tak bardzo się bała, wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi i wbrew rozumowi Jezus odziedziczył sen po ojcu, nie dokładnie taki sam, ale tak, jakby ojciec i syn, każdy na swoim miejscu, śnili go w tym samym czasie. Zadrżała z prawdziwej trwogi, kiedy usłyszała, jak syn ją pyta, Co to był za sen, ten który śnił się ojcu co noc, Zły sen, jaki może się zdarzyć każdemu, Ale co to było, Nie wiem, nigdy mi nie opowiadał, Matko, nie powinnaś ukrywać prawdy przed synem, Lepiej żebyś o tym nie wiedział, Skąd możesz wiedzieć, co jest dla mnie dobre a co złe, Szanuj swoją matkę, Jestem twoim synem, masz mój szacunek, ale teraz zatajasz przede mną to, co należy do mojego życia, Nie zmuszaj mnie do mówienia, Pewnego dnia zapytałem ojca o przyczynę jego snu, a on odpowiedział mi, że ani ja nie mogę zadawać mu wszystkich pytań, ani on nie może udzielić mi wszystkich odpowiedzi, A widzisz, przyjmij słowa twojego ojca, Przyjąłem je, kiedy żył, lecz teraz ja jestem głową rodziny, odziedziczyłem po nim tunikę, sandały i sen, już z tym mógłbym iść w świat, jednakże muszę wiedzieć, jaki sen zabrałbym ze sobą, Mój synu, może już więcej ci się nie przyśni. Jezus spojrzał wprost na matkę, zmusił ją, by i ona spojrzała na niego oraz rzekł, Nie będę się o to dowiadywać, jeżeli następnej nocy sen nie powróci, jeżeli już nigdy nie powróci, ale jeżeli się powtórzy, to przysięgnij, że powiesz mi o wszystkim, Przysięgam, odrzekła Maria, która nie wiedziała już, w jaki sposób ma siębronić przed naleganiami i zdecydowaniem syna. W ciszy jej znękanego serca wzniosła bez słów wołanie do Boga, mogłyby one być takie, Przekaż mnie, o Panie, ów sen, i niech ja go znoszę zawsze aż do dnia mej śmierci, ale nie mój syn, nie on. Rzekł Jezus, Czy będziesz pamiętać o obietnicy, Będę, odpowiedziała Maria, lecz samej sobie powtarzała, Mój syn nie, mój syn nie.

Mój syn, tak. Nadeszła noc, a o świcie zapiał czarny kogut i sen powtórzył się, pysk pierwszego konia wyłonił się zza zakrętu. Maria usłyszała jęczącego syna, lecz nie poszła go pocieszać. Natomiast Jezus, drżący ze strachu i zlany potem nie musiał pytać, czy matka też się obudziła, O czymże mi opowie, pomyślał, podczas gdy Maria, ze swej strony, rozważała,

Jak mu to powiem, i zastanawiała się, w jaki sposób nie powiedzieć mu o wszystkim. Rano, gdy wstali, Jezus rzekł do matki, Pójdę z tobą zaprowadzić moich braci do synagogi, a potem udasz się ze mną na pustynię, ponieważ musimy porozmawiać. Biednej Marii wszystko wypadło z rąk, kiedy przygotowywała dzieciom jedzenie, jednakże kielich goryczy został napełniony i teraz należało go wypić. Zostawiwszy młodszych w szkole, matka i syn wyszli z wioski i w szczyrim polu usiedli pod jakąś oliwką, nikt tędy przechodzący, poza Bogiem oczywiście, nie będzie mógł usłyszeć tego, co powiedzą, wiadomo przecież, że kamienie nie mówią, nawet jeśli się uderza jednym o drugi, w głębokiej zaś ziemi wszystkie słowa obracają się w ciszę. Jezus rzekł, Spełnij swą obietnicę, a Maria odpowiedziała bez ogródek, Twojemu ojcu śniło się że był żołnierzem i wraz z innymi żołnierzami miał cię zabić, Mnie zabić, Tak, To jest mój sen, Tak, potwierdziła z ulgą, W końcu poszło łatwo, pomyślała, i dodała na głos, Teraz już wiesz, wracajmy do domu, sny są jak chmury, przychodzą i odchodzą, ty odziedziczyłeś ten sen dlatego, że bardzo kochałeś twego ojca, ale on cię nie zabił, nigdy by tego nie zrobił, nawet gdyby rozkazał mu Pan, to w ostatniej chwili anioł zatrzymałby jego rękę, tak jak uczynił z Abrahamem, kiedy ten miał poświęcić swego syna Izaaka, Nie mów o tym, czego nie wiesz, sucho uciał Jezus, a Maria zorientowała się, że gorzkie wino musi być wypite do końca, Zgódź się mój synu, że przynajmniej według tego, co ja wiem, nic nie może się oprzeć woli Pana, jakakolwiek by ona była, i że jeśli Pan miał teraz taką wolę, a za chwilę będzie miał inną, przeciwną do tej pierwszej, ani ty, ani ja nie możemy się temu sprzeciwić, odpowiedziała Maria i krzyżując ramiona na piersiach, czekała na słowa syna.

Jezus rzekł, Odpowiesz na wszystkie pytania, które ci zadam, Odpowiem, rzekła Maria, Kiedy ojcu zaczął się śnić ten sen, Wiele lat temu, Ile, Gdy ty się urodziłeś, Śnił mu się co noc, Tak, sądzę, że co noc, ostatnio już się nie budziłam z tego powodu, można się przyzwyczaić, Urodziłem się w Betlejem, w Judei, Tak jest, Co takiego przy moim narodzeniu sprawiło, że ojcu śniło się że mnie zabije, To nie było przy twoim narodzeniu, Przecież sama mówiłaś, Sen pojawił się kilka tygodni później, Co się wtedy stało, Herod kazał zabić dzieci z Betlejem poniżej trzeciego roku życia, Dlaczego, Nie wiem, Ojciec wiedział, Nie, Ale mnie nie zabili, Mieszkaliśmy w jaskini z dala od wioski, To znaczy, że żołnierze nie zabili mnie dlatego, że mnie nie zobaczyli, Tak, Czy mój ojciec był żołnierzem, Nigdy nie był żołnierzem, Co zatem robił, Pracował przy budowie Świątyni, Nie rozumiem, Odpowiadam na twoje pytania, Jeżeli żołnierze mnie nie zobaczyli, jeżeli mieszkaliśmy z dala od wioski, jeżeli ojciec nie był żołnierzem, jeżeli nie ponosił żadnej odpowiedzialności, jeżeli nawet nie wiedział, z jakiego powodu Herod kazał zabić dzieci, Tak, twój ojciec nie wiedział, z jakiego powodu Herod kazał zabić dzieci, A więc, To wszystko, jeśli nie masz więcej pytań,

ja nie mam więcej odpowiedzi, Zatajasz coś przede mną, A może to ty nie jesteś w stanie niczego dostrzec. Jezus milczał, czuł, że zdecydowanie, z którym przemawiał do matki, ginęło jak woda na suchej podłodze, a jednocześnie wydawało mu się, że w jakimś zakątku jego duszy rozwija się pewna podła myśl, która od samego zarania jest czymś potwornym. Zboczem pagórka znajdującego się naprzeciwko przechodziło stado owiec, zarówno one, jak i ich pasterz byli w kolorze ziemi, ziemia przesuwiała się po ziemi. Na stroskanym obliczu Marii odmalowało się zdziwienie, ten wysoki pasterz, ten jego chód, po tylu latach akurat w tym momencie, cóż to może oznaczać, natężyła wzrok i poczęła wątpić, bo był to zwyczajny sąsiad z Nazaretu wiodący na pastwisko swe nieliczne owce, liche jak i on sam. Umysł Jezusa ukształtował wreszcie ową myśl, chciała ona wydostać się z ciała, lecz na jej drodze stanął język, w końcu jednak głosem obawiającym się samego siebie powiedział, Ojciec wiedział, że dzieci zostaną zabite. Nie było to pytanie, więc Maria nie musiała odpowiadać. W jaki sposób się dowiedział, tym razem już zapytał, Pracował na budowie Świątyni w Jerozolimie i usłyszał żołnierzy rozmawiających o tym, co będą robić, A potem, Przybiegł, żeby cię uratować, A potem, Sądził, że nie powinniśmy uciekać i pozostaliśmy w jaskini, A potem, To wszystko, żołnierze zrobili to, co im kazano i odeszli, A potem, Potem wróciliśmy do Nazaretu, I pojawił się sen, Po raz pierwszy jeszcze w jaskini. Dłonie Jezusa powędrowały nagle w kierunku twarzy, jak gdyby ją chciały rozdrapać, a głos wybuchł niechybnym okrzykiem, Mój ojciec zabił dzieci z Betlejem, Co ty wygadujesz, zabili je Herodowi żołnierze, Nie, kobieto, zabił je mój ojciec, zabił je Józef, syn Helego, który wiedząc, że dzieci mają być zabite, nie ostrzegł ich rodziców, kiedy słowa te zostały wypowiedziane, przepadła nadzieja na pocieszenie. Jezus z płaczem rzucił się na ziemię, Niewinne, niewinne, powtarzał, wydaje się niewiarygodną rzeczą, iż zwykły, trzynastoletni chłopiec, będący zatem w wieku, w którym egoizm łatwo można wytłumaczyć i wybaczyć, mógł doznać tak silnego wstrząsu z powodu wiadomości, która jeśli weźmiemy pod uwagę to, co wiemy o naszym dzisiejszym świecie, byłaby obojętna dla większości ludzi. Mimo to nie wszyscy są jednakowi, istnieją przecież dobre i złe wyjątki, a ten należy do najlepszych, chłopiec płaczący z powodu błędu dawno temu popełnionego przez ojca, być może oplakujący także samego ojca po dwakroć winnego, skoro, jak się wydaje, kochał go. Maria wyciągnęła rękę w kierunku syna, chciała go dotknąć, lecz on się odsunął, Nie dotykaj mnie, moja dusza jest zraniona, Jezusie, mój synu, Nie nazywaj mnie twoim synem, ty też jesteś winna. Tak radykalne są młodzieńcze sądy, Maria w istocie rzeczy była tak samo niewinna jak zamordowane dzieci, Przecież to mężczyźni, moja siostrzo, decydują o wszystkim, przyszedł tu mój mąż i powiedział, Idziemy stąd, a później się poprawił, Jednak nie idziemy, bez

żadnych wyjaśnień, musiałam go zapytać, Co to za krzyki. Maria nie odpowiedziała synowi, bardzo łatwo byłoby wykazać mu, że nie była winna, lecz pomyślała o ukrzyżowanym mężu, także niewinnie, i poczuła, zawstydzona i ze łzami w oczach, że go kocha bardziej niż wtedy, kiedy żył, dlatego milczała. Winą, którą obarczony był jeden, można obarczyć drugiego. Rzekła Maria, Chodźmy do domu, nie mamy już więcej o czym rozmawiać, zaś syn odparł na to, Idź ty, ja zostanę. Wydawało się, że zginęły ślady owiec oraz pasterza, pustynia zaiste była pustynią, nawet porzucane na stoku domy przypominały wielkie kamienie ociosane w opuszczonym kamieniołomie, które powoli zagłębiają się w ziemi. Kiedy Maria zniknęła w szarej głębi doliny, klęczący Jezus krzyknął, a ciało paliło go tak, jakby zlane było krwią a nie potem, Ojciec mój, ojciec, dlaczego mnie opuściłeś, bo to właśnie odczuwał biedny chłopiec, opuszczenie, beznadzieję i nieskończoną samotność w bezmiarze innej pustyni, bez ojca, bez matki, bez rodzeństwa, na początku drogi zmarłych. Z oddali, siedząc pomiędzy owcami, patrzył na niego pasterz.

Po upływie dwóch dni Jezus opuścił dom. W tym czasie z łatwością można było zliczyć wypowiedziane przezeń słowa, nie mógł też spać, więc noce minęły bez snu. Wyobrażał sobie strasliwą rzeź, żołnierzy wkraczających do domów i przeszukujących kołyski, miecze uderzające albo wbijające się w delikatne odsłonięte ciała, matki wydające szalone okrzyki, ojców ryczących jak spętane zwierzęta, wyobrażał sobie też siebie samego w jaskini, której nigdy nie widział, i w takich chwilach, napływających od czasu do czasu jak gęste i powolne fale, odczuwał niewytłumaczalne pragnienie śmierci albo przynajmniej braku życia. Prześladowało go nie zadane matce pytanie, ile dzieci zginęło, w jego mniemaniu było ich wiele, leżących jedno na drugim jak baranki z obciętymi głowami, rzuconych na kupę, i oczekujących na wielki ogień, który je strawi i zabierze do nieba pod postacią dymu. Skoro jednak nie zapytał o to w godzinie objawienia, wydawało mu się posunięciem brzydkim i w złym guście, o ile używano już wtedy tego wyrażenia, zwrócenie się do matki takimi słowami, Matko, zapomniałem cię wtedy zapytać, ile dzieci udało się do lepszego świata tam w Betlejem, a ona odpowiedziałaby, Nie myśl o tym, synu, niecała trzydziestka, jeśli umarli, to dlatego, że tak chciał Pan, bo w Jego mocy leżało uniknięcie tego, gdyby tak Mu pasowało. Jezus bezustannie pytał samego siebie, Ile, spoglądał na rodzeństwo i pytał, Ile, chciał wiedzieć, jaką liczbę martwych ciał należało położyć na szali, aby języczek wagi wskazał równowagę ratującą jego życie. Rankiem drugiego dnia Jezus powiedział do matki, Nie zaznaję spokoju ani wypoczynku w tym domu, zostań z moimi braćmi, bo ja odchodzę. Maria wzniosła dłonie ku niebu z płaczem i oburzeniem, Cóż to znaczy, cóż to znaczy, żeby syn pierworodny opuszczał swą owdowiałą matkę, któż to widział, świat się wali, dlaczego,

dlatego, jeśli to jest twój dom i twoja rodzina, jakże my będziemy tutaj żyć bez ciebie, Jakub jest tylko o rok młodszy ode mnie, on wszystkiemu zaradzi tak, jak ja bym zaradził, gdy brakuje twego męża, Mój mąż był twoim ojcem, Nie chcę o nim rozmawiać, nie chcę rozmawiać o niczym, daj mi błogosławieństwo na drogę, jeżeli chcesz, ja tak czy tak odchodzę, Dokąd chcesz iść, mój synu, Nie wiem, może do Jerozolimy, może do Betlejem, żeby zobaczyć ziemię, na której się urodziłem, Ale tam nikt cię nie zna, Tym lepiej dla mnie, powiedz matko, jak sądzisz, co zrobiliby, gdyby się dowiedzieli kim jestem, Zamilcz, bo słucha cię twoje rodzeństwo, Pewnego dnia oni również dowiedzą się prawdy, Przecież teraz Rzymianie chodzą po drogach w poszukiwaniu partyzantów Judasza, idziesz na spotkanie niebezpieczeństwa, Rzymianie nie są gorsi od żołnierzy tamtego Heroda, z pewnością nie rzucą się z mieczem w garści, aby mnie zabić, ani nie przybiją mnie do krzyża, nic nie zrobiłem, jestem niewinny, Twój ojciec też był i zobacz, co się stało, Twój mąż umarł bez winy, ale żył z winą, Jezusie, szatan przemawia twoimi ustami, Skąd wiesz, że to nie Bóg przemawia moimi ustami, Nie wymawiaj imienia Pana nadaremnie, Nikt nie może wiedzieć, kiedy imię Boga wymawiane jest nadaremnie, ani ty, ani ja, tylko Pan uczyni rozróżnienie, a my i tak nie zrozumiemy Jego racji, Mój synu, Słucham, Nie wiem, skąd u ciebie, młodego chłopca, wzięły się takie myśli i taka wiedza, Ja sam nie wiedziałbym, co ci mam powiedzieć, być może ludzie rodząc się, mają już w sobie prawdę i nie mówią jej tylko dlatego, że nie wierzą, że to jest prawda, Czy naprawdę chcesz odejść, Naprawdę, I wrócisz, Nie wiem, Jeżeli chcesz, jeżeli cię to dręczy, idź do Betlejem, idź do Jerozolimy, do Świątyni, porozmawiaj z mędrcami, zapytaj ich, oni cię oświecą, a ty wrócisz do twej matki i do twego rodzeństwa, bo oni dę potrzebują, Nie obiecuję, że wrócę, Z czego będziesz żył, twemu ojcu nie wystarczyło czasu, aby cię nauczyć całego swego rzemiosła, Będę pracować w polu, zostanę pasterzem, poproszę rybaków, żeby zabrali mnie ze sobą w morze, Nie chciej być pasterzem, Dlaczego, Nie wiem, tak czuję, Będę tym, kim będę, a teraz, moja matko, Nie możesz tak odejść, muszę ci przygotować jedzenie na drogę, pieniędzy jest mało, ale coś się znajdzie, weźmiesz worek twojego ojca, na szczęście został po nim, Zabiorę jedzenie, ale nie worek, To jedyny, jaki mamy w domu, twój ojciec nie miał ani świerzbią ani trądu, którymi mógłbyś się zarazić, Nie mogę, Pewnego dnia zapłaczesz za twoim ojcem, ale jego nie będzie, Już płakałem, Jeszcze zapłaczesz i nie będziesz chciał wiedzieć o jego winach, na te słowa matki Jezus już nie odpowiedział. Starsi bracia podeszli do niego, zapytali, Czy naprawdę odchodzisz, nie wiedzieli nic o tajemniczych powodach jego rozmowy z matką, Jakub zaś powiedział, Bardzo bym chciał iść z tobą, temu marzyła się przygoda, wędrownia, niebezpieczeństwo, inny horyzont, Musisz zostać, odparł Jezus, ktoś musi się zatroszczyć o

naszą matkę wdowę, mimowolnie wymknęło mu się to słowo, przygryzł jeszcze wargę, jak gdyby chciał je powstrzymać, nie mógł jednak powstrzymać łez, żywe wspomnienie ojca niespodziewanie dosięgnęło go jak strumień oślepiającego światła.

Gdy Jezus wychodził po zjedzeniu posiłku, zgromadziła się cała rodzina. Pożegnał się kolejno z rodzeństwem, pożegnał się z płaczącą matką, której powiedział, nie rozumiejąc dlaczego, W każdym bądź razie na pewno wrócę, potem zarzucił worek na ramię, przeszedł przez podwórko i otworzył furtkę wychodzącą na ulicę. Tam się zatrzymał, jak gdyby zastanawiał się nad tym, co robi, zostawia dom, matkę, rodzeństwo, stał na progu jakichś drzwi albo jakiejś decyzji, nagle nowy argument, a może tylko coś wywołanego napiętą atmosferą kazało zmienić zdanie i uznać wcześniejsze słowa za niebyłe. Tak samo pomyślała Maria i radosne zaskoczenie już malowało się na jej twarzy, ale trwało to krótko, ponieważ syn przed zawróceniem położył worek na ziemi, kładąc tym samym kres długiej przerwie, w czasie której zdawał się roztrząsać w głębi duszy trudny do rozwiązania problem. Jezus przeszedł między swymi, nie patrząc na nich i wszedł do domu. Gdy po chwili wyszedł, trzymał w ręce ojcowskie sandały. W milczeniu i ze spuszczonej oczami, jak gdyby jakiś ukryty wstyd nie pozwalał mu na stawienie czoła innemu spojrzeniu, włożył sandały do worka, po czym wyszedł bez słów i bez gestów. Maria podbiegła do drzwi, a wraz z nią wszystkie dzieci, chociaż te najstarsze udawały, że nie za bardzo je to obchodzi, nie było żadnego pożegnania machania, ponieważ Jezus ani razu nie obrócił się do tyłu. Jedną z sąsiadek przechodzącą tamtędy, była świadkiem tej sceny i zapytała, Dokąd idzie twój syn, Mario, zaś Maria odpowiedziała, Załatwił sobie pracę w Jerozolimie, zostanie tam przez pewien czas, co za bezwstydne kłamstwo, wiemy o tym przecież, tylko że kłamanie i mówienie prawdy to nie takie proste sprawy, lepiej nie ryzykować stanowczych moralnych osądów bowiem, jeśli damy czas czasowi, zawsze nadejdzie dzień, kiedy prawda obróci się w kłamstwo, a z kłamstwa zrobi się prawda. Tej nocy, gdy wszyscy poza Marią już spali, ona niepokoiła się, jak sobie radzi syn, czy ma dach nad głową w karawanseraju, czy może tylko drzewo w polu, a może schronił się pomiędzy skałami jakiegoś ponurego rumowiska albo może schwytali go Rzymianie, niech Pan do tego nie dopuści, w pewnej chwili usłyszała skrzypnięcie furtki od ulicy i serce skoczyło jej do gardła, To wraca Jezus, pomyślała i radość w pierwszym momencie sparaliżowała ją i zbiła z tropu, Co mam robić, nie chciała iść otworzyć mu drzwi, aby nie obnosić się w ten sposób ze swoim tryumfem, Cóż więc, tyle surowości okazałeś wobec twej matki i nawet jednej nocy bez niej nie wytrzymałeś, jednak byłoby to dla niego poniżeniem, najwłaściwiej było siedzieć cicho i spokojnie, udawać, że się śpi, pozwolić mu wejść, a gdyby chciał się po cichutku położyć na macie nie mówiąc, Oto

jestem, rano udam zdumienie powrotem marnotrawnego syna, bo przecież radość nie jest mniejsza, gdy nieobecność jest krótka, w końcu nieobecność także jest śmiercią, a jedyna poważna różnica wiąże się z nadzieją. Jednakże on tak bardzo zwleka, kto wie, czy robiąc ostatnie kroki nie zawahał się i nie zatrzymał, nie mogła więc Maria znieść tej myśli, jest tam szpara w drzwiach, przez którą będzie mogła podejrzeć, sama nie będąc widziana, wystarczy jej czasu, by wrócić na matę, jeżeli syn zdecyduje się wejść, zdoła powstrzymać go, jeżeli pożałuje swej decyzji i zawróci. Boso, na czubkach palców Maria podeszła do drzwi i wyjrzała. Noc była księżycowa, ziemia na podwórku błyszczała jak woda. Wysoka, ciemna sylwetka przesuwiała się powoli w kierunku drzwi, Maria zasłoniła sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć, gdy tylko ją zobaczyła. Nie był to syn, lecz potężny, ogromny, niesamowity żebrak, tak samo jak za pierwszym razem okryty łachmanami i tak samo jak za pierwszym razem, być może pod wpływem księżycowej poświaty, nagle przebrany w okazały strój poruszany silnym wiatrem. Zatrwożona Maria przytrzymała drzwi, Czego on chce, czego on chce, szeptały drżące wargi i naraz stwierdziła, że nie wie, co ma o tym myśleć, człowiek mówiący o sobie, że jest aniołem, obrócił się, był przy samych drzwiach, ale nie wchodził, najpierw słychać było tylko jego oddech, a potem coś, co przypominało odgłos rozdzierania, jak gdyby okrutnie odciągano brzęgi jakiejś rany w ziemi aż do momentu, w którym stanie się wylotem przepaści. Maria nie musiała otwierać ani pytać, żeby się dowiedzieć, co się dzieje za drzwiami. Masywna postać anioła pojawiła się ponownie, przez chwilę jego potężne ciało zasłoniło Marii całe pole widzenia, po czym, nie patrząc w stronę domu, skierowało się do furtki, zabierając ze sobą calutką, od korzenia aż po ostatni listek, tajemniczą roślinę, która urodziła się przed trzynastoma laty w miejscu, m. i w karawanseraju, czy może tylko drzewo w polu, a może schronił się pomiędzy skałami jakiegoś ponurego rumowiska albo może schwytali go Rzymianie, niech Pan do tego nie dopuści, w pewnej chwili usłyszała skrzypnięcie furtki od ulicy i serce skoczyło jej do gardła, To wraca Jezus, pomyślała i radość w pierwszym momencie sparaliżowała ją i zbiła z tropu, Co mam robić, nie chciała iść otworzyć mu drzwi, aby nie obnosić się w ten sposób ze swoim tryumfem, Cóż więc, tyle surowości okazałeś wobec twej matki i nawet jednej nocy bez niej nie wytrzymałeś, jednak byłoby to dla niego poniżeniem, najwłaściwiej było siedzieć cicho i spokojnie, udawać, że się śpi, pozwolić mu wejść, a gdyby chciał się po cichutku położyć na macie nie mówiąc, Oto jestem, rano udam zdumienie powrotem marnotrawnego syna, bo przecież radość nie jest mniejsza, gdy nieobecność jest krótka, w końcu nieobecność także jest śmiercią, a jedyna poważna różnica wiąże się z nadzieją. Jednakże on tak bardzo zwleka, kto wie, czy robiąc ostatnie kroki nie zawahał się i nie zatrzymał, nie mogła więc Maria znieść tej myśli, jest tam

szpara w drzwiach, przez którą będzie mogła podejrzeć, sama nie będąc widziana, wystarczy jej czasu, by wrócić na matę, jeżeli syn zdecyduje się wejść, zdoła powstrzymać go, jeżeli pożałuje swej decyzji i zawróci. Boso, na czubkach palców Maria podeszła do drzwi i wyjrzała. Noc była księżycowa, ziemia na podwórku błyszczała jak woda. Wysoka, ciemna sylwetka przesuwała się powoli w kierunku drzwi, Maria zasłoniła sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć, gdy tylko ją zobaczyła. Nie był to syn, lecz potężny, ogromny, niesamowity żebrak, tak samo jak za pierwszym razem okryty łachmanami i tak samo jak za pierwszym razem, być może pod wpływem księżycowej poświaty, nagle przebrany w okazały strój poruszany silnym wiatrem. Zatrwożona Maria przytrzymała drzwi, Czego on chce, czego on chce, szeptały drżące wargi i naraz stwierdziła, że nie wie, co ma o tym myśleć, człowiek mówiący o sobie, że jest aniołem, obrócił się, był przy samych drzwiach, ale nie wchodził, najpierw słychać było tylko jego oddech, a potem coś, co przypominało odgłos rozdzierania, jak gdyby okrutnie odciągano brzegi jakiejś rany w ziemi aż do momentu, w którym stanie się wylotem przepaści. Maria nie musiała otwierać ani pytać, żeby się dowiedzieć, co się dzieje za drzwiami. Masywna postać anioła pojawiła się ponownie, przez chwilę jego potężne ciało zasłoniło Marii całe pole widzenia, po czym, nie patrząc w stronę domu, skierowało się do furtki, zabierając ze sobą calutką, od korzenia aż po ostatni listek, tajemniczą roślinę, która urodziła się przed trzynastoma laty w miejscu, gdzie zakopano miskę. Furtka otworzyła się i zamknęła, pomiędzy tymi dwoma ruchami anioł przekształcił się w żebraka i zniknął po drugiej stronie muru, ciągnąc za sobą długą łodygę okrytą liśćmi, podobną do jakiegoś pierzastego węża, nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu, jak gdyby to, co się zdarzyło, było tylko snem i wytworem wyobraźni. Maria powoli otworzyła drzwi i bojaźliwie wyjrzała. Cały świat, począwszy od niedostępnych wysokości nieba, był jasnością. Zaraz przy ścianie domu ziała czarna dziura, z której wyrwano roślinę, natomiast od jej krawędzi w kierunku furtki skrzyła się smuga światła, jakby to była jakaś Droga Mleczna, o ile używano wówczas tej nazwy, bo przecież nie mogła to być jeszcze Droga Świętego Jakuba, gdyż ten, który ma jej użyć imienia, jest na razie małym chłopcem z Galilei, mniej więcej rówieśnikiem Jezusa, Bóg raczy wiedzieć, gdzie teraz jeden i drugi przebywają. Maria pomyślała o synu, nie doznając jednakże tym razem skurczu serca wywołanego strachem, nic złego nie mogło jej się przytrafić pod takim niebem, pięknym, spokojnym, niezbadanym i tym księżycem przypominającym chleb zrobiony wyłącznie ze światła, żywiącym ziemskie soki i źródła. Raźniej się Marii zrobiło na duszy, przeszła przez podwórko, bez obawy deptając po gwiazdach, i otworzyła furtkę. Wyjrzała na zewnątrz, zobaczyła, że smuga urywa się w pobliżu, jak gdyby zgasła tęczowa moc liści lub też, byłoby to nowe majaczenie kobiety nie

mogącej już przywołać wytłumaczenia dla swej ciąży, jak gdyby żebrak ponownie przyjął postać anioła, posługując się wreszcie, z uwagi na szczególną okazję, swoimi skrzydłami. Maria rozważyła w głębi ducha te rzadkie wypadki i uznała je za zwyczajne, naturalne i uzasadnione tak samo jak oglądanie swych własnych dłoni w świetle księżyca. Wróciła do domu, zdjęła lampkę z haczyka na ścianie i poszła oświetlić szeroką jamę pozostałą po wyrwanej roślinie. Na dnie leżała pusta miska. Włożyła rękę do dziury i wyjęła miskę, taką samą, jaką ją zapamiętała, była w niej tylko odrobina ziemi, jednak jej blaski już wygasły, prozaiczne kuchenne naczynie powracało do swych pierwotnych zadań, od tej pory znów się będzie do niego nalewać mleka, wody albo wina, stosownie do apetytu i do możliwości, słusznie się mówi, że na każdą osobę przychodzi jej godzina, a na każdą rzecz jej czas.

Jezus znalazł dach nad głową tej pierwszej nocy swej wędrówki. Zmierzch zastał go w pobliżu małej osady, znajdującej się przed miastem Jenin, a jego los, który od samych narodzin naznaczony był złymi przepowiedniami, chciał tym razem, że ludzie mieszkający w domu, do którego, bez wielkich wszakże nadziei, skierował się, aby prosić

X

1 i. onocleg, byli miłośnikami, należeli do tych, co to przez resztę życia odczuwaliby wyrzuty sumienia, gdyby pozostawili chłopca takiego jak ten na łasce nocy, zwłaszcza w tak niespokojnym okresie wojen i napaści, kiedy za nic krzyżuje się dusze i przebija mieczem niewinne dzieci. Jezus oznajmił swym życzliwym gospodarzom, że idzie z Nazaretu do Jerozolimy, ale nie powtórzył upokarzającego kłamstwa usłyszanego z ust matki, że będzie tam pracować, powiedział tylko, iż musi zadać mędrcom ze Świątyni pytanie związane z pewnym punktem Prawa, bo bardzo jest tym zainteresowana jego rodzina. Zdumiał się pan domu, że tak odpowiedzialna misja została powierzona niedorośłemu młodzieńcowi, choć, jak to wyraźnie było widać, dojrzałemu pod względem religijnym, Jezus wyjaśnił więc, że tak ma być, ponieważ on jest najstarszym mężczyzną w rodzinie, ani słowem jednak nie wspomniął o ojcu. Zjadł wieczerzę razem z domownikami i poszedł spać pod daszkiem na podwórku, ponieważ nie było wyszukańszych wygod dla przygodnych gości. W środku nocy sen ponownie go nawiedził, jednak wystąpiły różnice w jego treści, ojciec oraz żołnierze nie zbliżali się aż tak bardzo, nawet koński pysk nie wynurzył się zza zakrętu, ale niech nie łudzi się ten, kto uzna, że z tego powodu mniejsze były udręka i przerażenie, postawmy się na miejscu Jezusa śniącego o tym, że własny ojciec, ten który dał mu istnienie, nadchodzi z nagim mieczem w dłoni i zamierza go zabić. Nikt w domu nie był świadom męki doznawanej o kilka kroków dalej, nawet we śnie Jezus uczył się panować nad strachem, osaczona świadomość w ostatniej chwili kładła mu dłoń na ustach, a krzyki straszliwie drgały, tyle że

bezglównie, bo w głowie. Rano Jezus uczestniczył w pierwszym posiłku swych dobroczyńców, dziękował im i nie szczędził pochwał, czyniąc to z taką oglądą i używając tak odpowiednich słów, że cała rodzina, bez żadnych wyjątków, czuła chwilami, że spływa na nią niewypowiedziany pokój Pański, choć wszyscy oni byli tylko lekceważonymi Samarytanami. Pożegnawszy się z nimi, Jezus wyruszył w dalszą drogę, w uszach dźwięczały mu wciąż ostatnie słowa wypowiedziane przez pana domu, Błogosławiony bądź Panie, Boże nasz, królu wszechświata, który kierujesz krokami ludzi, na co on odpowiedział, błogosławiąc tego samego Pana, Bóg i Król niech zaspokoi wszelkie potrzeby. Codzienne życiowe doświadczenia przekonywująco to odzwierciedlają zgodnie z najsprawiedliwszą zasadą bezpośredniej proporcji, każącej dawać więcej tym, co mają więcej.

Droga, którą należało jeszcze przebyć, aby dotrzeć do Jerozolimy, nie była wcale łatwa. Po pierwsze, są Samarytanie i Samarytanie, co oznacza, że już ówczasem jedna jaskółka nie czyniła wiosny, a potrzebne były przynajmniej dwie, mówimy o jaskółkach, a nie o wiosnach, koniecznie zaś musiał to być samiec i samiczka, oboje płodni i obdarzeni potomstwem. Drzwi, do których Jezus stukał, nie otwierały się już, w związku z czym naszemu wędrowcowi nie pozostawało nic innego, jak tylko przespać się pod jakimś figowcem, niskim i rozłożystym, przypominającym nieco zaokrągloną spódnicę, albo szukać schronienia przy pewnej karawanie, która z powodu przepelnienia w pobliskim karawanseraju musiała, na szczęście dla Jezusa, rozłożyć się obozem na otwartym polu. Powiedzieliśmy na szczęście, dlatego że nieco wcześniej, kiedy samotnie przemierzał górzyste pustkowia, został napadnięty przez dwóch łotrzyków, tchórzliwych i bezlitosnych, którzy okradli biedaka z niewielkiej sumy znajdującej się w jego posiadaniu, przez co nie mógł skorzystać z bezpiecznej gościny domów zajezdnych, gdyż w tych, zgodnie z prawem, niczego za darmo nie dawano, a zwłaszcza dachu nad głową. Żalność ujęłaby każdą litościwą osobę, która widziałaby bezradność, jaką biedaczysko odczuwał, gdy złodzieje odchodzili, cały czas się z niego śmiejąc pod tym niebem i w środku tych gór, w nieskończonym wszechświecie pozbawionym moralnego znaczenia, zamieszkanym przez gwiazdy, złodziei oraz oprawców. Niech nikt, jeśli łaska, nie wysuwa argumentu, że trzynastoletni chłopczyk w żadnym razie nie mógłby mieć wystarczającej wiedzy naukowej oraz znajomości filozofii, ani nawet zwyczajnego doświadczenia życiowego, które by dawały podstawy do takich refleksji, i że ten, w szczególności, mimo wykształcenia odebranego w synagodze tudzież jawnej sprawności umysłowej wykazywanej przede wszystkim w odbywanych wcześniej rozmowach, nie zasłużył, ani dzięki słowom, ani dzięki czynom na osobliwą uwagę, której przedmiotem go uczyniliśmy. Synów cieśli nie brakuje w tej krainie, tak samo nie brakuje

synów ukrzyżowanych, jednak, zakładając, że jakiś inny byłby tym wybranym, nie wątpmy, iż, kimkolwiek by był, dostarczyłby nam tyle samo przydatnych materiałów, ile akurat ten nam dostarcza. Po pierwsze, skoro nie jest to już tajemnica dla nikogo, dlatego że każdy człowiek jest jednym światem, zarówno jeśli chodzi o to, co transcendentne, jak i o to, co immanentne, po drugie zaś dlatego, że ta ziemia zawsze odróżniała się od innych, wystarczy wziąć pod uwagę liczbę osób wysokiego, średniego i niskiego pochodzenia, które tutaj głosiły swe kazania i prorocтва, poczynając od Izajasza, a kończąc na Malachiaszu, arystokratów, kapłanów, pasterzy, było tu wszystkiego po trochu, z tej racji wypada, abyśmy zachowali trzeźwość naszych sądów, skromne początki syna pewnego cieśli nie dają nam prawa do formułowania przedwczesnych sądów, które wydając się ostatecznymi, mogą z miejsca zwichnąć czyjąś karierę. Ów chłopiec zdążający do Jerozolimy, podczas gdy większość jego rówieśników na krok nie rusza się z domu, nie jest być może orłem przenikliwości ani objawieniem inteligencji, wszelako winni mu jesteśmy szacunek, bo nosi on, jak sam zresztą stwierdził, ranę w duszy, i skoro jego natura nie pozwala mu na oczekiwanie, że samo przyzwyczajenie się do niej wystarczy, aby się zagoiła i zamknęła życzliwa blizna, którą jest niemyślenie, ruszył w świat, kto wie czy nie po to, by pomnażać rany i czynić z nich wszystkich jedyny i definitywny ból. Chyba jednak takie przypuszczenia są niestosowne, nie tylko w odniesieniu do osoby, ale również do miejsca, bowiem ośmielamy się umieszczać nowoczesne odczucia i kompleksy w głowie palestyńskiego wieśniaka urodzonego tyle lat przed tym, jak Freud, Jung, Groddeck i Lacan przyszli na świat, jakkolwiek nasz błąd, niechże będzie wybaczona ta pewność siebie, nie jest ani gruby, ani kompromitujący, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż w pismach, z których owi Żydzi czynią swą duchową strawę, liczne są przykłady pozwalające nam domyślać się że człowiek, niezależnie od tego, w jakiej epoce żyje albo żył, pod względem umysłowym jest współczesny innemu człowiekowi w jakiegokolwiek innej epoce. Jedynymi niepodważalnymi wyjątkami byli Adam i Ewa, nie dlatego że byli pierwszym mężczyzną oraz pierwszą kobietą, ale dlatego, że nie mieli dzieciństwa. Niech więc biologia i psychologia nie przeczą, że w umysłowości człowieka z Cromagnon, dla nas niewyobrażalnej, już istniały zaczątki dróg mających doprowadzić do takiej głowy, jaką dzisiaj dźwigamy na szyi, taka dyskusja nie zmieściłaby się zresztą tutaj, bo przecież o tym człowieku z Cromagnon nie mówi się w Księdze Rodzaju będącej jedynym wykładem opoczątkach świata, na podstawie którego Jezus się uczył.

Zajęci tymi refleksjami, nie do końca niedorzecznymi na tle istoty wyjaśnianej przez nas ewangelii, zapomnieliśmy o naszym obowiązku towarzyszenia synowi Józefa w drodze do Jerozolimy, która jest już w zasięgu jego wzroku, a on sam, bez pieniędzy, lecz cały i

zdrowy, z nogami utrudzonymi długim marszem, wciąż ma niewzruszone serce, tak samo jak wtedy, gdy przed trzema dniami opuścił dom. Nie pierwszy raz tu przybywa i dlatego nie popada w uniesienie większe niż to, jakiego należy się spodziewać po wiernym, dla którego własny Bóg stał się kimś znanym albo niebawem stanie. Z tej góry zwanej Getsemani, co oznacza Oliwna, roztacza się wspaniały widok na założenie architektoniczne Jerozolimy, na świątynie, wieże, pałace, domy mieszkalne, a miasto zdaje się leżeć tak blisko, iż można go dotknąć palcami, pod warunkiem, że mistyczna gorączka osiągnie stadium, w którym licze cielesne siły cierpiącego na nią wiernego przemierzają się z niewyczerpaną potęgą powszechnego ducha. Niebawem nastanie wieczór, słońce chyli się ku odległemu morzu. Jezus zaczął schodzić w dolinę, zapytując siebie, gdzie też będzie spał tej nocy, czy w mieście, czy poza nim, bo gdy wcześniej bywał tutaj z ojcem i z matką w okresie Paschy, rodzina mieszkała po drugiej stronie murów, w namiotach ustawionych tam na dobroduszne polecenie władz cywilnych i wojskowych w celu przyjęcia pielgrzymów, wszystkich osobno, niepotrzebnie się o tym w ogóle mówi, mężczyzn z mężczyznami, kobiet z kobietami, podział według płci dotyczył zresztą również nieletnich. Gdy Jezus dotarł do murów obronnych, bramy były już zamykane, strażnicy pozwolili mu jeszcze wejść do środka, zaraz też zadudniły za nim grube drewniane rygle, chyba Jezus miał na sumieniu jakąś dokuczliwą winę, jedną z tych co ze sobą niosą pośrednie aluzje do popełnionych błędów, i chyba w momencie zamykania bram przyszła mu na myśl jakaś pułapka, jakieś żelazne zęby chwytające gołęń zdobyczy i jakiś kokon ze śliny obezwładniający muchę. Jednakowoż w wieku trzynastu lat nie można mieć licznych i strasznych grzechów, jeszcze nie czas na zabijanie i na kradzież, na mówienie fałszywego świadectwa, na pożądanie żony bliźniego, jego domu, jego pola, jego niewolnika, jego niewolnicy, jego wołu, jego osła ani żadnej rzeczy, która jego jest, skoro tak jest, chłopiec ten jest czysty i nie splamiony własnym błędem, choć utracił już niewinność, bo po zobaczeniu śmierci nie można być takim jak dawniej. Ulice pustoszeją, jest to pora wieczery w rodzinach, na zewnątrz pozostają tylko żebracy i włóczędzy, ale nawet ci, tworząc gildie i cechy, zbierają się w swoich norach, niezadługo rzymscy żołnierze zaczną patrolować miasto w poszukiwaniu wichrzycieli porządku, którzy nawet w stolicy królestwa Heroda Antypasa popełniają swe niegodziwości i złe czyny, mimo tortur oczekujących ich w razie złapania, jak to się zdarzyło w Seforis. W głębi ulicy pojawia się jeden z takich nocnych rontów, przyświecając sobie pochodniami, defilując pośród szczęku mieczów i tarcz, rytmicznie stawiając stopy obute w wojskowe sandały. Ukryty za załomem muru chłopiec zaczekał aż wojsko zniknie, po czym zaczął rozglądać się za jakimś miejscem do spania. Znalazł je, zgodnie z przewidywaniami na

wiecznej budowie Świątyni, była to przestrzeń pomiędzy dwoma wielkimi kamieniami, na których leżała płyta mogąca służyć czasem za dach. Tam zjadł ostatni kawałek

I

4 - twardego i spleśniałego chleba, jaki mu pozostał, zagryzając kilkoma suchymi figami wydobytymi z dna worka. Odczuwał pragnienie, ale postanowił, że obejdzie się bez picia. Rozłożył w końcu matę, nakrył się małą derką należącą do jego podróznego bagażu i cały skulony, aby jak najlepiej zabezpieczyć się przed chłodem wdzierającym się z każdej strony kiepskiego schronu, mógł już zasnąć. Samo przebywanie w Jerozolimie nie uwolniło go od snów, chociaż najprawdopodobniej z powodu tak bliskiej obecności Boga były one zaledwie powtórzeniem znanych już scen, pomieszanych z przemarszem napotkanego patrolu, niemniej stanowiło to nie lada ulgę. Jezus obudził się, gdy tylko wzeszło słońce. Wygramolił się z dziury zimnej jak grób i, wciąż owinięty w derkę, ogarnął wzrokiem jerozolimskie zabudowania, niziutkie kamienne domy dotykane różowym światłem. Wówczas, bardzo uroczyście, bo przecież jest jeszcze dzieckiem, wypowiedział słowa dziękczynienia, Dzięki ci składam, o Panie, Boże nasz, królu wszechświata, który mocą Twego miłosierdzia przywróciłeś mi moją żywą i nie zmienioną duszę. Pewne chwile w życiu powinny zostać utrwalone, osłonięte przed działaniem czasu, a nie tylko zarejestrowane na przykład w tej ewangelii, albo na obrazie, albo nowocześniej, na fotografii, taśmie filmowej czy video, najlepiej by było, gdyby ktoś, kto je przeżył lub sam nadał im życie, mógł na zawsze pozostać na oczach potomności, byłoby więc tak i dzisiaj, gdybyśmy pojechali do Jerozolimy osobiście zobaczyć małego chłopca, Jezusa syna Józefa, zawiniętego w krótką, ubogą derkę, spoglądającego na jerozolimskie domy i składającego Panu dziękczynienie za to, że jeszcze nie tym razem utracił duszę. Skoro jego życie wciąż się na dobre nie rozpoczęło, cóż to bowiem jest trzynaście lat, należy przewidywać, że przyszłość trzyma dla niego godziny weselsze albo smutniejsze od tej, szczęśliwsze albo tragiczniejsze, spokojniejsze albo burzliwsze, jednakże my wybralibyśmy dla nas te chwile z uśpionym miastem, nieruchomym słońcem, nietykalnym światłem, chłopcem patrzącym na domy, zawiniętym w derkę i z workiem u stóp, z całym światem, bliskim i dalekim, zawieszonym w oczekiwaniu. Nie jest to możliwe, on sam się poruszył, chwila przyszła i odeszła, czas prowadzi nas tam, gdzie się tworzy jakieś wspomnienie, było tak, nie było tak, wszystko jest tym, czym mówimy, że było. Jezus idzie teraz wąskimi ulicami, które się wypełniają ludźmi, na razie jest za wcześnie, aby iść do Świątyni, mędrcy, tak jak we wszystkich epokach i miejscach, zaczynają się pojawiać później. Nie czuje już zimna, ale żołądek daje znaki, dwie figi, które miał, przyczyniły się jedynie do wydzielania śliny, syn Józefa jest głodny. Właśnie teraz przydałyby się pieniądze

zrabowane mu przez dwóch złoczyńców, albowiem życie w mieście nie jest niefrasobliwym wałęsaniem się po polach i wypatrywaniem, że a nuż zostawili coś na nich rolnicy przestrzegający Pańskiego prawa, verbi gratia. Kiedy przystąpisz do żniw na twoim polu i zapomnisz o jakimś snopku, nie wracaj po niego, kiedy będziesz strącać twoje oliwki, nie wracaj po resztę, która została na gałęziach, kiedy zakończysz zbiory w twojej winnicy, nie zbieraj tego, co zostało, zostawisz to wszystko dla przybysza, sieroty i wdowy, pamiętaj, że byłeś niewolnikiem w ziemi egipskiej. Wszelako tutaj, do Jerozolimy, do największego miasta, mimo że Bóg nakazał w nim wznieść swe ziemskie mieszkanie, nie docierają te humanitarne przepisy, przez co ktoś, kto nie ma w kieszeni pieniędzy, musi uciekać się do żebrania, zawsze ryzykując odepchnięcie spowodowane własną natarczywością, albo do kradzieży, za którą na pewno zostanie ukarany chłostą i więzieniem, jeśli nie czymś gorszym. Kraść ten chłopiec nie może, żebrać ten chłopiec nie chce, wodzi tylko wilgotnymi oczami po stosach chlebów, piramidach owoców, gotowanych potrawach wystawionych na ciągnących się wzdłuż ulic straganach, i prawie omdlewa, czuje się tak, jakby wszystkie niedostatki w odżywianiu połączyły się w tej bolesnej godzinie, prawdą jest, iż zmierza on do Świątyni, jednakże ciało, choć inaczej się na to zapatrują zwolennicy mistycznych postów, lepiej przyswoi sobie słowo Boże, jeżeli pożywienie wzmocni w nim zdolność pojmowania. Na szczęście jakiś przechodzący faryzeusz zwrócił uwagę na osłabionego chłopca i ulitował się nad nim, niesprawiedliwa przyszłość postara się o zszarganie reputacji tych ludzi, choć w gruncie rzeczy byli oni dobrzy, jak dowodzi tenże przykład, Kim jesteś, zapytał, a Jezus odpowiedział, Jestem z Nazaretu w Galilei, Jesteś głodny, chłopiec spuścił oczy, nie musiał nic mówić, czytało się to z twarzy, Nie masz rodziny, Mam, ale przyszedłem sam, Uciekłeś z domu, Nie, i naprawdę nie uciekłem, pamiętajmy, że matka wraz z rodzeństwem pożegnali się z nim bardzo czule przed drzwiami domu, to, że nie obrócił się do tyłu ani razu, nie było oznaką ucieczki, nasze słowa są takie, mówienie o wszystkim, Tak albo Nie, jest najprostsze i na początku najbardziej przekonujące, ale czysta prawda kazałaby nam rozpocząć od udzielenia odpowiedzi nieco wątpliwej, No cóż, uciekanie, jakie uciekanie, biorąc pod uwagę to, co się nazywa uciekaniem, ja nie uciekłem, i od tego momentu musielibyśmy na nowo usłyszeć całą historię, co jednak, uspokójmy się, nie zajdzie, po pierwsze dlatego że faryzeusz, nie musząc pojawiać się ponownie, nie potrzebuje jej znać, po drugie dlatego, że my znamy ją lepiej niż ktokolwiek inny, wystarczy wspomnieć o tym, jak niewiele o sobie wiedzą najważniejsze postaci tej ewangelii, zauważmy, że Jezus nie wie wszystkiego o matce i o ojcu, Maria nie wie wszystkiego o mężu i o synu, a Józef, który nie żyje, nie wie niczego o niczym. My zaś, wręcz przeciwnie, wiemy o wszystkim, co do dnia dzisiejszego zostało

zrobione, powiedziane i pomyślane, zarówno przez nich, jak i przez innych, mimo że musieliśmy postępować tak, jak byśmy nic nie wiedzieli, do pewnego stopnia jesteśmy faryzeuszem, który zapytał, Jesteś głodny, podczas gdy sama blada i wychudła twarz Jezusa oznaczała, Nie pytaj mnie, daj mi jeść. Wreszcie tak uczynił litościwy człowiek, kupił dwa dopiero co wyjęte z pieca chleby oraz miskę mleka i bez słowa wręczył Jezusowi, zdarzyło się, że wtedy gdy jeden przekazywał to wszystko drugiemu, odrobina płynu wylała im się na rękę, a oni, w identycznym i jednoczesnym geście, pochodzącym z pewnością z czasów pierwotnych, unieśli zmoczone dłonie do ust, aby zlizać mleko, był to gest podobny do ucałowania chleba, gdy upadnie na ziemię, szkoda, że ci dwaj nigdy więcej już się nie spotkają, skoro, jak się zdaje, zawarli tak piękny i symboliczny pakt. Poszedł faryzeusz w swoją stronę, ale najpierw wyciągnął z kieszeni dwie monety, mówiąc, Weź te pieniądze i wracaj do domu, świat jest dla ciebie jeszcze za duży. Syn cieśli trzymał w dłoniach miskę i chleb, nagle przestał być głodny, albo też był głodny, ale tego nie czuł, patrzył na oddalającego się faryzeusza i dopiero wtedy mu podziękował, jednak głosem tak cichym, że tamten nie mógł go usłyszeć, gdyby był człowiekiem spodziewającym się podziękowań, niechybnie pomyślałby, że wyświadczył dobro chłopcu niewdzięcznemu i źle wychowanemu. Jezus, któremu zaraz powrócił apetyt, na samym środku ulicy zjadł swój chleb i wypił swoje mleko, po czym poszedł oddać sprzedawcy pustą miskę, Jest zapłacona, możesz ją zatrzymać, Czy taki jest zwyczaj w Jerozolimie, że kupuje się mleko razem z miskami, Nie, ale ten faryzeusz tak chciał, nigdy nie wiadomo, co takiemu faryzeuszowi przyjdzie do głowy, A więc mogę ją zabrać, Już ci powiedziałem, jest zapłacona. Jezus owinął miskę w derkę i włożył ją do worka, myśląc jednocześnie, że od tej pory będzie musiał ostrożnie się z nią obchodzić, te gliniaki są kruche i łatwo się tłuką, przecież to tylko odrobina ziemi, której los dał lichą spoistość, tak jak człowiekowi. Nakarmiwszy ciało i rozbudziwszy ducha, Jezus skierował swe kroki do Świątyni.

Na placu przylegającym do stromych schodów było już dużo ludzi. Po obydwu stronach, wzdłuż murów, znajdowały się stragany z mydłem i powidłom, na innych sprzedawano zwierzęta ofiarne, tu i ówdzie widać było stoły, przy których zmieniano pieniądze, grupki rozmawiających, gestykulujących kupców, rzymskich strażników pieszych i konnych, lektyki na barkach niewolników, a także dromadery, osły objuczone ładunkiem, wszędzie panowała nieopisana wrzawa, słychać było słabe pobekiwanie baranków i koziołków, niektóre z nich przenoszono na rękach albo na plecach, tak jak zmęczone dzieci, a inne wleczono na postronku przywiązany do szyi, wszystkie jednak miały zostać zabite nożem i strawione przez ogień. Jezus przeszedł przez łaźnię, aby się oczyścić, następnie

wspiął się po schodach i bez zatrzymywania przeciął Dziedziniec Pogan. Wszedł na Dziedziniec Kobiet przez bramę pomiędzy Salą Olejów i Salą Nazarejczyków, i wreszcie znalazł to, czego szukał, starszych i uczonych w Piśmie, którzy zgodnie z prastarym zwyczajem snuli tam rozważania nad Prawem, odpowiadali na pytania i dawali rady. Było kilka grup, chłopiec podszedł do najmniej licznej dokładnie w tym momencie, gdy jeden z mężczyzn podniósł rękę, aby zadać pytanie. Uczony w Piśmie dał mu przyzwalający znak i mężczyzna powiedział, Wyjaśnij mi, proszę cię, słowo po słowie, znaczenie po znaczeniu, tak jak jest napisane, Prawa, które Pan dał Mojżeszowi na Górze Synaj, kiedy obiecał, że pokój będzie panował na naszej ziemi i że nikt nie zakłóci naszego snu, kiedy oznajmił, że wypędzi spośród nas szkodliwe zwierzęta i że miecz nie zagości na naszej ziemi, i że kiedy my będziemy ścigać naszych nieprzyjaciół, oni wpadną pod nasz miecz, pięciu waszych iścigać będzie stu, a stu waszych ścigać będzie dziesięć tysięcy, powiedział Pan, a wasi nieprzyjaciele wpadną pod wasze miecze. Uczony w Piśmie spojrzał na zadającego pytanie z wyrazem nieufności, mógł się tu przecież wcisnąć jakiś powstaniec wysłany przez Judasza Galilejczyka po to, by podburzać umysły za pomocą złośliwych insynuacji

Obierności Świątyni wobec władzy Rzymu i odparł, krótko i szorstko, Słowa te wypowiedział Pan, kiedy nasi rodzice przebywali na pustyni

Iścigali ich Egipcjanie. Mężczyzna ponownie podniósł rękę, co oznaczało kolejne pytanie, Mam zatem rozumieć, że słowa Pana wypowiedziane na Górze Synaj miały wartość tylko w tamtych czasach, kiedy nasi rodzice poszukiwali ziemi obiecanej, Jeśli tak to zrozumiałeś, nie jesteś dobrym synem Izraela, słowo Pańskie miało wartość, ma wartość i będzie miało wartość we wszystkich czasach przeszłych i przyszłych, słowo Pańskie było w umyśle Pana, zanim je wypowiedział, i pozostaje w nim po tym, jak Pan milknie, To ty powiedziałeś, że mi zabraniasz myśleć, O czym więc myślisz, Że Pan zgadza się, aby nasze miecze nie wznosiły się przeciwko sile, która nas uciska, że stu naszych nie śmie stawić czoła pięciu tamtym, że dziesięć tysięcy Żydów musiałoby się skulić wobec stu Rzymian, Jesteś w Świątyni Pana, a nie na polu bitwy, Pan jest bogiem wojsk, Lecz pamiętaj, Pan narzucił swoje warunki, Jakie, Jeśli będziecie przestrzegać mojego Prawa, jeśli będziecie szanować moje przepisy, powiedział Pan, Jakich praw nie przestrzegamy i jakich przepisów nie szanujemy, abyśmy mogli przyjąć jako sprawiedliwe i konieczne, jako karę za grzechy panowanie Rzymu, Pan to będzie wiedział, Tak, Pan to będzie wiedział, ileż to razy człowiek grzeszy nie wiedząc o tym, ale wytłumacz mi, dlaczego Pan wysługuje się władzą Rzymu, aby nas ukarać za grzechy, zamiast uczynić to bezpośrednio, twarzą w twarz z tymi, których wybrał jako swój naród, Pan zna swoje cele, Pan wybiera swoje środki, Chcesz zatem powiedzieć, że to z

woli Pana Rzymianie rządzą w Izraelu, Tak, Jeśli jest tak, jak mówisz, musimy wyciągnąć wniosek, że powstańcy walczący przeciwko Rzymianom, walczą także przeciwko Panu i przeciwko Jego woli, Wyciągasz zły wniosek, A ty sam sobie przeczysz, mędrze, Chcenie Pana może być niechceniem, a Jego niechcenie, Jego wołą, Tylko chcenie człowieka jest prawdziwym chceniem i dla Boga nic nie znaczy, Tak jest, Zatem człowiek jest wolny, Tak, aby mógł być ukarany. Szmer przebiegł wśród obecnych, niektórzy spojrzeli na zadającego pytania, bez wątpienia dotyczące sedna rzeczy, lecz niewygodne politycznie, spojrzeli na niego tak, jakby to właśnie on musiał wziąć na siebie wszystkie grzechy Izraela i za nie zapłacić, w każdym bądź razie ci podejrzliwsi odczuli ulgę z powodu tryumfu uczonego w Piśmie, który z protekcyjnym uśmiechem przyjmował powinszowania i pochwały. Pewny siebie mistrz rozejrzał się dookoła, oczekując na kolejne interpelacje, tak jak gladiator, który rozprawiwszy się ze słabym przeciwnikiem, dopomina się o znaczniejszego, mogącego przysporzyć mu większej chwały. Kolejny mężczyzna uniósł rękę, padło kolejne pytanie, Pan przemawiał do Mojżesza i tak mu rzekł, Cudzoziemiec, który u was mieszka, będzie traktowany jak jeden z waszych rodaków i miłować go będziesz jak siebie samego, bo wy sami byliście cudzoziemcami na ziemi egipskiej, tak powiedział Pan do Mojżesza. Nie skończył jednak, ponieważ uczonego w Piśmie rozgrzany pierwszym zwycięstwem, ironicznie mu przerwał, Mniemam, iż nie jest twoim zamiarem pytanie o to, dlaczego nie traktujemy Rzymian jako naszych rodaków, skoro są cudzoziemcami, Chciałbym cię zapytać, czy Rzymianie traktowaliby nas jako swych rodaków, gdybyśmy, my i oni, nie mieli różnych praw i różnych bogów, Także i ty wywołasz gniew Pański tymi diabelskimi interpretacjami Jego słowa, przerwał uczonego w Piśmie, Nie, chcę tylko, byś mi powiedział, czy naprawdę uważasz, że wypełniamy słowo święte, kiedy cudzoziemcy są nimi nie wobec ziemi, na której żyjemy, ale wobec religii, którą wyznajemy, Do kogo się odnosisz, konkretnie, Do nielicznych dziś, do liczniejszych w przeszłości i, być może, do jeszcze liczniejszych w przyszłości, Wyrażaj się jasno, jeśli łaska, bo nie mogę tracić czasu na zagadki oraz przypowieści, Kiedy przyszliśmy z Egiptu, na ziemi, którą nazywamy Izraelem, żyły narody, z którymi musieliśmy walczyć, wówczas cudzoziemcami byliśmy my i Pan dał nam rozkaz, abyśmy zabijali i unicestwiali ludzi sprzeciwiających się Jego woli, Ziemia ta została nam obiecana, ale trzeba ją było zdobyć, nie kupiliśmy jej ani też nikt nam jej nie podarował, A dziś żyjemy pod obcym panowaniem i ziemia, którą uczyniliśmy naszą, przestała nią być, Idea Izraela wiecznie zamieszkuje w umyśle Pana, i dlatego, gdziekolwiek by nie przebywał Jego naród, wszystko jedno, zjednoczony lub rozproszony, tam zawsze będzie ziemski Izrael, Z tego można wnosić, jak sadzę, że wszędzie tam, gdzie będziemy my, Żydzi, wszyscy inni

będą cudzoziemcami, W oczach Pana, bez wątpienia, Ale cudzoziemiec, który by mieszkał u nas, będzie, według słowa Pańskiego, naszym rodakiem, i będziemy musieli miłować go tak, jak siebie samych, ponieważ byliśmy cudzoziemcami w Egipcie, Tak powiedział Pan, Wnioskuje więc, że cudzoziemcem, którego powinniśmy miłować, jest ten, który mieszkając u nas, nie byłby na tyle silny, aby nas uciskać, jak to dziś ma miejsce w wypadku Rzymian, Słuszny wniosek, A teraz powiedz mi, opierając się na twojej wiedzy, czy Pan pozwoli, abyśmy uciskali cudzoziemców, których ten sam Pan kazał miłować, gdybyśmy pewnego dnia stali się potężni, Izrael może chcieć tylko tego, czego Pan chce, a Pan będzie chciał wszystkiego co dobre dla Izraela, ponieważ wybrał ten naród, Nawet gdyby się nie kochało tego, kogo trzeba, Tak, jeśli taka będzie jego wola, Izraela, czy Pana, Obydwo, ponieważ są jednym, Nie pogwałcisz prawa cudzoziemca, słowo Pańskie, Kiedy cudzoziemiec będzie je miał, a my to uznamy, powiedział uczoney w Piśmie. Znów dał się słyszeć szmer aprobaty, od którego uczonego w Piśmie zabłyśły oczy jak zwycięskiemu zapaśnikowi, dyskobolowi, gladiatorowi, woźnicy rydwanu. Ręka Jezusa uniosła się. Nikt z obecnych nie zdziwił się, że chłopiec w tym wieku przyszedł dowiedzieć się o coś od uczonego w Piśmie albo od mędrca ze Świątyni, wątpiących młodzieńców nigdy nie brakowało od czasów Kaina i Abla, zwykle zadawali pytanie, które dorośli przyjmowali z pobłażliwym uśmiechem i poklepywaniem po plecach, Rośnij, rośnij, a zobaczysz, że te rzeczy nie są takie ważne, bardziej wyrozumieli powiedzą, Gdy byłem w twoim wieku, myślałem tak samo. Niektórzy z obecnych odeszli, inni również się do tego przygotowywali i widać było, że uczoney w Piśmie nie może ukryć zasmucenia faktem, iż wymyka mu się uważna do tej pory publiczność, wszelako zadane przez Jezusa pytanie zawróciło tych, którzy zdołali je usłyszeć, Chcę zapytać owinę, Mówisz o twojej winie, Mówię o winie w ogóle, ale także owinie, którą bym ponosił, nie popełniając bezpośrednio grzechu, Wyjaśnij to lepiej, Pan powiedział, że rodzice nie umrą za dzieci ani dzieci za rodziców, i że każdy będzie skazany na śmierć za swe własne przewinienia, Tak jest, ale musisz wiedzieć, że chodziło o przepis z dawnych czasów, kiedy wina jednego członka rodziny była odkupywana przez całą rodzinę, włącznie z niewinnymi, Skoro jednak słowo Pańskie jest wieczne i nie widać końca win, pamiętaj o tym, co sam niedawno powiedziałaś, że człowiek jest wolny, aby mógł być ukarany, myślę, że wolno uważać, iż przewinienie ojca, nawet jeśli został on za nie ukarany, nie ginie wraz z karą, lecz stanowi część spadku dziedziczonego przez syna, tak samo jak dzisiejsi ludzie odziedziczyli winę Adama i Ewy, naszych pierwszych rodziców, Zdumiewa mnie to, iż chłopiec w twoim wieku i twojego pochodzenia wydaje się wiedzieć tak wiele o Pismach i jest w stanie rozprawiać o nich tak płynnie, Wiem zaledwie to, czego się nauczyłem, Skąd przybywasz, Z Nazaretu w

Galilei, Tak mi się zdawało z uwagi na twój sposób mówienia, Odpowiedz na to, o co cię zapytałem, proszę, Możemy przyjąć, że podstawowa wina Adama i Ewy, kiedy wykazali nieposłuszeństwo wobec Pana, nie tyle polegała na spróbowaniu owocu z drzewa poznania dobra i zła, ile na konsekwencjach mających z tego grzechu wyniknąć, czyli na pokrzyżowaniu planów, z którymi Pan nosił się stwarzając mężczyznę i kobietę, Chcesz więc powiedzieć, że każdy czyn człowieka” nieposłuszeństwo w raju albo cokolwiek innego, zawsze zderza się z wolą Boga, i że moglibyśmy porównać wolę Bożą do wyspy na morzu, otoczonej i atakowanej przez wzburzone wody ludzkich chęci, to pytanie zostało rzucone przez drugiego z zainteresowanych, do takiej zuchwałości nie posunąłby się syn cieśli, Nie jest dokładnie tak, odparł uczony w Piśmie ostrożnie, wola Pana nie zadowala się panowaniem nad wszystkimi rzeczami, to przez nią wszystko jest tym, czym jest, Ale ty sam powiedziałeś, że z powodu nieposłuszeństwa Adama nie znamy zamiarów, jakie Pan wobec niego miał, Tak jest, zgodnie z rozsądkiem, lecz wola Pana, stwórcy i zarządcy świata, mieści w sobie każdą inną możliwą wolę, Jego własną, ale także wszystkich ludzi narodzonych i mających się narodzić, Gdyby było tak, jak mówisz, wmieszał się Jezus w przyływie natchnienia, każdy człowiek byłby częścią Boga, Prawdopodobnie, tyle że część reprezentowana przez wszystkich ludzi razem, byłaby ziarenkiem piasku na nieskończonej pustyni, którą jest Bóg. Zarozumiały człowiek, którym do tej pory był uczony w Piśmie, zniknął. Siedzi na ziemi, tak jak przedtem, a z naprzeciwka spoglądają na niego słuchacze, w ich spojrzeniach jest tyle samo szacunku ile strachu, tak, jakby był on czarownikiem, który mimowolnie wywołał i wyciągnął na światło dzienne siły, czyniące go w jednej chwili swoim poddanym. Skulone ramiona, stężale rysy twarzy, dłonie opuszczone na kolana, całe jego ciało zdawało się prosić, by go zostawiono sam na sam ze swymi lękami. Zgromadzeni tam ludzie zaczęli się podnosić, kilku skierowało się w stronę Dziedzińca Izraela, inni przyłączali się do grup, w których trwały debaty. Jezus rzekł, Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Uczony w Piśmie powoli wyprostował głowę, spojrzał na niego jak ktoś dopiero co obudzony i po długim, prawie nieznośnym milczeniu, odezwał się, Wina jest wilkiem zjadającym syna po pożarciu ojca, Ten wilk, o którym mówisz, już pożarł mojego ojca, Zatem brakuje tylko, by pożarł ciebie, A ty, w twoim życiu, byłeś zjedzony, czy pożarty, Nie tylko zjedzony i pożarty, lecz również zwymiotowany.

Jezus wstał i wyszedł. W drodze do drzwi zatrzymał się i spojrzał do tyłu. Kolumna ofiarnego dymu wznosiła się prosto do nieba, rozwiewając się i znikając na wysokościach, jak gdyby ją wciągały potężne miechy Bożych płuc. Dzień na dobre się już zaczął, tłum rósł coraz bardziej, natomiast wewnątrz Świątyni siedział człowiek zniszczony i rozdarty przez

puszkę, czekając aż znowu poczuje swe normalne kości, swą zwykłą skórę, po to, by za jakiś czas lub jutro móc spokojnie odpowiedzieć komuś, kto na przykład chciałby się przekonać, w jaką sól zmieniła się żona Lota, w sól kamienną, czy może w sól morską, albo jakim winem upił się Noe, czerwonym, czy może białym. Już poza Świątynią Jezus spytał o drogę do Betlejem, do swego drugiego miejsca przeznaczenia, dwukrotnie zgubił się wśród gąszczy ulic i ludzi, aż wreszcie odnalazł bramę, przez którą wyszedł trzynaście lat temu, niesiony w brzuchu matki na krótko przed pojawieniem się na świecie. Niech tylko nikt nie sądzi, że to Jezus tak pomyślał, zbyt dobrze wiadomo, iż oczywiste dowody podcinają skrzydła niespokojnemu ptakowi wyobraźni, podamy jeden przykład i wystarczy, niech czytelnik tej ewangelii popatrzy na portret swej matki, na którym jest ona z nim w ciąży, i niech nam powie, czy potrafi wyobrazić sobie siebie w środku. Jezus schodzi w kierunku Betlejem, mógłby się teraz zastanowić nad odpowiedziami udzielonymi przez uczonego w Piśmie, nie tylko na jego pytania, na inne również, ale dręczy go dokuczliwe wrażenie, że wszystkie pytania sprowadzały się do jednego i że odpowiedź udzielona na każde z nich, nadawała się do wszystkich, zwłaszcza ta ostatnia, streszczająca wszystko, wieczny głód wilka winy, który wiecznie je, pożera i wymiotuje. Wielokrotnie, dzięki słabowitości naszej pamięci, nie znamy, lub też zachowujemy się tak, jakbyśmy nie chcieli znać, powodu, przyczyny, korzeni winy, albo, wyrażając się obrazowo na sposób uczonego w Piśmie, jamy, z której wilk wyszedł, aby nas upolować. Jezus ją zna i do niej zmierza. Nie ma pojęcia, co tu będzie robił, chociaż samo przyjście jest już jak obwieszczanie na prawo i lewo, Oto jestem, i oczekiwanie, że ktoś mu wyjdzie naprzeciw, czego chcesz, kary, przebaczenia, zapomnienia. Tak samo jak ojciec i matka czynili w swoim czasie, on również zatrzymał się przed grobem Racheli, aby się pomodlić. Następnie, czując, że serce bije mu coraz mocniej, ruszył dalej. Już widział pierwsze betlejemskie domy, tędy właśnie co noc wjeżdżał do wioski we śnie ojciec zabójca wraz z towarzyszącymi mu żołnierzami, doprawdy nie wygląda to na miejsce aż takich okropieństw, nie tylko słońce tego dowodzi, ale i to niebo, po którym płyną chmury, białe i spokojne jak życzliwe sygnały Boga, sama ziemia zdaje się drzemać w słońcu, może lepiej byłoby powiedzieć, Zostawmy wszystko tak, jak jest, nie wygrzebujmy kości z przeszłości, i zanim jakaś kobieta z dzieckiem na ręku pojawi się w jednej z tych furtek z pytaniem, Kogo szukasz, wrócić, zatrzeć ślady kroków, które nas tu przywiodły, i poprosić, aby będące w wiecznym ruchu sito czasu szybko pokryło niezgłębionym pyłem nawet najbardziej nikłe wspomnienie o tych zdarzeniach. Za późno. Jest taki moment, gdy niemal ocierając się o sieć, mucha zdołałaby jeszcze wymknąć się z pułapki, ale, jeśli już jej dotknęła, jeśli lepka ślina przygłęła do skrzydła odtąd bezużytecznego, jakiegokolwiek poruszenie się owada sprawi, że

tym bardziej się zapłaczę i unieruchomi, nieodwołalnie skazany, nawet gdyby pająk wzgardził tak marnym łupem. W wypadku Jezusa ta chwila już minęła. Na środku placu, w którego kącie rośnie rozłożysty figowiec, widać małą sześcienną konstrukcję, nie trzeba na nią patrzeć drugi raz, bo od razu wiadomo, że to grób. Jezus zbliżył się do niego, powoli obszedł dookoła, zatrzymał się, żeby przeczytać na wpół zatarte napisy na jednym z boków i zrozumiał, że odnalazł to, czego szukał. Jakaś kobieta przechodząca przez plac i prowadząca dziecko w wieku około pięciu lat, zatrzymała się, spojrzała z zainteresowaniem na obcego i zapytała, Skąd jesteś, a uznając za konieczne usprawiedliwienie pytania, dodała, Nie jesteś stąd, Jestem z Nazaretu w Galilei, Masz rodzinę w tych stronach, Nie, przyszedłem do Jerozolimy, lecz skoro Betlejem leży niedaleko, postanowiłem zobaczyć jakie jest, Nie zabawisz tu długo, Nie, wracam do Jerozolimy pod wieczór, gdy tylko się ochłodzi. Kobieta wzięła dziecko na ręce i powiedziała, Niech Pan będzie z tobą, po czym zrobiła ruch oznaczający, iż zamierza odejść, ale Jezus zatrzymał ją, pytając, Czyj jest ten grób. Kobieta przycisnęła dziecko do piersi, jak gdyby chciała je osłonić przed jakimś zagrożeniem, i odpowiedziała, Pochowano tu dwadzieścioro pięciorko dzieci zabitych wiele lat temu, Ile, Dwadzieścioro pięciorko, już ci mówiłam, Chodzi mi o lata, Ze czternaście, To dużo, Pewnie, że tak, chyba tyle, ile ty masz, Rzeczywiście, ale ja mówiłem o dzieciach, Aha, jednym z nich był mój brat, Twój brat jest tam w środku, Tak, A to dziecko, które masz na ręku, to twój syn, To mój pierworodny, Dlaczego dzieci zostały zabite, Nie wiadomo, ja miałam wtedy siedem lat, Ale z pewnością słyszałaś, jak o tym opowiadano twoim rodzicom albo innym dorosłym osobom, Nie trzeba było, sama widziałam kilkoro martwych dzieci, Twojego brata również, Również mojego brata, Kto je zabił, Przyszli jacyś królewscy żołnierze, szukali chłopców poniżej trzeciego roku życia i zabili ich wszystkich, I mówisz, że nie wiadomo dlaczego, Do dziś nikt nie wie, A po śmierci Heroda nie próbowano tego sprawdzić, nikt nie grzebujemy kości z przeszłości, i zanim jakaś kobieta z dzieckiem na ręku pojawi się w jednej z tych furtek z pytaniem, Kogo szukasz, wrócić, zatrzeć ślady kroków, które nas tu przywiodły, i poprosić, aby będące w wiecznym ruchu sito czasu szybko pokryło niezgłębionym pyłem nawet najbardziej nikłe wspomnienie o tych zdarzeniach. Za późno. Jest taki moment, gdy niemal ocierając się o sieć, mucha zdołałaby jeszcze wymknąć się z pułapki, ale, jeśli już jej dotknęła, jeśli lepka ślina przyłgnęła do skrzydła odtąd bezużytecznego, jakiegokolwiek poruszenie się owada sprawi, że tym bardziej się zapłaczę i unieruchomi, nieodwołalnie skazany, nawet gdyby pająk wzgardził tak marnym łupem. W wypadku Jezusa ta chwila już minęła. Na środku placu, w którego kącie rośnie rozłożysty figowiec, widać małą sześcienną konstrukcję, nie trzeba na nią patrzeć drugi raz; bo od razu wiadomo, że to grób. Jezus zbliżył się do niego, powoli obszedł

dookoła, zatrzymał się, żeby przeczytać na wpół zatarte napisy na jednym z boków i zrozumiał, że odnalazł to, czego szukał. Jakaś kobieta przechodząca przez plac i prowadząca dziecko w wieku około pięciu lat, zatrzymała się, spojrzała z zainteresowaniem na obcego i zapytała, Skąd jesteś, a uznając za konieczne usprawiedliwienie pytania, dodała, Nie jesteś stąd, Jestem z Nazaretu w Galilei, Masz rodzinę w tych stronach, Nie, przyszedłem do Jerozolimy, lecz skoro Betlejem leży niedaleko, postanowiłem zobaczyć jakie jest, Nie zabawisz tu długo, Nie, wracam do Jerozolimy pod wieczór, gdy tylko się ochłodzi. Kobieta wzięła dziecko na ręce i powiedziała, Niech Pan będzie z tobą, po czym zrobiła ruch oznaczający, iż zamierza odejść, ale Jezus zatrzymał ją, pytając, Czyj jest ten grób. Kobieta przycisnęła dziecko do piersi, jak gdyby chciała je osłonić przed jakimś zagrożeniem, i odpowiedziała, Pochowano tu dwadzieścioro pięcioro dzieci zabitych wiele lat temu, Ile, Dwadzieścioro pięcioro, już ci mówiłam, Chodzi mi o lata, Ze czternaście, To dużo, Pewnie, że tak, chyba tyle, ile ty masz, Rzeczywiście, ale ja mówiłem o dzieciach, Aha, jednym z nich był mój brat, Twój brat jest tam w środku, Tak, A to dziecko, które masz na ręku, to twój syn, To mój pierworodny, Dlaczego dzieci zostały zabite, Nie wiadomo, ja miałam wtedy siedem lat, Ale z pewnością słyszałaś, jak o tym opowiadano twoim rodzicom albo innym dorosłym osobom, Nie trzeba było, sama widziałam kilkoro martwych dzieci, Twojego brata również, Również mojego brata, Kto je zabił, Przyszli jacyś królewscy żołnierze, szukali chłopców poniżej trzeciego roku życia i zabili ich wszystkich, I mówisz, że nie wiadomo dlaczego, Do dziś nikt nie wie, A po śmierci Heroda nie próbowano tego sprawdzić, nikt nie poszedł do Świątyni, żeby się dowiedzieć, Tego nie wiem, Gdyby żołnierzami byli Rzymianie, można by to było zrozumieć, ale nasz król każący zabijać swoich poddanych, trzyletnie dzieci, musiał mieć ku temu jakiś powód, Nie na nasz rozum jest królewska wola, zostań z Panem i niech cię strzeże, Już nie mam trzech lat, W godzinie śmierci ludzie zawsze mają trzy lata, rzekła kobieta i oddaliła się. Gdy Jezus został sam, uklęknął na ziemi obok kamienia zamykającego wejście do grobu, wyjął z worka resztę chleba, już zczerstwiałego, rozkruszył kawałek w dłoniach i rozsypał okruchy wzdłuż drzwi, jakby to był dar dla niewidzialnych ust niewiniątek. W chwili, gdy to czynił, zza najbliższego rogu wyszła inna kobieta, lecz bardzo stara, zgarbiona, podpierająca się laską. Z trudem, gdyż jej wzrok nie sięgał już daleko, dostrzegła gest chłopca. Przystanęła, z uwagą przypatrując się chłopcu, który wstał i pochylił głowę, jak gdyby odmawiał modlitwę za odpoczynek nieszczęśliwych dzieciątek, choć taki jest zwyczaj, nie ośmielimy się życzyć im wiecznego, bowiem już raz brakło nam wyobraźni, kiedy chcieliśmy przedstawić sobie, co znaczy wieczny odpoczynek. Jezus zakończył swe modlitwy i rozejrzał się wokół po ślepych murach, zamkniętych drzwiach, ale stała tam tylko

bardzo stara staruszka, odziana w tunikę niewolnicy, wsparta na swojej lasce, żywe odzwierciedlenie trzeciej części słynnej zagadki sfinksa, jakie zwierzę chodzi na czterech łapach rano, dwóch w ciągu dnia i trzech wieczorem, to człowiek, odpowiedział bardzo bystry Edyp, nie pamiętając, że niektórym nawet do południa nie udaje się dotrzeć, w samym Betlejem za jednym zamachem było ich dwadzieścioro pięcioro. Staruszka podchodziła, podchodziła, aż znalazła się na wprost Jezusa, skręca szyję, aby lepiej go widzieć, i pyta, Szukasz kogoś. Chłopiec nie odpowiedział od razu, na dobrą sprawę nie szukał przecież ludzi, ci, których odnalazł, nie żyją, są o dwa kroki dalej, zresztą nawet nie można było o nich powiedzieć, że byli ludźmi, tylko maluchami w pieluchach ssącymi palce, płaczącymi i zasmarkanymi, nagła śmierć uczyniła z nich gigantyczne postaci nie mieszczące się w kostnicach i w szufladach, każdej nocy, jeśli jest sprawiedliwość, wychodzące na świat i pokazujące swe śmiertelne rany, drzwi otworzone ostrzem miecza, drzwi, którymi uszło z nich życie, Nie, powiedział Jezus, nie szukam nikogo. Staruszka pozostała na miejscu, zdawało się, że czeka na dalszy ciąg, takie stanowisko sprawiło, iż z ust Jezusa wyszły słowa, których nie zamierzał wypowiedzieć, Urodziłem się w tej wiosce, w jaskini, chciałbym zobaczyć to miejsce. Staruszka z trudem cofnęła się o krok, wyteżyła wzrok tak, jak tylko mogła, i drżącym głosem zapytała, Jak się nazywasz, skąd przybywasz, kim są twoi rodzice. Niewolnicy odpowie jedynie ten, kto chce, ale powaga podeszłego wieku nawet u osoby niższego pochodzenia ma wielką siłę, wszystkim starcom należy zawsze odpowiadać, bo skoro tak niewiele czasu pozostało im na zadawanie pytań, byłoby skrajnym okrucieństwem pozbawianie ich odpowiedzi, pamiętajmy, że jedną z nich może być akurat ta, na którą czekają. Na imię mam Jezus i przychodzę z Nazaretu w Galilei, powiedział chłopiec, wszak od wyjścia z domu nie mówi nic innego. Staruszka ponownie zbliżyła się o krok, A twoi rodzice jak się nazywają, Mój ojciec miał na imię Józef, a moja matka to Maria, Ile masz lat, Czternaście. Kobieta spojrzała wokół, jak gdyby poszukując miejsca, gdzie mogłaby usiąść, jednakże płac w Betlejem w Judei to nie lizboński ogród z mnóstwem ławek i przyjemnym widokiem na zamkowe wzgórze, tutaj siadamy wprost na ziemi lub co najwyżej na progu, chyba że jest jakiś grób, to wtedy na kamieniu pozostawionym obok wejścia, na którym żywi mogą opłakiwać swe ukochane istoty oraz wypoczywać albo, któż to wie, siadają na nim zjawy wychodzące ze swych grobów, aby płakać łzami nie wylanymi za życia, jak w wypadku Racheli, tak niedaleko stąd, naprawdę jest tak napisane, Rachela opłakuje swoje dzieci i nie chce, by ją pocieszano, ponieważ one już nie istnieją, nie trzeba wcale być tak przebiegłym jak Edyp, aby spostrzec, że miejsce pasuje do sytuacji, a płacz do przyczyny. Staruszka mozolnie usadowiła się na kamieniu, chłopiec starał się jeszcze jej pomóc, ale nie

zdążył, gesty nie całkiem szczerze zawsze są spóźnione. Znam cię, rzekła staruszka, Musisz się mylić, nigdy mnie tu nie było i nigdy cię nie widziałem w Nazarecie, Pierwszymi dłońmi, które cię dotknęły, nie były dłonie twojej matki, tylko moje, Jak to możliwe, kobieto, Na imię mam Zelomi, odbierałam twój poród. Pod wrażeniem chwili, w taki właśnie sposób objawia się autentyczność charakterologiczna ruchów wykonanych na czas, Jezus uklęknął przed niewolnicą, nieświadomie wahając się pomiędzy ciekawością wydającą się graniczyć z otrzymaniem zadośćuczynienia oraz prostym wymogiem grzeczności, wymogiem okazania szacunku wobec kogoś, kto nie ponosząc większej nad zwykłą obecność odpowiedzialności, wyciągnął nas z pozbawionego pamięci rajy dzieci i wrzucił do życia, które bez niej niczym by nie było, Moja matka nigdy mi o tobie nie mówiła, powiedział Jezus, Nie musiała mówić, twoi rodzice pojawili się w domu mojego pana, prosząc o pomoc, a przecież ja miałam doświadczenie, Było to w czasie, gdy zamordowano dzieci spoczywające w tym grobie, Tak, ty miałaś szczęście, nie znaleziono cię, Dlatego, że mieszkaliśmy w jaskini, Tak, albo dlatego, że odeszliście wcześniej, tego już się nie dowiedziałam, kiedy poszłam zobaczyć, co się z wami stało, jaskinia była pusta, Pamiętasz mojego ojca, Tak, pamiętam, wówczas był młodym mężczyzną, dobrze zbudowanym, był dobrym człowiekiem, Umarł już, Biedny, jakże krótko żył, a ty, jesteś przecież pierworodnym, dlaczego zostawiłeś matkę, przypuszczam, że jeszcze żyje, Przyszedłem, żeby poznać miejsce, w którym się urodziłem, oraz żeby dowiedzieć się o zamordowanych dzieciach, Tylko Bóg wie, dlaczego zginęły, anioł śmierci, pod postacią Herodowych żołnierzy zstąpił w Betlejem i skazał je, Wierzysz więc, że stało się tak z woli Boga, Jestem tylko starą niewolnicą, ale od urodzenia sądzę, że wszystko, co ma miejsce na świecie, włącznie ze śmiercią i cierpieniem, dzieje się dlatego, że Bóg chciał, Tak jest zapisane, Rozumiem, że Bóg może któregoś dnia chcieć mojej śmierci, ale nie niewinnych dzieci, O twojej śmierci Bóg zdecyduje w swoim czasie, o śmierci dzieci zdecydowała wola człowieka, Raczej nie, skoro dłoń Boga nie zatrzymała noża spadającego na skazańca, Nie obrażaj Pana, kobieto, Ktoś, kto jak ja niczego nie wie, nie może obrazić, Dziś słyszałem w Świątyni, że każdy ludzki czyn, choćby najmniej istotny, zderza się z wolą Boga i że człowiek jest wolny po to, by mógł zostać ukarany, Moja kara nie pochodzi od wolności, ale od tego, że jestem niewolnicą, rzekła kobieta. Jezus milczał. Prawie wcale nie słuchał słów Zelomi, ponieważ jego myśl otworzyła się nagle, jak jakaś szpara, na porażającą oczywistość, iż człowiek jest zwykłą zabawką w rękach Boga, wiecznie zdana na to, co zatwierdzi Bóg, już to wtedy, gdy sądzi, że jest mu we wszystkim posłuszny, już to wtedy, gdy przypuszcza, że we wszystkim mu się sprzeciwia.

Słońce schodziło coraz niżej, przybliżał się złowrogi cień figowca. Jezus cofnął się nieco i zawołał kobietę, Zelomi, a ona z trudem uniosła głowę, Zaprowadź mnie do jaskini, w której się urodziłem, albo powiedz mi, gdzie to jest, jeśli nie możesz iść, Ciężko mi chodzić, ale nie znalazłbyś jej, gdybym cię tam nie zaprowadziła, Czy to daleko, Nie, tylko że są i inne jaskinie, a wszystkie są do siebie podobne, Chodźmy, Dobrze, chodźmy, powiedziała kobieta. W całym Betlejem osoby, które widziały tego dnia Zelomi idącą z nieznanym chłopcem, zadawały sobie pytanie, skąd ci dwoje się znają. Nigdy się tego nie dowiedziały, ponieważ niewolnica zachowała milczenie przez dwa pozostałe lata życia, zaś Jezus nigdy już nie powrócił na ziemię, na której się urodził. Następnego dnia Zelomi poszła do jaskini, tam gdzie zostawiła chłopca. Nie znalazła go. W głębi ducha liczyła, że tak będzie. Nie mieliby sobie nic do powiedzenia, gdyby jeszcze tam był.

Wiele się mówi o zbiegach okoliczności, z których życie jest utkane izłożone, ale prawie nic o spotkaniach mających w nim miejsce każdego dnia, mimo że owe spotkania zazwyczaj tym życiem kierują i powodują. W obronie tego częściowego rozumienia życiowych przypadków można by przytoczyć argument, iż spotkanie jest, w swym najbardziej ścisłym znaczeniu, zrzędzeniem losu, co oczywiście nie oznacza, że wszystkie zrzędzenia losu muszą być spotkaniami. W większości zdarzeń tej ewangelii zrzędzeń losu było w bród, a jeśli chodzi o te ściśle związane z życiem Jezusa, zwłaszcza od chwili, gdy po opuszczeniu przezeń domu poświęciliśmy mu naszą wyłączną uwagę, można zauważyć, że ustawicznie zdarzają mu się jakieś spotkania. Zostawiając na boku niefortunne przejścia ze złodziejami na drodze, z uwagi na to, że trudno na razie wyrokować o mogących z nich wyniknąć w bliskiej i dalekiej przyszłości następstwach, należy stwierdzić, że ta pierwsza samodzielna podróż Jezusa jawi się jako dostatecznie bogata w spotkania, czego dowodem było opatrnościowe pojawienie się faryzeusza filantropa, dzięki któremu nareszcie szczęśliwy chłopiec nie tylko zdołał wydobyć swój brzuch z biedy, ale też, przeznaczając na jedzenie dokładnie tyle czasu, ile przeznaczył, dotarł do Świątyni w porze pozwalającej mu na usłyszenie pytań i wysłuchanie odpowiedzi, przez co, jakby to rzec, otwarta została kwestia odpowiedzialności i winy, która przywiodła go tutaj z Nazaretu, o ile jeszcze o tym pamiętamy. Ludzie znający się na zasadach opowiadania historii mówią, że decydujące spotkania, tak jak to się w życiu dzieje, powinny przeplatać się i krzyżować z tysiącem innych, o małym lub żadnym znaczeniu, po to, by bohater opowiadania nie przekształcił się w kogoś

\

- wyjątkowego, komu może przydarzyć się wszystko oprócz rzeczy pospolitych. Mówią także, iż proces narracyjny tego typu najlepiej służy tak bardzo pożądanemu efektowi prawdopodobieństwa, bowiem jeżeli wyobrażony i opisany epizod nie jest, ani też nigdy nie stanie się faktem, wycinkiem rzeczywistości zajmującym w niej swe miejsce, niech przynajmniej stwarza wrażenie, że nim jest, ale nie tak, jak w tej opowieści, gdzie w jednoznaczny sposób nadużyto zaufania czytelnika, prowadząc Jezusa do Betlejem, aby ni z gruszki ni z pietruszki, zaraz po przyjściu, natknął się na kobietę, która była akuszerką przy jego narodzinach, jak gdyby nie przebrało jeszcze miarki spotkanie z tamtą drugą, trzymającą dziecko na ręku i przekazującą mu znaki, rozmyślnie tam umieszczoną w celu udzielenia pierwszych informacji. Jednakowoż najtrudniejsze do uwierzenia dopiero ma nadejść po tym, jak towarzysząca Jezusowi do groty niewolnica Zelomi, pozostawi go tam samego, na jego wyraźną prośbę, Zostaw mnie samego pomiędzy tymi ciemnymi ścianami, chcę w tej wielkiej ciszy usłyszeć mój pierwszy krzyk, o ile echa mogą tyle trwać, takie były słowa, które według niewolnicy do niej skierowano i dlatego się je tutaj odnotowuje, chociaż pod każdym względem są one kolejną zniewagą prawdopodobieństwa, podyktowaną logiczną przezornością, każącą nam przypisać je zgrzybiałości staruszki. Poszła więc sobie Zelomi, stawiając swe starcze, chwiejne kroki, raz za razem wymacując pewny grunt za pomocą trzymanego w obu rękach kostura, jakże pięknie postąpiłby teraz chłopiec, gdyby pomógł biednemu i pełnemu poświęcenia stworzeniu w powrocie do domu, ale młodość jest właśnie taka, egoistyczna, zadufana w sobie, a Jezus, niech to wie, nie ma powodów, aby się różnić od swych rówieśników.

Siedzi na kamieniu, obok, na drugim kamieniu, zapalona lampka słabo oświetla pomarszczone ściany, ciemną plamę węgla na palenisku, bezwładne, opadnięte ręce, poważne oblicze, Tutaj się urodziłem, myślał, spałem w tym żłobie, na kamieniu, na którym siedzę, siadali mój ojciec i moja matka, tutaj się ukrywaliśmy, gdy Herodowi żołnierze zabijali dzieci, i tak nie uda mi się usłyszeć krzyku życia przeze mnie samego wydanego przy narodzeniu, nie usłyszę też krzyków śmierci dzieci oraz rodziców oglądających ich koniec, nic nie zakłóca ciszy tej jaskini, w której koniec połączył się z początkiem, ojcowie płacą za winy, które na nich ciążyą, a synowie za te, które dopiero ich obciążą, tak mi wyjaśniono w Świątyni, ale jeśli życie jest wyrokiem, a śmierć sprawiedliwością, to nigdy nie było ludzi bardziej niewinnych od tych z Betlejem, od dzieci zabitych bez winy i od rodziców tą winą nie obciążonych, ani nie było ludzi bardziej winnych od mojego ojca, który milczał wtedy, gdy należało mówić, a temu, kim jestem ja, uratowano życie po to, by poznał zbrodnię, przez którą się to stało, nawet gdyby nie spadły na mnie inne winy, ta właśnie mnie zabije. Jezus

podniósł się w półmroku jaskini, wydawało się, że chce uciekać, ale zrobił tylko dwa niepewne kroki, nagle ugięły się pod nim nogi, dłonie powędrowały do oczu, żeby powstrzymać ciekące łzy, biedny chłopiec, tarzający się i kulący w kurzu, jak gdyby odczuwał nieskończony ból, widzimy, jak go dręczą wyrzuty sumienia z powodu tego, czego nie zrobił, ale za co, o nieuleczalna sprzeczności, będzie pokutował przez całe swoje życie. Ta rzeka śmiertelnych łez, powiedzmy to od razu, na zawsze pozostawi w Jezusowych oczach jakieś piętno smutku, nieustannie wilgotny i rozpaczliwy błysk, tak jakby dopiero co przestał płakać. Czas mijał, słońce chyliło się coraz niżej, wydłużały się ziemskie cienie, zapowiadając wielki cień mający wraz z nadejściem nocy zstąpić z wysokości, zmiany na niebie mogły być dostrzeżone nawet we wnętrzu jaskini, mrok już otacza i dusi malutki świetlisty migdał lampki, na pewno kończy się już oliwa, tak samo będzie, gdy słońce zacznie gasnąć, ludzie powiedzą sobie wtedy, Tracimy wzrok, nie wiedząc, że oczy na nic im się już nie przydadzą. Jezus śpi, zmogło go miłosierne zmęczenie tymi wszystkimi dniami, straszliwa śmierć ojca, odziedziczony koszmar, zrezygnowane potwierdzenie matki, a później uciążliwa podróż do Jerozolimy, przerażająca Świątynia, nie dające ■ pocieszenia słowa wygłoszone przez uczonego w Piśmie, zejście do Betlejem, przeznaczenie, niewolnica Zelomi przybyła z głębi czasu, aby przekazać mu ostateczną wiedzę, nic dziwnego, że wycieńczone ciało pociągnęło za sobą mizernego ducha izdawali się we dwójkę wypoczywać, lecz duch już się porusza i we śnie każe ciału powstać, aby razem mogli podążyć do Betlejem, gdzie na środku placu będą wyznawać okropną winę, Ja jestem, powie duch głosem ciała, tym, który przyniósł śmierć waszym dzieciom, osądźcie mnie, skażcie to ciało, które wam tu przynoszę, ciało, którego jestem duchem i duszą, żebyście mnie mogli katować i torturować, albowiem wiadomo, że tylko przez umartwienie i poświęcenie ciała będzie można osiągnąć uniewinnienie i nagrodę dla ducha. We śnie są matki z Betlejem z martwymi dziećmi w ramionach, tylko jedno z nich jest żywe, a jego matką jest ta kobieta, którą Jezus spotkał w Betlejem na placu, to ona odpowiada, Jeśli nie możesz przywrócić im życia, zamilknij, wobec śmierci niepotrzebne są słowa. Duch, ukorzywszy się, zamknął się w samym sobie jak złożona we troje tunika, oddając bezbronne ciało wymiarowi sprawiedliwości matek z Betlejem, lecz Jezus nie dowie się, że będzie mógł stamtąd ujść cało, gdyż kiedy kobieta mająca wciąż na ręku żywe dziecko przygotowywała się do powiedzenia mu, Ty nie jesteś winien, odejdz, coś, co wydało mu się nagłą i oślepiającą luną, zalało całą jaskinię i z miejsca go obudziło, Gdzie ja jestem, taka była pierwsza myśl, następnie z trudem podnosząc załzawione oczy, zobaczył wysokiego człowieka, olbrzymiego, z płonąca głową, ale zaraz zorientował się, że to, co wziął za głowę, było pochodnią trzymaną w prawej dłoni, sięgającą

niemal sklepienia jaskini, prawdziwa głowa była nieco niżej, z uwagi na rozmiar mogła należeć do Goliata, jednak wyraz twarzy nie miał w sobie nic z wojennej zaciekłości, raczej był to błogi uśmiech kogoś, kto szukał i znalazł. Jezus podniósł się i cofnął aż do ściany jaskini, teraz widział lepiej twarz olbrzyma, który w sumie nie był aż tak potężny, zaledwie o pięćdziesiąt centymetrów wyższy od najwyższych mężczyzn z Nazaretu, złudzenia optyczne, bez których nie ma mowy o żadnych cudach, nie są odkryciem naszej epoki, wystarczy przytoczyć przykład Goliata, nie będącego koszykarzem tylko dlatego, że urodził się przed czasem. Kim jesteś, zapytał mężczyznę, lecz widać było, że szuka pretekstu do rozmowy. Wcisnął pochodnię w jakąś szparę w skale, oparł o ścianę dwa przyniesione ze sobą kije, jeden gładki od długotrwałego używania, z grubymi sękami, a drugi chyba całkiem niedawno ucięty, bo jeszcze z korą, usiadł na większym kamieniu, zarzucając na ramiona obszerną pelerynę, w którą się owinał. Jestem Jezus z Nazaretu, odpowiedział chłopiec, Cóż więc tu robisz, skoro jesteś z Nazaretu, Jestem z Nazaretu, ale urodziłem się w tej jaskini, przyszedłem tutaj, żeby zobaczyć miejsce mojego urodzenia, Urodziłeś się w brzuchu twojej matki, a tam nigdy już nie wrócisz. Jezus nie słyszał wcześniej tak surowych słów i dlatego zaczerwienił się i zamilkł. Uciekłeś z domu, zapytał mężczyzna. Chłopiec zawahał się, jak gdyby chciał zastanowić się, czy naprawdę jego wyjście z domu można nazwać ucieczką, ale w końcu odpowiedział, Tak, Nie rozumiałeś się z rodzicami, Mój ojciec już umarł, Ach, westchnął mężczyzna, ale Jezus odniósł dziwne i nieokreślone wrażenie, że on już to wiedział i nie tylko to, ale wszystko inne też, to, co zostało już powiedziane i to, co było do powiedzenia. Nie odpowiedziałeś na pytanie, nalegał mężczyzna, Które, Czy nie rozumiałeś się z twoimi rodzicami, To moja sprawa, Mów do mnie z szacunkiem, chłopcze, albo zajmę miejsce twojego ojca i cię ukarzę, sam Bóg cię tu nie usłyszy, Bóg jest okiem, uchem i językiem, widzi wszystko, słyszy wszystko i tylko dlatego, że nie chce, nie mówi wszystkiego, Cóż ty wiesz o Bogu, chłopczyku, To, czego się nauczyłem w synagodze, W synagodze nigdy nie słyszałeś, że Bóg jest okiem, uchem i językiem, To był mój wniosek, gdyby Bóg tym nie był, nie byłby Bogiem, I dlaczego uważasz, że Bóg jest jednym okiem i jednym uchem, a nie dwojgiem oczu i dwojgiem uszu, według tego, co mam ja i ty, Dlatego, żeby jedno oko nie mogło oszukiwać drugiego oka, a jedno ucho drugiego ucha, języka to nie dotyczy, bo zawsze jest jeden, Język ludzi również jest podwójny, tak samo służy prawdzie jak i kłamstwu, Bogu nie wolno kłamać, Kto mu tego zabrania, Ten sam Bóg, bo inaczej stałby się swym własnym zaprzeczeniem, Już go widziałeś, Kogo, Boga, Niektórzy go widzieli i ogłosili to. Mężczyzna milczał, spoglądając na chłopca tak, jakby w nim szukał znajomych cech, aż wreszcie powiedział, Tak, masz rację, niektórzy uważają, iż go widzieli. Zrobił przerwę, po czym

ciągnął dalej, lecz tym razem ze złośliwym uśmiechem, Nie odpowiedziałeś mi jeszcze, Na co, Czy dobrze żyłeś z twoimi rodzicami, Wyszedłem z domu, ponieważ chciałem poznać świat, Twój język zna sztukę kłamstwa, chłopczyku, ale ja dobrze wiem kim jesteś, urodziłeś się jako syn cieśli zwanego Józefem i greplarki wełny zwanej Marią, Skąd to wiesz, Dowiedziałem się pewnego dnia i nie zapomniałem, Wytłumacz dokładniej, Jestem pasterzem, od wielu lat chodzę tędy z moimi owcami i kozami, z kozłem i baranem do krycia, przypadkiem znalazłem się w tej okolicy, kiedy przyszedłeś na świat, byłem też tutaj, gdy wymordowano dzieci w Betlejem, znam cię od zawsze, jak widzisz. Jezus popatrzył na mężczyznę z przerażeniem i zapytał, Jakie jest twoje imię, Dla moich owiec nie mam imienia, Nie jestem twoją owcą, Kto wie, Powiedz mi, jak się nazywasz, Jeżeli tak bardzo ci zależy na poznaniu mojego imienia, nazywaj mnie Pasterzem, to wystarczy, żebym się pojawił, gdy mnie zawołasz, Chcesz mnie zabrać ze sobą jako pomocnika, Czekałem, aż mnie o to poprosisz, A więc, Przyjmuję cię do mojego stada. Mężczyzna podniósł się, wziął pochodnię i wyszedł na dwór. Jezus poszedł za nim. Noc była ciemna, księżyc jeszcze nie wzeszedł. Zgromadzone przy wejściu do jaskini, jedynie lekko pobrzękując dzwonkami, spokojne owce i kozy zdawały się oczekiwać na wynik rozmowy pomiędzy swym pasterzem i nowym pomocnikiem. Mężczyzna podniósł pochodnię, aby pokazać czarne głowy kóz, bielejące pyski owiec, suche i nagie grzbiety jednych oraz okrągłe i włochate kłęby drugich, po czym rzekł, To jest moje stado, dbaj o to, byś nie zgubił ani jednego z tych zwierząt. Usadowieni u wylotu jaskini przy chybotliwym świetle pochodni Jezus wraz z pasterzem zjedli ser i czerstwy chleb dobyte z worka. Później pasterz wszedł do środka i przyniósł nowy kij, ten który jeszcze nie był obrany z kory. Rozpalił ognisko i powolutku począł zręcznie obracać kijem pomiędzy płomieniami, przypalając korę, aż zaczęła odchodzić długimi pasami, następnie jako tako powyglądał sęki. Odłożył go na chwilę, żeby wystygł i z powrotem wsadził do ognia, tym razem obracając nim o wiele szybciej, nie dając językom ognia czasu na przypalenie delikatnej skórki, która w ten sposób stwardniała i pociemniała, jak gdyby młodej latorośli w jednej chwili przybyło lat. Kiedy pasterz zakończył już te czynności, powiedział, Masz tu, mocny i prosty, twój pasterski kostur, twoje trzecie ramię. Choć Jezus nie był z tych, co to mają delikatne dłonie, musiał upuścić kij na ziemię, gdyż taki był rozgrzany. Jak on to mógł wytrzymać, pomyślał, lecz nie znajdował odpowiedzi. Kiedy księżyc nareszcie wzeszedł, udali się do jaskini, by ułożyć się do snu. Kilka owiec i kóz weszło razem z nimi i położyło się obok. Kiedy rozlewała się pierwsza poranna jasność, pasterz potrząsnął Jezusem, mówiąc do niego, Wstawaj, chłopcze, starczy tego spania, moja trzoda jest głodna, niezadługo będziesz musiał zaprowadzić ją na pastwisko, nigdy w życiu

nie uczynisz niczego ważniejszego. Powoli, bowiem marsz regulowany był przez drobny i drepczący krok stada, z pasterzem na przodzie i z pomocnikiem z tyłu odchodzili stamtąd ludzie oraz zwierzęta o chłodnym i przezroczystym poranku, który zdawał się nie śpieszyć z budzeniem słońca, zazdrosny o blask przypominający dopiero co powstały świat. Znacznie później, pewna starsza kobieta, która z trudem szła, podpierając się laską jak trzecią nogą, przybyła z ukrytych betlejemskich domów i weszła do jaskini. Nie bardzo ją zdziwiła nieobecność Jezusa, prawdopodobnie nic by już sobie nie mieli do powiedzenia. W naturalnym półmroku pieczary błyszczał świetlisty migdał lampki, do której pasterz dołał oliwy.

Za cztery lata Jezus spotka Boga. Ujawniając ten fakt, chyba przedwcześnie w świetle wspomnianych wyżej zasad dobrego opowiadania, autor zamierza jedynie wprowadzić czytelnika tej ewangelii w dobry nastrój, zabawiając go kilkoma powszednimi epizodami z pasterskiego życia, jakkolwiek te, trzeba o tym powiedzieć już teraz, żeby ktoś, kogo kusiłoby przesunięcie się do przodu, znalazł usprawiedliwienie, nie wniosą niczego istotnego do podstawowych treści. Tak czy owak, cztery lata to zawsze cztery lata, przede wszystkim w wieku, w którym zachodzą tak wielkie zmiany fizyczne i umysłowe, on jest ciałem, które rośnie w ten obłądny sposób, on jest brodą, która zaczyna ocieniać już i tak śniadą cerę, on jest głosem, który się staje głęboki i dudni jak kamień staczający się po górskim zboczu, on jest skłonnością do mrzonek i snów na jawie, zawsze nagannych, zwłaszcza wtedy, gdy trzeba wypełniać obowiązki związane z pilnowaniem, jest tak w wypadku warty w koszarach, zamkach i obozowiskach na przykład albo, żeby nie odbiegać od tej historii, również w wypadku tego młodego pomocnika Pasterza, któremu powiedziano, że nie może spuszczać z oka kóz i owiec swojego zwierzchnika. Prawdę mówiąc, nie wiadomo, kim on jest. Wypasanie, w tym czasie iw tych okolicach, jest zajęciem dla sługi albo prostackiego niewolnika, zobowiązanego pod groźbą kary do stałego i punktualnego dostarczania informacji o mleku, serze i wełnie, nie mówiąc o pogłowie trzody, które stale powinno wzrastać, aby sąsiedzi mogli stwierdzić, że Pańskie oko dobrotliwie spogląda na pobożnego właściciela takiego dobytku, on zaś, jeśli chce pozostać w zgodzie z zasadami rządzącymi światem, bardziej powinien zdać się na życzliwość Pana aniżeli na siłę rozrodczą rozplodników swego stada. Dziwne jest jednak to, że Pasterz, gdyż sam chciał, abyśmy go tak nazywali, wydaje się nie mieć żadnego gospodarza, który by nad nim stał, bowiem w ciągu tych czterech lat nikt nie przyjdzie na pustynię po wełnę, mleko i po ser, ani też on nie zostawi trzody i nie pójdzie zdać sprawę ze swych powinności. Wszystko byłoby jasne, gdyby Pasterz, w znanym i normalnym znaczeniu tego słowa, był właścicielem tych kóz i tych

owiec, chociaż bardzo trudno uwierzyć, by odnosiło się to do kogoś, kto, tak jak on, traci ilości wełny przekraczające wszelkie wyobrażenie, kto, z tego co widać, strzyże owce tylko po to, by się nie udusiły od gorąca, kto wykorzystuje mleko, jeśli je wykorzystuje, zaledwie do wyrabiania sera na codzienne potrzeby i wymienia to, co zostaje, na figi, daktyle oraz chleb, kto, wreszcie, tajemnica tajemnic, nie sprzedaje baranka ani koziołka ze swego stada nawet w okresie Paschy, kiedy z powodu dużego zapotrzebowania osiągają tak dobrą cenę. Nic więc dziwnego w tym, że stado bezustannie rośnie, tak jakby z gorliwością i entuzjazmem wynikającymi z gwarancji na długi żywot wypełniało ten słynny rozkaz dany przez Pana, chyba niezbyt ufne go w skuteczność słodkich instynktów naturalnych, Bądźcie płodni i rozmnażajcie się. W tej osobliwej włóczęgowskiej gromadzie umiera się ze starości, sam Pasterz zaś, osobiście i ze stoickim spokojem, pomaga umierać zwierzętom, które z powodu choroby lub podeszłego wieku nie mogą już towarzyszyć stadu i po prostu je zabija. Jezus, gdy zdarzyło się to po raz pierwszy po rozpoczęciu przez niego pracy u Pasterza, zaprotestował przeciwko zimnemu okrucieństwu, lecz Pasterz odpowiada głęboki i dudni jak kamień staczający się po górskim zboczu, on jest skłonnością do mrzonek i snów na jawie, zawsze nagannych, zwłaszcza wtedy, gdy trzeba wypełniać obowiązki związane z pilnowaniem, jest tak w wypadku warty w koszarach, zamkach i obozowiskach na przykład albo, żeby nie odbiegać od tej historii, również w wypadku tego młodego pomocnika Pasterza, któremu powiedziano, że nie może spuszczać z oka kóz i owiec swojego zwierznika. Prawdę mówiąc, nie wiadomo, kim on jest. Wypasanie, w tym czasie iw tych okolicach, jest zajęciem dla sługi albo prostackiego niewolnika, zobowiązanego pod groźbą kary do stałego i punktualnego dostarczania informacji o mleku, serze i wełnie, nie mówiąc o pogłowie trzody, które stale powinno wzrastać, aby sąsiedzi mogli stwierdzić, że Pańskie oko dobrotliwie spogląda na pobożnego właściciela takiego dobytku, on zaś, jeśli chce pozostać w zgodzie z zasadami rządzącymi światem, bardziej powinien zdać się na życzliwość Pana aniżeli na siłę rozrodczą rozplodników swego stada. Dziwne jest jednak to, że Pasterz, gdyż sam chciał, abyśmy go tak nazywali, wydaje się nie mieć żadnego gospodarza, który by nad nim stał, bowiem w ciągu tych czterech lat nikt nie przyjdzie na pustynię po wełnę, mleko i po ser, ani też on nie zostawi trzody i nie pójdzie zdać sprawę ze swych powinności. Wszystko byłoby jasne, gdyby Pasterz, w znanym i normalnym znaczeniu tego słowa, był właścicielem tych kóz i tych owiec, chociaż bardzo trudno uwierzyć, by odnosiło się to do kogoś, kto, tak jak on, traci ilości wełny przekraczające wszelkie wyobrażenie, kto, z tego co widać, strzyże owce tylko po to, by się nie udusiły od gorąca, kto wykorzystuje mleko, jeśli je wykorzystuje, zaledwie do wyrabiania sera na codzienne potrzeby i wymienia to, co zostaje,

na figi, daktyle oraz chleb, kto, wreszcie, tajemnica tajemnic, nie sprzedaje baranka ani koziółka ze swego stada nawet w okresie Paschy, kiedy z powodu dużego zapotrzebowania osiągają tak dobrą cenę. Nic więc dziwnego w tym, że stado bezustannie rośnie, tak jakby z gorliwością i entuzjazmem wynikającymi z gwarancji na długi żywot wypełniało ten słynny rozkaz dany przez Pana, chyba niezbyt ufne go w skuteczność słodkich instynktów naturalnych, Bądźcie płodni i rozmnażajcie się. W tej osobliwej włóczęgowskiej gromadzie umiera się ze starości, sam Pasterz zaś, osobiście i ze stoickim spokojem, pomaga umierać zwierzętom, które z powodu choroby lub podeszłego wieku nie mogą już towarzyszyć stadu i po prostu je zabija. Jezus, gdy zdarzyło się to po raz pierwszy po rozpoczęciu przez niego pracy u Pasterza, zaprotestował przeciwko zimnemu okrucieństwu, lecz Pasterz odpowiedział mu zwyczajnie, Albo je zabiję, tak jak zawsze to robię, albo zostawię je opuszczone, żeby same umarły na tym pustkowiu, albo zatrzymam stado i zaczekam, aż umrą, wiedząc, że jeśli umieranie zabierze im wiele dni, skończy się pożywienie na pastwisku i nie starczy dla tych, które jeszcze żyją, powiedz zatem, jak ty byś postąpił na moim miejscu, gdybyś, tak jak ja, był panem życia i śmierci twojego stada. Jezus nie wiedział, co odpowiedzieć i aby zmienić temat, zapytał, Skoro nie sprzedajesz wełny, skoro sera i mleka mamy więcej niż potrzebujemy do życia, skoro nie sprzedajesz jagniąt ani koziółków, to na co ci twoje stado i dlaczego pozwalasz mu żyć i rosnąć w ten sposób, przecież jeśli będzie się tak działo nadal, pewnego dnia pokryje ono wszystkie te góry i całą ziemię, Pasterz zaś odpowiedział, Stado było tutaj, ktoś musiał się nim zająć, bronić go przed zachłannością, wypadło akurat na mnie, Tutaj, gdzie, Tutaj, tam, wszędzie, Chcesz powiedzieć, jeśli się nie mylę, że stado było zawsze, Mniej więcej, Czy to ty kupiłeś pierwszą owcę i pierwszą kozę, Nie, A więc kto, Znalazłem je, nie wiem, czy je kupiono, były stadem już wtedy, gdy je znalazłem, Dano ci je, Nikt mi ich nie dał, ja znalazłem je, one znalazły mnie, Zatem jesteś właścicielem, Nie jestem właścicielem, nic co istnieje na świecie, nie należy do mnie, Bo wszystko należy do Pana, powinieneś to wiedzieć, Ty tak mówisz, Od jak dawna jesteś pasterzem, Byłem nim już wtedy, kiedy się urodziłeś, Od kiedy, Nie wiem, może pięćdziesiąt razy twój wiek, Tylko patriarchowie sprzed Potopu żyli tyle albo więcej lat, żaden z dzisiejszych ludzi nie może spodziewać się tak długiego żywota, Dobrze o tym wiem, Skoro wiesz, to dlaczego upierasz się, że przeżyłeś cały ten czas, przyznasz chyba, że mogę sobie pomyśleć, iż nie jesteś człowiekiem, Przyznaję. Wszelako jeżeli Jezus, tak dobrze radzący sobie z porządkiem i kolejnością przesłuchania, jak gdyby z sokratycznego elementarza nauczył się reguł majeutyki analitycznej, jeżeli Jezus zapytałby, Kim zatem jesteś, skoro nie jesteś człowiekiem, z dużą dozą prawdopodobieństwa Pasterz odpowiedziałby jak ktoś, kto nie chce

przywiązywać do sprawy zbyt wielkiego znaczenia, Jestem aniołem, ale nie mów tego nikomu. Zdarza się tak wiele razy, nie zadajemy pytań, ponieważ jeszcze nie przygotowaliśmy się do usłyszenia odpowiedzi albo, najzwyczajniej, boimy się ich. Kiedy wykrzeszemy z siebie odwagę, aby je rzucić, nierzadko nam nie odpowiedzą, jak to uczyni Jezus, gdy pewnego dnia zapytają go, Czym jest prawda. Będzie milczeć po dziś dzień.

Tak czy owak Jezus już wie, i wcale nie musi pytać, że jego zagadkowy towarzysz nie jest aniołem Pańskim, ponieważ aniołowie

Pańscy w każdej chwili dnia i nocy wyśpiewują hymny pochwalne na cześć Pana, nie są jak ludzie, którzy czynią to tylko z obowiązku iw przepisowych okolicznościach, z drugiej strony aniołowie mają istotniejsze i bardziej uzasadnione powody ku temu, by tyle śpiewać, albowiem mieszkają z rzeczonym Panem w niebie i są z Nim w bliskiej zażyłości. Po raz pierwszy Jezus zdziwił się już wtedy, gdy razem wyszli rankiem z jaskini, a Pasterz nie postąpił tak jak on, czyli nie pobłogosławił Boga za te wszystkie rzeczy, o których wiemy, za przywrócenie mu duszy, za obdarzenie koguta mądrością, i, oddawszy mocz oraz wypróżniwszy się za skalą, nie podziękował Mu za otwory inaczynia istniejące w ludzkim organizmie, opatrnościowe w pełnym tego słowa znaczeniu, bo przecież bez nich... Pasterz spojrział na niebo i ziemię, jak czyni to każdy po wyjściu z łóżka, zamruczał jakieś słowa o tym, że zanoszą się na dobrą pogodę i uniosł dwa palce do ust, wydając przenikliwy gwizd, który postawił na nogi całe stado. Nic ponadto. Jezus pomyślał, że to przez zapomnienie, zawsze możliwe wtedy, gdy człowiek ma czymś zaprzątniętą głowę, Pasterz mógł na przykład obmyślać lepsze metody przekazywania wiedzy osurowym rzemieślniczemu chłopcu przyzwyczajonemu do wygod ciesielskiego warsztatu. Wiemy, że w normalnej sytuacji, pomiędzy zwykłymi ludźmi, Jezus nie musiałby długo czekać na sposobność do zapoznania się z rzeczywistą skalą religijności swego przełożonego, albowiem ówczesni Żydzi wypuszczali dziękczynienia ze trzydzieści razy na dzień, nawet z powodu byle błahostki, zresztą widoczne to było na stronach tej ewangelii, zatem nie ma potrzeby ponownego wykazywania tego teraz. Minął dzień i żadnych dziękczynień, przyszła noc, spędzana pod gołym niebem na jakimś pustkowiu, i nawet majestat Bożego nieba nie był w stanie obudzić w duszy tudzież na wargach Pasterza choćby jednego słówka pochwały albo wdzięczności, mogło przecież padać, a nie padało, z każdego punktu widzenia, ludzkiego i boskiego, było to niewątpliwą oznaką tego, że Pan czuwa nad swymi stworzeniami. Następnego ranka, po posiłku, kiedy zwierzchnik przygotowywał się do obchodu stada i sprawdzenia, czy jakaś nieposłuszna koza nie postanowiła czasem wyruszyć na poszukiwanie przygód, Jezus oznajmił zdecydowanym głosem, Odchodzę. Pasterz zatrzymał się, spojrział na niego, nie

zmieniając wyrazu twarzy, i rzekł jedynie, Szczęśliwej drogi, chyba nie muszę ci mówić, że nie jesteś moim niewolnikiem i że nie zawarliśmy żadnej prawnej umowy, możesz odejść, gdy tylko uznasz za stosowne, Nie chcesz wiedzieć, dlaczego sobie idę, Moja ciekawość nie jest aż tak silna, abym musiał cię oto pytać, Odchodzę, ponieważ nie mogę żyć u boku osoby nie wypełniającej swych obowiązków wobec Pana, Jakich obowiązków, Najbardziej podstawowych, tych, które się wyrażają poprzez dziękczynienia i błogosławieństwa. Pasterz milczał z błakającym mu się bardziej na ustach niż w oczach uśmiechem, w końcu się odezwał, Nie jestem Żydem, nie muszę wypełniać nie swoich obowiązków. Jezus, oburzony, cofnął się o krok. O tym, że na ziemi Izraela roiło się od cudzoziemców i wyznawców fałszywych bogów, Jezus wiedział aż za dobrze, ale nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się spać w pobliżu jednego z nich, jeść jego chleba i pić jego mleka. Dlatego, jak gdyby trzymając przed sobą włócznię i ochronną tarczę, zawołał, Tylko Pan jest Bogiem. Uśmiech Pasterza zgasł, na twarzy pojawił się wyraz goryczy, Tak, jeśli Bóg istnieje, musi być jedynym Panem, ale lepiej, żeby ich było dwóch, w ten sposób istniałby jeden bóg dla wilka i jeden dla owcy, jeden dla ofiary i jeden dla mordercy, jeden bóg dla skazańca, jeden bóg dla kata, Bóg jest jedyny, zupełny i niepodzielny, wykrzyknął Jezus, prawie płacząc z pobożnego oburzenia, na co tamten odpowiedział, Nie wiem, jak Bóg może żyć, zdanie urwało się na tym, ucięte przez Jezusa z powagą mistrza z synagogi, Bóg nie żyje, jest, Nie wyznaję się na tych różnicach, ale mogę ci powiedzieć, że nie chciałbym się zobaczyć w skórze boga, który jednocześnie kieruje ręką uzbrojoną w morderczy sztylet i podstawią gardło do poderżnięcia, Obrażasz Pana tymi bezbożnymi myślami, Nie jestem aż tyle wart, Bóg nie śpi, kiedyś ześle na ciebie karę, Bardzo dobrze, że nie śpi, w ten sposób unika koszmarnych wyrzutów sumienia, Czemu mi mówisz o koszmarach i wyrzutach sumienia, Bo mówimy o twoim bogu, Kto jest więc twoim, Nie mam boga, jestem jak jedna z moich owiec, One przynajmniej dają swe dzieci na Pańskie ołtarze, Powiadam ci, że te matki wyłyby na podobieństwo wilków, gdyby o tym wiedziały. Jezus zbladł, nic nie odrzekł. Stado otaczało ich, uważne, w wielkiej ciszy. Słońce już weszło i muskało swym rubinowym światłem owcze runo oraz kozie rogi. Jezus powiedział, Idę sobie, ale się nie poruszył. Wsparty na kosturze, jak gdyby zdawał sobie sprawę, że cała przyszłość należy do niego, Pasterz spokojnie czekał. Wreszcie Jezus zrobił kilka kroków, otwierając przejście pomiędzy owcami, lecz nagle zatrzymał się i zapytał, Co ty wiesz o wyrzutach sumienia i koszmarach, że jesteś spadkobiercą twojego ojca. Jezus nie mógł znieść tych słów. W tej samej chwili ugięły się pod nim kolana, a z ramienia ześlizgnął mu się worek, skąd dziełem przypadku albo konieczności, wypadły ojcowskie sandały, jednocześnie rozległ się brzęk pękającej miski faryzeusza. Jezus zaczął płakać jak porzucone dziecko, ale

Pasterz nie podszedł bliżej, rzucił tylko stamtąd, gdzie stał, Zawsze pamiętaj, że wiem o tobie wszystko od chwili, gdy cię poczęto, a teraz zdecyduj się, odchodzisz, czy zostajesz, Powiedz mi najpierw kim jesteś, Jeszcze nie przyszedł na to czas, Kiedy więc się dowiem, Jeśli zostaniesz, pożałujesz, że nie poszedłeś, jeśli pójdziesz, pożałujesz, że nie zostałeś, Ale gdybym poszedł, nie dowiedziałbym się, kim jesteś, Mylisz się, twoja godzina nadejdzie i wtedy będę przy tobie, aby ci to powiedzieć, tymczasem dość już tej rozmowy, stado nie może tu czekać przez cały dzień, aż ty się zdecydujesz. Jezus pozbierał skorupy miski, spojrzał na nie tak, jakby wiele go kosztowało rozstanie się z nimi, .doprawdy nie było powodu ku temu, wczoraj o tej samej porze nawet jeszcze nie wiedział o istnieniu faryzeusza, a ponadto gliniane miski takie właśnie są, z łatwością się tłuką. Rzucił kawałki na ziemię ruchem siewcy i wówczas odezwał się Pasterz, Będziesz miał inną miskę, ale ona nie rozbije się za twojego życia. Jezus nie słyszał go, miał w dłoniach sandały Józefa i pomyślał, czy nie powinien ich założyć, to jasne, że upłynęło niewiele czasu i stopy nie mogły mu tak urosnąć, ale czas, jak wiemy, jest względny, Jezusowi wydawało się że chodzi z ojcowskimi sandałami w worku od wieków, zatem byłoby dziwne, gdyby wciąż były na niego za duże. Założył je, nie wiedząc dlaczego, a swoje schował. Pasterz powiedział, Stopy, które urosły, nie skurczą się z powrotem, a ty nie będziesz miał dzieci, które po tobie odziedziczą tunikę, pelerynę i sandały, Jezus nie wyrzucił ich jednak, bo swym ciężarem utrzymywały na ramieniu prawie pusty worek. Nie trzeba było udzielać Pasterzowi żadnej odpowiedzi, Jezus zajął swoje miejsce z tyłu stada, odczuwając pomieszanie nieokreślonego strachu, jak gdyby jego dusza znajdowała się w niebezpieczeństwie, oraz jeszcze bardziej nieokreślonego mrocznego urzeczenia. Dowiem się, kim jesteś, mrucał Jezus, poganiając zapóznioną owcę pośród tumanów kurzu wzniesionych przez stado, tym właśnie można było według niego wytłumaczyć ostateczną decyzję o pozostaniu z zagadkowym pasterzem.

To był pierwszy dzień. Nie poruszano już więcej problemów wiary i bezbożności, życia, śmierci oraz własności, jednak Jezus, który zaczął obserwować nawet najprostsze posunięcia i zachowania Pasterza, zauważył, że prawie za każdym razem, gdy błogosławił Pana, jego towarzysz zniżał się i delikatnie kładł dłonie na ziemi, pochylając głowę oraz zamykając oczy, nie wypowiadał przy tym ani słowa. Kiedyś, kiedy był jeszcze małym chłopcem, Jezus słyszał, jak starzy wędrowcy przechodzący przez Nazaret opowiadali, że we wnętrzu świata istniaryzeusza. Jezus zaczął płakać jak porzucone dziecko, ale Pasterz nie podszedł bliżej, rzucił tylko stamtąd, gdzie stał, Zawsze pamiętaj, że wiem o tobie wszystko od chwili, gdy cię poczęto, a teraz zdecyduj się, odchodzisz, czy zostajesz, Powiedz mi najpierw kim jesteś, Jeszcze nie przyszedł na to czas, Kiedy więc się dowiem, Jeśli

zostaniesz, pożałujesz, że nie poszedłeś, jeśli pójdziesz, pożałujesz, że nie zostałeś, Ale gdybym poszedł, nie dowiedziałbym się, kim jesteś, Mylisz się, twoja godzina nadejdzie i wtedy będę przy tobie, aby ci to powiedzieć, tymczasem dość już tej rozmowy, stado nie może tu czekać przez cały dzień, aż ty się zdecydujesz. Jezus pozbierał skorupy miski, spojrzał na nie tak, jakby wiele go kosztowało rozstanie się z nimi” doprawdy nie było powodu ku temu, wczoraj o tej samej porze nawet jeszcze nie wiedział o istnieniu faryzeusza, a ponadto gliniane miski takie właśnie są, z łatwością się tłuką. Rzucił kawałki na ziemię ruchem siewcy i wówczas odezwał się Pasterz, Będziesz miał inną miskę, ale ona nie rozbije się za twojego życia. Jezus nie słyszał go, miał w dłoniach sandały Józefa i pomyślał, czy nie powinien ich założyć, to jasne, że upłynęło niewiele czasu i stopy nie mogły mu tak urosnąć, ale czas, jak wiemy, jest względny, Jezusowi wydawało się że chodzi z ojcowskimi sandałami w worku od wieków, zatem byłoby dziwne, gdyby wciąż były na niego za duże. Założył je, nie wiedząc dlaczego, a swoje schował. Pasterz powiedział, Stopy, które urosły, nie skurczą się z powrotem, a ty nie będziesz miał dzieci, które po tobie odziedziczą tunikę, pelerynę i sandały, Jezus nie wyrzucił ich jednak, bo swym ciężarem utrzymywały na ramieniu prawie pusty worek. Nie trzeba było udzielać Pasterzowi żadnej odpowiedzi, Jezus zajął swoje miejsce z tyłu stada, odczuwając pomieszanie nieokreślonego strachu, jak gdyby jego dusza znajdowała się w niebezpieczeństwie, oraz jeszcze bardziej nieokreślonego mrocznego urzeczenia. Dowiem się, kim jesteś, mrucał Jezus, poganiając zapóźnioną owcę pośród tumanów kurzu wzniesionych przez stado, tym właśnie można było według niego wytłumaczyć ostateczną decyzję o pozostaniu z zagadkowym pasterzem.

To był pierwszy dzień. Nie poruszano już więcej problemów wiary i bezbożności, życia, śmierci oraz własności, jednak Jezus, który zaczął obserwować nawet najprostsze posunięcia i zachowania Pasterza, zauważył, że prawie za każdym razem, gdy błogosławił Pana, jego towarzysz zniżał się i delikatnie kładł dłonie na ziemi, pochylając głowę oraz zamykając oczy, nie wypowiadał przy tym ani słowa. Kiedyś, kiedy był jeszcze małym chłopcem, Jezus słyszał, jak starzy wędrowcy przechodzący przez Nazaret opowiadali, że we wnętrzu świata istnia-

- i

I były ogromne jaskinie, w których, tak jak na powierzchni, znajdowały się miasta, pola, rzeki, lasy i pustynie, i że ten dolny świat, kopia i odbicie świata, na którym żyjemy, był stworzony przez Diabła po tym, jak Bóg strącił go z wysokości nieba, karząc za nieposłuszeństwo. Skoro zaś Diabeł, który na samym początku był przyjacielem Boga oraz Jego ulubieńcem, a związek ten uważano we wszechświecie za największą od niepamiętnych

czasów przyjaźń, skoro więc Diabeł powiadali starcy, był obecny przy stworzeniu Adama i Ewy, mógł się nauczyć, jak to należy robić i powtórzył w swym podziemnym świecie stworzenie mężczyzny oraz kobiety, z jedną tylko różnicą, w przeciwieństwie do Boga nie zabronił im niczego, z tego powodu w świecie Diabła nie było grzechu pierworodnego. Jeden ze starców ośmielił się nawet stwierdzić, Skoro nie było grzechu pierworodnego, nie było także żadnego innego. Kiedy starcy odeszli, wypędzeni za pomocą przekonujących kamiennych argumentów przez rozwścieczonych Nazarejczyków, którzy w końcu zorientowali się, dokąd bezbożnicy zmierzają w swej podstępnej rozmowie, nagle zadrżała ziemia, w sumie nic wielkiego, po prostu sygnał potwierdzenia przybyły z najgłębszych czeluści ziemi, wtedy to, bardzo już pojętnemu małemu Jezusowi przyszło do głowy, żeby połączyć skutek ze swą przyczyną.

Iteraz, w obecności Pasterza klęczącego z pochyloną głową, z dłońmi lekko spoczywającymi na ziemi, jak gdyby chciał możliwie najdelikatniej dotykać każdego ziarnka piasku, każdego małego kamyka, każdego korzonka wystającego nad powierzchnię, wspomnienie tamtej starej historii obudziło się w pamięci Jezusa, przez chwilę wierzył on, że ten człowiek jest mieszkańcem tajemnego świata stworzonego przez Diabła na podobieństwo świata widzialnego, Po co tutaj przyszedł, rozmyślał, lecz jego wyobraźnia nie miała odwagi brnąć dalej. Kiedy więc Pasterz powstał, zapytał go, Dlaczego to robisz, Upewniam się, czy ziemia wciąż jest pode mną, Czy twoje stopy to za mało, żeby mieć pewność, Stopy niczego nie rozumieją, poznawanie jest sprawą rąk, kiedy ty uwielbiasz twego Boga, nie unosisz ku niemu stóp, ale ręce, mimo to mógłbyś unosić jakąkolwiek część ciała, nawet to, co masz pomiędzy nogami, o ile nie jesteś eunuchem. Jezus gwałtownie poczerwieniał, wstyd i rodzaj przestachu zaparły mu oddech, Nie obrażaj Boga, którego nie znasz, wykrzyknął wreszcie, po czym odezwał się Pasterz, Kto stworzył twoje ciało, Bóg mnie stworzył, Takiego, jakim jesteś i ze wszystkim, co masz, Tak, Czy jest jakaś część twojego ciała stworzona przez Diabła, Nie, nie, ciało jest dziełem Boga, Zatem wszystkie części twojego ciała są takie same jak Boga, Tak, Czy

Bóg mógłby odrzucić jako nie swoje dzieło na przykład to, co masz pomiędzy nogami, Przypuszczam, że nie, ale Pan, który stworzył Adama, wygnał go z raju, a Adam był jego dziełem, Odpowiadaj mi porządnie, chłopcze, nie mów do mnie jak mędrzec z synagogi, Chcesz mnie zmusić do udzielania takich odpowiedzi, jakie są dla ciebie wygodne, a ja, jeśli będzie trzeba, przytoczę ci wszystkie przypadki, w których człowiek, bo tak nakazał Pan, nie będzie mógł, pod karą nieczystości i śmierci, odkryć nagości obcej albo swojej, co jest dowodem na to, iż ta część ciała sama z siebie jest przeklęta, Nie bardziej przeklęta niż usta,

kiedy rzucają potwarz, a one służą ci przecież do chwaleń twojego Boga przed potwarzą i po kłamstwie, Nie chcę cię słuchać, Musisz mnie słuchać, bo inaczej nie odpowiesz na pytanie, które ci zadałem, Jakie pytanie, Czy Bóg może odrzucić jako nie swoje dzieło to, co nosisz pomiędzy nogami, powiedz tak lub nie, Nie może, Dlaczego, Dlatego, że Pan nie może nie chcieć tego, co wcześniej chciał. Pasterz pokiwał głową i rzekł, Innymi słowy twój Bóg jest jedynym strażnikiem więzienia, w którym jedynym więźniem jest twój Bóg. Jeszcze ostatnie echo strasznego stwierdzenia pobrzmiwało w uszach Jezusa, kiedy Pasterz, teraz tonem fałszywej naturalności, znowu przemówił, Wybierz jedną owcę, powiedział, Co, zapytał zdezorientowany Jezus, Mówię ci, żebyś wybrał owcę, chyba że wolisz kozę, Po co, Będzie ci potrzebna, jeśli rzeczywiście nie jesteś eunuchem. Zrozumienie tego dosięgło chłopca z siłą potężnego ciosu. Jednak najgorszą rzeczą był zawrót głowy wywołany okropną lubieżnością, która na moment wynurzyła się z otchłani wstydu oraz wstrętu. Jezus zakrył twarz dłońmi i powiedział zachrypniętym głosem, Oto jest słowo Pańskie, Jeśli człowiek będzie obcował cielesnie ze zwierzęciem, zostanie ukarany śmiercią i zabijecie zwierzę, powiedział także, Przeklęty, kto ze zwierzęciem zgrzeszy, Powiedział to twój Pan, Tak, i ja mówię ci, żebyś oddalił się ode mnie, bo jesteś stworzeniem nie boskim ale diabelskim. Pasterz wysłuchał, lecz nie poruszył się, jak gdyby pozwalając gniewnym słowom Jezusa pociągnąć za sobą dowolny skutek, porażenie przez piorun, stoczenie przez trąd, nagłą śmierć ciała i duszy. Jednak nic takiego nie zaszło. Podmuch wiatru zawirował pomiędzy kamieniami, wzniesając tuman kurzu, który przeleciał przez pustynię i nic poza tym, cisza, milczący wszechświat przypatrywał się ludziom i zwierzętom, mając być może nadzieję na odkrycie znaczeń przypisywanych mu przez jednych i drugich, takie oczekiwanie trawiło go, a pierwotny ogień już był otoczony popiołami, gdyż odpowiedź nie nadchodziła. W pewnej chwili Pasterz uniósł ramiona i zawołał stentorowym głosem, zwrócony w stronę stada, Słuchajcie, słuchajcie, wy owce, które tam jesteście, słuchajcie, co do was mówi ten uczony chłopiec, że nie wolno z wami współżyć, Bóg na to nie pozwala, możecie być spokojne, ale strzyc was, o tak, męczyć was, o tak, zabijać was, o tak, i zjadać was, bo przecież do tego was stworzyło jego prawo i chroni jego opatrzność. Następnie po trzykroć przeciągle zagwizdał i potrząsnął kosturem nad głową, W drogę, w drogę, krzyknął, a stado ruszyło z miejsca w tym samym kierunku, gdzie zniknął słup kurzu. Jezus stał nieruchomo i patrzył na Pasterza do chwili, gdy jego wysoka postać prawie rozmyła się w oddali i zrezygnowane grzbiety zwierząt zlały się z kolorem ziemi. Nie idę z nim, powiedział, lecz poszedł. Zarzucił worek na ramię, zawiązał rzemienie sandałów należących niegdyś do ojca i ruszył za stadem. Przyłączył się do niego po zapadnięciu nocy, stanął w świetle ogniska i rzekł, Oto jestem.

Czas za czasem goni, jest to sentencja znana i mająca szerokie zastosowanie, jednakże nie tak znów oczywista, jak się może wydawać komuś, kto zadowoli się wąskim znaczeniem słów, już to luźnych, pojedynczych, już to razem połączonych, albowiem wszystko ma swój początek w sposobie mówienia, a ten zmienia się wraz z uczuciami osoby, która je wyraża, nie jest tym samym wypowiedzenie słów przez człowieka pokrzywdzonego przez życie oraz mającego nadzieję na poprawę losu i rzucanie ich tak, jak się rzuca groźby, tak, jak się obiecuje zemstę, którą przyszłość ma spełnić. Najbardziej skrajny przypadek byłby związany z kimś, kto nie mając istotnych tudzież obiektywnych powodów do skarżenia się na swoje zdrowie i samopoczucie, wzdychałby melancholijnie, Czas za czasem goni, tylko dlatego, że z natury rzeczy jest pesymistą skłonny do przewidywania najgorszego. Nie chce się wierzyć, że już w tym wieku Jezus używał takich słów, w jakimkolwiek kontekście by się one pojawiały, ale my, którzy, tak jak Bóg wszystko wiemy o czasie minionym, teraźniejszym i przyszłym, możemy je wypowiadać, mrużyć i szeptać dopóty, dopóki przyglądamy się jego pasterskiej harówce w górach Judy lub w dolinie Jordanu. Raczej nie dlatego, że chodzi tutaj o Jezusa, ale z uwagi na to, że każda istota ludzka ma przed sobą, w każdym momencie swojego życia, rzeczy dobre oraz rzeczy złe, jedne za drugimi, za czasem czas. Skoro Jezus jest oczywistym bohaterem tej ewangelii i nigdy nie miał nie przemyślanego zamiaru sprzeciwienia się temu, co inni napisali i dlatego nie ośmieli się powiedzieć, iż nie stało się to, co się stało, stawiając w miejsce jakiegoś Tak jakieś Nie, zatem skoro Jezus jest tym bohaterem i znane są jego czyny, bardzo łatwo

Czas za czasem goni, jest to sentencja znana i mająca szerokie zastosowanie, jednakże nie tak znów oczywista, jak się może wydawać komuś, kto zadowoli się wąskim znaczeniem słów, już to luźnych, pojedynczych, już to razem połączonych, albowiem wszystko ma swój początek w sposobie mówienia, a ten zmienia się wraz z uczuciami osoby, która je wyraża, nie jest tym samym wypowiedzenie słów przez człowieka pokrzywdzonego przez życie oraz mającego nadzieję na poprawę losu i rzucanie ich tak, jak się rzuca groźby, tak, jak się obiecuje zemstę, którą przyszłość ma spełnić. Najbardziej skrajny przypadek byłby związany z kimś, kto nie mając istotnych tudzież obiektywnych powodów do skarżenia się na swoje zdrowie i samopoczucie, wzdychałby melancholijnie, Czas za czasem goni, tylko dlatego, że z natury rzeczy jest pesymistą skłonny do przewidywania najgorszego. Nie chce się wierzyć, że już w tym wieku Jezus używał takich słów, w jakimkolwiek kontekście by się one pojawiały, ale my, którzy, tak jak Bóg wszystko wiemy o czasie minionym, teraźniejszym i przyszłym, możemy je wypowiadać, mrużyć i szeptać dopóty, dopóki przyglądamy się jego pasterskiej harówce w górach Judy lub w dolinie Jordanu. Raczej nie dlatego, że chodzi tutaj

o Jezusa, ale z uwagi na to, że każda istota ludzka ma przed sobą, w każdym momencie swojego życia, rzeczy dobre oraz rzeczy złe, jedne za drugimi, za czasem czas. Skoro Jezus jest oczywistym bohaterem tej ewangelii i nigdy nie miał nie przemyślanego zamiaru sprzeciwienia się temu, co inni napisali i dlatego nie ośmieli się powiedzieć, iż nie stało się to, co się stało, stawiając w miejsce jakiegoś Tak jakieś Nie, zatem skoro Jezus jest tym bohaterem i znane są jego czyny, bardzo łatwo by nam było podejść do niego i przepowiedzieć mu przyszłość, dobre i wspaniałe życie, cuda, które dadzą jeść, inne, które przywrócą zdrowie, jeden, który zwycięży śmierć, ale nie byłoby to rozsądnym posunięciem, gdyż chłopiec, jakkolwiek dojrzały religijnie i znający się na patriarchach oraz prorokach, cieszy się tęgim sceptycyzmem właściwym temu wiekowi i na pewno zdrowo by nas pogonił. Zmieni poglądy, jak najbardziej, po spotkaniu z Bogiem, lecz to decydujące zdarzenie nie nastąpi jutro, Jezus jeszcze wiele się nachodzi po górach, wydoi wiele kóz i wiele owiec, pomoże przy wyrabianiu sera, pójdzie do wiosek wymieniać towary. Będzie również zabijać zwierzęta chore i okaleczone, będzie je oplakiwać. Nigdy mu się jednak nie zdarzy, niech się uspokoją wrażliwe umysły, ulec straszliwej pokusie wykorzystania, tak jak mu zaproponował złośliwy i wynaturzony Pasterz, owcy albo kozy, lub obydwu, do zaspokojenia i wyładowania brudnego ciała, z którym czysta dusza musi żyć. Zapomnijmy, bo nie ma tu miejsca na intymne analizy możliwe jedynie w przyszłości, o tym, że wielokrotnie po to, by móc się popisywać i przechwalać czystym ciałem, sama dusza obciążała się smutkiem, zazdrością i plugastwem.

Po tych starciach etycznych i teologicznych z pierwszych dni, nawracających wszelako od czasu do czasu, Pasterz wraz z Jezusem wiedli we dwójkę błogie życie, mężczyzna bez żadnego zniecierpliwienia dorosłej osoby uczył chłopca sztuki pasterskiej, a ten chłonał wszystko, jakby od tego w najwyższym stopniu zależało jego życie. Jezus nauczył się rzucać kosturem tak, aby wirował i świszczał w powietrzu, spadając ostatecznie na grzbiety owiec, które z roztargnienia albo zuchwałości oddalały się od stada, była to wszakże bolesna nauka, ponieważ pewnego dnia, kiedy jeszcze nie opanował owej techniki, rzucił kij zbyt nisko, co przyniosło tragiczny rezultat, bowiem na trajektorii znalazła się delikatna szyja kilkudniowego koziołka, który zginął na miejscu. Takie wypadki mogą zdarzyć się komukolwiek, pech nie omija nawet zasłużonych i dyplomowanych pasterzy, jednak biedny Jezus, który przecież nosi ze sobą tyle bólu, przypominał pomnik zgnębienia, kiedy podnosił z ziemi jeszcze ciepłego koziołeczka. Nic już nie można było poradzić, matka koza obwąchała tylko dziecko, po czym odeszła i dalej się pasła, skubiąc obojętnie niską i twardą trawę, powinniśmy przytoczyć tutaj znane powiedzenie, Przyjdzie kozie być na wozie, mające

taki sam sens, jak inne, Co żyje, umrzeć musi. Pasterz przyszedł zobaczyć, co się stało, Nie martw się, to on umarł, a nie ty, Zabiłem go, rozpaczal Jezus, był taki mały, Jasne, bo gdyby to był paskudny i cuchnący kozioł, nie żałowałbyś, albo przynajmniej nie tak, jak teraz, połóż go na ziemi, ja się nim zajmę, a ty idź do tej owcy, która niedługo ma się kocić, Co chcesz zrobić, Obedrę go ze skóry, a co myślałeś, życia mu nie przywrócę, nie potrafię czynić cudów, Przysięgam, że nie będę jadł tego mięsa, Zjedzenie zwierzęcia przez nas zabitego jest jedyną drogą okazać mu szacunek, źle jest, gdy jedni jedzą to, co inni musieli zabić, Nie będę go jadł, Nie jedz, zostanie więcej dla mnie, Pasterz wyciągnął nóż zza pasa, spojrzal na Jezusa i powiedział, Prędzej czy później będziesz się musiał nauczyć patrzeć na to, jak wyglądają w środku zwierzęta, stworzone aby nam służyć i nas żywić. Jezus odwrócił twarz w drugą stronę i zamierzał odejść, ale Pasterz, który powstrzymał ruch noża, rzekł jeszcze, Niewolnicy żyją po to, żeby nam służyć, może powinniśmy ich otwierać, aby się przekonać, czy mają niewolników w środku, a potem otworzyć jakiegoś króla i dowiedzieć się, czy ma innego króla w brzuchu, gdybyśmy zaś spotkali Diabła, a on pozwoliłby nam się otworzyć, być może doznalibyśmy niespodzianki i ze środka wyskoczyłby Bóg. \Mówiliśmy wcześniej o nawracających zderzeniach idei oraz przekonaniach Jezusa i Pasterza, to jest właśnie jeden z przykładów. Z czasem Jezus nauczył się jednak, że najlepszą odpowiedzią jest milczenie, puszczanie mimo uszu prowokacji, nawet jak ta brutalnych, zresztą szczęście mu sprzyja, przecież mogło być gorzej, wyobraźmy sobie skandal, jaki by wyniknął, gdyby Pasterzowi przyszło do głowy otworzyć Boga, żeby zobaczyć, czy w środku jest Diabeł. Jezus poszedł szukać mającej się kocić owcy, przynajmniej tam nie czekały go żadne niespodzianki, pojawił się baranek taki sam jak inne, naprawdę na obraz i podobieństwo matki, będącej ze swej strony wiernym odbiciem sióstr, są takie istoty, nie mają w sobie nic poza tym, jest to pewność spokojnej, a nie stojącej pod znakiem zapytania, ciągłości. Owca już się okociła, leżące na ziemi jagnię zdawało się mieć tylko nogi, matka usiłowała pomóc mu w podniesieniu się, popychając lekko pyskiem, ale oszołomiony malec zaledwie potrafił potrząsać głową, jak gdyby szukał najlepszego kąta widzenia, pozwalającego zrozumieć świat, na który przyszedł. Jezus pomógł mu stanąć na nogach, jego dłonie były wilgotne od płynu z macicy owcy, ale w niczym mu to nie przeszkadzało, oto jaki ma wpływ życie w polu pośród zwierząt, ślina i plwocina nie robią żadnej różnicy, ten baranek urodził się w dobrym czasie, taki ładny, z kędzierzawym włosem, jego różowy i niecierpliwy pyszczek już szukał mleka tam, gdzie ono jest, w tych wymionach, których wcześniej nie widział, o których tylko mógł śnić w brzuchu matki, zaprawdę żadne stworzenie nie może skarżyć się na Boga, skoro już przy narodzinach dowiaduje się o tylu rzeczach. Nieco dalej Pasterz podnosił skórę

koziółka rozciągniętą w kształcie gwiazdy na drewnianych ramach, obdarte ciało, zawinięte w płótno i umieszczone teraz w worku, zostanie nasolone, kiedy stado zatrzyma się na nocleg, wyjąwszy część, z której Pasterz postanowi przyrządzić sobie kolację, gdyż Jezus stwierdził już, że nie będzie jadł mięsa, któremu niechcący odebrał życie. Jezusowe skrupuły są czymś wywrotowym w stosunku do wyznawanej przezeń religii i przestrzeganych zwyczajów, przypomnijmy sobie te wszystkie niewinne istoty poświęcane codziennie na Pańskich ołtarzach, zwłaszcza w Jerozolimie, gdzie ofiary liczone są na hekatombę. W gruncie rzeczy przypadek Jezusa, na pierwszy rzut oka niezrozumiały na tle okoliczności czasu i miejsca, może być zaledwie kwestią wrażliwości, doświadczeń na żywym mięsie można rzec, przypomnijmy sobie, jak niedawno miała miejsce tragiczna śmierć Józefa, jak niedawno dokonały się nieznośne objawienia związane z wydarzeniami w Betlejem sprzed piętnastu lat, zaiste dziwić się należy, że ten chłopiec nie postradał jeszcze rozumu i że wciąż działają kółka i trybiki w jego mózgu, pomimo tych nie dających mu spokoju snów, nie mówiliśmy o nich ostatnio, ale cały czas są obecne. Kiedy cierpienie przybiera na sile, udzielając się całemu stadu, które budzi się w środku nocy, sądząc, że nadchodzi śmierć, Pasterz cuci go łagodnie, Co to jest, co to jest, mówi, a Jezus wyrывa się z koszmaru prosto w jego ramiona, jakby to był nieszczęsny ojciec. Pewnego dnia, na samym początku, Jezus opowiedział Pasterzowi o swoich snach, próbując jednak ukrywać przyczyny swej nocnej i codziennej agonii, ale Pasterz rzekł, Nie musisz, nie warto byś mi opowiadał, wiem o wszystkim, nawet o tym, co usiłujesz przede mną ukryć. Było to w dniach, gdy Jezus zarzucał Pasterzowi brak wiary oraz wady i niegodziwości, które się rozpoznawało w jego zachowaniu, włącznie z seksualnymi, niechże będzie wybaczony powrót do tego zagadnienia. Jednak Jezus, jeśli dobrze mu się przyjrzymy, nie miał na świecie nikogo poza rodziną, od której odszedł i o której niemal zapomniał, pamiętał tylko o matce, zawsze będącej przecież matką, tą, która nam dała istnienie, i której czasami miało się ochotę powiedzieć, Byłoby lepiej, gdybyś nie dawała, oprócz matki tylko siostra Lizja, nie wiadomo zresztą dlaczego, obecna była w jego pamięci mającej swe własne powody do zapominania i do pamiętania. Wobec takiego stanu rzeczy, Jezus w końcu dobrze się poczuł w towarzystwie Pasterza, wyobraźmy sobie, jaką pociechą dla nas samych byłaby świadomość, że nie żyjemy z naszą winą w samotności, że mamy

* u boku kogoś, kto ją zna, kto nie musząc udawać, że wybacza coś, dla czego nie ma wybaczenia, zakładamy, iż byłby w stanie wybaczać, postępowałby z nami uczciwie, posługując się dobrocią i surowością według zasad sprawiedliwości, na jaką zasługiwałaby ta nasza część, która otoczona winami, zachowała pewną niewinność. Przyszło nam do głowy,

aby wyjaśnić to teraz, wykorzystując sposobność, dzięki temu łatwiej będzie zrozumieć i przyjąć za słuszne przyczyny, dla których Jezus, pod każdym względem różniący się od swego nieokrzesanego gospodarza, w końcu z nim pozostanie aż do zapowiedzianego spotkania z Bogiem, spotkania, po którym wiele trzeba oczekiwać, bowiem Bóg nie pojawiłby się zwykłemu śmiertelnikowi bez poważnego powodu.

Najpierw jednak, zbiegi okoliczności, przypadki i trafy, o których tak wiele tutaj mówimy, sprawią, że Jezus spotka matkę i kilkoro ze swego rodzeństwa przy okazji tej pierwszej Paschy, którą, jak sądził, spędzi z dala od rodziny. Fakt, iż Jezus chciał świętować Paschę w Jerozolimie, mógł Pasterza wprawić w zdziwienie i wywołać jego sprzeciw, bo skoro przebywają na pustyni, a stado wymaga nieustannej troski i opieki, zaś Pasterz nie jest Żydem ani nie oddaje czci żadnemu bogu, istniało prawdopodobieństwo, że nawet z powodu antypatycznej przekory, powie on tak, Nigdzie nie pójdziesz, o nie, twoje miejsce jest tutaj, a ponadto ja jestem gospodarzem i na razie nie biorę sobie wolnego. Trzeba jednak przyznać, że do tego nie doszło, Pasterz zapytał tylko, Wrócisz, choć z tonu głosu można było wnosić, że jest pewien powrotu Jezusa, zresztą chłopiec tak właśnie odpowiedział, bez wahania, chociaż sam był zaskoczony swoją natychmiastową reakcją, Wróć, Wybierz zatem czystego i zdrowego baranka i weź go na ofiarę, skoro tak bardzo jesteście przywiązani do waszych zwyczajów, lecz Pasterz powiedział to tytułem próby, chciał zobaczyć, czy Jezus będzie w stanie powieść na śmierć baranka ze stada, którego ochranianie kosztowało ich tyle wysiłku. Jezusa nikt nie przestrzegł, żaden anioł, z tych małych i prawie niewidzialnych, nie zbliżył się do niego i nie szepnął mu do ucha, Uważaj, to pułapka, nie wierz mu, ten osobnik zdolny jest do wszystkiego. Jego prosta wrażliwość podsunęła mu dobrą odpowiedź, jakkolwiek, kto wie, mogło to być wspomnienie martwego koziołka i narodzonego jagnięcia, Nie chcę baranka z tego stada, powiedział, Dlaczego, Nie zabiorę na śmierć tego, co przy mojej pomocy urosło, Wydaje mi się to bardzo słuszne, lecz z pewnością masz zamiar poszukać go sobie w innym stadzie, Nie mogę tego uniknąć, baranki nie spadają z nieba, Kiedy chcesz wyru-

-

I szyć, Jutro rano, I wrócisz, Wróć. Na ten temat nie powiedzieli nic więcej, pomimo naszych wątpliwości wynikających z faktu, iż niebogaty i pracujący za wyżywienie Jezus będzie musiał w jakiś sposób kupić paschalnego baranka. Należy domniemywać, że skoro nie nęcą go pokusy związane z wydawaniem pieniędzy, ma jeszcze przy sobie tych kilka monet otrzymanych od faryzeusza prawie rok temu, jednakże, jak wiadomo, mało zawsze oznacza mało, zaś w tym okresie ceny bydła, a zwłaszcza baranków, windowane są na tak spekulacyjny poziom, że doprawdy tylko Bóg nas może wesprzeć. Pomimo zła, które

dotykało tego chłopca, miałyby się ochotę stwierdzić, że czuwa nad nim i strzeże go jakaś dobra gwiazda, jednak byłyby bardzo podejrzaną słabością, przede wszystkim w ustach ewangelisty, tego albo jakiegokolwiek innego, utrzymywanie, że tak bardzo oddalone od naszej planety ciała niebieskie mogą wywierać na istotę ludzką wpływy odecydującym znaczeniu, niezależnie od tego, co mówili o swych związkach z owymi gwiazdami odbywający nad nimi studia napsuszeni czarnoksiężnicy, którzy, jeśli to prawda, niegdyś przemierzali te pustkowia, patrząc na to, co było do zobaczenia i odchodząc w swoją stronę. Celem tej długiej i żmudnej przemowy jest stwierdzenie, że nasz Jezus z pewnością znajdzie sposób na godne stawienie się w Świątyni ze swym jagniątkiem, udowadniając, iż jako dobry Żyd potrafi stanąć na wysokości zadania, pomimo wszelkich trudności związanych z wcześniejszymi gwałtownymi starciami z Pasterzem.

W owym czasie stado wypasało się na zasobnych pastwiskach doliny Ajjalonu, rozciągającej się pomiędzy miastami Gezer i Emaus. W Emaus Jezus usiłował zarobić trochę pieniędzy, za które mógłby kupić potrzebnego mu baranka, lecz z miejsca doszedł do wniosku, iż po rokuzajmowania się pasterstwem nie jest zdolny do wykonywania innej pracy, ze stolarstwem włącznie, choć i w tym rzemiośle, z braku czasu, niewielką zdobył wprawę. Ruszył więc drogą wiodącą z Emaus do Jerozolimy, rozmyślając nad swym trudnym życiem, wiemy już, że kupić nic nie może, wcześniej dowiedzieliśmy się zaś, że kraść nie chce, zatem bardziej cudem niżli szczęśliwym zrzędzeniem losu byłoby znalezienie przez niego baranka zagubionego na drodze do Emaus. Nie brakuje tutaj tych niewiniątek, na sznurku przywiązanych do szyi wloką się za rodzinami, chyba, że litościwy pan weźmie któregoś na rękę, lecz wbiwszy sobie w młode głowy, że udają się na spacer, podniecone i zdenerwowane chcą się wszystkiego dowiedzieć, a skoro nie mogą zadawać pytań, posługują się oczami, jak gdyby wystarczały one do zrozumienia świata zbudowanego ze słów. Jezus usiadł na kamieniu na skraju drogi, myśląc o sposobie rozwiązania problemu materialnego uniemożliwiającego spełnienie powinności duchowej, próżne nadzieje na pojawienie się, na przykład, jakiegoś innego faryzeusza, albo nawet tego samego, o ile z podobnych aktów czyni codzienną praktykę, który by zapytał, Potrzebujesz baranka, tak jak wcześniej, Jesteś głodny. Za pierwszym razem Jezus nie musiał prosić o jałmużnę, ażeby mu ją dano, teraz, bez pewności, że dadzą, zmuszony będzie do proszenia. Już wyciągnął dłoń, pozycja ta nie wymaga objaśnień, jest tak wymowna, z kolei siła jej wyrazu powoduje, iż najczęściej odwracamy od niej wzrok tak samo, jak odwracamy od ropiejącej rany czy od sprośności. Kilku mniej roztargnionych wędrowców wrzuciło monety do muszli Jezusowej dłoni, lecz było ich tak mało, że z pewnością nie skrócą drogi z Emaus do bram Jerozolimy. W sumie,

pieniędzy już przez niego posiadanych oraz tych ofiarowanych nie wystarczy nawet na połowę baranka, wiadomo zaś aż za dobrze, iż Pan nie dopuszcza na swe ołtarze niczego, co nie jest doskonale i kompletne, z tego powodu odrzuca zwierzę ślepe, kulawe lub okaleczone, pryszczate lub z brodawkami, wyobraźmy sobie skandal w Świątyni, gdybyśmy przywiedli na ofiarę zwierzę, które miałyby zdeptane, zgniecione, zmiążdżone lub obcięte jądra, wykluczenie go byłoby również przesądzone. Nikt nie pamięta, żeby zapytać chłopca, do czego mu są potrzebne pieniądze, słowa te zostały zapisane akurat wtedy, gdy wiekowy mężczyzna z długą białą brodą zbliżał się do Jezusa, opuszczając swą liczną rodzinę, która z szacunku dla patriarchy zatrzymała się na środku drogi, aby na niego zaczekać. Jezus pomyślał, że oto nadchodzi kolejna moneta, ale omylił się. Starzec zapytał go, Kim jesteś, a chłopiec wstał, żeby odpowiedzieć, Jestem Jezus z Nazaretu, Nie masz rodziny, Mam, Dlaczego więc nie jesteś z nią, Przybyłem do Judei pracować jako pasterz, był to kłamliwy sposób mówienia prawdy albo postawienie prawdy w służbie kłamstwa. Starzec popatrzył na niego z wyrazem nie zaspokojonej ciekawości i na koniec go zapytał, Dlaczego prosisz o jałmużnę, skoro masz zajęcie, Pracuję za jedzenie i nie starcza mi pieniędzy na kupno paschalnego baranka, Dlatego żebrzesz, Tak. Starzec dał znak jednemu z mężczyzn ze swej grupy, Daj jednego baranka temu chłopcu, kupimy drugiego po dotarciu do Świątyni. Mieli sześć jagniąt związanych jednym sznurem, mężczyzna odwiązał ostatniego i przyprowadził go do starca, który powiedział, Masz tu twojego baranka, tym sposobem Pan nie odczuje braku ofiar, gdy nadejdzie ta Pascha, i nie czekając na podziękowania, przyłączył się do rodziny, a ona przyjęła

I go wśród radosnej wrzawy. Jezus podziękował im, kiedy nie mogli go już usłyszeć, nie wiadomo jak i dlaczego droga w tej samej chwili nagle opustoszała, pomiędzy dwoma zakrętami zostali tylko oni dwaj, chłopiec i baranek, połączeni dzięki dobremu uczynkowi starego Żyda. Jezus trzyma postronek, do którego przywiązane jest jagnię, zwierzę spojrzało na swego nowego właściciela i zabeczało, drżące i nieśmiałe meee jest głosem wydawanym przez baranki, które umierają młodo, gdyż tak bardzo ukochali je bogowie. Jezus słyszał to już tyle tysięcy razy w swym niedawno rozpoczętym pasterskim życiu, więc naturalną kolejną rzeczy mocniej zabiło mu serce i poczuł rozdzierający ciało żal, oto właśnie, tak jak nigdy przedtem, był absolutnym panem życia i śmierci drugiej istoty, tego białego, nieskazitelnego baranka, pozbawionego woli tudzież pragnień, z ufnością unoszącego ku niemu pytający pyszczek. Kiedy beczał, widać było jego różowy język, różowe były też okryte z wierzchu delikatnymi włoskami uszy, różowe były jeszcze pazurki, które nigdy nie stwardnieją i nie zmieniają się w kopyta. Jezus pogłaskał baranka po głowie, a ten odpowiedział, unosząc ją i

muskając wnętrze jego dłoni wilgotnym językiem, od czego Jezus aż się wzdrygnął. Chwile urzeczenia szybko minęły, od strony Emaus nadciągało kłębowisko pielgrzymów, tunik, worków, kosturów, baranków i pochwalnych okrzyków. Jezus wziął swego baranka na rękę, tak jak się bierze dziecko, i rozpoczął marsz.

Ostatni raz był w Jerozolimie tamtego pamiętnego dnia, gdy przywiodła go tu potrzeba poznania wartości win i wyrzutów sumienia oraz sprawdzenia, czy można z nimi żyć, już to dzieląc z innymi jak odziedziczone dobra, już to trzymając tylko dla siebie, jak własną śmierć. Tłum na ulicach podobny był do rzeki szarego błota, której ujście znajdowało się na wielkim placu przed schodami Świątyni.

Z barankiem na ręku Jezus obserwował przemierzających się we wszystkich kierunkach ludzi, jedni nieśli ze sobą zwierzęta ofiarne, inni już ich nie mieli, z rozradowanymi obliczami wykrzykiwali Alleluja, Hosanna, Amen, albo nie mówili nic, uznając że nie uchodzi przy takiej okazji, tak samo jak nie usłoby wydzieranie się Ewoe lub Hip hip hurra, mimo iż w gruncie rzeczy różnice pomiędzy tymi wyrażeniami nie są tak duże, jak się wydaje, stosujemy je bowiem w rozumieniu kwintesencji wspaniałości, po czym z upływem czasu stają się powszednie, a my powtarzając je, pytamy, Do czego to w końcu służy, i nie potrafimy już odpowiedzieć. Ponad Świątynią, ciągnący się wysoko słup skłębionego dymu, pokazywał całej okolicy, że wszyscy, którzy składali tu swe ofiary, byli w prostej linii potomkami Abla, owego syna Adama i Ewy, który w tamtym czasie składał dla w ofierze pierwociny ze swej trzody i z ich tłuszczu, chętnie pr podczas gdy jego brat Kain, nie mając do ofiarowania niczego zwykłe płody roli, zobaczył, że Pan, do dziś zresztą nie wiadom czego, odwrócił od nich swój wzrok i na niego też nie chciał pa Skoro z tego powodu Kain zabił Abla, dziś możemy się już nie mować, ci ludzie nie pozabijają się nawzajem, ponieważ wszyscy rowują to samo, wystarczy zobaczyć, jak skwierczy tłuszcz i s się mięso, Bóg w swej siedzibie na wysokościach wdycha z roz' zapachy rzezi. Jezus przycisnął baranka do piersi, nie rozumie, czego Bóg nie zgadza się, by na jego ołtarzu rozlewano mleko, istnienia przechodzący od jednej istoty do drugiej, albo by rozs wano gestem siewcy garść pszenicy, podstawowej treści nieśmi nego chleba. Jego baranek, który tak niedawno był zachwycają podarunkiem ofiarowanym chłopcu przez starca, nie zobaczy dzi szego wschodu słońca, trzeba już pokonać schody do Świątyni, tr oddać go pod nóż i rzucić na pastwę ognia, tak jakby nie zasługi on na dalsze życie albo popełnił przeciwko wiecznemu strażni' pastwisk i legend przestępstwo polegające na pojeniu się wodą z r życia. Wtedy Jezus, jak gdyby narodziło się w nim jakieś nowe ś ło, postanowił, wbrew szacunkowi i posłuszeństwu, wbrew prawu nagogi i słowu Boga, że ten baranek nie umrze, że to, co mu zos dane na śmierć,

będzie żyć i że przybywszy do Jerozolimy w złożenia ofiary, opuści ją jako jeszcze większy grzesznik, niż kiedy wchodził, mało mu już było dawniejszych przewinień, teraz po nowe i nadejdzie dzień, albowiem Bóg nie zapomina, kiedy bę musiał za wszystkie zapłacić. Przez chwilę zawahał się powodow strachem przed karą, ale umysł w błyskawicznej wizji przedstawił przerażający obraz nieskończonego morza krwi, krwi niezliczon baranków oraz innych zwierząt złożonych w ofierze od stworze człowieka, gdyż właśnie po to ludzkość została umieszczona na t świecie, aby uwielbiać i składać ofiary. Te wyobrażenia niepokoiły tak bardzo, że wydawało mu się, iż całe schody wiodące do Świąt zalane były czerwienią spływającą stopień po stopniu, a on sam stoj po kostki we krwi, unosi do nieba swojego baranka z uciętą głó. Zamyślony Jezus był jak ktoś, kogo zamknięto w bąbelku ciszy, le zniemacka bąbelek pękł i rozpadł się na kawałki, a on ponownie z nurzył się w zgielku słów, dziękczynień, nawoływań, krzyków, pieś patetycznych głosów baranków, nagle wszystko to ucichło za spra głębokiego, trzykrotnie powtózonego beczenia szofaru, długiego, sp owego syna Adama i Ewy, który w tamtym czasie składał dla Pańc w ofierze pierwociny ze swej trzody i z ich tłuszczu, chętnie przyjęte podczas gdy jego brat Kain, nie mając do ofiarowania niczego ponac zwykłe płody roli, zobaczył, że Pan, do dziś zresztą nie wiadomo dlaczego, odwrócił od nich swój wzrok i na niego też nie chciał patrzeć. Skoro z tego powodu Kain zabił Abła, dziś możemy się już nie przejmować, ci ludzie nie pozabijają się nawzajem, ponieważ wszyscy ofiarowują to samo, wystarczy zobaczyć, jak skwierczy tłuszcz i smażyć się mięso, Bóg w swej siedzibie na wysokościach wdycha z rozkosze zapachy rzezi. Jezus przycisnął baranka do piersi, nie rozumie, dla czego Bóg nie zgadza się, by na jego ołtarzu rozlewano mleko, sol istnienia przechodzący od jednej istoty do drugiej, albo by rozsypy wano gestem siewcy garść pszenicy, podstawowej treści nieśmiertel nego chleba. Jego baranek, który tak niedawno był zachwycającym podarunkiem ofiarowanym chłopcu przez starca, nie zobaczy dzisiaj szego wschodu słońca, trzeba już pokonać schody do Świątyni, trzeb« oddać go pod nóż i rzucić na pastwę ognia, tak jakby nie zasługiwa on na dalsze życie albo popełnił przeciwko wiecznemu strażników pastwisk i legend przestępstwo polegające na pojeniu się wodą z rzek życia. Wtedy Jezus, jak gdyby narodziło się w nim jakieś nowe świat ło, postanowił, wbrew szacunkowi i posłuszeństwu, wbrew prawu sy nagogi i słowu Boga, że ten baranek nie umrze, że to, co mu został« dane na śmierć, będzie żyć i że przybywszy do Jerozolimy w celi złożenia ofiary, opuści ją jako jeszcze większy grzesznik, niż kiedy ti wchodził, mało mu już było dawniejszych przewinień, teraz popełni nowe i nadejdzie dzień, albowiem Bóg nie zapomina, kiedy bę musiał za wszystkie zapłacić. Przez chwilę zawahał się powodowan; strachem przed karą, ale umysł w błyskawicznej wizji przedstawił mi

przeróżający obraz nieskończonego morza krwi, krwi niezliczonych baranków oraz innych zwierząt złożonych w ofierze od stworzeni; człowieka, gdyż właśnie po to ludzkość została umieszczona na tym świecie, aby uwielbiać i składać ofiary. Te wyobrażenia niepokoiły go tak bardzo, że wydawało mu się, iż całe schody wiodące do Świątyni zalane były czerwienią spływającą stopień po stopniu, a on sam stojąc po kostki we krwi, unosi do nieba swojego baranka z uciętą głową. Zamyślony Jezus był jak ktoś, kogo zamknięto w bąbelku dszy, lecz zniecka bąbelek pękł i rozpadł się na kawałki, a on ponownie za nurzył się w zgiełku słów, dziękczynień, nawoływań, krzyków, pieśń patetycznych głosów baranków, nagle wszystko to udchnęło za sprawą głębokiego, trzykrotnie powtózonego beczenia szofaru, długiego, spiętego baraniego rogu, z którego zrobiono trąbę. Owijając jagnię w worek, jak gdyby chcąc je uchronić przed czyhającym nań zagrożeniem, Jezus wybiegł z placu i zapuścił się w najwęższe uliczki, nie przypominając sobie zupełnie tym, w jakim kierunku zmierza. Kiedy się odopamiętał, był na polu, wyszedł z miasta przez północną bramę od strony Ramali, tę samą, którą wszedł, przybywając z Nazaretu. Usiadł na - pod jakąś oliwką na skraju drogi i wyciągnął baranka z worka, nikt żyjący by się nie dziwił, widząc go w tym miejscu, każdy by sobie pomyślał, że odpoczywa strudzony marszem, nabiera sił przed zaprowadzeniem a - baranka do Świątyni, jaki on piękny, lecz my nie dowiemy się, kogo miałby na myśli mówiący te słowa, Jezusa, czy może baranka. Naszym zdaniem piękni są obaj, ale gdybyśmy mieli głosować, to bez namysłu przyznalibyśmy palmę pierwszeństwa jagnięciu, pod jednym wszakże warunkiem, nie może urosnąć. Jezus leży na plecach, trzymając za kark, nie postronka, żeby baranek nie uciekł, ale niepotrzebne są aż takie środki ostrożności, jako że nieboraczek już ledwie żyje, nie tylko z powodu młodego wieku, ale również ze zmęczenia zamieszaniem, i bieganiną, przenoszeniem z miejsca na miejsce, nie mówiąc o małej ilości pożywienia, które dostał rano, bo przecież nawet męczennikowi nie przystoi iść na śmierć z pełnym żołądkiem. Leży więc sobie Jezus, już mu się uspokoił oddech, i patrzy w niebo przez gałęzie oliwki, którymi porusza łagodny wiatr, przez co w jego oczach tańczą promienie słońca przemykające się pomiędzy liśćmi, chyba już będzie około szóstej godziny, zenitowe światło skraca cienie, nikt by nie powiedział, że noc zgasi swym powolnym oddechem to obecne oczarowanie. Jezus już wypoczął, przemawia teraz do baranka, Zabiorę cię do stada, mówi i zaczyna się podnosić. Droga przechodzą jacyś ludzie, a za nimi idą następni, kiedy Jezus zatrzymuje wzrok na tamtych, w pierwszym odruchu chce uciekać, lecz z pewnością tego nie uczyni, jakże by śmiał, skoro nadchodzi jego matka wraz z kilkorgiem rodzeństwa, są tam ci najstarsi, Jakub, Józef i Judasz, idzie też Lizja, ale to przecież kobieta, wspomina się o niej osobno a nie w kolejności, która by jej przypadła, gdybyśmy

przestrzegali porządku starszeństwa, pomiędzy Jakubem i Józefem. Jeszcze go nie zobaczyli. Jezus idzie drogą, znowu ma baranka na rękach, ale tym razem można podejrzewać, że czyni tak, aby mieć je zajęte. Pierwszym, który go dostrzega, jest Jakub, unosi ramię, a potem pospiesznie mówi coś do matki, Maria patrzy i oboje przyspieszają kroku, dlatego Jezus też się poczuwa do pokonania swojego odcinka drogi, jednak mając na rękach baranka, nie może biec, tyle czasu zajmuje opisywanie tego, że wydaje się, iż nie chcemy, by doszło do ich spotkania, wcale jednak tak nie jest, miłość matczyna, braterska i synowska dodałaby im skrzydeł, lecz istnieją jakieś zahamowania, jakieś skrępowanie, wiemy, w jaki sposób się pożegnali, nie wiemy, jaki skutek odniosło tyle miesięcy rozstania oraz brak wiadomości. Idąc, zawsze się dochodzi, oto stoją przed sobą, Jezus mówi, Bądź błogosławiona, matko, a matka rzecze, Niech cię Pan błogosławi, mój synu. Uściskali się, potem przyszła kolej na braci i na koniec na Lizję, zgodnie z tym, co przewidywaliśmy, nikt nie wiedział, co ma mówić, przecież Maria nie zapyta syna, Co za niespodzianka, ty tutaj, ani on matki, Nie spodziewałem się, że cię tu spotkam, po co przyszedłeś do miasta, dwa baranki, jego i ich, bo oni też mieli swojego, mówiły same za siebie, przecież to Pańska Pascha, różnica polega na tym, że jeden zginie, a drugi już się uratował. Ani razu nie dałeś znaku życia, rzekła w końcu Maria i w tym momencie trysnęły jej z oczu łzy, był to jej pierworodny syn, taki wysoki, męska twarz z kielkującą brodą, pociemniała od pustynnego słońca, wiatru i kurzu. Nie płacz matko, mam zajęcie, jestem pasterzem, Pasterzem, Tak, Zależało mi na tym, abyś parał się rzemiosłem, którego nauczył cię twój ojciec, Wypadło, że zostałem pasterzem, Kiedy wrócisz do domu, Tego nie wiem, pewnego dnia, Przynajmniej chodź z twoją matką i braćmi, pójdziemy razem do Świątyni, Nie pójdę do Świątyni, matko, Dlaczego, masz jeszcze ze sobą twojego baranka, Ten baranek nie pójdzie do Świątyni, Ma jakąś wadę, Nie ma żadnej, ten baranek umrze swą naturalną śmiercią, Nie rozumiem cię, Nie musisz rozumieć, jeśli ratuję tego baranka, to robię to dlatego, aby i mnie ktoś uratował, A więc, nie pójdiesz z twoją rodziną, Już szedłem z powrotem, Dokąd idziesz, Idę tam, gdzie jest moje miejsce, do stada, A gdzie ono przebywa, Teraz jest w dolinie Ajjalonu, Gdzie jest ta dolina Ajjalonu, z drugiej strony, Z drugiej strony czego, Betlejem. Maria cofnęła się o krok, zbladła, widać było, jak bardzo się postarzała pomimo swych zaledwie trzydziestu lat, Dlaczego mówisz o Betlejem, zapytała, Bo tam spotkałem pasterza, który jest moim zwierchnikiem, Kim on jest, i zanim syn zdążył odpowiedzieć, zwróciła się do pozostałych, Idźcie dalej i zaczekajcie na mnie przy bramie, po czym chwyciła Jezusa za rękę i pociągnęła go na skraj drogi, Kim on jest, powtórzyła, Nie wiem, odrzekł Jezus, Ma imię, Nawet jeśli ma, nie powiedział mi, nazywam go Pasterzem, nic ponadto, Jaki jest, Duży, Gdzie byłeś, kiedy go spotkałeś, W jaskini, w

której się urodziłem, Kto cię tam zaprowadził, Niewolnica zwana Zelomi, która była przy moim narodzeniu, To on, Jaki on, Co ci powiedział, Nic, o czym byś wiedziała. Maria opadła na ziemię jak pchnięta jakąś potężną dłoń. Ten człowiek jest demonem, Skąd wiesz, powiedział ci to, Nie, pierwszym razem, gdy go widziałam, powiedział, że jest aniołem, ebym nikomu o tym nie mówiła, Kiedy go widziałas, W dniu, którym twój ojciec dowiedział się, że jestem brzemienna po raz pierwszy, pojawił nam się przed drzwiami jako żebrak i stwierdził, jest aniołem, Widziałas go później, Na drodze, kiedy ja i twój ojciec liśmy do Betlejem na spis, w jaskini, w której się urodziłeś i w nocy twoim odejściu, wszedł na podwórko, pomyślałam, że to ty, ale był on, widziałam go przez szparę w drzwiach, jak wyrwał to zewo, które rosło przy wejściu, pamiętasz, drzewo, które urodziło się w miejscu, gdzie została zakopana miska z błyszczącą ziemią, Jaka iska, jaka ziemia, Nigdy ci o tym nie mówiłam, zanim żebrak sobie szedł, dał mi w misce, z której jadł, błyszczącą ziemię, żeby z ziemi wyszło światło, naprawdę potrzeba anioła, na początku uwierzyłam, e nim jest, ale diabeł też ma swoje sztuki. Jezus usiadł obok matki puścił baranka samopas, Tak, już zrozumiałem, że gdy jeden i drugi gadają się ze sobą, nie można odróżnić anioła Pańskiego od anioła zatańskiego, powiedział, Zostań z nami, nie wracaj do tego człowie, prosi cię o to twoja matka, Obiecałem, że wrócę, dotrzymam słowa, iabłowi można obiecywać tylko po to, żeby go oszukać, Ten człowiek, który nie jest człowiekiem, dobrze o tym wiem, ten anioł albo en demon towarzyszy mi od urodzenia i chcę wiedzieć dlaczego, Jeusie, mój synu, chodź do Świątyni razem z twoją matką i z twoimi rękami, zabierz tego baranka na ołtarz, bo takie jest jego przeznaczenie i twoja powinność, poproś Pana, aby cię uwolnił od opętania i złych myśli, Ten baranek umrze, gdy nadejdzie jego dzień, Dziś jest jego dzień, Matko, baranki, które narodziły się z ciebie, będą musiały umrzeć, ale ty nie chcesz, by umarły zanim nadejdzie ich czas, Baranki nie są ludźmi, zwłaszcza, gdy ci ludzie są dziećmi, Kiedy Pan kazał Abrahamowi zabić jego syna Izaaka, nie było żadnej różnicy, Jestem prostą kobietą, nie potrafię ci odpowiedzieć, proszę cię tylko, żebyś porzucił te złe myśli, Moja matko, myśli są tym, czym są, przechodzącymi cieniami, i same w sobie nie są ani dobre ani złe, tylko czyni się liczą, Niech będzie pochwalony Pan, który mnie, biednej i ciemnej, dał mądrego syna, ale powtarzam ci, że to nie jest nauka Boska, Od Diabła też się można uczyć, A ty jesteś w jego władzy, jeśli to dzięki jego władzy ten baranek zachował życie, dziś na świecie miało miejsce zwycięstwo. Maria nie odpowiedziała. Od strony miejskiej bramy zbliżał się Jakub. Maria wstała, Odnalazłam mego syna i z powrotem go stradłam, rzekła, a Jezus odpowiedział, Jeżeli nie stradłaś go do tej pory, to i teraz go nie stradłaś. Włożył rękę do worka, wyciągnął zgromadzone po prośbie pieniądze, To wszystko, co mam, Tyle miesięcy i tak mało, Pracuję za jedzenie, Bardzo musisz być

przywiązany do twojego zwierznika, skoro tak niewiele ci potrzeba do szczęścia, Pan jest moim pasterzem, Nie obrażaj Boga, ty który żyjesz z demonem, Kto wie, moja matko, kto wie, może jest to anioł służący innemu bogu, mieszkającemu w innym niebie, Pan powiedział Ja jestem Panem, nie będziesz miał innego boga przede mną, Amen, zakończył Jezus. Wziął jagnię na ręce i powiedział, Już idzie Jakub, żegnaj moja matko, a Maria tak się odezwała, Zdaje się, że więcej miłość masz dla tego baranka niż dla rodziny, W tej chwili tak, odrzekł Jezus. Dławiąc się bólem i oburzeniem, Maria zostawiła go i pobiegła w kierunku drugiego syna. Nie obejrzała się ani razu.

Po drugiej stronie murów, inną drogą, poprzez pola, Jezus rozpoczął długie schodzenie w dolinę Ajjalonu. Zatrzymał się w jakiejś wiosce i za pieniądze, których matka nie chciała przyjąć, kupił coś do jedzenia, trochę chleba, fig oraz mleka dla siebie i dla baranka, było to mleko owcze, jeśli nawet istniały jakieś różnice, to i tak się ich nie dostrzegało, przynajmniej w tym wypadku można przyjąć, że jedna matka jest taka sama jak druga. Ktoś, widząc go tam o tej godzinie, jak wydaje pieniądze na baranka, który już powinien nie żyć, nie mógł wiedzieć, że ten chłopiec był wcześniej właścicielem dwóch baranków, jednego ofiarował na chwałę Pańską, a tego odrzucił sam Pan, bowiem miał wadę, rozerwane ucho, O proszę, No, ale przedeź ucho jest całe, powiedziałby, Jeśli jest, to sam je rozerwę, rzekłby na to Jezus, i biorąc baranka na ramię, odszedłby w swoją stronę. Dostrzegł stado, kiedy dogasało już ostatnie wieczorne światło, szybciej niż zwykle, bowiem niebo zaszło demnymi, niskimi chmurami. Czuć było napięcie zwiastujące burzę i na potwierdzenie tego pierwsza błyskawica rozdarła powietrze dokładnie wtedy, gdy stado ukazało się oczom Jezusa. Nie padało, była to jedna z tych burz, które określamy suchymi, są one straszniejsze od innych, bowiem czujemy się wobec nich naprawdę bezbronni, nie ma zasłony, tak ją nazwijmy, zresztą nigdy byśmy jej sobie tak nie wyobrażali, z deszczu i z wiatru, doprawdy ta bitwa jest bezpośrednim starciem pomiędzy rozdzierającym się i grmiącym niebem oraz drżącą i kurczącą się ziemią, niezdolną odpowiedzieć na ciosy. O sto kroków od Jezusa oślepiające, nieposkromione światło rozszczerpiło od góry do dołu drzewo oliwne, które natychmiast się zapaliło z wielką mocą, jakby to była jakaś pochodnia. Wstrząs i grzmot rozdarły niebo od horyzontu do horyzontu, obezwładniając Jezusa i powalając go na ziemię. Jeszcze dwa kolejne pioruny uderzyły tu i tam jak ostateczne słowa, po czym stopniowo grzmoty zaczęły się oddalać, aż stały się przyjemnym pomrukiem, przyjacielską rozmową między niebem i ziemią. Baranek, który wyszedł z upadku bez szwanku, nie bał się już, podszedł do Jezusa i dotknął pyszczkiem jego ust, wcale go nie obwąchiwał, dotknął tylko, lecz wszystko inne było zbędne, dlatego byśmy mieli wątpić. Jezus otworzył oczy,

zobaczył baranka, a potem ciemne niebo przypominające czarną rękę, która dusiła to, co pozostało z dnia. Drzewo oliwne wciąż płonęło. Robiąc ruch, Jezus poczuł ból, ale zorientował się, że panuje nad swym ciałem, o ile zwrot ten jest na miejscu w odniesieniu do czegoś, co z taką łatwością może zostać zniszczone i rzucone na ziemię. Z trudem zdołał usiąść i bardziej na wycucie, niż dzięki pewności zmysłu wzroku upewnił się, że nie jest poparzony ani sparaliżowany, że nic sobie nie złamał, i poza nieznośnym szumem w głowie, który zdawał się nie mieć końca i przypominał charczenie szofaru, był zdrow i cały. Przyciągnął baranka do siebie i szukając słów tam, gdzie nie był pewny ich obecności, powiedział, Nie bój się, on chciał ci tylko pokazać, że gdyby zapragnął, mógłby cię zabić, mnie zaś powiedział, że to nie ja uratowałem ci życie, ale on. Ostatni, leniwy grzmot przetoczył się jak westchnięcie, bielejąca w dole plama stada była oczekującą oazą. Wciąż zmagając się ze zdrętwiałymi członkami, Jezus zaczął schodzić w dół zbocza. Jagnię, tylko przez przezorność uwiązane na postronku, dreptało obok niego jak piesek. Z tyłu płonęła oliwka. W rzucanym przez nią świetle, bardziej niż w gasnącym zmierzchu, Jezus zobaczył podnoszącą się przed nim jak zjawą wysoką postać Pasterza, owiniętego w swoją nie mającą chyba końca pelerynę i dzierżącego kostur, którym mógłby dosięgnąć nieba. Rzekł Pasterz, Wiedziałem, że burza na ciebie czeka, I ja powinienem był to wiedzieć, odparł Jezus, Co to za baranek, Nie miałem dość pieniędzy na kupno paschalnego baranka i dlatego usiadłem na skraju drogi, żeby prosić opieniądze przechodzących ludzi, a jeden starzec podarował mi właśnie to jagnię, Czemu go nie złożyłeś w ofierze, Nie potrafiłem, nie byłem w stanie. Pasterz uśmiechnął się, Teraz już rozumiem, czekał na ciebie, pozwolił ci spokojnie wrócić do stada, aby pokazać na moich oczach swoją siłę. Jezus nic nie odrzekł, powiedział barankowi mniej więcej to samo, ale nie chciał zaraz po przybyciu podtrzymywać kolejnej rozmowy o racjach Boga i o jego czynach. A teraz, co chcesz zrobić z tym barankiem, Nic, przyprowadziłem go, żeby został ze stadem, Wszystkie białe baranki są jednakowe, już jutro nie odróżnisz go od reszty, On mnie zna, Przyjdzie dzień, gdy o tobie zapomni, a ponadto zmęczy się tym, że to zawsze on będzie cię musiał szukać, najlepiej go oznacz, na przykład na uchu, Biedne zwierzątko, Nie wiem czemu, przecież i ty jesteś naznaczony, obcięli ci napletek, żeby było wiadomo, do kogo należysz, To nie to samo, Nie powinno być, ale jest. W czasie tej rozmowy Pasterz łączył trochę drow i zajął się teraz rozniecaniem ogniska. Rzekł Jezus, Łatwiej było iść tam i przynieść gałąź płonącej oliwki, na co Pasterz odpowiedział, Trzeba pozwolić, aby ogień niebieski sam się wypalił. Pień oliwki był jedną rozżarzoną głównią rozświetlającą ciemność, wiatr odrywał od niej iskry, rozpalone kawałki kory i małe gałązki, które wzlatywały w powietrze i od razu gasły. Niebo nadal było ciężkie,

osobliwie obecne. Z tego, co stanowiło ich zwyczajną stawę, przygotowali wieczerzę, a Pasterz pozwolił sobie na ironiczny komentarz, W tym roku nie jesz paschalnego baranka. Jezus wysłuchał, lecz się nie odezwał, w głębi ducha nie był zadowolony, od tego momentu przedmiotem jego zmartwienia będzie nieustanna sprzeczność zachodząca pomiędzy jedzeniem baranków i niezabijaniem ich. No więc, co z nim zrobimy, zapytał Pasterz i ciągnął dalej, Znaczymy tego baranka, czy nie znaczymy, Nie mogę, rzekł Jezus, Daj go tu, ja się nim zajmę. Szybkim i zdecydowanym ruchem noża Pasterz odciął koniec ucha, po czym, trzymając mały, odcięty kawałek, zapytał, Co mam z tym zrobić, zakopać, czy wyrzucić, a Jezus, bez zastanowienia odpowiedział, Daj mi, i wrzucił do ognia. Tak zrobili z twoim napletkiem, rzekł Pasterz. Z ucha baranka powoli kapłała blada krew, która niebawem zakrzepnie. Z płomieni wraz z dymem wydobywał się upajający zapach delikatnego przypalonego mięsa. W ten sposób, pod koniec długiego dnia, po tylu chłopięcych i zarozumiałych demonstracjach sprzeciwu, Pan przyjmował nareszcie to, co mu było należne, kto wie czy nie dzięki majestatycznie grzmiącym ostrzeżeniom przekazanych za pośrednictwem gromów i błyskawic, które na drodze nieodpartej przypadkowości trafiły do przekonania upartym pasterzom. Spadła ostatnia kropla krwi baranka, ziemia wchłonęła ją od razu, albowiem nie byłoby dobrze, gdyby przepadła najcenniejsza część takiej ofiary.

To właśnie zwierzę, z upływem czasu przemienione w najzwyczajniejszą owcę, odróżniająca się od innych jedynie brakiem koniuszka ucha, po trzech latach zgubiło się w dzikich, graniczących z pustynią okolicach na południe od Jerycha. W stadzie tak wielkim jak to, jedna owca mniej albo więcej nie ma chyba żadnego znaczenia, jednakże ta

1 trzoda, o ile należy to jeszcze przypominać, nie jest podobna do innych, zresztą jej pasterze w takim samym stopniu wykazują podobieństwo do tych znanych nam z widzenia bądź ze słyszenia, i dlatego nie powinno dziwić, iż Pasterz, spoglądając z wysokości małego pagórka, zwrócił uwagę na nieobecność jednej sztuki, choć wcale nie musiał liczyć wszystkich. Zawołał Jezusa i oznajmił mu, Twojej owcy nie ma w stadzie, idź jej poszukać, a skoro Jezus w odpowiedzi nie zapytał, Skąd wiesz, że owca jest moja, my też o to nie zapytamy. Najbardziej interesuje nas teraz to, jak Jezus, zdany tylko na swą nikłą znajomość terenu i na omylne wyczucie ścieżek, których wcześniej nikt nie wytyczył, poradzi sobie z otaczającym go zewsząd horyzontem. Przybyli tutaj z żyznych okolic Jerycha, gdzie nie chcieli zatrzymywać się zbyt długo, bowiem wyżej cenili sobie spokój wędrowania aniżeli wygodną obecność ludzi, a zatem jakaś osoba albo owca z łatwością mogła się zgubić, zwłaszcza gdy w grę wchodziło rozmyślne działanie w miejscach, w których zmęczenie spowodowane poszukiwaniem pożywienia nie wpływało na osłabienie potrzeby samotności.

Zgodnie z tą logiką owca Jezusa maskując się jak ktoś, kto czegoś nie chce, została z tyłu i teraz zapewne sobie hasa po świeżej zieleni brzegów Jordanu, dla większego bezpieczeństwa mając w zasięgu wzroku Jerycho. Jednak logika nie o wszystkim decyduje w życiu i nierzadko rzeczy przewidywalne, które nimi są, ponieważ spełniają funkcję najbardziej wiarygodnych zakończeń pewnej sekwencji albo dlatego, że po prostu wcześniej je zapowiedziano, nierzadko więc rzeczy przewidywalne, powodowane sobie tylko znanymi racjami, wybierają w końcu rozwiązanie, rzecz można, odbiegające od normy, tak w odniesieniu do miejsca, jak i do okoliczności. Jeśli dotyczy to akurat tej sytuacji, nasz Jezus będzie musiał poszukać swej zapodzianej owieczki nie na pozostających z tyłu bujnych łąkach, lecz na suchej i wypalanej pustyni, która rozciąga się przed nim, i na nic zda się tu łatwe zastrzeżenie, że owca nie zgubiła się przecież po to, by umrzeć z głodu i pragnienia, po pierwsze dlatego, iż nigdy nie wiadomo, co się dzieje w owczym mózgu, po drugie, należy wziąć pod uwagę wspomnianą już nieprzewidywalność, do której czasami uciekają się rzeczy przewidywalne. Na pustynię pójdzie zatem Jezus, tam już kieruje swe kroki, zaś Pasterz nie dziwi się temu postanowieniu, wcześniej w milczeniu zatwierdził je powolnym i uroczystym skinieniem głowy, które, co za pomysł, mogłoby równie dobrze być uznane za gest pożegnalny.

Tutejsza pustynia nie jest jednym z tych długich, szerokich i znanych piaszczystych obszarów, które posługują się tą samą nazwą. Tutejsza pustynia jest raczej morzem wysuszonych i twardych pagórków z piasku, nakładających się na siebie i tworzących niesamowity labirynt dolin, na dnie których wegetują rzadkie rośliny składające się chyba jedynie z kolców i włosków, być może dałyby im radę mocne dziaśła jakiejś kozy, lecz z pewnością nie zmożłyby ich wrażliwe wargi owcy. Tutejsza pustynia jest straszniejsza od innych, utworzonych z gładkich piasków albo z ruchomych wydm, które stale zmieniają kształt i charakter, na tej pustyni każdy pagórek kryje w sobie i zapowiada groźbę czającą się za następnym, a kiedy doń docieramy, czujemy, że groźba pozostała za naszymi plecami. Tutaj wydany przez nas okrzyk nie odpowie echem głosowi, który go rzucił, usłyszymy natomiast w odpowiedzi krzyk samych pagórków lub kogoś nieznanego, kto z uporem chce się pośród nich ukryć. Oto właśnie Jezus, zaopatrzony tylko w swój kostur oraz worek, wszedł na pustynię. Kilka kroków po przekroczeniu progu tego świata zorientował się nagle, że należące niegdyś do ojca stare sandały rozpadały mu się na nogach. Wiele wytrzymały dzięki skuteczności uporczywego łątania, niekiedy przesadzonego, jednak teraz powroźnicze tudzież szewskie zabiegi Jezusa nie mogły już przyjąć z odsieczą sandałom, które tyle dróg przemierzyły i tyle potu wymieszały z kurzem. Jak gdyby słuchając rozkazu, rozplątywały się

ostatnie nitki, odrywały luźne paski, nieodwracalnie pękały sznurki, w krótkim czasie stopy Jezusa stały się boso. Pamiętał wszakże chłopiec, nazywamy go tak z przyzwyczajenia, choć będąc osiemnastoletnim Żydem, jest raczej mężczyzną co się zowie, a nie dorastającym młodzikiem, pamiętał więc Jezus oswych starych sandałach przez cały czas chowanych w worku jak sentymentalna relikwia z dawnych lat i powodowany daremną nadzieją, usiłował je założyć. Rację miał Pasterz, mówiąc, Stopy, które urosną, już się nie skurczą, a Jezusowi trudno było zrozumieć, że kiedyś jego stopy mogły się zmieścić w tych malutkich sandałach. Stał bosy na pustyni tak jak wygnany z raju Adam i tak jak on wahał się przed postawieniem pierwszego bolesnego kroku na wzywającej go udręczonej ziemi. Jednakże później, nie zadawszy sobie pytania, dlaczego to robi, może dlatego, że przypomniał mu się Adam, upuścił kostur i worek, po czym chwytając za rąbek tuniki, jednym ruchem ściągnął ją przez głowę, pozostając nagi tak jak Adam. W tym miejscu Pasterz już go nie widzi, żaden ciekawski baran za nim nie poszedł, z góry patrzą na niego tylko nieliczne ptaki, które zapuszczają się w te strony, zaś żyjące w ziemi robaki, takie jak mrówki, stonogi i wije unoszące ze strachu swe jadowite żądła nie pamiętają nagiego człowieka ani nie wiedzą do czego służy. Gdyby zapytano Jezusa, Po co się rozebrałeś, być może odpowiedziałby on w sposób niezrozumiały dla pajęczaków, stawonogów i skorupiaków, Na pustynię można wejść tylko nago. Nago, mówimy, pomimo kolców, które drapią ciało i targają włosy na łonie, nago, pomimo krawędzi, które tną, i piasków, które obdzierają ze skóry, nago, pomimo słońca, które pali, razi i oślepia, nago wreszcie, po to by szukać zagubionej owcy, która do nas należy, bowiem naszym znakiem ją oznaczyliśmy. Pustynia otwiera się przed krokami Jezusa i zaraz za nimi zamyka, jak gdyby odcinała mu drogę odwrotu. Cisza pobrzmiwa w uszach głosem muszli, jednej z tych, co puste i martwe pozostają na plaży, wypełniając się przeciągłym szumem fal aż do chwili, gdy ktoś je znajdzie, powoli podniesie do ucha, zacznie nasłuchiwać i powie, Pustynia. Stopy Jezusa krwawią, słońce rozsuwa chmury, aby digać go w plecy, kolce ranią mu skórę na nogach jak łapczywe pazury, a sztywne włoski chłoszczą, Gdzie jesteś, owieczko, krzyczy, zaś pagórki przekazują te słowa, Gdzie jesteś, gdzie jesteś, wystarczy żeby powiedziały tylko to i już byśmy wiedzieli, czym jest echo doskonałe, lecz nakłada się na to daleki i długotrwały odgłos muszli, mrucząc, Bóóóóóg, Bóóóóóg, Bóóóóóg. Wtem, jakby nagle pagórki usunęły się z jego drogi, Jezus wyszedł z labiryntu dolin na okrągłą, płaską i piaszczystą przestrzeń, i w samym jej środku zobaczył owcę. Pobiegł do niej tak szybko, jak tylko pozwalały mu poranione stopy, lecz znenacka powstrzymał go jakiś głos, Zaczekaj. Obłok o wysokości dwóch mężczyzn, przypominający słup dymu wirujący wokół własnej osi, wyrósł przed nim, a głos wydobył się ze środka. Kto do mnie mówi,

zapytał struchlały Jezus, z góry domyślając się odpowiedzi. Głos powiedział, Jam jest Pan, i Jezus zrozumiał, dlaczego musiał się rozebrać przed wkroczeniem na pustynię. Przywiódłeś mnie tutaj, czego chcesz, zapytał, Na razie niczego, ale pewnego dnia zażądam wszystkiego, Co to jest wszystko, Życie, Tyś jest Panem, zawsze nam odbierasz życie, które nam dałeś, Nie mam innego wyjścia, nie mogę dopuścić, żeby świat był przepelniony, Do czego ci jest potrzebne moje życie, Jeszcze za wcześnie, abys to wiedział, wiele jeszcze przed tobą, ale uprzedzę cię, żeby twoje ciało i dusza się przygotowały, gdyż najświetniejszy los ci szykuję, Panie, mój Panie, nie rozumiem ani tego, co do mnie mówisz, ani tego, czego ode mnie chcesz, Będziesz miał władzę i chwałę, Jaką władzę, jaką chwałę, Dowiesz się, gdy po raz drugi cię wezwę, Kiedy to będzie, Nie spiesz się, żyj twoim życiem, tak jak potrafisz, Panie, oto stoję tutaj, skoro nagiego mnie do siebie przywiódłeś, nie zwlekaj, daj mi dziś to, co dla mnie chowasz na jutro, Kto mówił, że zamierzam ci cokolwiek dawać, Obiecałeś, Tylko coś za coś, nic ponadto, Nawet nie wiem, za co zapłacę moim życiem, Za władzę, A za chwałę, nie zapomniałem o niej, skoro nie mówisz, za jaką władzę i nad czym, za jaką chwałę i wobec kogo, jest to jakaś przedwczesna obietnica, Znowu mnie spotkasz, kiedy będziesz gotowy, ale od tej pory moje znaki będą ci towarzyszyć, Panie, powiedz mi, Zamilcz, nie pytaj więcej, nadejdzie czas, ani wcześniej ani później, wtedy dowiesz się, czego od ciebie chcę, Słuchać cię, mój Panie, to być wobec Ciebie posłusznym, ale muszę zadać jeszcze jedno pytanie, Nie zanudzaj mnie, Panie, tak trzeba, Mów, Czy mogę zabrać moją owcę, A, więc o to ci chodzi, Tak, tylko o to, mogę, Nie, Dlaczego, Dlatego, że mi ją złożysz w ofierze jako świadectwo przymierza, które z tobą zawieram, Tę owcę, Tak, Złożę Ci w ofierze inną, pójdę do stada i zaraz wrócę, Nie sprzeciwiaj mi się, chcę, żeby to była ta, Ale spójrz, Panie, ta ma wadę, obcięte ucho, Mylisz się, ucho jest nienaruszone, popatrz, Jak to możliwe, Ja jestem Panem, a dla Pana nic nie jest niemożliwe, Ale to jest moja owca, Mylisz się ponownie, baranek był mój, a ty mi go zabrałeś, teraz ta owca spłaca dług, Niech będzie jak chcesz, cały świat do Ciebie należy, a ja jestem Twym sługą, Złóż ofiarę albo nie będzie przymierza, Lecz spójrz, Panie, stoję tu nagi, nie mam tasaka ani noża, Jezus wyrzekł te słowa, łudząc się nadzieją na uratowanie życia owcy, zaś Bóg mu odpowiedział, Nie byłym Panem, gdybym nie potrafił uwolnić cię od tej trudności, trzymaj. Ledwie te słowa zostały wypowiedziane, pojawił się u stóp Jezusa nowy tasak, No pośpiesz się, mam inne sprawy na głowie, powiedział Bóg, nie mogę tutaj siedzieć wiecznie. Jezus chwycił tasak w garść, podszedł do owcy, która niepewnie unosiła głowę, gdyż nigdy wcześniej nie widziała go nagiego i nie była pewna czy to on, a jak wiadomo, węch tych zwierząt niewiele jest wart. Płaczesz, zapytał Bóg, Zawsze mam takie oczy, odrzekł Jezus. Tasak powędrował do góry, przyjął odpowiedni kąć cięcia i

spadł natychmiast jak topór egzekucyjny albo gilotyna, której jeszcze nie wymyślono. Owca nie wydała żadnego głosu, słyhać tylko było, Aaaaa, to Bóg westchnął z zadowolenia. Jezus zapytał, A teraz, mogę już iść, Możesz, ale nie zapominaj, od dziś, poprzez krew, do mnie należysz, Jak mam od Ciebie odejść, W zasadzie wszystko jedno, dla mnie nie ma przodu ani tyłu, ale zazwyczaj odchodzi się tyłem i oddaje pokłony, Panie, Ależ jesteś męczący, człowieku, cóż znowu chcesz wiedzieć, Pasterz stada, Jaki pasterz, Ten, z którym przebywam, To co, Jest aniołem, czy demonem, Jest kimś, kogo znam, Ale powiedz mi, jest aniołem, czy demonem, Już ci powiedziałem, dla Boga nie ma przodu ani tyłu, bądź zdrow. Słup dymu był i przestał być, owca zniknęła, widać było tylko krew, która usiłowała schować się w ziemi.

Kiedy Jezus wrócił na pole, Pasterz spojrział na niego uważnie i zapytał, A owca, a on odpowiedział, Spotkałem Boga, Nie pytałem cię, czy spotkałeś Boga, pytałem cię, czy znalazłeś owcę, Złożyłem ją w ofierze, Dlaczego, Bóg tam był, tak być musiało. Końcem kostura Pasterz przejechał po ziemi, robiąc głęboką bruzdę, nieprzekraczalną jak płonąca zaporą, po czym rzekł, Niczego się nie nauczyłeś, idź.

Jak mogę iść, skoro moje stopy są w takim stanie, pomyślał Jezus, widząc Pasterza odchodzącego na drugą stronę stada. Bóg, który tak czysto uprzętał owcę, nie był łaskaw wypuścić z obłoku swojej boskiej śliny po to, by umęczony Jezus mógł nią posmarować i zaleczyć wciąż broczące krwią rany. Pasterz mu nie pomoże, rzucił złowieszcze słowa i oddalił się tak jak ktoś, kto oczekuje, że wyrok zostanie wykonany i nie zamierza uczestniczyć w przygotowaniach do drogi, ani tym bardziej żegnać się. Z wysiłkiem i na czworakach Jezus dowlókł się do obozu zakładanego na każdym postoju, trzymali w nim przybory związane z ich gospodarstwem, konwie na mleko, deski do ściskania sera, a także owcze i kozie skóry, które po wyprawieniu wymieniali na potrzebne im dobra, jakąś tunikę, pelerynę, najprzeróżniejsze produkty spożywcze. Pomyślał Jezus, że nie będzie go można obciążać za własnoręczne odmierzenie zapłaty za pracę, polegające na wycięciu z owczej skóry kawałków w kształcie sandałów albo łapci do owinięcia stóp, do których potem dorobi się paski, lecz tym razem ze skóry koziej, bo ta jest do tego celu praktyczniejsza, mając mniej sierści. Dopasowując to wszystko, zastanawiał się, czy wełna powinna być wewnątrz, czy na zewnątrz i w końcu wykorzystał ją jako wyściółkę, od wewnątrz, mając na uwadze oplakany wygląd swoich stóp. Najgorzej będzie, gdy sierść przyklei się do ran, ale skoro postanowił, że jego szlak powiedzie brzegiem Jordanu, zanurzy tylko obute stopy w rzece i zaschnięta krew stopniowo się rozpuści. Już sam ciężar tych buciorów, taka nazwa najlepiej do nich pasuje, namokniętych wodą, pomoże wełnistemu podbiciu łagodnie odejść od stopy, co sprawi, że

zostawać będą po drodze dobroczynne i ochronne strupy, które stopniowo poL wstaną. Niewielkie ilości krwi niesionej z prądem, swym dobrym kolorem zaświadczały o tym, iż nie doszło jeszcze do zakażenia, choć doprawdy trudno w to uwierzyć. Niespiesznie zmierzając na północ, Jezus urządzał sobie dłuższe przerwy na odpoczynek, siadał na brzegu rzeki i zanurzał stopy w wodzie, ciesząc się jej świeżością, a także leczniczymi właściwościami. Bolało go, że w taki sposób został wypędzony po spotkaniu z Bogiem, wydarzeniu niesłychanym w pełnym tego słowa znaczeniu, bo przecież, jak wie, w całym Izraelu nie ma dziś żadnego człowieka, który mógłby się pochwalić tym, że widział Boga i przeżył. To znaczy, w normalnym rozumieniu nie widział, ale jeśli na pustyni pojawia się przed nami obłok w formie słupa dymu i mówi, Jam jest Pan, podtrzymując następnie rozmowę, nie tylko logiczną i rozsądną, ale nacechowaną piętnem niepodważalnego autorytetu, który może być tylko boski, jakakolwiek wątpliwość, nawet najmniejsza, byłaby obrazą. To, że Pan był Panem, zostało wykazane w odpowiedzi udzielonej mu na pytanie o Pasterza, te beztronskie słowa zawierające odrobinę oczywistej pogardy, ale też ślad zażyłości, dodatkowo wzmocnione przez odmowę wyjaśnienia, czy chodziło o anioła, czy o demona. Najciekawsze było jednak to, że słowa Pasterza, twarde i pozornie odbiegające od głównej kwestii, potwierdzały tylko nadprzyrodzoną prawdziwość tego spotkania. Nie pytałem cię, czy spotkałeś Boga, jak gdyby mówił, Wszystko inne już wiem, jak gdyby wiadomość ta w ogóle go nie zaskoczyła, jak gdyby z góry o tym wiedział. Jednakże raczej na pewno nie wybaczył mu zabicia owcy, jego ostatnie słowa nie mogły mieć innej wymowy, Niczego się nie nauczyłeś, idź, po czym ostentacyjnie oddalił się na drugą stronę stada i odwrócony plecami, pozostał tam aż do odejścia Jezusa. Przy jednej z takich okazji, gdy Jezus puszczał wodze wyobraźni i snuł przypuszczenia dotyczące tego, co też Pan będzie od niego chciał następnym razem, znenacka zabrzmiały mu w uszach słowa Pasterza, tak jasne i wyraźne, jak gdyby stał tuż obok, Niczego się nie nauczyłeś, w tej samej chwili poczucie nieobecności, braku i osamotnienia odezwało się tak silnie, że jego serce załkało, siedział sam na brzegu Jordanu, oglądając swe stopy w przejrzystej rzece i widząc wypływający z pięty cienki strumyczek krwi, który powoli przepływał pomiędzy wodami, ni stąd ni zowąd przestały do niego należeć jego stopy i jego krew, szedł tamtędy, utykając na swych przebitych piętach i ciesząc się chłodem Jordanu, ojciec, który tak przemówił, Musisz wrócić do początku, niczego się nie nauczyłeś. Jak gdyby podnosząc z ziemi długi i ciężki łańcuch z żelaza, Jezus przypominał sobie swoje życie, ogniwo po ogniwie, tajemniczą zapowiedź poczęcia, świecąca ziemię, narodziny w jaskini, dzieci zabite w Betlejem, ukrzyżowanie ojca, odziedziczenie koszmarów, ucieczkę z domu, debatę w Świątyni, objawienie Zelomi, pojawienie się

Pasterza, życie przy stadzie, uratowanego baranka, pustynię, martwą owcę, Boga. To ostatnie słowo było chyba zbyt potężne, aby jego umysł mógł się nim zająć i dlatego pochłonęła go jedna obsesyjna myśl, dlaczego uratowane od śmierci jagnię zginęło jako owca, problem tak głupi, jak wygląda, ale zrozumie się go lepiej po następującym wytłumaczeniu, żaden ratunek nie jest wystarczający, każde skazanie jest ostateczne. Ostatnim ogniwem łańcucha jest to właśnie, pobyt nad brzegiem Jordanu, słuchanie rzewnego śpiewu jakiejś kobiety, której nie widać, bo schowana jest w trzcinach, może pierze, może się kąpie, Jezus chce zrozumieć, dlaczego wszystko jest tym, czym jest, żywe jagnię zamienione w martwą owcę, jego stopy broczące krwią ojca i śpiewająca naga kobieta, która leży na wodzie na plecach z wystającymi ponad nią twardymi piersiami i ciemnym łonem unoszącym się miarowo na falach pobudzanych lekką bryzą, to nieprawda, że Jezus widział wcześniej nagą kobietę, lecz skoro pewien człowiek, biorąc za punkt wyjścia jedynie zwykły słup dymu, może zacząć snuć przewidywania dotyczące przyszłych spotkań z Bogiem, trudno by było pojąć, że anatomiczne szczegóły nagiej kobiety, nie mogą zostać wymyślane i stworzone na podstawie usłyszanego śpiewu, nawet wówczas, gdy nie wiemy, czy słowa skierowane są do nas. Józefa już tu nie ma, powrócił do zbiorowej mogiły w Seforis, o obecności Pasterza nie świadczy nawet koniec kostura, zaś Bóg, o ile, jak się mówi, jest wszędzie, nie przybrał postaci słupa dymu, aby się pojawić, być może jest w tej płynącej wodzie, w tej samej, w której kąpie się kobieta. Ciało Jezusa dało sygnał, nabrzmiało pomiędzy nogami, jak to zwykle bywa u wszystkich ludzi i u wszystkich zwierząt, krew szybko podążyła w jedno miejsce, aż wysuszyły się od razu jego rany, Panie, jakże mocne jest to ciało, jednak Jezus nie ruszył na poszukiwanie kobiety, jego ręce odepchnęły ręce gwałtownej cielesnej pokusy, Jesteś nikim, jeżeli nie chcesz samego siebie, nie dotrzesz do Boga, jeżeli najpierw nie dotrzesz do twojego ciała. Nie wiadomo, kto wypowiedział te słowa, lecz Bóg by tego nie uczynił, to do niego niepodobne, bardziej już Pasterz, gdyby nie był tak daleko stąd, mogły to być wreszcie słowa piosenki śpiewanej przez tę kobietę i wtedy pomyślał sobie, że przyjemnie by było iść do niej i poprosić, by zechciała je wyjaśnić, lecz głos już umilkł, chyba poniosł go ze sobą prąd lub też kobieta wyszła po prostu z wody, żeby się ubrać i wysuszyć, uciszając w ten sposób swe ciało. Jezus wciągnął nasiąknięte kapcie i wstał, pryskając wodą we wszystkie strony. Jeśli kobieta zmierza akurat tutaj, to uśmieje się, widząc takie groteskowe stopiska, chociaż może być i tak, że ten drwiący śmiech ustanie, kiedy jej oczy powędrują w górę, odgadując kształty skrywane pod tuniką i spotkają się z jego oczami, zbolałymi od dawnych spraw, a teraz, dla nowej przyczyny, pragnącymi. Przy wtórze nielicznych słów albo w zupełnym milczeniu jej ciało ponownie się odkryje i kiedy nastąpi to, czego zawsze po takich wypadkach trzeba się

spodziewać, ona z wielką ostrożnością zdejmie mu sandały, wyleczy rany, składając pocałunek na każdej stopie, po czym owinie każdą z nich w swoje własne wilgotne włosy, tak jak skorupkę jajka albo kokon. Drogą nikt nie idzie, Jezus patrzy wkoło, głęboko wzdycha, wyszukuje jakiś ustronny zakątek i w jego kierunku zdąża, lecz nagle przystaje, w odpowiednim momencie przypomniał sobie, że Pan odebrał życie Onanowi za wylewanie nasienia na ziemię. Gdyby jednak Jezus wykazał bardziej analityczne podejście do klasycznego epizodu, co zresztą nie kłóciłoby się z jego mentalnością, i gdyby nie powstrzymała go bezlitosna surowość Pana, doszedłby do wniosku, że istniały jeszcze dwa inne powody, po pierwsze nie było tam żony brata, z którą, według prawa, dałby potomstwo zmarłemu bratu, i drugi, jeszcze poważniejszy od pierwszego, że Pan, tak jak tego dowiódł na pustym, ma mocne, chociaż nie ujawniane, postanowienia co do jego przyszłości, a zatem byłoby rzeczą niewiarygodną i pozbawioną logiki, gdyby zapomniał o danych obietnicach, pozwalając na zniweczenie wszystkich planów tylko dlatego, że jakaś nieodpowiedzialna dłoń ośmieliła się zabłąkać tam, dokąd nie powinna, Pan wszelako wie, jakie są potrzeby ciała, nie jest to jedynie prostackie jedzenie i picie, prostackie mówimy, istnieją również inne posty, których zachowanie kosztuje nie mniej wysiłku. Te oraz inne podobne refleksje, powinny były pomóc Jezusowi w prowadzeniu tak bardzo ludzkich poszukiwań niedostępnego niczym oczom schronienia, ale przyniosły efekt przeciwny do zamierzonego, rozproszyły się skupione wokół jednego celu myśli i zaplątały w swoim własnym gąszczu, odeszła od niego wola popełnienia tego czynku, o pragnieniu nawet nie wspominajmy, bo jest ono grzeszne, a małe nic sprawia, że się wahamy i trzęsiemy. Pogodzony ze swoją cnotą Jezus zarzucił worek na ramię, chwycił kostur w garść i ruszył w dalszą drogę.

Pierwszego dnia tej wędrówki wzdłuż brzegu Jordanu, nabyte w ciągu czterech lat przyzwyczajenie do odosobnienia kazało Jezusowi omijać z daleka nieliczne osady leżące na jego szlaku. Jednakże w miarę jak zbliżał się do jeziora Genezaret, okrążanie wiosek stawało się dlań coraz trudniejsze, tym bardziej że rozciągały się wokół nich pola uprawne, przez które nie zawsze dawało się wygodnie przejść, trzeba było zbaczać, także po to, by jego włóczęgowski wygląd nie rzucał się w oczy nieufnym rolnikom. Postanowił więc Jezus wejść do tego świata, to co widział naprawdę go nie zniechęcało, chociaż bardzo dokuczał mu hałas, o którym prawie zapominał. W pierwszej wiosce, do której zawitał, zgraja łobuziaków wysmiała jego łapcie, i bardzo dobrze, w końcu Jezus miał pieniądze, mógł więc sobie za nie kupić nowe sandały, przypomnijmy, że nie ruszał posiadanych pieniędzy od czasu otrzymania ich od faryzeusza, przeżył cztery lata z tak niewielką sumą i wcale nie potrzebował nic tracić, toż to największe bogactwo, nie ma o co więcej prosić Pana. Po kupieniu sandałów w jego

skarbcu pozostały dwie monety o niewielkiej wartości, lecz ubóstwo go nie martwi, już niedaleko do miejsca przeznaczenia, do Nazaretu, do domu, dokąd z pewnością powróci, ponieważ kiedyś, gdy stamtąd wychodził i wydawało się, że już na zawsze, powiedział, W każdym bądź razie, na pewno wrócę. Idzie bez pośpiechu, klucząc tak samo, jak nieustannie zmieniający swój bieg Jordan, jest wszelako prawdą, iż stan jego stóp i tak nie pozwoliłby mu na porywanie się na wielką wędrówkę, jednak główna przyczyna tej opieszałości tkwiła w przekonaniu o nieuchronności dotarcia do celu, To tak jakbym już tam był, chociaż inne, mniej świadome uczucie hamowało jego kroki, można by je wyrazić takimi oto słowami, Im prędzej dotrę, tym krócej tam pozostanę. Szedł na północ wzdłuż brzegu jeziora, już jest na wysokości Nazaretu, gdyby chciał szybko dojść do domu, wystarczyłoby tylko skręcić na zachód, jednak zatrzymują go wody jeziora, błękitne, rozległe i spokojne. Lubi siadać na brzegu i patrzeć na pracę rybaków, kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem, odwiedził te okolice w towarzystwie rodziców, ale nigdy jego oczy nie śledziły z taką uwagą harówki tych ludzi, za którymi snuły się wszystkie rybnie zapachy, jak gdyby oni sami byli mieszkańcami jeziora. Podczas swojego pobytu w tych stronach, Jezus zarabiał na utrzymanie, pomagając w tym, co umiał robić, a nie umiał wiele, więc wyciągał łodzie na ląd albo spychał je na wodę, opróżniał przepełnione sieci, rybacy widzieli jego wymizerowaną twarz i dawali mu jako zapłatę dwie lub trzy ościste rybki. Na samym początku onieśmielony Jezus piekł je sobie na boku, ale już drugiego dnia, z trzech tam spędzonych, rybacy zechcieli zaprosić go do wspólnego spożywania posiłków. W ostatnim dniu Jezus wypłynął na jezioro z dwoma braćmi, noszącymi imiona Szymon i Andrzej, obaj byli od niego starsi i mieli nie mniej niż trzydzieści lat. Z dala od brzegu, nie mający żadnego doświadczenia w tym rzemiośle Jezus, śmiejąc się ze swej własnej nieudolności, zdobył się na odwagę i zachęcany przez nowych przyjaciół sam zarzucał sieć tym szerokim gestem, który widziany z daleka podobny jest do błogosławieństwa albo do wyzwania, a jedna z prób nieomal zakończyła się upadkiem do wody. Bardzo się śmiali Szymon z Andrzejem, już wiedzieli, że Jezus zna się tylko na kozach i owcach, zaś Szymon powiedział, Lepsze by było nasze życie, gdyby ta nasza trzoda dawała się prowadzić i przeganiać, a Jezus odpowiedział, Wasze przynajmniej się nie gubi ani nie błądzi, przebywa w jednym jeziorze, codziennie z sieci ucieka i codziennie w nie wpada. Połów nie był owocny, dno łodzi było prawie puste i rzekł Andrzej, Wracajmy do domu, bracie, bo ten dzień dał już to, co miał dać. Szymon przytaknął, Masz rację, bracie, wracamy. Umieścił wiosła w dulkach i już chciał płynąć w stronę brzegu, gdy Jezus, nie sądźmy tylko, że pod wpływem natchnienia albo wyższego przeczucia, lecz ot tak, w prosty choć nie do końca wyjaśniony sposób mający wyrazić jego wdzięczność, zaproponował podjęcie trzech

ostatnich prób, Kto wie, czy stado ryb prowadzone przez swego pasterza nie podплыnęło do nas. Szymon zaśmiał się, To jest inna zaleta owiec, są widoczne, i rzekł do Andrzeja, Zarzuć sieć, jeśli nic się nie zyska, nic się też nie straci, Andrzej zaś zarzucił sieć i wyciągnęli pełną. Obaj rybacy wytrzeszczyli oczy ze zdumienia, lecz niesamowitość stała się cudem i oczarowaniem, gdy zarzucona jeszcze raz i drugi sieć, za każdym razem wracała pełna. Z jeziora, które wcześniej wydawało się bezrybne, jak woda z dzbana podstawionego pod przezroczyste źródło wylewały się w niesłychanej obfitości połyskujące strumienie skrzel, grzbietów i płetw, które kłębiły się przed oczami. Zapytali go Szymon z Andrzejem, skąd wiedział, że w jednej chwili zaroilo się tam od ryb, jakie rysie spojrzenie dostrzegło ruch w głębokiej wodzie, zaś Jezus odparł, że nie wiedział, przyszedł mu do głowy tylko taki pomysł, chciał zobaczyć, czy szczęście uśmiechnie się do nich przed powrotem. Nie mieli obaj bracia powodów, żeby wątpić, przypadek czynił te i inne cuda, ale Jezus zadrzał w głębi duszy i zapytał siebie samego, Kto to zrobił. Rzekł Szymon, Pomóż teraz wybierać. I oto nadarza się nam okazja do wyjaśnienia, że wcale nie na tym jeziorze Genezaret powstała ekumeniczna sentencja, Wszystko, co wpada do sieci, jest rybą, tutaj kryteria są odmienne, rybą będzie to, co sieć przyniosła, chociaż w tym punkcie, jak i we wszystkich innych, Prawo stawia sprawę bardzo jasno, Będziecie jedli następujące istoty wodne: wszystkie istoty wodne, w morzach i rzekach, które mają płetwy i łuski, będziecie jedli. Ale każda istota wodna, która nie ma płetw albo łusek w morzach i rzekach spośród wszystkiego, co się roi w wodzie, i spośród wszystkich zwierząt wodnych, będzie dla was obrzydliwością. Będą one dla was obrzydliwością, nie jedzcie ich mięsa i brzydziecie się ich padliną. Wszystkie istoty wodne, które nie mają płetw albo łusek, będą dla was obrzydliwością. Ryby potępione, a więc te o gładkiej skórze, nie mogą iść na stół Pańskiego ludu i zostały zwrócone wodzie, wiele z nich już się do tego przyzwyczaiło, przeto nie martwiły się, kiedy je zabierała sieć, wiedziały, że rychło powrócą tam, skąd przyszły, nie ponosząc ryzyka uduszenia. W swych rybich głowach wierzyły, że korzystają ze szczególnej życzliwości Stwórcy, a nawet wyjątkowego uczucia, co sprawiło, że z czasem zaczęły się uważać za lepsze od ryb, które pozostawały w łodziach i musiały mieć na sumieniu wiele ciężkich przewinień popełnionych pod osłoną ciemnych wód, skoro Pan bez żadnej litości pozwalał im umierać.

Kiedy wreszcie dotarli do brzegu, a wiązało się to z przedsięwzięciem najrozmaitszych środków ostrożności zapobiegających pójściu na dno, gdyż powierzchnia jeziora lizała burtę łodzi, jak gdyby ją chciała połknąć, wielkie było zaskoczenie zgromadzonych tam ludzi. Chcieli wiedzieć, jak do tego doszło, bo przecież widzieli, że inni rybacy powrócili z suchym dnem, ale w myśl milczącej umowy żaden z trzech szczęśliwców

nie wspomniał o okolicznościach towarzyszących cudownemu połowowi. Szymon i Andrzej dlatego, by publicznie nie pomniejszano ich zasług, zaś Jezus nie miał ochoty na to, by inni rybacy włączali go do swych załóg w charakterze wabika, co jednak, naszym zdaniem, byłoby w pełni usprawiedliwionym i definitywnym zatarciem różnic pomiędzy synami i pasierbami, którzy tyle zła wyrządzili światu. Takie właśnie przemyślenia skłoniły Jezusa do oznajmienia tej nocy, że rano wyruszy do Nazaretu, gdzie oczekiwała go rodzina, po czterech latach nieobecności i włości, rzecz by można diabelskich, skoro tyle trudu się z nimi wiązało. Bardzo ubolewali Szymon z Andrzejem nad decyzją, która pozbawiała ich najbystrzejszego obserwatora wodnej trzody, o jakim wspominały kroniki jeziora Genezaret, ubolewali nad nią również dwaj inni rybacy, Jakub i Jan, synowie Zebedeusza, prostoduszni chłopcy, których dla żartu często pytano, Kto jest ojcem synów Zebedeusza, a oni czuli się obezwładnieni i zagubieni do tego stopnia, że nawet znajomość odpowiedzi, bo przecież to oni byli synami, nie uwalniała ich od chwilowej rozterki oraz zaniepokojenia. Odczuwali żal z powodu odejścia Jezusa nie tylko dlatego, że wymykała im się sposobność znakomitego połowu, chodziło im również o to, iż skoro sami mają niewiele lat, a Jan nawet mniej od Jezusa, mogą razem z nim utworzyć załogę, która rywalizowałaby ze starszymi. Ich prostoduszność nie polegała na tępcie ani na opóźnieniu w rozwoju umysłowym, szli przez życie, jak gdyby myśląc zawsze o czymś innym i z tego względu wahali się, kiedy ich pytano, jak ma na imię ojciec synów Zebedeusza i nie rozumieli, dlaczego ludzie tak ochoczo wybuchali śmiechem, słysząc ich tryumfalną odpowiedź, Zebedeusz. Jan podjął jeszcze jedną próbę, zbliżył się do Jezusa i powiedział, Zostań z nami, nasza łódź jest większa od Szymonowej, nałapiemy więcej ryb, zaś Jezus, mądry i pobożny, odparł, Miara Pana nie jest miarą człowieka, lecz jego sprawiedliwości, Zmieszał się Jan i odszedł ze spuszczoną głową, a reszta wieczoru minęła już bez nalegań innych zainteresowanych. Rano Jezus pożegnał się z pierwszymi przyjaciółmi, których poznał w ciągu osiemnastu lat swego życia i z prowiantem pod pachą, odwracając się plecami do jeziora Genezaret, gdzie albo bardzo się pomylił, albo Bóg dał mu znak, skierował kroki w stronę gór, w stronę Nazaretu. Chciał jednak los, że kiedy przechodził przez miasto Magdala, otworzyła mu się nie zagojona jeszcze rana na stopie i trudno było zatamować krew. Chciał również los, że niebezpieczny wypadek wydarzył się przy samym wyjściu z Magdali, przed domem, a w zasadzie przed drzwiami domu, który znajdował się w pewnym oddaleniu od innych, tak jakby nie chciał się do nich zbliżyć albo one go odepchnęły. Widząc, że krew wciąż zamierza wypływać, Jezus zawołał, Jest tu kto, w następstwie czego w drzwiach pojawiła się kobieta, tak jakby czekała właśnie na to, że będą ją wołać, chociaż lekki wyraz zaskoczenia na jej twarzy świadczył, iż

wchodzono do domu raczej bez pukania, co, jeśli dobrze się zastanowimy, byłoby w tym wypadku mniej stosowne niż w jakimkolwiek innym, ponieważ ta kobieta jest nierządnicą i szacunek, jakim darzy swój zawód, każe jej zamykać drzwi, kiedy przyjmuje jakiegoś klienta. Jezus siedział na ziemi, uciskając krwawiącą ranę, rzucił okiem na podchodzącą do niego kobietę, Pomóż mi, powiedział, po czym złapał ją za rękę, którą ona do niego wyciągnęła i dzięki temu udało mu się wstać i zrobić kilka niepewnych kroków. Nie jesteś w stanie chodzić, rzekła, wejdź do środka, a ja opatrzę twoją ranę. Jezus nie powiedział ani tak, ani nie, zapach kobiety oszałamiał go do tego stopnia, że w jednej chwili zapomniał o bólu wywołanym otworzeniem się rany, a teraz, że swym ramieniem spoczywającym na jej barkach, czując jednocześnie, że w pasie obejmuje go inne ramię, naturalną kolejną rzeczą nie jego własne, zdał sobie sprawę z niepokoju, jakim ogarnięte było całe jego ciało, a dokładniej wszystkie zmysły, bowiem w nich, albo w czymś, co ma taką nazwę, ale nie jest ani wzrokiem, ani słuchem, ani powonieniem, ani smakiem, ani dotykiem, jakkolwiek może w sobie zawierać po trosze z każdego, wszystko się zbiegało. Kobieta pomogła mu przejść na podwórko, zatrzasnęła drzwi i wygodnie go posadziła, Zaczekaj, powiedziała, Weszła do środka i wróciła z glinianą miednicą i białym płótnem. Napełniła miednicę wodą, zmoczyła płótno, po czym, klęcząc przed Jezusem i podtrzymując lewą ręką zranioną stopę, ostrożnie ją obmyła i oczyściła z ziemi, aż zmiękł zakrzepnięty strup, przez który razem z krwią wyciekała brzydko wyglądająca ropna substancja w żółtym kolorze. Rzekła kobieta, To nie woda cię wyleczy, zaś Jezus odparł, Proszę cię tylko, abyś mi obwiązała ranę tak, bym mógł dojść do Nazaretu, tam już sobie poradzę, miał powiedzieć, Moja matka się mną zajmie, ale ugryź się w język, bo nie chciał wydać się tej kobiecie małym chłopczykiem, który uderzywszy się o kamień wybucha płaczem, Mamo, mamo, w oczekiwaniu na pieśczoły, delikatne chuchanie na zraniony palec, słodkie dotknięcie dłoni, To nic takiego moje dziecko, już przeszło. Stąd do Nazaretu czeka cię jeszcze długa droga, ale jeśli tak bardzo chcesz iść, zaczekaj chwilę, a ja przyniosę maść, powiedziała kobieta i weszła do domu, gdzie zabawiła nieco dłużej niż poprzednim razem. Jezus rozejrzał się po podwórku ze zdumieniem, bowiem nigdy wcześniej nie widział takiego porządku i czystości. Nie wierzy, że kobieta jest nierządnicą, lecz nie dlatego, żeby miał szczególną zdolność do odgadywania czyjegoś zawodu na pierwszy rzut oka, przecież nie tak dawno on sam mógłby być rozpoznany na podstawie snującego się za nim koziego zapachu, zaś teraz wszyscy powiedzieliby, To rybak, tamten zapach odszedł, przyszedł inny, nie mniej cuchnący. Kobieta pachnie perfumami, ale Jezus, pomimo swej niewinności, która jednakowoż nie jest niewiedzą, skoro nie brakowało mu okazji do przyglądania się, jak postępują kozły i barany, zachowuje zdrowy rozsądek nie

pozwalający mu uznawać przyjemnego zapachu ciała za wystarczający dowód bycia nierządnicą. Tak naprawdę nierządnica powinna pachnieć tym, kto z nią obcuje, a więc mężczyzną, tak jak kozia pachnie kozą a rybak rybą, chociaż, kto wie, te kobiety mogą się perfumować właśnie po to, by ukryć, przytłumić lub wręcz zapomnieć zapach mężczyzny. Kobieta powróciła z małym flakonikiem i uśmiechała się tak, jakby ktoś opowiedział jej w domu jakąś zabawną historię. Jezus widział, jak się zbliża, lecz, o ile wzrok go nie mylił, szła bardzo powoli, czasami dzieje się tak w snach, jej tunika poruszała się i falowała, dopasowując do rytmicznego kołysania ud, ciemne włosy kobiety tańczyły na jej ramionach, tak jak kłosa głaskane wiatrem. Nie było wątpliwości, tunika, nawet dla dyletanta, musiała należeć do nierządnicy, ciało do tancerki, a uśmiech do kobiety rozpustnej. Jezus w popłochu prosił swą pamięć, aby go wspomogła jakimiś odpowiednimi maksymami swego sławnego imiennika, syna Syracha, a ona dobrze mu się przysłużyła, szepcząc od wewnętrznej strony ucha, Nie wychodź na spotkanie kobiety rozpustnej, byś nie wpadł w jej sidła, a zaraz po tym, Nie wchodź w zażyłość z tancerką, by jej czary cię nie zgubiły, a na koniec, Nie oddawaj się nierządnicom, abyś nie zatracił siebie i swego dziedzictwa. Sam Jezus zatracić się może, jest to prawdopodobne w wypadku tak młodego mężczyzny, jeśli zaś chodzi o dziedzictwo, wiemy już, że wobec jego braku trudno mówić o jakimkolwiek niebezpieczeństwie, zatem kiedy nadejdzie godzina uzgadniania warunków umowy, nic mu nie będzie grozić, jeżeli kobieta zapyta, Ile masz. Jezus przygotowany jest na wszystko i dlatego nie zaskakuje go pytanie zadane mu przez nią wtedy, gdy trzymając jego stopę na swoim kolanie, smarowała ranę maścią, Jak masz na imię, Jezus, tak odpowiedział i nie mówił, że z Nazaretu, bo już wcześniej to wyznał, tak jak ona, skoro tutaj mieszka, nie mówiła, że jest z Magdali, kiedy on ze swej strony zapytał o jej imię i usłyszał odpowiedź, Maria. Po tylu zabiegach i spostrzeżeniach Maria z Magdali opatrzyła ranną stopę Jezusa, obwiązując opatrunek solidną i trwałą opaską, Gotowe, powiedziała, Jak ci mam dziękować, zapytał Jezus i po raz pierwszy jego oczy spotkały się z jej oczami, czarnymi i błyszczącymi jak węgiel, w których jak woda przepływająca po wodzie skrzyła się lubieżna czujność, podrażniając całe ciało Jezusa. Kobieta nie odpowiedziała od razu, spoglądała na niego taksującym wzrokiem, chcąc być może przekonać się, jakim jest człowiekiem, skoro widać było, że na pewno biedny chłopak nie ma pieniędzy, wreszcie przemówiła, Zachowaj mnie w twojej pamięci, nic poza tym, a Jezus, Nie zapomnę o twojej dobroci, po czym, nabrawszy odwagi, dodał, Ani nie zapomnę o tobie, Dlaczego, uśmiechnęła się kobieta, Dlatego, że jesteś piękna, Nie znałeś mnie w czasach mej piękności, Znam twą piękność terazniejszą. Uśmiech zadrżał na jej wargach i zniknął, Wiesz kim jestem, co robię, z czego żyję, Wiem, Wystarczyło, że na mnie spojrzaleś

i dowiedziałaś się wszystkiego, Niczego nie wiem, Nie wiesz, że jestem nierządnicą, To wiem, I że kładę się z mężczyznami za pieniądze, Tak, A więc jest tak, jak mówię, wiesz o mnie wszystko, Wiem tylko to. Kobieta usiadła obok niego, pogłaskała go delikatnie po głowie, dotknęła jego ust końcami palców, Jeżeli chcesz mi podziękować, zostań dzisiaj ze mną, Nie mogę, Dlaczego, Nie mam ci czym zapłacić, Wielka nowina, Nie śmieć się ze mnie, Możesz mi nie wierzyć, ale bardziej bym się śmiała z mężczyzny z pełną sakiewką, Nie chodzi tylko o pieniądze, A o co. Jezus umilkł i odwrócił twarz. Ona nie udzieliła mu pomocy, mogła przecież zapytać, Jesteś prawnikiem, ale wyczekująco milczała. Zapadła cisza tak gęsta i głęboka, że zdawało się, że słyhać tylko bicie dwojga serc, jego biło mocniej i szybciej, zaś jej, z niepokojem wywołanym swoim własnym poruszeniem. Jezus rzekł, Twoje włosy są jak stado kóz falujące na górach Gileadu. Kobieta uśmiechnęła się i milczała dalej. Następnie Jezus powiedział, Oczy twe jak sadzawki w Cheszbonie, u bramy BatRabbim. Kobieta uśmiechnęła się ponownie, lecz nic nie mówiła. Wówczas Jezus powoli zwrócił twarz w jej stronę i rzekł, Nie znam kobiety. Maria ujęła jego dłonie, W ten sposób musimy zaczynać wszyscy, mężczyźni, którzy nie znali kobiety, kobiety, które nie znały mężczyzny, pewnego dnia, ten który wiedział, wytłumaczył, a ten który nie wiedział, zrozumiał, Czy chcesz mnie nauczyć, Po to żebyś znowu musiał mi dziękować, Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie przestanę ci dziękować, A ja nigdy nie przestanę cię uczyć. Maria podniosła się, poszła zaryglować drzwi od podwórka, ale najpierw zawiesiła od zewnętrznej strony coś, co było sygnałem dla klientów oznaczającym, że dla nich jest zamknięte, bowiem nadeszła pora pieśni, Powstań wietrze północny, nadleć, wietrze z południa, wiej poprzez ogród mój, niech popłyną jego wonności, niech wejdzie miły mój do swego ogrodu i spożywa jego najlepsze owoce. Następnie oboje, Jezus, tak jak wcześniej, wsparty na ramieniu Marii, tej nierządniczy z Magdali, która go wyleczyła i przyjmie w swoim łóżku, weszli do domu, do ogarniętego sprzyjającym półmrokiem czystego i chłodnego pokoju. Łóżko nie jest wieśniaczą matą rozciągniętą na podłodze i przykrytą szarym prześcieradłem, które Jezus zawsze widział w domu rodziców, kiedy jeszcze tam mieszkał, jest natomiast prawdziwym łóżem, takim jak to,

Októrym ktoś powiedział, Kilimem swe łoże wysłałam, kobiercem wzorzystym z Egiptu, swą pościel mirrą skropiłam, aloesem i cynamonem. Maria z Magdali zaprowadziła Jezusa w stronę pieca, tam gdzie podłoga wyłożona była ceglanymi płytkami i odrzucając pomoc, własnoręcznie go rozebrała i obmyła, od czasu do czasu dotykając tu

łówdzie jego ciała koniuszkami palców i delikatnie całując go po pierczyznami za pieniądze, Tak, A więc jest tak, jak mówię, wiesz o mnie wszystko, Wiem tylko to. Kobieta

usiadła obok niego, pogłaskała go delikatnie po głowie, dotknęła jego ust końcami palców, Jeżeli chcesz mi podziękować, zostań dzisiaj ze mną, Nie mogę, Dlaczego, Nie mam ci czym zapłacić, Wielka nowina, Nie śmieję się ze mnie, Możesz mi nie wierzyć, ale bardziej bym się śmiała z mężczyzny z pełną sakiewką, Nie chodzi tylko o pieniądze, A o co. Jezus umilkł i odwrócił twarz. Ona nie udzieliła mu pomocy, mogła przecież zapytać, Jesteś prawnikiem, ale wyczekująco milczała. Zapadła cisza tak gęsta i głęboka, że zdawało się, że słychać tylko bicie dwojga serc, jego biło mocniej i szybciej, zaś jej, z niepokojem wywołanym swoim własnym poruszeniem. Jezus rzekł, Twoje włosy są jak stado kóz falujące na górach Gileadu. Kobieta uśmiechnęła się i milczała dalej. Następnie Jezus powiedział, Oczy twe jak sadzawki w Cheszbonie, u bramy BatRabbim. Kobieta uśmiechnęła się ponownie, lecz nic nie mówiła. Wówczas Jezus powoli zwrócił twarz w jej stronę i rzekł, Nie znam kobiety. Maria ujęła jego dłonie, W ten sposób musimy zaczynać wszyscy, mężczyźni, którzy nie znali kobiety, kobiety, które nie znały mężczyzny, pewnego dnia, ten który wiedział, wytłumaczył, a ten który nie wiedział, zrozumiał, Czy chcesz mnie nauczyć, Po to żebyś znowu musiał mi dziękować, Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie przestanę ci dziękować, A ja nigdy nie przestanę cię uczyć. Maria podniosła się, poszła zaryglować drzwi od podwórka, ale najpierw zawiesiła od zewnętrznej strony coś, co było sygnałem dla klientów oznaczającym, że dla nich jest zamknięte, bowiem nadeszła pora pieśni, Powstań wietrze północny, nadleć, wietrze z południa, wiej poprzez ogród mój, niech popłyną jego wonności, niech wejdzie miły mój do swego ogrodu i spożywa jego najlepsze owoce. Następnie oboje, Jezus, tak jak wcześniej, wsparty na ramieniu Marii, tej nierządniczki z Magdali, która go wyleczyła i przyjmie w swoim łóżku, weszli do domu, do ogarniętego sprzyjającym półmrokiem czystego i chłodnego pokoju. Łóżko nie jest wieśniaczą matą rozciągniętą na podłodze i przykrytą szarym prześcieradłem, które Jezus zawsze widział w domu rodziców, kiedy jeszcze tam mieszkał, jest natomiast prawdziwym łóżem, takim jak to,

Októrym ktoś powiedział, Kilimem swe łożo wysłałam, kobiercem wzorzystym z Egiptu, swą pościel mirrą skropiłam, aloesem i cynamonem. Maria z Magdali zaprowadziła Jezusa w stronę pieca, tam gdzie podłoga wyłożona była ceglanymi płytkami i odrzucając pomoc, własnoręcznie go rozebrała i obmyła, od czasu do czasu dotykając tu

łówdzie jego ciała koniuszkami palców i delikatnie całując go po piersiach i po brzuchu. Te czułości przyprawiły Jezusa o drzenie, palce kobiety, przebiegając po jego skórze, pozostawiały na niej gęsią skórę, Nie bój się, powiedziała Maria z Magdali. Wytarła go i odprowadziła do łóżka, Półoś się, ja zaraz wrócę. Opuściła zasłonkę, dał się słyszeć szum wody, po czym nastąpiła przerwa, nagle powietrze zapachniało perfumami i pojawiła się naga

Maria Magdalena. Nagi był również Jezus, tak jak go zostawiła, chłopiec myślał, że tak powinno być, zakrycie odkrytego przez nią ciała byłoby obrażą. Maria zatrzymała się przy łóżku, obrzuciła go łagodnym acz gorącym spojrzeniem i powiedziała, Jesteś piękny, ale aby być doskonałym musisz otworzyć oczy. Jezus otworzył je z wahaniem i natychmiast zamknął oślepiiony, otworzył ponownie i w tej samej chwili poznał to, do czego naprawdę mogłyby się odnosić słowa króla Salomona, Linia twych bioder jak kolia, dzieło rąk mistrza, łono twe czasza okrągła, niechaj nie zbraknie w niej wina korzennego, brzuch twój jak stos pszenicznego ziarna okolony wiankiem lili, piersi twe jak dwoje kozłat bliźniat gazeli, poznał to jeszcze lepiej, kiedy Maria położyła się koło niego i ujmując jego dłonie, przyciągnęła je do siebie, każąc im przesuwac się powoli po swoim ciecie, po włosach i twarzy, po szyi, ramionach i piersiach, które delikatnie ucisnęła, po brzuchu, po pępku i po łonie, na którym zatrzymała się dłużej, splatając i rozplatając palce, po okrągłych i miękkich udach, kiedy tak robiła, mówiła po cichu, prawie szeptem, Ucz się, ucz się mojego ciała. Jezus patrzył na swoje własne dłonie trzymane przez Marię i pragnął, żeby je puściła, aby same mogły przesuwac się po tych miejscach, lecz ona nie ustawała, jeszcze raz i jeszcze raz, powtarzając, Ucz się mojego ciała, ucz się mojego ciała. Jezus szybko oddychał i w pewnym momencie miał wrażenie, że zaraz się udusi, było to wówczas, gdy obie jej dłonie, lewa oparta na czole, zaś prawa na kostkach, rozpoczęły powolną pieszczotę, zmierzając w tym samym kierunku, obie przyciągane przez jeden centralny punkt, w którym zatrzymały się tylko przez sekundę, aby z tą samą powolnością powrócić do punktu wyjścia i rozpocząć wszystko od początku. Niczego się nie nauczyłeś, idź, powiedział kiedyś Pasterz, mając chyba na myśli to, że Jezus nie nauczył się bronić życia. Teraz uczyła go Maria z Magdali, Ucz się mojego ciała, powtarzała, lecz inaczej, zmieniając jedno słowo, Ucz się twojego ciała, a on właśnie czuł swoje ciało, twarde, napięte, wzniesione, a nad nim była naga i wspaniała Maria z Magdali, która mówiła, Spokojnie, nie przejmuj się, nie ruszaj, pozwól mi zająć się tobą, wtedy poczuł, że jedna część jego ciała znalazła się w jej ciecie i otoczył ją ognisty pierścień przesuwający się w górę i w dół, jakieś drżenie wstrząsało nią od środka, jakby to była szamocząca się ryba, która wreszcie z krzykiem ucieka, lecz to niemożliwe, ryby przecież nie krzyczą, krzyczał za to on, zaś Maria, jęcząc, opadała całym ciałem na niego i spijała krzyk z jego ust w łapczywym i pragnącym pocałunku, który przejął ciało Jezusa ponownym i nie kończącym się dreszczem.

Przez cały dzień nikt nie zastukał do drzwi Marii z Magdali. Przez cały dzień obsługiwała i uczyła chłopca z Nazaretu, który nie znając jej ani z dobrej, ani ze złej strony, poprosił, żeby ulżyła jego bólam i wyleczyła rany zrodzone z innego spotkania, o czym ona

nie wiedziała, na pustyni z Bogiem. Bóg powiedział do Jezusa, Od dziś należysz do mnie poprzez krew, Demon, jeżeli to był on, wzgardził nim, Niczego się nie nauczyłeś, idź, a Maria Magdalena z piersiami spływającymi potem, rozpuszczonymi włosami, które zdawały się dymić, opuchniętymi ustami, oczami jak czarna woda, Nie przywiązuj się do mnie z powodu tego, czego cię nauczyłam, ale zostań ze mną na noc. Zaś Jezus, leżąc na niej, odpowiedział, To czego mnie uczysz, nie jest więzieniem, jest wolnością. Spali razem, lecz nie tylko tej nocy. Kiedy się przebudzili późnym rankiem i kiedy ich ciała ponownie się odnalazły, Maria obejrzała zranioną stopę Jezusa, Wygląda już lepiej, lecz nie powinieneś jeszcze iść do domu, marsz może ci zaszkodzić, a na dodatek ten kurz, Nie mogę zostać dłużej, zresztą sama mówisz, że już mi lepiej, Zostać możesz, chodzi tylko o to, czy taka jest twoja wola, drzwi od podwórka będą zamknięte tak długo, jak tylko zechcemy, A twoje życie, Moim życiem jesteś teraz ty, Dlaczego, Odpowiem ci słowami króla Salomona, Ukochany mój przez otwór włożył rękę swą, a serce me zadrżało z jego powodu, Jak mogę być twoim ukochanym, skoro mnie nie znasz, skoro jestem zaledwie kimś, kto przyszedł prosić cię o pomoc i nad kim ty się ulitowałaś, ulitowałaś się nad moimi bólami i nad moją niewiedzą, Dlatego cię kocham, dlatego ci pomogłam i cię uczyłam, lecz ty nie będziesz mógł kochać mnie, dlatego, że mi nie pomogłeś i mnie nie uczyłeś, Nie masz żadnej rany, Znajdziesz ją, jeżeli poszukasz, Jaka to rana, Te otwarte drzwi, przez które wchodzili różni, ale nie mój ukochany, Powiedziałaś, że jestem twoim ukochanym, Dlatego drzwi się zamknęły po twoim wejściu, Nie umiem nic, czego mógłbym cię nauczyć, tylko to, czego nauczyłem się od ciebie, Naucz mnie i tego, abym zobaczyła, jak to jest uczyć się od ciebie, Nie możemy żyć razem, Chcesz powiedzieć, że nie możesz żyć z nierządnicą, Tak, Przez cały ten czas, gdy będziesz ze mną, nie będę nierządnicą, nie jestem nierządnicą, od Idedy tutaj wszedłeś, od ciebie zależy to, czy nadal nią nie będę, Prosisz mnie o zbyt wiele, O nic, czego nie mógłbyś mi dać przez jeden dzień, przez dwa dni, przez cały czas potrzebny na zagojenie się twojej stopy, aż wreszcie znowu otworzy się moja rana, Dotarcie tutaj zabrało mi osiemnaście lat, Kilka dni ponad to nie robi ci żadnej różnicy, jesteś jeszcze młody, Ty też jesteś młoda, Starsza od ciebie, młodsza od twojej matki, Znasz moją matkę, Nie, Więc dlaczego to powiedziałaś, Bo nigdy nie mogłabym mieć syna, który dziś byłby w twoim wieku, Jakże głupi jestem, Nie jesteś głupi, tylko niewinny, Już nie jestem niewinny, Bo poznałeś kobietę, Nie byłem już wówczas, gdy się z tobą kładłem, Opowiedz mi o twoim życiu, ale nie teraz, teraz chcę tylko, żeby twoja lewa ręka spoczęła na mojej głowie, a prawa mnie objęła.

Jezus pozostał w domu Marii z Magdali przez cały tydzień, a więc przez czas potrzebny na to, by pod strupem odrosła nowa skóra. Drzwi od podwórza stale były

zamknięte. Jacyś niecierpliwi mężczyźni, rozpaleni chucią oraz gniewem, stukali do drzwi, rozmyślnie ignorując sygnał, który powinien utrzymywać ich w oddaleniu. Chcieli się dowiedzieć, kim był ten, który tak długo tam przesiadywał, a jakiś dowcipniś przerzucił przez mur przymówkę, Albo nie może, albo nie potrafi, otwórz mi drzwi, Mario, a ja mu pokażę, jak to się robi, zaś Maria z Magdali wyszła na podwórko, aby odpowiedzieć, Kimkolwiek jesteś, tego co mogłeś, więcej nie będziesz mógł, a tego, co robiłeś, więcej nie zrobisz, Przeklęta kobieta, Idź stąd, albowiem bardzo się mylisz, nie znajdziesz na świecie bardziej ode mnie błogosławionej kobiety. Czy to w następstwie tego incydentu, czy też dlatego, że tak musiało być, nikt już nie stukał do ich drzwi, chociaż najbardziej prawdopodobną przyczyną była ta, iż żaden z tych mężczyzn, mieszkańców Magdali lub poinformowanych nietutejszych, nie chciał ryzykować usłyszenia przekleństwa skazującego go na impotencję, gdyż w powszechnej opinii, nierządnicę, zwłaszcza te najlepszej kategorii, dyplomowane lub posiadające największy dorobek, wiedząc wszystko o sztuce dogadzania mężczyznom, znakomicie potrafią też zamieniać ich w wiecznych ponuraków ze zwieszoną głową, pozbawionych pragnień i zapału. Cieszyli się zatem spokojem Maria z Jezusem w czasie tych ośmiu dni, Idędy to dawane i pobierane lekcje stały się jednym wywodem złożonym z gestów, odkryć, niespodzianek, szeptów, pomysłów, jakby to była mozaika z tabliczek, które występując pojedynczo, nic nie znaczą, natomiast po połączeniu i umieszczeniu we właściwym miejscu są wszystkim. Więcej niż jeden raz powodowana ciekawością Maria chciała dowiedzieć się o życiu ukochanego, ale Jezus zmieniał temat i odpowiadał na przykład tak, Wchodzę do mego ogrodu, siostró ma oblubienico, zbieram mirrę mą z moim balsamem, spożywam plaster z miodem moim, piję wino moje wraz z mlekiem moim, powiedziawszy to tak namiętnie, przechodził od recytacji wersetu do aktu poetyckiego, Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, kochany Jezusie, w ten sposób nie można rozmawiać. Jednak pewnego dnia Jezus postanowił opowiedzieć o swym ojcu cieśli oraz matce gręplarce wełny, o swoim ośmiorgu rodzeństwa, o tym, że zgodnie ze zwyczajem zaczął od nauki ojcowskiego rzemiosła, lecz później przez cztery lata był pasterzem, że wracał już do domu, spędziwszy uprzednio kilka dni u rybaków, gdzie wszelako nie wystarczyło mu czasu na nauczenie się ich sztuki. Kiedy Jezus zakończył swą opowieść, zbliżał się wieczór, oboje spożywali posiłek na podwórku, od czasu do czasu unosząc głowy, aby popatrzeć na przelatujące szybko jaskółki, które wydawały swe piskliwe krzyki, wtem cisza zapanowała pomiędzy nimi i wydawało się, że wszystko już zostało powiedziane, mężczyzna wypowiadał się kobiecie, jednak kobieta, jakby nigdy nic, zapytała, Tylko tyle, zaś on przytaknął, Tak, tylko tyle. Zapadła kompletna cisza, jaskółki zakreślały kręgi w innej

okolicy, a Jezus powiedział, Mojego ojca ukrzyżowano cztery lata temu w Seforis, miał na imię Józef, O ile się nie mylę, jesteś pierworodnym synem, Tak, jestem pierworodnym synem, Nie rozumiem więc, dlaczego nie zostałeś ze swoją rodziną, to był twój obowiązek, Były pomiędzy nami pewne różnice, nie pytaj mnie o nic więcej, O nic, co by dotyczyło twojej rodziny, ale opowiedz mi o czasie spędzonym z Pasterzem, Nie ma o czym mówić, zawsze to samo, kozy, owce, koziołki, baranki i mleko, dużo mleka, wszędzie mleko, Podobało ci się bycie pasterzem, Podobało, Dlaczego odszedłeś, Znudziło mi się, tęskniłem za rodziną, Co to znaczy, tęskniłem, Było mi żal, że jestem daleko, Kłamiesz, Dlaczego mówisz, że kłamię, Bo zobaczyłam strach i wyrzuty sumienia w twoich oczach. Jezus nie odpowiedział, podniósł się, okrążył podwórko, po czym stanął przed Marią, Pewnego dnia, gdy znów się spotkamy, być może opowiem ci resztę, jeżeli obiecasz, że nikomu o tym nie powiesz, Zaoszczędziłbyś nam czasu, gdyby to było już teraz, Powiem, ale tylko wówczas, gdy spotkamy się ponownie, Masz nadzieję, że wtedy nie będę już nierządnicą, na razie nie możesz mi ufać, myślisz, że byłabym zdolna sprzedać twoje sekrety za pieniądze albo wydać je komukolwiek, kto tu przyjdzie, dla zabawy, w zamian za miłosną noc, wspanialszą od tych, które ja dałam tobie i ty dałeś mnie, Nie dla tej przyczyny wolę milczeć, Zatem

€ ■ powiadam ci, że Maria z Magdali będzie przy tobie, nierządnica albo nie, kiedy tylko będziesz jej potrzebował, Kim jestem, aby na to zasługiwać, Ty nie wiesz, kim jesteś. Tej nocy powrócił dawny koszmar, po tym jak w ostatnich czasach był zaledwie nieokreślonym niepokojem wciskającym się w odstępy pomiędzy powszednimi snami, czymś zwyczajnym i do zniesienia. Jednak tej nocy, chyba dlatego, że była ostatnią, którą Jezus miał spędzić w tym łóżku, i chyba też dlatego, że wspominał o Seforis i o ukrzyżowanych, koszmar tak jak olbrzymi wąż budzący się z zimowego snu zaczął powoli rozwijać swoje sploty, unosząc straszny łeb, Jezus zerwał się z krzykiem, cały był zlany zimnym potem, Co ci jest, co ci jest, pytała go zatroskana Maria, To jakiś sen, tylko jakiś sen, bronił się, Opowiedz mi go, a to proste słowo zostało wypowiedziane z taką miłością i z taką czułością, że Jezus nie potrafił powstrzymać łez, a po łzach słów, które chciał ukryć, Śni mi się, że mój ojciec ma mnie zabić, Twój ojciec nie żyje, ty jesteś tutaj, żywy, Jestem dzieckiem i jestem w Betlejem w Judei, a mój ojciec idzie, żeby mnie zabić, Dlaczego w Betlejem, Bo tam się urodziłem, Może myślisz, że twój ojciec nie chciał, żebyś się urodził, twój sen chyba to właśnie oznacza, Ty nic nie wiesz, Nie, nie wiem, W Betlejem dzieci zginęły przez mojego ojca, Zabił je, Zabił je, ponieważ ich nie uratował, to nie jego dłoń dźmierzyła sztylet, W twoim śnie jesteś jednym z tych dzieci, Umierałem tysiące razy, Biedny, biedny Jezus, Z tego powodu opuściłem dom, Nareszcie rozumiem, Zdaje ci się, że rozumiesz, Czego jeszcze

brakuje, Tego, o czym nie mogę ci powiedzieć, Tego, co mi powiesz, kiedy znowu się spotkamy, Tak. Jezus zasnął z głową na ramieniu Marii, oddychając ponad jej piersią. Ona nie spała już przez resztę nocy. Bolało ją serce, gdyż niebawem ranek ich rozdzieli, chociaż w głębi duszy była spokojna. Mężczyzna spoczywający u jej boku był, wiedziała to dobrze, tym, na którego czekała przez całe życie, dziewiczym ciałem, które należało do niej i do którego należało pokalane i wytarte ciało jej, trzeba jednak zauważyć, iż świat zaczął się zaledwie osiem dni temu i dopiero tej nocy znalazło to swe potwierdzenie. Osiem dni nie znaczy nic, jeżeli je porównamy z przyszłością, rzecz można, nienaruszoną, zwłaszcza że ten Jezus, który mi się objawił, jest taki młody, zaś ja, Maria z Magdali, która tutaj leżę z mężczyzną, co wielokrotnie wcześniej miało miejsce, kocham go bez pamięci i nie mam wieku.

Cały ranek poświęcili na przygotowania do drogi, wydawało się, jakby chłopiec szedł na koniec świata, podczas gdy przed nim tylko dwieście staj, odległość, którą człowiek normalnej budowy bez niczego może pokonać pomiędzy południowym słońcem i wieczornym zmierzchem, nawet biorąc pod uwagę to, że od Magdali do Nazaretu nie wiedzie płaski szlak i nie brakuje na nim urwistych zboczy i kamienistych pustkowi. Bądź ostrożny, bo włóczą się tamtędy grupy partyzantów walczących przeciwko Rzymianom, napominała Maria, Jeszcze, zapytał Jezus, Byłeś daleko, to zaś jest Galilea, A jeżeli jestem Galilejczykiem, to przecież nic złego mi nie zrobią, Nie jesteś Galilejczykiem, skoro urodziłeś się w Betlejem w Judei, Moi rodzice poczęli mnie w Nazarecie, a tak naprawdę, nie urodziłem się w samym Betlejem, tylko w pewnej jaskini, teraz natomiast mam wrażenie, że urodziłem się ponownie, tutaj w Magdali, Z nierządnic, Dla mnie nie jesteś nierządnicą, wybuchnął Jezus, Byłam nią przecież. Po tych słowach nastąpiła długa cisza, Maria czekała, aż Jezus przemówi, Jezus zmagił się z niepokojem, nad którym nie był w stanie zapanować. Wreszcie zapytał, Czy usuniesz to, co powiesiłaś za drzwiami, żeby nikt nie wchodził. Maria z Magdali popatrzyła nań poważnym wzrokiem, lecz wnet się uśmiechnęła przekornie, Nie mogłabym mieć w domu jednocześnie dwóch mężczyzn, Co to ma oznaczać, Że idziesz, lecz wciąż tu będziesz obecny. Zrobiła przerwę, Znak wywieszony za drzwiami pozostanie tam, Pomyślą, że jest u ciebie mężczyzna, Jeżeli tak pomyślą, dobrze pomyślą, bowiem będę z tobą, Nikt więcej tu nie wejdzie, Tyś to powiedział, kobieta zwana Marią z Magdali przestała być nierządnicą, kiedy ty tutaj wszedłeś, Z czego będziesz żyć, Tylko polne lilie nie muszą pracować żeby rosnąć. Jezus ujął jej dłonie i powiedział, Nazaret nie leży daleko od Magdali, niedługo wrócę, aby cię odwiedzić, Odnajdziesz mnie tutaj, jeżeli poszukasz, Zawsze będę tego pragnął, Odnalazłbyś mnie nawet po śmierci, Chcesz powiedzieć, że umrę pierwszy, Jestem starsza, z pewnością to ja umrę pierwsza, ale gdybyś przypadkiem zmarł przede mną,

ja będę żyć tylko po to, abyś mógł mnie odnaleźć, A jeżeli ty umrzesz najpierw, Niech będzie błogosławiona ta, co wydała cię na świat, kiedy ja jeszcze na nim byłam. Następnie Maria z Magdali dała Jezusowi jeść, a on nie musiał jej mówić, Usiądź ze mną, ponieważ od pierwszego dnia, w zamkniętym domu, ten mężczyzna i ta kobieta dzielili oraz mnożyli uczucia i gesty, przestrzenie i doznania, bez nadmiernego poszanowania reguł, zasad i prawa. Z pewnością nie wiedzieliby, jak nam odpowiedzieć, gdybyśmy zapytali ich teraz, w jaki sposób zachowywaliby się, nie mając osłony z tych czterech ścian, pomiędzy którymi mogli w ciągu kilku dni wyrzeźbić świat na prosty obraz i podobieństwo mężczyzny i kobiety, choć nawiasem mówiąc, bardziej na obraz jej niż na obraz jego, oboje zaś wykazali tak wielką stanowczość w odniesieniu do swych przyszłych spotkań, wystarczy cierpliwie poczekać, aż w odpowiednim czasie i miejscu stawia czoło światu z drugiej strony drzwi, należącemu do tych, którzy już z niepokojem pytają, Co się tam w środku dzieje, nie mając na myśli znanych sypialnianych igraszek. Po posiłku Maria założyła Jezusowi sandały irzekła, Musisz iść, jeżeli chcesz dotrzeć do Nazaretu przed nocą, Do widzenia, powiedział Jezus i zabrawszy worek oraz kostur, wyszedł na podwórko. Niebo było zasnuwane chmurami przypominającymi podszewkę z brudnej wełny, Pan musiał mieć trudności z dostrzeżeniem z wysokości, co też robiły Jego owieczki. Jezus i Maria z Magdali pożegnali się uściskiem, który zdawał się nie mieć końca, pocałowali się również, ale trwało to znacznie krócej, nic dziwnego, bo wtedy zwyczaj ten nie był tak powszechny.

Słońce właśnie zaszło, kiedy Jezus po czterech długich latach ponownie stanął na nazarejskiej ziemi, tydzień mniej, tydzień więcej nie miał znaczenia, tyle już minęło od dnia, w którym stąd uciekł dzieckiem jeszcze będąc, trawiony śmiertelną rozpaczą, aby odnaleźć w świecie kogoś, kto by mu pomógł w zrozumieniu pierwszej nieznośnej prawdy w jego życiu. Cztery lata, nawet tak powoli mijające, mogą nie wystarczyć do uśmierzenia bólu, lecz na ogół usypiają go. Zadał pytania w Świątyni, chodził po górskich ścieżkach z diabelskim stadem, spotkał Boga, spał z Marią z Magdali, przybywający tu człowiek chyba już nie cierpi, wyjąwszy tę wspomnianą przez nas wilgoć w oczach, która jednak, jeżeli dobrze się zastanowimy nad możliwymi przyczynami, może być również spóźnionym efektem wywołanym przez dymy ofiarne albo porywem duszy pozostającej pod wrażeniem horyzontów widzianych z wysokich pastwisk, albo strachem osoby, która w samotności usłyszała na pustyni, Jam jest Panem, albo wreszcie, ta wersja jest chyba najbardziej prawdopodobna, pragnieniem i wspomnieniem ciała opuszczonego zaledwie kilka godzin temu, Pokrzepcie mnie rodzynekami, wzmocnijcie mnie jabłkami, gdyż omdleвам z miłości, tę słodką prawdę mógłby Jezus wyznać swojej matce i swoim braciom oraz siostram, ale jego

krok zawisnął nad progiem, Kim są moja matka i moje rodzeństwo, pyta, nie dlatego, że nie wie, problem polega na tym, czy oni wiedzą, kim jest on, ten który zadawał pytania w Świątyni, kontemplował horyzonty, spotkał Boga, poznał cielesną miłość i przez nią rozpoznał w sobie mężczyznę. W tym samym miejscu przed drzwiami stał niegdyś żebrak podający się za anioła, który, jeżeli nim był naprawdę, mógł wtargnąć do domu, wznecając tajfun swymi trzepoczącymi skrzydłami, on jednak wołał zastukać słowami żebraka poprosić o jałmużnę. Drzwi są zamknięte tylko na skobel. Jezus nie będzie musiał krzyżeć tak, jak to miało miejsce w Magdali, spokojnie wejdzie do tego domu, do swojego domu, pamiętajmy, że zaleczona jest rana na stopie, takie z krwią i z ropą na pewno łatwiej wyleczyć. Nie musiał pukać, lecz uczynił to. Usłyszał głosy z drugiej strony muru, nieco dalej rozpoznał głos matki, nie wystarczyło mu jednak odwagi, aby po prostu pchnąć drzwi i oznajmić, Oto jestem, jak ktoś, kto wiedząc, że jest wyczekiwany, chce zrobić niespodziankę, dzięki której wszyscy staną się szczęśliwi. Jakaś mała dziewczynka otworzyła drzwi, miała osiem albo dziewięć lat i nie poznała gościa, zew krwi nie podpowiedział jej, Ten człowiek jest twoim bratem, nie pamiętasz, to Jezus, najstarszy z rodzeństwa, lecz to on, pomimo czterech lat dodanych do wieku obojga oraz wieczorowej pory, powiedział, Masz na imię Lidia, a ona potwierdziła, Tak, gotowa popaść w zachwyt za sprawą nieznanego, który wie, jak ma na imię, lecz on przerwał to oczarowanie, mówiąc, Jestem twoim bratem Jezusem, pozwól mi przejść. Na podwórku przy samym domu dostrzegł pod daszkiem sylwetki podobne do cieni, byli to jego bracia, spoglądali teraz w kierunku drzwi, dwaj najstarsi zaś, Jakub i Józef, zbliżali się do niego, nie usłyszeli słów Jezusa, lecz nie warto już było ustalać tożsamości przybysza, ponieważ ogarnięta entuzjazmem Lidia krzychała, To Jezus, to nasz brat, wówczas wszystkie cienie poruszyły się, a w drzwiach domu ukazała się Maria, razem z nią była Lizja, prawie takiego samego wzrostu jak matka, obie zawołały, zdawało się, jakby to był jeden głos, Och mój synu, Och mój bracie, w następnej chwili wszyscy ściskali się na środku podwórka, doprawdy była to radość połączonych rodzin, zazwyczaj doniosłe zdarzenie, zwłaszcza gdy, tak jak w tym wypadku, sam pierworodny syn powrócił do naszej czułości i do naszej troskliwości. Jezus przywitał się z matką, przywitał się z rodzeństwem, a wszyscy oni powitali go bardzo gorąco, Bracie Jezusie, jak dobrze cię widzieć, Bracie Jezusie, sądziliśmy, że o nas zapomniałeś, nie słysząc było natomiast jednej myśli, Bracie Jezusie, raczej nie wracasz jako człek bogaty. Weszli do domu i zasiedli do wieczerzy przygotowywanej przez rodzinę akurat wtedy, gdy zastukał w drzwi, można by tu powiedzieć, skoro Jezus ma za sobą to, co ma, a więc nadużycia grzesznego ciała i moralnie niestosowne obcowanie, można by więc tu powiedzieć z szorstką otwartością prostych ludzi, którzy widzą, jak nagle zmniejszają

się ich racje, W porze posiłku zawsze kogoś musi przynieść. Tutaj tego nie powiedziano i źle by było, gdyby tak się stało, bowiem do chóralnego przeżuwania przyłączyły się tylko jedne usta i trudno było zauważyć jakkolwiek różnicę, tam gdzie je dziewięciu, dla dziesiątego też wystarczy, a przecież ten ma większe prawo. W czasie wieczerzy najmłodszy bracia chcieli się dowiedzieć o przygodach, gdyż trójka najstarszych oraz matka od razu się zorientowali, że od czasu spotkania w Jerozolimie nie zaszły żadne zmiany na niwie zawodowej, tym bardziej, że już wcześniej ulotnił się zapach ryb, natomiast z grzesznymi wonnościami Marii z Magdali poradziły sobie wiatr, kurz i godziny wędrówki, chyba żebyśmy przytknęli nos do Jezusowej tuniki, ale na to nie poważyłaby się nawet rodzina, a cóż dopiero my. Jezus opowiadał o tym, że pracował przy największym stadzie, jakie kiedykolwiek widziano, że ostatnio łowił ryby na jeziorze i przy jego pomocy uzyskiwano wielkie i cudowne połowy oraz że przydarzyła mu się najniezwyklejsza przygoda, jaką może ogarnąć ludzka wyobraźnia i nadzieja, lecz o niej opowie kiedy indziej i nie wszystkim. Wówczas ci najmniejsi poczęli nalegać, Opowiedz, opowiedz, a średni, zwany Judaszem, nie mając wcale złych zamiarów, zapytał, Po takim czasie, ile masz pieniędzy, a Jezus odparł, Nie mam nawet trzech monet, ani dwóch, ani jednej, nic, i żeby to udowodnić, albowiem wszystkim takie ubóstwo musiało wydać się niemożliwe po czterech latach nieustannej pracy, opróżnił swój worek, zaprawdę nigdy nie widziano nędzniejszego dobytku, był tam jeden nóż ze stępionym i pogiętym ostrzem, kawałek postronka, pajdka zczerstwiałego chleba, dwie pary podartych sandałów, strzępy starej tuniki, To twój ojciec, rzekła Maria dotykając jej i dotykając większych sandałów, Należały do waszego ojca. Pospuszczali bracia głowy, tęsknota przypominała o żalnym zgonie przodka, następnie Jezus z powrotem umieścił w worku jego Uchą zawartość i nagle zwrócił uwagę na pękaty węzełek zawiązany na jednym z końców tuniki, zorientował się, że węzełek ów jest ciężki, krew nabiegła mu do twarzy, mogły w nim być tylko pieniądze, te, których rzekomo nie posiadał, a więc zostały tam włożone przez Marię z Magdali po uprzednim zarobieniu ich nie w pocie czoła, jak nakazuje godność, lecz dzięki fałszywym jękom oraz podejrzanym wysiłkom. Matka, bracia i siostry patrzyli na zdradziecki koniec tuniki, po czym, jakby się umówili, spojrzeli na niego, zaś Jezus, pomiędzy maskowaniem tudzież zakrywaniem dowodu kłamstwa oraz wyeksponowaniem go bez możliwości udzielenia wyjaśnień, których moralna strona nie budziłaby zastrzeżeń rodziny, wybrał najtrudniejsze wyjście z sytuacji, otóż rozwiązał węzełek i wysypał skarb, dwadzieścia monet, jakich nigdy nie widziano w tym domu, mówiąc, Nie wiedziałem, że mam te pieniądze. Milczące potępienie przecięło powietrze jak gorący podmuch pustynnego wiatru, jaki wstyd, najstarszy brat jest kłamcą. Jezus popadł w zadumę, ale nie chował w sercu urazy do Marii z

Magdali, żywił natomiast nieskończoną wdzięczność za jej szlachetność, za tę delikatność w przekazaniu mu pieniędzy, których powodowany wstydem nie przyjąłby bezpośrednio z jej rąk, bo przecież powiedzenie, Twoja lewa ręka jest pod moją głową, a prawa mnie obejmuje, nie jest tym samym co myśl, że inne lewe ręce i inne prawe ręce cię obejmowały, nie chcąc wiedzieć, czy twoja głowa kiedykolwiek pragnęła jakiejś podpory. Teraz to Jezus spogląda na rodzinę, wzywając ją do przyjęcia jego słów, Nie wiedziałem, że mam te pieniądze, bez wątplenia mówi prawdę, choć zarazem całkowitą i niezupełną, rzucającą kolejne, ciche tym razem, wyzwanie, na które nie będzie już odpowiedzi, Skoro nie wiedziałeś, że je masz, jak wytłumaczysz, że jednak je masz, nie może przecież odpowiedzieć tak, Zostały tutaj włożone przez pewną nierządnicę, z którą spałem przez ostatnich osiem dni, a ona dostała je od mężczyzn, którzy spali z nią wcześniej. Na brudnej i postrzępionej tunice człowieka zmarłego na krzyżu cztery lata temu, którego kości poznały hańbę wspólnej mogiły, błyszczą dwadzieścia monet, podobnie jak tamta świetlista ziemia przyniesiona pewnej nocy do tego domu, dziś jednak nie przyjdą tutaj starsi z synagogi i nie powiedzą, Zakopcie je, nikt też nie zapyta, skąd się wzięły, aby odpowiedź nie zmusiła nas do odrzucenia ich wbrew woli i potrzebom. Jezus bierze monety w obie dłonie i ponownie oznajmia, Nie wiedziałem, że mam te pieniądze, jak ktoś, kto daje ostatnią okazję, po czym zwraca się do matki, To nie są pieniądze od Diabła. Zadrzało z przerażenia rodzeństwo, a Maria, spokojnie odparła, Nie pochodzą też od Boga. Jezus przerzucił kilkakrotnie monety z ręki do ręki, bawiąc się nimi, wreszcie odezwał się tak po prostu, jak gdyby zapowiadał, że następnego dnia wróci do ciesielskiego warsztatu, Moja matko, o Bogu porozmawiamy jutro, zwrócił się też do Jakuba i Józefa, Porozmawiam również z wami, dodał, dobrze by było, gdyby nikt sobie nie pomyślał, że chodzi tu li tylko o uprzejmość okazaną przez starszego brata, ci dwaj osiągnęli już dojrzałość religijną i mają pełne prawo dostępu do spraw zastrzeżonych. Jakub uznał jednak, że mając na uwadze niezwykle wagę zagadnienia, należało już teraz poruszyć pewne kwestie związane z obiecaną rozmową, nie może być tak, że przychodzi sobie brat, choćby i najstarszy, i mówi, Musimy odbyć rozmowę o Bogu, dlatego z przymilnym uśmiechem odezwał się w te słowa, Skoro, zgodnie z tym co nam powiedziałeś, przez cztery lata zajmowałeś się pasterstwem, chodząc po górach i dolinach, nie miałeś chyba zbyt wiele czasu na uczęszczanie do synagogi i na naukę, a teraz, ledwie wszedłeś do domu, mówisz nam, że chcesz rozmawiać o Bogu. Pod tym słodkawym tonem Jezus wyczuł wrogość, odpowiedział zatem, Jakubie, tak mało wiesz o Bogu, że nawet nie wiesz, że wcale nie musimy Go poszukiwać, jeśli On sam postanowi nas odnaleźć, Jeżeli dobrze cię rozumiem, masz na myśli samego siebie, Nie zadawaj mi pytań przed jutrzejszym dniem, jutro powiem otym, o czym

mam powiedzieć. Jakub zamruczał jakieś słowa, których nie można było usłyszeć, ale które z pewnością były kwaśnym komentarzem odnoszącym się do ludzi wszytkowiedzących. Maria rzekła zmęczonym głosem do Jezusa, Powiesz jutro albo pojutrze, albo kiedy zechcesz, lecz teraz powiedz mnie i twoim braciom, co zamierzasz zrobić z tymi pieniędzmi, bo my tutaj mamy wiele potrzeb, Nie chcesz się dowiedzieć, skąd je mam, Powiedziałeś, że nie wiesz skąd je masz, To prawda, lecz później pomyślałem i teraz już wiem, Jeżeli nie jest im źle w twoich rękach, nie będzie też źle w rękach twojej rodziny, To wszystko co masz do powiedzenia na temat tych pieniędzy, Tak Zatem wydamy je jak należy, na potrzeby domowe. Dał się słyszeć ogólny szmer aprobaty, sam Jakub uczynił gest przyjacielskiego powinszowania, zaś Maria rzekła, Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, odłożymy pewną część na posag twojej siostry, Nie powiedzieliście mi jeszcze, że Lizja ma już wyznaczony termin zamążpójścia, Tak, na wiosnę, Powiedz mi, ile potrzebujesz, Nie wiem, ile te monety są warte. Jezus uśmiechnął się i stwierdził, Ja też nie wiem, ile są warte, natomiast wiem, jaką mają wartość. Zaśmiał się głośno i perliście, jak gdyby rozbawiły go własne słowa, cała rodzina patrzyła na niego zmieszana. Tylko Lizja spuściła oczy, ma piętnaście lat, kieruje nią dziewiczy wstyd i tajemnicza intuicja właściwa temu wiekowi, ona odczuwa największe zakłopotanie z powodu pieniędzy, które nie wiadomo do kogo należały, skąd się wzięły i w jaki sposób zostały zarobione, a przecież nikt z rodziny nie chce tego wiedzieć. Jezus wręczył jedną monetę matce, mówiąc, Jutro ją zmienisz, wówczas dowiemy się, jaką ma wartość, Na pewno mnie zapytają, skąd tyle bogactwa znalazło się w moim domu, bo gdy ktoś może pokazać taką monetę, inne ma schowane, Powiesz tylko, że twój syn Jezus powrócił z podróży i że nie ma większego bogactwa nad powrót marnotrawnego syna.

Tej nocy Jezusowi przyśnił się ojciec. Położył się na podwórku pod daszkiem, gdyż w porze układania się do snu uczuł, że nie zniesie miw

\ tego domowego pomieszania, dziesięciu osób rozproszonych po kątach w poszukiwaniu niemożliwej izolacji, minęły już czasy, gdy nie dostrzegało się różnicy pomiędzy nimi i stadem malutkich baranków, teraz jest tu nadmiar nóg, rąk, zetknięć i sprzeczności. Przed zaśnięciem Jezus myślał o Marii z Magdali i o wszystkich rzeczach, które razem robili, takie myśli podrażniły go do tego stopnia, że dwukrotnie się podnosił ze słomy i okrążał podwórko, aby ochłodzić krew, kiedy zaś wreszcie zasnął łagodnym i gładkim snem niewinnego dziecka, było tak, jakby jakaś rzeka leniwie unosiła z prądem jego ciało, ponad głową przesuwały się chmury i gałęzie oraz niemy ptak, który znikał i ponownie się pojawiał. Sen przyszedł do Jezusa wtedy, gdy zdawało mu się, że czuje jakiś lekki wstrząs, jak gdyby jego płynące ciało otarło się o inne ciało. Pomyślał o Marii z Magdali i uśmiechnął się, z

uśmiechem obrócił głowę w jej stronę, ale ta sama woda, pod tymi samymi gałęziami i pod tym samym niebem, wreszcie pod tym samym fruującym w milczeniu ptakiem, niosła jego ojca. Dawny okrzyk trwogi począł zawiązywać się w gardle, ale zaraz przestał, to nie był ten sen co zawsze, Jezus nie czekał na śmierć wraz z innymi dziećmi na placu w Betlejem, nie słysząc było stąpania i parskania koni ani dzwonienia iszczęku oręża, a tylko jedwabisty przepływ wody, ta sama rzeka niosła dwa ciała, ojca i syna, połączone jak tratwa. W tym momencie strach opuścił duszę Jezusa, zaś w jego miejsce wybuchło jak patetyczne uniesienie niepowstrzymane uczucie radości, Mój ojciec, mówił we śnie, mój ojciec, powtarzał już na jawie, ale wnet się rozplakał, bowiem zdał sobie sprawę, że jest sam. Pragnął powrócić do snu, powtórzyć go od pierwszych chwil po to, by znów poczuć, czekając na nią, tę niespodziankę wywołaną wstrząsem, jeszcze raz zobaczyć ojca i razem z nim dać się ponieść prądowi aż do końca wód i czasów. Tej nocy już mu się to nie udało, ale stary sen więcej nie powróci, od tej pory zamiast strachu przychodzić będzie radość, zamiast samotności będzie miał towarzystwo, zamiast odłożonej śmierci, obiecane życie, wyjaśnijcie teraz, uczeni w Piśmie, jeżeli was na to stać, jaki sen miał Jezus, co oznaczają rzeka i prąd, i zwisające gałęzie, i przepływające chmury, i milczący ptak, i dlaczego właśnie dzięki takiemu porządkowi tych rzeczy mogli się połączyć ojciec z synem, mimo że wina jednego nie ma przebaczenia, zaś ból drugiego nie ma lekarstwa.

Następnego dnia Jezus chciał pomóc Jakubowi przy ciesielskich robotach, ale rychło okazało się, że jego dobre chęci nie wystarczyły do zatuszowania braku wiedzy, która w końcowym okresie terminowania jeszcze za życia ojca nie zasłużyła na dostateczną ocenę. Starając się nadażyć za potrzebami klienteli, Jakub stał się całkiem niezłym cieślą, zresztą nawet niespełna czternastoletni Józef wiedział już tyle osztytu obrabiania drewna, że mógłby udzielać lekcji starszemu bratu, o ile oczywiście taki zamach na zasadę starszeństwa byłby tolerowany w sztywnej hierarchii rodzinnej. Jakub śmiał się z nieporadności Jezusa i mówił mu, Ten, kto z ciebie zrobił pasterza, zgubił cię, te proste słowa nacechowane sympatyczną ironią, które w żaden sposób nie mogły zawierać ukrytej myśli ani sugerować podwójnego znaczenia, sprawiły, że Jezus raptownie odsunął się od warsztatu, a Maria upomniała drugiego syna, Nie mów o zgubie, nie przywołuj zła i diabła do naszego domu. Oszołomiony Jakub odparł, Ależ matko, ja niczego nie przywoływałem, powiedziałem tylko, Wiemy, co powiedziałaś, uciał Jezus, nasza matka i ja wiemy, co powiedziałaś, lecz to w jej, a nie w twojej głowie Pasterz został skojarzony ze zgubą, ty przyczyn nie znasz, ona zaś zna, Ostrzegałam cię, rzekła Maria stanowczo, Ostrzegałaś mnie, kiedy złu nie można było już zaradzić, oile jest to zło, bo ja patrzę na siebie i go nie widzę, odpowiedział Jezus, Nie ma

ślepeca tak ślepego jak ten, który nie chce widzieć, rzekła Maria. Słowa te bardzo rozgniewały Jezusa, przez co odpowiedział karcącym tonem, Zamilcz, kobieto, jeśli oczy twego syna widziały zło, widziały je po tobie, lecz te same oczy, które według ciebie są ślepe, widziały również to, czego ty nigdy nie widziałaś i z pewnością nie zobaczysz. Władczy i surowy ton pierworodnego syna a także zagadkowość końcowych słów zmusiły Marię do ustąpienia, jednakże jej odpowiedź niosła ze sobą ostatnią przestrożę, Wybacz mi, nie miałam zamiaru cię obrazić, oby Pan zechciał na zawsze zachować światło twych oczu i światło twej duszy, powiedziała. Jakub spoglądał to na matkę, to na brata, rozumiał, że jest między nimi konflikt, ale nie wyobrażał sobie, jakie zadawnione przyczyny mogłyby doprowadzić do wytłumaczenia tego wszystkiego, zwłaszcza że nie nadszedł chyba jeszcze czas na ujawnienie nowych przyczyn. Jezus skierował się do domu, ale na progu odwrócił się i powiedział do matki, Każ twoim dzieciom, żeby poszły się pobawić, chcę porozmawiać tylko z tobą oraz z Jakubem i Józefem. Wyszli bracia i siostry, dom, w którym przed chwilą pełno było ludzi, nagle opustoszał, zaledwie cztery osoby siedziały na podłodze, Maria pomiędzy Jakubem i Józefem, a przed nimi Jezus. Nastąpiło długie milczenie, tak jakby w wyniku porozumienia wszyscy oni chcieli dać osobom niepożądanym lub też niegodnym czas na oddalenie się do miejsca, do którego nie dobiegnie nawet echo okrzyku, aż wreszcie Jezus, cedząc słowa, powiedział, Widziałem Boga. Pierwszym uczuciem, jakie można było dostrzec na twarzach matki oraz braci, był strach naznaczony szacunkiem, drugim, ostrożne niedowierzanie, a pomiędzy nimi przemknęło coś na kształt złośliwej podejrzliwości Jakuba, pomieszania zachwytu z podnieceniem Józefa i gorzkiej rezygnacji Marii. Żadne z nich nie odezwało się, więc Jezus powtórzył, Widziałem Boga. Jeżeli, zgodnie z ludowymi wierzeniami, w miejscu, przez które przeszedł jakiś anioł, nagle zapada cisza, to tamtędy przechodziły one bez ustanku, Jezus powiedział już wszystko, jego krewni nie wiedzą, co powiedzieć, niebawem powrócą oni do swych powszednich zajęć, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście przyśnił im się taki sen, w który niepodobna uwierzyć. Jednakże cisza, jeśli damy jej czas, ma pewną, pozornie przeczącą jej samej cechę, zmusza do mówienia. Dlatego, gdy już nie można było znieść napiętego wyczekiwania, Jakub zadał pytanie, najmniej ze wszystkich szkodliwe, najbardziej bezinteresowne i retoryczne, Jesteś pewien. Jezus nie odpowiedział, spojrzał tylko na brata tak, jak zapewne Bóg patrzył na niego samego ze środka chmury i oświadczył po raz trzeci, Widziałem Boga. Maria o nic nie pytała, rzekła tylko, Na pewno ci się przywidziało, Matko, przywidzenia istnieją, ale nie mówią, a Bóg przemówił do mnie, odpowiedział Jezus. Do Jakuba powrócił jego duch, miał wrażenie, że jest to raczej opowieść jakiegoś szaleńca, cóż za niedorzeczność, jego brat rozmawiający z Bogiem, Kto wie, może to sam Bóg włożył

pieniądze do twojego worka, mówiąc to, uśmiechnął się ironicznie, Wszystko przychodzi do nas od Pana, On zawsze odnajduje i otwiera ścieżki, które do nas Go prowadzą, a te pieniądze, które naprawdę nie od Niego przyszły, przez Niego przyszły, Cóż więc ci powiedział Pan, gdzie byłeś, kiedy Go widziałeś, spałeś, czy czuwałeś, Byłem na pustyni i szukałem owcy, a On mnie zawołał, Co ci powiedział, jeżeli możesz to powtórzyć, Że pewnego dnia poprosi mnie o moje życie, Życie każdego z nas należy do Pana, To Mu powiedziałem, A On, że w zamian za życie, które Mu dam, będę miał władzę i chwałę, Będziesz miał władzę i chwałę po śmierci, zapytała Maria, sądząc, że źle usłyszała, Tak, matko, Jaka chwała, jaka władza mogą być dane komuś, kto umarł, Nie wiem, Śniło ci się, Wcale wtedy nie spałem, szukałem mojej owcy na pustyni, Kiedy Pan poprosi o twoje życie, Nie wiem, ale powiedział mi, że ponownie Go spotkam, kiedy będę przygotowany. Jakub popatrzył na brata z niepokojem, a później wysunął wątpliwość, Pustynne słońce zaszкодziło twojej głowie, tak było, wtedy nieoczekiwanie wtrąciła się Maria, A owca, co się stało z owcą, Pan kazał mi złożyć ją w ofierze jako znak przymierza. Jakub był oburzony tymi słowami, zaprotestował więc, Obrażasz Pana, Pan zawarł przymierze ze swoim ludem, nie czyniłby tego teraz z takim prostym człowiekiem jak ty, z synem cieśli, pasterzem inie wiadomo kim jeszcze. Z twarzy Marii można było wyczytać, że pochłonięta jest jakąś myślą, której wątku nie chce przerwać, wreszcie na jego końcu odnalazła pytanie, które chciała zadać, Co to była za owca, Baranek, którego miałem ze sobą wtedy, gdy spotkaliśmy się w Jerozolimie, przy bramie od strony Ramali, i którego nie chciałem ofiarować Panu, lecz On mi go odebrał, A Bóg, jak wyglądał, Był obłokiem, Otwartym czy zamkniętym, zapytał Jakub, Słupem dymu, Jesteś szalony, bracie, Jeżeli jestem szalony, to za sprawą Pana, Jesteś pod władzą Diabła, rzekła Maria, a raczej krzyknęła, To nie Diabła spotkałem na pustyni, spotkałem Pana, zaś jeżeli naprawdę jestem pod władzą Diabła, Pan tego chciał, Diabeł jest z tobą od dnia twych narodzin, Ty to wiesz, Tak, wiem, żyłeś z nim i bez Boga przez cztery lata, I po czterech latach z Diabłem spotkałem się z Panem, Mówisz kłamstwa i okropieństwa, Jestem twoim dzieckiem, które wydałaś na świat, uwierz we mnie, albo mnie potęp, Nie wierzę w ciebie, A ty, Jakubie, Nie wierzę w ciebie, A ty, Józefie, który nosisz imię naszego ojca, Wierzę w ciebie, ale nie w to, co mówisz. Jezus wstał, spojrział na nich z góry i powiedział, Kiedy się we mnie spełni obietnica uczyniona przez Pana, będziecie zmuszeni uwierzyć w to, co wtedy zostanie o mnie powiedziane. Poszedł po worek i po kostur, założył sandały. Już przy drzwiach podzielił pieniądze na dwie części i rzekł, To jest posag Lizji na jej małżeńskie życie, po czym ułożył je na progu, moneta koło monety, reszta powróci do rąk, z których przyszła, może tam również zmieni się w posag. Obrócił się w stronę drzwi, chcąc

wyjsć bez pożegnania, ale Maria powstrzymała go, Zauważyłam, że nie masz w twoim worku miski do jedzenia, Miałem, lecz się zbiła, Są tu cztery, wybierz jedną i weź ze sobą. Jezus zawahał się, chciał odejść z pustymi rękami, ale podszedł do pieca, gdzie jedna na drugiej znajdowały się cztery miski. Wybierz jedną, powtórzyła Maria. Jezus popatrzył i wybrał, Zabiorę tę najstarszą, Wybrałeś tak, jak należało, Dlaczego, Jest w kolorze ciemnej ziemi, nie stłucze się ani nie zużyje. Jezus włożył miskę do worka, stuknął kosturem w ziemię, Powiedzcie jeszcze raz, że mi nie wierzycie, Nie wierzymy ci, potwierdziła Maria, teraz bardziej niż przedtem, ponieważ wybrałeś znak Diabła, O jakim znaku mówisz, O tej misce. W tym momencie z głębokich otchłani pamięci dotarły do uszu Jezusa słowa Pasterza, Będiesz miał inną miskę, ale ona nie rozbije się za twojego życia. Zdawało się, że wcześniej rozciągnięty i naprężony na całej długości sznur zamknął się teraz w okrąg po zawiązaniu ostatniego węzła. Jezus po raz drugi opuszczał swój dom, lecz teraz nie powiedział, W każdym bądź razie na pewno wrócę. Pozostawiwszy Nazaret za plecami, Jezus schodził w dół pierwszego zbocza i zajmowała go o wiele prostsza i bardziej melancholijna myśl, czy aby Maria z Magdali mu uwierzy.

Ten człowiek niosący ze sobą Bożą obietnicę nie ma dokąd pójść, chyba że będzie to dom pewnej nierządniczy. Nie może powrócić do stada, Idź, powiedział mu Pasterz, ani do własnego domu, Nie wierzymy ci, oznajmiła rodzina, teraz jego krok jest niepewny, boi się iść, boi się dotrzeć, jest tak, jak gdyby znowu znajdował się na pustyni, Kim jestem, góry i doliny nie odpowiadają, ani niebo, które wszystko okrywa i o wszystkim powinno wiedzieć, gdyby teraz powrócił do domu i powtórzył pytanie, jego matka powiedziałaaby, Jesteś moim synem, ale ci nie wierzę, skoro tak, przyszedł czas, by Jezus usiadł na tym kamieniu leżącym tutaj od początku świata i zapłakał łzami opuszczenia i samotności, kto wie, może Pan postanowi objawić mu się powtórnie, nawet gdyby miał przyjąć postać dymu i obłoku, chodzi oto, żeby mu powiedział, Człowieku, nie przejmuj się tym aż tak, łzy, szloch, cóż znowu, każdemu z nas czasami źle się wiedzie, jest jednak coś bardzo ważnego, o czym nigdy to tej pory nie mówiliśmy, powiem ci to teraz, w życiu, rozumiesz, wszystko jest względne, nawet rzeczy złe mogą stać się znośniejsze, jeżeli porównamy je z czymś gorszym, dlatego osusz te łzy i zachowuj się jak mężczyzna, już się pogodziłeś z twoim ojcem, czegoż jeszcze chcesz, ta nieufność matki, zajmę się tym, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, nie za bardzo natomiast spodobała mi się ta historia z Marią z Magdali, dziwką, chociaż z drugiej strony jesteś młody, wykorzystaj to, jedno nie wyklucza drugiego, jest czas uczyty i jest czas postu, czas grzechu i czas strachu, czas życia i czas śmierci. Jezus osuszył łzy wierzchem dłoni, wytarł nos Bóg wie czym, zaprawdę nie warto było siedzieć tam przez cały dzień, pustynia jest taka, jak widać,

otacza nas, okrąża, do pewnego stopnia chroni, ale żeby coś dać, o nie, niczego nam nie da, patrzy tylko, jeżeli słońce nagle się schowało i z tego powodu mówimy, Niebo dzieli ze mną mój ból, jesteśmy głupcami, ponieważ niebo jest w tym idealnie bezstronne, ani się nie raduje naszymi radościami, ani się nie smuci naszymi smutkami. Jacyś ludzie zmierzają w tę stronę, więc Jezus nie chce się wystawiać na pośmiewisko, mężczyzna jak się patrzy, twarz pokryta brodą, a płacze jak dziecko, które chce na ręce. Mijają się na drodze nieliczni wędrowcy, jedni schodzą w dół, drudzy się wspinają, wymieniają znane nam kwieciste pozdrowienia, lecz dopiero po upewnieniu się o szczerości zamiarów, bo w tych okolicach każdy może być bandytą. Bywają tu złodzieje i rozbójnicy w rodzaju tych przewrotnych szyderców, którzy obrabowali tego samego Jezusa jakieś pięć lat temu, gdy biedak szedł do Jerozolimy, aby tam ulżyć swoim troskom, bywają też ci należący do godnego rodzaju partyzantów, z pewnością nie korzystający z drogi co dzień, czasem tylko pojawiają się przebrani, śledząc ruchy rzymskich oddziałów i planując kolejną zasadzkę lub też z odkrytą twarzą pozostawiają bez złota i srebra oraz bez niczego, co ma jakąkolwiek wartość, bogatych kolaborantów, których nawet wypasiona eskorta nie potrafi obronić przed znieważeniem. Jezus nie miałby swych osiemnastu lat, gdyby mrzonki dotyczące wojennych przygód nie przebiegały przez jego wyobraźnię na widok tych dostojnych gór, które w swych parowach, grotach i zakamarkach dawały schronienie kontynuatorom wielkiej walki Judasza Galilejczyka oraz jego towarzyszy, począł więc snuć przypuszczenia, jaką też decyzję by podjął, gdyby wyrósł przed nim oddział partyzantów nawołujących go do przyłączenia się do nich, porzucając powab pokoju na rzecz bitewnej chwały tudzież władzy zwycięzcy, albowiem zapisane jest, że pewnego dnia z woli Pańskiej będzie powołany Mesjasz, Wyślannik, po to, by za jednym razem jego lud został wyzwolony z teraźniejszego ucisku i wzmocniony przed przyszłymi bojami. Wiatr szaleńczej nadziei oraz nieodpartej dumy jak znak Ducha zrywa się przed nim, w chwili krótkiej jak jeden zawrót głowy syn cieśli widzi siebie jako kapitana, generała, najwyższego dowódcę, którego samo pojawienie się z uniesionym mieczem sprawia, że pierzchają rzymskie legiony i rzucają się w przepaście jak stada świń opętane przez wszystkie diabły, senatus populusque romanus. Ach, biada nam, bo w następnej chwili przypomniał sobie Jezus, że władza i potęga są mu obiecanie, owszem, ale dopiero po śmierci, w związku z czym najlepiej korzystać z życia, tak że gdyby miał iść na wojnę, postawiłby jeden warunek, w razie rozejmu chciałby mieć możliwość opuszczenia szeregów i spędzenia kilku dni z Marią z Magdali, o ile do zastępów patriotów przyjmuje się markietanki służące jednemu tylko żołnierzowi, bowiem wszystko ponad to byłoby nierządem, zaś Maria z Magdali już powiedziała, że z tym skończyła. Miejmy nadzieję, że to prawda, gdyż Jezus poczuł przyływ nowych sił,

wspominając kobietę, która wyleczyła jego bolesną ranę, lecz w zamian zadrasnęła niecierpliwym pragnieniem, zachodzi więc pytanie, jak zareaguje on na zamknięte i opatrzone wiadomym znakiem drzwi,

* nie mając całkowitej pewności, czy zastanie za nimi tylko kogoś, kogo, jak sądzi, pozostawił, czyli osobę trwającą w wyłącznym oczekiwaniu na jego ciało i duszę, albowiem Maria z Magdali nie akceptuje jednej rzeczy bez drugiej. Zapada wieczór, widać już domy Magdali skupione jak stado, lecz dom Marii jest jak owca, która od niego odeszła, nie można go jeszcze stąd wypatrzeć pomiędzy wielkimi kamieniami zalegającymi po obu stronach drogi na każdym zakręcie. Jezus przypomniał sobie owcę, którą musiał zabić, aby jej krwią przypieczętować przymierze narzucone mu przez Pana, jego umysł, nie zajmujący się już tryumfami i bitwami, przejął się myślą o tym, że znowu poszukuje swojej owcy, ale nie po to by ją zabić, nie po to by ją zabrać do stada, lecz po to by razem z nią iść na dziewicze pastwiska, bo takie jeszcze istnieją, jeśli dobrze ich poszukamy, w rozległym świecie oraz pośród owiec, którymi jesteśmy, albo w pierwotnych wąwozach, jeśli poszukamy lepiej. Jezus zatrzymał się przed drzwiami, dyskretnie sprawdził, czy są zamknięte od środka. Znak wciąż tutaj wisi, Maria z Magdali nie przyjmuje. Wystarczyłoby, gdyby Jezus zawołał, To ja, i ze środka dobiegłby radosny śpiew, To głos mojego ukochanego, oto przybył skacząc po górach i przeskakując pagórki, oto on już za naszymi murami, za tymi drzwiami, owszem, lecz Jezus woli w nie zastukać pięścią, raz i drugi, nic nie mówiąc, czekając aż mu otworzą, Kto tam i czego chce, zapytano ze środka, wtedy przyszedł Jezusowi do głowy zły pomysł, aby zmienić głos i udawać klienta, który przynosi pieniądze i pilną potrzebę, mówiąc na przykład, Otwórz, kwiatuszku, a nie będziesz się skarżyć ani na zapłatę, ani na obsługę, chociaż głos wyszedł fałszywy, słowa musiały być prawdziwe, To ja, Jezus z Nazaretu. Zwlekała Maria z Magdali z otwarciem drzwi, bo podejrzany wydał jej się głos nie pozostający w zgodności z zapowiedzią, ale też nie sądziła by tak szybko był z powrotem, zaledwie po upływie jednej nocy i jednego dnia, mężczyzna, który jej obiecał, Niedługo wrócę, aby cię odwiedzić, z Nazaretu do Magdali nie jest daleko, ileż to razy mówiło się takie rzeczy tylko po to, żeby sprawić przyjemność słuchającym nas osobom, niedługo może oznaczać za trzy miesiące, ale nigdy następnego dnia. Maria z Magdali otwiera drzwi, rzuca się w ramiona Jezusa, nie chce jej się wierzyć w takie szczęście, jest tak bardzo wzruszona, że prowadzi ją to do niedorzecznej myśli, iż Jezus wrócił, ponieważ na nowo otworzyła mu się rana w stopie, myśląc właśnie o tym, wprowadza go do środka, każe usiąść i przynosi lampkę, Twoja stopa, pokaż mi twoją stopę, ale Jezus mówi do niej, Moja stopa już się zagoiła, nie widzisz. Maria z Magdali mogłaby mu odpowiedzieć, Nie, nie widzę, ponieważ taka była najprawdziwsza

prawda, którą wyrażały jej spływające łzami oczy. Musiała dotknąć wargami grzbietu stopy pokrytej kurzem, ostrożnie rozwiązać sznurki okręcone wokół kostki oraz pogłaskać końcami palców delikatną, odnowioną skórę, aby móc się przekonać o leczniczych właściwościach maści, zaś w głębi ducha przyznać, że jej miłość również odegrała swoją rolę w zagojeniu rany.

Podczas wieczerzy Maria nie zadawała pytań, chciała tylko dowiedzieć się, co nie było pytaniem, wcale nie trzeba o tym przypominać, jak mu się szło, czy miał jakieś nieprzyjemne przygody w drodze, takie tam komunały. Po skończonym posiłku umilkła, otworzyła i zachowała ciszę, bo to nie ona miała teraz mówić. Jezus patrzył na nią uważnie, jak gdyby z wysokiej skały mierzył swe siły z morzem, nie dlatego, żeby się obawiał żarłocznych zwierząt lub ostrych raf czyhających nań pod gładką powierzchnią, po prostu pytał swej własnej odwagi, czy ma skakać. Zna tę kobietę od tygodnia, czyli wystarczająco dużo czasu i życia upłynęło, aby mieć pewność, że ilekroć do niej przyjdzie, będą na niego czekać otwarte ramiona i oddane ciało, jednakże strachem napawa go wyjawienie jej, a bez wątpienia przyszedł już na to czas, tego co za ledwie przed kilkoma godzinami zostało odrzucone przez osoby, z którymi powinny go łączyć nie tylko więzy krwi ale i ducha. Jezus waha się, szuka najprostszej ścieżki dla swoich słów, lecz nie stać go na udzielenie wyczerpujących wyjaśnień, wychodzi mu za to zdanie mające na celu zyskanie na czasie, choć w rzeczywistości jest to strata czasu, Zdziwiłaś się, że przyszedłem tak szybko, Zaczęłam na ciebie czekać zaraz po twoim odejściu, nie liczyłam czasu dzielącego to odejście od powrotu, zresztą nie liczyłabym go nawet, gdyby ci to zajęło dziesięć lat. Jezus uśmiechnął się i wzruszył ramionami, już od dawna powinien wiedzieć, że przy tej kobiecie nie ma co udawać i posługiwać się wykrętami. Siedzieli na podłodze naprzeciwko siebie, światło padało na to, co pozostało po posiłku. Jezus wziął kawałek chleba i przełamał go na dwie części, po czym podał Marii, mówiąc, Niech to będzie chleb prawdy, zjedzmy go, abyśmy uwierzyli i nie wątpili, niezależnie od tego, co tutaj powiemy i usłyszymy, Niech tak będzie, rzekła Maria z Magdali. Jezus zjadł chleb, zczekał aż ona też skończy i po raz czwarty wypowiedział te słowa, Widziałem Boga. Maria z Magdali zachowała spokój, jedynie skrzyżowane wcześniej ręce poruszyły się co nieco, zapytała, Czy o tym chciałeś mi powiedzieć, gdybyśmy mieli spotkać się ponownie, Tak, a ponadto o tym wszystkim, co mi się przydarzyło od czasu, gdy cztery lata temu wyszedłem z domu, albowiem wydaje mi się, że te rzeczy połączone są ze sobą, chociaż ja sam nie wiem po co i dlaczego, Jestem jak twoje usta i twoje uszy, odpowiedziała Maria z Magdali, to co powiesz, powiesz samemu sobie, ja jestem tylko tą, która jest w tobie. Teraz już Jezus może mówić, dlatego, że oboje skosztowali chleba prawdy,

zaprawdę nie ma w życiu zbyt wielu chwil takich jak ta. Noc stała się brzaskiem, światło lampki dwukrotnie umarło i dwukrotnie zmartwychwstało, cała znana nam historia Jezusa została opowiedziana, włącznie z pewnymi szczegółami, które naszym zdaniem na to nie zasługiwały oraz licznymi przemyśleniami, którym pozwoliliśmy umknąć, nie dlatego żeby Jezus je przed nami ukrywał, lecz po prostu dlatego, że my, ewangelista, nie mogliśmy być wszędzie. Kiedy Jezus z nagłą zmęczonym głosem miał już rozpocząć opowieść o tym, co zdarzyło się po jego powrocie do domu, powodowany zniechęceniem zawahał się, tak samo jak wtedy, gdy mroczne przecucie kazało mu się zatrzymać przed zastukaniem do drzwi, zaś Maria z Magdali, po raz pierwszy przerywając ciszę, zapytała tonem osoby z góry znającej odpowiedź, Twoja matka ci nie uwierzyła, Nie, odpowiedział Jezus, I dlatego powróciłeś tutaj, Tak, Jak bardzo chciałabym cię okłamać i powiedzieć ci, że też nie wierzę, Dlaczego, Dlatego, że znowu zrobiłbyś to, co zrobiłeś, poszedłbyś stąd tak samo, jak poszedłeś z twojego domu, a ja, nie wierząc ci, nie musiałabym iść za tobą, To nie jest odpowiedź na moje pytanie, Masz rację, nie jest, A więc, Gdybym ci nie wierzyła, nie musiałabym przeżywać z tobą tych strasznych rzeczy, które cię czekają, Skąd ty możesz wiedzieć, jakie straszne rzeczy mnie czekają, Nie wiem nic o Bogu, poza tym, że tak samo przerażające muszą być jego upodobania jak i jego antypatie, Skąd ci przyszedł do głowy taki dziwny pomysł, Musiałbyś być kobietą, aby zrozumieć co oznacza życie pod brzemieniem Bożej pogardy, a teraz będziesz musiał być kimś więcej niż tylko zwykłym człowiekiem, aby żyć i umrzeć jako jego wybrany, Chcesz mnie nastraszyć, Opowiem ci sen, który miałam, pewnej nocy objawił mi się we śnie chłopiec, przyszedł nie wiadomo skąd i powiedział, Bóg jest straszny, powiedział to i zniknął, nie wiem, kim było to dziecko, skąd przyszło i do kogo należało, To sny, Jesteś ostatnią osobą, która może wypowiedzieć to słowo takim tonem, A potem co się stało, Potem zostałam nierządnicą, Już się wyrzekłaś tego życia, Ale snu nikt nie odwołał, nawet po tym, jak cię poznałam, Powiedz mi jeszcze raz, co to były za słowa, Bóg jest straszny. Jezus widział pustynię, martwą owcę, krew na piasku, słyszał słup dymu dyszący z zadowolenia, powiedział, Być może, być może, jednak słyszeć coś we śnie i przeżywać w życiu, to dwie różne rzeczy, Niech Bóg sprawi, abyś nigdy tego nie doświadczył, Każdy musi żyć zgodnie ze swym przeznaczeniem, Ty już otrzymałeś pierwsze uroczyste ostrzeżenie od twojego. Nad Magdala i nad światem krąży powoli niebieskie sklepienie usiane gwiazdami. W jakimś miejscu nieskończoności lub też nieskończenie je wypełniając, Bóg posuwa i cofa pionki innych gier, w które gra, jest zbyt wcześnie, aby się przejmował tą właśnie, pozostawia wszystkemu naturalnemu biegowi rzeczy, tylko raz albo dwa wykona ruch końcem małego palca po to, by jakieś zbłąkane myśli albo czyny nie naruszyły

nieubłaganej harmonii losów. Z tego też powodu nie przejmuję się końcową częścią rozmowy Jezusa i Marii z Magdali, Co teraz zamierzasz robić, zapytała ona, Powiedziałaś, że pójdziesz ze mną dokądkolwiek bym szedł, Powiedziałam, że będę z tobą, gdziekolwiek byś był, Co za różnica, Żadna, ale możesz zostać tutaj tak długo, jak długo będziesz chciał, o ile nie przeszkadza ci mieszkanie ze mną w domu, w którym byłam nierządnicą. Jezus pomyślał, zastanowił się, wreszcie przemówił, Poszukam pracy w Magdali i będziemy żyć razem jak mąż z żoną, Zbyt wiele obiecujesz, wystarczy, żebyś mi pozwolił być przy tobie.

Pracy Jezus nie miał, ale miał to, czego powinien był się spodziewać, śmiechy, kpiny i zniewagi, rzeczywiście przypadek ten na to zasługuje, młody mężczyzna, a właściwie chłopak, który żyje z tą Marią z Magdali, Poczekaście jeszcze parę dni i zobaczycie, jak będzie czekał pod drzwiami aż wyjdzie klient. Można było wytrzymać te drwiny przez dwa tygodnie, lecz w końcu Jezus oznajmił Marii, Odchodzę, Dokąd, Nad morze. Wyszli o świcie, a mieszkańcom Magdali nie udało się wynieść nic z płonącego domu.

Po upływie wielu miesięcy, pewnej chłodnej i deszczowej zimowej nocy do domu Marii w Nazarecie przyszedł anioł, wszystko odbyło się tak, jakby nikt nie wchodził, bowiem cała rodzina zajmowała się swoimi sprawami, a tylko Maria zorientowała się, że mają gościa, zresztą nie mogłaby udawać, że zachodzi nieporozumienie, ponieważ anioł bezpośrednio do niej skierował te słowa, Powinnaś wiedzieć, Mario, że Pan zmieszał swe nasienie z nasieniem Józefa tamtego ranka, gdy poczęłaś po raz pierwszy, a w następstwie i w wyniku tego z nasienia Pana, a nie z nasienia twego męża, nieważne że prawowitego, został splodzony syn twój Jezus. Przeraziła się Maria tą wiadomością, której treść na szczęście nie zagubiła się w pogmatwanym stylu anioła, i zapytała, A więc Jezus jest synem moim i Pana, Kobieto, cóż to za brak wychowania, powinnaś zważać na hierarchie i starszeństwa, powinnaś była powiedzieć Pana i moim, Pana i twoim, Nie, Pana i twoim, Nie mąc mi w głowie, odpowiedz na moje pytanie, czyim Jezus jest synem, Synem, w normalnym rozumieniu jest tylko synem Pana, ty byłaś jedynie matką nosicielką, Zatem Pan mnie nie wybrał, Skądże znowu, Pan tylko tamtędy przechodził, gdybyś popatrzyła do góry, zorientowałabyś się po kolorze nieba, jednakże zauważył, że ty i Józef jesteście ludźmi mocnymi i zdrowymi, więc, jeżeli jeszcze pamiętasz, jak się te potrzeby ujawniają, poczuł ochotę i w rezultacie dziewięć miesięcy później urodził się Jezus, Czy istnieje pewność, że to właśnie z nasienia Pana został splodzony mój pierwszy syn, No cóż, jest to drażliwa kwestia, wymagasz ode mnie abym, ni mniej ni więcej, ustalił ojcostwo, podczas gdy prawda jest taka, że w tych mieszanych związkach nigdy nie możemy mieć absolutnej pewności, choćbyśmy przeprowadzili nie wiem ile testów, analiz oraz obliczeń, O ja nieszczęsna, słuchając ciebie, już sobie wyobraziłam, że

tamtego ranka Pan wybrał mnie na swoją małżonkę, a przecież to wszystko było dziełem przypadku, można powiedzieć zarówno tak, jak i nie, powiadam ci, że lepiej by było, gdybyś nie schodził do Nazaretu i nie zasiewał we mnie tej wątpliwości, chociaż, jeśli mam być szczerą, syn Pana, nawet mając mnie za matkę, od razu po narodzeniu by nam to okazał, a później, wzrastając, zachowywałby się, wyglądał i mówił tak jak Pan, i jakkolwiek się mówi, że miłość matczyna jest ślepa, mój syn Jezus nie spełnia tych warunków, Mario, twój pierwszy wielki błąd polega na tym, iż według ciebie przybyłem tutaj tylko po to, by porozmawiać z tobą o starym epizodzie z życia płciowego Pana, twój drugi wielki błąd polega na mniemaniu iż uroda i elokwencja ludzka istnieją na obraz i podobieństwo Pana, podczas gdy system Pański, mówię ci to ja, który należę do domowników, opiera się na tym, że zawsze jest On przeciwieństwem tego, jak ludzie Go sobie wyobrażają, a teraz w zaufaniu, uważam nawet, że Pan nie potrafiłby żyć inaczej, słowem najczęściej wychodzącym z Jego ust nie jest tak, lecz nie, Zawsze słyszałam, że to Diabeł jest duchem, który zaprzecza, Nie, moja córko, Diabeł jest duchem, któremu się zaprzecza, jeżeli w twym sercu nie zwrócisz uwagi na różnice, nigdy się nie dowiesz, do kogo należysz, Należę do Pana, No właśnie, mówisz że należysz do Pana i popełniasz trzeci, największy z błędów, polegający na tym, że nie uwierzyłaś twemu synowi, Jezusowi, Tak, Jezusowi, żaden inny nie widział Boga ani Go nie zobaczy, Powiedz mi, aniele Pański, czy naprawdę mój syn Jezus widział Boga, Tak, i podobnie jak dziecko, które znalazło swe pierwsze gniazdo, przybiegł, aby ci o tym powiedzieć, lecz ty, sceptyczna i nieufna, stwierdziłaś, że to nie może być prawda, że jeśli było gniazdo, było puste, jeśli były w nim jajka, były zepsute, jeśli ich nie było, zostały zjedzone przez węża, Wybacz mi, mój aniele, te wszystkie wątpliwości, Teraz nie wiem, czy rozmawiasz ze mną, czy z twoim synem, Z tobą, z nim, z obydwojma, jak mogę naprawić mój niedobry postępek, Co doradziłoby ci twe matczyne serce, Żebyś poszła go poszukać, powiedzieć mu, że w niego wierzę, prosić go o wybaczenie i powrót do domu, dokąd Pan go wezwie, gdy nadejdzie pora, Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to ma sens, nie ma nic wrażliwszego nad młodego człowieka, wystawiasz się na ryzyko usłyszenia złych słów i trzaśnięcie drzwiami, Jeśli tak się stanie, winę za to ponosić będzie ten demon, który go zaczarował i zgubił, nie wiem dlaczego Pan, będąc ojcem, przyznał mu takie swobody, tak popuścił

I wodze, O jakim demonie mówisz, O Pasterzu, z którym mój syn przebywał przez cztery lata, zajmując się stadem, które nie wiadomo do czego służy, Aha, Pasterz, Znasz go, Chodziliśmy do jednej szkoły, I Pan pozwala, by demon taki jak on trwał i dobrze żył, Tego wymaga właściwy porządek świata, lecz ostatnie słowo zawsze będzie należało do Pana, nie

wiemy tylko, kiedy zostanie wypowiedziane, sama jednak zobaczysz, że obudzimy się pewnego ranka i odkryjemy, że na świecie nie ma zła, teraz muszę już iść, jeśli masz jeszcze jakieś pytania, wykorzystaj mą obecność, Tylko jedno, Doskonale, Do czego Panu jest potrzebny mój syn, Twój syn to tylko sposób wyrażania się, W oczach świata Jezus jest moim synem, Do czego Mu jest potrzebny, zapytujesz, widzisz, to dobre pytanie, tak, tak, gorzej, że nie potrafię d na nie odpowiedzieć, w obecnym stanie rzeczy cały problem dotyczy ich dwóch, nie sądzę, by Jezus wiedział coś więcej ponad to, co a powiedział, Powiedział mi, że po śmierci będzie miał władzę i chwałę, Ja też mam informacje na ten temat, Lecz czego będzie on musiał dokonać w swoim życiu, aby zasłużyć na cudowności obiecanie mu przez Pana, Hola, nie tak prędko, ty wierzysz, ciemna kobieto, że to słowo istnieje w oczach Pana, że to, co zarozumiale nazywacie zasługami, może mieć jakąś wartość i znaczenie, zaprawdę nie wiem, cóż wy sobie myślicie, wy którzy jesteście zaledwie nędznymi niewolnikami absolutnej woli Boga, Nie powiem nic więcej, rzeczywiście jestem niewolnicą Pańską, niech mi się stanie według jego słowa, powiedz mi tylko, gdzie po upływie tych wszystkich miesięcy mogę odnaleźć mego syna, Szukaj go, bo taki jest twój obowiązek, on także udał się na poszukiwanie zagubionej owcy, Po to, żeby ją zabić, Uspokój się, ciebie nie zabije, lecz to ty zabijesz jego, nie będąc obecną w godzinie jego śmierci, Skąd wiesz, że nie umrę pierwsza, Jestem blisko ośrodków decyzyjnych, więc wiem, a teraz żegnaj, zadałaś te pytania, które chciałaś, być może nie zadałaś tego, które powinnaś, ale to już nie moja sprawa, Wyjaśnij mi, Wyjaśnij sobie sama. Wraz z ostatnim słowem anioł zniknął, zaś Maria otworzyła oczy. Wszystkie dzieci spały, chłopcy w dwóch grupach po trzech, najstarsi, Jakub, Józef i Judasz w jednym kącie, w drugim natomiast młodsi, Szymon, Just i Samuel, z nią, tak jak zwykle po obydwu stronach, spały Lizja i Lidia, jednakże oczy Marii, wciąż porażone zapowiedziami anioła, nagle wyszły jej z orbit pod wpływem przerażenia, gdyż zobaczyła praktycznie nagą Lizję, w tunice zadartej powyżej piersi, śpiącą głęboko i wzdychającą z uśmiechem, na jej czole i nad górną wargą, która wyglądała na pogryzioną pocałunkami, łagodnie błyszczały kropelki potu. Gdyby nie pewność, że przebywał tu jedynie rozmowny anioł, ślady na ciele Lizji byłyby przyczyną wrzasków, że oto jakiś zły demon, jeden z tych, które chytrze napadają na uśpione kobiety, zrobił co chciał z bezbronną panną, podczas gdy jej matka zabawiała się rozmową, prawdopodobnie zawsze tak było, tylko my o tym nie wiedzieliśmy, że anioły chodziły sobie wszędzie parami i wtedy gdy jeden w celu odwrócenia uwagi plółł koszałki opałki, drugi w milczeniu dokonywał szkaradnego aktu, tak się mówi, bo aż tak bardzo szkaradny to on nie był, skoro wszystko wskazuje, iż za następnym razem zmieniano funkcje i pozycje po to, by ani śniący, ani śniony nie zatarali dobrotynnego poczucia

dwoistości ciała i duszy. Maria, jak mogła, przykryła córkę, obciągając tunikę do miejsca, które nie powinno być odkryte i kiedy znowu stała się przyzwoita, obudziła ją, zadając po cichu pytanie, rzecz można, przyłapujące na gorącym uczynku, Co ci się śniło. Zaskoczona Lizja nie mogła skłamać, odparła, że śnił jej się anioł, ale nic nie mówił i tylko na nią patrzył, było to spojrzenie bardzo słodkie i bardzo czułe, nawet w raju na pewno nie ma lepszych. Nie dotykał cię, zapytała Maria, zaś Lizja odpowiedziała, Moja matko, oczy do tego nie służą. Nie wiedząc, czy powinna się uspokoić, czy też nadal przejmować tym, co się zdarzyło obok, Maria jeszcze cichszym głosem powiedziała, Mnie też się śnił anioł, I ten twój odezwał się, czy również milczał, zapytała Lizja niewinnie, Odezwał się, żeby mi oznajmić, że twój brat Jezus powiedział prawdę, twierdząc, że widział Boga, Ach, moja matko, jak niedobrze postąpiliśmy, nie uwierzyliśmy słowom Jezusa, a on był taki dobry i przecież w złości mógł nawet zabrać pieniądze z mojego posagu, a nie uczynił tego, Teraz musimy zobaczyć, czy uda nam się to naprawić, Przecież nie wiemy, gdzie jest, nie dał znaku życia, ten anioł mógł nam pomóc, anioły wiedzą wszystko, Trudno, nie pomógł, powiedział tylko, żebyśmy poszukali twój brata, że taki jest nasz obowiązek, Ale matko, skoro prawdą jest, że brat Jezus widział się z Panem, nasze życie teraz się odmieni, Odmieni, być może, lecz na gorsze, Dlaczego, Jeżeli my nie uwierzyliśmy w Jezusa ani w jego słowa, to w jaki sposób inni mają uwierzyć, z pewnością nie chcesz abyśmy chodzili po ulicach i placach Nazaretu głosząc, Jezus widział Pana, Jezus widział Pana, od razu by nas ukamienowali, Lecz Pan, zważywszy, że go wybrał, obroniłby nas, bo należymy do rodziny, Nie bądź taka pewna, kiedy Pan dokonał wyboru, nas tam nie było, dla Pana nie ma rodziców ani dzieci, przypomnij sobie Abrahama, przypomnij sobie Izaaka, Ach, matko, cóż za zmartwienie, Moja córko, najrozsądniej postąpimy, zachowując te rzeczy w naszych sercach i jak najmniej o nich mówiąc, Cóż zatem uczynimy, Jutro wyślę Jakuba i Józefa na poszukiwanie Jezusa, Ale dokąd, jeśli Galilea jest olbrzymią, a Samaria, mógł i tam pójść, albo Judea, albo Idumea, która przecież leży na końcu świata, Twój brat najprawdopodobniej udał się na wybrzeże, przypomnij sobie jak po powrocie mówił nam, że był u jakichś rybaków, A może wcześniej wrócił do stada, Te czasy już minęły, Skąd wiesz, Śpij, do rana jeszcze sporo brakuje, Może tak być, że znowu nam się przyśnią nasze anioły, Może. Jeśli anioł Lizji, wymknąwszy się przypadkiem swemu partnerowi, powrócił, aby ponownie zamieszkać w jej snach, nikt tego nie zauważył, natomiast anioł od zapowiedzi, nawet jeżeli zapomniał o jakimś szczególe, nie mógł powrócić, gdyż Maria przez cały czas miała oczy otwarte na półmrok panujący w domu, wiedzy jej zbywało, zaś odgadniętych zagadek obawiała się.

Narodził się dzień, pozwijano maty, Maria wobec całej rodziny obwieściła, że przemyślawszy to, w jaki sposób potraktowali Jezusa, Poczynając ode mnie, która jestem matką, powinnam być bardziej życzliwa i wyrozumiała, doszłam w końcu do oczywistego i słusznego wniosku, że należy go poszukać i poprosić, by wrócił do domu, albowiem wierzymy w niego, a jeżeli Pan zechce, uwierzmy w to, co nam powiedział, takie były słowa Marii, która nie zwróciła uwagi na to, że jej syn Józef, obecny tam w dramatycznej godzinie potępienia, powtarza to samo, co wyrzekł wtedy, kto wie, czy Jezus nie wróciłby tu jeszcze dzisiaj, gdyby ten dyskretny szept stał się głosem ogółu. Marią nie mówiła o aniele ani o zapowiedzi anioła, lecz tylko o zwykłym zobowiązaniu w stosunku do pierworodnego syna. Jakub nie ośmielił się podważać nowego punktu widzenia, chociaż w głębi ducha trwał w przekonaniu, że brat jest niespełna rozumu, albo, co zawsze trzeba brać pod uwagę, był przedmiotem odrażającej mistyfikacji bezbożnych ludzi. Z góry przewidując odpowiedź, zapytał, Kto z nas tu obecnych pójdzie szukać brata Jezusa, Pójdziesz ty, bo jesteś następny w kolejności, a razem z tobą pójdzie Józef, we dwóch będzie bezpieczniej, Gdzie mamy zacząć poszukiwania, Nad Jeziorem Galilejskim, jestem pewna, że tam go odnajdziecie, Kiedy wyruszymy, Wiele miesięcy upłynęło od odejścia Jezusa, nie powinniśmy stracić ni dnia, Bardzo pada, moja matko, to nie jest dobra pogoda na wędrówki, Synu, okazja zawsze może stworzyć potrzebę, lecz jeżeli potrzeba jest silna, to właśnie ona musi stworzyć okazję. Dzieci Marii spojrzały na nią zaskoczone, zaprawdę nie przywykły do słuchania tak doskonałych sentencji płynących z ust matki, jeszcze są zbyt młode, aby wiedzieć, że obcowanie z aniołami daje takie a nawet lepsze rezultaty, dowodem na to, choć pozostali nawet nie podejrzewają, jest w tym momencie zachowanie Lizji, której marzycielskie i powolne skinienie głową coś takiego właśnie oznacza. Zakończyła się rodzinna narada, Jakub i Józef wyszli na zewnątrz, aby zobaczyć, czy pogoda będzie im sprzyjać, bo skoro mają podążać w trop za bratem podczas takiej ulewy, mogą liczyć przynajmniej na jakieś przejaśnienie, zdaje się, że niebo ich usłyszało, bowiem akurat od strony Jeziora Galilejskiego zaczął się otwierać wodnisty błękit, który niósł ze sobą obietnicę popołudnia wolnego od deszczu. Pożegnawszy się dyskretnie w domu, gdyż Maria uznała, że sąsiedzi nie powinni wiedzieć więcej niż potrzeba, ruszyli nareszcie dwaj bracia w drogę, ale nie w kierunku Magdali, ponieważ nie mieli podstaw ku temu, by sądzić, że Jezus tam właśnie się udał, lecz bezpośrednio w kierunku nowego miasta Tyberiady, tak im było dogodniej. Szli boso, bo przecież drogi zmieniły się w trzęsawiska i w krótkim czasie rozczłapałyby na dobre swe sandały, a tak, trzymane w worku, mogły one spokojnie czekać na poprawę pogody. Z dwóch powodów

Jakub wybrał drogę do Tyberiady, po pierwsze, kierowała nim zwykła ciekawość wieśniaka, który słyszał

Otamtejszych pałacach, świątyniach i innych wielkich budowlach, po drugie, to miasto leżało mniej więcej w połowie drogi pomiędzy północnym i południowym skrajem jeziora. Jak zamierzali zarabiać na życie podczas trwania poszukiwań, Jakub miał nadzieję, że z łatwością znajdą pracę na miejskich budowach, chociaż pobożni Żydzi z Nazaretu mówili, iż miasto jest nieczyste z uwagi na niezdrowe powietrze oraz pobliskie zasiarczone wody. Nie mogli jednak dotrzeć do Tyberiady tego samego dnia, ponieważ niebo nie spełniło swoich obietnic, nie minęła godzina od wyjścia z domu, gdy zaczęło padać, mieli dużo szczęścia, znajdując jamę, w której obydwaj się zmieścili

lumknęli porwania przez strumienie deszczu. Tam spali, zaś rankiem następnego dnia, nauczeni doświadczeniem, nie od razu doszli od przekonania, że pogoda poprawiła się w stopniu umożliwiającym dotarcie do Tyberiady w suchym ubraniu. Załatwili sobie pracę na budowie polegającą na transportowaniu kamieni, gdyż na więcej nie pozwalała im posiadana wiedza, szczęśliwie po kilku dniach uznali, że zarobili już dostatecznie dużo, choć wcale nie dlatego, że król Herod Antypas tak hojnie płacił, miało to raczej związek z ich skromnymi i mało nagłącymi potrzebami, można było z nimi żyć, nie zaspokajając ich w całości. Od razu w Tyberiadzie pytali, czy był tam albo tamtędy przechodził niejaki Jezus z Nazaretu, nasz brat, tak i tak zbudowany, w ten sposób się zachowujący, nie wiemy, czy ktoś mu towarzyszy. Na tamtej budowie powiedziano im, że nie, więc obeszlą wszystkie place budowy w mieście, upewniając się, że Jezusa nigdy tam nie było, nie ma się zresztą czemu dziwić, bo jeżeli brat postanowił powrócić do swego nowego zawodu rybaka, z pewnością nie zamierzał tu pozostawać, mając jezioro niemal w zasięgu wzroku, po cóż by się miał mordować z twardymi kamieniami i jeszcze twardszymi nadzorcami. Dysponując szczupłymi środkami, musieli teraz zdecydować czy poszukiwania wzdłuż brzegu, od wioski do wioski, od osady do osady, od łodzi do łodzi, powinny być kontynuowane w kierunku północnym, czy może w południowym. W końcu Jakub wybrał kierunek południowy, który wydał mu się łatwiejszy od północnego, charakteryzującego się bardziej urozmaiconą topografią. Pogoda się ustaliła, deszcz przestał padać, zimno można było wytrzymać, osoby

Obardziej wyostrzonych zmysłach potrafiłyby już, na podstawie zapachu powietrza i pulsowania ziemi, wyczuć pierwsze nieśmiałe oznaki wiosny. Poszukiwanie brata umotywowane wyższymi racjami przekształcało się w przyjemną i samolubną wycieczkę, przechadzkę po polach, wakacje na plaży, mało brakowało a Jakub i Józef zapomnieliby o tym, po co przybyli w te strony, kiedy niespodziewanie, od pierwszych napotkanych rybaków

uzyskali wiadomości o Jezusie, na dodatek przekazano im je w sposób najdziwniejszy z dziwnych, takie zaś były słowa tych ludzi, Widzieliśmy go i jest nam znany, jeżeli za nim chodzicie, powiedzcie mu, gdy go znajdziecie, że na niego czekamy jak na chleb nasz powszedni. Zdumieli się obydwaj bracia

Inie mogli uwierzyć, że rybacy mieli na myśli osobę Jezusa, chyba że był to jakiś inny Jezus, Z opisu, który nam przedstawiliście, odpowiedzieli rybacy, jest to ten sam Jezus, nie wiemy, czy przyszedł z Nazaretu, bo nie mówił, I dlaczego mówicie, że czekacie na niego jak na chleb powszedni, zapytał Jakub, Dlatego, że wtedy, gdy on jest w łodzi, ryby wchodzą do sieci jak nigdy przedtem, Ale nasz brat nie ma dość wiedzy o rybołówstwie, zatem to nie jest ten sam Jezus, My też nie twierdzimy, że ten Jezus ma wiedzę o rybołówstwie, on nie łowi, tylko mówi, Zarzućcie sieć z tej strony, my zarzucamy i wyciągamy pełną, Skoro tak jest, to dlaczego nie ma go z wami, Bo po kilku dniach odchodzi, mówiąc, że musi pomóc innym rybakom i tak jest naprawdę, u nas był już trzy razy i zawsze mówił, że wróci, A gdzie jest teraz, Nie wiemy, ostatnim razem poszedł na południe, ale może być i tak, że poszedł na północ i uszło to naszej uwadze, on pojawia się i znika tak, jak mu się zachce. Rzekł Jakub do Józefa, Idziemy zatem na południe, przynajmniej wiemy, że nasz brat przebywa nad jeziorem. Wydawało się to łatwe, ale należy wziąć pod uwagę fakt, iż wtedy gdy oni by akurat byli w pobliżu, Jezus mógł się znajdować na łodzi, prowadząc jeden ze swych cudownych połowów. Zwykle nie przywiązujemy wagi do takich szczegółów, jednakże przeznaczenie nie jest tym, za co je mamy, sądzimy że wszystko jest określone od jakiegoś początku, podczas gdy w rzeczywistości jest zupełnie inaczej, zauważmy, że aby mogło dojść do spotkania pewnych osób, tak jak teraz, muszą się one spotkać w tym samym miejscu i o tej samej porze, co kosztuje немало wysiłku, wystarczy żebyśmy choć trochę zamarudzili, patrząc na przykład na chmurkę na niebie, słuchając śpiewu ptaka, obserwując ruch w mrowisku, albo wręcz przeciwnie, przez roztargnienie nie popatrzyli, ani nie posłuchali, ani nie poobserwowali, idąc dalej i tracąc to, co tak dobrze się zapowiadało, przeznaczenie jest najtrudniejszą rzeczą, jaka istnieje na świecie, mój bracie Józefie, sam się przekonasz, kiedy będziesz miał tyle lat co ja. Ostrzeżeni bracia szli, rozglądając się tysiącem oczu, przystawali po drodze, czekając na powrót zapóźnionej łodzi, czasami nagle zawracali, mając nadzieję na to, że nieoczekiwanie znajdą Jezusa od tyłu. Tym sposobem dotarli na kraniec jeziora. Przeszli na drugą stronę rzeki Jordan i zapytali o Jezusa pierwszych napotkanych rybaków. Słyszeli, no pewnie, o nim i o jego czarach, ale tu się nie pojawił. Skierowali Jakub i Józef swe kroki na północ, zdwajając uwagę, oni też byli jak rybacy zarzucający sieć i Uczący na złowienie króla ryb. Pewnej nocy, gdy spali przy drodze, wystawiU czujki na wypadek gdyby Jezus chciał wykorzystać

księżycową poświatę, aby potajemnie przenieść się z miejsca na miejsce. Chodząc i pytając, dotarli w pobliżu Tyberiady, jednak nie musieli szukać tam pracy, gdyż jeszcze nie skończyły im się pieniądze, w czym dużą zasługę mieli rybacy obdarowujący ich rybami, kiedyś Józef powiedział, Bracie Jakubie, czy myślałeś może o tym, że ryby, które jemy, mogły być złowione przez naszego brata, na co Jakub odparł, Nie są od tego smaczniejsze, złe słowa, które trudno uznać za przejaw braterskiej miłości, były jednak usprawiedliwione rozdrażnieniem kogoś, kto, za przeproszeniem, szuka igły w stogu siana.

Spotkanie Jezusa o godzinę drogi, to znaczy naszą godzinę, od Tyberiady. Pierwszy dostrzegł go Józef mający dalekosiężny wzrok, To on, o tam, wykrzyknął. Rzeczywiście, idą w tę stronę dwie osoby, ale jedna z nich jest kobietą, więc Jakub mówi, To nie on. Młodszy brat nigdy się nie spiera ze starszym, ale uszczęśliwiony Józef nie przejeżdżając na południe, przynajmniej wiemy, że nasz brat przebywa nad jeziorem. Wydawało się to łatwe, ale należy wziąć pod uwagę fakt, iż wtedy gdy oni by akurat byli w pobliżu, Jezus mógł się znajdować na łodzi, prowadząc jeden ze swych cudownych połowów. Zwykle nie przywiązujemy wagi do takich szczegółów, jednakże przeznaczenie nie jest tym, za co je mamy, sądzymy że wszystko jest określone od jakiegoś początku, podczas gdy w rzeczywistości jest zupełnie inaczej, zauważmy, że aby mogło dojść do spotkania pewnych osób, tak jak teraz, muszą się one spotkać w tym samym miejscu i o tej samej porze, co kosztuje немало wysiłku, wystarczy żebyśmy choć trochę zamarudzili, patrząc na przykład na chmurkę na niebie, słuchając śpiewu ptaka, obserwując ruch w mrowisku, albo wręcz przeciwnie, przez roztargnienie nie popatrzyli, ani nie posłuchali, ani nie poobserwowali, idąc dalej i tracąc to, co tak dobrze się zapowiadało, przeznaczenie jest najtrudniejszą rzeczą, jaka istnieje na świecie, mój bracie Józefie, sam się przekonasz, kiedy będziesz miał tyle lat co ja. Ostrzeżeni bracia szli, rozglądając się tysiącem oczu, przystawali po drodze, czekając na powrót zapóźnionej łodzi, czasami nagle zawracali, mając nadzieję na to, że nieoczekiwanie znajdą Jezusa od tyłu. Tym sposobem dotarli na kraniec jeziora. Przeszli na drugą stronę rzeki Jordan i zapytali o Jezusa pierwszych napotkanych rybaków. Słyszeli, no pewnie, o nim i o jego czarach, ale tu się nie pojawił. Skierowali Jakub i Józef swe kroki na północ, zdawając uwagę, oni też byli jak rybacy zarzucający sieć i liczący na złowienie króla ryb. Pewnej nocy, gdy spali przy drodze, wystawili czujki na wypadek gdyby Jezus chciał wykorzystać księżycową poświatę, aby potajemnie przenieść się z miejsca na miejsce. Chodząc i pytając, dotarli w pobliżu Tyberiady, jednak nie musieli szukać tam pracy, gdyż jeszcze nie skończyły im się pieniądze, w czym dużą zasługę mieli rybacy obdarowujący ich rybami, kiedyś Józef powiedział, Bracie Jakubie, czy myślałeś może o tym, że ryby, które jemy, mogły być

złowione przez naszego brata, na co Jakub odparł, Nie są od tego smaczniejsze, złe słowa, które trudno uznać za przejaw braterskiej miłości, były jednak usprawiedliwione rozdrażnieniem kogoś, kto, za przeproszeniem, szuka igły w stogu siana.

Spotkali Jezusa o godzinę drogi, to znaczy naszą godzinę, od Tyberiady. Pierwszy dostrzegł go Józef mający dalekosiężny wzrok, To on, o tam, wykrzyknął. Rzeczywiście, idą w tę stronę dwie osoby, ale jedna z nich jest kobietą, więc Jakub mówi, To nie on. Młodszy brat nigdy się nie spiera ze starszym, ale uszczęśliwiony Józef nie przejmuje się normami i konwenansami, Mówię ci, że to on, Przecież tam idzie jakaś kobieta, Idzie kobieta i idzie mężczyzna, zaś mężczyzną jest Jezus. Ścieżką wiodącą wzdłuż brzegu, po płaskim terenie rozciągającym się pomiędzy dwoma pagórkami, których zbocza prawie dotykały wody, szedł Jezus z Marią z Magdali. Jakub zatrzymał się, aby zaczekać i kazał Józefowi, żeby z nim pozostał. Chłopak posłuchał, choć z niezadowoleniem, ponieważ pragnął pobiec do nareszcie odnalezionego brata, uściskać go i rzucić mu się na szyję. Jakuba niepokoiła postać idąca z Jezusem, któż to był, nie chciało mu się wierzyć, że brat już znał kobietę, jednak czuł, iż to proste prawdopodobieństwo stawiało go w nieskończonej odległości za Jezusem, jak gdyby ten, który na domiar chwalił się, że widział Boga, tylko z racji poznania kobiety należał do zupełnie innego świata. Jedna refleksja wywołuje następną i wielokrotnie dochodzi się do niej, nie zwracając w ogóle uwagi na łączący je szlak, przypomina to przechodzenie z jednego brzegu rzeki na drugi po zakrytym moście, idziemy, nie wiedząc dokąd, przekraczamy rzekę, nie wiedząc o jej istnieniu, coś takiego przydarzyło się Jakubowi, który zrozumiał w końcu, że nie wypada tak stać, bo przecież to nie on jest starszym bratem i nie jemu należne jest pierwsze pozdrowienie. Jego ruch wyzwolił Józefa, który pobiegł do Jezusa z otwartymi ramionami i okrzykami czystej radości, płosząc stado ptaków ukrytych w wysokich nadbrzeżnych trawach i szukających pożywienia w mule. Jakub przyspieszył kroku, nie mogąc dopuścić do tego, by Józef wystąpił w roli tylko jemu należnej, niebawem stał przed Jezusem, mówiąc, Dzięki składam Panu za to, że zechciał, byśmy odnaleźli brata, którego szukamy, a Jezus odpowiedział, Dzięki składam za to, że widzę was w dobrym zdrowiu. Maria z Magdali zatrzymała się nieco z tyłu. Jezus zapytał, Co robicie w tych stronach, bracia, a Jakub zaproponował, Odejźmy na bok, abyśmy mogli w spokoju porozmawiać, Spokój już mamy, odparł Jezus, jeśli powiedziałaś to z powodu tej kobiety, dowiedz się, że wszystko co będziesz mi miał do przekazania i co ja zechcę usłyszeć, może również zostać wysłuchane przez nią, tak jakbym to był ja sam. Zapadła cisza tak złowroga, tak głośna i tak głęboka, że wydawało się, iż jest to zgodna cisza morza oraz gór, a nie czterech osób stojących naprzeciwko siebie i zbierających siły. Jezus wyglądał na jeszcze poważniejszego

mężczyznę niż przedtem, miał ciemniejszą skórę, a spojrzenie nie było już tak gorączkowe jak dawniej, otoczona gęstą, czarną brodą twarz uspokoiła się, choć teraz przebiegały ją skurcze wywołane nieoczekiwanym spotkaniem. Kim jest ta kobieta, zapytał Jakub, Ma na imię Maria i jest ze mną, odparł Jezus, Ożeniłeś się, Tak, ale nie, nie, ale tak, Nie rozumiem, Nawet na to nie liczyłem, Muszę z tobą pomówić, Zatem mów, Przynoszę wiadomość od matki, Słucham, Wolałbym przekazać ci ją w cztery oczy, Słyszałeś, co powiedziałem. Maria z Magdali zrobiła dwa kroki, Mogę odejść tam, gdzie nie będę was słyszeć, rzekła, Nie ma w mojej duszy żadnej myśli, której byś nie знаła, dlatego jest rzeczą słuszną, abyś usłyszała, co o mnie myśli moja matka, w ten sposób oszczędzisz mi wysiłku związanego z opowiedzeniem ci tego później, powiedział Jezus. Rozgniewanemu Jakubowi krew napłynęła do twarzy, zrobił krok do tyłu, jak gdyby chciał się wycofać i jednocześnie rzucił pełne wściekłości spojrzenie w kierunku Marii z Magdali, kryło ono w sobie także pogmatwane uczucia pożądania i urazy. Józef wyciągnął ramiona, aby powstrzymać braci, tyle tylko mógł zrobić. Wreszcie Jakub uspokoił się i po przerwie przeznaczonej na koncentrację umysłową tudzież odświeżenie pamięci, wyrecytował, Nasza matka kazała nam cię odszukać i poprosić, żebyś wrócił do domu, albowiem wierzymy w ciebie i jeżeli Pan zechce, uwierzemy w to, co nam powiedziałaś, Tylko to, Takie były jej słowa, To znaczy, że sami z siebie nie uczynicie niczego, aby uwierzyć w to, co wam powiedziałem, że zaledwie będziecie trwać w oczekiwaniu na odmienienie waszego rozumu przez Pana, Rozumienie i nierozumienie, wszystko jest w rękach Pana, Mylisz się, Pan dał nam nogi po to, byśmy chodzili, a więc chodzimy, o ile wiem, nigdy żaden człowiek nie czekał aż Pan mu rozkaże, Idź, z rozumem jest tak samo, Pan dał go nam po to, abyśmy się nim posługiwali zgodnie z naszymi pragnieniami i naszą wolą, Nie będę z tobą dyskutował, Bardzo dobrze robisz, bowiem nie zwyciężyłbyś w tej dyskusji, Jaką odpowiedź mam zanieść naszej matce, Powiedz, że jej słowa dotarły do mnie zbyt późno i że te słowa we właściwym czasie zostały wypowiedziane przez Józefa, a ona nie wzięła ich sobie do serca, i że choćby się jej objawił anioł Pański i potwierdził to wszystko, co wam opowiedziałem, przekonując ją o woli Pana, ja do domu nie wrócę, Popadłeś w grzech pychy, Drzewo jęczy, gdy je ucinają, pies skamle, gdy go biją, człowiek rośnie, gdy go obrażają, To twoja matka, a my jesteśmy twoimi braćmi, Kim jest moja matka, kim są moi bracia, moimi braćmi i moją matką są ci, którzy uwierzyli w moje słowo w tej samej chwili, gdy zostało przeze mnie wypowiedziane, moimi braćmi i moją matką są ci, którzy mi ufają, gdy wypływamy na jezioro, aby z tego, co złapią, mogli jeść bardziej obficie niż jedli, moją matką i moimi braćmi są d, którzy nie muszą czekać na moją śmierć, aby się ulitować nad moim żydem, Nie masz nnej wiadomości do przekazania, Innej

wiadomości nie mam, lecz „słyszycie o mnie, odpowiedział Jezus, po czym, odwracając się do Viarii z Magdali, rzekł, Chodźmy, Mario, łodzie wychodzą w połów, gromadzą się ławice, czas zebrać to żniwo. Odchodzili już, kiedy Ja-<ub krzyknął, Jezusie, muszę powiedzieć naszej matce, kim jest ta kobieta, Powiedz jej, że jest ze mną i ma na imię Maria, słowa te przeoczyły się echem pomiędzy pagórkami i ponad wodą. Rozciągnięty la ziemi Józef płakał ze zmartwienia.

Kiedy Jezus wypływa na jezioro z rybakami, Maria z Magdali zo-1\ staje na brzegu i czeka na niego, zazwyczaj siedząc na jakimś kamieniu nad samą wodą, albo na jakimś wzgórku, o ile takie są, skąd może śledzić kurs i przyglądać się żegludze. Połowy nie trwają - teraz długo, nigdy nie było w tym jeziorze takiej obfitości ryb, ludzie nie uprzedzeni powiedzieliby, że to wszystko przypomina wybieranie ryb z wiadra, lecz od razu zauważają, że nie każdemu przysługują jednakowe ułatwienia, wiadro jest takie jak zwykle, to znaczy trochę mniej niż puste, jeżeli Jezus przebywa gdzie indziej, a dłonie i ramiona męczą się zarzucaniem włóka i zniechęcają, widząc jak powraca z kilkoma zaledwie rybkami zaplątanymi tu i ówdzie. Z tego powodu cały świat rybacki z zachodniego brzegu Jeziora Galilejskiego chodzi za Jezusem, prosząc go, dopominając się o niego i domagając się jego obecności, a w niektórych miejscowościach było już tak, że przyjmowano go uroczyście z palmami i z kwiatami, jakby to była Niedziela Palmowa. Skoro jednak chleb ludzi jest tym, czym jest, a więc mieszaniną zazdrości i złości, niekiedy jakiegoś miłosierdzia, w której rosną drożdże strachu sprawiające, że rozmnaża się zło i tłamsi się dobro, kłóciły się załogi oraz całe wioski, gdyż wszyscy chcieli Jezusa tylko dla siebie, a inni niech tam sobie radzą, jak mogą. Kiedy takie rzeczy miały miejsce, Jezus zaszywał się na pustyni i wracał dopiero wtedy, gdy skruszeni podżegacze błagali go, aby wybaczył im ich wybryki, bo przecież kierowała nimi tylko chęć cieszenia się jego towarzystwem. Nikt nigdy już nie wyjaśni, dlaczego rybacy ze wschodniego brzegu nie wysłali żadnego delegata na tę stronę w celu przedyskutowania i uzgodnienia paktu, który dla wszystkich byłby jednakowo korzystny, łączyjąc tylko panoszących się tutaj pogan wszelkiego autoramentu, udzie z drugiego brzegu, uzbrojeni w sieci i dzidy, pod osłoną bezksiężycowej nocy mogliby również uformować wojenną flotyllę, której zadaniem byłoby wykradzenie Jezusa zachodowi, przez co zachód zostałby ponownie skazany na żywnościowy niedostatek, a przecież już zdążył się przyzwyczaić do doskonałego wikt.

Trwa jeszcze dzień, w którym Jakub i Józef prosili Jezusa, aby powrócił do swego domu i odwrócił się plecami do włóczędzowskiego życia, nie zważając na wpływ, jaki ono wywiera na rozwój rybołówstwa i pochodnych gałęzi gospodarki. O tej porze dwaj bracia,

każdy ze swoimi odczuciami, wściekły Jakub i mazgajowaty Józef, szybkim krokiem przemierzają góry i doliny w drodze do Nazaretu, gdzie matka po raz setny zadaje sobie pytanie, czy po wyjściu dwóch synów, zobaczy wchodzących trzech, chociaż sama w to wątpi. Bracia wracali do domu traktem przechodzącym niedaleko od tego miejsca wybrzeża, w którym spotkali Jezusa, i wiodącym przez Magdalenę, miasto słabo znane Jakubowi i zupełnie obce Józefowi, widać było zresztą na pierwszy rzut oka, że nie warto się tutaj dłużej zatrzymywać. Zatem dwaj bracia odświeżyli się naprędce i ruszyli dalej. Opuszczając osadę, używamy tego słowa tylko dlatego, że jasno i logicznie przeciwstawia się otaczającej wszystko pustyni, z lewej strony ujrzeni przed sobą strawiony przez pożar dom, po którym pozostały tylko cztery gołe ściany. Drzwi na podwórko, bez wątpienia rozbite podczas próby wyważenia, nie spłonęły, ogień zniszczył natomiast to, co znajdowało się w środku. W wypadku takim jak ten, jakkolwiek przechodzień zawsze myśli, że pod gruzami mógł pozostać jakiś skarb, i jeśli wierzy, iż nie spadnie na niego z góry jakaś belka, wchodzi, żeby popróbować swego szczęścia, ostrożnie posuwa się do przodu, rozgrzebuje stopą popioły, jakieś zetlałe głownie, nie dopalone węgle, mając nadzieję, że nagle zabłyśnie złota moneta, diament czystej wody albo diadem ze szmaragdów. Jakub i Józef weszli tylko z ciekawości, nie są aż tak naiwni, żeby sobie wyobrażać, że chciwi sąsiedzi nie szukali już tego, czego mieszkańcom domu nie udało się uratować, skoro był on tak mały, najcenniejsze dobra zostały wyniesione i pozostały tylko ściany, ale jest rzeczą prawdopodobną, że pomiędzy nimi można jeszcze znaleźć jakieś nowości. Wewnątrz tego, co było domem, zawaliło się sklepienie pieca, pod nogami strzelają kamienne płytki, które poodchodziły z podłogi, Nie ma nic, chodźmy stąd, powiedział Jakub, ale Józef zapytał, A co to jest. Był to rodzaj drewnianej podstawy, na poły zwęglonej i pozbawionej strawionych przez ogień nóg, przypominającej długi i szeroki tron ze zwisającymi resztkami nadpalonych szmat, To łóżko, stwierdził Jakub, niektórzy sypiają sobie na takich meblach, panowie, bogacze, Nasza matka też śpi na takim, Śpi, tyle że tamto nie równa się z tym, czym to musiało być, Nie wygląda, żeby tu mieszkali bogacze. Pozory często myślą, rzekł Jakub wnikliwie. Kiedy wychodzili, Józef spostrzegł zawieszoną na drzwiach prowadzących na podwórko trzcinową żerdź, niegdyś służącą zapewne do strącania fig, w tamtych czasach musiała być znacznie dłuższa niż teraz, musiano ją przyciąć. Co ona tu robi, zapytał, i nie czekając na odpowiedź, swoją albo brata, zerwał niepotrzebną już do niczego trzcinę i zabrał ją ze sobą jako pamiątkę ze spalonego domu nieznanym ludzi. Nikt nie widział, jak tam wchodzili, nikt nie widział, jak wychodzili, to tylko dwóch braci niosących do domu zabrudzone sadzą tuniki oraz czarną nowinę. Jednemu z nich, dla rozrywki, myśl podsunęła wspomnienie Marii z Magdali, myśl drugiego jest

bardziej ruchliwa i mniej frustrująca, ma on nadzieję na znalezienie sposobu wykorzystania obciętej żerdzi w swoich zabawach.

Siedząc na kamieniu i czekając na powrót Jezusa z połowu, Maria z Magdali myśli o Marii z Nazaretu. Aż do tego dnia matka Jezusa była dla niej tylko matką Jezusa, teraz już wie, że też ma na imię Maria, ponieważ zapytała o to, zbieg okoliczności o znikomym znaczeniu skoro tak wiele Marii jest na świecie i z pewnością będzie jeszcze więcej, jeżeli ta moda się przyjmie, jednak my odważylibyśmy się założyć, że istnieje jakieś poczucie bliższej więzi pomiędzy osobami noszącymi to samo imię, możemy sobie na przykład wyobrazić, że jeden Józef, kiedy wspomina drugiego Józefa, który był jego ojcem, poczuje się jak jego brat a nie jak syn, na tym właśnie polega problem Boga, nikt nie ma takiego imienia jak On. Doprowadzone do podobnej skrajności, takie refleksje nie wydają się być wytworami wnikliwości charakteryzującej ludzi pokroju Marii z Magdali, jakkolwiek nie brakuje nam informacji potwierdzających jej talenty w snuciu innych, onie mniejszym zasięgu, tyle że rozchodzą się one w różnych kierunkach, dowodem na to niech będzie obecna sytuacja, kobieta kocha mężczyznę i myśli o matce tego mężczyzny. Maria z Magdali nie zna z własnego doświadczenia macierzyńskiej miłości matki do syna, poznała jednak miłość kobiety do swojego mężczyzny, po tym jak nauczyła się i zaznała wszystkiego, co ma związek z miłością fałszywą, a w zasadzie z tysiącem wersji nie miłości. Kocha Jezusa jako kobieta, lecz pragnęłaby również kochać go jako matka, zapewne dlatego, że pod względem wieku nie różni się aż tak bardzo od prawdziwej matki, od tej która przesłała polecenie, aby syn wrócił, lecz syn nie wrócił, jedno tylko pytanie zadaje Maria z Magdali, Jaki ból poczuje Maria z Nazaretu, kiedy się o tym dowie, nie pokrywa się to jednak z tym, co ona sama odczułaby, gdyby zabrakło jej Jezusa, zabrakłoby jej mężczyzny, a nie syna, Panie, daj mi obydwie bóle razem, jeżeli tak ma być, wyszeptała Maria z Magdali, czekając na Jezusa. Gdy łódź podpłynęła i została wyciągnięta na brzeg, gdy zaczęto przenosić kosze wypełnione śliskimi rybami, gdy Jezus, stojąc po kostki w wodzie, pomagał przy pracy i śmiał się jak dziecko, Maria z Magdali zobaczyła siebie samą jako Marię z Nazaretu i podniósłszy się ze swego miejsca, zeszła do wody, aby być razem z nim, pocałowała go w ramię i rzekła, Mój synu. Nikt nie usłyszał tego, co odpowiedział Jezus, Moja matko, wiadomo przecież, że słowom płynącym z serca niepotrzebny jest żaden język, zatrzymywane są przez jakiś węzeł w gardle i można je wyczytać tylko z oczu. Z rąk kapitana łodzi Maria i Jezus otrzymali kosz ryb będący zapłatą za pracę, po czym udali się do domu, w którym mieli przenocować, bo na tym polegało ich życie, nie posiadali własnego domu, przechodzili z łodzi do łodzi, z maty na matę, na początku Jezus mawiał do Marii, Takie życie ci nie odpowiada, poszukajmy jakiegoś

domu, który byłby nasz, a ja będę z tobą zawsze, gdy tylko będzie to możliwe, na co Maria odpowiadała, Nie chcę na ciebie czekać, chcę być tam gdzie i ty. Pewnego dnia Jezus zapytał ją, czy ma jakichś krewnych, u których mogłaby się zatrzymać, zaś ona odparła, że ma brata i siostrę w Judei, w wiosce o nazwie Betania, mają na imię Łazarz i Marta, ale opuściła ich wówczas, gdy zaczęła uprawiać nierząd i żeby nie przynosić im wstydu, wyprowadziła się stamtąd, zmieniając miejsce pobytu, aż w końcu zamieszkała w Magdali. Zatem twoje imię powinno brzmieć Maria z Betami, jeżeli tam się urodziłaś; stwierdził Jezus, Owszem, urodziłam się w Betanii, ale spotkałeś mnie w Magdali i dlatego Marią z Magdali chcę pozostać, Mnie nie nazywają Jezusem z Betlejem, mimo że tam się urodziłem, z Nazaretu nie jestem, bo ani oni mnie nie chcą, ani ja nie chcę ich, chyba powinienem się zwać Jezusem z Magdali, tak jak ty i z tego samego powodu co ty, Pamiętaj, że spaliliśmy dom, Ale nie pamięć, powiedział Jezus. Nie mówiono już więcej o powrocie Marii do Betanii, ten brzeg jeziora jest dla nich całym światem, gdziekolwiek człowiek by był, zawsze z nim będzie jego obowiązek.

Skoro doświadczenie zła jest tak rozpowszechnione, lud, także my sami i chyba wszystkie narody, mówimy, że gdziekolwiek stąpniemy, czekają nas trudy. Takie powiedzenie, o ile się nie mylimy, mogło zostać wymyślone tylko przez rolniczy lud wiedzący, czym są potknięcia, zderzenia, wypadki, oczekiwania i zabójcze ciernie. Następnie, mając za podstawę zaznaczone już ogólność i powszechność, rozeszło się ono po całym globie i ustanowiło prawo, jakkolwiek przypuszczamy, że ludzie znad jeziora oraz rybacy przyjęli je z pewnym ociąganiem, albowiem oni wiedzą, iż pod ich stopami istnieją nie tylko najgłębsze głębie, ale i najprzepastniejsze przepaście. Trudy ponoszone przez ludzi znad jeziora czekają na nich nie na ziemi, lecz spadają z nieba, zwą się wiatrem i wichurą, to z ich powodu powstają fale mniejsze i większe, wybuchają burze, rwą się żagle, łamią się maszty, toną kruche łódki, ci rybacy i żeglarze tak naprawdę umierają pomiędzy niebem i ziemią, niebem, do którego ręce nie sięgają, ziemią, do której stopy nie docierają. Jezioro Galilejskie na ogół jest spokojne, łagodne i powściągliwe, choć niekiedy rozpętuje się tam oceaniczne szaleństwo i wtedy ratuj się kto może, niestety, nie zawsze wszyscy mogą. O jednym z takich wypadków opowiemy, lecz najpierw powróćmy do Jezusa z Nazaretu i do pewnych jego trosk, które są dowodami na to, że ludzkie serce jest wiecznie niezadowolone, a wypełniony prosty obowiązek nie daje takiej satysfakcji, o jakiej nam opowiadają ci, którym niewiele potrzeba do szczęścia. Bez cienia wątpliwości można stwierdzić, że dzięki nieustannej wędrówce Jezusa wzdłuż środkowego biegu rzeki Jordan, na zachodnim brzegu nie ma ubóstwa ani nawet przejściowych braków, doszło wręcz do tego, że ludzie nie będący

rybakami odnosili korzyści z takiej obfitości, bowiem ceny ryb spadły i coraz więcej osób mogło wydawać coraz mniej pieniędzy na ich kupno. Prawdą jest wszelako, iż podejmowano próby podtrzymania wysokich cen za pomocą znanej korporacyjnej metody polegającej na wyrzucaniu części połowu z powrotem do jeziora, jednak to Jezus był ostatnią instancją decydującą o większym lub mniejszym powodzeniu działań rybaków i w takich sytuacjach groził, że przeniesie się w inne miejsce, co skłaniało gwałcicieli nowego prawa do składania przeprosin, a potem się zobaczy. Wszyscy ludzie mają zatem powody ku temu, by czuć się szczęśliwi, jednak nie dotyczy to Jezusa. Myśli on bowiem, że życie nie polega li tylko na stałym przenoszeniu się z jednej miejscowości do drugiej, wsiadaniu do łodzi i wysiadaniu z niej, wykonywaniu tych samych gestów i mówieniu tych samych słów. Skoro władzę nad rybami do niego przychodzącymi dierży Pan, dlaczego ten sam Pan pragnie, by jego życie upływało w takiej monotonii aż do dnia, w którym zgodnie ze swą obietnicą powoła go do siebie. Jezus nie wątpi, że Pan jest z nim, wszak ryby przychodzą zawsze, gdy on je wezwie, zaś ta okoliczność, za pośrednictwem nieuniknionego procesu dedukcyjnego, którego przejawów ani sekwencji nie będziemy tutaj demonstrować, wraz z upływem czasu doprowadziła go w końcu do zadania sobie pytania, czy Pan zechciałby może obdarzyć go szerszym zakresem władzy, nie przyznając na zawsze ani nie nadając, lecz tylko wypożyczając, to chyba jasne, pod warunkiem, że zostałyby dobrze wykorzystany, zresztą, jak widzimy, Jezus był w stanie udzielić takich gwarancji, spójrzmy tylko na ciężar, jaki przyjął na swoje barki, a pomaga mu w tym zaledwie intuicja. Łatwo się można było o tym przekonać, tak samo łatwo jak powiedzieć Aj, wystarczyło wykonać doświadczenie, gdyby odniosło zamierzony skutek, oznaczałoby, że Bóg jest za, gdyby takowego nie odniosło, Bóg dałby do zrozumienia, że jest przeciw. Należało na wstępie rozwiązać pewien problem, czyli po prostu dokonać wyboru. Nie mogąc bezpośrednio poradzić się Pana, Jezus musiał zaryzykować, wybrać spośród wielu możliwości sprawowania władzy tę, która nie spotkałaby się ze sprzeciwem i nie rzucałaby się zbytnio w oczy, jednakże nie aż tak dyskretną, aby nie być dostrzeżoną przez osoby mające z tego odnieść korzyści i przez świat, bo w ten sposób ucierpiałaby chwała Pańska, która we wszystkim musi brać górę. Mimo to Jezus nie podejmował decyzji, bał się, że Bóg wyśmiej go i upokorzy, podobnie jak zrobił to na pustyni i mógł zrobić później, jeszcze dziś drżał na wspomnienie wstydu towarzyszącego mu wtedy, gdy po raz pierwszy powiedział, Zarzućcie sieć z tej strony, po czym wyciągnięto pustą. Myśli te pochłaniały go do tego stopnia, że pewnej nocy przyśniło mu się, iż ktoś szepcze do jego ucha, Nie bój się, pamiętaj, że Bóg cię potrzebuje, lecz kiedy się przebudził, miał wątpliwości co do tożsamości doradcy, mógł być jednym z wielu aniołów przynoszących

wiadomości od Pana, mógł być jednym z nie mniej licznych demonów we wszystkim służących Szatanowi, nie mógł natomiast być głęboko śpiącą u jego boku Marią z Magdali, zresztą Jezus nawet by o niej nie pomyślał. Życie toczyło się dalej i pewnego dnia, który nie zapowiadał się inaczej od innych, Jezus wypłynął na jezioro, aby czynić zwykłe cuda. Pogoda była niepewna, zasnute chmurami niebo groziło deszczem, jednak takie drobiazgi nie zmuszą rybaka do pozostania w domu, za dobrze by nam było, gdybyśmy mieli w życiu same przyjemności. Traf zrządził, że znalazł się w łodzi Szymona i Andrzeja, dwóch braci rybaków, którzy byli świadkami pierwszego cudu, obok nich płyną synowie Zebedeusza, Jakub i Jan, ponieważ łódź znajdująca się w pobliżu zawsze korzysta z części ryb, cudowny efekt nie dla wszystkich jest jednakowy. Silny wiatr błyskawicznie zanoszą ich na środek jeziora, a tam, po opuszczeniu żagli na obydwu łodziach, rybacy zaczynają rozwijać sieci, czekając aż Jezus powie, po której stronie mają je zarzucać. Pochłonięci tymi czynnościami, z nagłą popadają w wielkie tarapaty za sprawą atakującej ich z nieba niespodziewanej burzy, nie można wszelako uznać za jej zapowiedź wiszących nad ziemią chmur, zrobiło się tak, że fale urosły do wysokości fal prawdziwego morza i miały wysokość domów, popychane oszalałym wiatrem kołysały na wszystkie strony tymi łupinami orzecha, którymi nie można było sterować, gdyż żaden manewr nie mógł się przeciwstawić nieokielznanej sile żywiołów. Widząc niebezpieczeństwo, w jakim znajdują się biedne, bezbronne już stworzenia, ludzie przebywający na brzegu zaczęli wydawać przeraźliwe okrzyki, były tam żony i matki, i siostry, i malutkie dzieci, było kilka teściowych o dobrym charakterze i był lament, który nie wiadomo, jakim cudem nie dotarł do nieba, Mój ukochany mężu, Mój ukochany synu, Mój zięciu, Przekłete bądź, jezioro, Pani Strapionych, wspomóż nas, Pani Szczęśliwej Podróży, pospiesz im na pomoc, dzieci potrafiły tylko płakać, choć też nie za bardzo. Była tam również Maria z Magdali i szeptała, Jezusie, Jezusie, lecz nie o niego się bała, wiedziała, że Pan zachował go na inną okazję, a nie na zwykłą burzę na jeziorze, która może jedynie przynieść kilku tam topielców. Mówiła, Jezusie Jezusie, jak gdyby od tego mógł się odmienić, zdawałoby się w tej chwili nieuchronny, los rybaków. Wówczas, tam na łodzi, widząc rozpacz i upadek ducha szerzące się pośród pozostałych załóg, fale przetaczające się ponad burtami i zalewające wszystko w środku, połamane maszty i rozpuszczone żagle fruujące w powietrzu, rześiste strumienie deszczu zdolne do zatopienia cesarskiego okrętu, Jezus powiedział sam do siebie, Nie będzie rzeczą słuszną, gdy ci ludzie zginą, a ja pozostanę przy życiu, zwłaszcza że Pan z pewnością, by mnie zbeształ, Mogłeś uratować tych, którzy byli z tobą i nie uratowałeś ich, już ci nie wystarczał twój ojciec, Jezus aż podskoczył z bólu wywołanego tym wspomnieniem i mocno stojąc na nogach, tak jakby miał pod nogami

pewny grunt, krzyknął, Milcz, to było do wiatru, Ucisz się, to było do jeziora, zaledwie te słowa zostały wypowiedziane, uspokoiło się jezioro i ucichł wiatr, rozeszły się chmury i w całej swojej chwale pojawiło się słońce, ono zawsze takie jest i takie będzie, przynajmniej dla tych, którzy żyją krócej od niego. Trudno sobie wyobrazić to szczęście, jakie zapanowało na łodziach, pocałunki, uściski, płacz radości na lądzie, ci z tej strony nie wiedzieli, dlaczego tak nagle skończyła się burza, ci z tamtej, jak zmartwychwstali, myśleli tylko o uratowanym życiu, jeżeli zaś niektórym wyrwały się okrzyki, Cuda, cuda, to w tych pierwszych chwilach nie zdawali sobie sprawy, że ktoś musiał być ich autorem. Jednak ni stąd ni zowąd na jeziorze nastąpiła cisza, inne łodzie otaczały łódź Szymona i Andrzeja, a wszyscy rybacy spoglądali na Jezusa, milcząc z przerażenia, pomimo huku burzy usłyszeli krzyki, Milcz, Uderz się, oto był tam on, człowiek, który krzyczał, który kazał rybom wychodzić z wód do ludzi, który zabronił wodom zabierać ludzi dla ryb. Jezus ze spuszczoną głową usiadł na ławce wiosłarzy, targały nim dwa sprzeczne i chaotyczne uczucia, tryumfu i klęski, jak gdyby po wspięciu się na szczyt góry w tej samej chwili rozpoczął melancholijne i nieuniknione schodzenie. Lecz teraz, ustawieni w krąg ludzie czekali na jego słowo, nie wystarczało im to, że ujarzmił wiatr i uspokoił wody, musiał wyjaśnić, jak prosty syn jeśli z Galilei mógł tego dokonać, skoro wydawało się, że sam Bóg oddał ich chłodnemu uściskowi śmierci. Jezus podniósł się i powiedział, Nie ja popełniłem to, co przed chwilą widzieliście, głosy, które uciszyły burzę, nie zostały wydane przeze mnie, to Pan przemówił moimi ustami, ja jestem tylko językiem, którym Pan się posłużył, przypomnijcie sobie proroków. Rzekł Szymon przebywający na tej samej łodzi, Tak samo jak kazał burzy nadejść, Pan mógł ją odpędzić, zaś my jedynie powiedzielibyśmy, Pan ją przyniósł, Pan ją zabrał, lecz to twoja wola i twoje słowo uratowały nam życie, kiedy na oczach Pana uznaliśmy je za stracone, Zrobił to Bóg, powtarzam, a nie ja. Wtedy odezwał się Jan, młodszy syn Zebedeusza, udowadniając, że jego umysł nie był tak prosty, Bez wątpienia zrobił to Bóg, albowiem w Nim zamieszkuje cała siła i cała władza, lecz zrobił to za twoim pośrednictwem, z czego wyciągam wniosek, że Bóg chce, abyśmy cię poznali, Już mnie poznaliście, Kiedy zjawiłeś się tutaj, przychodząc nie wiadomo skąd i napelniając nasze łodzie rybami nie wiadomo jak, Jestem Jezus z Nazaretu, syn cieśli ukrzyżowanego przez Rzymian, przez pewien czas byłem pasterzem największego stada owiec i kóz, jakie do tej pory widziano, teraz jestem z wami, być może aż do dnia śmierci, rybakiem. Rzekł Andrzej, brat Szymona, To my, pozostali, powinniśmy być z tobą, bo skoro zwykłemu człowiekowi, jakim się mienisz, dano taką władzę i władzę nad nią, biada d, samotność będzie dla ciebie cięższa niżli kamień u szyi. Rzekł Jezus, Zostańcie ze mną, jeżeli poproszą was o to wasze serca, ale nie mówię nikomu o tym, co tutaj się stało, gdyż nie

nadszedł jeszcze czas na potwierdzenie przez Pana woli, którą we mnie chce wykonać, jeżeli, jak mówi Jan, Bóg chce, żebyście mnie poznali. Wówczas wtrącił się Jakub, starszy syn Zebedeusza, podobnie jak brat nie posiadający aż tak prostego umysłu, Nie myśl, że lud będzie milczeć, popatrz na tych tam na brzegu, zobacz jak na ciebie czekają i chcą zgotować ci owację, co bardziej niecierpliwi już spychają łodzie na wodę, ażeby się do nas przyłączyć, choćbyśmy nawet powściągnęli ich entuzjazm, choćbyśmy nawet przekonali ich do zachowania, w miarę możliwości, tajemnicy, skąd będziesz miał pewność, że w jakimkolwiek momencie, nawet przez ciebie niepożądanym, Bóg nie pojawi się za twoim pośrednictwem nie tylko w twojej obecności, Jezus zwiesił głowę, był żywym obrazem smutku i opuszczenia, i tak powiedział, Wszyscy jesteśmy w rękach Pana, Ty bardziej niż my, rzekł Szymon, albowiem On ciebie wybrał, jednak my będziemy z tobą, Do końca, oświadczył Jan, Dopóty dopóki zechcesz, dodał Andrzej, Dopóty dopóki będziemy mogli, zapewnił Jakub. Od strony brzegu płynęły kolejne łodzie, znajdujący się w nich ludzie machali rękami, mnożyły się dziękczynienia i pochwały, zrezygnowany Jezus rzekł, Chodźmy, wino jest nalane, trzeba je wypić. Nie rozglądał się za Marią z Magdali, wiedział, że na niego czeka na brzegu, tak jak zawsze, że żaden cud nie odmieni stałości tego oczekiwania, wdzięczne i pokorne zadowolenie ukoilo jego serce. Po wyjściu na brzeg nie tyle ją objął, ile objął się w niej, bez zaskoczenia wysłuchał tego, co Maria z Magdali powiedziała mu szeptem do ucha, przytykając twarz do mokrej brody, Przegrasz wojnę, nie masz innego wyjścia, ale wygrasz wszystkie bitwy, potem zaś oboje, przy czym on pozdrawiał wiwatujących na jego cześć jak generał powracający ze swej pierwszej i zwycięskiej walki, w towarzystwie przyjaciół wspięli się po stromej drodze wiodącej do Kafarnaum, wioski, która górowała nad jeziorem, mieszkali tam Szymon z Andrzejem, tym razem to w ich domu się zatrzymali.

Sprawdziły się złe wróżby Jakuba, który nie podzielał nadziei Jezusa na to, że znajomość cudu związanego z uciszeniem burzy ograniczy się do grona bezpośrednich jego świadków. Po upływie kilku dni o niczym innym nie rozprawiano w tych okolicach, chociaż, dziwna rzecz, to jezioro nie jest w końcu jakimś bezmiarem i przy czystym powietrzu można je z wysoka ogarnąć wzrokiem w całości, od krańca do krańca, od brzegu do brzegu, na przykład w Tyberiadzie nikt nie wiedział o burzy i gdy ktoś zaniósł tam wiadomość o tym, że człowiek pracujący z rybakami z Kafarnaum swoim głosem uciszył burzę, taka spotkała go odpowiedź, Jaką burzę, od tych słów aż zaniemówił. W to, że była burza wątpić nie można, za potwierdzenie służy strach doświadczony przez bohaterów tamtego epizodu, bezpośrednich i pośrednich, włącznie z mulnikami z Safedu i z Kany, przebywającymi tam w interesach. To właśnie oni ponieśli wiadomość w głąb kraju, zabarwiając ją tak, jak podpowiadały im

porywy wyobraźni, lecz przecież nie mogli dotrzeć z nią wszędzie, wiemy dobrze, jak to jest z wiadomościami, wraz z upływem czasu i narastaniem odległości coraz mniej trafiają do przekonania, kiedy więc nowina, zresztą niezbyt świeża, dotarła do Nazaretu, nie wiadomo było, czy chodzi o rzeczywisty cud, czy też o szczęśliwy zbieg okoliczności polegający na tym, że w tym samym momencie słowo zostało rzucone, a wiatr zmęczył się wianiem. Jednak serce matki nie myli się, wystarczyło, że do Marii doleciały wygasłe niemal echa cudu, w który już zaczynano wątpić, a jej serce nabrało pewności, że dokonał go nieobecny syn. Płakała po kątach nad pychą swego żalosego autorytetu macierzyńskiego, który kazał jej zataić przed Jezusem fakt objawienia się anioła będącego zwiastunem niezwyklej wieści, a następnie zdać się jedynie na kilka ogólnikowych słów i liczyć, że zmuszą one do powrotu do domu kogoś, kto go opuścił z krwawiącym sercem. Nie miała Maria przy sobie tej, przed którą mogłaby zwierzyć się z tak gorzkich i bolesnych smutków, swej wydanej niedawno za mąż córki Lizji, bowiem przeprowadziła się ona do wioski zwanej Kaną. Z Jakubem nie ośmieliłaby się rozmawiać, ten aż pieniał się z wściekłości, gdy powrócił ze spotkania z bratem i bez przerwy gadał o kobiecie, którą z nim widział, Mogłaby być jego matką, moją matką, i ten jej wygląd, musi mieć duże doświadczenie życiowe, zna się też na innych sprawach, ale nie będę o nich wspominał, gwoli prawdy należy jednak powiedzieć, że doświadczenie samego Jakuba w dokonywaniu porównań jest znikome, mieszka przecież w takiej dziurze na końcu świata. Wyżaliła się więc Maria przed Józefem, tym synem, który najbardziej przypominał jej męża i z imienia i zewnętrznego podobieństwa, wszelako nie był w stanie jej pocieszyć, Moja matko, płacimy za to, co uczyniliśmy, i ja, który widziałem i słuchałem Jezusa, obawiam się, że zawsze tak będzie, zaś on nie powróci już stamtąd, gdzie teraz przebywa, Wiesz, co o nim mówią, że rozmawiał z burzą, a ona wysłuchała go i ucichła, Dowiedzieliśmy się również, że dzięki swej władzy napełnia rybami łodzie rybaków, sami nam to powiedzieli, Anioł miał rację, Jaki anioł, zapytał Józef, a Maria opowiedziała mu wszystko, co się zdarzyło od pojawienia się żebraka, który wrzucił świetlistą ziemię do miski, do anioła z jej snu. Nie odbyli tej rozmowy w domu, gdyż tam było to niemożliwe z powodu wciąż tak dużej liczebności rodziny, zawsze gdy ktoś chce rozmawiać o sprawach tajnych, wychodzi na pustynię, gdzie a nuż spotka Boga. Oboje sobie rozmawiali, kiedy w pewnym momencie Józef spostrzegł na dalekich wzgórzach, do których matka była odwrócona plecami, stado owiec i kóz przechodzące tamtędy ze swoim pasterzem. Odniósł wrażenie, iż stado nie było duże ani pasterz nie był wysoki, więc się nie odezwał. Gdy matka stwierdziła, Nigdy więcej nie zobaczę Jezusa, w zamyśleniu odparł, Kto wie.

Józef miał rację. Po jakimś czasie, mniej więcej po roku, matka otrzymała wiadomość od Lizji, która w imieniu teściów zapraszała ją do Kany na wesele siostry swego męża, informując jednocześnie, iż może zabrać ze sobą kogo tylko zechce, bo wszyscy będą mile widziani. Skoro ją zaproszono, miała prawo wyboru osób towarzyszących, jednakże przez szacunek dla tamtych ludzi nie chciała stawać się dla nich obciążeniem, bo przecież nie ma nic bardziej przygnębiającego od wdowy z licznym potomstwem, dlatego też postanowiła zabrać zaledwie dwójkę, swego ulubionego Józefa oraz Lidię, której jako dziewczynie zabaw i rozrywek nigdy nie jest za wiele. Kana nie leży daleko od Nazaretu, nieco ponad naszą dzisiejszą godzinę drogi, zatem przy takiej łagodnej jesiennej pogodzie można odbyć przyjemny spacer, nawet jeśli ostatecznym celem podróży nie będzie wesele. Wyszli z domu zaraz po wschodzie słońca, aby móc dotrzeć do Kany w czasie pozwalającym Marii na włączenie się do ostatnich robót związanych z przygotowaniem obrzędowego i świątecznego aktu, w którym wkład pracy jest wprost proporcjonalny do tego, jak ludzie się później bawią i radują. Wyszła Lizja na spotkanie matki oraz rodzeństwa, okazując im serdeczność, z jednej strony przekazano informacje o pomyślności i zdrowiu, a z drugiej o zdrowiu i szczęściu, lecz praca nagliła, więc od razu poszli dalej, zaś ona i Maria udały się do domu pana młodego, gdzie zgodnie ze zwyczajem miało się odbyć wesele, wraz z innymi kobietami z rodziny będą stać przy kuchni. Natomiast Józef i Lidia pozostali na podwórku, aby pobawić się z rówieśnikami, chłopcy z chłopcami, dziewczęta z dziewczętami, trwało to do chwili, w której zorientowali się, że uroczystość już się rozpoczyna. Wszyscy razem, bez dyskryminowania gorszej płci, pobiegli za panem młodym i jego przyjaciółmi, którzy nieśli tradycyjne pochodnie, podczas poranka jaśniejącego światłem tak jak ten, mogło to posłużyć przynajmniej do wykazania, że jeden blask więcej, nawet jeżeli bije od pochodni, nigdy nie jest do pogardzenia, choćby samo słońce nie wiadomo jak błyszczało. Stojący w drzwiach swoich domostw sąsiedzi pozdrawiali ich z radosnymi obliczami, zachowując błogosławieństwa na nieco później, kiedy orszak powróci już z panną młodą. Józef i Lidia nie widzieli jednak reszty, tak czy owak nie stanowiłoby to dla nich nowości, skoro nie tak dawno mieli wesele w swojej rodzinie, czyli pana młodego stukającego do drzwi i proszącego o pozwolenie zobaczenia panny młodej, jej samej pojawiającej się w otoczeniu przyjaciółek, również ze światłami, ale skromnymi, prostymi lampkami, jakie przystoją kobietom, albowiem pochodnia to męska rzecz z uwagi na ogień i rozmiary, i później pana młodego unoszącego welon panny młodej i wydającego radosny okrzyk wobec odnalezionego skarbu, tak jakby w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, bo tyle trwał okres narzeczeństwa, nie widywał jej tysiące razy i nie chodził z nią do łóżka, gdy tylko mu się zachciało. Józefa i

Lidię ominęły te punkty programu, bowiem on spostrzegł nagle w głębi jednej z uliczek dwóch mężczyzn oraz kobietę i doznając uczucia, że żyje po raz drugi, rozpoznał swego brata Jezusa, a także towarzyszącą mu kobietę. Krzyknął do siostry, Popatrz, to Jezus, oboje pobiegli w tamtym kierunku, lecz ni stąd, ni zowąd Józef zatrzymał się, przypomniał sobie o matce, przypomniał sobie o szorstkości, z jaką brat przyjął wtedy nad jeziorem nie jego, to pewne, ale wiadomość, którą wraz z Jakubem mu zanieśli. Choć zdawał sobie sprawę z tego, że będzie potem musiał wytłumaczyć Jezusowi, dlaczego tak postąpił, zawrócił w połowie drogi. Dochodząc do rogu ulicy, obejrzał się do tyłu i gryziony przez zazdrość zobaczył brata unoszącego Lidię do góry jak piórko, a ona okrywała jego twarz pocałunkami, podczas gdy kobieta i drugi mężczyzna uśmiechali się. Z oczami przesłoniętymi łzami zawodu Józef zaczął biec, pobiegł do domu, nieomal przeskoczył podwórze, uważając by nie podeptać obrusów i potraw rozłożonych na ziemi i na niziutkich stołach, wreszcie zawołał, Matko, matko. Ratuje nas to, że mamy swój własny głos, nie zabrakłoby tam przecież matek patrzących na nie. swojego syna, ale spojrzała tylko Maria, spojrzała i zrozumiała, nim Józef jej powiedział, Idzie tu Jezus, ona już wiedziała. Pobladła, zaczerwieniła się, uśmiechnęła, spoważniała i zbladła powtórnie, zaś w rezultacie tych wszystkich zmian uniosła dłoń do piersi, jak gdyby nie miała tam serca i cofnęła się o dwa kroki, jak gdyby zderzyła się ze ścianą. Kto z nim jest, zapytała, bowiem była pewna, że ktoś mu towarzyszy, Mężczyzna i kobieta, a także Lidia, która tam została, Czy widziałeś już tę kobietę, Tak, matko, lecz mężczyzny nie znam. Podeszła do nich Lizja, ciekawa tego, co się dzieje, O co chodzi, moja matko, Twój brat jest tutaj i przyjdzie na wesele, Jezus jest w Kanie, Józef go widział. Po Lizji nie było znać tak wielkiego wzruszenia, jednak jej twarz rozjaśniła się uśmiechem, który zdawał się nie mieć końca, wyszeptła, Mój brat, gdyby ktoś nie wiedział, było to wyrazem zadowolenia, taki uśmiech i taki czept również mający swoją wartość, Wyjdźmy mu na spotkanie, powiedziała, Idź ty, ja tutaj zostanę, wzbraniała się matka, po czym rzekła do Józefa, Idź z twoją siostrą. Józef nie chciał jednak być drugim w ramionach, które najpierw uściskały Lidię, zaś Lizja nie miała odwagi iść sama, w związku z czym wszyscy troje pozostali tam jak oskarżeni w oczekiwaniu na wyrok, niepewni miłosierdzia sędziego, o ile słowa sędziego oraz miłosierdzie pasują do tego przypadku.

Jezus pojawił się w drzwiach, niosąc Lidię na rękach, za nim szła Maria z Magdali, ale wcześniej wszedł Andrzej, bo to on przybywał razem z nimi, jak się rychło okazało, był krewnym pana młodego, wyjaśniał tym, którzy go z uśmiechem witali, Nie, Szymon nie mógł przyjść, podczas gdy jedni radowali się tym rodzinnym spotkaniem, drudzy spoglądali na siebie z dwóch przeciwnych skrajów przepaści, zastanawiając się, kto pierwszy ma postawić

stopę na delikatnym i kruchym mostku, który mimo wszystko nadal łączył obydwie strony. Nie powtórzmy za poetą, że na świecie nie ma nic lepszego od dzieci, jednak to właśnie dzięki nim dorośli są czasami w stanie bez uszczerbku dla dumy zrobić pewne trudne kroki, chociaż później zorientują się, że i tak nie ruszyli się z miejsca. Lidia wyślizgnęła się z ramion Jezusa i podbiegła do matki, było tak jak w teatrze kukielkowym, pierwszy wymuszał ruch drugiego, ta dwójka zaś, trzeciego, Jezus zbliżył się do matki i pozdrowił ją oraz rodzeństwo słowami powściągliwymi i beznamiętnymi, jak gdyby spotykali się codziennie. Uczyniwszy to, poszedł dalej, pozostawiając stojącą jak słup soli Marię oraz zdezorientowane rodzeństwo. Maria z Magdali podążyła za nim, przeszła obok Marii z Nazaretu i obie kobiety, uczciwa i nieczysta, spojrzały na siebie bez wrogości i bez pogardy, a raczej z wyrazem wzajemnej wdzięczności cechującej współwinowajczynie i rozumiałej tylko dla tych, którzy orientują się w labiryntach kobiecego serca. Orszak już się zbliżał, słychać było krzyki i oklaski, drgający odgłos tamburynów, rozproszone i subtelne dźwięki harfy, rytm wybijany przez tancerzy, wrzawę ludzkich głosów, chwilę później zapełniło się podwórko, państwo młodzi prawie zostali wepchnięci do środka przy wtórze wiwatów i poszli przyjmując błogosławieństwo od oczekujących ich rodziców oraz teściów. Maria, która tam pozostała, również dała im swe błogosławieństwo, podobnie jak uczyniła to jakiś czas temu, wydając za mąż Lizję, wtedy i teraz nie miała u boku ani męża, ani pierworodnego syna, którzy z całą mocą swego autorytetu zajęliby dla niej miejsce. Wszyscy już się usadowili, Jezusowi od razu zaproponowano miejsce honorowe, ponieważ Andrzej rozpuścił pomiędzy krewnymi wieść głoszącą, że ów jest właśnie tym człowiekiem, który zwabiał ryby do sieci i ujarzmił burze, jednak Jezus odrzucił ten zaszczyt i usiadł z wszystkimi na krańcu jednego z szeregów gości. Jezusowi usługiwała Maria z Magdali, nikt nie zapytał kim ona jest, czasami podchodziła Lizja, lecz on nie czynił żadnej różnicy pomiędzy jedną i drugą. Maria krzątała się po przeciwnej stronie i często napotykała na swej drodze Marię z Magdali, wymieniały spojrzenia, ale nie rozmawiały aż do momentu, w którym matka Jezusa dała tej drugiej znak, by podeszła do jednego z zakamarków podwórka, gdzie jej oznajmiła bez żadnych wstępów, Dbaj o mojego syna, bo jakiś anioł powiedział mi, że czekają go wielkie zadania, a ja nic dla niego nie mogę zrobić, Będę dbała, oddałabym za niego moje życie, gdyby na to zasługiwało, Jak się nazywasz, Jestem Maria z Magdali, zanim poznałam twego syna, byłam nierządnicą. Maria milczała, pewne fakty układały się w jej umyśle w logiczny ciąg, pieniądze i podteksty zawarte w Jezusowych półsłówkach, rozdrażnione sprawozdanie Jakuba oraz jego opinie na temat kobiety towarzyszącej bratu, wiedząc to wszystko, rzekła, Błogosławię cię, Mario z Magdali, za dobro które uczyniłaś mojemu synowi, dziś i na zawsze cię błogosławię. Maria z

Magdali podeszła bliżej, aby ucałować ją w ramię na znak szacunku, lecz druga Maria chwyciła ją w objęcia, przycisnęła do siebie i obie uściskały się w ciszy, po czym rozłączyły i powróciły do pracy, która nie mogła czekać.

Zabawa trwała, z kuchni bez ustanku donoszono jedzenie, z amfor nalewano wina, tańce i śpiewy kipiły radością, lecz w pewnej chwili starosta weselny potajemnie zaalarmował rodziców państwa młodych, Kończy nam się wino, ostrzegął. Przygnębienie i zakłopotanie spadły na nich tak, jak gdyby zawalił się dach, Cóż teraz poczniemy, jak powiemy naszym gościom, że skończyło się wino, jutro o niczym innym nie będzie się mówić w Kanie, Moja biedna córka, biadolili matka pani młodej, wszyscy się będą z niej wyśmiewać, bo na jej weselu nawet wina zabrakło, nie zasłużyliśmy sobie na taki wstyd, jakież to zły początek nowej drogi życia. Przy stołach sączono już ostatnie krople, niektórzy goście rozglądali się za kimś, kto mógłby ich obsłużyć, a oto Maria, przekazawszy innej kobiecie obciążenia, obowiązki i powinności, których przyjęcia z jej rąk syn odmawiał, w jakimś przebłysku inteligencji zechciała przekonać się naocznie o zapowiedzianej władzy Jezusa, aby później móc powrócić do domu i do ciszy jak ktoś, kto zakończył już swą misję na świecie, czekając tylko aż go z niego wycofają. Poszukała wzrokiem Marii z Magdali, zobaczyła, że ta powoli przymyka powieki, czyniąc gest przyzwolenia, po czym niezwłocznie podeszła do syna i powiedziała mu tonem kryjącym w sobie pewność, że nie trzeba mówić wszystkiego, aby być zrozumianym, Nie mają wina. Jezus niespiesznie obrócił się w stronę matki, popatrzył na nią tak, jakby przemawiała doń z bardzo daleka i zapytał, Niewiasto, co jest pomiędzy tobą i mną, słowa te były straszne dla tych, co je słyszeli, jednak przerażenie, zdziwienie i niedowierzenie, Syn nie traktuje w ten sposób matki, która dała mu istnienie, sprawią, że czas, odległość oraz wola dostarczą im przekładów, interpretacji, wersji i odcieni łagodzących tę brutalność, zaś dzięki nim, o ile to możliwe, wypowiedź zostanie uznana za niebyłą, bądź obdarzy się ją przeciwstawnym znaczeniem, w przyszłości napisze się, że Jezus tak powiedział, Dlaczego mnie tym niepokoisz, albo, Co ja mam z tobą wspólnego, albo, Kto ci kazał się w to mieszać, niewiasto, albo, Czyż to moja lub twoja sprawa, niewiasto, albo, Zostaw to mnie, nie musisz mnie wcale prosić, albo, Dlaczego mnie o to nie poprosisz otwarcie, nadal jestem uległym synem, albo, Zrobię, jak chcesz, między nami nie ma niezgody. Maria przyjęła te ciśnięte jej prosto w twarz słowa, wytrzymała odpychające ją spojrzenie i przypierając syna do muru, rzuciła ostateczne wyzwanie, mówiąc do sług, Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie. Jezus zobaczył, że matka się oddala, nie wyrzekł ani jednego słowa, nie uczynił żadnego gestu, aby ją powstrzymać, zrozumiał, że to Pan posłużył się nią tak samo, jak wcześniej posłużył się burzą albo potrzebą rybaków. Uniósł

swój kubek, w którym zostało mu jeszcze trochę wina i rzekł do sług, Napełnijcie te stągwie wodą, a stało tam sześć kamiennych stągwi przeznaczonych do oczyszczeń i oni napełnili je aż po brzegi, a każda z nich mogła pomieścić dwie albo trzy miary, Przysuńcie je bliżej, powiedział, i oni tak uczynili. Wtenczas Jezus wlał do każdej stągwi wina, które miał w swym naczyniu i rzekł, Zanieście staroście weselnemu. Starosta nie wiedział, skąd się wzięły stągwie, spróbował wody, której mała ilość wina nawet nie zdołała zabarwić, przywołał pana młodego i powiedział mu, Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się goście napiją, wówczas gorsze, ty jednak zachowałeś dobre wino aż do tej pory. Pan młody, który nigdy nie widział, żeby te stągwie służyły do wina, natomiast doskonale zdawał sobie sprawę, że wino się skończyło, również skosztował i zrobił minę wyrażającą źle udawaną skromność, ograniczając się do potwierdzenia tego, co i tak było pewne, czyli znakomitej jakości nektaru, innymi słowy wyśmienitego rocznika. Gdyby nie głos ludu reprezentowany w tym wypadku przez kilku służących, którzy następnego dnia nie potrafili utrzymać języka za zębami, byłby to cud niefortunny, albowiem nieświadom niczego starosta weselny, nieświadomym by pozostał, zaś panu młodemu odpowiadało przecież korzystanie z cudzych poczyznań, Jezus nie był kimś, kto by prawił, Uczyniłem takie to a takie cuda, od początku uczestnicząca w znowie Maria z Magdali nie nadawałaby sprawie rozgłosu, On uczynił cud, on uczynił cud, a Maria, matka, tym bardziej, ponieważ zasadnicza kwestia dotyczyła jej i syna, cała reszta była tylko dodatkiem w każdym znaczeniu tego słowa, zresztą niech goście powiedzą, czy tak nie jest, oni, którzy ponownie mieli co pić.

Maria z Nazaretu oraz jej syn więcej nie rozmawiali. Dobrze po południu, nie żegnając się z rodziną, Jezus udał się razem z Marią z Magdali w kierunku Tyberiady. Ukryci przed jego wzrokiem Józef i Lidia szli za nim aż do skraju wioski i tam pozostali, odprowadzając go wzrokiem dopóty, dopóki nie zniknął za zakrętem.

TD rozpoczął się czas wielkiego oczekiwania. Znaki, za pośrednictwem J. (których Pan objawiał się do tej pory w osobie Jezusa, były zaledwie domorosłymi cudami, zręcznymi kuglarskimi sztuczkami, chwytami w rodzaju szybszy niż spojrzenie, niewiele różniącymi się od praktyk pewnych magików ze wschodu, uprawianych przez nich na znacznie bardziej wyszukaną modłę, demonstrowali oni na przykład zarzucanie liny w górę i wspinanie się po niej tak, by nie można było zorientować się, że jej górny koniec uwiązany jest do solidnego haka albo trzymany niewidoczną ręką pomocniczego geniusza. Wystarczyło, żeby Jezusowi tylko się chciało i już mógł dokonywać takich wyczynów, lecz gdyby ktoś go zapytał, czemu to robił, nie potrafiłby udzielić odpowiedzi, chyba że takiej, że tak należało, rybacy bez ryb, burza bez możliwości ucieczki, wesele bez wina, zaprawdę nie nadeszła jeszcze pora, w

której Pan będzie przemawiał swoimi ustami. Po osadach z tej strony Galilei mówiło się, że jakiś człowiek z Nazaretu posługuje się władzą, która mogła przyjść tylko od Boga i wcale temu nie zaprzecza, a gdy się pojawia, nie dbając o przyczyny, racje i przeszkody, ludziom pozostaje tylko korzystać z tego dostatku i powstrzymać się od zadawania pytań. Szymon i Andrzej oraz synowie Zebedeusza wcale tak nie myśleli, chociaż ci ostatni byli jego przyjaciółmi i bali się o niego. Budząc się każdego ranka, Jezus w ciszy zadawał sobie pytanie, Czy to już dzisiaj, czasami robił to na głos, tak by usłyszała Maria z Magdali, a ona milczała, potem, wzdychając, obejmowała go ramionami, całowała po czole i po oczach, podczas gdy on wdychał słodki i ciepły zapach jej piersi, były dni, kiedy ponownie w ten sposób zasypiał albo też zapominał o pytaniu i o niepokoju i znajdował ucieczkę w ciele Marii z Magdali, jak gdyby wchodząc do jakiegoś kokonu, z którego mógł się odrodzić tylko po przeobrażeniu. Później szedł nad jezioro do oczekujących go rybaków, a wielu z nich miało nigdy niczego nie zrozumieć, więc pytali, dlaczego nie kupuje sobie łodzi na konto przyszłych zysków i nie zaczyna pracować na własny rachunek. W pewnych okolicznościach, kiedy na środku jeziora dłużyły się przerwy pomiędzy kolejnymi rybackimi manewrami, zawsze koniecznymi, mimo że połów stawał się łatwy i odprężający jak ziewnięcie, nadochodziło Jezusa niespodziewane przecucie, a jego serce drżało, chociaż oczy nie zwracały się w kierunku nieba, gdzie jak wiadomo mieszka Bóg, wpatrywał się natomiast z obsesyjną łapczywością w spokojną toń jeziora, w gładkie wody błyszczące jak wypolerowana skóra i oczekiwał z pragnieniem oraz obawą, że z głębin wynurzy się, jak by powiedzieli rybacy, nasza ryba, albo spóźniony głos, jak zapewne myślał Jezus. Połów dobiegał końca, łódź powracała obładowana, zaś Jezus ze spuszczoną głową ponownie szedł wzdłuż brzegu, a za nim Maria z Magdali, szukając kogoś, komu potrzebne będą darmowe usługi obserwatora. Tak mijały tygodnie i miesiące, mijały też lata, tylko w Tyberiadzie, gdzie rosły nowe budowle i tryumfy, można było dostrzec jakieś zmiany, bowiem gdzie indziej zachodziły jedynie zwyczajne tudzież powszechnie znane cykliczne powtórzenia, ziemia, która zimą zdaje się umierać w naszych ramionach, na wiosnę zmartwychwstaje, chociaż jest to fałszywe spostrzeżenie oraz prostacka pomyłka zmysłów, ponieważ siła wiosny nie byłaby niczym, gdyby zima nie spała.

Oto Jezus wkroczył już w dwudziesty piąty rok życia, wydawało się, że cały wszechświat począł z nagłą się poruszać, jedne po drugich objawiły się nowe znaki, jak gdyby ktoś w strasznym pośpiechu usiłował odzyskać zmarnowany przez siebie czas. Prawdę mówiąc, pierwszy z tych znaków nie był cudem w pełnym tego słowa znaczeniu, w zasadzie nie jest niczym nadzwyczajnym to, że teściową Szymona trawiła jakaś trudna do określenia

gorączka i że Jezus stanął u wezglowia łóżka, kładąc dłoń na jej czole, każdy z nas robił takie gesty powodowany głosem serca, bez nadziei na uzdrowienie dolegliwości chorego za pomocą tak elementarnej i nieco magicznej metody, jednak nigdy nie zdarzyło nam się to co Jezusowi, który poczuł, że pod jego palcami gorączka ustępuje jak niezdrowa woda wchłaniana przez ziemię, po czym kobieta wstała i powiedziała, z pewnością nie w porę, Przyjaciel mojego zięcia jest moim przyjacielem, odchodząc później do swych domowych robót jakby nigdy nic. Był to pierwszy znak, domowy, wewnętrzny, ale drugi zasługiwał już na znacznie większe zainteresowanie, ponieważ stanowił bezpośrednie wyzwanie Jezusa wobec prawa spisane i przestrzegane, przypadkiem uzasadnione, gdy się weźmie pod uwagę normalne ludzkie zachowania, to że Jezus żył bez ślubu z Marią z Magdali, na domiar złego zajmując się w przeszłości nierządem, powinno być dla nas wystarczającą przyczyną jego pojawienia się tam, gdzie zgodnie z prawem Mojżesza miano ukamienować kobietę cudzołożną, oto jak przemówił, Stójcie, kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień, jak gdyby chciał powiedzieć, Nawet ja, gdybym nie żył tak, jak żyję, w konkubinacie, gdybym nie był skalany brudnymi myślami oraz uczynkami, byłbym razem z wami podczas wymierzania tej sprawiedliwości. Bardzo ryzykował nasz Jezus, bowiem mogło się tak zdarzyć, że osoby zajmujące się kamienowaniem, z uwagi na swe nieczułe serca i zatwardziałość w grzesznych praktykach puszcza mimo uszu owo napomnienie i będą kontynuować swe czynności, nie obawiając się stosowanego prawa, które przecież dotyczy kobiet. Jezus chyba nie pomyślał, najprawdopodobniej z braku doświadczenia, że jeżeli będziemy oczekiwać pojawienia się na świecie tych bezgrzesznych arbitrów, w swej opinii jedynych, którzy będą mieć moralne prawo do potępienia i karania, to bardzo się obawiam, iż w tym czasie nadmiernie rozprzestrzeni się zbrodnia i rozkwitnie grzech, a cudzołożnice rozpanoszą się i będą przestawać z tym lub z owym, kto zaś mówi ocudzołożnicach, powie o reszcie, włącznie z tysiącem ohydnych nałogów, które zmusiły Pana do zesłania deszczu ognia oraz siarki na Sodomę i Gomorę i do obrócenia ich w popiół. Jednakże narodzone wraz ze światem zło, tak wiele od niego się uczące, przypomina, moi kochani bracia, sławnego i nigdy nie widzianego ptaka Feniksa, który zginawszy w ogniu, odradza się z jaja stworzonego przez swoje własne popioły. Dobro jest kruche, delikatne, wystarczy, że zło owionie mu twarz gorącym oddechem zwykłego grzechu, a na zawsze wypali się jego czystość, złamie się lodyga lilii i zwiędnie kwiat pomarańczy. Jezus rzekł do cudzołożnicy, Idź, a od tej chwili nie grzesz już więcej, lecz w głębi ducha żywił poważne wątpliwości.

Inny godny uwagi wypadek wydarzył się na drugim brzegu jeziora, dokąd Jezus uznał za stosowne udać się pewnego dnia po to, by nie mówiono, że wszystkie jego troski i czułości

zwrócone są ku ludziom mieszkającym na zachodnim brzegu. Zawołał więc Jakuba oraz Jana i tak im rzekł, Przeprowadźmy się na Drugą Stronę, tam gdzie żyją Gadareńczycy, zobaczymy, czy nam się przytrafi jaka przygoda, zaś w drodze powrotnej zajmiemy się połowem, aby nie była to nadaremna podróż. Przystali synowie Zebedeusza na taki pomysł i ustalając kurs swej łodzi, wzięli się do wiosł, licząc na to, że dalej jakaś bryza doprowadzi ich do celu przy mniejszym nakładzie własnych sił. Tak też się stało, lecz zaczęli się bać, ponieważ w pewnej chwili zdali sobie sprawę, że nadciąga burza zdolna współzawodniczyć z tamtą sprzed lat, jednak Jezus powiedział wodom i powietrzu, No co, no co, jak gdyby mówił do niesformego dziecka, od razu jezioro się uspokoiło, a wiatr począł wiać z odpowiednią siłą i we właściwym kierunku. Wszyscy trzej wysiedli z łodzi, Jezus szedł na przodzie, a za nim Jakub i Jan, nigdy tu wcześniej nie byli, więc wszystko wydawało się nowe i zaskakujące, zaś największym zaskoczeniem, wstrzymującym bicie serca, było to, że nagle wyrósł przed nimi jakiś człowiek, o ile można było nazwać człowiekiem postać pokrytą nieczystościami od stóp do głowy, ze straszną brodą i włosami, biło od niego zgnilizną grobowców, gdzie, jak ich później poinformowano, miał zwyczaj ukrywać się po skruszeniu łańcuchów i zerwaniu pęt, w które go wiązano w więzieniu dlatego, że był opętany. Gdyby był jedynie zwyczajnym szaleńcem, choć wiemy, że takim na ogół podwajają się siły w napadach wściekłości, dla powstrzymania go wystarczyłoby dodać mu drugie tyle pęt i łańcuchów. Na próżno uczyniono tak jednego razu, bez efektu powtarzano to wielokrotnie, nieczysty duch żyjący wewnątrz tego człowieka i nad nim panujący wyśmiewał się ze wszystkich więzień. Dniem i nocą opętaniec skakał po górach, uciekając od siebie i od swojego cienia, lecz zawsze wracał do grobowców, aby ukrywać się pośród nich albo nawet w ich wnętrzach i straszyć swym wyglądem ludzi, którzy go ujrzeli. Takim też odnalazł go Jezus, strażnicy mający schwytać owego człowieka machali do Jezusa ramionami, żeby się doń nie zbliżał i uniknął niebezpieczeństwa, lecz Jezus przybył tutaj przecież w poszukiwaniu przygód, więc nie chciał, by ta go ominęła. Mimo strachu przed zjawą, Jan i Jakub nie opuścili przyjaciela i dlatego byli pierwszymi świadkami słów, których nikt nigdy nie spodziewał się usłyszeć, ponieważ skierowane były przeciwko Panu i Jego prawom, o czym za chwilę będzie można się przekonać. Dzika bestia zbliżała się, wyciągając ramiona i szczerząc zębiska, pomiędzy którymi widać było strzępy zgniętego mięsa, Jezusowi włosy zjeżyły się ze strachu, kiedy o dwa kroki od niego opętaniec padł na ziemię i zawołał wielkim głosem, Czego chcesz ode mnie, Jezusie, synu Boga Najwyższego, na Boga cię zaklinam, nie dręcz mnie. Oto po raz pierwszy publicznie a nie w prywatnych snach, skądinąd zawsze budzących wątpliwości za podszeptami sceptycyzmu i rozsądku, podniósł się głos, głos diabelski, obwieszczając, że ten

Jezus z Nazaretu jest synem Boga, czego on sam do tej pory nie wiedział, albowiem podczas rozmowy odbytej przezeń z Bogiem na pustyni nie poruszono kwestii ojcostwa, Będę cię potrzebował później, tyle tylko Pan mu powiedział, nie można było nawet mówić o podobieństwie zważywszy, że ojciec ukazał mu się pod postacią obłoku oraz słupa dymu. Opętaniec tarzał się u jego stóp, głos który wypowiedział to, czego do tej pory nie wypowiedziano, ucichł, zaś w tym samym momencie, jak ktoś kto dopiero co rozpoznał siebie w innym, Jezus poczuł, że i on jest opętany, opętany przez siły, które nie wiadomo dokąd i do czego go powiodą, chociaż niewątpliwie, na końcu wszystkiego do grobu i do grobów. Zapytał ducha, Jak ci na imię, a duch odpowiedział, Legion, bo nas jest wielu. Jezus rzekł rozkazującym tonem, Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka. Zaledwie to wypowiedział, podniósł się chór diabelskich głosów, cienkich i ostrych, grubych i chrapliwych, łagodnych jak kobiece, ale też przypominających piły piłujące kamień, naznaczonych prowokującym sarkazmem, fałszywie pokornych jak żebracze, wyniosłych i pełnych żalu, przywodzących na myśl dziecko uczące się mówić, inne zaś były tylko krzykiem upióra i jękiem bólu, ale wszystkie błagały Jezusa, aby pozwolił im tam zostać, w miejscach znanych im od dawna, bo wystarczyło, żeby dał rozkaz i wyszłyby z ciała tego człowieka, lecz na litość boską, niech ich nie wypędza z okolicy. Zapytał Jezus, A dokąd chcecie iść. Pasła się tam na górze wielka trzoda świń i nieczyste duchy poprosiły Jezusa, Poślij nas w świnie, żebyśmy w nie weszli. Jezus pomyślał i wydawało mu się, że jest to dobre rozwiązanie, zważywszy że tamte zwierzęta musiały należeć do pogan, bo dla Żydów wieprzowina jest mięsem nieczystym. Jezusowi nie przyszło do głowy, że poganie zjadając swoje świnie, mogliby również połknąć demony w nich przebywające, przez co sami staliby się opętani, tak samo jak nie przyszło mu do głowy to, co niestety stało się potem, jednakże prawda jest taka, że nawet syn Boga, wciąż jeszcze nie przyzwyczajony do tak znakomitego pokrewieństwa, nie mógłby przewidzieć, tak jak w szachach, wszystkich konsekwencji prostego posunięcia, prostej decyzji. Nieczyste duchy w olbrzymim podnieceniu czekały na odpowiedź Jezusa, robiły nawet zakłady, a kiedy wreszcie nadeszła, Tak, możecie przejść do świń, wydały współbrzmiający okrzyk bezczelnej radości i gwałtownie weszły w zwierzęta. Czy to z powodu niespodziewanego uderzenia, czy może nie mając doświadczenia w chodzeniu z demonami w swoim wnętrzu, świnie oszalały w jednej chwili rzuciły się w przepaść, wpadając do jeziora, wszystkie w nim utonęły a było ich dwa tysiące. Trudno opisać wściekłość właścicieli niewinnych zwierząt, które jeszcze minutę wcześniej spokojnie sobie chodziły, ryjąc w miękkiej ziemi, jeśli takową znajdowały, w poszukiwaniu korzonków i robaków, skubiąc rzadką i twardą trawę porastającą te tereny, a teraz, patrząc z góry, można

było zobaczyć nieszczęsne świnki, niektóre już bez życia, inne prawie omdlałe i unoszące się na powierzchni, te czyniły jeszcze tytaniczne wysiłki, aby utrzymać uszy ponad wodą, gdyż wiadomo, że świny nie mogą sobie zatkać przewodów słuchowych, więc woda wdiera się tamtędy strumieniami i po chwili zalewa je od środka. Rozwścieczeni świniarze z daleka rzucali kamieniami w Jezusa i w tych, co z nim byli, już biegli w ich kierunku z najśluszniejszym zamiarem domagania się, by sprawca szkody poniósł odpowiedzialność, x od głowy pomnożone przez dwa tysiące, rachunek jest prosty. Lecz nie do zapłacenia. Rybak groszem nie śmierdzi, żyje z ości, a zresztą Jezus nawet rybakiem nie był. Chciał jeszcze Nazarejczyk zaczekać na pokrzywdzonych, wyjaśnić im, że najgorszą rzeczą na świecie jest diabeł, że wobec niego dwa tysiące świń nic nie znaczą i że my wszyscy jesteśmy skazani na ponoszenie w życiu strat, materialnych i innych, Uspokójcie się, bracia, rzekłby Jezus, gdyby doszło do rozmowy. Jednakże Jakub i Jan nie godzili się na to, by oczekiwać na spotkanie, które najwidoczniej nie zapowiadało się pokojowo i na nic by się zdało dobre wychowanie tudzież jak najlepsze intencje jednej strony w zderzeniu z brutalnością oraz racjami drugiej. Jezus nie chciał, ale musiał poddać się argumentom, których siła przekonywania rosła z każdym spadającym w pobliżu kamieniem. Zbiegli ze zbocza w kierunku jeziora, wskoczyli do łodzi i mocno wiosłując, w krótkim czasie odpłynęli na bezpieczną odległość, ludzie z drugiej strony nie mieli chyba zbyt wiele wspólnego z rybackim życiem, bowiem nawet jeśli mieli łodzie, nie były widoczne. Stracono świny, uratowano duszę, zyskał Bóg, rzekł Jakub. Jezus spojrzał na niego, jak gdyby myśląc o czymś innym, obydwaj bracia patrząc na Jezusa, bardzo chcieli się dowiedzieć więcej i porozmawiać o osobliwym objawieniu, jakiego doznali za sprawą demonów obwieszczających, że Jezus jest synem Boga, on jednak zwrócił swój wzrok w stronę brzegu, z którego uciekli, widział jezioro i unoszące się na falach świny, dwa tysiące niewinnych zwierząt, zaczynał w nim kiełkować jakiś niepokój, poszukując jednocześnie możliwości wydostania się na zewnątrz, aż nagle, Demony, gdzie są demony, wykrzyknął, po czym roześmiał się w kierunku nieba, Posłuchaj mnie, o Panie, albo źle sobie wybrałeś syna, którym, jak powiedziano, jestem po to, by wypełniać Twe zamysły, albo pośród tysięcy Twoich zdolności brakuje mądrości zdolnej pokonać diabła, Co chcesz przez to powiedzieć, zapytał Jan przerażony zuchwałością interpelacji, Chcę powiedzieć, że demony mieszkające wcześniej w opętanym człowieku teraz są już wolne, bowiem nawet my wiedzieliśmy, że demony nie umierają, moi przyjaciele, sam Bóg nie może ich zabić, to co ja tam zrobiłem, miało taką samą wartość jak krojenie morza mieczem. Na tamtym brzegu wiele osób zbiegało nad wodę, jedni rzucali się do jeziora, by wyciągać unoszące się w pobliżu świny, a inni wskakiwali do łodzi i ruszali w pościg.

Tamtej nocy w stojącym przy synagodze domu Szymona i Andrzeja zebrało się potajemnie pięciu przyjaciół, aby omówić jakże straszną kwestię dotyczącą tego, że według objawienia demonów, Jezus jest synem Boga. Uczestnicy tych bardziej niż dziwnych wypadków uzgodnili, że dopiero w nocy przeprowadzą nieuniknioną rozmowę i wreszcie nadszedł moment postawienia sprawy całkiem jasno. Jezus zaczął od stwierdzenia, Nie można wierzyć w to, co mówi ojciec kłamstwa, odnosząc się oczywiście do Diabła. Rzekł Andrzej, Prawda i kłamstwo wychodzą z tych samych ust i nie pozostawiają śladu. Diabeł nie przestaje być Diabełem, raz czy dwa mówiąc prawdę. Rzekł Szymon, Wiedzieliśmy już wcześniej, że nie jesteś człowiekiem takim samym jak my, pamiętaj o rybach, których bez ciebie byśmy nie złapali, o burzy, która by nas zabiła, o wodzie, którą zamieniłeś w wino, o cudzołożnicy, którą wybawiłeś od ukamienowania, czy wreszcie o demonach wypędzonych z opętańca. Rzekł Jezus, Nie ja jeden wypędzałem demony z ludzi, Masz rację, odparł Jakub, ale byłeś pierwszym, przed którym się upokorzyły, nazywając cię synem Boga Najwyższego, Cóż mi przyszło z tego upokorzenia, skoro w końcu mnie samego ono spotkało, Nie to się jednak liczy, ja tam byłem i słyszałem, wtrącił się Jan, dlaczego nam nie powiedziałaś, że jesteś synem Boga, Nie wiem, czy jestem synem Boga, Skąd zatem wie o tym Diabeł, a nie wiesz ty, Dobre pytanie, ale tylko oni będą umieli ci na nie odpowiedzieć, Jacy oni, Bóg, którego, jak mówi Diabeł, jestem synem, Diabeł, który tylko od Boga mógł się o tym dowiedzieć. Zapadła cisza, jak gdyby wszyscy obecni chcieli przywołanym postaciom dać czas na wypowiedzenie się, wreszcie Szymon podjął decydującą kwestię, Co jest między tobą i Bogiem. Jezus westchnął, Oto jest pytanie, którego się spodziewałem od czasu mojego przybycia do was, Nigdy sobie nie wyobrażaliśmy, że syn Boga zechciałby zostać rybakiem, Już wam powiedziałem, że nie wiem, czy jestem synem Boga, Kim więc jesteś. Jezus zakrył twarz dłońmi, poszukiwał w pamięci miejsca, od którego mógłby rozpocząć oczekiwaną przez nich spowiedź, niespodziewanie zobaczył swoje życie tak, jakby należało ono do kogoś innego, o to właśnie chodzi, jeśli diabeł mówił prawdę, w takim razie wszystko, co go spotkało wcześniej, musi mieć zupełnie odmienne znaczenie, zaś niektóre z tych zdarzeń dopiero w świetle objawienia mogą być zrozumiane. Jezus zdjął dłonie z twarzy, spojrzał na każdego z przyjaciół z błagalnym wyrazem, jak gdyby uznawał, że zaufanie, o które ich prosi, przekracza normy przyjęte wśród ludzi, i po długim milczeniu powiedział, Widziałem Boga. Żaden z nich się nie odezwał, czekali. On zaś ciągnął dalej ze spuszczonej oczami, Spotkałem Go na pustym, a On oznajmił mi, że kiedy nadejdzie godzina, da mi chwałę i władzę w zamian za moje życie, lecz nie powiedział, że jestem Jego synem. Ponowne milczenie. Jak Bóg ukazał się twoim oczom, zapytał Jakub, Jako obłok, jako słup dymu, Nie

ognia, Nie, nie ognia, dymu, I nie powiedział ci nic więcej, Że wróci, gdy przyjdzie czas, Jaki czas, Nie wiem, może zabierze wtedy moje życie, A ta chwała i ta władza, kiedy cię nimi obdarzy, Nie wiem. Nowe milczenie, w domu było duszno, ale wszyscy drżeli. Następnie Szymon zadał odmierzone pytanie, Czyżbyś był Mesjaszem, którego winniśmy nazywać synem Boga, ponieważ przyjdiesz wykupić lud Boży z niewoli, w której się znajduje, Ja, Mesjaszem, Nie byłoby większym powodem do strachu to, że jesteś bezpośrednim synem Pana, zaśmiał się nerwowo Andrzej. Rzekł Jakub, Mesjasz czy syn Boga, nie rozumiem, jak dowiedział się o tym Diabeł, skoro Pan nawet tobie tego nie wyznał. Odezwał się zamyślony Jan, Jakież to rzeczy, o których my nic nie wiemy, mogą łączyć Boga z Diabłem. Spojrzeli po sobie z obawą, gdyż czuli strach przed taką wiedzą, a Szymon zapytał Jezusa, Co uczynisz, na co Jezus odparł, To co mogę, zaczekam na moją godzinę.

Do tej godziny niewiele już brakowało, lecz przed jej nadejściem Jezus dwukrotnie miał okazję do zmanifestowania swej cudownej władzy, chociaż lepiej by było spuścić zasłonę milczenia na tę drugą, ponieważ wchodziła tam w grę jego pomyłka, w wyniku której umarło jedno figowe drzewo, tak samo niewinne jakiegokolwiek zła, jak tamte świnię strącone do jeziora przez demony. Jednakowoż pierwszy z tych dwóch aktów zasługiwał na poinformowanie o nim kapłanów z Jerozolimy oraz upamiętnienie w formie napisu wrytego złotymi literami na frontonie Świątyni, bowiem nie widziano czegoś takiego nigdy wcześniej ani od tamtej pory nie zobaczono po dziś dzień. Historycy różnią się w swych opiniach dotyczących motywów, jakie skłoniły wielkie rzesze ludzi do zebrania się w tamtym miejscu, zresztą nawiasem mówiąc, istnieje również mnóstwo wątpliwości co do jego położenia i są tacy, którzy twierdzą, w odniesieniu do motywów, że była to po prostu tradycyjna pielgrzymka, a wiadomości o jej początkach zagubiły się pośród nocy czasów, inni z kolei mówią, ależ skąd, rozeszła się przecież wieść, jak się później okazało, pozbawiona wszelkich podstaw, że przybył pełnomocnik Rzymu, aby ogłosić obniżenie podatków, jeszcze inni, nie podsuwając żadnej hipotezy ani rozwiązania problemu, utrzymują, że tylko naiwni mogą wierzyć w zmniejszenie obciążeń fiskalnych i rewizję zobowiązań płatniczych korzystną dla podatników i że, jeśli chodzi o najprawdopodobniej nieznane początki pielgrzymki, zawsze można by było odkryć jakieś przejawy pierwotnej przyczyny, gdyby ci, którzy lubią przychodzić na gotowe, zadali sobie trud zbadania zbiorowej wyobraźni. Pewne i wiadome jest to, że było tam cztery do pięciu tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci, i że ci wszyscy ludzie w określonej chwili zorientowali się, że nie mają nic do jedzenia. Jak to się stało, że lud tak zapobiegliwy, tak nawykły do podróżowania i do zabierania ze sobą prowiantu na drogę nawet wtedy, gdy w grę wchodziły niewielkie odległości, znalazł się ni

stąd ni zowąd bez okruszyny chleba i kawałka mięsa, nikt dzisiaj nie potrafi, ani nawet nie próbuje tego wyjaśnić. Ale fakty są faktami i fakty mówią nam, że było tam wtedy dwanaście do piętnastu tysięcy osób, jeśli tym razem nie zapomnimy okobietach i dzieciach, o żołądkach pustych od nie wiadomo ilu godzin, wcześniej czy później musieli oni przecież wrócić do domu, narażając się na śmiertelne wycieńczenie z głodu albo zdając się na czyjeś miłosierdzie i dobytek. W takich wypadkach dzieci zawsze pierwsze dają znak, więc i teraz niecierpliwie domagały się jedzenia, niektóre z nich popłakując, Mamo, chce mi się jeść, sytuacja w każdej chwili mogła przybrać, jak to się wtedy mówiło, nie kontrolowany obrót. Jezus stał w tłumie razem z Marią z Magdali, byli tam również jego przyjaciele, Szymon, Andrzej, Jakub i Jan, którzy po epizodzie ze świniami i po wynikłych z niego konsekwencjach prawie zawsze z nim chodzili, chociaż w przeciwieństwie do pozostałych osób zaopatrzyli się w kilka ryb i trochę chleba. Zatem mogli się, jakby to powiedzieć, poczęstować. Niemniej jednak przystąpienie do jedzenia na oczach tych wszystkich ludzi, poza wykazaniem brzydkiego egoizmu, stanowiło pewne ryzyko zważywszy, że potrzebę dzieli od prawa malutki kroczek a sprawiedliwość, wiemy to już od czasów Kaina, najsprawniej wymierza się własnymi rękami. Jezus nie miał nawet cienia nadziei, że będzie w stanie zaradzić kłopotom takiej rzeszy ludzi, lecz Jakub i Jan z pewnością siebie charakteryzującą naocznych świadków podeszli do niego i powiedzieli, Skoro potrafiłeś wypędzić z ciała człowieka demony, które go zabijały, powinienes również być w stanie napęlnić ciała tych ludzi jedzeniem, którego potrzebują do życia, Jak mam to zrobić, jeżeli przynieśliśmy ze sobą tak mało pożywienia, Jesteś synem Boga, możesz to uczynić. Jezus spojrział na Marię z Magdali, a ona mu powiedziała, Dotarłeś już do punktu, z którego nie ma odwrotu, zaś jej twarz wyrażała litość, a Jezus nie wiedział czy wobec niego, czy wobec wygłodniałych ludzi. Wziął zatem sześć przyniesionych przez nich chlebów, przełamał każdy na dwie części i rozdał je swoim towarzyszom, to samo zrobił z sześcioma rybami, aż wreszcie on sam został z jednym chlebem i z jedną rybą. Potem powiedział, Chodźcie ze mną i róbcie to, co ja zrobię. Wiemy, co zrobił, ale nigdy się nie dowiemy, jak mógł to zrobić. Szedł od osoby do osoby, łamiąc i rozdając chleb oraz ryby, jednak każda z osób otrzymywała za każdym razem jedną całą rybę i jeden cały chleb. W ten sam sposób postępowali Maria z Magdali i pozostała czwórka, w miejscach przez które przechodzili było tak, jakby przychylny wiatr wiał nad polem, unosząc po kolei opadnięte kłosa i szeleszcząc liśćmi, którymi w tym wypadku były usta żujące i dziękujące, To Mesjasz, mówili jedni, To czarodziej, twierdzili drudzy, ale nikomu z obecnych nie przyszło do głowy zapytać, Jesteś synem Boga. A Jezus mówił do wszystkich, Kto ma uszy, niechaj słucha, jeśli nie podzielicie, nie pomnożycie.

Dobrze się stało, że Jezus tego nauczał, bo sposobność była ku temu. Lecz niedobrze się stało, że on sam zbyt dosłownie potraktował tę lekcję wtedy, gdy nie należało, z tym się właśnie wiązało wspomniane już zdarzenie z figowym drzewem. Szedł Jezus polną drogą i poczuł głód, a widząc w oddali okryte liśćmi drzewo figowe, poszedł w jego stronę, aby zobaczyć, czy może coś na nim znajdzie, lecz nic na nim nie znalazł oprócz liści, bo nie był to czas na figi. Wówczas rzekł, Niechże już nigdy nie rodzi się z ciebie owoc, i natychmiast drzewo figowe uschło. A Maria z Magdali, która z nim była, powiedziała, Dasz temu, kto będzie potrzebował, nie poprosisz tego, kto nie będzie miał. Skruszony Jezus rozkazał drzewu figowemu, aby zmartwychwstało, ale ono było martwe.

Mglisty poranek. Rybak podnosi się z maty, spogląda przez szparę na białą przestrzeń i mówi do żony, Dziś nie wypływam na jezioro, przy takiej mgle nawet ryby się gubią pod wodą. Powiedział to ów, a takie same lub podobne słowa zostały wypowiedziane przez wszystkich pozostałych rybaków z jednego i z drugiego brzegu, bezradnych wobec nadzwyczajnej nowości, jaką była nie spotykana o tej porze roku mgła. Tylko ten, co nie jest rybakiem z zawodu, chociaż wśród rybaków żyje i z nimi pracuje, podchodzi do drzwi, jak gdyby chcąc upewnić się, że to dziś jest jego dzień i patrząc na nieprzezroczyste niebo, mówi, Idę na jezioro. Za jego plecami Maria z Magdali pyta, Musisz iść, a Jezus odpowiada, Już czas, Nie jesz, Oczy rano otwierają się na czczo. Objął ją i rzekł, Nareszcie się dowiem, kim jestem i do czego służę, po czym z niebywałą pewnością, a przecież mgła nie pozwalała zobaczyć nawet własnych stóp, zszedł po stoku wiodącym do wody, wsiadł do jednej z przycumowanych tam łodzi i począł wiosłować w kierunku niewidzialnego środka jeziora. Odgłos wiosła szorujących i bijących o burty łodzi oraz pryskania ociekającej z nich wody rozchodził się po całej powierzchni, zmuszając do otworzenia oczu rybaków, którym dobre żony mówiły, Jeżeli nie możesz wyjść w połów, skorzystaj i prześpij się. Niespokojnie i nerwowo ludzie z wiosła patrzyli na nieprzeniknioną mgłę, zwracając się w tę stronę, gdzie powinno być jezioro i czekali, nie zdając sobie z tego sprawy, aż hałas powodowany przez wiosła uderzające w wodę nagle ustanie, aby mogli wrócić do swych domów i zamknąć drzwi na wszystkie klucze, rygle i kłódki, wiedząc wszelako o tym, że runą one od zwykłego podmuchu, jeżeli ten, kto tam jest, jest tym, za kogo go mają i postanowi dmuchnąć w tę stronę. Mgła otwiera się, aby Jezus mógł przepłynąć, jednak oczy sięgają najdalej do końców wiosła i do rufy, na której prosta belka służy za ławkę. Reszta jest murem, najpierw matowym i szarym, a potem, w miarę jak łódź zbliża się do miejsca przeznaczenia, rozproszona jasność sprawia, że mgła staje się biała i błyszcząca, wirując tak, jakby nadaremnie szukała w ciszy

jakiegoś dźwięku. Łódź zatrzymuje się w dużym kręgu światła, to już środek jeziora. Na ławce na rufie siedzi Bóg.

Nie jest, tak jak za pierwszym razem, obłokiem ani słupem dymu, bo dziś, przy takiej pogodzie, mogłyby się zagubić i zmieszać z mgłą. Jest wysokim, starym człowiekiem z rozłożystą brodą spływającą jak rzeka na piersi, odkrytą głową, rozsypanymi włosami, szeroką i żywą twarzą i mięsistymi ustami, które przemówią nawet wtedy, gdy będzie się zdawało, że nie wykonują żadnego ruchu. Ubrany jest jak bogaty Żyd, w szkarłatną, długą tunikę, w niebieski płaszcz z rękawami, oblamowany złotym materiałem, lecz na nogach ma proste, wiejskie sandały, o których się mówi, że są do chodzenia, co unaocznia, iż nie jest to osoba wiodąca siedzący tryb życia. Kiedy już stąd pójdzie, zadamy sobie pytanie, Jakie miał włosy, i nie będziemy pamiętać, czy białe, czy czarne, czy rude, w tym wieku powinien mieć białe, ale są tacy, do których siwizna przychodzi późno, być może mamy do czynienia z takim właśnie przypadkiem. Jezus ułożył wiosła na dnie łodzi, spodziewając się, że rozmowa potrwa dłużej i rzekł po prostu, Oto jestem. Bóg niespiesznie tudzież metodycznie ułożył fałdy płaszcza na kolanach i też powiedział, Oto jesteśmy. Z tonu głosu można by wywnioskować, że się uśmiechnął, ale usta pozostały nieruchome, tylko długie wąsy i włosy na podbródku zadrżały jak rozedrgany dzwon. Rzekł Jezus, Przybyłem, aby się dowiedzieć, kim jestem i co mam robić w celu wywiązania się wobec ciebie z mojej części umowy. Odparł Bóg, Chodzi o dwie sprawy, dlatego musimy omówić je po kolei, od której chcesz zacząć, Od pierwszej, kim jestem, zapytał Jezus, Nie wiesz tego, zapytał ze swej strony Bóg, Wydawało mi się, że wiem, wydawało mi się, że jestem synem mego ojca, Którego ojca masz na myśli, Mojego ojca, cieślę Józefa, syna Helego lub Jakuba, dokładnie nie wiem, Który umarł na krzyżu, Nie sądziłem, by był jeszcze inny, To była tragiczna pomyłka Rzymian, ten ojciec umarł niewinnie, Powiedziałeś ten ojciec, to oznacza, że jest też drugi, Podziwiam cię, jesteś mądrym i bystrym chłopcem, Tym razem nie posłużyłem się inteligencją, usłyszałem to z ust Diabła, Przystajesz z Diabłem, Nie przestaję z Diabłem, to on wyszedł mi na spotkanie, Cóż więc usłyszałeś z ust Diabła, Że jestem twoim synem. Bóg wykonał odmierzony i twierdzący ruch głową, potwierdzając, Tak, jesteś moim synem, Jak człowiek może być synem Boga, Jeżeli jesteś synem Boga, nie jesteś człowiekiem, Jestem człowiekiem, żyję, jem, kocham jak człowiek, dlatego jestem człowiekiem i jak człowiek umrę, Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewny, Co chcesz przez to powiedzieć, To jest właśnie druga sprawa, ale mamy czas, co odpowiedziałeś Diabłu, kiedy powiedział ci, że jesteś moim synem, Nic, czekałem na dzień, w którym cię spotkam, natomiast jego wypędziłem z dręczonego przezeń opętańca, nazywał się Legion i było ich wielu, Gdzie teraz są, Nie wiem,

Powiedziałeś, że je wypędziłeś, Z pewnością wiesz lepiej ode mnie, że kiedy się wypędza diabły z jakiegoś ciała, nie wiadomo dokąd idą, Skąd niby ja mam wiedzieć o diabelskich sprawkach, Będąc Bogiem, musisz wiedzieć wszystko, Do pewnego stopnia, tylko do pewnego stopnia, Do jakiego, Do tego, w którym udawanie, że nie wiem, zaczyna być interesujące. Wiesz przynajmniej, dlaczego i po co jestem twoim synem, Zaznaczam, że twój umysł jest o wiele bardziej porywczy, a ty sam jesteś nawet odrobinę bardziej niegrzeczny, w porównaniu z tym, kiedy cię widziałem po raz pierwszy, Byłem wystraszonego chłopakiem a teraz jestem mężczyzną, Nie boisz się, Nie, Ale będziesz się bał, cierpliwości, strach przychodzi zawsze, nawet do syna Boga, Masz innych, Jakich innych, Synów, Potrzebowałem tylko jednego, A ja, w jaki sposób stałem się twoim synem, Twoja matka ci nie mówiła, Moja matka wie, Wysłałem do niej anioła, żeby jej wyjaśnił, w jaki sposób wszystko przebiegło, sądziłem, że ci opowiedziała, Kiedy ten anioł był u mojej matki, Daj mi pomyśleć, jeżeli nie mylę się w obliczeniach, było to po twoim drugim wyjściu z domu i przed tamtą historią z winem w Kanie, A zatem moja matka wiedziała i nic mi nie powiedziała, mówiłem jej, że widziałem cię na pustyni, lecz nie uwierzyła, a przecież musiała uwierzyć po tym, jak objawił jej się anioł, a ona nie chciała tego przy mnie uznać, Powinieneś wiedzieć, jakie są kobiety, o ile wiem, żyjesz z jedną, już one mają swoje czułe punkty i swoje skrupuły, Jakie czułe punkty, jakie skrupuły, Widzisz, zmieszałem moje nasienie z nasieniem twojego ojca przed twoim poczęciem, była to najłatwiejsza metoda, najmniej rzucająca się w oczy, Skoro nasienie zostało zmieszane, skąd możesz mieć pewność, że to ja jestem twoim synem, To prawda, na ogół w tych sprawach rozsądek podpowiada, aby nie mieć pewności, zwłaszcza całkowitej, ale ja ją mam, na coś mi się przydaje to, że jestem Bogiem, Dlaczego chciałeś mieć syna, Skoro nie miałem żadnego w niebie, musiałem się postarać o jakiegoś na ziemi, to nic oryginalnego, nawet w religiach z bogami i boginiami, którzy mogli mieć ze sobą dzieci, spotykano się z sytuacjami, gdy któreś z nich schodziło na ziemię, dla odmiany jak sądzę, poprawiając tym samym pewną część rodzaju ludzkiego i tworząc bohaterów tudzież inne zjawiska, A ten syn, którym jestem, do czego ci był potrzebny, Na pewno nie dla odmiany, nawet nie warto tego podkreślać, Więc do czego, Potrzebowałem kogoś, kto pomógłby mi tu na ziemi, Skoro jesteś Bogiem, nie powinieneś potrzebować pomocy, To jest ta druga sprawa.

W ciszy, która następnie zapadła, dało się słyszeć pośród mgły, jednak bez możliwości dokładnego określenia kierunku, hałas powodowany przez kogoś, kto zbliżał się, płynąc wpływ i ciężko przy tym sapiąc, co skłaniało do przypuszczenia, że albo nie należy do grona mistrzów pływania albo jest już u kresu sił. Jezus odniósł wrażenie, że Bóg się uśmiechnął i

że celowo przedłuża tę przerwę, aby poczekać na pojawienie się pływaka w wolnym od mgły kręgu, którego środek stanowiła łódź. Nieoczekiwanie wyłoniła się po prawej burcie, kiedy już można było mówić, że nastąpi to z drugiej strony, ciemna i ledwie zarysowana plama, którą Jezus wziął najpierw za świnię z uszami sterzącymi ponad wodą, jednak po kilku kolejnych wyrzutach ramion widział już w niej człowieka albo coś, co pod każdym względem człowieka przypominało. Bóg obrócił głowę w stronę pływaka z rzeczywistym zainteresowaniem, jak gdyby chcąc dodać mu animuszu w tym ostatnim wysiłku, a gest ten, chyba dlatego, że pochodził właśnie od niego, przyniósł natychmiastowy efekt, ostatnie wyrzuty ramion były szybkie i skoordynowane, nie było nawet znać, że przybysz pokonał tak dużą odległość, to znaczy od brzegu. Dłonie złapały za krawędź burty, podczas gdy głowa była jeszcze do połowy zanurzona w wodzie, były to dłonie szerokie i mocarne, miały grube paznokcie, takie dłonie musiały należeć do ciała, które tak jak w wypadku Boga było wysokie, potężne i stare. Łódź zachwiała się od szarpnięcia, najpierw z wody wyszła głowa, po niej ociekający jak katarakta tułów, a za nim nogi, był to lewiatan wynurzający się z najgłębszych otchłani, był to, jak się w końcu po tych wszystkich latach okazało, Pasterz, który oznajmił, Oto jestem i ja, po czym zaczął sadzić się na burcie, dokładnie w takiej samej odległości od Jezusa i od Boga, aczkolwiek zaistniała szczególna okoliczność, bowiem łódź tym razem nie przechyliła się w jego stronę, jak gdyby Pasterz postanowił uwolnić się od swego własnego ciężaru albo uległ zjawisku lewitacji. Oto jestem, powtórzył, mam nadzieję, że jeszcze zdążę wziąć udział w rozmowie, Rozmawiamy już dość długo, ale jeszcze nie wzięliśmy się za to, co najistotniejsze, rzekł Bóg, po czym zwrócił się do Jezusa, To jest Diabeł, o którym niedawno mówiliśmy. Jezus spojrział na jednego, spojrział na drugiego i zauważył, że wyglądają jak bliźniacy, Boga odróżniała tylko broda, Diabeł wydawał się młodszy, to pewne, miał mniej zmarszczek, lecz było to chyba złudzenie optyczne albo błąd przez niego samego spowodowany. Rzekł Jezus, Wiem, kim jest, przez cztery lata żyłem w jego towarzystwie, wówczas zwał się Pasterzem, a Bóg odpowiedział, Musiałeś z kimś żyć, ze mną było to niemożliwe, z rodziną nie chciałeś, pozostał tylko Diabeł, Czy to on po mnie przyszedł, czy też ja zostałem do niego wysłany przez ciebie, Ściśle rzecz biorąc, nie było, ani tak ani tak, powiedzmy, że obaj uzgodniliśmy, że w twoim wypadku takie rozwiązanie jest najlepsze, Dlatego on wiedział, co mówi, kiedy ustami opętanego Gadareńczyka nazywał mnie twoim synem, Nie inaczej, To znaczy, że zostałem oszukany przez obydwu, Jak to zawsze się dzieje z ludźmi, Powiedziałeś, że nie jestem człowiekiem, I podtrzymuję to, możemy powiedzieć, jakiego by tu użyć technicznego terminu, możemy powiedzieć, że się wcieliłeś, A teraz, czego ode mnie chcecie, To ja chcę, a nie on, Jesteście tutaj we dwóch,

zauważyłem już, że jego przybycie nie było dla ciebie zaskoczeniem, a więc oczekiwałeś go, Niezupełnie, choć w zasadzie zawsze należy się liczyć z Diabłem, Ale skoro sprawa, którą mamy omówić, ty i ja, dotyczy tylko nas, to po co on tu przyszedł, dlaczego nie każesz mu odejść, Odprawić można prosty ludek, na który Diabeł ma baczenie, jeżeli stanie się niewygodny z uwagi na swe słowa albo czyny, ale nie samego Diabła, Zatem przybył dlatego, że i on ma tutaj coś do powiedzenia, Mój synu, nie zapominaj tego, co ci powiem, wszystko co interesuje Boga, interesuje Diabła. Pasterz, którego od czasu do czasu będziemy tak nazywać, aby nie wymawiać za każdym razem imienia Nieprzyjaciela, słyszał rozmowę, lecz zdawał się nie zwracać na nią uwagi, jak gdyby to nie o nim rozmawiano, na pozór przecząc w ten sposób ostatniemu i fundamentalnemu stwierdzeniu Boga. Rychło jednak się wydało, że ten brak uwagi był udawany, bo gdy tylko Jezus powiedział, Pomówmy teraz o drugiej sprawie, Diabeł wzmógł czujność. Mimo to z jego ust nie wyszło żadne słowo.

Bóg westchnął głęboko, popatrzył wokół i wyszeptał tonem kogoś, kto właśnie dokonał ciekawego i niespodziewanego odkrycia, O tym nie pomyślałem, tutaj jest jak na pustyni. Zwrócił oczy w stronę Jezusa i po długiej pauzie, pogodzony z nieuniknioną koniecznością, rozpoczął, Niezadowolone, mój synu, zostało umieszczone w sercach ludzi przez Boga, który ich stworzył, rzecz jasna mówię o sobie, lecz to niezadowolenie, tak jak wszystko inne, co uczyniłem na mój obraz i podobieństwo, wzięłem stamtąd, gdzie się znajdowało, z mojego własnego serca, zaś czas, który upłynął od tamtej chwili, nie rozwiązał go, wręcz przeciwnie, mogę ci powiedzieć, że z upływem czasu stało się silniejsze, żywsze i bardziej naglące. Bóg przerwał na chwilę, jak gdyby chciał ocenić efekt wywołany przez to wprowadzenie, po czym ciągnął dalej, Od czterech tysięcy i czterech lat jestem Bogiem Żydów, ludzi z natury konfliktowych i skomplikowanych, z którymi jednak, sporządziwszy bilans naszych stosunków, mogę to stwierdzić, nie układa mi się najgorzej, zważywszy, że biorą mnie poważnie i wytrzymają w tym tak długo, jak moje spojrzenie sięga w przyszłość, Jesteś więc zadowolony, rzekł Jezus, Jestem i nie jestem, albo lepiej, byłbym, gdyby nie to moje niespokojne serce, które codziennie mi mówi, Tak tak, pięknego losu dostąpiłeś po czterech tysiącach lat pracy i zmartwień, których ofiary na ołtarzach, choćby były bardzo obfite i urozmaicone, nigdy nie spłacą, wciąż jesteś Bogiem malutkiego narodu żyjącego na niewielkim skrawku świata, który wraz ze wszystkim, co jest nad nim, ty stworzyłeś, powiedz mi, mój synu, czy mogę być zadowolony, mając codziennie przed oczami tak hańbiącą oczywistość, Nie stworzyłem żadnego świata, nie mogę się wypowiadać, stwierdził Jezus, Pewnie, że się nie możesz wypowiadać, ale pomoc możesz, W czym, W rozszerzeniu moich wpływów tak, bym był Bogiem dla większych rzesz ludzi, Nie rozumiem, Jeżeli dobrze

spełnisz swoją rolę, to znaczy rolę, którą dla ciebie zaplanowałem, jestem absolutnie pewien, że w ciągu kilku wieków, choć i ja, i ty będziemy musieli walczyć z wieloma przeciwnościami, stanę się Bogiem Hebrajczyków i Bogiem tych, których z grecka nazwiemy katolikami, Jaka rolę dla mnie przeznaczyłeś w twoim planie, Męczennika, mój synu, ofiary, bo tak najlepiej będzie się krzewić i podsycać wiarę. Obydwa słowa, męczennik, ofiara, wyszły z ust Boga tak, jakby jego język był z mleka i miodu, ale Jezus poczuł, że jego członki lodowacieją, w tym samym czasie Diabeł spoglądał na niego z zagadkowym wyrazem, będącym mieszanką naukowego zainteresowania i mimowolnej litości. Powiedziałeś, że mi dasz władzę i chwałę, wyjąkał Jezus, nadal drżąc z zimna, I dam, i dam, ale pamiętaj o naszej umowie, będziesz je miał, lecz dopiero po śmierci, Na co mi się zdadzą władza i chwała, jeśli umrę, No cóż, nie umrzesz w dosłownym znaczeniu, bo przecież jesteś moim synem i będziesz ze mną albo we mnie, jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji, W tym znaczeniu, o którym mówisz, dlaczego nie umrę, Zobaczysz na przykład, jak na zawsze już będą cię wielbić w świątyniach i na ołtarzach, do tego stopnia, mogę cię już otym uprzedzić, że w przyszłości ludzie mniej będą pamiętać o pierwotnym Bogu, którym jestem, ale to nie jest istotne, mając dużo, można się dzielić, mając mało, raczej nie. Jezus spojrzał na Pasterza, zobaczył jego uśmiech i zrozumiał, Teraz już pojmuję, dlaczego jest tutaj Diabeł, jeżeli twoja potęga rozciągnie się na więcej narodów i na więcej krajów, również jego władza nad ludźmi musi się rozciągnąć, albowiem twoje granice są ni mniej ni więcej tylko jego granicami, Masz całkowitą rację, mój synu, cieszy mnie twoja przenikliwość, dowodem na to wszystko jest nigdy nie dostrzegany fakt, że demony jednej religii w ogóle nie mogą działać w innej religii, zaś jeden bóg, zakładając, że doszłoby do bezpośredniego starcia pomiędzy nim i drugim bogiem, nie może go zwyciężyć ani mu ulec, A jaka będzie moja śmierć, Męczennikowi przystoi śmierć bolesna i jeśli to możliwe, haniebna, po to, by w postawach wiernych było więcej wrażliwości, uczucia i zapału, Mów bez ogródek, jaka będzie moja śmierć, Bolesna, haniebna, na krzyżu, Taka jak mojego ojca, Ja jestem twoim ojcem, nie zapominaj, Jeżeli jeszcze mogę wybrać ojca, wybieram tamtego, mimo że w jego życiu była haniebna godzina, Zostałeś wybrany, nie możesz wybierać, Zrywam umowę, odłączam się od ciebie, chcę żyć jak normalny człowiek, Daremne słowa, mój synu, jeszcze nie zrozumiałeś, że jesteś w mojej władzy i że te wszystkie opieczętowane dokumenty, nazywane przez nas umowami, paktami, traktatami, układami i przymierzami, w których ja figuruję jako strona, mogłyby, przyczyniając się do mniejszego zużycia atramentu i papieru, zawierać jedną tylko klauzulę pozbawioną kwiecistości i głoszącą, że Wszystko o czym stanowi prawo Boskie, jest przymusowe, wyjątki również, zatem ty, mój synu, będąc słusznym i wybitnym wyjątkiem,

również podlegasz przymusowi, który tak samo jak to prawo ja stworzyłem, Lecz mając władzę, jaką tylko ty masz, sam mógłbyś iść na podbój tych krajów i tych ludzi, byłoby to chyba łatwiejsze i czystsze pod względem etycznym, Tak być nie może, nie dopuszcza do tego nienaruszalny pakt zawarty przez bogów, na mocy którego nie mogą oni bezpośrednio mieszać się do konfliktów, czy wyobrażasz sobie mnie stojącego na jakimś publicznym placu w otoczeniu pogan i niewiernych i usiłującego przekonać ich, że wyznawany przez nich bóg jest oszustem i że prawdziwym bogiem jestem ja, takich rzeczy jeden bóg nie robi drugiemu, a ponadto żaden bóg nie ma ochoty, żeby w jego domu robiono to, czego on nie zrobiłby w domu innych, Zatem poczego nie umrę, Zobaczysz na przykład, jak na zawsze już będą cię wielbić w świątyniach i na ołtarzach, do tego stopnia, mogę cię już otym uprzedzić, że w przyszłości ludzie mniej będą pamiętać o pierwotnym Bogu, którym jestem, ale to nie jest istotne, mając dużo, można się dzielić, mając mało, raczej nie. Jezus spojrzał na Pasterza, zobaczył jego uśmiech i zrozumiał, Teraz już pojmuję, dlaczego jest tutaj Diabeł, jeżeli twoja potęga rozciągnie się na więcej narodów i na więcej krajów, również jego władza nad ludźmi musi się rozciągnąć, albowiem twoje granice są ni mniej ni więcej tylko jego granicami, Masz całkowitą rację, mój synu, cieszy mnie twoja przenikliwość, dowodem na to wszystko jest nigdy nie dostrzegany fakt, że demony jednej religii w ogóle nie mogą działać w innej religii, zaś jeden bóg, zakładając, że doszłoby do bezpośredniego starcia pomiędzy nim i drugim bogiem, nie może go zwyciężyć ani mu ulec, A jaka będzie moja śmierć, Męczennikowi przystoi śmierć bolesna i jeśli to możliwe, haniebna, po to, by w postawach wiernych było więcej wrażliwości, uczucia i zapału, Mów bez ogródek, jaka będzie moja śmierć, Bolesna, haniebna, na krzyżu, Taka jak mego ojca, Ja jestem twoim ojcem, nie zapominaj, Jeżeli jeszcze mogę wybrać ojca, wybieram tamtego, mimo że w jego życiu była haniebna godzina, Zostałeś wybrany, nie możesz wybierać, Zrywam umowę, odłączam się od ciebie, chcę żyć jak normalny człowiek, Daremne słowa, mój synu, jeszcze nie rozumiałeś, że jesteś w mojej władzy i że te wszystkie opieczętowane dokumenty, nazywane przez nas umowami, paktami, traktatami, układami i przymierzami, w których ja figuruję jako strona, mogłyby, przyczyniając się do mniejszego zużycia atramentu i papieru, zawierać jedną tylko klauzulę pozbawioną kwiecistości i głoszącą, że Wszystko o czym stanowi prawo Boskie, jest przymusowe, wyjątki również, zatem ty, mój synu, będąc słusznym i wybitnym wyjątkiem, również podlegasz przymusowi, który tak samo jak to prawo ja stworzyłem, Lecz mając władzę, jaką tylko ty masz, sam mógłbyś iść na podbój tych krajów i tych ludzi, byłoby to chyba łatwiejsze i czystsze pod względem etycznym, Tak być nie może, nie dopuszcza do tego nienaruszalny pakt zawarty przez bogów, na mocy którego nie mogą oni bezpośrednio

mieszać się do konfliktów, czy wyobrażasz sobie mnie stojącego na jakimś publicznym placu w otoczeniu pogan i niewiernych i usiłującego przekonać ich, że wyznawany przez nich bóg jest oszustem i że prawdziwym bogiem jestem ja, takich rzeczy jeden bóg nie robi drugiemu, a ponadto żaden bóg nie ma ochoty, żeby w jego domu robiono to, czego on nie zrobiłby w domu innych, Zatem posługujecie się ludźmi, Tak, mój synu, człowiek jest jak kawałek drewna, z którego można zrobić każdą łyżkę, od urodzenia aż do śmierci gotów jest do posłuszeństwa, posyła się go dokądś i idzie tam, każe mu się przystanąć i przystaje, ogólnie rzecz biorąc, człowiek, zarówno w czasie pokoju, jak i wojny, jest dla bogów najlepszym rozwiązaniem, Skoro więc jestem człowiekiem i kawałkiem drewna, to jaka łyżka zostanie z niego zrobiona, skoro jestem także twoim synem, Będziesz łyżką, którą zanurzę w ludzkości i napelnę ludźmi, którzy uwierzą w nowego boga, jakim się stanę, Będzie pełna ludzi, abys mógł ich pożreć, Nie muszę pożerać kogoś, kto sam siebie pożre.

Jezus włożył wiosła do wody i rzekł, Do widzenia, płynę do domu, wróćcie tą samą drogą, którą przybyliście, ty wpław, a ty, skoro pojawiłeś się nie wiadomo jak, zniknij nie wiadomo jak. Ani Bóg, ani Diabeł nie ruszyli się z miejsca, a Jezus dodał z ironią, Co, wolicie wracać łodzią, pewnie że tak jest lepiej, zabiorę was na brzeg, żeby wszyscy mogli wreszcie popatrzeć na Boga i Diabła we własnych postaciach i zobaczyć jak dobrze się rozumieją i jak bardzo są do siebie podobni. Jezus obrócił łódź, kierując ją w stronę brzegu, z którego przybył, po czym zaczął mocno wiosłować i wpłynął we mgłę tak gęstą, że natychmiast przestało się dostrzegać sylwetki Boga i Diabła. Ożywił się i poweselał, nabierając nadzwyczajnego wigoru, ze swojego miejsca nie widział dziobu, ale czuł, jak się unosi za każdym uderzeniem wiosła na podobieństwo końskiego łba podczas wyścigu, łba który w każdej chwili zdaje się odrywać od ciężkiego ciała, lecz musi zrezygnować i ciągnąć je aż do końca. Jezus wiosłował, wiosłował, brzeg powinien być już blisko, pyta samego siebie, jak zachowają się ludzie, kiedy im powie, Ten z brodą to Bóg, a ten drugi to Diabeł. Jezus rzucił okiem do tyłu, tam gdzie było wybrzeże, dostrzegł jakąś inną jasność i oznajmił, Oto jesteśmy, wiosłując dalej. Spodziewał się, że w każdej chwili może usłyszeć odgłos łagodnego szorowania dna łodzi o gęsty przybrzeżny muł i radosne tarcie małych kamyków, jednak dziób, którego nie widział, wycelowany był na środek jeziora, natomiast jeśli chodzi o dostrzeżone przez niego światło, na powrót pochodziło ono ze świetlistego magicznego kręgu, z błyskającej pułapki, od której Jezus, wbrew swym wyobrażeniom, wcale nie uciekł. Wyczerpany, zwiesił głowę, oparł ramiona na kolanach, krzyżując przeguby, jak gdyby czekał, że ktoś je zwiąże, i nawet nie pomyślał owciągnięciu wiosła do łodzi, albowiem świadomość bezużyteczności jakiegokolwiek gestu objęła go swym władczym i

bezwartkowym charakterem. Nie przemówił pierwszy, nie przyznał się głośno do porażki, nie poprosił o wybaczenie mu nieposłuszeństwa wobec dekretów Boga, a także, pośrednio, zamachu na interesy Diabła, naturalnego beneficjenta efektów wtórnych, ale nie drugorzędnych, woli Pana oraz zrealizowanych przezeń projektów. Cisza, która zalegała po udaremnionej próbie Jezusa, nie trwała długo, usadowiony już na swojej ławce Bóg, ułożył fałdy tuniki i szeroki kołnierz płaszcza i z fałszywym rytualnym namaszczeniem sędziego mającego ogłaszać wyrok powiedział, Zaczniemy od nowa, powróćmy do momentu, gdy powiedziałem ci, że jesteś w mojej władzy, albowiem wszystko, co nie stanowi pokornego i pokojowego uznania tej prawdy, oznacza dla ciebie stratę czasu, której i mnie powinienes oszczędzić. Zaczniemy zatem od nowa, przystał Jezus, ale przyjmij do wiadomości już teraz, że odmawiam czynienia ewentualnych cudów, a bez cudów twój projekt jest niczym, deszczem spadłym z nieba, lecz niezdolnym do ugaszenia jakiegokolwiek prawdziwego pragnienia, Miałbyś rację, gdyby to w twoich rękach była władza decydująca o tym, czy będziesz czynić cuda, czy też nie będziesz, A nie jest, Skądże znowu, cuda, te małe i te duże, zawsze są czynione przeze mnie, w twojej obecności oczywiście, dlatego żebyś mógł korzystać z dobrodziejstw tylko mnie przysługujących, w gruncie rzeczy jesteś przesądny, sądzisz, że cudotwórca musi stać u wezglowia chorego po to, by zdarzył się cud, zobacz, gdybym chciał, to człowiek umierający bez nikogo u swego boku, samotnie, w największej samotności, bez lekarza, bez pielęgniarki, bez ukochanego krewnego w zasięgu ręki albo głosu, powtarzam, gdybym chciał, to człowiek ten zostałby uratowany i żyłby dalej, jak gdyby nic się wcześniej nie stało, Dlaczego więc tak nie robisz, Bo wyobrażałby sobie, że uleczenie przyszło do niego dzięki jego osobistym zasługom i zacząłby opowiadać, Ktoś taki jak ja nie mógł umrzeć, jest już wystarczająco dużo próżności na stworzonym przeze mnie świecie, nie pozwoliłbym teraz, aby dochodziło do takich rozbieżności w opiniach, Zatem wszystkie cuda są twoje, Te które uczyniłeś i te które uczynisz, przyjmując nawet, lecz chodzi tu tylko o zwykłą hipotezę przydatną do wyjaśnienia naszej obecności tutaj, przyjmując, że wciąż trwałbyś w tym uporze skierowanym przeciwko mojej woli, że chodziłbyś po tym świecie, krzycząc, że nie jesteś synem Boga, to ja wzniecałbym na twojej drodze tyle cudów, że nie miałbyś innego rozwiązania, jak tylko poddać się tym, którzy by ci za nie dziękowali, a w konsekwencji poddać się mnie, Nie mam więc wyjścia, Żadnego, inie rób tak jak baranek, który ma być złożony w ofierze, rzuca się ijęczy, aż się serce kraje, ale jego los jest już zapisany, kapłan czeka na niego z nożem, Ja jestem tym barankiem, Ty, mój synu, jesteś barankiem Bożym, tym którego sam Bóg zabiera na swój ołtarz. To właśnie tutaj przygotowujemy.

Jezus popatrzył na Pasterza, jak gdyby od niego oczekiwał nie wsparcia, bo przecież tak bardzo różne jest jego rozumienie spraw tego świata, skoro ani nie był, ani nie jest człowiekiem, a bogiem też nie był i nie będzie, lecz jakiegoś spojrzenia, ruchu brwi mogących chociaż podsunąć mu zręczną i wymijającą odpowiedź, która wyzwoliłaby go, choć na krótki czas, z sytuacji osaczonego zwierzęcia, w jakiej się znalazł. Wszelako Jezus czyta w oczach Pasterza słowa wypowiedziane przezeń wtedy, gdy kazał mu opuścić stado, Niczego się nie nauczyłeś, idź, teraz Jezus rozumie, że nieposłuszeństwo okazane Bogu jeden raz nie wystarcza, kto nie ofiarował mu baranka, nie powinien ofiarowywać owcy, albowiem Bogu nie można powiedzieć Tak, po to by później powiedzieć Nie, tak jakby Tak i Nie były prawą i lewą ręką, a dobra praca mogłaby być wykonana tylko przez obydwie. Bóg, mimo zwyczajowych pokazów swojej siły, on jest wszechświatem i gwiazdami, on jest piorunami i gromami, on jest głosem i ogniem na szczycie góry, nie miał mocy zmuszającej cię do zabicia owcy, jednak ty, powodowany ambicją, zabiłeś ją, wylana przez nią krew nie wsiąkała całkiem w pustynną ziemię, zobacz, dotarła do nas, to ta czerwona smużka na wodzie, która, kiedy stąd odejdziemy, będzie szła naszym śladem, twoim, Boga i moim. Jezus rzekł do Boga, Ogłoszę ludziom, że jestem twoim synem, jedynym synem Boga, lecz nie wierzę, by nawet na tych, będących przecież twoimi, ziemiach, wystarczyło to do rozszerzenia twego imperium, tak jak tego pragniesz, Uznaję cię, mój synu, oto porzuciłeś twe zachcianki i nie opierasz się już, wiedz, że o mało mnie to nie rozdrażniło, wchodzisz więc na własnych nogach w ów modus faciendi, a poza tym, pomiędzy niezliczonymi rzeczami, które można ludziom powiedzieć niezależnie od ich rasy, koloru skóry, wyznania czy filozofii, jedna tylko dotyczy wszystkich, tylko jedna, otóż żaden z tych ludzi, ani mędrzec ani ignorant, ani starzec ani młodzieniec, ani biedak ani bogacz, nie ośmieliłby się odpowiedzieć ci, To co mówisz, nie obchodzi mnie, O co chodzi, zapytał Jezus, nie kryjąc już zainteresowania, Każdy człowiek, odpowiedział Bóg tonem kogoś, kto udziela lekcji, kimkolwiek by był, gdziekolwiek by przebywał, cokolwiek by robił, jest grzesznikiem, grzech, można by rzec, jest nierozzerwalnie związany z człowiekiem, tak samo jak człowiek stał się nierozzerwalnie związany z grzechem, człowiek jest monetą, odwracasz ją i widzisz grzech, Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Owszem, odpowiadam, i w ten sposób jedynym słowem, którego człowiek nie może odrzucić jako nie swojej rzeczy, jest Żałuj, ponieważ wszyscy ludzie popadli w grzech, choćby to był tylko jeden raz, mieli złe myśli, naruszyli zwyczaj, popełnili zbrodnię mniejszą lub większą, gardzili tymi, którzy ich potrzebowali, nie dopełnili obowiązków, obrazili religię i kapłanów, wyparli się Boga, tym ludziom będziesz miał do powiedzenia tylko Żałujcie Żałujcie Żałujcie, Nie musisz więc poświęcać życia tego, kto, jak mówisz, jest twoim synem, wystarczy byś

doprowadził do pojawienia się jakiegoś proroka, Czasy, gdy ich słuchano, już minęły, dziś musimy spowodować silne podrażnienie, zastosować coś, co wstrząśnie wrażliwością i poruszy uczucia, Syn Boga na krzyżu, Na przykład, I co jeszcze będę miał do powiedzenia tym ludziom poza wymuszeniem w nich wątpliwego żalu, jeżeli obojętni wobec twego przesłania, odwrócą się do mnie plecami, Otóż to, nie sądzę, by wystarczyło tylko wzbudzenie ich żalu, będziesz musiał odwołać się do wyobraźni, nie mów, że jej nie masz, jeszcze dziś budzi mój podziw sposób, w jaki udało ci się uniknąć ofiarowania mi baranka, Było to łatwe, zwierzę nie musiało niczego żałować, Dowcipna odpowiedź, jednak pozbawiona sensu, lecz jak dotąd wszystko idzie dobrze, trzeba zostawić ludzi niespokojnych, wątpliwych, sprawić, by myśleli, że nie mogą niczego zrozumieć, tylko oni są winni, Powinienem więc opowiadać im historie, Tak, historie, przypowieści, podsuwać moralne wzorce, nawet gdybyś musiał nieco obejść prawo, nie przejmuj się, jest to śmiałość, którą osoby lękliwe zawsze podziwiają u innych, nawet mnie, lecz nie dlatego, że jestem lękliwy, podobał się sposób, w jaki uratowałeś od śmierci cudzołożnicę, zwróć uwagę, jak wiele to oznacza w moich ustach, bo przecież ja sam nakazałem wymierzanie takiej sprawiedliwości w danym wam prawie, Pozwalasz, żeby obalano twoje prawa, zły to znak, Pozwalam na to, kiedy mam z tego pożytek, i chcę, kiedy jest to korzystne, przypomnij sobie, co ci mówiłem o prawie i wyjątkach, moja wola czegoś chce i natychmiast staje się to przymusem, Umrę na krzyżu, powiedziałaś, Taka jest moja wola. Jezus rzucił okiem na Pasterza, lecz jego twarz wydawała się nieobecna, jak gdyby rozmyślał o czymś, co zdarzy się w przyszłości i nie chciało mu się wierzyć w to, co widzi. Jezus opuścił ręce i powiedział, Niech mi się stanie, wedle twej woli.

Bóg miał już wyrazić swą radość, podnieść się z ławki, aby uściskać kochanego syna, kiedy Jezus powstrzymał go zdecydowanym gestem, Ale pod jednym warunkiem, Dobrze wiesz, że nie możesz stawiać warunków, odpowiedział Bóg zmartwionym głosem, Nie nazywajmy tego warunkiem, nazwijmy to prośbą, zwykłą prośbą kogoś skazanego na śmierć, Słucham, Ty jesteś Bogiem, a Bóg może udzielać tylko prawdziwych odpowiedzi na każde zadane mu pytanie, będąc Bogiem zna się cały czas przeszły, znajdujące się pośrodku dzisiejsze życie oraz cały czas przyszły, Tak jest, ja jestem czasem, prawdą i życiem, A więc powiedz mi, w imię wszystkiego, czym jak mówisz, jesteś, jak będzie wyglądała przyszłość po mojej śmierci, co w niej będzie takiego, czego nie byłoby, gdybym nie zgodził się na ofiarowanie siebie dla zadośćuczynienia twojemu niezadowoleniu i twojemu pragnieniu panowania nad większą liczbą państw i narodów. Bóg zachnął się jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę, że uwięziono go w sieci jego własnych słów i bez przekonania wymijająco odparł,

Widzisz, mój synu, przyszłość jest ogromna, opowiedzenie przyszłości zabrałoby dużo czasu, Jak długo już przebywamy na środku tego jeziora otoczeni przez mgłę, zapytał Jezus, dzień, miesiąc, rok, i co z tego, pozostaniemy przez kolejny rok, kolejny miesiąc, kolejny dzień, Diabeł niech sobie idzie, jeśli chce, tak czy owak ma już zagwarantowaną swoją część, a jeżeli korzyści będą proporcjonalne, bo tak jest chyba sprawiedliwie, im bardziej urośnie Bóg, tym bardziej urośnie Diabeł, Zostaję, rzekł Pasterz, było to jego pierwsze słowo od chwili, gdy obwieścił swe przybycie, Zostaję, powtórzył, po czym dodał, Ja sam mogę zobaczyć pewne rzeczy w przyszłości, jednakże nie zawsze potrafię rozstrzygnąć, czy to co widzę, jest prawdą czy kłamstwem, to znaczy, moje kłamstwa widzę jak moje prawdy, ale nigdy nie wiem, do jakiego stopnia prawdy innych są ich kłamstwami. Ta labiryntowa tyrada wymagała odpowiedniego zakończenia polegającego na dopowiedzeniu przez Pasterza, jakież to rzeczy z przyszłości widział, ale jego usta gwałtownie się zamknęły, gdyż zapewne zorientował się, że powiedział za dużo. Jezus, który nie odrywał oczu od Boga, rzekł z odcieniem smutnej ironii, Po co udawać, że nie wiesz tego, co wiesz, wiedziałeś przecież, że zwrócę się do ciebie z tą prośbą, wiesz, że powiesz mi to, co chcę wiedzieć, dlatego nie odwlekaj dłużej godziny mego umierania, Zacząłeś umierać już od urodzenia, Zaiste, lecz teraz potoczy się to szybciej. Bóg spojrział na Jezusa z wyrazem niespodziewanego szacunku, tak w każdym razie byśmy powiedzieli, jego zachowanie i postawa nabrały bardziej ludzkiego wymiaru i jakkolwiek wydaje się, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego, to przecież my nigdy nie poznamy głębokich więzi istniejących pomiędzy wszystkimi rzeczami i czynami, na pewno jednak mgła podeszła bliżej łodzi i otoczyła ją jak mur nie do przebycia, aby nie wyszły stamtąd i nie rozpowszechniły się na świecie słowa Boga o efektach, wynikach oraz konsekwencjach ofiary z tego Jezusa, jego syna, jak mówi, a także Marii, lecz którego prawdziwym ojcem jest Józef, bo tak mówi niepisane prawo nakazujące wierzyć tylko w to, co widać, chociaż, jak już wiadomo, my, ludzie, nie powinniśmy zawsze spoglądać tak samo na te same rzeczy, co wszelako okazuje się znakomicie wpływać na podtrzymywanie życia i względnego zdrowia umysłowego gatunku.

Rzekł Bóg, Będzie Kościół, co, jak wiesz, oznacza zgromadzenie, stowarzyszenie religijne, które ty założysz lub w twoim imieniu zostanie założone, i Kościół ten rozprzestrzeni się po całym świecie aż po jego nie poznane jeszcze krańce, nazwany zostanie katolickim, ponieważ będzie powszechny, choć niestety, nie uniknie się sprzeczek iniesnasek pomiędzy tymi, dla których będziesz duchowym odniesieniem, ważniejszym niż ja sam, jak już ci mówiłem, lecz będzie tak tylko przez jakiś czas, parę tysięcy lat, albowiem ja byłem przed tym, jak ty byłeś i zawsze będę po tym, jak ty przestaniesz być tym, czym jesteś i czym

będziesz, Mów jasno, przerwał Jezus, To niemożliwe, stwierdził Bóg, słowa ludzi są jak cienie, a cienie nigdy by nie potrafiły wytłumaczyć światła, pomiędzy nimi i światłem istnieje matowe ciało, które każe im się rodzić, Zapytałem cię o przyszłość, Właśnie o przyszłości mówię, Chcę, abys mi powiedział, jak będą żyli ludzie, którzy po mnie nadejdą, Masz na myśli tych, co będą szli za tobą, Tak, czy będą przez to szczęśliwsi, Szczęśliwsi, co to znaczy, szczęśliwsi, tego bym nie powiedział, lecz będą mieli nadzieję na szczęście w niebie, gdzie ja żyję wiecznie, a tym samym nadzieję na wieczne życie ze mną. Nic więcej, Życie z Bogiem to według ciebie mało, Mało, dużo lub wszystko, okaże się to dopiero po Sądzie Ostatecznym, kiedy osądzisz ludzi za dobro i zło, które uczynili, teraz zaś żyjesz w niebie sam, Mam moich aniołów i moich archaniołów, Brakuje ci ludzi, Brakuje, ale żeby do mnie przyszli, ty musisz zostać ukrzyżowany, Chcę wiedzieć więcej, nieomal wybuchnął Jezus, jak gdyby chcąc odsunąć od siebie obraz samego siebie, który mu stanął przed oczami, wiszącego na krzyżu, zakrwawionego, martwego, Chcę wiedzieć, jak ludzie zaczną we mnie wierzyć i iść za mną, nie mów, że wystarczy to, co im powiem, nie mów, że dość będzie tego, co w moim imieniu powiedzą po mnie ci, którzy już we mnie będą wierzyć, dam ci przykład, poganie i Rzymianie mają przecież innych bogów, czy chcesz mi powiedzieć, że zamienią ich ot tak sobie na mnie, Nie na ciebie, a na mnie, Na ciebie, czy na mnie, ty sam mówisz, że to wszystko jedno, nie uprawiajmy słownych gier, odpowiedz na moje pytanie, Kto będzie miał wiarę, przyjdzie do nas, Tak bez niczego, tak po prostu, jak to powiedziałaś, Inni bogowie będą stawiać opór, A ty z pewnością będziesz walczył przeciwko nim, Cóż za bzdura, wszystko co się dzieje, na ziemi się dzieje, niebo jest wieczne i pokojowe, ludzkie przeznaczenie wypełniane jest przez ludzi tam, gdzie oni są, Stawiając sprawę jasno, choć słowa są cieniami, ludzie będą umierać za mnie i za ciebie, Ludzie zawsze umierali za bogów, nawet za tych fałszywych i kłamliwych, Czy bogowie mogą kłamać, Oni mogą, A ty jesteś jedynym i najprawdziwszym ze wszystkich, Tak, jedynym i najprawdziwszym, Skoro więc jesteś jedynym i najprawdziwszym, to nie możesz uniknąć tego, by ludzie za ciebie umierali, oni, którzy powinni rodzić się, aby dla ciebie żyć na ziemi, to znaczy, nie w niebie, gdzie nie będziesz mógł ich obdarzyć żadną z życiowych radości, Fałszywych radości, bo przecież narodziły się one wraz z grzechem pierworodnym, zapytaj twojego Pasterza, już on ci powie, jak to było, Jeżeli są jakieś tajemnice, których nie dzielisz z Diabłem, mam nadzieję, że jedną z nich jest to, czego nauczyłem się u niego, nawet jeśli on powie, że nie nauczyłem się niczego. Zapadła cisza, Bóg i Diabeł po raz pierwszy spojrzeli po sobie, obydwoj stwarzali wrażenie, że chcą coś powiedzieć, ale w końcu nie doszło do tego. Przemówił Jezus, Czekał, Na co, zapytał Bóg z roztargnieniem, Na to, że mi powiesz, ile cierpienia i ludzkich istnień

kosztować będzie twoje zwycięstwo nad innymi bogami, jak wielkim cierpieniem i jak wielką liczbą istnień trzeba będzie okupić walki, które w twoim i w moim imieniu stoczą pomiędzy sobą wierzący w nas ludzie, Tak bardzo nalegasz, Nalegam, No dobrze, wzniesione zostanie zgromadzenie, o którym ci mówiłem, lecz wykopy, aby były solidne, muszą zostać wykonane w ludzkim mięsie, zaś na fundamenty mają się składać wyrzeczenia, łzy, bóle, tortury i wszystkie metody zadawania śmierci wyobrażalne dziś oraz wymyślone w przyszłości, Wreszcie mówisz jasno i bezpośrednio, kontynuuj, Zaczniemy od tych, których znasz i kochasz, rybak Szymon, którego nazwiesz Piotrem, tak jak i ty zostanie ukrzyżowany, lecz z głową w dół, również Andrzej znajdzie śmierć na krzyżu, ale w kształcie litery X, syna Zebedusza, tego zwanego Jakubem, zetną mieczem, A Jan, a Maria z Magdali, Ci umrą swoją naturalną śmiercią, kiedy samorzutnie dobiegną kresu ich dni, lecz będziesz miał też innych przyjaciół, uczniów i apostołów takich jak ci, którym nie uda się uniknąć tortur, tak na przykład będzie z Filipem, przywiązany do krzyża i kamienowanym aż do zgaśnięcia w nim życia, z Bartłomiejem, żywcem obdartym ze skóry, z Tomaszem, zabitym włócznią, z Mateuszem, którego śmierci teraz sobie nie przypominam, z innym Szymonem, przepiłowanym wpół, z Judaszem zatłuczonym maczugą, z innym Jakubem, ukamienowanym, z Maciejem, ściętym, i z Judaszem Iskariotą, którego sam poznasz lepiej ode mnie, ‘ śmierć, własnoręcznie się powiesi na drzewie figowym, będą musieli umrzeć z twojego powodu, zapytał Jezus, Jeśli takie jest twoje podejście do sprawy, masz rację, wszyscy umrą z mojego powodu, A później, Później, mój synu, już ci przecież mówiłem, będzie nie kończąca się historia żelaza i krwi, ognia i popiołu, bezgraniczne morze łez i cierpienia, Opowiadaj, chcę wiedzieć wszystko. Bóg westchnął i jednostajnym głosem świadczącym, że chce uspić litość i miłosierdzie, rozpoczął litanie w porządku alfabetycznym, aby uniknąć drażliwych kwestii dotyczących pierwszeństwa, Adalbert z Pragi przeszyty włócznią o siedmiu grotach, Adrian, zatłuczony młotem na kowadle, Afra z Augsburga, spalona na stosie, Agapit z Palestriny, spalony na stosie, powieszony za nogi, Agnieszka z Rzymu, zabita przez wyprucie wnętrzości, Agrikoła z Bolonii, ukrzyżowany i przebity gwoździami, Agata z Sycylii, której odcięto piersi, Anastazja z Sirmium, spalona na stosie z odciętymi piersiami, Anastazy z Salony, powieszony, a potem pozbawiony głowy, Antoni z Rivoli ukamienowany i spalony, Antonin z Pamiers zabity przez poćwiartowanie, Anzelm ze Sjeny zabity przez wyrwanie wnętrzości, Apolinary z Rawenny, zatłuczony maczugą, Apolonia z Aleksandrii spalona na stosie po wyrwaniu jej zębów, Augusta z Treviso ścięta i spalona, Aura z Ostii utopiona z kamieniem młyńskim przywiązany do szyi, Aurea z Syrii, posadzona na krześle nabijanym gwoździami, śmierć przez wykrwawienie,

Auta, przeszyta strzałami, Babilas z Antiochii, święty, Barbara z Nikomedii, święta, Barnaba z Cypru, święty i spalony, Beatrycza z Rzymu, uduszona, Benignus z Dijon, przeszyty włócznią, Blandyna z Lyonu, zakłuta rogami dzikiego byka, Błażej z Sebasty, święty, Bogumiła z Ghistelles, uduszona, Cecylia z Rzymu, święta, Cyprian z Kartaginy, święty, Cyrus z Tarsu, jako dziecko zabity przez sędziego, który go zepchnął ze schodów sądu, dochodząc do końca litery C, Bóg powiedział, Dalej wszystko wygląda tak samo, albo prawie tak samo, poza szczegółami niewiele już się zmienia, a z uwagi na ich wymyślność, tłumaczenie zajęłoby dużo czasu, Kontynuuj, rzekł Jezus, zaś Bóg kontynuował, skracając, gdzie się dało, Donat z Arezzo, święty, Elfeg z Canterbury, zabity ciosami kości wołu, Elyf z Rampillon, zabity przez rozplatanie czaszki, Emeryta, spalona, Emil z Trevi, święty, Esmeran z Ratzbony, przywiązany na schodach i tam zabity, Erazm z Gaety, zwany również Telmem, rozerwany kołowrotem, Eskil ze Szwecji, ukamienowany, Eufemia z Chalkedonu, przeszyta mieczem, Eulalia z Meridy, święta, Eutropiusz z Saintes, święty, Fabian, zakłuty, Felicyta i jej Siedmioro Dzieci, święci, Feliks i jego brat Adaukt, idem, Ferreol z Besançon, święty, Fidelis z Sigmaringen, maczuga nabijana kolcami, Filomena, strzały i kotwica, Firmin z Pamplony, święty, Flawia Domicela, idem, Fortunat z Evory, chyba też idem, Fruktuoz z Tarragony, spalony, Gaudenty z Francji, święty, Gelazy, idem i do tego skłuty, Gengoulph z Burgundii, rogacz, zamordowany przez kochankę żony, Gerard z Budapesztu, włócznia, Gereon z Kolonii, święty, Gerwazy i Protazy, bliźniacy, idem, Gracja z Saragossy, święta, Gracjusz z Aosty, święty, Hermenegild, topór, Hipolit, rozerwany końmi, Ignacy de Azevedo, zabity przez kalwinów, ci nie są katolikami, January z Neapolu, obcięto mu głowę po rzuceniu na pożarcie bestiom i wrzucono do pieca, Joanna d'Arc, żywcem spalona, Jan de Brito, święty, Jan Fisher, święty, Jan Nepomucen z Pragi, utopiony, Jan de Prado, zabity ciosami sztyletu w głowę, Julia z Korsyki, obcięli jej piersi a później ją ukrzyżowali, Julianna z Nikomedii, święta, Justa i Rufina z Sewilli, pierwsza łamana kołem, druga uduszona, Justyna z Antiochii, ugotowana we wrzącej smole, Just i Pasterz, ale nie ten którego tu mamy, z Alcalá de Henares, święci, Kalikst, zabity z kamieniem młyńskim uwiązany do szyi, Kasjan z Imoli, zabity sztyletem przez swych uczniów, Kastul, żywcem zakopany, Katarzyna z Aleksandrii, zabita przez obcięcie głowy, Kieran, miecz, Killian z Wuerzburga, święty, Klarus z Nantes, zabity przez obcięcie głowy, Klarus z Wiednia, zabity przez obcięcie głowy, Klemens, utopiony z kotwicą u szyi, Kryspin i Kryspinian z Soissons, zabici przez obcięcie głowy, Krystyna z Bolsano, zabita w wyniku wszystkich możliwych tortur przy użyciu kamienia młyńskiego, koła, szczypiec, strzał i węży, Kukufat z Barcelony, zabity przez wyprucie wnętrzości, Kwintyn, gwoździe w głowie i w innych częściach ciała, Kwiryń z Rouen,

rozpłatana czaszka, Kwiteria z Coimbry, własny ojciec obciął jej głowę, coś straszego, Léger d'Autun, ścięty po tym, jak mu wydarto oczy i język, Leokadia z Toledo, strącona z wysokiej skały, Liévin de Gand, wyrwali mu język i obcięli głowę, Longinus, ścięty, Ludmiła z Pragi, uduszona, Lucja z Syrakuz, ścięta po uprzednim wydlubaniu oczu, Maginus z Tarragony, ścięty przy pomocy ząbkowanego sierpa, Marnant z Kapadocji, rozpruty, Emanuel, Sabel i Izmael, Emanuel z żelaznymi gwoździami wbitymi w piersi i gwoździem przebijającym głowę na wylot, wszyscy ścięci, Małgorzata z Antiochii, pochodnia i żelazny grzebień, Maria Goretti, uduszona, Mariusz z Persji, miecz, obcięcie rąk, Martyna z Rzymu, ścięta, męczennicy z Maroka, Berard z Cobio, Piotr z Gemianino, Otton, Adiut i Alekursjusz, ścięci, męczennicy z Japonii, dwudziestu sześciu ukrzyżowanych, przeszytych włóczniami i spalonych, Maurycy z Agaune, miecz, Meinrad z Einsiedlen, maczuga, Menas z Aleksandrii, miecz, Merkury z Kapadocji, ścięty, Morus Tomasz, idem, Nikazjusz z Reims, idem, Otylia z Huy, strzały, Pafnucy, ukrzyżowany, Pankracy, ścięty, Pantaleon z Nikomedii, idem, Patrokles z Troyes i Soest, idem, Paweł z Tarsu, któremu będziesz zawdzięczał twój pierwszy Kościół, idem, Perpetua i Felicita z Kartaginy, Felicita była niewolnicą Perpetui, skłute rogami wścieklej krowy, Piotr z Rates, miecz, Piotr z Werony, nóż w głowie i sztylet w piersi, Piat z Tournai, rozplatali mu czaszkę, Polikarp, zasztyletowany i spalony, Proces i Martynian, zjedzeni przez lwy, Pryska z Rzymu, taka sama śmierć, Renaud z Dortmundu, młotek kamieniarski, Reine de Alise, miecz, Restituta z Neapolu, stos, Roland, miecz, Roman z Antiochii, wyrwany język, uduszenie, Jeszcze nie masz dość, zapytał Bóg Jezusa, zaś Jezus odparł, To pytanie powinieneś zadać samemu sobie, kontynuuj, i Bóg kontynuował, Sabin z Asyżu, ukamienowany, Sabinian z Sens, ścięty, Saturnin z Tuluzy, wleczony przez byka, Sebastian, strzały, Sekundyn z Astii, ścięty, Serwacy z Tongres i z Maastricht, zatłuczony chodakami, choć wydaje się to niemożliwe, Sewer z Barcelony, gwóźdź wbity w czaszkę, Sidwel z Exeter, ścięty, Skubikul, ścięty, Stefan, ukamienowany, Symforian z Autun, idem, Sykstus, idem, Tarsycjusz, ukamienowany, Tekla z Ikonium, spalona po obcięciu kończyn, Teodor, stos, Tomasz Becket z Canterbury, miecz wbity w czaszkę, Torcato i Dwudziestu Siedmiu, zabici przez generała Muęa u bram Guimaraes, Tropez z Pizy, ścięty, Tyburcjusz, ścięty, Tymoteusz z Efezu, ukamienowany, Tyrs, przepiłowany, Urban, ścięty, Waleria z Limoges, idem, Walerian, idem, Wawrzyniec, zginął na rozpalonej kracie, Wenancjusz z Camerino, ścięty, Wiara z Agen, ścięta, Wiktor, ścięty, Wiktor z Marsylii, ścięty, Wiktoria z Rzymu, zabita po wyrwaniu języka, Wilgefortis, albo Liberata, albo Eutropia, dziewica, żelazna czapka, ukrzyżowana, Wincenty z Saragossy, kamień młyński i rozpalona krata ze smołą, Wirgiliusz z Trento, kolejny zabity za pomocą chodaków, Witalis z Rawenny,

włócznie, Zygmunt, król Burgundów, wrzucony do studni, oraz inni, inni, inni, idem, idem, idem, dość. Nie dość, rzekł Jezus, jakich innych masz na myśli, Uważasz, że jest to naprawdę niezbędne, Uważam, Mam na myśli tych, którzy nie zostali zamęczeni i umarli swą własną śmiercią, aczkolwiek przeszli przez męki pokus cielesnych, światowych i diabelskich, przeto, aby je przezwyciężyć, umartwiali ciało postem i modlitwą, istnieje nawet dość ciekawy przypadek, otóż niejaki John Schorn spędził tyle czasu, modląc się na klęczkach, że porobiły mu się odciski, gdzie, na kolanach rzecz jasna, mówi się też, teraz to coś dla ciebie, że zamknął Diabła w bucie, ha, ha, ha, Ja, w bucie, powątpiewał Pasterz, to są legendy, żeby mnie zamknąć w jednym bucie, musiałby on mieć rozmiar świata, a nawet gdyby, to chciałbym zobaczyć tego, który byłby w stanie go założyć i później zdjąć, Tylko postem i modlitwą, zapytał Jezus, a Bóg odpowiedział, Będą również krzywdzić ciało bóiem, i krwią, i plugastwem oraz wieloma innymi pokutami, nosząc Włosienice i bicząc się, będą nawet tacy, co przez całe swoje życie się nie umyją, albo prawie przez całe, będą się zapuszczać w lasy i tarzać w śniegu, ażeby poskromić cielesne natręctwa podsycane przez Diabła, który jest sprawcą tych pokus, albowiem ma na celu sprowadzanie dusz z prostej drogi prowadzącej je do nieba, nagie kobiety i straszliwe potwory, odrażające stworzenia, rozwiązłość i strach, za pomocą takich broni Demon czyni życie biednych ludzi udręką, Będziesz robił to wszystko, zapytał Jezus Pasterza, Mniej więcej, odparł ten, ograniczyłem się do objęcia tego, czego Bóg nie chciał, ciała wraz z jego radością i smutkiem, młodością i starością, świeżością i zgnilizną, lecz nie jest prawdą, jakoby strach był moim orężem, nie przypominam sobie, abym to ja wymyślił grzech oraz karę za niego, a także zawsze w nich obecny strach, Milcz, przerwał Bóg zniecierpliwiony, grzech i Diabeł to dwie nazwy tej samej rzeczy, Jakiej rzeczy, zapytał Jezus, Mojej nieobecności, Skąd więc się bierze twoja nieobecność, czy to ty odchodzisz, czy może odchodzą od ciebie, Ja nigdy nie odchodzę, Lecz zgadzasz się, aby cię zostawiano, Kto mnie zostawia, szuka mnie, A jeśli cię nie znajduje, winę, jak już wiadomo, ponosi Diabeł, Nie, on nie jest temu winien, wina leży po mojej stronie, ponieważ nie docieram tam, gdzie mnie szukają, Bóg wypowiedział te słowa z bolesnym i nieoczekiwanym smutkiem, jak gdyby nagle odkrył granice swej władzy. Jezus rzekł, Kontynuuj, Są inni, wznowił opowieść Bóg, którzy zaszywają się na dzikich pustkowiach, w grotach i jaskiniach, by tam, w towarzystwie zwierząt, wieść samotny żywot, drudzy dają się wtrącić do więzienia, jeszcze inni wchodzą na wysokie słupy i żyją na nich całymi latami, albo tacy, głos przycichł i zadrżał, Bóg kontemplował teraz nie kończący się pochód ludzi, tysiący i tysiący, tysiący tysiący mężczyzn i kobiet na całym świecie wstępujących do zakonów i klasztorów, nielicznych wiejskich budynków i wielu wspaniałych pałaców, W nich będą trwać, aby nam

służyć, mnie i tobie, rano i w nocy, czuwaniem i modlitwami, mając zaś ten sam cel i to samo przeznaczenie, uwielbianie nas i śmierć z naszymi imionami na ustach, używać będą różnych nazw, będą benedyktynami, bernardynami, kartuzami, augustianami, gilbertynami, trynitarzami, franciszkanami, dominikanami, kapucynami, karmelitami, jezuitami, będzie ich wielu, wielu, wielu, jakże bardzo chciałbym móc zakrzyknąć Mój Boże, dlaczego jest ich aż tylu. Wówczas Diabeł rzekł do Jezusa, Zauważ, że w tym co opowiada występują dwa sposoby żegnania się z życiem, pierwszy polega na męczeństwie, drugi na wyrzeczeniu, czy nie wystarczyłoby, gdyby umierali wtedy, gdy nadejdzie ich godzina, po co mają biec na jej spotkanie taką czy inną drogą, krzyżowani, rozpruwani, ścinani, paleni, kamienowani, topieni, ćwiartowani, duszeni, obdzierani ze skóry, przeszywani włóczniami, przekłuwani rogami, zakopywani, piłowani, dziurawieni strzałami, pozbawiani kończyn, oblewani roztopionym ołowiem, albo w celach, salach, na dziedzińcach oraz poza nimi, umartwiać się za to, że urodzili się z ciałem danym im przez Boga, bez którego nie mieliby gdzie ulokować swojej duszy, ten mówiący teraz do ciebie Diabeł nie wymyślił takich męczarni. Czy to wszystko, zapytał Jezus Boga, Nie, jeszcze brakuje wojen, Będą też wojny, I rzezie, O rzeziach już wiem, sam mogłem zginąć w jednej z nich, w sumie szkoda, teraz nie czekałby na mnie krzyż, Zabrałem twojego drugiego ojca tam, gdzie mógł usłyszeć to, co chciałem, by powiedzieli żołnierze, a zatem uratowałem ci życie, Uratowałeś mi życie po to, żeby kazać mi umrzeć wtedy, gdy będzie to dla ciebie korzystne, to tak jakbyś mnie zabił dwa razy, Cel uświęca środki, mój synu, Na podstawie tego co słyszę z twoich ust od czasu, gdy tu przybyliśmy, wierzę, że tak jest, wyrzeczenia, odosobnienia, cierpienia, śmierć, a teraz wojny i rzezie, co to za wojny, Liczne i nigdy się nie kończące, lecz przede wszystkim te, które zostaną wszczęte przeciwko tobie i przeciwko mnie w imię boga mającego się dopiero pojawić, Jak to możliwe, że bóg ma się dopiero pojawić, bóg, jeżeli rzeczywiście nim jest, może istnieć tylko od zawsze i na zawsze, Przyznaję, że trudno to zrozumieć, i nie mniej trudno wytłumaczyć, ale zdarzy się tak, jak ci mówię, przyjdzie pewien bóg i rzuci przeciwko nam oraz przeciwko naszym wyznawcom całe narody, nie, brakuje mi słów, aby opowiedzieć ci o pogromach, masakrach i jatkach, wyobraź sobie mój ołtarz w Jerozolimie powiększony tysiąckrotnie, na miejscu zwierząt postaw ludzi i nawet wtedy nie dowiesz się, czym były krucjaty, Krucjaty, a co to takiego, i dlaczego mówisz, że były, skoro dopiero mają być, Pamiętaj, że ja jestem czasem i dlatego dla mnie, wszystko co ma się wydarzyć, już się wydarzyło, wszystko co się wydarzyło, wydarza się codziennie, Opowiedz mi o tych krucjatach, Otóż, mój synu, te miejsca w których teraz jesteśmy, z Jerozolimą włącznie, oraz inne ziemie na północ i na zachód, zostaną podbite przez wyznawców tego późniejszego

boga, o którym ci mówiłem, natomiast nasi, ci trzymający naszą stronę, zrobią wszystko, aby ich wypędzić z ziem deptanych twoimi stopami i tak gorliwie uczęszczanych przeze mnie, Nie robisz zbyt wiele, aby dziś wyrzucić stąd Rzymian, Opowiadam ci o przyszłości, nie rozpraszaaj mnie, Ciągnij więc dalej, Dochodzi jeszcze to, że ty się tu urodziłeś, tu żyłeś i tu umarłeś, Na razie jeszcze nie umarłem, W tym wypadku nie robi to żadnej różnicy, przecież wytłumaczyłem ci już, co z mojego punktu widzenia oznacza zdarzyć się teraz i w przeszłości, dlatego bardzo cię proszę, abys mi nie przerywał, jeżeli nie chcesz, żebym w ogóle umilkł, To ja już milknę, I bardzo dobrze, zatem przyszłe pokolenia nadadzą tym stronom nazwę Ziemi Świętej z racji tego, że ty się tutaj urodziłeś, tutaj żyłeś i tutaj umarłeś, dlatego nie byłoby dobrze dla religii, którą będziesz, gdyby jej kolebka znalazła się w niegodnych rękach niewiernych, jest to, jak widzisz, powód bardziej niż wystarczający tego, by przez około dwieście lat wielkie wojska przybywające z zachodu usiłowały zdobyć i zachować dla naszej religii tę grotę, w której się urodziłeś, i tę górę, na której umrzesz, tyle w skrócie o głównych miejscach, Czy te wojska są krucjatami, Tak, I zdobyły to, co chciały, Nie, lecz zabiły dużo ludzi, A ci z krucjat, Zginęło ich drugie tyle, jeżeli nie więcej, I to wszystko w naszym imieniu, Pójdą na wojnę, krzycząc Bóg tego chce, I na pewno umrą, mówiąc Bóg tego chciał, Byłby to piękny koniec, Po raz kolejny ofiara nie była nic warta, Dusza, mój synu, żeby być zbawioną, potrzebuje ofiary z ciała, Tymi lub innymi słowami wyraziłeś to już wcześniej, a ty, Pasterzu, co nam powiesz o tych przyszłych przerażających wypadkach, Powiem, że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie mógł twierdzić, że Diabeł był albo będzie winnym takiego mordowania i takich cmentarzy, chyba że jakiś złośliwiec powęźmie oszczerczy zamiar przypisania mi odpowiedzialności za to, że urodzi się bóg będący wrogiem tego, Wydaje mi się jasne i oczywiste, że nie ponosisz winy, jeśli zaś chodzi o obawę przed obarczeniem cię odpowiedzialnością, to odpowiesz, że skoro Diabeł jest kłamstwem, nigdy nie mógłby stworzyć prawdy, jaką jest Bóg, Lecz kto stworzy wtedy wrogiego Boga, zapytał Pasterz. Jezus nie potrafił odpowiedzieć, a Bóg nadal milczał, lecz nagle z mgły wypadł jakiś głos i powiedział, A może imię tego Boga i tego, co ma przyjść, oznaczają tę samą osobę, Którą, jaką/ zapytał drugi głos. Jezus, Bóg i diabeł z początku udali, że nic nie słyszeli, ale zaraz spojrzeli po sobie z przestachem, tak to już jest, wspólny strach łatwo jednoczy różnice.

Czas upływał, mgła nie przemówiła ponownie, zaś Jezus zapytał tonem wskazującym na to, że spodziewa się on tylko odpowiedzi twierdzącej, Nic więcej. Bóg zawahał się, po czym rzekł zmęczonym głosem, Jeszcze jest Inkwizycja, ale o niej, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy porozmawiać przy innej okazji, Co to jest Inkwizycja,

Inkwizycja jest nie kończąca się historią, Chcę o niej wiedzieć, Lepiej by było, gdybyś nie wiedział, Nalegam, Będziesz cierpiał w twym obecnym życiu na wyrzuty sumienia należące do przyszłości, A ty nie, Bóg jest Bogiem, nie ma wyrzutów sumienia, Ale jeśli już dźwigam na sobie ciężar śmierci, którą mam za ciebie ponieść, mogę również wytrzymać z wyrzutami sumienia, które powinny być twoimi, Wolałbym cię oszczędzić, Zaiste, nie robisz nic innego od moich narodzin, Jesteś niewdzięcznikiem, jak wszystkie dzieci zresztą, Przestańmy udawać, powiedz mi, czym będzie Inkwizycja, Inkwizycja, zwana również Świętym Officium, jest złem koniecznym, najokrutniejszym narzędziem, za pomocą którego będziemy zmagać się z zakażeniem, które pewnego dnia i na długi czas weźmie się do ciała twojego Kościoła za pośrednictwem szkaradnych herezji oraz ich pochodnych i pomniejszych następstw, a do tego dojdą jeszcze pewne wynaturzenia fizyczne i moralne, wszystko to zebrane razem w jednym worku okropieństw bez przejmowania się kolejnością i pierwszeństwem, będzie w sobie zawierać luteranów i kalwinów, molinistów i judaistów, sodomitów i czarowników oraz różne skazy należące zarówno do przyszłości, jak i do wszystkich czasów, Jeżeli według ciebie Inkwizycja jest koniecznością, to jak będzie postępować w walce z tym całym złem, Inkwizycja jest policją i sądem, dlatego będzie więzić, sądzić i skazywać tak, jak to robią sądy i policje, Na co będzie skazywać, Na karę więzienia, na zesłanie, na stos, Na stos, powiadasz, Tak, w przyszłości tysiące tysięcy kobiet i mężczyzn umierać będą w płomieniach, O niektórych już mi mówiłeś wcześniej, Tamci zostali wrzuceni do ognia dlatego, że w ciebie wierzyli, natomiast ci dostąpią tego z powodu swych wątpliwości, Czy nie wolno we mnie wątpić, Nie, Ale my możemy wątpić, że rzymski Jupiter jest bogiem, Ja jestem jedynym Bogiem, ja jestem Panem, a ty jesteś moim synem, Zginą tysiące, Setki tysięcy, Zginą setki tysięcy mężczyzn i kobiet, ziemia zapełni się okrzykami bólu, wyciem i rżeniem agonii, dym ze spalonych zakryje słońce, ich tłuszcz będzie skwierczał na węglach, zapach będzie mdlił, a to wszystko z mojej winy, Nie z twojej winy, lecz z twojego powodu, Ojczy, oddał ode mnie ten kielich, Od tego, że ty go wypijesz, zależy moja władza i twoja chwała, Nie chcę tej chwały, Ale ja chcę tej władzy. Mgła przesunęła się tam, skąd wcześniej przyszła, wokół łodzi widać już było nieco wody, gładkiej i matowej, bez jednej zmarszczki spowodowanej wiatrem lub poruszeniem płetwy. Wówczas Diabeł rzekł, Trzeba być Bogiem, żeby tak bardzo lubić krew.

Mgła zaczęła powracać, coś miało jeszcze nadejść, nowe objawienie, nowy ból, nowe wyrzuty sumienia. Jednakże to Pasterz się odezwał, Mam dla ciebie propozycję, zwrócił się do Boga, zaś Bóg, zaskoczony, do niego, Ty, propozycję, cóż to będzie za propozycja, ton był pełen ironii oraz wyższości, zdolny do uciszenia każdego oprócz Diabła, bo znany mu od

wielu lat i spowszedniały. Pasterz zrobił przerwę, jak gdyby poszukiwał najstosowniejszych słów, po czym wyjaśnił, Z wielką uwagą przysłuchiwałem się temu, co zostało powiedziane na tej łodzi, i chociaż sam z siebie dostrzegłem w przyszłości pewne cienie oraz łuny, nie sądziłem, że łuny będą stosami, a cienie tyloma zabitymi ludźmi, Czy to ci przeszkadza, Nie powinno mi przeszkadzać, skoro jestem Diabłem, a Diabeł zawsze na śmierci korzysta, zresztą nawet w większym stopniu niż ty, bo przecież nie musi pokazywać, że piekło zawsze będzie bardziej zaludnione od nieba, No więc, czemu się skarżysz, Nie skarzę się, proponuję, Zatem proponuj, ale szybko, nie mogę tu siedzieć wiecznie, Ty wiesz, a nikt inny nie wie o tym lepiej od ciebie, że Diabeł też ma serce, Tak, ale źle je wykorzystujesz, Dziś chcę dobrze wykorzystać to serce, które mam, zgadzam się i chcę, aby twoja władza rozciągnęła się aż po wszystkie krańce ziemi, ale niech nie wiąże się to ze śmiercią tylu ludzi, skoro zaś wszystko to, co tobie przeczy oraz się sprzeciwia, jest twoim zdaniem owocem Zła, którym jestem, moja propozycja polega na tym, żebyś znowu przyjął mnie w twoim niebie, wybaczywszy przeszłe złe uczynki w imię tych, których w przyszłości nie popełnię, żebyś nie odrzucał mego posłuszeństwa i zachował je dla siebie, tak jak w szczęśliwych czasach, gdy byłem jednym z twych ulubionych aniołów, Lucyferem mnie zwał, nosicielem światła dopóty, dopóki ambicja dorównania ci nie pożarła mej duszy i nie skłoniła do zbuntowania się przeciwko twojej władzy, A dlaczegoż to miałbym cię przyjąć i wybaczyć ci, jeśli łaska, Albowiem czyniąc to i udzielając mi teraz tego samego przebaczenia, które w przyszłości będziesz tak lekko obiecywał na lewo i prawo, sprawisz, że dziś skończy się zło, twój syn nie będzie musiał umierać, zaś twoim królestwem będzie nie tylko ta ziemia Hebrajczyków, ale cały świat, znany i czekający na poznanie, a nawet więcej niż świat, wszechświat, wszędzie zacznie rządzić Dobro, a ja zaśpiewam w ostatnim i pokornym szeregu aniołów, które pozostaną ci wierne, wierniejszy od nich wszystkich, bowiem skruszony, będę śpiewał ku twej chwale, wszystko skończy się tak, jakby nigdy nie istniało, wszystko zacznie się tak, jakby miało już pozostać na zawsze, Wiedziałem, że masz talent do usidlania i tracenia dusz, ale nigdy nie słyszałem z twoich ust takiej przemowy, jakie zdolności oratorskie, jaka wymowność, nie ma dwóch zdań, że prawie mnie przekonałeś, Nie przyjmiesz mnie, nie wybaczysz mi, Nie przyjmę cię, nie wybaczę ci, chcę cię takiego, jakim jesteś, i jeśli to możliwe, jeszcze gorszego, Dlaczego, Dlatego że to dobro, którym ja jestem, nie istniałoby bez tego zła, którym ty jesteś, Dobro istniejące bez ciebie byłoby niepojęte, do tego stopnia, że ja sam nie mógłbym go sobie wyobrazić, zatem jeśli ty się skończysz, skończę się i ja, abym ja był Dobrem, trzeba być nadal być Złem, jeżeli Diabeł nie żyje jak Diabeł, a Bóg nie żyje jak Bóg, śmierć jednego byłaby śmiercią drugiego, Czy takie jest twoje ostatnie słowo,

Pierwsze i ostatnie, pierwsze, dlatego że po raz pierwszy je wypowiedziałem, ostatnie, dlatego że już go nie powtórzę. Pasterz wzruszył ramionami i powiedział do Jezusa, Niech nikt nie mówi, że Diabeł nie kusił kiedyś Boga, po czym, podnosząc się, a już miał przełożyć nogę ponad burtą łodzi, nagle powstrzymał ten ruch i rzekł, Masz w worku jedną rzecz, która należy do mnie. Jezus nie pamiętał o tym, że zabrał ze sobą do łodzi swój worek, lecz faktycznie tam był, leżał zwinięty u jego stóp, Jaką rzecz, zapytał, i otwierając go, zobaczył, że w środku była tylko stara, czarna miska zabrana z Nazaretu, To, To, odparł Diabeł i odebrał ją, Pewnego dnia wróci do ciebie, lecz nie dowiesz się, że ją masz. Ukrył miskę pomiędzy fałdami swej znoszonej pasterskiej odzieży i zszedł do wody. Nie spojrział na Boga, lecz tylko, jak gdyby zwracał się do niewidzialnej publiczności, rzekł, Żegnajcie, skoro on tak chciał. Jezus powiódł za nim wzrokiem, Pasterz stopniowo oddalał się w kierunku mgły, zapomniał zapytać go, jaki kaprys kierował nim przy wyborze akurat takiego sposobu przybycia i odejścia, wpław, w oddali ponownie wyglądał jak Świnia z nastroszonymi uszami, słyhać nawet było bydłące sapanie, chociaż wprawne ucho z łatwością zorientowałoby się, że pobrzmiwał w tym również strach, nie przed utopieniem się, skądże znowu, przecież dopiero co dowiedzieliśmy się, że Diabeł nie ma końca, był to strach przed wiecznym istnieniem. Pasterz zniknął już pomiędzy postrzępionymi rąbkami mgły, kiedy nagle zadźwięczał głos Boga szykującego się już do odejścia, Poślę ci do pomocy człowieka zwanego Janem, ale będziesz go musiał przekonać, że jesteś tym, kim jesteś. Jezus spojrział, ale Boga już tam nie było. W tej samej chwili mgła podniosła się i rozwiała w powietrzu, odsłaniając jezioro czyste i gładkie od końca do końca, pomiędzy górami, a na wodzie ani śladu Diabła, a w powietrzu ani śladu Boga.

Na brzegu, z którego kiedyś wyruszył, Jezus dostrzegł mimo dużej odległości wielkie zgromadzenie ludzi i dużą liczbę namiotów rozbitych z tyłu, jak gdyby miejsce to przekształciło się w osadę jakiegoś ludu, który nie będąc stąd i nie mając gdzie spać, był zmuszony do takiego właśnie zorganizowania swojego pobytu. Uznając to za dziwny przypadek, lecz nic ponadto, Jezus zanurzył wiosła w wodzie i skierował łódź w tamtą stronę. Gdy spojrział tam przez ramię, spostrzegł, że niektórzy poczęli spychać łodzie na wodę i wyteżając wzrok, rozpoznał pomiędzy nimi Szymona i Andrzeja, Jakuba i Jana, otaczanych przez innych, których znikąd sobie nie przypominał, może tylko paru z nich, dlatego że tu bywali. W krótkim czasie podpłynęli do niego, gdyż z tak wielkim zaangażowaniem pracowali wiosłami, zaś Szymon zakrzyknął, Gdzie byłeś, oczywiście nie to chciał wiedzieć, ale jakoś trzeba było zacząć, Tutaj, na jeziorze, odparł Jezus, słowa tak niepotrzebne jak wszystkie inne, zaprawdę nie najlepiej zaczyna działać łączność w nowym okresie życia syna

Boga, Marii oraz Józefa. Po chwili Szymon wskakiwał do łodzi Jezusa i to co niezrozumiałe, niemożliwe, nedorzeczne, zostało poznane, Czy wiesz, ile czasu byłeś na jeziorze w samym środku takiej mgły, że nie mogliśmy nawet spuścić naszych łodzi na wodę, a na domiar jakąś niezwykła siła za każdym razem cofała nas na brzeg, zapytał Szymon, Cały dzień, taka była odpowiedź Jezusa, cały dzień i całą noc, dodał, aby zadośćuczynić podnieceniu Szymona, Czterdzieści dni, wykrzyknął Szymon, po czym objaśnił już ciszej, Byłeś tam czterdzieści dni, czterdzieści dni, podczas których mgła nie podniosła się ani trochę, tak jakby chciała ukryć w swoim wnętrzu to, co w nim się działo, co tam robiłeś, bo przez czterdzieści dni nie dane nam było wyciągnąć z tej wody ani jednej ryby. Jezus przekazał Szymonowi jedno wiosło, teraz obydwaj rozmawiali w rytm wiosłowania, ramię w ramię, z przerwami, jak lepiej można jeszcze okazywać zaufanie, dlatego zanim jeszcze przybliżyły się inne łodzie, Jezus powiedział, Spotkałem się z Bogiem i znam już moją przyszłość, wiem, jak długo będę żył i jakie będzie życie po moim życiu, Jaki on jest, to znaczy, jaki jest Bóg, Bóg nie pokazuje się w jednej tylko postaci, może objawić się jako obłok, jako słup dymu, jako bogaty Żyd, rozpoznajemy Go raczej po głosie, po tym jak Go raz usłyszymy, Co ci powiedział, Że jestem Jego Synem, Potwierdził, Tak, potwierdził, A zatem Diabeł miał rację podczas tamtego zajścia ze świniami, Diabeł również tam był na łódce, asystował przy wszystkim, wie o mnie chyba tyle samo co Bóg, lecz czasem myślę, że wie nawet więcej niż Bóg, A gdzie, Co, gdzie, Gdzie oni byli, Diabeł na burcie łodzi, o tam, pomiędzy tobą i Bogiem, który siedział na ławeczce na rufie, Co ci powiedział Bóg, Że jestem Jego Synem i że zostanę ukrzyżowany, Pójdiesz w góry walczyć z bandytami, jeśli pójdiesz, my pójdziemy z tobą, Pójdziecie ze mną, ale nie w góry, nie Uczy się zwycięstwo nad Cezarem w walce zbrojnej, Uczy się doprowadzenie do tryumfu Boga poprzez słowo, Tylko, Również poprzez przykład i poprzez ofiarę z naszego życia, kiedy będzie potrzebna, Są to słowa twego Ojca, Od dzisiaj wszystkie moje słowa będą Jego słowami, a ci którzy w nie uwierzą, we mnie uwierzą, bo nie można wierzyć w Ojca, nie wierząc w Syna, skoro nowa droga, którą Ojciec dla siebie wybrał, tylko w Synu, którym jestem, może mieć początek, Powiedziałeś, że pójdziemy z tobą, kogo masz na myśli, Ciebie, na pierwszym miejscu, Andrzeja, twego brata, dwóch synów Zebedeusza, Jakuba i Jana, a właśnie, Bóg powiedział, że pośle mi do pomocy człowieka zwanego Janem, ale to chyba nie o tego chodzi, Nie potrzeba nam nikogo więcej, to nie jest Herodowy orszak, Inni mają nadzieję, kto wie, czy niektórzy z nich już tam nie stoją w oczekiwaniu na znak, znak który Bóg objawi we mnie, aby mi uwierzyli i za mną poszli ci, którym On nie pozwala, żeby Go zobaczyli, Co obwieścisz ludziom, Żeby żalowali za swoje grzechy, żeby się przygotowywali na nowy czas i na nadejście Boga, czas, kiedy jego ognisty

miecz zmusi do ugięcia karku tych, co odrzucili Jego słowo i splunęli na nie, Powiesz im, że jesteś Synem Boga, nie możesz tego nie zrobić, Powiem, że mój Ojciec nazwał mnie swoim Synem i że noszę te słowa w moim sercu od urodzenia, i że teraz Bóg także do mnie powiedział Mój Synu, jeden ojciec nie kazał zapomnieć o drugim, lecz dziś rozkazuje Bóg Ojciec, bądźmy Mu posłuszni, Zatem pozwól mi działać, rzekł Szymon, po czym puścił wiosło, przeszedł na dziób łodzi i krzyknął, Hosanna, oto przychodzi Syn Boga, ten który przez czterdzieści dni rozmawiał z Ojcem na jeziorze, a teraz powraca do nas, abyśmy żalowali za grzechy i przygotowywali się, Nie mów, że i Diabeł tam był, przestrzegł go natychmiast Jezus, obawiając się, że wszyscy dowiedzieliby się o sytuacji, którą z olbrzymią trudnością mógłby wyjaśnić. Szymon wydał kolejny okrzyk, jeszcze bardziej przejmujący, a od niego poruszyli się ludzie na brzegu, i szybko powrócił na swoje miejsce, mówiąc do Jezusa, Zostaw to wiosło mnie, a sam stań na dziobie, ale nic nikomu nie mów dopóty, dopóki nie zeskoczymy na ląd, nie mów ani słowa. Tak też zrobili, Jezus stał na dziobie w swej starej tunice i z pustym workiem na plecach, unosił nieco ramiona, jakby chciał pozdrawiać albo udzielać błogosławieństwa, lecz powstrzymywała go nieśmiałość lub brak wiary w swoje przymioty. Pomiędzy oczekującymi go ludźmi było trzech najbardziej niecierpliwych, którzy weszli do wody po pas i docierając do łodzi, chwycili się jej i poruszali nią na wszystkie strony, zaś jeden z nich usiłował dotknąć tuniki Jezusa, nie dlatego, że był przekonany co do prawdziwości Szymonowego obwieszczenia, lecz z powodu znaczenia, jakie przydawał faktowi, iż pewien człowiek przez czterdzieści dni przebywał na środku jeziora, tak jakby poszedł na pustynię w poszukiwaniu Boga i powracał teraz z zimnych wnętrzności góry mgły, spotkawszy się albo nie spotkawszy z Bogiem, nie ma różnicy. Nawet nie trzeba dodawać, że w tych wioskach oraz ich okolicach o niczym innym się nie mówiło, wiele osób przybyłych tutaj z powodu tego zjawiska meteorologicznego słyszało tylko, że w środku mgły był jakiś człowiek i dlatego mówiły one, Biedaczek. Łódź dobiła do brzegu bez żadnego wstrząsu, jak gdyby stało się to z pomocą anielskich skrzydeł. Szymon pomógł Jezusowi wyjść, odtrącając ze źle skrywanym zniecierpliwieniem ową trójkę, która weszła do wody i z tego względu uważała się za wiernych wyższej kategorii, Zostaw ich, rzekł Jezus, pewnego dnia usłyszą o mojej śmierci i zaboli ich to, że nie mogli ponieść mego martwego ciała, pozwól im, żeby mi pomogli, dopóki jestem żywy. Jezus wspiął się na pagórek i zapytał swoich, Gdzie jest Maria, ujrzał ją w tej samej chwili, w której zadał pytanie, jak gdyby wypowiedzenie jej imienia sprowadziło ją z nicości albo z mgły, wydawało się, że jest nieobecna, lecz wystarczyło powiedzieć jej imię, a ona przychodziła, Jestem tutaj, mój Jezusie, Chodź do mnie, niech przyjdą też Szymon i Andrzej, Jakub i Jan, synowie Zebedeusza, ci już mnie znają i we mnie

wierzą, już mnie znali i już we mnie wierzyli, kiedy jeszcze nie mogłem powiedzieć ani im, ani wam, że jestem Synem Boga, tym Synem który był przez Ojca wezwany i razem z nim przebywał przez czterdzieści dni na środku jeziora i który stamtąd powrócił, aby wam powiedzieć, że czas Pana już nadszedł i że powinniście wzbudzić w sobie żal, zanim Diabeł przyjdzie zebrać zgniłe kłosa, które wypadną z plonu niesionego przez Boga, a to wy nimi będziecie, jeżeli z powodu tkwiącego w was zła, zachce wam się uciekać z objęć Boga, który was miłuje. Szmer przebiegł przez tłum, tocząc się ponad głowami jak te małe fale, które czasami można zobaczyć na jeziorze, zaprawdę, wielu z obecnych słyszało już o cudach dokonywanych w różnych stronach przez tego, który tutaj stoi, niektórzy z nich byli nawet świadkami i bezpośrednimi adresatami owych cudów, Jadłem tamten chleb i tamte ryby, mówił jeden, A ja piłem tamto wino, mówił drugi, Ja zaś byłem sąsiadem tamtej cudzołożnicy, dopowiadał trzeci, jednakże te postęпки, niezależnie od tego jak bardzo transcendentne były albo się wydawały, i ten ogłoszony najwyższy cud objawiający im Syna Boga oraz samego Boga, dzieli odległość tak wielką, jak z ziemi do nieba, a tej, jak wiadomo, do dziś nie zdołano zmierzyć. Ze środka tłumy zabrzmiał wówczas jakiś głos, Daj nam dowód na to, że jesteś Synem Boga, a ja pójdę za tobą, Chodziłbyś za mną zawsze, gdyby przywiodło cię do mnie twoje serce, ale twoje serce uwięzione jest w zamkniętej piersi i dlatego prosisz mnie o dowód, który twoje zmysły mogłyby zrozumieć, dobrze więc, dam ci teraz dowód dający satysfakcję twoim zmysłom, jednak nie mieszczący się w twojej głowie, kiedy zaś będziesz się wahał, czy dać wiarę głowie czy też może zmysłom, pozostanie ci tylko przyjść do mnie za głosem serca, Kto to potrafi zrozumieć, niech rozumie, bo ja nie rozumiem, rzekł mężczyzna, Jak masz na imię, Tomasz, Chodź tu, Tomaszu, chodź ze mną nad samą wodę, zobacz, jak nabiorę pełne garście błota i ulepię z niego ptaki, zobacz, jakie to proste, kształtuję teraz tułów i skrzydła, urabiam głowę i dziób, wprawiam te kamyki, które są oczami, dopasowuję długie pióra ogonowe, modeluję łapki i palce, a po zrobieniu tego, lepię jeszcze jedenaście, masz je tutaj, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście ptaków z błota, wyobraź sobie, możemy im nawet nadać imiona, jeśli chcesz, to jest Szymon, to Jakub, to Andrzej, to Jan, a tego, jeśli ci to nie przeszkadza, nazwiemy Tomaszem, natomiast pozostałe poczekają, aż pojawią się imiona dla nich, bardzo często imiona spóźniają się po drodze i docierają późno, popatrz, co zrobię teraz, zarzucam tę sieć na ptaszki, tak aby nie mogły uciec, jeśli nie będziemy ich pilnować, To znaczy, że gdy ta sieć zostanie podniesiona, ptaki uciekną, zapytał Tomasz, nie dowierzając, Owszem, gdy sieć zostanie podniesiona, ptaki uciekną, Tym dowodem chcesz mnie przekonać, Tak i nie, Jak to, tak i nie, Najlepszy dowód, lecz ten już nie ode mnie zależy,

polegałby na tym, że nie podnosiłbyś sieci i uwierzyłbyś, że ptaki uciekłyby, gdybyś ją podniósł, Są z gliny i nie mogą uciec, Spróbuj, nasz pierwszy ojciec, Adam, też był z gliny, a ty od niego pochodzisz, Adamowi życie dał Bóg, Nie wąż więcej, Tomaszu, podnieś sieć, ja jestem Synem Boga, Sam tego chciałeś, te ptaki nie pofruną, Tomasz zerwał sieć szybkim ruchem, zaś uwolnione ptaki wzbiły się w powietrze i ćwierkając, wykonały dwa okrążenia ponad zachwyconym tłumem, po czym zniknęły w przestworzach. Jezus powiedział, Popatrz, Tomaszu, twój ptak odleciał, a Tomasz odrzekł, Nie, Panie, klęczysz tutaj, u twoich stóp, ja nim jestem.

Z tłumu wysunęli się jacyś mężczyźni, a za nimi, lecz oddzielnie, jakieś kobiety. Zbliżyli się i mówili, jak mają na imię, Jestem Filip, a Jezus zobaczył w nim kamienie i krzyż, Jestem Bartłomiej, a Jezus zobaczył w nim obdarte ze skóry ciało, Jestem Mateusz, a Jezus ujrzał go martwego pomiędzy barbarzyńcami, Jestem Szymon, a Jezus zobaczył w nim piłę, która go przerzynała, Jestem Jakub, syn Alfeusza, a Jezus zobaczył, jak go kamieniują, Jestem Juda Tadeusz, a Jezus zobaczył maczugę wznoszącą się nad jego głową, Jestem Judasz Iskariota, a Jezusowi zrobiło się żal, bo zobaczył go, jak własnoręcznie wiesza się na drzewie figowym. Wtedy Jezus zawołał innych i powiedział, Teraz już jesteśmy wszyscy, nadeszła godzina. A do Szymona, brata Andrzeja, rzekł, Ponieważ jest z nami drugi Szymon, ty, Szymonie, będziesz zwał się od dziś Szymonem Piotrem. Odwrócili się plecami do jeziora i ruszyli w drogę, a za nimi szły kobiety, imion większości z nich nie zdołaliśmy poznać, bo tak naprawdę jest nam wszystko jedno, prawie wszystkie to Marie, nawet te, które nimi nie są, zareagują na to imię, jeśli powiemy kobieto albo powiemy Mario, one obejrzą i przyjdą nam usługiwać.

Jezus wraz ze swoimi towarzyszami chodził po drogach i po osadach, J a Bóg przemawiał ustami Jezusa i oto, co mówił, Wypełnił się czas i blisko jest królestwo Boże, nawróćcie się i wierzcie w Dobrą Nowinę. Słyszac to, myślał wiejski lud, że pomiędzy wypełnieniem się czasu i zakończeniem się czasu nie może być różnicy i że w związku z tym zbliża się koniec świata, który jest wtedy, gdy czas się odmierza i zużywa. Wszyscy składali Bogu liczne dziękczynienia za miłosierdzie, które Nim kierowało wtedy, gdy zawczasu posłał po to, by przekazać formalne ostrzeżenie o nieuchronności zdarzeń temu, który mienił się być Jego Synem, co oczywiście mogło być prawdą. Po trosze, od niechcenia czynił on cuda, wszędzie tam, gdzie się pojawił i jedynym warunkiem, o ile tak można to nazwać, aczkolwiek nieodzownym, była niezłomna wiara osób błagających o cuda, taki był przypadek trędowatego, który go prosił, Jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić, a zdjęty wielką litością nad nieszczęsnym chorym Jezus dotknął go i rzekł do niego, Chcę, bądź oczyszczony, ledwie te

słowa zostały wypowiedziane, zgniłe ciało ozdrowiało, to czego w nim brakowało, powróciło na swoje miejsce, a tam gdzie wcześniej był odrażający i brudny ludzki strup, od którego kto żyw uciekał, teraz można było zobaczyć czystego i doskonałego mężczyznę, zdolnego do wielu rzeczy. Inne zdarzenie, tak samo godne odnotowania, związane było z paralitykiem, który z powodu tłumu zebranego przed wejściem musiał być najpierw podniesiony i później spuszczonego na swym łożu przez otwór w dachu domu, w którym przebywał Jezus, a był to dom Szymona zwanego Piotrem, skoro zaś tak wielka wiara zasługiwała na nagrodę, rzekł Jezus, Synu, odpuszczają ci się twoje grzechy, a przyszło tam kilku podejrzliwych uczonych w Piśmie, co we wszystkim widzieli powody do oskarżania i nieśli prawo na końcu języka. Wysłuchawszy tego, co powiedział Jezus, żywołowo zaprotestowali, Czemu tak mówisz, bluźnisz, grzechy tylko przez Boga mogą być odpuszczone, a Jezus odpowiedział im pytaniem, Cóż jest łatwiej, powiedzieć do paralityka, Odpuszczają ci się twoje grzechy, czy też powiedzieć, Wstań, weź swoje łoże i chodź, po czym, nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź z ich strony, zakończył, Otóż, żebyście wiedzieli, że mam na ziemi władzę odpuszczania grzechów, nakazuję ci, to zostało powiedziane do paralityka, żebyś wstał, wziął swoje łoże i poszedł do domu, słowa te miały taką moc, że od razu zobaczono, jak cudownie uzdrowiony człowiek stanął na nogi, natychmiast odzyskawszy siły mimo bezruchu spowodowanego paralizem, wziął swoje łoże, zarzucił je na plecy i poszedł w swoją stronę, składając Bogu niezliczone dziękczynienia.

Widać wyraźnie, że nie wszyscy ludzie dopraszają się cudów, w miarę upływu czasu każdy z nas przyzwyczajają się do swoich małych tudzież średnich ułomności i żyje z nimi, nie myśląc nawet o tym, by zawracać nimi głowę wysokim władzom, jednak grzechy to zupełnie co innego, grzechy dręczą pod tym, co widoczne, nie są kulawą nogą ani bezwładnym ramieniem, nie są trądem zewnętrznym, lecz trądem wewnętrznym. Dlatego miał rację Bóg, mówiąc Jezusowi, że każdy człowiek ma przynajmniej jeden grzech, za który musi żałować, zaś najczęściej i najzwyczajniej ma ich bardzo wiele. A zatem, skoro świat chyli się ku końcowi i nadchodzi królestwo Boże, nie tyle zależy nam na wejściu do niego z ciałem poprawionym kosztem cudów, ile na tym, byśmy doń zmierzali z duszą oczyszczoną przez żal i uleczoną przez wybaczenie. Zresztą, jeżeli paralityk z Kafarnaum spędził większą część swojego życia na jakiejś pryczy, to dlatego że grzeszył, albowiem wiadomo, że każda choroba jest konsekwencją grzechu, tak więc, oto wniosek najlogiczniejszy z logicznych, prawdziwym warunkiem dobrego zdrowia, jak również nieśmiertelności duszy, nie wiemy natomiast czy i ciała, może być tylko całkowita czystość, absolutna nieobecność grzechu, spowodowana bierną acz skuteczną niewiedzą bądź aktywnym odrzuceniem, tak w czynach, jak i w

myślach. Niech nikt jednak nie sądzi, że nasz Jezus chodził po tamtych ziemiach Pańskich, szastając mocą uleczenia i władzą przebaczenia, które przez samego Pana zostały mu przyznane. Oczywiście nie dlatego, że tego nie pragnął, przecież jego dobre serce kazałoby mu raczej stać się uniwersalnym panaceum, a nie, tak jak go zobowiązywało Boże polecenie, obwieszczać wszystkim koniec czasów i domagać się od każdego wzbudzenia w sobie żalu, po to zaś, by grzesznicy nie tracili zbyt dużo czasu na rozmyślenia mające na celu jedynie odwołanie stwierdzenia, Zgrzeszyłem, Pan wkładał Jezusowi w usta pewne obiecujące ale i straszne słowa takie jak te, Zaprawdę powiadam wam, że niektórzy z tych, co tutaj są obecni, nie doświadczą śmierci, nie widząc nadejścia królestwa Bożego z całą swą potęgą, można sobie teraz wyobrazić druzgocące efekty, jakie zapowiedź tego typu wywoływała w świadomości ludów. Ze wszystkich stron nadciągały chciwe tłumy i szły za Jezusem, jak gdyby on miał ich zaprowadzić do nowego raju, który Pan założy na ziemi i który będzie się różnił od pierwszego tym, że teraz wielu nim się nacieszy, odkupiwszy uprzednio modlitwą, pokutą i żalem grzech Adama, zwany również pierworodnym. Większa część tych ufnych ludzi pochodziła z najniższych warstw społecznych, byli tam rzemieślnicy i kopacze, rybacy i ładacznice, i dlatego Jezus pozwolił sobie pewnego dnia, wtedy gdy Bóg pozostawił mu więcej swobody, na zaimprovizowanie przemowy, która porwała wszystkich słuchaczy, polały się wówczas łzy radości, jakie tylko mogą być poczęte w wypadku powrotu utraconej nadziei na zbawienie, Błogosławieni, rzekł Jezus, błogosławieni wy, biedni, bo wasze jest królestwo Boże, błogosławieni wy, którzy teraz jesteście głodni, bo będziecie nasyceni, błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie, bowiem będziecie się śmiać, wtenczas jednak Bóg zorientował się, co się dzieje i nie mogąc już odwołać Jezusowych słów, kazał jego językowi wypowiedzieć inne, a za ich przyczyną łzy szczęścia przerodziły się w czarne lamenty nad czarną przyszłością, Błogosławieni będziecie, kiedy ludzie was będą nienawidzić, kiedy was wypędzą, znieważą i potępią wasze zhańbione imię, a to z powodu Syna Człowieczego. Kiedy Jezus to powiedział, poczuł, że dusza legła u jego stóp, ponieważ w tej samej chwili nawiedziła go tragiczna wizja śmierci i tortur zapowiedzianych przez Boga na jeziorze. Dlatego też, na oczach tłumu przejętego trwogą, Jezus padł na kolana i zgnębiony, począł modlić się w ciszy, żadna z osób, które tam przebywały, nie mogła sobie nawet wyobrazić, że oto prosi je wszystkie o wybaczenie, on, który się szczycił tym, że jako Syn Boga może im wszystkim przebaczyć. Tej nocy, w zaciszu namiotu, w którym spał z Marią z Magdali, Jezus powiedział, Jestem pasterzem, który tym samym kosturem prowadzi na ofiarę zarówno winnych, jak i niewinnych, uratowanych i zgubionych, narodzonych i nie narodzonych, któż mnie wybawi od tych wyrzutów sumienia, mnie, który sam siebie widzę tak, jak niegdyś

mojego ojca, ale on odpowiada za dwadzieścia istnień, a ja za dwadzieścia milionów. Maria z Magdali płakała z Jezusem i rzekła do niego, Ty tego nie chciałeś, To jeszcze gorzej, odparł on, zaś ona, jak gdyby od początku wiedziała wszystko o tym, co my raz za razem oglądaliśmy i słyszeliśmy, Bóg wytycza drogi i kieruje tymi, co po nich mają iść, ciebie wybrał po to, byś w Jego służbie otworzył drogę pomiędzy drogami, ale sam na nią nie wejdziesz i nie zbudujesz świątyni, zbudują ją inni, na twojej krwi i na twoich wnętrznościach, dlatego lepiej, żebyś pogodził się z przeznaczeniem określonym przez Boga i tobie zapisanym, albowiem wszystkie twoje gesty zostały przewidziane, słowa, które masz wypowiedzieć, czekają na ciebie w miejscach, do których się udasz, będą tam kulawi, którym dasz nogi, ślepi, którym dasz wzrok, głusi, którym dasz słuch, niemi, którym dasz głos, martwi, którym będziesz mógł dać życie, Nad śmiercią nie mam władzy, Nigdy nie próbowałeś, Owszem, lecz drzewo figowe nie zmartwychwstało, Czasy się zmieniły, musisz chcieć tego, czego chce Bóg, ale Bóg nie może odmówić ci tego, czego ty zechcesz, Niech mnie uwolni od tego ciężaru, już dłużej nie chcę, Pragniesz niemożliwego, mój Jezusie, jedyną rzeczą, której Bóg riaprawdę nie może, jest nie chcieć samego siebie, Skąd ty to wiesz, Kobiety myślą po swojemu, chyba dlatego, że nasze ciało jest inne, tak, z pewnością o to chodzi, z pewnością.

Pewnego dnia, z racji tego, że ziemia jest zbyt duża jak na możliwości jednego człowieka, nawet jeśli mowa jest o jej malutkim skrawku, czyli w tym wypadku o Palestynie, Jezus postanowił rozesłać swych przyjaciół, po dwóch, aby w miastach, miasteczkach i wioskach zapowiadali rychłe nadejście królestwa Bożego, krzewiąc wiarę i nauczając, tak jak on to czynił. I kiedy został sam z Marią z Magdali, gdyż pozostałe kobiety poszły z mężczyznami, zgodnie z upodobaniami i gustami obydwu stron, przyszło mu na myśl udać się do Betanii leżącej niedaleko od Jerozolimy. W ten sposób, jeśli wyrażenie to jest na miejscu, piekli dwie pieczenie na jednym ogniu, odwiedzając rodzinę Marii, bo czas już był najwyższy, aby pogodziło się rodzeństwo i poznali szwagrowie, a później spotykając się z resztą grupy, bo właśnie w Betanii Jezus wyznaczył spotkanie wszystkim swoim przyjaciołom po upływie trzech miesięcy od rozstania, następnie zaś wszyscy razem mieli ruszyć do Jerozolimy. Niewiele można powiedzieć o tym, co dwunastu robiło na ziemiach Izraela, po pierwsze dlatego, wyjąwszy jednak pewne szczegóły życia i okoliczności śmierci, że nie wezwano nas do pisania ich historii, a po drugie, dlatego że nadano im jedynie uprawnienia do powtarzania, według własnego co prawda uznania, lekcji i dzieł mistrza, co oznacza, że nauczali tak jak on i leczyli tak, jak umieli. Szkoda tylko, że Jezus wyraźnie im przykazał, aby nie chodzili szlakiem pogan i nie odwiedzali miasta Samarytan, bowiem za

sprawą tego przejawu zaskakującej nietolerancji, której raczej trudno się spodziewać po kimś tak dobrze ułożonym, przepuszczono sposobność do skrócenia przyszłych prac, bo przecież Bóg jasno sprecyzował zamiar powiększenia swoich terytoriów tudzież wpływów i dlatego, wcześniej czy później przyjdzie kolej na dotarcie nie tylko do Samarytan, ale przede wszystkim do pogan, tych stąd i tamtych z innych stron. Powiedział im Jezus, aby uzdrawiali chorych, wskrzeszali zmarłych, oczyszczali trędowatych, wypędzali demony, jednakże, poza nieokreślonymi i bardzo ogólnymi aluzjami, nie widać, żeby takowe akcje zostały odnotowane bądź zapamiętane, jeżeli rzeczywiście miały miejsce, co dowodzi, że Bóg nie będzie polegał na byle kim, niezależnie od tego, jak dobrymi referencjami się wykaże. Kiedy dwunastu ponownie spotka się z Jezusem, bez wątpienia coś mu opowie o skutkach kazań poświęconych nawróceniu, które były przez nich wygłaszane, jednak bardzo skromne będą ich sprawozdania dotyczące uzdrowień, wspomną natomiast o wypędzeniu iluś tam pomniejszych demonów, takich co to nie wymagają szczególnie władczych egzorcyzmów, żeby przeskoczyć z jednej osoby na drugą. Powiedzą za to o tym, że oni sami byli wypędzani albo źle przyjmowani na szlakach, które nie były pogańskimi i w miastach, które nie należały do Samarytan, a za jedyną pociechę służyło im strząśnięcie kurzu ze stóp przy wyjściu, tak jakby biedny pył, który wszyscy deptają i nikt się na niego nie skarży, był czemuś winien. Jezus powiedział im wszelako, co mają czynić w takich sytuacjach i jakie świadectwo okazywać tym, którzy nie będą chcieli ich słuchać, chociaż, rzecz godna ubolewania, słowo samego Boga było wtedy odrzucane, zwłaszcza że Jezus stwierdził jednoznacznie, Nie martwcie się o to, co macie mówić, albowiem zostaniecie tym natchnieni w odpowiedniej chwili. Okazuje się jednak, że nie wszystko jest takie proste, być może, zarówno w tym, jak i w innych wypadkach, trwałość nauki znajdującej się na górze zależy od czynnika osobistego znajdującego się na dole, zatem lekcja, o ile podkreślenie tego nie jest zuchwałością, wydaje się dobra, skorzystajmy z niej.

Tak się złożyło, że pogoda przypominała dopiero co zerwane róże, była świeża i pachnąca jak one, na czystych drogach panował spokój, jak gdyby chodziły po nich anioły, skrapiały je rosą i zmiatały miotłami zrobionymi z wawrzynu i z mirtu. Jezus i Maria z Magdali wędrowali incognito, ani razu nie nocowali w karawanseraju, starali się nie przyłączać do karawan, gdyż nie chcieli narażać się na ryzyko rozpoznania. Nie chodziło wcale o to, że Jezus zaniedbywał swoje obowiązki, nie dopuszczał do tego skrupulatnie czuwający Bóg, który z drugiej strony postanowił chyba dać mu kilka wolnych dni, gdyż na drodze nie pojawiali się trędowaci błagający o uleczenie, ani opętańcy odrzucający je, natomiast mijane przez nich wioski ogarnięte były sielankowym nastrojem i cieszyły się

pokojem danym im przez Pana, co mogło świadczyć o tym, że z własnej inicjatywy weszły już na drogę nawrócenia. Spali gdzie popadło, nie dbając o wygodę większą niż łono drugiego, czasami ich jedynym dachem był firmament, ogromne, czarne oko Boga, na którym zostały rozsiane światła będące odbiciami spojrzeń ludzi kontemplujących niebo od zamierzchłych czasów, zadających pytania ciszy i nasłuchujących jedynej odpowiedzi, jaką cisza daje. Później, kiedy Maria z Magdali zostanie sama na świecie, będzie jej się chciało wspominać te dni i te noce, lecz za każdym razem zmuszona będzie bronić pamięci przed atakami bólu i goryczy, jak gdyby osłaniała wyspę miłości od zapędów wzburzonego morza oraz jego potworów. Ten czas niebawem nadejdzie, choć patrząc na ziemię i na niebo, nie dostrzega się oznak tej bliskości, tak właśnie w wolnym przestworzu fruwa ptak i nie zdaje sobie sprawy z obecności szybkiego sokoła, który z wysuniętymi szponami spada nań jak kamień. Jezus i Maria z Magdali śpiewają po drodze, a inni podróżnicy, nie znający ich, mówią, Szczęśliwi ludzie, zaiste, na razie nie ma prawdziwszej prawdy. I tak dotarli do Jerycha, a stamtąd, niespiesznie, bo panował wielki upał i niepodobna było znaleźć cień, przez dwa długie dni szli do Betanii. Po upływie tych wszystkich lat Maria z Magdali nie wiedziała, jak ją przyjmie rodzeństwo, a przecież po opuszczeniu domu wiodła ona rozwiązłe życie, Może sobie nawet myśla, że umarłam, mawiała, a może wręcz pragnę, abym już nie żyła, zaś Jezus starał się przepędzić z jej głowy czarne myśli, Czas wszystko leczy, orzekał, nie pamiętając, że rana, którą była dla niego własna rodzina, wciąż była żywa i otwarta, a na dodatek krwawiła. Doszli do Betanii, Maria zakryła sobie twarz ze wstydu przed sąsiadami, którzy mogliby ją rozpoznać, a Jezus łagodnie ją karmił, Przed kim się kryjesz, nie jesteś już kobietą żyjącą tamtym życiem, ona już nie istnieje, Nie jestem tą, którą przestałam być, to prawda, ale jestem tą, którą byłam, zaś ta, którą jestem i tamta, którą byłam, są jeszcze ze sobą powiązane wstydem za tę, którą przestałam być, Teraz jesteś tą, którą jesteś, a ja jestem z tobą, Niech Bóg będzie za to błogosławiony, On, który mi cię zabierze, Maria opuściła płaszcz, odkrywając twarz, ale nikt nie powiedział, Idzie siostra Łazarza, ta co się stała nierządnicą.

To tutaj, rzekła Maria z Magdali, lecz nie stało jej odwagi, by zapukać i głosu, by się zapowiedzieć. Jezus lekko pchnął przymkniętą tylko furtkę i zapytał, Jest tam kto, na co z wewnątrz odezwała się jakaś kobieta, A kto woła, jej własna odpowiedź przywiodła ją chyba do drzwi i oto stała przed nimi Marta, siostra Marii, były bliźniaczkami, lecz nie jednakowymi, bo u tej wiek poczynił większe szkody, albo praca, albo charakter i sposób bycia. Najpierw jej wzrok zderzył się z wzrokiem Jezusa, a wtedy jej twarz, jak gdyby podniosła się zasłaniająca ją wcześniej chmura, nagle pojaśniała, lecz zaraz zobaczyła siostrę

i poczęła wątpić, jej rysy ułożyły się w wyraz niezadowolenia, Kim on dla niej jest, mogła sobie tak pomyśleć, albo, Dlaczego z nią przyszedł, skoro jest tym, na kogo wygląda, jednakże Marta nie potrafiłaby powiedzieć, gdyby jej kazano, na kogo wyglądał Jezus. Z pewnością z tego właśnie powodu, zamiast zapytać siostry, Jak się masz, albo, Po co przyszedł, wypowiedziała następujące słowa, Kim jest ten mężczyzna, który ci towarzyszy. Jezus uśmiechnął się, a jego uśmiech z szybkością i siłą strzały trafił prosto do serca Marty i bolał ją, bolał jak dziwna i nieznana rozkosz, Nazywam się Jezus z Nazaretu, powiedział, jestem z twoją siostrą, słowa te były, mutatis mutandis, tak jak by to potrafili powiedzieć Rzymianie w swoim łacińskim języku, równoznaczne z tamtymi, które wykrzyczał do swego brata Jakuba, kiedy rozstał się z nim nad brzegiem jeziora, Nazywa się Maria z Magdali i jest ze mną. Marta otworzyła drzwi na dobre i rzekła, Wejdźcie, jesteście w moim domu, choć nie wiadomo było, októrym z tych dwojga myślała. Już na podwórku Maria z Magdali złapała siostrę za ramię, mówiąc do niej, Należę do tego domu tak samo, jak i ty należysz, należę do tego mężczyzny, który nie należy do ciebie, jestem w porządku wobec ciebie i wobec niego, dlatego nie obnosz się z twoją prawością i nie potępiaj mojej niedoskonałości, przyszedłam w pokoju i w pokoju chcę pozostać. Marta rzekła, Przyjmuję cię jako moją siostrę poprzez więzy krwi i mam nadzieję, że nastanie dzień, w którym cię przyjmę z miłością, lecz dzisiaj nie, miała ciągnąć dalej, ale powstrzymała ją pewna myśl, otóż nie wiedziała, czy mężczyzna, który był z siostrą, orientował się, jakie życie niegdyś wiodła, oile nie wiodła go nadal, wówczas, dokładnie na tym etapie rozumowania, na jej twarzy wystąpił rumieniec wraz ze zmieszaniem, przez chwilę nienawidziła ich obojga i samej siebie, w końcu Jezus przemówił, aby Marta usłyszała to, co należy, nie tak trudno jest odgadnąć, dokąd zmierzają ludzkie myśli, Bóg osądza nas wszystkich i każdego dnia osądzał nas będzie inaczej, według tego, czym każdego dnia jesteśmy, gdyby Bóg miał dziś osądzić ciebie, Marto, nie przypuszczaj nawet, iż w jego oczach różniłabyś się od Marii, Wyrażaj się jaśniej, nie rozumiem cię, Nie powiem ci już nic więcej, zachowaj me słowa w twoim sercu i powtarzaj je sobie, kiedy będziesz patrzeć na twoją siostrę, Maria już nie, Chcesz wiedzieć, czy już nie jestem dziwką, brutalnie zapytała Maria z Magdali, ucinając niedomówienie siostry. Marta cofnęła się, zaczęła machać rękami na wysokości twarzy, Nie, nie, nie chcę, żebyś mi to mówiła, wystarczą mi słowa Jezusa, i nie mogąc się powstrzymać, zaczęła płakać. Maria podeszła do niej i objęła ją tak jak do kołysania, Marta mówiła, szlochając, Co za życie, co za życie, lecz nie wiadomo było, czy chodzi jej o życie siostry, czy o swoje własne. A gdzie jest Łazarz, zapytała Maria, W synagodze, Jak tam jego zdrowie, Nadal cierpi na te swoje duszności, a poza tym miewa się niezłe. Miała ochotę dodać w nowym porywie rozgoryczenia, że ta troska

nico późnawo się objawia, ponieważ przez wszystkie lata grzesznej nieobecności marnotrawna siostra, marnotrawna z chronologicznego, ale także obyczajowego i cielesnego punktu widzenia, pomyślała Marta z pogardliwą ironią ani razu nie dowiadywała się, co słycać u rodziny, a zwłaszcza u brata, którego marne zdrowie w każdej chwili mogło lec w ostatecznej ruinie. Obracając się do Jezusa stojącego o dwa kroki w tyle i z uwagą obserwującego źle skrywany konflikt, Marta rzekła, Nasz brat przepisuje księgi w synagodze, ale nie ma już do tego zdrowia, jej ton, chociaż na pewno nie miała takiego zamiaru, był tonem kogoś, kto nigdy nie zrozumie, jak można żyć bez tej niespożytej siły, bez tej nieustannej pracy, bo ja przez cały święty dzień nie mam chwili wytchnienia. Na co cierpi Łazarz, spytał Jezus, Na duszności, takie że zdaje się, jakby jego serce miało się zatrzymać, a potem blednie i jest taki blady, wygląda jakby umierał. Marta przerwała i zaraz dodała, Jest najmłodszy z nas, rzekła to bez zastanowienia, może dlatego, że uderzyła ją młodość samego Jezusa, ponownie zmieszała się w duchu, uczucie zazdrości dotknęło jej serca, a skutkiem tego wszystkiego były słowa, które zabrzmiały dziwnie z uwagi na stojącą tam Marię z Magdali, bo to ona miała obowiązek i prawo wygłoszenia ich, Jesteś zmęczony, usiądź sobie, a ja obmyję ci stopy. Nieco później, gdy Maria była sama z Jezusem, odezwała się doń pół żartem pół serio, Z tego co widać i słycać, te siostry urodziły się po to, by się w tobie zakochać, a Jezus odparł, Serce Marty bardzo jest zasmucone tym, że nie ma ona życia, Jej smutek nie na tym polega, smuci się dlatego, że jej się wydaje, że nie ma sprawiedliwości w niebie, skoro nieczysta otrzymuje nagrodę, a cnotliwa ma puste ciało, Bóg jej to wyrówna inaczej, Być może, lecz Bóg, który stworzył świat, nie powinien odbierać żadnego owocu swego dzieła kobietom, których także był autorem, Na przykład mężczyzny, Owszem, ty przecież też poznałeś kobietę, chociaż, będąc synem Boga, nie powinieneś tego potrzebować, Nie sypia z tobą syn Boga, lecz syn Józefa, Doprawdy, nigdy od momentu twego przyjścia nie czułam, że sypiam z synem jakiegoś boga, Boga, chcesz powiedzieć, Jak bardzo bym chciała, abyś nim nie był.

Marta posłała małego chłopca, syna sąsiadów, żeby powiadomił brata o powrocie Marii, lecz postąpiła tak nie bez wahania, gdyż niechybnie miało się to przyczynić do szybszego rozpuszczenia nieuniknionej acz smakowitej nowiny, że siostra Łazarza, ta nierządnicą, wróciła do domu, przez co rodzina znów będzie na ustach wszystkich, a przecież miniony czas już je zdążył jakoś tam pozamykać. Zadawała sobie pytanie, jak ona sama pokaże się na ulicy następnego dnia, albo co gorsza, czy starczy jej odwagi, żeby zabrać ze sobą siostrę i czy podoła obowiązkowi rozmowy z sąsiadkami i przyjaciółkami, mówiąc na przykład tak, Pamiętasz moją siostrę Marię, jest tutaj, wróciła, zaś tamta pokiwa ze

zrozumieniem głową, Pamiętam, pamiętam, któż by nie pamiętał, niechże więc te prozaiczne drobiazgi nie gorszą tego, kto traci na nie swój czas, nie cała Boża historia jest boska. Potępiła się Marta za swoje małostkowe myśli, kiedy Łazarz przybywając, uścisnął Marię i zwrócił się do niej po prostu, Witaj, moja siostró, jak gdyby nie bolały go tamte lata nieobecności i milczącego zmartwienia, natomiast Marcie wypadało teraz okazać radosny nastrój, więc wskazała na Jezusa i rzekła do brata, To jest Jezus, nasz szwagier. Obydwaj mężczyźni popatrzyli na siebie z sympatią i od razu zasiedli do rozmowy, podczas gdy kobiety, powtarzając gesty i ruchy, które ówczesnie były powszechne, zaczęły przygotowywać posiłek. Już po wieczerzy Jezus wyszedł z Łazarzem na podwórkę, żeby zaczerpnąć wieczornej świeżości, siostry pozostały w środku, bowiem musiały rozstrzygnąć ważną kwestię dotyczącą rozłożenia mat, biorąc pod uwagę zaistniałą w składzie rodziny zmianę, po chwili milczenia, spoglądając na pierwsze gwiazdy, które pojawiły się na jasnym jeszcze niebie, Jezus zapytał, Cierpisz, Łazarzu, a Łazarz opowiedział dziwnie spokojnym głosem, Tak, cierpię, Przystaniesz cierpieć, rzekł Jezus, Zapewne, kiedy umrę, Przystaniesz cierpieć teraz, Nie mówiłeś mi, że jesteś medykiem, Bracie, gdybym był medykiem, nie wiedziałbym, jak cię wyleczyć, Bo i nie możesz mnie wyleczyć, nawet jeśli nim nie jesteś, Jesteś wyleczony, wyszeptał Jezus łagodnie, biorąc go za rękę. Natychmiast Łazarz poczuł, że choroba ucieka z jego ciała na podobieństwo ciemnej wody pożeranej przez słońce, że oddech staje się miarowy a serce młodnieje, nie mógł zrozumieć tego, co się dzieje i strach wkradł się do jego duszy, Co to jest, zapytał zachrypniętym z trwogi głosem, Kim jesteś, Medykiem nie jestem, uśmiechnął się Jezus, W imię Boga, powiedz mi, kim jesteś, Nie przywołuj imienia Boga nadaremnie, Jak mam to rozumieć, Zawołaj Marię, ona ci wyjaśni. Nie było takiej potrzeby, Marta i Maria pojawiły się w drzwiach zwabione nagle podniesionymi głosami, a może ci dwaj się sprzecają, zaraz jednak zobaczyły, że nie, całe podwórkę było w kolorze błękitu, to znaczy powietrze, Łazarz, drżąc, wskazywał na Jezusa, Kim on jest, pytał, bo dotknął mnie swoją dłonią i powiedział, Jesteś wyleczony i od tego mnie wyleczył. Marta podeszła do brata z zamiarem uspokojenia go, jak niby mógł być wyleczony, skoro drżał w ten sposób, jednak Łazarz odepchnął ją, rzekł, Ty powiedz, Mario, kim on jest, bo ty go przyprowadziłaś. Nie ruszając się z progu, na którym stała, Maria z Magdali powiedziała po prostu, To Jezus z Nazaretu, Syn Boga. Mimo że mowa jest o tych miejscach i o tym czasie, które od samego początku świata korzystają z obfitości proroczych objawień oraz apokaliptycznych zapowiedzi, najnormalniejszą rzeczą pod słońcem byłaby stanowcza niewiara okazana przez Łazarza i Martę, albowiem uznanie się przez kogoś za cudownie wyleczonego oraz usłyszenie, że człowiek, który dotknął twej dłoni i uwolnił cię od choroby,

jest samym Synem Boga, to są dwie różne sprawy. Jednakże wiara i miłość mogą wiele, niektórzy twierdzą nawet, że wcale nie muszą chodzić razem, aby móc wszystko, doszło do tego, że Marta z płaczem rzuciła się Jezusowi w ramiona, po czym, przestraszona własną śmiałością, ześlizgnęła się na ziemię, gdzie pozostała i tylko potrafiła szeptać z odmienionym wyrazem twarzy, Obmyłam ci stopy, obmyłam ci stopy. Łazarz nie poruszył się, był sparaliżowany strachem, możemy wręcz przypuszczać, iż niespodziane objawienie nie poraziło go tylko dlatego, że stosowny akt miłości był minutę wcześniej sprawcą zamiany jego starego serca na nowe serce. Uśmiechnięty Jezus podszedł do niego i uściskał go, po czym powiedział, Nie dziw się, że Syn Boga jest synem człowieka, zaprawdę, Bóg nie miał innej możliwości wyboru, tak samo jak mężczyźni, którzy wybierają swoje kobiety i kobiety, które wybierają swoich mężczyzn.

Ostatnie słowa były przeznaczone dla Marii, a ona dobrze je przyjęła, jednakże Jezus nie uświadomił sobie, że posłużą one przede wszystkim do zwiększenia cierpienia Marty oraz do pograżenia jej w rozpacz wywołanej samotnością, na tym polega różnica pomiędzy Bogiem i Jego Synem, Bóg zrobiłby to naumyślnie, Syn popełnił jak najbardziej ludzką niezręczność. Mimo wszystko, dziś w tym domu panuje wielka radość, jutro Marta znowu będzie cierpieć i wzdychać, ale z pewnością w jednym jej ulżyło, już nikt się nie ośmielił rozpowiadać po ulicach, placach i targach Betanii o rozwiązłym życiu jej siostry, kiedy wyjdzie na jaw, a sama Marta o to się postara, że mężczyzna, który z nią przyszedł, uzdrowił Łazarza z jego choroby bez syropów i naparów. Siedzieli w domu i delektowali się tą godziną, a Łazarz powiedział, Od czasu do czasu dochodziły nas wieści, że jakiś człowiek czyni cuda w Galilei, ale nie że jest Synem Boga, Jedne wieści biegną szybciej od drugich, rzekł Jezus, To ty jesteś tym człowiekiem, Ty to powiedziałaś. Wówczas Jezus opowiedział swoje życie od samego początku, wszelako nie całe, nic o Pasterzu, a o Bogu tylko tyle, że objawił mu się i powiedział, Jesteś moim Synem. Gdyby nie tamta pierwsza wieść oodległych cudach, która przerodziła się w czystą prawdę za sprawą namacalnej oczywistości tego ostatniego, gdyby nie moc wiary, gdyby nie miłość i jej władza, z pewnością Jezus miałby wiele trudności z przekonaniem Łazarza i Marty, na podstawie tylko jednego lakonicznego zdania, chociaż umieszczonego w ustach samego Boga, że człowiek, który za jakiś czas położy się z ich siostrą, jest zrobiony z boskiego ducha, a przecież w ludzkim ciele zbliżył się do tej, która tylu mężczyzn poznała, nie bojąc się Boga. Wybaczmy Marcie pychę każącą jej po cichu, tak by nikt nie słyszał, powiedziec z głową nakrytą prześcieradłem, Ja byłabym godniejsza.

Następnego ranka wieść rozeszła się lotem błyskawicy, wszyscy w Betanii wychwalali Pana i składali Mu dziękczynienia, a ci, którzy nieśmiało powątpiewali, uważając, iż ziemia jest za mała na wielkie zdarzenia, musieli się poddać na widok cudownie uzdrowionego Łazarza, o którym wszak nie można powiedzieć, że zaczął handlować zdrowiem, gdyż miał tak czułe serce, że gdyby mógł, najzwyczajniej by je rozdał. Już przed drzwiami domu gromadzili się ciekawscy pragnący na własne, a zatem nie kłamliwe oczy ujrzeć autora sławionego wyczynu, a gdyby to było możliwe, dotknąć go dla ostatecznej pewności. Przybyli również, jedni na własnych nogach, inni na rękach albo na plecach krewnych, chorzy do uzdrowienia, było ich tylu, że nie mieścili się na wąskiej uliczce, przy której mieszkał Łazarz ze swymi siostrami. Znając się już na tych sprawach, Jezus kazał ogłosić, że przemówi do wszystkich na największym placu w wiosce i żeby tam właśnie się udali, a on do nich dołączy. Dobrze, dobrze, jak ktoś ma już ptaszka w garści, to nie będzie taki głupi i nie pozwoli mu wyfrunąć, raczej zrobi mu z palców jeszcze pewniejszą klatkę. Dzięki takiemu rozsądkowi albo nieufności, nikt się stamtąd nie ruszył, a Jezus musiał się pokazać i wyjść tak jak ktokolwiek inny, równy nam, pojawiając się w drzwiach bez muzyki i blasku, bez drżenia ziemi i ruchów nieba, Oto jestem, rzekł, starając się mówić naturalnym tonem i choć zdawało mu się, że tak jest, słowa te, wychodząc od tego, od kogo wychodziły, same przez siebie mogły rzucić całą wioskę na kolana i sprawić, by poczęła się domagać zmiłowania, Zbaw nas, krzyczeli jedni, Ulecz mnie, błagali inni. Jezus wyleczył jednego, bo ten był niemy i o nic nie mógł poprosić, natomiast pozostałych odesłał do domu, albowiem nie mieli wystarczającej wiary, kazał im wrócić następnego dnia i wyjaśnił, że najpierw muszą się nawrócić, bo królestwo Boże jest blisko, a czas niebawem się wypełni, znana to już nauka. Czy ty jesteś Synem Boga, zapytali go i Jezus odpowiedział w sposób zagadkowy, do czego przywycał już tych, co go słuchali, Gdybym nim nie był, prędzej Bóg by z ciebie zrobił niemowę, niżby pozwolił, abys mnie o to pytał.

Od tych sławnych czynów rozpoczął się pobyt Jezusa w Betanii mający trwać do dnia umówionego spotkania z uczniami, którzy naonczas przebywali w odległych stronach. Oczywiście niebawem zaczęła tam napływać ludność z okolicznych miast i wiosek, gdyż wiadano już, że człowiek czyniący cuda na północy, zatrzymał się teraz w Betanii. Jezus nie potrzebował nawet wychodzić z domu Łazarza, bowiem ludzie przychodzili tam jak do miejsca pielgrzymek, lecz Jezus nie przyjmował ich, nakazywał by gromadzili się na górze znajdującej się poza wioską, dopiero w tamtym miejscu głosił potrzebę nawrócenie się i uzdrawiał co niektórych. Tak wiele zostało powiedziane, że głosy dotarły aż do Jerozolimy, przez co tłumy rozrastały się, a Jezus zadawał sobie pytanie, czy powinien robić to dalej,

zwiększając tym samym ryzyko wybuchu zamieszek, z którymi zawsze należy się liczyć przy nadmiernych zgromadzeniach. Wysłuchawszy pogłosek o nadziei na zbawienie i wyleczenie, z Jerozolimy przybywało początkowo pospólstwo, lecz niebawem zaczęli się również pojawiać ludzie z wyższych klas społecznych, byli między nimi nawet faryzeusze i uczeni w Piśmie, którzy wzbraniali się przed daniem wiary temu, że jakiś człowiek przy zdrowych zmysłach, miał czelność, toć to samobójca, nazywać siebie, dosłownie, Synem Bożym. Powracali do Jerozolimy rozdrażnieni i zakłopotani, ponieważ Jezus nigdy nie odpowiadał twierdząco na ich pytania, cała jego mowa dotycząca pokrewieństwa sprowadzała się do określania siebie jako Syna Człowieczego, natomiast, gdy mówił o Bogu i wyrwało mu się słowo Ojciec, widać było, że chodzi mu o Ojca wszystkich ludzi, a nie tylko swojego. Pozostawał zatem nie podlegający raczej polemice problem mocy uzdrowicielskiej, na którą dostarczał coraz to nowych dowodów, obywając się bez kuglarskich zabiegów i stosując nad wyraz proste metody, jedno lub dwa słowa, Idź, Wstań, Powiedz, Patrz, Oczyszczyć się, delikatne dotknięcie dłonią, łagodne potarcie końcami palców, i zaraz po tym skóra trędowatych błyszczała jak rosa we wczesnym słonecznym świetle, niemi i jękający się upajali się strumieniami uwolnionych słów, paralitycy wyskakiwali z łóżek i tańczyli do upadłego, niewidomi nie wierzyli w to, co mogły zobaczyć ich oczy, chromi biegali, biegali, potem z czystej radości udawali chromych i znowu biegali, Nawracajcie się, mówił im Jezus, Nawracajcie się, i nie prosił onic więcej. Jednak wyżsi kapłani ze Świątyni, najlepiej wiedzący o zamieszaniu i innych historycznych zaburzeniach wynikłych w swoim czasie za sprawą różnego rodzaju proroków oraz wieszczów, po zmierzeniu i zważeniu wszystkich słów usłyszanych od Jezusa orzekli, że w tym czasie nie dojdzie do wstrząsów religijnych, społecznych i politycznych takich jak w przeszłości i że począwszy od dnia dzisiejszego z uwagą będą śledzić wszystkie czyny i wypowiedzi Galilejczyka po to, by w razie konieczności, a wszystko wskazuje, że takowa się pojawi, zostało wytrzebione i wyrwane z korzeniami zło, które już jest zapowiadane, ponieważ, jak mówił najwyższy kapłan, Mnie on nie oszuka, Syn Człowieczy jest Synem Bożym. Jezus nie poszedł siał ziarna do Jerozolimy, lecz w Betanii przygotowywał, wykuwał i ostrzył sierp, którym w Jerozolimie miano go zżąć.

Czas upływał, aż jednego dnia dwóch, następnego dnia znowu dwóch, za każdym razem w parach, lub we czterech, spotkawszy się uprzednio po drodze, poczęli ściągać do Betanii uczniowie. Ich relacje odbiegały od siebie jedynie w ostatnich szczegółach i okolicznościach, wszystkie zaś przynosiły tę samą wiadomość, otóż z pustyni wyszedł jakiś człowiek, który prorokował na starą modłę, tak jakby głosem przetaczał kamienie a rękami przesuwiał góry, zapowiadając kary mające spaść na lud oraz rychłe nadejście Mesjasza. Nie

udało im się go spotkać, bowiem nieustannie przenosił się z miejsca na miejsce, przez co posiadane przez nich informacje, jakkolwiek z reguły zbieżne, pochodziły wyłącznie z drugiej ręki, zaś oni nie udali się jego śladem tylko dlatego, że dobiegał końca ustalony trzymiesięczny termin i nie chcieli spóźnić się na spotkanie. Jezus zapytał więc, czy wiedzą, jakie jest imię proroka, a oni odrzekli, że Jan, takie właśnie imię nosił człowiek, który miał mu przyjść z pomocą, zgodnie z tym, co Bóg zapowiedział przy pożegnaniu. Już przyszedł, powiedział Jezus, zaś przyjaciele nie zrozumieli znaczenia tych słów, zrozumiała je tylko Maria z Magdali, ale ona wiedziała wszystko. Jezus chciał od razu iść na poszukiwanie Jana, który ze swej strony na pewno będzie go szukał, lecz do pełnej dwunastki brakowało jeszcze Tomasza oraz Judasza Iskarioty, mogli oni przynieść wiadomości dokładniejsze i bardziej bezpośrednie i dlatego Jezusowi bardzo dłużyło się oczekiwanie. Wszelako warto było zaczekać, spóźnialscy widzieli bowiem Jana i rozmawiali z nim. Przyszli też ci, którzy zatrzymali się w namiotach poza Betanią, gdyż chcieli wysłuchać sprawozdania Tomasza i Judasza Iskarioty, wszyscy zasiedli w krąg na podwórzu domu Łazarza, a Marta i Maria oraz inne kobiety usługiwały im. Judasz Iskariota i Tomasz opowiadali na przemian. Powiedzieli, że Jan był na pustyni, kiedy zostało do niego skierowane słowo Boże, w związku z czym udał się na brzeg Jordanu, aby głosić chrzest nawrócenia dla odpuszczenia grzechów, szły do niego tłumy, żeby się ochrzcić, a on przyjął je krzykami, które my słyszeliśmy i które nas przeraziły, Plemię zmijowe, kto wam pokazał, jak uciec przed nadchodzącym gniewem, wydajcie więc godny owoc nawrócenia, a nie myślcie, że możecie sobie mówić, Abrahama mamy za ojca, bo powiadam wam, że z tych kamieni może Bóg wzbudzić dzieci Abrahamowi, już siekiera do korzenia drzew jest przyłożona, każde więc drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone, wtenczas trwoga ogarnęła tłumy i zapytali go, Co mamy czynić, a Jan odpowiedział im, Kto ma dwie suknie, niech jedną da temu, który nie ma, a kto ma żywność, niech tak samo czyni, a celnikom powiedział, Nie pobierajcie nic więcej ponad to, co w prawie ustanowiono, ale nie sądzcie, że prawo jest sprawiedliwe tylko dlatego, że je nazywacie prawem, a żołnierzom, którzy go zapytali, A my, co mamy czynić, odpowiedział, Nad nikim się nie znęcajcie i nikogo nie uciskajcie, lecz poprzestawajcie na waszym żołdzie. W tym miejscu umilkł Tomasz, który rozpoczął opowieść, a do głosu doszedł Judasz Iskariota i ciągnął dalej, Zapytali go wówczas, czy to on jest Mesjaszem, zaś on odpowiedział, Ja was chrzczę wodą, lecz idzie mocniejszy ode mnie, któremu nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u sandałów, on chrzcić was będzie Duchem Świętym i ogniem, ma on wiejadło w ręku dla oczyszczenia swego omlotu, pszenicę zbierze do spichlerza, a plewy spali w ogniu nieugaszonym. Nic więcej nie powiedział Judasz

Iskariota i wszyscy spodziewali się, że przemówi Jezus, ale on rysował palcem jakieś zagadkowe znaki na ziemi i zdawało się, że czeka, aż odezwie się któryś z nich. Wtedy rzekł Piotr, Czy ty jesteś Mesjaszem, którego zapowiedział Jan, a Jezus, nie przestając rysować, odparł, Ty to mówisz, nie ja, albowiem mnie Bóg powiedział tylko, że jestem Jego Synem, tu przerwał, po czym dokończył, Pójdę szukać Jana, Pójdziemy z tobą, rzekł ten, który również nosił imię Jan, syn Zebedeusza, ale Jezus powoli potrząsnął głową, Pójdę sam, tylko z Tomaszem i Judaszem Iskariotą, ponieważ go znają, i zwrócił się do Judasza, Jaki on jest, Wyższy od ciebie i mocniej zbudowany, ma wielką brodę, która wygląda, jakby była zrobiona z kolców, nosi odzienie ze skóry wielbłądziej i pas skórzany około bioder, jak mówią, tam na pustyni jego pokarmem jest szarańcza i miód leśny, On bardziej wygląda na Mesjasza niż ja, rzekł Jezus i podniósł się z kręgu.

Wszyscy trzej wyruszyli rankiem następnego dnia i wiedząc, że Jan nigdy nie pozostaje zbyt długo w jednym miejscu, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa i tak zastaną go na brzegach Jordanu przy udzielaniu chrztów, zeszli z położonej na wyżynie Betanii do miejscowości Betabara znajdującej się na wybrzeżu Morza Martwego i zamierzali posuwać się w górę rzeki aż do Jeziora Galilejskiego, a gdyby trzeba było, to jeszcze bardziej na północ, do samego źródła. Kiedy wychodzili z Betanii, nawet im przez myśl nie przeszło, że ich wyprawa będzie taka krótka, albowiem już w Betabarze spotkali samotnego Jana, który zdawał się na nich czekać. Ujrzeni go z daleka, maleńką postać człowieka siedzącego nad brzegiem rzeki, otoczonego sinymi górami, które były jak czaszki, i dolinami przypominającymi bolące jeszcze blizny, z prawej zaś strony, złowieszczo połyskując pod słońcem i białym niebem, rozciągało się straszliwe Morze Martwe, które kojarzyło się z roztopioną cyną. Kiedy zbliżyli się na odległość strzału z procy, Jezus zapytał towarzyszy, To on, a oni przyjrzeni się uważnie, robiąc z dłoni daszek na wysokości brwi, po czym odpowiedzieli, Gdyby to nie był on, musieliby być bliźniakami, Zaczekajcie tutaj, aż wrócę, powiedział Jezus, nie podchodźcie blisko, niech się dzieje, co chce, i bez słowa począł schodzić w stronę rzeki. Tomasz i Judasz Iskarota usiedli na wypalanej ziemi, patrzyli, jak Jezus się oddala, jak znika i na nowo się pojawia, pokonując nierówności terenu, jak dochodzi do opadającego ku rzece brzegu i zmierza w kierunku Jana, który przez cały ten czas ani razu się nie poruszył. Obyśmy się nie pomylili, rzekł Tomasz, Powinniśmy byli podejść bliżej, stwierdził Judasz Iskariota, lecz Jezus miał pewność, gdy tylko go ujrzał, zapytał po to, żeby zapytać. Tam na dole Jan podniósł się i patrzył na zbliżającego się Jezusa. Co sobie powiedzą, zapytał Judasz Iskariota, Może Jezus nam powie, a może będzie milczał, rzekł Tomasz. Teraz dwaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie i rozmawiali z ożywieniem, można to było wyczytać

z ich gestów i z ruchów wykonywanych kosturami, po jakimś czasie zeszli do wody, stąd nie można było ich dostrzec, ponieważ zostali zasłonięci przez wypukłość terenu, jednakże Tomasz z Judaszem wiedzieli, co się tam dzieje, gdyż Jan ochrzcił również ich, obydwaj weszli do rzeki po pas, a Jan, nabierając wody w dwie złożone dłonie i unosząc ją do nieba, polewał głowę Jezusa i mówił, Chrzczę ciebie wodą, niech ona podsyca twój ogień. Już to zrobił, już to powiedział, wychodzą z rzeki Jan z Jezusem, podnieśli z ziemi swoje kostury, bez wątpienia wypowiadają teraz słowa pożegnania, już je wypowiedzieli i uściskali się, Jan zaczyna iść wzdłuż brzegu na północ, Jezus zmierza w naszą stronę. Tomasz wraz z Judaszem Iskariotą stoją i czekają na niego, on przychodzi i ponownie nie mówiąc ani słowa, mija ich i idzie dalej w stronę Betanii. Kroczą za nim uczniowie, niemalym ogarnięci gniewem, gryzie ich nie zaspokojona ciekawość i w pewnym momencie Tomasz nie mógł już się powstrzymać, nie zważając na gest Judasza, który usiłował jeszcze go powstrzymać, zapytał, Nie chcesz nam powiedzieć o tym, co usłyszałeś od Jana, Jeszcze nie nadeszła pora, odrzekł Jezus, Powiedział ci przynajmniej, że jesteś Mesjaszem, Jeszcze nie nadeszła pora, powtórzył Jezus, zaś uczniowie nie zrozumieli, czy jedynie powtarzał to, co powiedział wcześniej, czy też oznajmiał im, że nie nadeszła jeszcze pora przybycia Mesjasza. Ku takiej hipotezie skłonił się Judasz, kiedy rozczarowani pozostali z tyłu, podczas gdy Tomasz, sceptycznie nastawiony z powodu upartego i stanowczego nachylenia swego umysłu, uważał, że chodziło o zwyczajne powtórzenie. Na domiar złego zniecierpliwione, dodał.

Tylko Maria z Magdali dowiedziała się tej nocy, co to było, nikt więcej, Nie rozmawialiśmy wiele, rzekł Jezus, gdy tylko się przywitaliśmy, chciał się przekonać, czy to ja jestem tym, który ma przyjść, czy może powinniśmy czekać na innego, A ty co mu odpowiedziałeś, Powiedziałem mu, że niewidomi widzą, a chromi chodzą, trędowaci zostają oczyszczeni a głusi słyszą, zaś Dobra Nowina głoszona jest ubogim, A on, Nie ma potrzeby, aby Mesjasz czynił aż tyle, Tak powiedział, Tak, takie dokładnie były jego słowa, A co powinien czynić Mesjasz, O to go zapytałem, A on, Odpowiedział mi, że sam muszę do tego dojść, A potem, Już nic więcej, zaprowadził mnie do rzeki, ochrzcił mnie i poszedł, Jakie słowa wypowiedział, kiedy cię chrzcił, Chrzczę ciebie wodą, niech ona podsyca twój ogień. Po tej rozmowie z Marią z Magdali Jezus nie odzywał się przez cały tydzień. Wyszedł z domu Łazarza i opuścił Betanię, udając się do miejsca, w którym przebywali jego uczniowie, jednak zamieszkał w osobnym namiocie i nie wychodził z niego w ciągu dnia, nawet Maria z Magdali nie miała tam wstępu, wieczorem wychodził i szedł w pustynne góry. Niekiedy uczniowie śledzili go po kryjomu, usprawiedliwiając się przed samymi sobą chęcią osłonięcia go przed dzikimi bestiami, októrych w rzeczywistości nigdy tam nie słyszano, widzieli

wtenczas, że szuka otwartej przestrzeni, po czym zasiada i patrzy, nie w niebo lecz przed siebie, jak gdyby oczekiwał, że spośród niepokojących cieni dolin albo spoza grzbietu pagórka wyłoni się jakaś postać. Był to czas księżycy, nadchodzącą osobę można było dostrzec z daleka, jednak nikt się nigdy nie pojawił. Kiedy pierwszy świt stawał na progu świata, Jezus powracał do obozowiska. Zjadał niewiele z tego, co Jan i Judasz Iskariota, raz jeden, raz drugi, mu przynosili, lecz nie odpowiadał na ich pozdrowienia, a raz zdarzyło się, że bardzo niegrzecznie odprawił Piotra, który chciał tylko dowiedzieć się, czy mu czego nie potrzeba i czy ma jakieś polecenia. Nie całkiem pomylił się Piotr, podejmując ten krok, choć stało się to zbyt wcześnie, albowiem po upływie ośmiu dni Jezus wyszedł ze swego namiotu w samo południe, przyłączył się do swoich uczniów i zjadł razem z nimi, zaś na koniec powiedział, Jutro pójdziemy do Jerozolimy, do Świątyni, tam zrobicie to, co ja zrobię, bo czas już, żeby Syn Boży dowiedział się, do czego służy dom jego Ojca, a Mesjasz zaczął czynić to, co powinien. Zapytali go uczniowie, do czego się odnoszą te słowa, ale Jezus nie powiedział im nic ponad to, Nie będziecie musieli długo żyć, aby się o tym dowiedzieć. Uczniowie nie byli przyzwyczajeni do takiego tonu ani do surowego wyrazu jego twarzy, nie przypominał on Jezusa, którego znali, spokojnego i łagodnego, którego Bóg prowadził wedle własnego uznania, a on prawie wcale się nie skarżył. Nie mogło być wątpliwości, iż ta zmiana miała swój powód w przyczynach na razie nie znanych, każących mu odłączyć się od wspólnoty przyjaciół i chodzić, jak gdyby opętały go demony nocy, po tych wzgórkach i parowach w poszukiwaniu słowa, którego zawsze się szuka. Jednak Piotr, jako najstarszy z nich wszystkich, uznał, że niedobrze się stało, że Jezus bez żadnego wytłumaczenia rozkazał im, Idziemy do Jerozolimy, jak gdyby byli zaledwie patykami do gry, którymi dobrze się rzuca, ale one same nie wiedzą dlaczego. Wówczas rzekł, Wciąż uznajemy twoją moc i twoją władzę i pogodziliśmy się z nimi, zarówno przez to co mówisz, jak i przez to co czynisz, zarówno przez to, że jesteś Synem Boga, jak i przez to że jesteś takim człowiekiem, lecz nie powinieneś obchodzić się z nami, jakbyśmy byli nierozważnymi chłopcami albo zgrzybiałymi starcami, jeżeli nie będziesz nam przekazywał twoich myśli, czynić będziemy zaledwie to, co ty czynisz, a rozum, który mamy, nie zostanie przywołany do sądenia tego, czego od nas oczekujesz, Wybaczcie mi wszyscy, powiedział Jezus, lecz ja sam nie wiem, co mnie prowadzi do Jerozolimy, powiedziano mi tylko, że muszę iść, nic poza tym, lecz wy nie macie obowiązku mi towarzyszyć, Kto ci powiedział, że musisz iść do Jerozolimy, Ktoś kto wszedł do mojej głowy po to, żeby mi mówić, co mam robić i czego nie robić, Bardzo się zmieniłeś od czasu twego spotkania z Janem, Zrozumiałem, że nie wystarczy nieść pokój, trzeba także nieść miecz, Skoro Królestwo Boże jest już blisko, do czego ma służyć miecz, zapytał

Andrzej, Bóg nie powiedział mi, którędy przyjdzie do was Jego królestwo, doświadczyliśmy pokoju, doświadczyliśmy i miecza, zaś Bóg dokona swego wyboru, lecz powtarzam, nie macie obowiązku mi towarzyszyć, Dobrze wiesz, że pójdziemy z tobą, dokądkolwiek pójdziesz, rzekł Jan, a Jezus odpowiedział, Nie przysięgajcie, dowiecie się tego wy, którzy tam dotrzecie.

Następnego ranka, gdy Jezus poszedł do domu Łazarza nie tyle po to, aby się pożegnać, ale by z życzliwością okazać, iż powrócił do normalnego życia wśród ludzi, Marta powiedziała mu, że brat wyszedł już do synagogi. Wówczas Jezus wraz ze swoimi skierował się w stronę Jerozolimy, a Maria z Magdali i inne kobiety poszły z nimi aż do ostatnich domów Betanii, gdzie pozostały, machając im na pożegnanie i mogły to robić w nieskończoność, albowiem żaden z mężczyzn ani razu nie obrócił się do tyłu. Niebo jest zachmurzone, zanoszą się deszcz, być może dlatego na gościńcu nie ma za dużo ludzi, ci których siła wyższa nie zmusza do wędrowania do Jerozolimy, zostali w domach, czekając aż gwiazdy podejmą jakąś decyzję. Natomiast trzynastu kroczy drogą najczęściej opustoszałą, podczas gdy skłębione, ołowiane chmury przetaczają się ponad szczytami gór, jak gdyby na zawsze miały się dopasować niebo do ziemi, odlew do formy, samiec do samicy, wypukłość do wklęsłości. Kiedy dotarli do bram miasta, mogli zobaczyć, iż tłumy były tak samo liczne i tak samo jednolite jak wcześniej, tradycyjnie już trzeba było stracić dużo czasu tudzież cierpliwości, aby utorować sobie przejście i dotrzeć do Świątyni. Tym razem stało się jednak inaczej. Wygląd trzynastu mężczyzn, w większości bosych, dzierżących swe wielkie kostury, mających rozwiane brody oraz grube i ciemne peleryny narzucone na tuniki, które chyba widziały początek świata, sprawiał, że rozstępowali się ludzie, pytając jedni drugich, Kim oni są, kim jest ten, co idzie na przedzie i nie potrafili odpowiedzieć, aż wreszcie jakiś przybysz z Galilei wyjaśnił, To Jezus z Nazaretu, który czyni cuda i mówi, że jest Synem Boga, Dokąd zmierzają, padały pytania, i skoro jedynym sposobem uzyskania odpowiedzi było podążanie za nimi, wielu tak uczyniło, dochodząc w końcu do wejścia do Świątyni, już nie było ich tylko trzynastu, lecz tysiąc, który jednak czekał, aż tamci zaspokoją jego ciekawość. Jezus podszedł do zmieniających pieniądze i rzekł do uczniów, Oto po co przyszliśmy, i zaczął przewracać stoły, popychając i uderzając po kolei tych, co kupowali i sprzedawali, wówczas podniosła się wrzawa, która uniemożliwiłaby usłyszenie wypowiedzianych przezeń słów, gdyby nie dziwne zjawisko polegające na tym, że jego naturalny głos zabrzmiał metalicznym tonem, Z domu, który miał być domem modlitwy dla wszystkich narodów, wy uczyniliście jaskinię zbójców, nie przerywał przy tym obalania stołów, rozsypując na wszystkie strony monety, ku olbrzymiej uciechu tych z owego tysiąca, którzy pospiesznie zbierali tę mannę.

Taką samą robotą zajmowali się uczniowie i w końcu ławki sprzedawców gołębi również zostały rzucone na ziemię, zaś wolne gołębie fruwały ponad Świątynią, szaleńczo wirując wokół dymu z ołtarza, na którym nie będą spalone, bowiem przybył ich zbawiciel. Nadeszli strażnicy Świątyni uzbrojeni w pałki, aby ukarać i uwięzić lub też przegnać awanturników, ale, na swoją zgubę, natrafili na trzynastu hardych Galilejczyków, przy wtórze okrzyków zmiatających swymi kosturami wszystkich śmiałków zdecydowanych stawić im czoło, Chodźcie tutaj, chodźcie wszyscy, bo Bóg do wszystkich przyjdzie, i szarżowali na strażników i rozbijali ławki, nagle pojawiła się jakaś zapalona pochodnia, niebawem zajęły się plandeki i w powietrzu począł unosić się drugi słup dymu, ktoś krzyknął, Wezwijcie rzymskich żołnierzy, ale nikt na to nie zwrócił uwagi, niezależnie o tego, co się działo, Rzymianie nie mieli prawa wstępu do Świątyni. Nadbiegło więcej strażników, ci mieli włócznie i miecze, a do nich przyłączyli się co poniektórzy sprzedawcy gołębi oraz mężczyźni zmieniający pieniądze, którzy postanowili nie pozostawiać obrony własnych interesów w obcych rękach, szczęście stopniowo odwracało się od trzynastu, jeśli zaś Bóg pragnął tej walki tak samo jak krucjat, to nie wydawało się, aby w dostatecznym stopniu zależało mu na zwycięstwie swoich. W pewnym momencie na szczycie schodów pojawił się najwyższy kapłan w towarzystwie swych parów, starszych i uczonych w Piśmie, których w pospiechu udało mu się zwołać, i zagrzmał głosem w niczym nie ustępującym Jezusowemu. Tym razem pozwólcie mi odejść, lecz kiedy tu wróci, posiekamy go i wyrzucimy jak kąkol, którego za dużo jest na polu i dlatego może przytłumić pszenicę. Rzekł Andrzej do Jezusa walczącego obok niego, Dobrze że powiedziałeś, że przyniosłeś miecz, bo teraz już wiemy, że kostury to nie miecze, a Jezus odparł, W ramieniu, które wymachuje kosturem i włada mieczem, widzi się różnicę, Co teraz zrobimy, Wracajmy do Betanii, odpowiedział Jezus, nie miecza nam brakuje, lecz ramienia. Wycofali się w uporządkowanym szyku z kosturami wycelowanymi na gwizdy i szyderstwa tłumu, który nie rwał się do śmielszych czynów. Po niedługim czasie zdołali wyjść z Jerozolimy, wszyscy byli zmęczeni, a niektórzy poobijani, i udali się w drogę powrotną.

Kiedy weszli do Betanii, spostrzegli, że sąsiedzi spoglądają na nich z wyrazem litości i zmartwienia, lecz przyjęli to jako rzecz naturalną, zważywszy na opłakany stan, w jakim powracali z bitwy. Jednak szybko zostali wyprowadzeni z błędu, zaledwie weszli w uliczkę, na której mieszkał Łazarz, zdali sobie sprawę, że wydarzyło się nieszczęście. Jezus wybiegł przed wszystkich, wpadł na podwórko, wstrząśnięci ludzie rozstąpili się, robiąc mu przejście, ze środka dobiegały płacze i zawodzenia, Ach, mój ukochany brat, był to głos Marty, Ach, mój ukochany brat, a ten Marii. Na rozłożonej na podłodze macie spoczywał Łazarz,

spokojny jak gdyby spał, ciało i dłonie były równo ułożone, ale nie spał, o nie, był martwy, przez prawie całe życie jego serce groziło mu tym, że od niego odejdzie, później ozdrowiało, mogła to poświadczyć cała Betania, a teraz leżał nieżywy, na razie nieruchomy, jakby był z marmuru, nietknięty, jak gdyby wszedł do wieczności, lecz niebawem z wnętrza jego śmierci wylezie na powierzchnię pierwsza oznaka gnicia, przez którą przerażenie i trwoga żywych staną się jeszcze bardziej nieznosne. Jezus padł na kolana, jak gdyby jednym ruchem podcięto mu ścięgna, i jęczał, i płakał, Jak to się stało, jak to się stało, taka myśl zawsze nas nachodzi w sytuacji, której nie można już uzdrowić, pytamy innych, jak to było, rozpaczliwie i nadaremnie staramy się odwlec moment przyjęcia prawdy, właśnie, chcemy wiedzieć, jak to było, myśląc, że możemy jeszcze umieścić życie w miejscu śmierci, w miejscu tego, co było, to, co mogłoby być. Z głębin swego rozdzierającego i gorzkiego płaczu Marta odezwała się do Jezusa, Gdybyś ty tutaj był, mój brat by nie umarł, ale wiem, że Bóg zgodzi się na wszystko, o co Go poprosisz, tak jak się zgodził na wzrok dla niewidomych, oczyszczenie dla trędowatych, głos dla niemych i na wszystkie cuda, które zamieszkują twoją wolę i czekają na twoje słowo. Jezus powiedział do niej, Twój brat zmartwychwstanie, a Marta odrzekła, Wiem, że zmartwychwstanie podczas zmartwychwstania w dniu ostatecznym. Jezus podniósł się, czuł że jakaś nieskończona siła rwie jego duszę w tej nadzwyczajnej godzinie mógł dokonać wszystkiego, popełnić wszystko, wypędzić śmierć z tego ciała, kazać powrócić do niego pełnemu istnieniu i pełnej istocie, słowu, gestowi, śmiechowi, także łzom, lecz nie bólu, mógł powiedzieć, Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie, i zapytał Martę, Czy ty w to wierzysz, a ona odpowiedziała, Tak, wierzę, że jesteś Synem Boga, który miał przyjsć na świat. Skoro więc wszystkie konieczne rzeczy zostały uzgodnione i uporządkowane, siła i władza oraz wola posłużenia się nimi, brakuje tylko, by Jezus, patrząc na ciało opuszczone przez duszę, wyciągnął ku niemu swe ramiona na podobieństwo drogi, po której miałaby ona powrócić, i powiedział, Łazarzu, wstań, a Łazarz podniesie się, ponieważ Bóg tak chciał, jednak w tej samej chwili, naprawdę ostatecznej i ostatecznej, Maria z Magdali kładzie dłoń na ramieniu Jezusa i mówi, Nikt nie miał w życiu tyłu grzechów, aby zasłużyć na powtórny śmierć, wtenczas Jezus opuścił ramiona, wyszedł i zapłakał.

Jak lodowaty oddech i jak przesywające zimno śmierć Łazarza za jednym razem zgasła żarliwą waleczność, którą Jan rozbudził w duszy Jezusa i w której podczas rozwlekłego tygodnia refleksji oraz krótkotrwałych działań zmieszały się w jedno uczucie służba Bogu i służba ludziom. Gdy minęły pierwsze dni żałoby, a codzienne obowiązki izwyczajnie stopniowo zaczęły odzyskiwać utracone miejsce, płacąc za to chwilowymi

uśpieniami bólu, który nie ustępował, Piotr i Andrzej przyszedli rozmówić się z Jezusem, zapytać go, jakie ma plany, czy mają wrócić do miast, by nauczać albo do Jerozolimy, by przeprowadzić nowy atak, albowiem uczniowie skarżyli się na przedłużającą się bezczynność, a tak przecież być nie może, nie po to zostawiliśmy nasz dobytek, pracę i rodzinę. Jezus spojrzał na nich tak, jakby ich nie odróżniał od swoich myśli, wysłuchał ich tak, jakby musiał rozpoznawać ich głosy pośród chóru bezładnych krzyków, wreszcie po długim milczeniu powiedział im, aby jeszcze trochę poczekali, bo jeszcze musi trochę pomyśleć, bo czuje, że wydarzy się coś, co ostatecznie zdecyduje o ich życiu i śmierci. Powiedział również, że niebawem dołączy do obozowiska, a tego nie mogli zrozumieć Piotr z Andrzejem, jak siostry mogą zostać same, skoro i tak nie rozstrzygnięto jeszcze, co będą robić mężczyźni, Nie musisz do nas wracać, lepiej zostań, rzekł Piotr, który nie mógł wiedzieć, że Jezus żyje pomiędzy dwiema udrękami, pierwsza związana była z jego powinnościami wobec mężczyzn i kobiet, którzy porzucili i opuścili wszystko, żeby iść za nim, druga zaś, z tym domem i z tymi dwiema siostrami, jednakowymi i wrogimi jak twarz i lustro, było to nieustannie i metodycznie prześladowające go rozdarcie moralne. Łazarz był obecny i nie ustępował. Był obecny w twardych słowach

Marty, która nie wybaczała Marii tego, że zapobiegła wskrzeszeniu własnego brata i która nie mogła wybaczyć Jezusowi zrzeczenia się użycia swej władzy otrzymanej od Boga. Był obecny w nieugaszonych łzach Marii, która nie wystawiając brata na drugą śmierć, miała już zawsze żyć z wyrzutami sumienia spowodowanymi niewyzwoleniem go z tej pierwszej. Było w końcu obecne ogromne ciało wypełniające sobą wszystkie przestrzenie i zakamarki zmaconego umysłu Jezusa, poczwórna sprzeczność, z jaką się zmagał, zgodziwszy się z tym, co powiedziała Maria i obwiniwszy ją za to, że to powiedziała, zrozumiawszy prośbę Marty i potępiwszy ją za to, że ją przedstawiła. Jezus patrzył na swoją biedną duszę i widział cztery rozwścieczone konie ciągnące ją we wszystkie strony, cztery sznury nawinięte na kołowroty irwące pomalą wszystkie włókna ducha, dłonie Boga i dłonie Diabła, bosko i diabelsko bawiące się w komórki do wynajęcia; ciesząc się tym, co jeszcze z tego ducha zostało. Pod drzwiami domu, który kiedyś był Łazarzowym, schodzili się trędowaci i inni nieszczęśnicy, błagając o uzdrowienie swych skrzywdzonych ciał, czasami pojawiała się Marta i przepędzała ich, jak gdyby chcąc zaprotestować, Nie było zbawienia dla mego brata, nie będzie uzdrowienia dla was, jednak oni wracali później, wracali zawsze, aż w końcu udawało im się dotrzeć tam, gdzie był Jezus, a on ich uzdrawiał i odsyłał, lecz nie mówił im, Nawracajcie się, ozdrowienie było jak powtórne narodzenie bez umierania, kto się rodzi, nie ma swoich grzechów, nie musi się nawracać, gdyż niczego złego nie zrobił. Wszelako owe dzieła

fizycznego odnawiania, jeśli nie razi takie stwierdzenie, jakkolwiek brały się z najwyższego miłosierdzia, pozostawiały w Jezusowym sercu kwaśny posmak, rodzaj goryczy, albowiem tak naprawdę były one odroczeniami nieuniknionych upadków, ten kto dziś wyszedł zdrowy i zadowolony, wróci jutro, płacząc z nowego bólu, na który nie ma lekarstwa. Ogarnął Jezusa taki smutek, że pewnego dnia Marta powiedziała doń, Nie umieraj mi teraz ty, bo przekonam się, co znaczyłaby powtórna śmierć Łazarza, zaś Maria z Magdali w skrytości ciemnej nocy wyszeptywała mu pod wspólnym prześcieradłem skargi zwierzęcia, które schowało się, aby cierpieć, Potrzebujesz mnie dzisiaj tak, jak nigdy przedtem mnie nie potrzebowałeś, to ja nie mogę dojść tam, gdzie ty jesteś, gdyż zamknąłeś się za jakimiś drzwiami nie na ludzkie siły, a Jezus, który tak odpowiedział Marcie, W mojej śmierci obecna będzie każda śmierć Łazarza, on będzie zawsze umierał i nie można go wskrzesić, poprosił Marię, Nawet gdy nie będziesz mogła wejść, nie odchodź, zawsze wyciągnij do mnie twoją dłoń, nawet gdy nie będziesz mogła mnie zobaczyć, jeśli tego nie uczynisz, zapomnę o życiu albo ono zapomni o mnie. Po kilku dniach Jezus połączył się z uczniami i Maria z Magdali poszła razem z nim, Będę patrzeć na twój cień, jeśli nie zechcesz, bym patrzyła na ciebie, powiedziała Mu, zaś on odparł, Chcę być tam, gdzie będzie mój cień, jeśli tam będą twoje oczy. Kochali się i mówili sobie słowa takie jak te, nie tylko dlatego, że były piękne i prawdziwe, o ile mogą takimi być jednocześnie, lecz dlatego że przeczuwali nadejście czasu cienia i musieli zacząć przyzwyczajając się, wciąż jeszcze razem, do mroku ostatecznej nieobecności.

Wtedy to nadeszła do obozowiska wieść o uwięzieniu Jana Chrzciciela. Wiadomo było tylko, że został wtrącony do więzienia i że nastąpiło to z rozkazu samego Heroda, a z tego powodu, bo trudno wyobrazić sobie inne, Jezus oraz jego ludzie pomyśleli, iż przyczyną tego zdarzenia mogły być tylko nieustanne zapowiedzi przybycia Mesjasza, bowiem takie treści wszędzie głosił Jan pomiędzy chrztem i chrztem, Inny przyjdzie, który was ochrzci ogniem, i pomiędzy przekleństwami i przekleństwami, Plemię żmijowe, kto wam pokazał, jak uciec przed nadchodzącym gniewem. Powiedział wówczas Jezus uczniom, aby byli przygotowani na prześladowania i zniewagi wszelkiego rodzaju, bowiem należało się spodziewać, że skoro już od dawna krąży po kraju wieść, iż oni sami postępują i mówią tak samo, Herod dojdzie do wniosku, że dwa i dwa to cztery i odnajdzie w synu cieśli chwalącym się, że jest Synem Boga, oraz w jego stronnikach, drugą ipotężniejszą głowę smoka, który grozi zrzuceniem go z tronu. Bez wątpienia zła wiadomość nie jest lepsza od braku wiadomości, ale ma swe uzasadnienie fakt, iż ze spokojem przyjęli ją ci, co oczekując i pragnąc wszystkiego, w ostatnich czasach niczego przed sobą nie widzieli. Pytali się jedni drugich, a wszyscy Jezusa, co mają robić, czy trzymać się razem i razem stawić czoło złości

Heroda, czy rozproszyć się po miastach, czy też może schronić się na pustyni, jedząc leśny miód iszarańczę, tak jak przed wyjściem stamtąd czynił to Jan ku większej chwale Jezusa oraz, z tego co widać, ku swemu nieszczęściu. Skoro jednak nie było znaków świadczących o tym, że Herodowi żołnierze zmierzają do Betanii, aby zabić kolejnych niewinnych, Jezus wraz ze swoimi uczniami mógł w spokoju rozważyć różne alternatywy, wówczas to w krótkich odstępach nadeszły druga i trzecia wiadomość, że Jan został ścięty i że motywy uwięzienia oraz egzekucji nie miały nic wspólnego z zapowiedziami Mesjasza lub Bożych królestw lecz z tym, że wykrzykiwał i wrzeszczał przeciwko cudzołóstwu, które tenże sam Herod popełniał, żeniąc się z Herodiadą, żoną brata swego za jego życia. Śmierć Jana była powodem licznych łez i lamentów w całym obozowisku i nie dostrzegano różnic w wyrażaniu bólu pomiędzy mężczyznami i kobietami, ale śmierć, do której doszło z przyczyny, o jakiej się mówiło, była czymś, co wymykał się zdolności pojmwania wszystkich tam obecnych, ponieważ jakaś inna racja, wyższego rzędu, powinna była zaważyć na wyroku Heroda, a tak odnosiło się wrażenie, że nie istniała w przeszłości i nie będzie mieć żadnego znaczenia jutro, tak mówił rozgniewany Judasz Iskariota, którego, jak pamiętamy, Jan był ochrzcił. Jak to jest, zapytywał całej wspólnoty włącznie z kobietami, Jan ogłasza, że nadchodzi Mesjasz, aby odkupić lud i zostaje zabity za wypominanie konkubinatu i cudzołóstwa, dzielenia łoża przez Heroda i żonę jego brata, tak jakbyśmy nie wiedzieli, że było to powszechne w tej rodzinie od zarania jej dziejów aż po dzień dzisiejszy. Jak to jest, powtarzał, jeżeli Bóg sam kazał Janowi zapowiadać nadejście Mesjasza, w co nie wątpię z prostej racji, że nic nie może się wydarzyć bez woli Boga, jeżeli sam Bóg mu kazał, to niech ci, co znają Go lepiej ode mnie, wyjaśnią mi, dlaczego chce, by Jego własne zamysły w ten sposób były unicestwiane na ziemi i proszę was, nie dowódźcie, że Bóg wie, a my nie możemy wiedzieć, albowiem ja odpowiedziałbym wam, że chcę wiedzieć dokładnie to, co Bóg wie. Zimny dreszcz strachu przebiegł po całym zgromadzeniu, jak gdyby gniew Pana już miał porazić śmiałka i wszystkich pozostałych, którzy nie kazali mu natychmiast zapłacić za bluźnierstwo. Bóg nie zjawił się tam jednak i nie przyjął wyzwania Judasza Iskarioty, mogło ono zostać podjęte tylko przez Jezusa, który był osobą mającą najbliższy kontakt z najwyższym pozwanym. Gdyby chodziło o inną religię i o inną sytuację, być może wszystko zatrzymałoby się na tym zagadkowym uśmiechu Jezusa, lekkim i pierzchliwym, w którym można jednak było wyróżnić trzy elementy, zaskoczenie, przychylność i ciekawość, co wyglądało na wiele, a w rzeczywistości nic nie znaczyło, gdyż zaskoczenie było chwilowe, przychylność pobłażliwa, a ciekawość znużona. Sam uśmiech odszedł tak samo, jak przyszedł, zaś na jego miejscu pozostała śmiertelna bladość i zapadła twarz kogoś, kto

właśnie zobaczył swe przeznaczenie w całej okazałości. Zdławionym, niemal pozbawionym wyrazu głosem, Jezus rzekł, Niech odejdą kobiety, a Maria z Magdali była pierwszą, która się podniosła. Później, gdy cisza powoli zamieniła się w ściany i strop zamykające ich w najgłębszej jaskini ziemi, Jezus powiedział, Zapyta Jan Boga, dlaczego kazał umrzeć w ten sposób, z tak błahej przyczyny komuś, kto tak wielkie rzeczy zapowiadał, powiedział i umilkł na krótko, a gdy wydało mu się, że Judasz Iskariota chce mówić, powstrzymał go ruchem ręki i dokończył, Moim obowiązkiem, zrozumiałem to teraz, jest powiedzieć wam to, o czy wiem, że Bóg wie, o ile sam Bóg mi nie przeszkodzi. Wśród uczniów rozpętała się bezładna wymiana słów, niepokój, nerwowe podniecenie, bali się poznać to, co poznać pragnęli, tylko Judasz Iskariota podtrzymywał wyzwanie, od którego rozgorzała ta debata. Powiedział Jezus, Znam moje i wasze przeznaczenie, znam przeznaczenie wielu z tych, co dopiero mają się urodzić, znam racje i zamysły Boga, o tym wszystkim powinienem wam powiedzieć, bo każdego to dotyka i tym bardziej dotykać będzie w przyszłości, Dlaczego, spytał Piotr, dlaczego my mamy wiedzieć, co zostało ci przekazane przez Boga, lepiej byłoby gdybyś to zmilczał, Do Boga należy uciszenie mnie w tej chwili, Zatem czy będziesz milczał, czy nie, dla Boga będzie to miało jednakowe znaczenie, jeżeli Bóg przemawia twoimi ustami, będzie to czynił nadal, nawet wtedy gdy tak jak teraz uznasz, że sprzeciwiasz się Jego woli, Ty wiesz, Piotrze, że zostanę ukrzyżowany, Powiedziałeś mi o tym, Ale nie powiedziałem ci, że ty sam oraz Andrzej i Filip także zginiecie na krzyżu, że Bartłomieja obdęra ze skóry, że Mateusza zabiją barbarzyńcy, że Jakub syn Zebedeusza zostanie ścięty, że drugi Jakub syn Alfeusza będzie ukamienowany, że Tomasza przeszyją włóczniami, że Juda Tadeusz umrze ze zmiądzoną głową, że Szymona przerzną piłą, tego nie wiedziałeś, ale teraz wiesz i wiedzą wszyscy. Objawienie zostało przyjęte w ciszy, można się już było nie obawiać przyszłości, którą właśnie poznano, stało się tak, jakby Jezus jedynie powiedział, Umrzecie, a oni odpowiedzieliby mu chórem, Wielka nowina, to już wiedzieliśmy. Jednak Jan i Judasz Iskariota nic o sobie nie usłyszeli i dlatego spytali, A ja, wówczas Jezus rzekł, Ty, Janie, dożyjesz starości i ze starości umrzesz, zaś ty, Judaszu Iskarioto, unikaj drzew figowych, niebawem własnoręcznie powiesz się na takim drzewie, Zatem umrzemy z twojego powodu, odezwał się jakiś głos, lecz nie wiadomo było, do kogo należał, Z powodu Boga, nie z mojego powodu, odpowiedział Jezus, Czego w końcu chce Bóg, spytał Jan, Chce zgromadzenia większego niż to, które ma, chce dla siebie całego świata, Ale skoro Bóg jest panem wszechświata, to jak świat może nie być Jego, i to nie od wczoraj ani nie od jutra, tylko od zawsze, zapytał Tomasz, Tego nie wiem, odparł Jezus, Lecz ty, który żyłeś z tymi rzeczami w sercu przez tak długo, dlaczego opowiadasz nam o nich teraz, Łazarz, którego uzdrowiłem,

umarł, Jan Chrzciciel, który mnie zapowiedział, umarł, śmierć jest pośród nas, Wszystkie istoty muszą umrzeć, stwierdził Piotr, ludzie i wszystko inne, Wielu umrze w przyszłości z woli Boga i z Jego powodu, Jeśli to wola Boga, to powód jest święty, Umrą, ponieważ nie urodzili się ani wcześniej, ani później, Zostaną przyjęci do wiecznego życia, rzekł Mateusz, Tak, lecz warunek wejścia nie powinien być tak bolesny, Jeśli Syn Boga powiedział to, co powiedział, sam sobie zaprzeczył, zaprotestował Piotr, Mylisz się, tylko Synowi Boga wolno tak mówić, to co w twoich ustach byłoby bluźnierstwem, w moich jest innym słowem Boga, wytłumaczył Jezus, Mówisz tak, jakbyśmy mieli wybrać pomiędzy tobą i Bogiem, rzekł Piotr, Zawsze będziecie musieli wybierać pomiędzy Bogiem i Bogiem, ja, tak jak wy i ludzie, stoję pośrodku, Co nam zatem rozkażesz, Abyście poprzez moją śmierć ratowali życie tych, którzy mają nadejść, Nie możesz występować przeciwko woli Boga, Nie, lecz moim obowiązkiem jest próbować, Ty jesteś bezpieczny, bowiem jesteś synem Boga, ale my stracimy nasze dusze, Nie, jeśli postanowicie słuchać mnie, jeszcze Boga będziecie słuchać. Na horyzoncie, na ostatnim końcu pustyni wyłonił się skrawek czerwonego księżyca. Mów, domagał się Andrzej, lecz Jezus zaczekał, aż cały księżyc wzejdzie ponad ziemią, olbrzymi, krwawy księżyc, i dopiero wtedy powiedział, Syn Boga będzie musiał umrzeć na krzyżu, aby w ten sposób wypełniła się wola Ojca, lecz gdybyśmy na jego miejscu umieścili zwykłego człowieka, Bóg nie mógłby już poświęcić Syna, Chcesz postawić jakiegoś człowieka na twoim miejscu, jednego z nas, zapytał Piotr, Nie, ja zajmę miejsce Syna, W imię Boga, wyrażaj się jasno, Zwykły człowiek, owszem, ale też człowiek, który ogłosiłby się królem Żydów, który podburzałby lud do zrzucenia Heroda z tronu i do wygnania Rzymian z kraju, o to was proszę, niech jeden z was pobiegnie do Świątyni i niech powie, że to ja jestem tym człowiekiem, i być może, jeżeli sprawiedliwość będzie rychła, sprawiedliwość Boska nie będzie miała czasu na naprawienie sprawiedliwości ludzkiej, tak jak nie zatrzymała ręki kata, który ścinał Jana. Strach obezwładnił głosy uczniów, lecz na krótko, niebawem ze wszystkich ust popłynęły słowa oburzenia, protestu iniedowierzania, Jeśli jesteś synem Boga, musisz umrzeć jak syn Boga, krzyczał jeden, Jadłem chleb, który ty łamałeś, jak mógłbym cię teraz wydać, jęczał inny, Niech nie chce być królem Żydów ten, który będzie królem świata, mówił ten, Niech natychmiast umrze ten, kto ruszy się stąd, aby cię oskarżyć, groził tamten. Wówczas ponad zgłębkiem dał się słyszeć jasny i wyraźny głos Judasza Iskarioty, Ja pójdę, jeśli tego chcesz. Rzucili się wszyscy na niego i już dobywano noży spomiędzy fałd tunik, kiedy Jezus rozkazał, Puście go, niech nikt nie zrobi mu krzywdy. Potem podniósł się, objął go i ucałował w oba policzki, Idź, moja godzina jest twoją godziną. Judasz Iskariota bez słowa zarzucił pelerynę na ramię i zniknął w ciemności jak połknięty przez noc.

Strażnicy ze Świątyni i Herodowi żołnierze przyszli pojmać Jezusa o pierwszym świcie. Najpierw skrycie otoczyli obozowisko, a potem niektórzy z nich uzbrojeni w miecze i włócznie wtargnęli do środka, ich dowódca krzyknął, Gdzie jest ten, co mówi, że jest królem Żydów, i potem jeszcze raz, Niech się pokaże ten, który mówi, że jest królem Żydów, wówczas Jezus wyszedł ze swego namiotu, a była z nim płacząca Maria z Magdali, i rzekł, Ja jestem królem Żydów. Podszedł do niego jeden z żołnierzy, który skrępował mu dłonie, jednocześnie mówiąc po cichu, Jeśli mimo dzisiejszego uwięzienia, staniesz się któregoś dnia moim królem, pamiętaj, że przyszedłem cię pojmać z rozkazu innego, powiesz wtedy, abym pojmał jego, a ja będę ci posłuszny, tak jak i teraz jestem, zaś Jezus odrzekł, Jeden król nie więzi drugiego króla, jeden bóg nie zabija drugiego boga, zwykli ludzie zostali stworzeni po to, żeby miał kto więzić i zabijać. Spętali Jezusowi również stopy, aby nie mógł uciec, zaś on powiedział sam do siebie, albowiem w to wierzył, Za późno, ja już uciekłem. Akurat wtedy Maria z Magdali wydała okrzyk, jak gdyby pękała jej dusza, a Jezus powiedział, Będziesz mnie oplakiwać, i wy, niewiasty, też zapłaczecie, kiedy taka sama godzina przyjdzie na tych, którzy tutaj są i na was, ale wiedzcie, że za każdą waszą łzę, w przyszłości wylałby się tysiąc, gdybym ja nie skończył tak, jak tego chcę. Odwracając się do dowódcy żołnierzy, powiedział, Pozwól odejść tym ludziom, którzy ze mną byli, albowiem to ja jestem królem Żydów, a nie oni, po czym bez słowa podszedł do żołnierzy, a oni go otoczyli. Słońce wzeszło i wspinało się po niebie nad domami Betanii, kiedy tłum ludzi z Jezusem na przodzie, mającym z każdej strony dwóch żołnierzy, którzy trzymali za końce sznura krępującego mu dłonie, wszedł na drogę wiodącą do Jerozolimy. Z tyłu szli uczniowie i kobiety, oni rozgniewani, one szlochające, lecz tyle samo warte było szlochanie jednych co i gniew drugich, Co mamy robić, pytali ukradkiem, skoczyć na żołnierzy i próbować oswobodzić Jezusa, umierając być może w czasie walki, czy też rozproszyć się, zanim i na nas przyjdzie nakaz uwięzienia, skoro zaś nie byli w stanie wybrać pomiędzy jednym i drugim, nic nie zrobili i posuwali się dalej za oddziałem wojska. W pewnym momencie zobaczyli, że przednia grupa zatrzymała się i nie rozumieli dlaczego, chyba że przyszło odwołanie rozkazu i teraz uwalniano Jezusa z pęt, lecz żeby coś takiego pomyśleć, trzeba było mieć szaloną wyobraźnię, niektórzy mieli, ale niezbyt wielu. Z pęt uwolnił się kto inny, a mianowicie Judasz Iskariota i były to pęta jego życia, na drzewie figowym rosnącym na skraju drogi, po której Jezus miał przechodzić, wisiał uczeń, który zgłosił się jako ochotnik po to, by mogła się wypełnić ostatnia wola jego mistrza. Dowódca eskorty dał znak dwóm żołnierzom, by ucięli sznur i opuścili ciało, Jeszcze ciepły, rzekł jeden z nich, mogło być i tak, że Judasz Iskariota siedząc na gałęzi drzewa figowego już z pętlą założoną na szyję, cierpliwie czekał, aż zza dalekiego zakrętu wyłoni się Jezus, aby

wówczas spokojnie rzucić się w dół z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Jezus podszedł bliżej, żołnierze mu w tym nie przeszkadzali, długo przyglądał się twarzy Judasza wykręconej przez szybką agonię, Jeszcze ciepły, powtórzył żołnierz, wtenczas Jezus pomyślał, że gdyby chciał, mógłby uczynić temu człowiekowi to, czego nie uczynił Łazarzowi, mógłby go wskrzesić po to, by w innym dniu i w innym miejscu znalazł swą własną śmierć, daleką i ciemną, a nie życie bez końca i pamięć o zdradzie. Wiadomo jednak, że tylko Syn Boga ma moc wskrzeszania, nie ma jej natomiast król Żydów, który tędy idzie z niemą duszą i związanymi rękami oraz nogami. Dowódca rozkazał, Zostawcie go tam, niech go pogrzebią ludzie z Betanii albo zjedzą kruki, ale najpierw zobaczcie, czy ma przy sobie coś wartościowego, a żołnierze poszukali i niczego nie znaleźli, Nawet jednej monety, zameldował jeden z nich, nie było się czemu dziwić, funduszami wspólnoty zarządzał Mateusz, który się na tym znał, bo w czasach, gdy jeszcze zwał się Lewim, był celnikiem. Nie zapłacili mu za wydanie, wyszeptał Jezus, a ktoś, kto to usłyszał, wyjaśnił, Chcieli, lecz on powiedział, że ma zwyczaj płacić swoje rachunki i proszę bardzo, już ich więcej nie musi płacić. Pochód ruszył dalej, kilku uczniów patrzyło jeszcze z litością na zwłoki, ale Jan rzekł, Zostawmy go, on nie był nasz, a drugi Judasz, zwany także Tadeuszem, sprostował, Czy tego chcemy, czy nie, zawsze będzie nasz, nawet jeśli nie będziemy wiedzieć, co z nim zrobić, to i tak będzie nasz. Chodźmy dalej, rzekł Piotr, nasze miejsce nie jest przy Judaszu Iskariocie, Masz rację, zgodził się Tomasz, nasze miejsce powinno być przy Jezusie, a teraz jest puste.

Wreszcie doszli do Jerozolimy i zaprowadzili Jezusa do rady starszych, arcykapłanów i uczonych w Piśmie. Był tam też najwyższy kapłan, który ucieszył się, widząc go i tak mu powiedział, Ostrzegałem cię, lecz ty nie chciałeś mnie słuchać, teraz twa duma nie będzie cię mogła obronić, a twe kłamstwa skażą cię, Jakie kłamstwa, zapytał Jezus, Pierwsze, że jesteś królem Żydów, Jestem królem Żydów, Drugie, że jesteś Synem Boga, Kto ci powiedział, że mówię, że jestem Synem Boga, Wszyscy to mówią, Nie dawaj temu posłuchu, jestem królem Żydów, Zatem przyznajesz, że nie jesteś synem Boga, Powtarzam, że jestem królem Żydów, Uważaj, bo tylko to jedno kłamstwo wystarczy, żeby cię skazać, Powiedziałem to, co powiedziałem, Bardzo dobrze, odeślę cię do rzymskiego prokuratora, który bardzo pragnie poznać człowieka chcącego go przepędzić i wyrwać te ziemie spod władzy Cezara. Stamtąd żołnierze zabrali Jezusa do pałacu Piłata, a ponieważ rozeszła się już wieść o pojmaniu tego, który mówi, że jest królem Żydów, który obił zmieniających pieniądze i podłożył ogień pod stragany, ludzie zbiegli się, żeby zobaczyć, jaką minę ma król prowadzony ulicami na oczach wszystkich i z rękami skrępowanymi jak jakiś pospolity zbrodniarz, a w tym wypadku obojętne było to, czy jest królem autentycznym, czy tylko tak o sobie mówi. Tak jak zawsze

się to dzieje, bo cały świat nie jest jednakowy, byli ludzie, którzy go żalowali i inni, którzy nie żalowali, albo tacy którzy mówili, Pozwólcie mu odejść, to szaleniec, inni wręcz przeciwnie, twierdzili, że ukaranie za zbrodnię będzie daniem przykładu, jeśli tamtych było wielu, to tych wcale nie mniej. Wśród tego tłumu, mieszając się z nim, błakali się uczniowie oraz kobiety, które z nimi przyszły, od razu można je było rozpoznać po łzach, tylko jedna z nich nie płakała, Maria z Magdali, tę płacz spalał od środka.

Odległość dzieląca dom najwyższego kapłana od pałacu prokuratora nie była duża, ale Jezusowi zdawało się, że nigdy tam nie dojdzie inie było tak dlatego, że nie mógł już znieść gwizdów i szyderstw tłumu rozczarowanego żalosnym wyglądem tego króla, ale dlatego, że spóźniał się na wyznaczone z własnej woli spotkanie ze śmiercią, brakowało tylko, żeby Bóg popatrzył w tę stronę i powiedział, A co to ma znaczyć, nie wypełniasz umowy. Przy drzwiach pałacu stali żołnierze Rzymu, którym ci od Heroda oraz strażnicy Świątyni przekazali Jezusa, pozostając na zewnątrz w oczekiwaniu na werdykt, do środka weszło tylko kilku kapłanów mających specjalne pozwolenie. Piłat, bo takie imię nosił prokurator, siedział na swym krześle, kiedy wprowadzono jakiegoś obszarpańca, brodatego i bosego, w tunice pokrytej plamami starymi i najnowszymi, te ostatnie pochodziły od dojrzałych owoców, które Bóg stworzył do innego celu, w każdym bądź razie nie po to, by były objawami nienawiści i symbolami hańby. Stojąc przed nim, więzień czekał, głowę trzymał prosto, lecz jego spojrzenie gubiło się gdzieś w przestrzeni, w punkcie najbliższym, choć nieokreślonym, pomiędzy oczami jednego i oczami drugiego. Piłat znał tylko dwa typy oskarżonych, takich którzy spuszczają oczy i takich którzy posługują się nimi jak wyzwaniem, pierwszymi pogardzał, drugich zawsze się trochę obawiał i dlatego skazywał ich szybciej. Natomiast ten był tutaj, chociaż mogło się zdawać, że myślami jest w zupełnie innym miejscu, biła od niego taka pewność siebie, jakby rzeczywiście był pełnoprawną osobą królewską, która znalazła się tu w wyniku godnej ubolewania pomyłki i niebawem zwróci jej koronę, berło i płaszcz. Piłat doszedł w końcu do wniosku, że na wszelki wypadek włączy tego więźnia do drugiej kategorii, osądzając go według pasującego do niej schematu i wziął się do przesłuchiwania, Jak się nazywasz, człowieku, Jezus, syn Józefa, urodziłem się w Betlejem w Judei, ale znają mnie jako Jezusa z Nazaretu, bo w Nazarecie w Galilei żyłem, Kim był twój ojciec, Już ci powiedziałem, na imię miał Józef, Czym się zajmował, Był cieślą, Wyjaśnij mi zatem, jak z cieśli Józefa mógł się narodzić Jezus król, Jeżeli dzieci króla mogą być cieślami, to dzieci cieśli powinny mieć możliwość bycia królami. W tym momencie włączył się jeden z najważniejszych kapłanów, mówiąc, Piłacie, przypominam ci, że ten człowiek twierdzi również, że jest Synem Boga, To nieprawda, mówię jedynie, że jestem Synem Człowieka,

odpowiedział Jezus, a na to kapłan, Piłacie, nie pozwól się oszukać, w naszej religii tyle samo znaczy powiedzieć Syn Człowieka co i Syn Boga. Piłat machnął ręką w obojętnym geście, Gdyby chodził i głosił, że jest synem Jupitera, a były już takie wypadki, zainteresowałbym się tym, lecz to, czy jest, czy nie jest waszym bogiem, nie ma żadnego znaczenia, Osądź go więc za to, że się podaje za króla Żydów, bo nam to wystarczy, Trzeba by jeszcze się przekonać, czy wystarczy też mnie, odpowiedział Piłat opryskliwie. Jezus w spokoju czekał na koniec rozmowy i na ponowne podjęcie przesłuchania. Mów więc, kim jesteś, polecił Piłat, Mówię, że jestem tym, kim jestem, królem Żydów, I czego chce król Żydów, którym, jak mówisz, jesteś, Wszystkiego, co przystoi królowi, Na przykład, Chcę rządzić mym ludem i bronić go, Bronić go przed czym, Przed wszystkim, co obróci się przeciwko niemu, Bronić go przed kim, Przed tymi, którzy się przeciwko niemu zwrócą, Jeśli dobrze rozumiem, broniłbyś go przed Rzymem, Zrozumiałeś dobrze, Aby go bronić, zaatakowałbyś Rzymian, Nie ma innego sposobu, I wypędziłbyś nas z tych ziem, Jedno wynika z drugiego, jak najbardziej, A zatem jesteś wrogiem Cezara, Jestem królem Żydów, Przyznaj, że jesteś wrogiem Cezara, Jestem królem Żydów i moje usta nie otworzą się po to, by wypowiedzieć inne słowo. Nie posiadając się z radości, kapłan uniósł dłonie ku niebu, Czy widzisz, Piłacie, on się przyznaje, a ty nie możesz pozwolić ujść z życiem komuś, kto przy świadkach opowiedział się przeciwko tobie i Cezarowi. Piłat westchnął i rzekł do kapłana, Milcz, zaś zwracając się do Jezusa, zapytał, Co jeszcze masz do powiedzenia, Nic, odparł Jezus, Zmuszasz mnie do tego, żebym cię skazał, Czyń swą powinność, Chcesz sobię wybrać śmierć, Już wybrałem, Jaka, Krzyż, Umrzesz na krzyżu. Oczy Jezusa poszukały oczu Piłata i nareszcie spotkały się z nimi, Czy mogę cię o coś poprosić, zapytał, O ile nie będzie sprzeczne z wyrokiem, którego wysłuchałeś, Proszę cię, byś kazał umieścić nad moją głową napis, który będzie mówił, kim jestem, tak żeby wszystkim było wiadomo, Nic więcej, Nic więcej, Piłat kazał sekretarzowi przynieść materiały piśmienne i własnoręcznie napisał Jezus Nazarejczyk Król Żydowski. Zapamiętały w swym zadowoleniu kapłan zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje i zaprotestował, Nie możesz napisać Król Żydowski, tylko Który się Podawał za Króla Żydowskiego, wszelako Piłat był zły na samego siebie, miał wrażenie, że powinien pozwolić pójść temu człowiekowi w swoją stronę, albowiem nawet najbardziej nieufny sędzia doszedłby chyba do wniosku, że nic złego nie może spotkać Cezara ze strony takiego wroga jak ten i z tego powodu rzucił sucho, Nie nudź mnie, com napisał, napisałem. Dał znak żołnierzom, aby wyprowadzili skazańca i kazał przynieść wodę do umycia rąk, bo tak zwykł robić po każdej sprawie.

Powiedli Jezusa na wzgórze zwane Golgotą i kiedy pod ciężarem krzyża słabły już jego nogi, choć był przecież mocno zbudowany, dowodzący setnik nakazał zająć się

ładunkiem człowiekowi, który tamtędy przechodził i na chwilę przystanął, aby popatrzeć na pochód.

Ogwizdach i szyderstwach wspomniano już wcześniej, podobnie zresztą jak o dalekim od okazania miłosierdzia tłumie. Jeśli zaś chodzi ouczniów, oni również tam są, jakaś kobieta dosłownie przed chwilą zapytała Piotra, Czy ty byłeś razem z nim, a Piotr odpowiedział, Ja nie, i, powiedziawszy to, schował się za wszystkimi, lecz tam znów spotkał tę. samą kobietę i jeszcze raz powiedział, Ja nie, a skoro do trzech raiy sztuka, po raz trzeci zapytany Piotr, po raz trzeci odpowiedział, Ja nie. Kobiety idą obok Jezusa, trochę z tej strony, trochę z drugiej, najbliższej idzie Maria z Magdali, ale nie może podejść do niego, bo nie pozwalają jej żołnierze, tak samo jak nie pozwolą nikomu podejść w poblize miejsca, w którym wznoszą się trzy krzyże, a dwa zajęte są już przez dwóch wydzierających się, krzyczących i płaczących mężczyzn, trzeci, środkowy, czeka na swojego, jest prosty i stoi pionowo, tak jakby był słupem podpierającym niebo. Powiedzieli żołnierze Jezusowi, aby się położył i on się położył, rozciągnęli mu ramiona na poziomej belce i kiedy pierwszy gwóźdź pod brutalnymi uderzeniami młotka wbił się w jego przegub pomiędzy dwoma kośćmi, czas natychmiast uciekł do tyłu szybciej, niż trwa jeden zawrót głowy, Jezus poczuł ból tak, jak czuł jego ojciec, widział siebie samego tak, jak widział jego ukrzyżowanego w Seforis, potem drugi przegub izaraz pierwsze rozdieranie szarpanego ciała, kiedy zaczęto podnosić poziomą belkę w górę krzyża i całe ciało zwisało na kruchych kościach, wreszcie coś, co było jak ulga, nogi zostały podciągnięte do góry, a trzeci gwóźdź przebił pięty. Teraz pozostaje tylko czekać na śmierć.

Jezus umiera, umiera, a życie już go opuszcza, kiedy nagle niebo otwiera się na oścież ponad jego głową i pojawia się Bóg ubrany tak samo jak na łodzi, a jego głos rozbrzmiewa na całej ziemi, Ty jesteś mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie. Wówczas Jezus zrozumiał, że został wprowadzony w błąd tak samo, jak składany w ofierze baranek, że od początku początków wiadomo było, że będzie żyć po to, by umrzeć taką śmiercią, wtedy stanęła mu w pamięci rzeka krwi i cierpienia, która z jego boku wypłynie i zaleje całą ziemię, ikrzyknął prosto w otwarte niebo, tam gdzie uśmiechał się Bóg, Ludzie, przebaczcie mu, bo nie wie, co uczynił. Potem umierał, śniąc, był w Nazarecie i słyszał mówiącego doń ojca, który wrzusał ramionami i też się uśmiechał, Ani ja nie mogę ci zadać wszystkich pytań, ani ty nie możesz mi udzielić wszystkich odpowiedzi. Była w nim jeszcze resztką życia, kiedy poczuł, że jakaś gąbka zamoczona w wodzie z octem ociera jego Wargi, spojrzął wówczas w dół i spostrzegł oddalającego się mężczyznę z wiadrem i z tyczką na ramieniu. Nie zdołał już jednak zobaczyć położonej na ziemi czarnej miski, do której kapiała jego krew. pionowo, tak

jakby był słupem podpierającym niebo. Powiedzieli żołnierze Jezusowi, aby się położył i on się położył, rozciągnęli mu ramiona na poziomej belce i kiedy pierwszy gwóźdź pod brutalnymi uderzeniami młotka wbił się w jego przegub pomiędzy dwoma kośćmi, czas natychmiast uciekł do tyłu szybciej, niż trwa jeden zawrót głowy, Jezus poczuł ból tak, jak czuł jego ojciec, widział siebie samego tak, jak widział jego ukrzyżowanego w Seforis, potem drugi przegub i zaraz pierwsze rozdzieranie szarpanego ciała, kiedy zaczęto podnosić poziomą belkę w górę krzyża i całe ciało zwisało na kruchych kościach, wreszcie coś, co było jak ulga, nogi zostały podciągnięte do góry, a trzeci gwóźdź przebił piętę. Teraz pozostaje tylko czekać na śmierć.

Jezus umiera, umiera, a życie już go opuszcza, kiedy nagle niebo otwiera się na oścież ponad jego głową i pojawia się Bóg ubrany tak samo jak na łodzi, a jego głos rozbrzmiewa na całej ziemi, Ty jesteś mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie. Wówczas Jezus zrozumiał, że został wprowadzony w błąd tak samo, jak składany w ofierze baranek, że od początku początków wiadomo było, że będzie żyć po to, by umrzeć taką śmiercią, wtedy stanęła mu w pamięci rzeka krwi i cierpienia, która z jego boku wypłynie i zaleje całą ziemię, ikrzyknął prosto w otwarte niebo, tam gdzie uśmiechał się Bóg, Ludzie, przebaczone mu, bo nie wie, co uczynił. Potem umierał, śniąc, był w Nazarecie i słyszał mówiącego doń ojca, który wzruszał ramionami i też się uśmiechał, Ani ja nie mogę ci zadać wszystkich pytań, ani ty nie możesz mi udzielić wszystkich odpowiedzi. Była w nim jeszcze resztką życia, kiedy poczuł, że jakaś gąbka zamoczona w wodzie z octem ociera jego wargi, spojrzął wówczas w dół i spostrzegł oddalającego się mężczyznę z wiadrem i z tyczką na ramieniu. Nie zdołał już jednak zobaczyć położonej na ziemi czarnej miski, do której kapłała jego krew.